Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/otron0003adam

O TRON

ADAM KRECHOWIECKI

O TRON

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVII. WIEKU

CZĘŚĆ TRZECIA.

S Ł A W A

LIBRARY
ST. HYACINTH COLLEGE AND SEMINARY
GRANBY, MASSACHUSETTS

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1901

K
92
v.3

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

OD WYDAWCY.

Jeden z głównych bohaterów niniejszej opowieści, Krystyan Ludwik Kalkstein (ur. około r. 1630), syn jenerała Albrechta, starosty oleckiego, właściciela dóbr Knauten pod pruską Iławą, był zarówno jak ojciec jego, jak większa część ówczesnej szlachty pruskiej, zapalonym zwolennikiem zwierzchnictwa Rzeczypospolitej polskiej nad Prusami książęcemi. Elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, Wielkim Elektorem zwany, dążył podówczas do uzyskania zupełnej niezawisłości, do obalenia stosunku lenniczego, w jakim pozostawał względem Polski, do osiągnięcia władzy królewskiej, do tronu. W tym celu pomagał zrazu Szwedom przeciw Polsce, potem ich odstąpił, a pod grozą tej wojny wymógł na Janie Kazimierzu traktat welawsko-bydgoski, który uwalniał Elektora od hołdu, w zamian za pomoc, udzieloną przeciw Szwedom. W tym celu uzyskał potem podstępnie od słabego Michała Korybuta zatwierdzenie tego traktatu, a chociaż tego rodzaju zatwierdzenie, bez

aprobaty Stanów, nie mogło mieć znaczenia. Elektor hołdu nie składał a nadto Drahim zajął; osłabiona zaś wewnętrznemi rozterkami Rzeczpospolita, nie dopominała się praw swoich i nie dostrzegała grożących jej największych ze strony Elektora niebezpieczeństw. W tym wreszcie celu Fryderyk Wilhelm zaczął gnębić oporną szlachtę i mieszczaństwo, które go uznać nie chciało. Znaczna część szlachty albo opuściła wówczas Prusy, albo jak jenerał Kalkstein, usunęła się do zacisza domowego, lub wreszcie, jak mistrz ławników królewieckich Roth, zmarniała w więzieniu. Lecz Krystyan Kalkstein z kilkoma towarzyszami zdołał umknąć z Knauten, wstąpił do wojska polskiego, walczył pod hetmanem Sapiehą jako dzielny pułkownik, a otoczony jego i możnych panów opieką, wypowiedział Elektorowi walkę. On to w imieniu szlachty i Stanów pruskich wnosił do Króla polskiego różne supliki i protesty przeciw bezprawiom rządów Elektora, on rozszerzał liczne ulotne przeciw niemu pisma; on wreszcie chciał zorganizować nawet ochotniczą wyprawę w celu odebrania Prus książęcych. Rubaszny, zapalczywy, namiętny, prowadził tę walkę nie zawsze przezornie, często w sposób nie odpowiedni. Ale była chwila, że zdołał poruszyć umysły i serca, zyskać rozgłos i możnych protektorów. I byłoby mu się nawet w wielu względach powiodło, gdyby nie rozterka stronnictw w Polsce, a później walka z potęgą ottomańską. Elektor

był mocno zaniepokojony, a gdy Kalkstein nie ustawał w działaniu, zdecydował się na krok stanowczy, na zamach niesłychany w dziejach, zamach na oficera i szlachcica polskiego (Kalkstein-Stoliński herbu Koss) w stolicy zwierzchniczego państwa. Wydał mianowicie polecenie rezydentowi swemu w Warszawie, Brandtowi, aby porwał Kalksteina i dostawił do fortecy kłajpedzkiej.

Całą tę, naszkicowaną powyżej działalność Kalksteina, słabość polityki Polski, rozdartej na stronnictwa i podstępną grę Elektora, na tle dziejów współczesnych, aż do chwili wydania rozkazu porwania, przedstawił autor w dwóch powieściach poprzednich, pod wspólnym tytułem »O Tron« (I. »Ostatni Dynasta«, II. »Piast«, Petersburg 1898) Wykonanie tego rozkazu i dalsze tragiczne losy Kalksteina, charakterystyczne rzucające światło na ówczesne dzieje, przedstawia niniejsza opowieść, która dobitnie wskazuje, skąd groziło zawsze Rzeczypospolitej największe niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo to zażegnała wszakże na długo, na wiek cały, rycerska Sobieskiego *sława*, która mu dała tron.

SŁAWA.

I.

NA STRACENIE.

Tego listopadowego dnia R. P. 1670 był od rana jakby ciągły zmierzch. Zaraz z południa stała się ciemność. Chociaż deszcz ani śnieg nie padał, w powietrzu była wilgoć przenikliwa i mgły ciężkie zwisały nad Warszawą.

Przez zakratowane, małe okno bernardyńskiej celi, Krystyan Ludwik Kalkstein, exulant pruski, patrzył posępnie na ulicę, przez którą posuwały się zwolna, ślizgając się w gęstym błocie, ludzkie postacie, wyglądające jak cienie na białem tle mgły.

Odwrócił się nagle do siedzącego w głębi celi stolnika Brzoski i rzekł:

— Czemu waćpan nie mówisz nic?... W milczeniu to tak, jak w tej mgle jesiennej, zdechnąć można z tęsknicy...

— *Volenti injuria non fit!*... — odparł Brzoska, ramionami dźwigając. — Aż mi w gardle zaschło, takem waszmości radził i perswadował. Imć-

panu rezydentowi brandenburskiemu iście dziwno być musi. Od tygodnia codziennie mu przyrzekam, iż z waszmością przybędę. Ale z wami ani rusz! On zaś ze swej strony uczynił wszystko; glejt elektorski, *litterae protectoriales* czekają, abyś je waćpan wziął.

— Jeżeli list żelazny sam Elektor mi dał — rzekł żywo Kalkstein — to dlaczego Brandt nie przysyła mi go? Dlaczego żąda, abym sam do niego szedł? Nie mam już teraz ufności. Rezydent brandenburski kilkakrotnie mnie oszukał... teraz nie wierzę! Mnie w oczy affekta swoje oświadczał, a równocześnie podłe intrygi knował, przed królem oskarżał... Chytry pies!

Stolnik wstał z miejsca, zbliżył się do Krystyana i usiłując nadać swej zmiętej, pomarszczonej a niemiłej twarzy jak najsłodszy wyraz, mówił głosem stłumionym:

— Mości pułkowniku, proszę was!... W tem nieszczęście całe, iż używać zwykliście ostrych, zbyt ostrych wyrażeń. Ja słucham i oczywiście pary z gęby nie puszczam, ale są tacy, którzy je odnoszą... i stąd wynika gorycz. Jeszcze wczoraj mówił mi imćp. Brandt z ogromnym żalem: Przyjacielem mi był Kalkstein, a oto uczyniono mi go wrogiem; publicznie łaje mnie, wydziwia!... A jam wszystko dla niego uczynił, nawet z narażeniem łaski Elektora, który mi już zagroził odwołaniem z Warszawy...

Kalkstein zaśmiał się sucho.

— Puste gadanie! — przerwał szyderczo. — Najjaśniejszy Elektor »krwawy Frycek«, nie pozbędzie się takiego służalca, nie! Brandt dobre tu sobie w antykamerach królewskich i senatorskich uzbierał zasługi... Bez niego, Jego Elektorska Mość byłby dawno zmuszony na klęczkach hołd składać...

— Ciszej, na miły Bóg, ciszej!... — wtrącił, niby z przestrachem oglądając się Brzoska. — Że wy też nigdy pomiarkowania nie macie! Na co takie rzeczy krzyczeć! Kto bądź posłyszy, doniesie, i...

— To prawda! — potwierdził, miarkując się Kalkstein — tyle czasu jeno się gada, a nie czyni nic... Ale niebawem...

Urwał nagle i począł znów chodzić po celi, gdy tymczasem stolnik zajął dawne miejsce i po chwili mówił, jakby do siebie:

— Ja się temu nie dziwuję... Ciężka dola nieraz gorzkie słowa sprowadza na usta. Wiem to sam najlepiej... Mnie bieda latami gniecie.

— Co wam! co wam! — przerwał Kalkstein.

— Mnie?... U mnie taka bieda, że i siekierą jej nie urąbać.

— Przecieżeście zawsze dworzanin królewski...

Stolnik ręką machnął.

— Et!... Nie darmo to mówią, że łaska pańska szkło. Miałem-ci ja przystęp do ucha pańskiego, ale to nie długo trwało. Są teraz inni, którzy jako

imćp. Marcin Rostocki, albo Szczuka, lepiej się na zausznictwie, niźli ja, znają...

— Dlatego to waćpan do Brandta przystałeś i mnie tam ciągniesz...

Brzoska się żachnął, ale odparł spokojnie:

— Nie dlatego... jeno, że mi was żal. Widziałem waszą tęsknicę za domem, żoną i dziećmi... wiem, że w smutku takim człek zmarnieć może, widziałem, jako was obietnice i królewskie i panów różnych zawodzą, a spostrzegłszy dobre dla waszmości imćp. Brandta intencye, chciałem wam dopomódz i interwencyi się podjąłem... Żalim źle uczynił?

Stolnik mówił jakby z wyrzutem, Kalkstein zaś przy wzmiance o domu, dzieciach i żonie głośno wzdychać począł, i nagle przystąpiwszy do Brzoski, rękę na ramieniu mu położył.

— Wiem... wiem — rzekł — iżeś dla mnie, mości stolniku, poczciwy i wdzięczen ci jestem. Ale ja tego Brandta zniecierpiałem i jemu nie ufam... U nas w Prusiech bywało takie przysłowie: »przy Polaku to i Niemiec się pożywi, a przy Niemcu ani pies...« Toż ja strawy tego kamerjunkra pruskiego łykać nie chcę...

— A przecież — wtrącił znagła Brzoska — on wam przyjacielem. Nie dalej jak wczoraj rzekł mi: Do łez mi żal Kalksteina. Dobry, dzielny chłop, a no, zwydrzył się teraz na mnie i sam sobie szkodzi... Nie tylko zaś sobie, lecz niewinnej żonie

i dzieciaczkom swoim, których uporem na pewną skazuje niedolę... Elektor umie się mścić!

Kalkstein żywo chodził po izbie. Za głowę się chwycił i stękał, jakby go co bolało:

— Och! och! och! biedni oni, biedni!

Stolnik zaś dogadywał teraz ciągle. Mówił, jako sekwestr nałożony przez Elektora na Knauten coraz stawał się cięższym; Brandt otrzymał właśnie wieści, że już nietylko owe dobra dziedziczne Kalksteina, lecz i majątek małżonki jego, Ramitten, Elektor zająć kazał. A rodzina exulanta po prostu głód cierpi...

Kalkstein jęczał ciągle i już nie chodził, lecz nieledwie biegał po ciasnej celi. I nagle w ręce klasnął.

Z przyległej izby wysunęła się kudłata głowa Klingsporrego, który, jako najemnik Brandta, a niby sługa Kalksteina, ustawicznie straż przy nim trzymał. Pijany być musiał teraz więcej, niż kiedykolwiek, bo mu oczy na wierzch wylazły i były zamglone, a twarz lśniła się, czerwona.

— Co tam? — mruknął ochrypłym głosem.

— Bydlę! — krzyknął Kalkstein — znowuś pijan?

Krępa, silna postać Klingsporrego wcisnęła się cała do izby. Chwiał się i nogi rozstawiał, aby nie upaść; na grubych zaś ustach miał uśmiech złośliwy, szyderski, który mu gębę wykrzywiał, ukazując żółte, długie, poszczerbione zęby.

— He, he... — ozwał się nie każdy pijak, co pije... A jabym przysiągł na sumienie, że wy, panie, także pragnienie macie... Ja wam szczerze radzę: skosztujcie wina, które mi Thamson przysłał, a które przednie jest...

— Znowu łazisz do jaskini tego łotra! — krzyknął Kalkstein.

Klingsporre ramionami dźwignął.

— Et, panie! Thamson nie żaden łotr, jeno Szkot uczciwy, a jego winiarnia nie żadna jaskinia, jeno sławna na całą Warszawę gospoda, kędy nieraz chorzy uzdrawiani bywają... Was, panie, smutek gniecie, napijcie się, a zobaczycie, jaki świat wesoły...

Na to zaś przystąpił Brzoska i rzekł:

— Nie gadaj dużo, mości Klingsporre, a dawaj tego wina... Napiję się i ja, bo mi gorzko...

Kalkstein nie odrzekł nic, a za moment siedział przy stole z Klingsporrem i Brzoską, pijąc wino, które istotnie było przednie a mocne. Milczał teraz, a jeno słuchać się zdawał, co tamci prawili. Brzoska zaś, jakby naumyślnie, tak kierował rozmowę, iżby Klingsporre opowiadać mógł o gospodzie Thamsona na Lesznie i rezydencie brandenburskim Brandtcie, który tam zawsze mieszkanie miał.

— Szlachetny to pan — mówił — szlachetny nad podziw! Ja tam nawet pojąć nie mogę, w jaki

sposób taki zacny człek, u takiego jak Elektor dyabła, służyć może...

— Trafił czart na dyabła! — krzyknął nagle Kalkstein i pięścią w stół grzmotnął.

Wino, które kubkami pił znagła, szło mu odrazu do głowy. Stolnik rzucił wzrokiem na Klingsporrego, a ten lekko kudłatą głową skinął. Klingsporre zdawał się przeciwnie otrzeźwiać. Patrzył przytomnemi oczyma i śmiał się; a gdy Kalkstein wzburzony od stołu powstał, rzekł szeptem do stolnika:

— Za moment Lehndorff tu będzie...

— Czy dzisiaj... koniecznie? — spytał również szeptem Brzoska.

— Brandt kazał przyspieszyć... Jeśli iść na Leszno nie zechce, to dziś w nocy porwiemy go stąd.

— Trudno... niebezpiecznie... zauważył stolnik. Lepiej czekać.

Klingsporre ramionami szerokiemi dźwignął.

— Nie ma czasu — odparł.

— Co wy tam się zmawiacie? — rzekł znagła Kalkstein, odwracając się od okna, przy którem stanął. — Nie mruczcie tak, a gadajcie głośno!...

— Zmawiamy się na waćpana — ozwał się stolnik. — Serce się kraje, patrząc na was, jako marniejecie w tej celi... Od dni kilku nie wyjrzeliście na świat Boży...

Kalkstein przystąpił do stołu i kubek wina duszkiem wychylił. Twarz jego była rzeczywiście bar-

dzo mizerna, wychudła; rysy zawsze piękne, przeciągnęły się i nabrały ostrego wyrazu; jeno oczy miały czasami jeszcze młodzieńcze błyski, w tym jednak momencie zasnute były mgłą smutku.

— Marnieję, to prawda! — odrzekł na słowa stolnika, i mówił dalej, jakby sam do siebie, z wielkim żalem:

— Czasem tak mi się zda, jakoby opuścili mnie wszyscy... A jednak obiecywał król pomoc dać, Wiśniowiecki hetman chciał już ze mną na Prusy, przeciw Elektorowi, iść... pospolitacy zrywali się także, a oto z tego wszystkiego dotąd nic... Ja zaś marnieję w tem opuszczeniu i samotności... Szarpię się jeno, jakbym miał ręce związane i jakbym już był w elektorskich szponach...

— Napijcie się! — przerwał Klingsporre, nalewając znowu kubek do pełna, to wino jest takie, że po pierwszym i drugim kubku wszystkie troski przywołuje na pamięć, a po trzecim i czwartym serce rozwesela i mocy dodaje... Ot przed momentem byłem smutny, a teraz...

— Tobie zawsze kufel z oczu patrzy, pijanico! — rzekł Kalkstein; ale się napił i dodał:

— Ciekawym, za co ci Thamson takie przednie wino daje... przecie nie darmo?

Klingsporre zaśmiał się głośno.

— Tylko śmierć przychodzi darmo! — odparł. — Albo to ja mało Thamsonowi przywodzę gości do gospody?... Zarabia on, niechże i ja mam czasem

uciechę... Ale teraz i on ma do mnie żal. Powiada: dawniej to i pan pułkownik Kalkstein-Stoliński zachodził do mnie i albo w gospodzie z kompanami się bawił, albo u imćp. Brandta przesiadywał. A wówczas najlepsze wino z piwnicy szło.. Teraz zaś, mówi, odkąd ty, ma się rozumieć ja, Klingsporre, na służbie u imćp. Stolińskiego jesteś...

— To on mnie Stolińskim nazywa?

— Zawsze!... Bo ten Szkot, pułkowniku, to jest jakby najlepszy Polak... I tak powiada: w każdym człeku jest złe i dobre; tak i w panu Kalksteinie. Ale u niego wszystko złe to się nazywa Kalkstein, a wszystko dobre: Stoliński! Dlatego też on Stolińskim chce być i Elektora brandenburskiego nie cierpi...

— Bajesz — przerwał Kalkstein. — Ten Thamson łotr jest, z Brandtem w zmowie...

— Nie wierzcie temu, nie wierzcie! — zaprotestował Brzoska. — To wam wszystko Jankowski nagadał... a to jest taki człek, że onby i świętego podejrzywać rad...

— Och, Jankowski! — westchnął pułkownik — gdyby on tu był! To mój najlepszy przyjaciel...

— Przyjaciel... przyjaciel... — mruknął Klingsporre. — Znam ja go dobrze z cudzoziemskiego autoramentu. Pod nim służyłem. Nie daj Boże wrogowi takiej służby; twardy, nieużyty człek... A co się tyczy przyjaźni... alboż to godny imćp. stolnik

Brzoska, alboż to ja, choć sługa, nie przyjaciele wasi... Jabym za was życie oddał...

W piersi się bił z całej siły i głos miał wzruszony.

Stolnik zaś podchwycił:

— Ja, dalibóg że nie wiem, co wy w tym Jankowskim widzicie? To jest szalony człek; jemu mnichem być a nie rycerzem. On dziwnemi oczyma na świat patrzy... Jemu się tak zdaje, jak gdyby już zmarł i jakby po świecie same trupy chodziły, czekając trąby archanielskiej, któraby je zbudziła. Jemu do klasztoru iść, kędy już wepchnął i kompana swego Łyszczyńskiego Kazimierza, który dobrze że się tam skrył, bo gdyby po świecie chodził, tobym go był lada moment gdziebądź ubił...

Oczy stolnika błyszczały jak dwa węgle żarzące.

Kalkstein teraz śmiał się; już go Thamsonowe wino rozweselać poczęło.

— Co wy się tak na niego odgrażacie? — mówił. — Łyszczyński to może bardziej mądry czek, niż żołnierz, ale animuszu mu nie braknie i gdyby co do czego przyszło, to niewiedzieć, kto kogoby ubił, czy wy jego, czy on was, mości stolniku...

Brzoska porwał się z miejsca.

— Jeszcze ja go w moich ręku mieć będę! — krzyknął. — Siedzi on teraz u Jezuitów w Wilnie, ale długo tam nie wytrzyma, chociaż go brat mój, O. Gedeon, pilnie nawraca. On zaś woła: niema prawdy! nie ma cnoty!...

– Niema cno...ty! — wybełkotał Klingsporre, któremu się znowu podczas tej dyskusyi głowa zawracała. — To nie jest głupia rzecz, co on prawi: niema cnoty! Tyle lat chodzę po świecie i jeszczem jej nie zdybał... Albo już zmarła, albo się jeszcze nie narodziła...

— Cichaj! — krzyknął Kalkstein. I zwracając się do stolnika, spytał:

— Cóż się Łyszczyńskiemu stało?

— Jemu się nie stało nic... jeno jego żonie... Cnota jej nogę złamała, z prawdy dno wypadło! Tak teraz wrzeszczy małżonek... chociaż sprawca owego nieszczęścia książę Bogusław Radziwiłł już zmarł...

Śmiał się przymuszonym śmiechem.

Kalkstein zaś usiadł i twarz ukrył w dłonie.

— A to jest — mówił po chwili — największe nieszczęście, jakie człowieka spotkać może. Tego Łyszczyńskiego mi żal. Z każdym mieniałbym się na dolę, ale na taką nie! Nieszczęśliwym ja i uciśnion srodze, ale w tym ucisku jest też pociecha, iż pomyśleć mogę: Daleko, w Knauten, mam zacną, miłującą małżonkę, gotową na skinienie w ogień za mną iść... Ona mi też słowa otuchy i tutaj śle... Gdyby nie ona, gdyby nie dziatki miłe, mój Kryś ukochany... och!

Porwał się z ławy, i po chwili dodał chmurno:

— Zginąć byłoby łatwo...

Zaległa cisza. Wszedł pacholik i rozniecił na

kominie ognisko; drżące, jaskrawe płomyki zaczęły wnet przebłyskiwać wśród mroków, zalegających celę; ukazywały się i nikły, pełzając po ciemnych murach i ceglanej podłodze.

Pacholik chciał zapalić świece w wysokich świecznikach, ale Kalkstein, snadź nie rad, iż mu płoszono myśli, rzekł:

— Dobrze tak... idź precz!

Pacholik zniknął a pułkownik chodził po celi w zadumie. W półświetle wielka jego postać jeszcze większą się być zdawała; czasem chyliła się, jakby w zgnębieniu, lecz znów prostowała hardo.

Stolnik zaś ozwał się po chwili:

— Nigdy was dobrze, mości pułkowniku, zrozumieć nie mogę. Miłujecie małżonkę waszą i dzieci, macie majętności tam różne w tych Prusiech, a chce się wam walkę toczyć z takim przemożnym Elektorem... Jabym na waszem miejscu...

Kalkstein nie dał mu dalej mówić. Krew mu uderzyła do głowy; podbiegł i obiema rękami oparł się o stół, pochylając się ku stolnikowi tak, że niemal oko w oko z nim się mierzył; pogardą chłostał.

— Na mojem miejscu... — powtórzył głosem, który łamał się w krtani — na mojem miejscu... uczyniłbyś waść tak samo, albo byłbyś... podły!

Brzoska blady z miejsca się porwał. Ale Kalkstein w uniesieniu mówił dalej:

— Czy waćpan wiesz, coby się stało, gdybym

postąpił inaczej? Wyparłaby się mnie żona, dzieci mnieby przeklęły, jabym sam obmierzł sobie!

Stolnik chciał przerwać, ale Kalkstein coraz głośniej krzyczał:

Waść mnie nie rozumiesz! Nie rozumie mnie tu nikt, począwszy od Króla, bo nikt z was nie szedł śladami prześladowanego Rotha, nie widział męczarni, zadawanych tysiącom wiernych Rzeczypospolitej Prusaków brutalną ręką Elektora! Spanoszony hołdownik targnął się na cześć naszą, na swobody, na życie... Żali w tej powszechnej niedoli może być miejsce dla samolubnego szczęścia jednego? Żali ten jeden nie byłby wówczas... nie byłby...

Obelżywe słowo drgało mu znów na ustach, lecz w tymże momencie chrząknął ktoś głośno we drzwiach. Na progu stał Lehndorff.

— Cóż to — spytał — zwada między przyjacioły? Siedzicie w mroku i widzicie czarno... Hej! — krzyknął i w ręce klasnął, do wchodzącego zaś pacholika zawołał: — Światła!...

Zażegnięto świeczniki, a Lehndorff zbliżył się do Kalksteina i rękę na ramieniu mu położył.

— Prosiłem was — ozwał się — nie podnoście głosu. Na ulicy było słychać, jakeście wrzeszczeli o spanoszonym hołdowniku. Po co to?...

— Nie miarkuje się w wyrazach biadał stolnik, usiadając ciężko na ławie — najlepszych przy-

jaciół obelgami obrzuca, ja gdybym nie miał serdecznej kompasyi... tobym zaraz...

— No, no! — łagodząco przerwał Lehndorff, rzucając z ukosa złośliwe na Brzoskę spojrzenie — miej waść kompasyę i siedź cicho... Wadzić się niema o co...

— Dalibóg, że nie ma o co!... — powtórzył pijany Klingsporre.

— Zwłaszcza, że niebawem nasz Kalkstein-Stoliński kontent będzie...

— Dalibóg, że kontent będzie! — zawołał bełkocąc Klingsporre i pięścią w stół grzmotnął.

— Cichaj, bydlę! — krzyknął Lehndorff.

Klingsporre ręką w gębę się uderzył.

— Jużem cichy — rzekł — jak mysz pod miotłą...

Lehndorff zaś ciągnął dalej:

— Mam dla was, pułkowniku, wiadomości dobre a pewne...

Kalkstein za ramię go pochwycił:

— Z Knauten? — spytał gorączkowo.

— No z Knauten nie ma nic nowego... — wymijająco odparł zagadnięty — lecz przedewszystkiem z Królewca i Berlina... Ale — dodał — siadajmy i napijmy się, bo na dworze zimno, mróz ściska...

Klingsporre z pośpiechem nalewał kubki, Kalkstein z niecierpliwością pałającym wzrokiem patrzył na Lehndorffa, powtarzając:

— Mówże, mów, na Boga!

Ale pan radca legacyjny nie spieszył się. Znał on najdawniej i najlepiej Kalksteina, z którym czas długi w wojsku litewskiem przebył; wiedział, że to była natura zapalna i niepowściągliwa, a która teraz w niedoli podejrzliwą się stała. Postępować tedy trzeba z nim było ostrożnie, a każde słowo, zanimby się je wyrzekło, w umyśle ważyć, aby nie popsuć sposobnego momentu. Moment zaś zdawał się dobry, Kalkstein bowiem silnie podniecony był, a Lehndorff wiedział i to, że w takiem podnieceniu najłatwiej było złamać jego wolę i na swoją nakłonić. Tedy, nie zważając na słowa naglące pułkownika, nadał swej twarzy wyraz żartobliwy i dobroduszny, a zająwszy obok Kalksteina miejsce, ramieniem go objął.

— Coś mi waćpan zmarniał w tych czasach... — ozwał się, patrząc na niego przyjaznem spojrzeniem bystrych, przenikliwych oczu — im bliżej dobrego skutku, tem waćpan mniej masz ducha w sobie, jak mawiał nasz dawny kompan Jankowski, który teraz zaciągi na Litwie przeciw Elektorowi zbiera...

Niedostrzeżony prawie, szyderski uśmiech przeleciał przez usta legacyjnego radcy.

— Czy macie jakie o nim wieści? — zagadnął Kalkstein.

— Dlaczegożby nie? Gdybym tak siedział, jak wy, w klasztorze, tobym także nie wiedział nic. Ale ja wiem wszystko. Jankowski lada moment

tu będzie z piękną kompanią, którą pomnoży jeszcze pacowska drużyna. Kanclerz Pac tak się wczoraj deklarował: Przyrzekłem ja, przyrzekł i brat mój, hetman, pomoc Kalksteinowi dać i damy ją! Krzywda mu się stała, krzywda dzieje się Prusom naszym... nagrodzi ją Elektor...

— Słyszeliście to? tak rzekł? — spytał niespokojnie Kalkstein.

Klingsporre, którego ogromnie radowała dobroduszna mina Lehndorffa, znanego ze swej srogości, zaśmiał się i szepnął do Brzoski:

— Czego imćp. Lehndorff nie słyszy? Raz w obozie, w nocy, rzekł do mnie: Nastaw uszy, ty beczko zgniła — tak mnie w swej dobroci mianował — słysz! pchła kaszle!... On słyszał, dalibógże, a ja nie...

Ale Brzoska żartować nie chciał. Podniesiony głos i słowa Kalksteina rozzłościły go. Chmurno patrzył na niego i myślał:

— Za długo to wszystko trwa... a on jeszcze głos na mnie podnosi i nieledwie podłym zwie. To moja dola jest podła, nie ja... Wszystko się urwało, a i z tym Brandtem niepewna rzecz. Nie dostawi Elektorowi Kalksteina na czas, to precz pójdzie, a ja z nim razem... Tylko on jest kot, co na nogi zawsze upada, a ja chyba do Niewodnicy wrócę, aby mnie panowie Łyszczyńscy kondemnatami zgnietli... Z tym Kalksteinem skończyć pora... A oni się z nim bawią, jak kot z myszą. Ja zaś

zdusiłbym go wnet, chociaż on mi nic nie uczynił złego. Ale jak dłużej tak potrwa, to wszystkich ludzi dusić będę rad, bo niedola serce mi już zgryzła do reszty...

Tymczasem Lehndorff przedstawiał ciągle Kalksteinowi, że wszystko zmieni się teraz na dobre dla niego, byleby on ze swej strony chciał cokolwiek dla polepszenia swej doli uczynić.

— Elektor — mówił — wie dobrze, iż się w Rzeczypospolitej zbiera na niego burza i lęka się. Skorzystać z tego trzeba i uzyskać dla siebie amnestyę...

— Kosztem sprawy — przerwał Kalkstein — nigdy!

— Waćpan jesteś gorączka — ciągnął dalej Lehndorff. Nikt od waści nie wymaga, iżbyś zaniechał działania w obronie swobód pruskich; ale działać będziesz mógł lepiej i skuteczniej, gdy będziesz miał wolne ręce. Tu już dość narobiło się wrzawy... Pomoc wojskowa w razie potrzeby uzyskana, silne poparcie senatorów możnych, jak Wiśniowiecki, Pacowie, Olszowski, Wierzbowski biskup, zdobyte. Teraz należy przenieść działanie do samych Prus...

Tu z wielką siłą przedstawiać począł, iż w Prusiech dzieje się źle. Starsi wymierają lub osłabli pod elektorską dłonią; młodsze pokolenie ulega.

— Tam trzeba was, pułkowniku! — wołał — aby zagrzać serca, rozbudzić animusz...

Kalkstein słuchał w milczeniu; widocznie słabnął; wymowa Lehndorffa przekonywała go...

Nagle położył rękę na jego ramieniu.

— Tak mówicie — przerwał — jakbyście dawne swe opinie o Elektorze zmienili...

— Zmieniłem! — odparł z mocą Lehndorff. — Dawniej nie dotykałem się tych spraw tak blisko... teraz jasno widzę. Co za dziw? Brandt od młodu Elektorowi służy, a ta służba mu zbrzydła...

Klingsporre, który sparłszy kudłatą głowę na ręku, z podziwem na Lehndorffa patrzył i z zachwytem go słuchał, zaśmiał się na te słowa w głos i rzekł:

— Brandt jest poczciwy, lecz głupi... Elektor go łaje a nie płaci; on zaś, jak to mówią, dynię łupi, marchew struże, dyabli wiedzą za co służy...

Brzoska, dotychczas milczący, zrozumiał, że to jest szturm walny do Kalksteina, a że w tej sprawie nie chciał bez zasługi pozostać, tedy zapominając urazy, ozwał się:

— Podzielam zupełnie opinię imćp. Lehndorffa. Tu nie ma co siedzieć. Do Prus iść, w domu, wśród swoich pokrzepić się... a potem...

Kalkstein wzdrygnął się, jakby ze snu się budził.

— A jak iść? samemu? Ładnieby mnie tam przyjął Elektor...

— Właśnie to chciałem wam rzec, gdym tu przybył. Elektora najbardziej to gniewa, że z łask

jego nie korzystacie, że wydał wam list żelazny, a wy go nie chcecie odebrać...

— Widzieliście ten list? — spytał żywo Kalkstein.

— Na własne oczy widziałem! — zaręczył Lehndorff — na własne oczy. *Litterae protectoriales* przez samego Elektora podpisane...

— Słyszałem — rzekł wahająco się jeszcze Krystyan Ludwik — że jeno książę Croy zaręcza. A to jest tyle, co nic...

— Tak było z początku — wtrącił Brzoska — lecz na przedstawienie Brandta, iż takie poręczenie nie ma pełnej mocy, Elektor zdecydował się... Właśnie to wam mówić chciałem, gdyście mnie tak zakrzyczeli...

Kalkstein spojrzał na Brzoskę uprzejmie.

— Nie gniewajcie się, stolniku... nie miejcie gniewu. Ja mam tak rozżalone serce, że czasem... trudno słów pomiarkować.

— Gniewu nie żywię, ale mi żal — odparł udobruchany Brzoska. — Jabym wam rad nieba przychylić, a wy mnie łajecie...

— Daruj, stolniku, daruj! — zawołał Kalkstein i powstając wyciągnął ku Brzosce prawicę.

Ten ją ściskał, lecz czynił to tak, jakby łaskę wyrządzał.

— Z duszy wam radziłem... — powtarzał.

Klingsporre zaś w dłonie klasnął:

— Dobra rada warta sto dukatów! — krzyknął.

Brzoska żachnął się i chmurno na Klingsporrego spojrzał. Właśnie bowiem za doprowadzenie Kalksteina do gospody Thamsona, obiecał Brandt stolnikowi sto dukatów. Czyżby rezydent zdradzał tajemnice nawet przed takim pijanicą jak Klingsporre?

Ten jednak miał całe dobroduszną minę, jakby o niczem nie wiedział i za moment rzekł:

— Napijmy się na zgodę i niech już raz dobry koniec będzie!

Nalewał kubki. Kalkstein jednym tchem wypił, z pełnej piersi odetchnął, szeroką dłonią czoło pocierał i ozwał się, jakby głośno myśląc:

— Bo zresztą, co mi Brandt uczynić może?... Uwięzić nie uwięzi, bo to byłby *crimen*, który całym ciężarem na Elektora by spadł. Jestem przecież indigeną tej Rzeczypospolitej. Choćby się i porwał, to Król, senat, sejm nie dozwoli mi uczynić nic złego, a sprawa pruska wygrałaby nawet na tem...

Lehndorff się zaśmiał:

— Wy bo zaraz męczennikiem chcecie zostać... a tu o tem i mowy być nie może Zważcie tylko. Brandt ma w ręku wasz list żelazny... Gdyby miał jakie względem was zamiary złe, czyżby go wyrabiał? Ale znowu żądać nie możecie, aby on, jako reprezentant Jego Elektorskiej Mości, sam się do was wpraszał i błagał was o przyjęcie łaski od tego, któremu...

— No — przerwał Brzoska — nie ma co mówić... Wyście temu Fryderykowi Wilhelmowi sadła zaleli za skórę...

Kalkstein zaśmiał się głośno, z zadowoleniem:

— Zalałem! — rzekł — zalałem! to prawda...

— Tembardziej teraz powinniście pierwszy krok uczynić...

— Ale nie do zgody! — zaprotestował Kalkstein - między mną a Elektorem zgody nie ma!

— Chyba taka — wtrącił Klingsporre — jak wilka z baranem.

Lehndorf zaś dorzucił:

— O zgodzie też nikt nie mówi. Wy to czynicie dla własnego dobra i bezpieczeństwa... dla dobra żony waszej i dziatek.

— Racya... racya... - bełkotał Klingsporre, chwiejąc kudłatą głową, którą chwilami trunek oszołamiał.

— Z Berlina — ciągnął dalej radca legacyjny — nadeszły dziś naglące pisma; toż samo od księcia Croy z Królewca. Zgodnie mówią: Jeżeli Kalkstein nie chce z amnestyi korzystać, to ją cofa Elektor i wydane *litterae protectoriales* zwrócić każe Brandtowi natychmiast. Zważcie tedy następstwa: okrutny gniew Elektora, który przedewszystkiem skrupi się na waszych dzieciach i żonie...

— Strach! strach!... — powtarzał Klingsporre.

Na twarzy zaś Kalksteina znać było srogą walkę. W milczeniu słuchał słów Lehndorffa, które coraz

głębiej wnikały mu w duszę. Tak — myślał — ma racyę... Zaciętością nie wskóram nic, a na szwank narazić mogę to, co mam najdroższego na świecie... Zresztą, co mi Brandt złego uczynić może?... Pójdę! list żelazny wezmę, do Knauten pojadę, zabiorę żonę i dzieci, i wrócę tu...

Na tę myśl samą czuł, że mu serce skacze w piersi z wielkiej radości. Widział już powitanie swe z żoną, wesele jej i łzy, słyszał okrzyki szczęścia dziatek, zwłaszcza Krysia, który objąwszy go za szyję, szepce mu do ucha, wśród pocałunków, zdyszany: — Tatuś... mój ukochany tatuś!...

Wstał i prostując się całą postacią:

— Dobrze więc! — rzekł — pójdę do Brandta, ale wy wszyscy ze mną...

— *Vivat!* — krzyknął Klingsporre.

Ale Lehndorff surowem spojrzeniem milczenie mu nakazał, Brzoska zaś odparł:

— Oczywiście... — waćpana nie opuścim...

— Jutro tedy — rzekł Kalkstein — w południe...

— A nie! — zaprotestował Lehndorf, który, znając chwiejność pułkownika, lękał się wszelkiej odwłoki. — Nie jutro... zaraz, dzisiaj pójdziemy... Brandt ma rozkazanie niezwłocznie zwrócić żelazny list i dzisiaj jeszcze przed nocą kuryera do Królewca wysyła... Bylebyśmy nie przybyli za późno...

I zwracając się ku Klingsporremu:

— Zbierz no ty zmysły, beczko bezdenna — dodał — nogi za pas i ruszaj co tchu do Brandta.

Oznajmij mu, że wnet tam przyjdziemy; niech wszystko pogotowiu ma a kuryera niech wstrzyma...

Klingsporre resztę wina duszkiem wypił, porwał się i wnet miał się ku odejściu, mrucząc:

— A to imćp. Brandt będzie miał uciechę.

Lehndorff zaś patrzył na niego uważnie, przenikliwym wzrokiem, jakby zbadać chcąc, żali poseł ów nie jest zbyt pijan, iżby się z poselstwa dobrze wywiązać mógł.

Ale Klingsporre, jakby spojrzenie to rozumiał, prostował się i stąpał ciężkim wprawdzie, ale pewnym krokiem. Wychodząc jeno o drzwi nieco zawadził.

A Lehndorff wnet o czem innem z Brzoską mówić począł, chcąc odwrócić uwagę i nie dać czasu do rozmysłu Kalksteinowi, którego też ciągle o rozmaite obojętne przedmioty zagabywał. Ten zaś czasami zapytań owych nie zdawał się słyszeć, odpowiadał półgębkiem i chodził po celi, pogrążony w zadumie. Widocznie znowu się wahał.

Tedy Lehndorf po chwili na inny wziął się sposób. Zaczął sam mówić o sprawach pruskich, o których od Brandta słyszał, o różnych znanych Kalksteinowi osobach, co go bardziej zajmować mogło, przerywając niebezpieczną o swej własnej sprawie zadumę. Najwięcej zainteresowała Krystyana wieść, że stary Rackmohr, jeden z przewódców szlachty pruskiej, elektorowi wrogiej, zachorzał ciężko i w Królewcu dogorywał.

Zatrzymał się przed Lehndorffem i nasłuchiwał pilnie, smutnie chwiejąc głową.

— Wszyscy idą... wszyscy! — szeptał.

— To też — żywo wtrącił Lehndorff — potrzeba tam teraz sił młodych, potrzeba, powtarzam, ciebie pułkowniku... Bierz list żelazny i wracaj do Prus, aby stanąć w miejsce tych, którzy odchodzą...

To mówiąc wstał i dodał:

— No, panowie bracia... Brandt już tam pewno oczekuje nas z niecierpliwością... czas nam ostatni...

— Czas idzie i nie wraca... — rzekł sentencyonalnie stolnik, powstając.

Kalkstein zaś zbierał się także. Opatrzył pistolet, który teraz zawsze przy sobie nosił, szablę przypasał, i dwóch pacholików swoich przywoławszy, kazał im także z sobą iść, zbrojno.

A Lehndorff się zaśmiał.

— Cóż to waść tak zbrojno i dworno?... jak na wyprawę...

— Jabym całą drużynę z sobą wziął — odparł ponuro Kalkstein — i ów list żelazny nie prośbą i nie po przyjaźni niby, lecz gwałtem zdobyć wolał...

— Et, bajesz waćpan... — przerwał Lehndorff — cóżby taki list żelazny, przemocą zdobyty, za znaczenie miał? Jeżeli waćpan co złego względem Brandta zamyślasz, to ja mówię otwarcie, lepiej

nie idźmy, a przynajmniej ja deklaruję, że nie pójdę...

Nachmurzony napowrót usiadał.

Ale Kalkstein już był zdecydowany.

— Nie — rzekł — chodźmy! Przeciw Brandtowi nie zacznę ja nic... jeno od przypadku obronę chcę mieć...

Brzoska z interwencyą pospieszył.

— Nie sprzeciwiajcie się — rzekł do Lehndorffa — cóż nam jeden albo drugi pacholik wadzi... niech sobie idą, skoro tak imćp. Stoliński chce...

Za moment wyszli. Naprzód Lehndorff i Brzoska z Kalksteinem, a opodal za nimi dwóch pacholików zbrojnych. Było zupełnie ciemno; na ulicach pustki; od czasu do czasu jeno spotykali przechodnia, z latarką w ręku, brnącego w klapiącem błocie; czasem ku placowi Zamkowemu przemknęła karoca, dudniąc po nierównych kamieniach. Zresztą taka cisza, że z oddalonych przedmieść wyraźne dochodziło szczekanie i wycie psów, których w ciemnościach, a wśród wilgoci i zimna tej nocy jesiennej, napadała żałość.

— Brrr! dyable zimno! — ozwał się stolnik, który był lekko odziany i dygotał.

Rzeczywiście chłód przenikał do kości i jeden może Lehndorff tego nie czuł, tak bardzo niepokój go palił. Stanowczy zbliżał się moment, a radca legacyjny rozumiał dobrze całą jego wagę. Nieba-

wem spełnioną być miała niesłychana zbrodnia; miał być porwany ze stolicy i oddany w mściwe Elektora ręce wolny obywatel Rzeczypospolitej, który cieszył się opieką Króla i najmożniejszych senatorów. Przygotowania wszelkie jaknajstaranniej poczynione były, ale mogły zawieść w ostatniej chwili, a wówczas co? Niezręcznych sług Elektor wyparłby się pewnie, Brandt możeby się jeszcze jakoś wykręcić potrafił, lecz cały ciężar odpowiedzialności spadłby na niego, Lehndorffa, który dotychczas liczył się w służbie Rzeczypospolitej, jako pułkownik wojsk cudzoziemskiego autoramentu... Wprawdzie on tę służbę oddawna rzucić postanowił i przenieść się do Prus, gdzie mu Elektor złote obiecywał góry, w nagrodę za dostawienie Kalksteina; przepadłoby więc wszystko, gdyby zamach się nie powiódł... A mogło to stać się tem łatwiej, że Kalkstein był silny i dobrze uzbrojony, a teraz nad podziw trzeźwy i przezorny.

Myśląc tak, Lehndorf spoglądał na dorodną, męską postać Kalksteina, który wysunął się nieco naprzód i szedł krokiem śmiałym a żywym, jakby mu śpieszno było dojść do celu.

Na Lesznie jeszcze gorsza pustka; już nawet przechodniów nie było; gdzieniegdzie tylko z małych okien domostw migały światełka. Wiatr z głuchym łoskotem targał obnażone z liści gałęzie drzew, które tu gęsto w około domostw rosły.

— Gdyby tak — pomyślał Lehndorf — Brandt

z Montgomerym i Fehrem pośpieszyli naprzeciw, moglibyśmy tu, w tej pustce, łacniej z Kalksteinem i jego dwoma pacholikami się uporać, niż w Thamsonowej gospodzie, gdzie może być wielu niepożądanych świadków.

Obejrzał się. Dwaj pacholikowie szli daleko, zajęci rozmową; zaledwie dojrzeć ich można było wśród cieniów. I przypomniały mu się słowa jednego z elektorskich listów, w którym Fryderyk Wilhelm najwyraźniej do zrozumienia dawał, że byłoby mu wszystko jedno, gdyby Kalkstein, w razie oporu, padł trupem...

Byłoby najmniej kłopotu... — mruknął Lehndorff i patrzył ciągle na postać Kalksteina, wysoką, owiniętą płaszczem, w tym momencie bezbronną. Zanimby szablę wydobył, byłoby już po nim... Jakaś moc dziwna ciągnęła wzrok jego ku tej postaci i budziła zbrodnicze myśli. A musiały one w tymże momencie opanować także duszę stolnika, gdyż raz na jedną chwilę, spojrzenie jego, spotkawszy się ze wzrokiem Lehndorffa, zwarło się z nim i odgadło...

Ale Brzoska głową chwiał z powątpiewaniem. Dygotał ciągle i mruczał:

— Psia służba!

Zbliżali się już do Thamsonowej gospody, gdy wtem Kalkstein się wstrzymał i rzekł do Lehndorffa:

— Głupstwo czynię... namówiłeś mnie waść

a głupstwo jest... Dziś już późno... Lepiej jutro, za dnia... Sam Brandt zadziwi się...

— Cha, cha! — zaśmiał się Lehndorff, biorąc Kalksteina pod ramię — chcesz waćpan wracać, gdy już jesteśmy niemal u celu. A to byłoby pięknie! Wszak Klingsporre musiał już zawiadomić rezydenta i czekają na nas...

— Myślałby kto, a imćp. Brandt powiedziałby napewno, że pan Stoliński stchórzył... — dorzucił stolnik.

Pułkownik ramionami dźwignął.

— Tego o mnie nie powie nikt. Nie lękam się ja niczego, a tem mniej Brandta, którego w dwóch palcach bym udusił... Rzecz inna jednak lękać się, a rzecz inna rozważać... Mniemam tedy...

— Już nie czas... już nie czas wahać się — perswadował Lehndorff — Brandt uprzedzony, czeka i miałby to sobie za obrazę.. Za moment będziesz waćpan sam innej myśli, gdy mając list żelazny w zanadrzu, poczujesz się odrazu bliżej Knauten i swoich...

— Kto się waha, nie ma nic... — dorzucił stolnik.

Ale słowa Lehndorffa o Knauten już znów przeważyły szalę. W milczeniu podążyli dalej. Niebawem wchodzili do Thamsonowej gospody.

Dnia tego Brandt w szalonym był niepokoju i złości. Rozkazy Elektora były coraz natarczywsze, a nadzieja pochwycenia Kalksteina coraz mniejsza.

Gdybyż jeszcze miał przy sobie wypróbowanych swoich towarzyszy Meglina i Łąckiego, ale ci ciągle jeszcze trzymani byli w obozie księcia Dymitra, przybyły zaś z Przasnysza Hugo de Montgoméry, zarówno jak Baumgardt lub Fehr, nie byli do rady. Pierwszy nadto był zapalczywy, nieostrożny, gotów zawsze do gwałtownych czynów, a tchórzliwy w boju, podobnie zaś, jak Klingsporre, prawie ciągle pijan; dwaj ostatni dobrzy jeno do wykonania, nie do obmyślenia planu.

Brandt siedział dziś długo przy stole z Montgomérym, jadł i pił, ale był coraz bardziej zły. Jego małe, bystre oczy połyskiwały chwilami iskrami gniewu, usta wąskie zagryzał i szorstką dłonią ogolone policzki tarł, co u niego było największego rozdrażnienia oznaką.

— Dobrze mu gadać, Elektorowi! — narzekał — dobrze mu rozkazy dawać: uczyń to, albo owo... za tydzień Kalkstein ma siedzieć w Memlu! Ale jak to sprawić? Król za nim, za nim też i Olszowski i Wiśniowiecki Dymitr i biskup Wierzbowski i Pacowie?... jak go wziąć?

Montgoméry mlasnął grubemi wargami, czarnego wąsa podkręcił i nogi przed siebie wyciągnął, ostrogami brzęcząc.

— Jak?... — ozwał się — ja wiem!...

Brandt chudą szyję wyciągnął i pytający wzrok utkwił w czerwoną twarz Hugona.

Ale ten śmiał się.

— Za bary go wziąć, a nie opowiadać się nikomu... Co mi tam panowie... *canaille!* U mnie jeden pan — Elektor!

Rezydent ręką machnął.

— Głupie gadanie! — krzyknął. — Waćpanu łatwo. Ty dziś tu, jutro tam. Małoś to się nawłóczył po Szkocyi, Szwecyi, Niemczech, to ci nie zaszkodzi pójść w świat jeszcze raz, gdy cię Elektor za niezręczność nagoni...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się znów Hugo, gładząc się ręką po żółtym, krótkim żupaniku, który na opasłym brzuchu pękać się zdawał — nagoni, myślisz waść? Nie nagoni, bo on wie, że gdyby mnie słuchano, to Kalkstein dawnoby już gnił w memelskiej *Pfefferstube*...

— Błazen... błazen!... — mruczał Brandt przez zęby, patrząc z okrutną złością na Hugona.

Ten zaś, snadź także podrażniony słowami rezydenta o włóczędze i napędzeniu, rzucał jeno chwilami roziskrzone spojrzenia w stronę rezydenta i mówił dalej.

— Wy ciągle jeno myślicie: jak Kalksteina wziąć? A on tymczasem chodzi zdrów i cały, na Elektora, *canaille*, wymyśla i wszystkich przeciw niemu buntuje... Lada dzień przybędzie Jankowski z Litwy, na czele silnego oddziału, hetman Pac gotuje się pomoc mu dać i do Prus wkroczyć... A wy co? ciągle szukacie sposobu!... Dobrze też uczynił Elektor, że tu z Berlina imćp. Wicherta

przysłał... On teraz będzie *rèsident*, a wy, co *monsieur* Brandt?...

Stuknął ostrogami o podłogę i pod boki się wziął:

— Hę? co? nagoni mnie Elektor? nie wiem, kogo? ale nie mnie!...

Na wzmiankę o Wichercie, rzeczywiście przez Elektora nasłanym, Brandt nie wiedział, czy ku pomocy, czy ku śledzeniu jego kroków, żółta twarz rezydenta przybrała pomarańczową barwę.

Porwał się, jakby rzucić się chciał na Hugona, który bardziej jeszcze szyderskim wzrokiem, niż słowami mu dokuczał. I byłoby może przyszło do srogiej między nimi zwady, lecz w tymże momencie drzwi się otwarły i na progu stanął Klingsporre.

Czerwony był, jak burak, a zdyszany tak, iż długo mówić nie mógł; oczyma tylko łypał, które mu w szybkim biegu na wierzch wylazły.

— Lehndorff... Kalkstein... — bełkotał.

— Co? co się stało? — pytał przerażony Brandt, którego poprzednia sprzeczka z Montgomérym źle usposobiła.

Hugo zaś śmiał się.

— Pewnie zmykł pan Stoliński... ha! ha! ha!

— Nie! — żywo zaprotestował Klingsporre, chwytając oddech. — Oni tu zaraz będą... już idą... Trzeba przyjąć...

Brandt szeroko oczy otworzył; raczej wszyst-

kiego mógł się teraz spodziewać, niż takiej wieści. Przed kilku dniami zaklinał się jeszcze Kalkstein, że u rezydenta brandenburskiego noga jego nie postanie. Cóż się więc stało, że postanowienie nagle zmienił?

Tedy Klingsporre pośpiesznie tłumaczył, biorąc znaczną część zasługi na siebie.

— To ja przekonałem go — powtarzał — ja! I w piersi z całej siły się bił. — Idzie po list żelazny...

— Po żelazne kajdanki... mruknął Montgoméry.

A Brandt tymczasem rozważał. Czuł, że nadeszła chwila stanowcza spełnienia dawno przygotowanego zamachu, i mimowolnie przeląkł się. Serce poczęło mu tłuc się w piersi i zbladł.

Montgoméry nie spuszczał z niego oka. Ale przestał szydzić i rzekł poważnie:

— Nie ma momentu do stracenia... Wszystko-li pogotowiu?

Rezydent ramionami dźwignął.

— Wszystko... ale też wszystko zawieść może... Mniemam, że dziś nie należy nic jeszcze przedsiębrać.

Rezydent chciał widocznie jeszcze odwlec moment stanowczy. Szybko mówić począł, iż najlepiej przyjąć Kalksteina serdecznie, tą serdecznością uśpić jego podejrzenia, zacieśnić dawne węzły przyjaźni i dopiero w chwili stosownej spełnić zamach. Kalkstein chce teraz zmienić mieszkanie i z celi

bernardyńskiej przenieść się aż na Pragę... Tam, na odludziu, najłatwiej będzie go schwytać...

— Tak... tak... — powtarzał, ucieszony niemal z tej odwłoki — dzisiaj, tak z nagła, niebezpiecznie, dzisiaj jeszcze nie!

Montgoméry słuchał cierpliwie, a wreszcie wybuchnął:

— A ja czekać nie będę do jutra! — krzyknął.

— Jutro o tej porze, po tureckim nieszporze... — zauważył Klingsporre, który już ochłonął i nie mając własnego kubka, wychylił pełny kubek Brandta, dla pokrzepienia sił.

Hugo wstał i zabierał się do odejścia.

— Jeśli tak — mówił — to ja po prostu wracam do Berlina... Znudziło mi się tu siedzieć i czyhać ciągle On sam w sidła lezie, a wy puszczać go chcecie! *Adieu!*...

Wychodził, ale Brandt, nagle czuły, usilnie zatrzymywać go począł.

— Mój poruczniku! — mówił — nie opuszczajcie mnie!... Ja pragnąłbym z duszy, ale przecie rozważyć potrzeba... Przysięgam, jabym chciał...

— Chciałby kot ryby jeść, ale się boi ogona zamoczyć!... — wybełkotał Klingsporre.

Hugo zaś nogi szeroko rozstawił, pod boki się wziął i czerwone wargi wydął z dumą.

— *Au diable* taka chęć — mówił swoim dziwacznym, mieszanym językiem — która boi się

czynu... Ja co chcę, to musi być. Kalksteina wziąć dziś i basta!

— Ciszej, na Boga! — szepnął Brandt, chwytając Hugona za ramię. — Idą!...

Rzeczywiście przed gospodą stał się ruch. Lehndorff, Brzoska i Kalkstein wchodzili.

Na powitanie ich wybiegł sam Thamson, chłop tęgi, rosły, że prawie z Kalksteinem wzrostem się równał. Odrazu, submitując się kornie, wymówki pułkownikowi czynić począł.

— Wieki już, jakiem Waszej Miłości nie miał szczęścia oglądać... To wielki despekt dla mojej gospody... że imćp. pułkownik ją opuścił... Mam teraz takie wino, jakiego jeszcze Warszawa nie kosztowała... chowam je dla Waszej Miłości...

Kalkstein chmurny nie odpowiadał, lecz wtem nadbiegli pacholikowie ze światłem i w progu mieszkania ukazał się Brandt.

Był widocznie mocno pomieszany; szukał słów, jakiemi wypadało przywitać tego, którego przyjaźnią chciał łudzić, a z całej duszy nienawidził.

— Mości pułkowniku... — bąkał — prawdziwie szczęśliwy jestem... do głębi wzruszony..

Wahanie się, z jakiem mówił, i widoczne pomieszanie oddziałały dobrze na Kalksteina. — To nie jest — myślał — wróg, któryby mnie chciał wciągnąć w zasadzkę... On mnie się lęka, nie jest siebie pewny... to dobrze!

I odrazu, jakto często bywa z ludźmi miękkiej woli, wpadł w wyborny humor. Wszelkie podejrzenia i obawy pierzchły.

Wyciągnął do Brandta rękę, którą ten skwapliwie w obie dłonie pochwycił.

— Nie mówmy o tem — rzekł — co nas dzieliło... Chcę myśleć jeno o tem, żeś mi był nieraz przyjacielem, pragnę, aby tak zawsze było w przyszłości...

Wszedł do komnaty Brandta, wraz z Brzoską, tymczasem zaś Lehndorff dawał krótkie, szybkie polecenia Thamsonowi i Montgoméremu.

— Za nami — mówił szeptem, niemal do ucha Thamsonowi — idą zbrojni pachołkowie Kalksteina... tych zaraz waść weź do gospody... wina nie żałuj...

— Lepsza dla nich gorzałka — rzekł Thamson — będą spać...

Lehndorff zwrócił się ku Hugonowi i tymże tonem mówił:

— Dragonów elektorskich przysposobić... niech na znak czekają... opatrzyć wóz, dery... dwa konie mają być zaraz wprzężone i dwa powodne pogotowiu... Ty, mości Thamson, przyślij natychmiast do komnaty najlepszego wina...

— Z pod serca... — odparł Szkot.

Lehndorff wszedł do komnaty, podczas gdy Montgoméry i Thamsohn szli spełnić polecenia.

Hugo był kontent; czuł, że mu krew szybciej krąży w żyłach. W życiu swem wędrownem dużo

zaznał przygód, ale najbardziej lubił zasadzki, zwłaszcza takie, w których, jak tu, sam nie narażał się zgoła.

Żywo tedy zakrzątnął się około przygotowań. Znalazł też wszystko w porządku. Wóz wielki skarbny, wysłany sianem, pokryty był ciężkiemi derami, z pod których głos ludzki nie mógł się wydobyć.

— Będzie miał wygodę, *canaille!* — mruknął, próbując rękami, żali wóz wysłany dobrze. Konie stały też pogotowiu, Baumgardt i Fehr oglądali zbroje dragonów, których z poddasza, gdzie byli ukryci, na dziedziniec sprowadzono.

Ale szczęk oręża i koni, wyprowadzanych ze stajni, parskanie, słychać było w komnacie Brandta i obudziło czujność Kalksteina.

Przerywając rozmowę, spytał:

— Co tu u waćpana taki niepokój? istna obozowa wrzawa...

Rezydent zaśmiał się sucho.

— He... he... to imćp. Thamson takie codzień hałasy wyprawia, a raczej goście jego, których ma moc. Szelma Szkot wyborne interesa robi... A o nas zapomina, bo oto napitku żadnego nie mamy...

Porwał się i co tchu na dziedziniec wybiegł. Wpadł z gniewem na Hugona.

— Hałasy wyprawiacie... spłoszycie ptaszka. Na Boga, ciszej!

Montgoméry przyjął to źle.

— *Sacré tonnerre!* — wrzasnął — trzeba było puchem wysłać dziedziniec, a dragonom papierowe dać szable, iżby nie dźwięczały...

Ale Brandt nie chciał sprzeczki wszczynać i uspokajać go począł:

— Chciałbym — mówił — aby exulant wszelkiej obawy się zbył, aby do dawnego zaufania powrócił, jeżeli bowiem do niczego dziś nie przyjdzie...

— Jakto? — wybuchnął znów Hugo — ani chcę myśleć o zwłoce.. jużem ci powiedział... Inaczej — *adieu!*

— Alebo — przerwał rezydent — ja sam tego najgoręcej pragnę, gdyby jednak nie można było... Lepiej przecież poczekać, aż Kalkstein na Pragę się wyprowadzi. Tam na pustkowiu nie ryzykujemy nic...

Montgoméry w wielkiej złości, począł ręką wymachiwać pod nosem Brandta.

— Tyś jest *poltron, monsieur le résident!* — mówił — tyś jest tchórz!... Tobie elektorskie gęsi paść, a nie tu z ludźmi wojować!... Rób ty sobie, co chcesz, ja go dziś schwycę, na wóz wpakuję i żywym albo trupem do Królewca dostawię. A tym, co mi przeszkadzać będą, kości pogruchoczę, rozumiesz?

Brandt rozumiał, że z pijanym zawadyaką nie było co dyskusyi wieść, więc ramionami dźwignął i odszedł.

Przed drzwiami zabiegł mu drogę kozaczek jego, Tomaszewskim zwany, gdyż z Tomaszowa pochodził, niewiadomych rodziców syn.

Był to prawie karlik, wątły, suchy, o bujnej, kędzierzawej czuprynie i małych świecących oczkach, które były w ciągłym ruchu, jak gdyby skakały. Zwinny był, w ruchach szybki a sprytny nad podziw i śmiały. Mówiąc, uśmiechał się ciągle, ukazując z poza cienkich warg czerwonych, rząd białych jak mleko zębów. Był on zaufanym powiernikiem swego pana, który go od dziecka wychował i ufał mu zupełnie.

— Ja radzę dziś — rzekł szeptem, podnosząc się na palcach do ucha Brandta — wszystko mieć pogotowiu... Owi pacholikowie, których imćp. Kalkstein ku obronie przyprowadził, już pijani. Thamson i Klingsporre wzięli ich w swe obroty, nie puszczą.. Takiego momentu drugiego nie należć .. Noc ciemna, choć oko wykol...

— Wino zaniosłeś? — przerwał Brandt, z niechęcią słysząc potwierdzenie zdania Hugona.

— Co najprzedniejszego — odparł karlik. — Rozłożyłem też ogień na kominie... Imćp. Kalkstein w przedziwnym humorze. Wino łyka a historye rozpowiada...

Rzeczywiście aż do sieni dochodził donośny głos Kalksteina i chwilami swobodny śmiech.

— To dobrze — mruknął rezydent, i przybrawszy najsłodszy wyraz twarzy, wszedł do komnaty.

Krystyan Ludwik był dziwnie rozanimowany. Z zadumy, która go przedtem długo gnębiła, wpadł w drugą ostateczność: stał się wielomownym i wesołym, a na wszystko patrzył teraz różowo, układając plany na przyszłość.

— Dobrze, żeś waćpan przyszedł — rzekł do wchodzącego Brandta - bo my tu z imćp. Brzoską różne projekta czynimy, a bez ciebie, mości Brandt, wszystkie one na nic...

— Jam do usług dla was zawsze gotów — odparł słodziutko Brandt — rozkazujcie jeno...

Kalkstein się zaśmiał.

— Dworujesz sobie ze mnie, mości rezydencie!... Co ja mam do rozkazania? Od waszej łaski zależę...

— Nie od mojej... nie od mojej... — zaprotestował Brandt. — Macie teraz list żelazny od Jego Elektorskiej Mości, możecie tedy czynić, co się podoba...

To mówiąc wyjął z szafy wielkie pismo w kopercie i podał pułkownikowi.

Ten je skwapliwie pochwycił, rozwinął i zbliżywszy się do komina, przy świetle ogniska czytał.

Rozjaśniała mu się twarz, rozpromieniały oczy. List wprawdzie wydany był przez księcia Croy, ale pod spodem, pod podpisem wielkorządcy królewskiego było słowo: »Zatwierdzam«, a pod niem widniał charakterystyczny podpis:

Friederich Wilhelm Churfürst.

Litery były kreślone w widocznym pośpiechu czy rozdrażnieniu; pełzały jedna za drugą, jakby goniły siebie, rozciągnięte, spłaszczone, niewyraźne; czasem cienkie, jak pijawki, to znów silną dłonią naciśnięte, grube. Jednak dłoń ta musiała drżeć pisząc, i to drżenie, zwłaszcza, przy wielkich literach, było widoczne; ostatnia litera w imieniu: Wilhelm, spadła w dół w zygzaku i uczyniła plamę u spodu; tytuł: *Churfürst* był skreślony najgrubszemi literami. Litera *f* rozpierała się dumnie, ogromna, a dwie ostatnie szeroko rozstawione i przekreślone grubą linią u dołu.

Kalkstein patrzył moment uważnie na ten podpis i śmiał się z cicha:

— Musiała bestya wściekać się... — mruknął.

Ale wyciągnął do Brandta rękę.

— Jam żołnierz — rzekł — i ozdobnie mówić nie umiem. Dziękuję wam z serca!... Wracacie mi życie... dając możność powrotu tam... do swoich.

Zamilkł głęboko wzruszony i przechadzać się począł po komnacie.

Inni także milczeli. Nawet w nikczemnej duszy Brzoski obudziło się coś nakształt współczucia, czy litości, dla tego człowieka, który w tym momencie marzył o powrocie do swoich, o swobodzie, o życiu, a miał być podstępnie schwytany i wydany na śmierć..

Ogień syczał w kominie i pryskał, rozrzucając iskry; po ścianach i podłodze jaskrawe błyski go-

niły i płoszyły cienie, ale te przerzucały się, szły szybko za nimi i tłumiły je znowu. Była walka światła i mroków w tej komnacie, a ponad wszystkiem unosiła się ciężką, gniotącą zmorą myśl, iż za moment w tej samej komnacie wybuchnąć będzie musiała inna walka, w której padnie ofiarą ufny teraz, bezpieczny, szczęśliwy nadzieją ujrzenia swoich, o nich marzący, Kalkstein.

On pismo elektorskie schował w zanadrze, cisnął je do piersi, uśmiechał się w rozrzewnieniu i wzdychał. Innym zaś mimowoli serce tłukło się spłoszone i od czasu do czasu spoglądali na siebie, jak ci, którzy mając spełnić zbrodnię, czują lęk i niepewność, kto z nich zacznie?

Pierwszy oprzytomniał Lehndorff i, bojąc się, aby zaduma Kalksteina nie trwała zbyt długo i nie popsuła jego przed momentem dobrego usposobienia, rzekł krótko:

— Zapijmy tę zgodę!

Stolnik zaśmiał się sucho.

— Niech pan Brandt mowę powie — zaproponował.

— A dobrze — odparł rezydent, rad z przerwania ciężkiego milczenia.

Wziął kubek do ręki, wstał i począł sławić cnoty Kalksteina, wyrażając swą radość, iż go ponownie jak przyjaciela gościć może u siebie.

— Rozdzieliły nas — mówił — języki złe;

niechże się teraz dowiedzą zawistne duchy, żeśmy sobie jak dawniej wierni i szczerzy...

Spełniono zdrowie Kalksteina, a potem gęsto poszły kielichy. Ale dopiero przy czwartym pułkownik ożywiać się począł i nabierać fantazyi.

— Tak mi jest — mówił — jak gdybym już był w Knauten...

Jedziecie tam zaraz?... - zagadnął Brandt.

Kalkstein głową chwiał.

— Tak myślę, iż zaraz nie sposób... Ja muszę z wielką siłą tam iść...

Brandt poruszył się żywo, a Lehndorff rzucił mu porozumiewające się spojrzenie.

— Pewnie! — potwierdził podstępnie Brzoska — tylko przed siłą ugnie się Elektor i jeno siłę uszanuje. Gdzie siła, tam prawda, powiadają słusznie. A ja to tak rozumiem, że imćp. pułkownik, mając teraz list żelazny w zanadrzu, chce powrócić do Prus, nie jako grzesznik pokutujący, ale jako ten, który mocen jest przymierze dobre z Elektorem zawrzeć...

— Ślicznieś to rzekł! — zawołał Kalkstein — ty w myślach moich czytasz... zdrowie twoje, mości stolniku!

Wychylił kielich, rozparł się na ławie, nogi przed siebie wyciągnął i patrzył w dal, jakby tam myśli swoje, które teraz szybko biegły, gonił.

Tymczasem Lehndorff szepnął do Brandta:

— Jeszcze jeden kubek, a wszystko wygada...

Będziemy zaraz wiedzieli, żali nam czekać jeszcze, czy działać dziś... Trzeba mu jeno przytwierdzać, a od czasu do czasu, gdy w ferwor wpadnie, podjudzać.

I dodał głośno, podnosząc kubek pełny:

— Aby się twoje zamysły, mości pułkowniku, ziściły!...

Kalkstein wypił i czuł, że mu jest w tym momencie bardzo dobrze. Chwilami jakaś czułość zalewała mu serce, to znów podnosiło się ono i jakby rozszerzało na myśl, że po tylu dniach udręczeń, troski, rozpaczy niemal, nadchodzi czas, gdy on, wsparty opieką Króla i możnych senatorów, zdobędzie na Elektorze nie tylko spokój dla siebie i swoich, ale zabezpieczy zagrożone swobody szlachty pruskiej. Przypomniały mu się też słowa Jankowskiego, który zawsze powtarzał, że on, jako niemal ostatni czynny obrońca tych swobód, winien nieraz o sobie zapomnieć, bacząc na to, co dobru powszechnemu potrzebne.

Tymczasem inni, nie zmawiając się, rozdzielili pomiędzy siebie grę. Pierwszy dał hasło Lehndorff, i począł udawać mocno pijanego, któremu wino rozczuliło serce. Przysunął się blizko do Kalksteina i za szyję go chwytał, oświadczając mu afekta swoje.

— Jam wasz brat!... niema to jak obozowe, rycerskie braterstwo...

Brandt, zrozumiawszy, zasępił się i milczał,

udając, że mu wino nie na serce, lecz na wątrobę działa. Oparł głowę na ręku i wzdychał:

— Ciężkie życie! ciężkie!

A zaś Brzoska śmiał się z cicha, jak ów, któremu trunek oszołomił mózg, ale przynosi mu wesołe, chociaż bezładne myśli.

— Ciężkie — powtórzył — to nic, będzie jeszcze lekkie... he, he. Znałem białogłowę pewną, która żaliła się, że jest jej ciężko. Aliści za miesięcy kilka stało się jej znów lekko i oświadczała gotowość nowy ciężar dźwigać... he! he!

Lehndorff, który z cicha z Kalksteinem rozmawiał, surowo spojrzał na Brzoskę.

— Pilnuj języka, mości stolniku! A zaś o białogłowach nie gadaj, bo oto imćp. Kalkstein, przyjaciel mój serdeczny, nawet o najmilejszej małżonce swej, którą w Knauten zostawił, myśleć nie chce, iżby mu ta myśl nie osłabiała woli, którą ma skierowaną ku powszechnemu dobru... Słusznie też mówi: Nie należę do siebie; gdybym był jeno zwykłym Kalksteinem-Stolińskim, jechałbym jutro do Knautem i byłbym szczęśliwy... Alem ja jest obrońca swobód pruskich i dla nich muszę tu jeszcze zostać, siłę zbrojną mieć, choćby z dziesięć tysięcy żołnierza na granicy elektorskiej postawić...

— Tak! — potwierdził Kalkstein, uderzając w stół pięścią — będę to miał! Obietnice mam święte... Dotrzyma wreszcie słowa i Pac i Olszow-

ski i Wiśniowiecki Dymitr!... Niech jeno Jankowski z zaciągiem litewskim przybędzie...

Brandt uszy nastawił, ale głowy nie podnosił i wciąż żałośnym tonem powtarzał:

— Ciężkie życie!...

— Będzie i wam lżejsze! - zawołał Kalkstein, wielce rozanimowany. — Niech jeno Elektor moc poczuje, a i tym, co mu służą, lepiej będzie... Już ja wam przyrzekam, że za to, coście dla mnie uczynili, otrzymacie nagrodę...

— Żebyż tylko ów Jankowski z zaciągiem litewskim w czas przybył — ozwał się Brzoska - słyszałem, że siłę zgromadził... he, he!

— Może nie wielu, ale dzielnych...

— Wiem... wiem... takich, co to przysięgają na głód, na chłód, na trud... znam to! he, he, he... Z nimi się nie zaczepiać!

— Słyszałem — dorzucił Lehndorff — jako całe to mężne rycerstwo ma stanąć na Pradze, gdzie i wy pono, mości pułkowniku, zamieszkać chcecie?...

— Chciałem — odparł Kalkstein, nie przeczuwając w tem pytaniu zasadzki — chciałem, ale teraz nie!

— W celi bernardyńskiej wam lepiej... dorzucił od niechcenia Brandt.

— Jest dobrze, ale teraz i tam nie mogę. Muszę mieć swobodne ręce i być blizko tych, którzy mi pomoc przyrzekli... To też i w celi nie zostanę...

Urwał, jak gdyby lękał się zdradzić swych zamiarów. Ale już trunek w nim działał: pałały oczy, poczerwieniały policzki, zapał się wzmagał i ogromna chęć mówienia.

— Jabym na miejscu waszem — ozwał się znagła Brzoska, który się ciągle wzrokiem z Brandtem porozumiewał — jabym przyjął gościnę u którego z możnych panów, co wam pomoc przyrzekli... Bo oni, to jak to mówią, póty cię znają, póki cię widzą...

Kalkstein uśmiechnął się z dumą.

— Tak też uczynię... — odparł krótko.

Znowu w okół niego skrzyżowały się porozumiewające spojrzenia. Ale on tego nie dostrzegł. Wypił kubek do dna, wstał i przechadzać się począł po komnacie. Był bardzo wesół, coraz siebie pewniejszy, a bawiła go okrutnie strapiona mina Brandta.

Przystąpił do niego i po ramieniu klepał.

— Cóż, mości rezydencie? — spytał — frasujesz się, bo ci Elektora pewno żal Ano, przepadł! Jeżeli mi obietnice dotrzymane będą, to niebawem ujrzysz, jak on tu, albo w Krakowie na rynku, kędy wola, hołd na klęczkach składać będzie... Więc ci go żal...

Brandt głową chwiał.

— Nie tego mi żal — ozwał się — nie tego. Niech sobie Elektor radzi sam... Ale mi jest żal, że znów w was przyjaciela tracę. Wy ciągle o walce

myślicie, a ja w niej po waszej stronie być nie mogę. To trudno! Skoro zaś u jakiego senatora gościnę przyjmiecie, to już nawet i dostępu do was nie będzie!...

Kalkstein rozśmiał się w głos.

— Nie lękaj się, miły mój! — zawołał. — Po tem coś mi teraz uczynił, nie zapomnę, powtarzam, o waści. Siedź jeno cicho, za język mnie nie ciągnij, do Króla na mnie ze skargami nie łaź, Elektorowi nie donoś o tem, co podpatrzysz.. A tak możesz jego łaski zachować i nam pożytecznym być...

— Pokorne ciele dwie matki ssie... — wtrącił Brzoska.

A Kalksteina już było nie wstrzymać. Zaczął długo rozprawiać o krzywdach Prus, które o pomstę do nieba wołają, o samowoli krwawego Frycka, o jego pysze szatańskiej. Mówił o swoich wpływach i znaczeniu, przechwalając się obietnicami panów i króla samego.

— Być też może — rzekł w końcu — że ja nasamprzód sam, mając list bezpieczeństwa w ręku, do Prus pojadę. Trzeba bowiem, jak słusznie gada Lehndorff, ową zastarzałą a zgnębioną szlachtę obudzić... Muszę się jeno wpierw z biskupem poznańskim, Wierzbowskim, naradzić. Jutro, skoro się do niego przeniosę...

— A! — zawołał Brzoska — więc to on wam

gościnę daje? Wyborny uczyniliście wybór: czcigodny to pasterz, a moc ma wielką...

Kalkstein uczuł w tymże momencie, że powiedział za wiele. Ale niebacznego słowa cofnąć już nie mógł. Lehndorff zaś zręcznie rozmowę odwrócił, okazać chcąc, iż nikomu na tem nie zależało.

Brandt zbladł. Przeniesienie się Kalksteina do poznańskiego biskupa dawało zupełne bezpieczeństwo exulantowi pruskiemu. Porwać go z rezydencyi senatora, który liczny a zbrojny dwór utrzymywał, stawało się niepodobieństwem. Nadto znaczenie Wierzbowskiego rosło z dniem każdym; lubiony wśród szlachty, uzyskał też silny wpływ u dworu, przebywając bowiem ciągle w Warszawie, miał częsty przystęp do króla, a serce jego i ufność ku sobie zniewolić umiał. Jeżeli więc było prawdą, że on teraz pod opiekę swą chciał wziąć Kalksteina, byłby to stanowczy cios dla zamiarów Brandta, który poleceń elektorskich spełnićby nie zdołał! I to właśnie w momencie, gdy on, niebaczny, oddał mu list żelazny z własnoręcznym Elektora podpisem! Nie, on już stąd z tem pismem do biskupa Wierzbowskiego nie wyjdzie! Wszelkie wahanie się było odtąd niemożliwe. Kalkstein powiedział: jutro... więc zamach dziś musiał być dokonany.

Rzucił spojrzenie na Lehndorffa, który mu odpowiedział wzrokiem oburzenia pełnym, mówiącym wyraźnie: To twoje niedołęstwo sprawiło!... Zwle-

kałeś, a co teraz będzie? Elektorski gniew nie daruje ci tego!

Brandt zrozumiał to spojrzenie. Nic nie mówiąc, porwał się i wybiegł do sieni. Pod samemi drzwiami spotkał swego kozaczka.

— Gdzie Montgoméry? — spytał szeptem.

— Czeka i klnie... — odparł Tomaszewski.

Rezydent pobiegł w głąb podwórza, kędy widniała postać Hugona, żywo rozmawiającego z Baumgardtem i Fehrem.

Szepnął mu coś do ucha, a Montgoméry aż w ręce klasnął:

— Nareszcie! — rzekł — doskonale... I zwracając się do Fehra, dodał:

— Przy koniach stać... dragonów pilnować. Zaraz ruszamy.

Jeszcze chwila śpiesznej, pocichu rozmowy. Brandt, zdecydowany już na wszystko, o każdym szczególe myślał, a każdemu przypisywał, co ma czynić. Do kozaczka rzekł:

— Nie oddalaj się ode drzwi; gdy dam znak, wsuniesz się do izby, przykucniesz do ziemi, aby cię już zgoła dostrzedz nie było można, przypełzniesz do mnie, a ja ci powiem, co masz sprawić...

— Dobrze! — odparł karlik, szczerząc zęby w dzikim uśmiechu. Mała jego postać aż drżała z ukontentowania wielkiego; chodził cichutko, jak kot, po pod mury i podskakiwał.

Brandt raz jeszcze go przywołał.

— Nie skacz-no ty — wyszeptał z naciskiem — nie skacz, ropucho! a ślepia wytrzeszczaj, iżby wszystko było dobrze...

— Będzie... — odparł pewny siebie kozaczek.

— Bramę wjazdową zamknąć... słyszysz... jeno cicho.

— Jak po maśle...

— A co z pacholikami Kalksteina?

Tomaszewski mało nie parsknął w głos śmiechem. Ale w czas ręką gębę zatulił i odparł, krztusząc się:

— Śpią... bez ducha i bez broni... Imćp. Thamsom i Klingsporre uraczyli ich, aż ha!... Obudzą się pojutrze...

Gdy Brandt do komnaty powrócił, Lehndorff mówił do Kalksteina:

— A co! widzisz waćpan... sam się przekonałeś, kto ci lepszym doradcą: ja, czy Jankowski? Wybierałeś się tu jak na wojnę, z pacholikami zbrojnymi i z pistoletem w zanadrzu... A znalazłeś przyjaciela.

Kalkstein, stojąc na środku komnaty, śmiał się szczerze. Jego piękna, wyrazista twarz promieniała zadowoleniem.

— A tak! — potwierdził — wybrałem się jak na wojnę, i dobrze jest, bo nie tylko strzeżonego Pan Bóg strzeże, ale jeno mocnego miłują ludzie! Czy waść mniemasz, że Elektor byłby mi dał giejt

ów, gdyby za mną nie czuł siły... Teraz wie regnant berliński, że ze mną nie igrać...

— Pewnie — zauważył Brzoska — król za wami i senatorowie... co wam Elektor zrobi?... Ale — dorzucił od niechcenia, domyślając się intencyi Lehndorffa — pokaż-no waćpan ów pistolet, z którym dla przezorności do przyjaciół chadzasz... Osobliwość jest.

Kalkstein wyjął broń z zanadrza. Pistolet rzeczywiście był osobliwy: duży, ciężki, ale niezmiernie misternie wyrobiony.

Wszyscy tedy poczęli oglądać go i chwalić. Ostatni ujął go w rękę Brandt.

— Jabym go — rzekł — nie udźwigał przy sobie, ale na ścianie ku ozdobie powiesił... Piękny jest... a skąd to waćpan go masz? W Polsce takich nie widziałem...

— Bo on też z zagranicznych, włoskich krajów... — odparł Kalkstein — a mam go od drogiego tatusia mego, niegdy hetmana Sapiehy... gdym z nim obozowe życie wiódł... Byłyż to czasy, były!...

Westchnął; na wspomnienie ukochanego swego wodza ogarnęło go rozczulenie nagłe. Pozostawiając broń w ręku Brandta, odwrócił się szybko ku oknu.

W tymże momencie dał się słyszeć łoskot; zamykano wielką, ciężką bramę wjazdową od ulicy. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały i szły ciężko; nie-

zamykana niemal nigdy brama osiadła i teraz zaledwie ją elektorscy dragoni z mozołem po ziemi sunęli. Pomimo usiłowań, aby to uczynić cicho, łoskotu stłumić nie było można: wtem silnie popychane skrzydła bramy zwolniały i zapadły z trzaskiem.

W sieni ozwały się stłumione śmiechy, gdyż jeden z dragonów, który się najbardziej natężał, nagłym zaskoczony ruchem, przypadł twarzą do bramy i nos sobie rozbił. On klął, a inni szydzili.

— Podła hołota... — mruknął Brandt, a Kalkstein ze zdziwieniem nasłuchiwać się zdawał.

— Co dziś u ciebie, mości rezydencie, taki niepokój? — po raz wtóry spytał. — Dlaczego bramę zapierają? Rzekłby kto, że na jakąś wyprawę tajemną się gotujesz?...

Wpatrywał się bacznie przez okno w ciemną przestrzeń obszernego podwórza; dostrzegał snujące się teraz postacie dragonów w około zaprzężonego wozu i krępą, barczystą postać Montgomerego, który wymachiwał rękami, snadź rozkazy wydając.

— Coś imćp. Hugo mocno się tam sierdzi... — dorzucił.

Zaniepokojony Brandt podbiegł ku niemu.

— To nic... to nic... — zapewniał. — Mówię wam, że to ten Szkot przeklęty, Thamson, codziennie mi takie hałasy wyprawia. To wysyła, to spro-

wadza trunki... to znów każe śmiecie wywozić, a zawsze w nocy, bo w dzień czeladź zajęta...

Usiłował odciągnąć Kalksteina od okna i do komina zapraszał.

— Wicher dmie — mówił — przez szyby... Usiądźmy tu, przy ogniu... pogawędzim jeszcze...

Ale Krystyan Ludwik z coraz większem natężeniem wpatrywał się. Zaniepokoił go ruch na podwórzu; dostrzegał twarz zwijającego się szybko, w podskokach karlika... Ten wyglądał jak dyablik, cieszący się z wyrządzonej psoty.

Brandt przerażone spojrzenie rzucił na Lehndorffa, który patrzył chmurno.

— Uspokój ich tam!... — rzekł.

Tedy Brandt rzucił się ku drzwiom. Otworzył je i krzyknął:

— Montgoméry!...

A do nadbiegającego kozaczka dodał zdyszanym szeptem:

— Teraz... pełzaj... za szablę chwyć...

Karlik przypadł do ziemi i wsunął się do komnaty, kryjąc się poza Lehndorffa.

Na kominie ogień przygasł, w komnacie było niemal ciemno. Kalkstein ciągle jeszcze wpatrywał się w okno.

Lehndorff nogą potrącił karlika... Ten skoczył, przypadł do stóp Kalksteina i obu rękami, które miał bardzo silne, schwycił za jego szablę.

W tymże momencie drzwi się otwarły i wpadli

jeden za drugim: Montgoméry, Baumgardt, Fehr; ten ostatni z ogromnym płaszczem na ramieniu.

Krystyan Ludwik odwrócił się nagle. Spojrzał przerażonemi oczyma, odrazu bowiem zrozumiał sytuacyę; chciał coś rzec, usta szeroko otworzył, ale nie zdążył krzyknąć nawet. Karlik trzymał oburącz jego szablę i plątał mu się pod nogami, utrudniając ruchy, Montgoméry zaś rzucił się ku niemu i chustę zwiniętą wtłoczył mu w otwarte usta; a tymczasem Lehndorff ujął go za bary i ramiona odginał wstecz, które Fehr powrozem krępował.

Walka jednak nie była skończona. Zaskoczony z nagła Kalkstein dobył sił ostatka, aby się bronić. Brandt, który nie biorąc udziału czynnego, stał blady, drżący, oparty o ścianę, ujrzał wnet z przerażeniem, że Kalkstein wydobywa się z więzów.

Był teraz straszny; wtłoczona aż do gardła chusta dławiła go, więc się krztusił i charczał; pot oblał mu czoło, twarz stała się tak czerwona, jakby z niej krew wytrysnąć miała, oczy na wierzch wybiegły, a patrzyły wciąż na Brandta z okropnym wyrazem przekleństwa. Naraz, kopnięciem nogi odtrącił karlika, który jęknął i potoczył się pod ścianę z twarzą krwią oblaną. On zaś stanął silnie na nogach, natężył się, że mu żyły na czole i szyi nabrzmiały ogromne i prawą rękę wyrwał Lehndorffowi. W jednem mgnieniu oka zadał nią cios Fehrowi, który drugą rękę puścił... Kalkstein był

wolny, wyrzucił chustę z gęby i wielkim głosem krzyknął:

— Na pomoc! do mnie!

Brandt wołał:

— Brać go! powalić na ziemię!

Znowu drzwi się otwarły i wszedł Klingsporre. Ale i on już nawet trunku miał za dużo; był zupełnie pijany. Wszedł, zatoczył się i całą siłą drzwi sobą zaparł. A potem dźwigał się, patrzył błędnemi oczyma na walczących i za każdem ich poruszeniem sam wahał się na chwiejnych nogach, które się ciągle w kolanach zginały.

Brzoska, który dotychczas stał bezczynny, podbiegł i zerwawszy z ramienia Fehra płaszcz z ogromnemi połami, usiłował go zarzucić Kalksteinowi na głowę, lecz ten tymczasem zdołał o ścianę się oprzeć i dobywał szabli, którą jednak powrozy u rękojeści splątane, krępowały.

— Na pomoc!... — wołał Krystyan, mocując się z szablą i ramieniem odtrącając Brzoskę, który na palcach ku niemu się spinał, gdyż za mały był, iżby na głowę płaszcz mu zarzucić.

— Jeśli go nie zwalą, przepadło wszystko! — myślał struchlały Brandt i wrzeszczał ciągle:

— Na ziemię z nim!

Inni nie mówili nic, dyszeli jeno chrypliwie w tem szamotaniu się zaciekłem.

Jasnem płomieniem buchał teraz ogień z komina. Przeżarł wielką głownię, która się rozpadła

i strzelił wysoko, rozpryskując się w iskry, ciskając w okół żarzące węgle.

— Ratunku! — krzyknął raz jeszcze Krystyan, którego Lehndorff znów schwycił za ręce.

Do drzwi dobijał się Thamson, lecz nie mogąc odsunąć Klingsporrego, który je sobą zapierał, obiegł naokoło i drugiem wejściem do komnaty wpadł. Szkot był silny; rzucił się wnet na Kalksteina i wraz z Lehndorffem zdołał odciągnąć go od ściany. Fehr oderwał mu szablę i odrzucił precz, a karlik znów przyczołgał się i chociaż krew z poranionego czoła i twarzy zalewała mu oczy, z wściekłością chwytał go za nogi i kąsał.

Kalkstein słabnął i słaniał się.

— Boże! *mein Gott!* — szeptał.

Silnie ciągnięty, pochylił się, a wówczas w jednem mgnieniu oka Fehr i Brzoska zarzucili mu na głowę płaszcz... On jeszcze moment szamotał się, usiłując się wydobyć z pod owego okrycia, jeszcze raz kopnął karlika, lecz ten pod nogi wplątał mu się, silnymi zębami za łydkę chwycił i gryzł. Kalkstein jęknął, zatoczył się, runął.

Widząc to Klingsporre, oba ramiona wyciągnął, głowę podał naprzód, równowagę stracił, zabełkotał coś niewyraźnie i jak długi padł, twarzą do ziemi, bez ruchu.

A teraz wszyscy inni rzucili się ku Kalksteinowi, wiążąc go powrozami. Brandt, ośmielony, przypadł i nogą kopnął go w tył głowy.

Szamotanie ustało. Od czasu do czasu jeno, gdy owiniętego w płaszcz, sznurami wiązano, Kalkstein jęknął głucho.

W jaskrawem a migotliwem oświetleniu ogniska, twarze oprawców wyglądały okropnie, oblane potem, wykrzywione strachem i zajadłością dziką. Brandt, trupio blady, powstrzymywał teraz Lehndorffa, który w zaciekłości swej chciał bezbronnego ubić.

— Nie! — mówił — niech ma jeszcze Elektor z niego pociechę...

Brzoska, milczący, zęby zaciskał a chwilami wykrzywiały mu się usta, jakby chciały śmiać się szyderczo. Fehr i Baumgardt, zdyszani, pracowali jeszcze nad skrępowaniem jeńca. Pierwszy siedział mu na plecach, drugi na nogach, a nad nimi stał, najspokojniejszy ze wszystkich Montgoméry, uśmiechnięty, kontent, zacierając ręce.

— Tak... — powtarzał, patrząc na ich robotę — tak będzie dobrze... *diable!*...

Karlik zaś zęby szczerzył, chustą twarz zranioną ocierał i biegał po izbie, podskakując.

Ale Brandt począł naglić:

— Późno jest. Bierzcie go na wóz... derami mocno przykryć i w drogę...

Otworzył drzwi i przywołał dragonów.

— Brać go! — rzekł krótko.

Dźwignięto go z ziemi. Był nieruchomy, jak trup, lecz gdy go wynoszono do sieni, drgnął je-

szcze i głosem słabym, stłumionym, ledwo dosłyszalnym, jak dalekie echo, jęknął:

— Boże! Boże! Boże!...

Za moment otworzyła się z chrzęstem wielka brama, a przez nią wyjechał na ulicę wóz, okryty derami. Zadudnił po kamieniach, błotem bryzgał; na przodzie siedział dragon i karlik Tomaszewski, otaczali go zaś na koniach: Montgoméry, Baumgardt, Fehr i kilku dragonów zbrojnych, wiodących konie powodne. Jechano śpiesznie pustemi ulicami ku Wiśle, ku przewozowi bielańskiemu.

Ciemno było i cicho, a przenikliwe zimno. Śnieg prószył ostry i siekł w twarz jadących. Tomaszewski trząsł się z zimna i od czasu do czasu skrzepłemi rękami o ramiona bił, aby je rozgrzać, co wydawało głuchy odgłos.

— Cichaj! *monsieur le nain!*... — zawołał Montgoméry, który humoru nie tracił. Kapelusz wsadził na bakier i jechał z miną buńczuczną, jakby po spełnieniu bohaterskiego czynu. Bódł konia ostrogą, a ten głową rzucał, wspinał się i parskał.

— Siarczyste zimno... — odparł Tomaszewski — a śnieg piecze w twarz ogniem.

Rzeczywiście twarz jego, poraniona i krwią oblana, stała się teraz sina.

— Wleź pod derę — rzekł Hugo — jeśli ten psubrat nie trup, to niech cię rozgrzeje za to, że cię kopnął...

Karlikowi podobała się ta rada. Nie namyślając

się, wsunął się w głąb wozu, w siano, pod derę. Za moment ukazała się stamtąd jego sina twarz, z powieką nabrzmiałą i wargą rozciętą, ale uśmiechnięta z zadowolenia.

— Ciepły jest — szepnął — rusza się bestyja...

— Bardzo mu tam nie zawadzaj — ozwał się Fehr — aby cię znów nie trącił...

Ale wóz był duży, tedy karlik mógł się łacno obok jeńca pomieścić; czuł wszakże każde poruszenie, każde drgnięcie jego ciała, a czasem słyszał stłumiony jęk...

To go snadź radowało, bo zęby wyszczerzał w uśmiechu ku Hugonowi, a naraz rzekł:

— On tam coś mruczy... Ale się już na elektorską wiarę nawraca, bo po niemiecku majaczy...

Montgoméry dziwnym wzrokiem na Tomaszewskiego spojrzał.

— Ogromny dyabeł jest w tym karle... — pomyślał.

Zjeżdżano ku przewozowi, u którego stał wysoki, stary człek. Strażnikiem tu był od lat wielu, jeszcze od czasu posesora przewozu imćp. Mikołaja Konstantego Gissy obersztera J. K. Mości. Gissa ów zmarł, ale małżonka jego, Boimówna de domo, jako dożywotniczka owej posesyi, utrzymała wiernego sługę, który obowiązki swe wykonywał pilnie, a promy i czółna wszelakie w porządku chował.

Teraz ów strażnik, Janem Psotą zwan, stał

u samego brzegu i wytężonym wzrokiem patrzył w dal ciemną, na przewalające się z szumem mętne fale rzeki. Patrzył i szeptał pacierze.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...“

A mówił to zwolna, z naciskiem, jakby pragnął, iżby każde słowo doszło do Tego, do którego je z głębi duszy słał. Głos miał stłumiony a wyraźny, który zdawał się ciężki, albowiem w ciszę nocną zapadał, jak kamień w głęboką toń...

— Ojcze nasz... — powtarzał — daj spokój wiekuisty zbolałej duszy małżonki mej, a ulituj się nad zbłąkaną jej córką... zwróć latawicę z drogi zatracenia...

Śnieg, miotany mroźnym wichrem siekł go w twarz, zasypywał oczy, tężał na krzaczystych brwiach, wąsach i brodzie długiej; lodowate podmuchy szły od wody, ale on nie czuł zimna, przenikającego do kości. Ramiona wyciągnął ku niebu, a głos jego spadał ciągle w ciszę:

— Ulituj się! ulituj!

Tętent koni i turkot szybko zbliżającego się wozu, zwrócił teraz jego uwagę. Spojrzał w tę stronę i w cieniach dostrzegł zbliżający się orszak. Na pacholików tedy, drzemiących u pomostu, zawołał:

— Ano, chłopcy, ktoś jedzie... gotujcie się!

Równocześnie niemal nadjechał Montgoméry. Znał on starego Psotę z dawna; pozdrowiwszy go tedy zapytał:

— Przewóz bezpieczny?

Psota utkwił w niego wzrok chmurny i wzdrygnął się.

— A to wy, panie... — rzekł ponuro — dokąd to z takim taborem?

— Jedziem odetchnąć pruskiem powietrzem — odparł Hugo — rychło gotujcie przewóz...

Pacholikowie zapalali ogniska i wielkiemi pochodniami smolnemi dawali znaki służbie na drugim brzegu, kędy wnet także zabłysły światła i czerwonawymi odblaskami ślizgały się po wodzie.

— Hej! hej! — z obu stron wołano.

Nadjechał wóz z orszakiem i Lehndorff naglić począł; chciał być co rychlej daleko poza Warszawą.

Ale Psota przeciwił się.

— Odrazu nie można — mówił — stare promy nie dotrzymają... tyle koni i ludzi... a wóz pono ciężki...

— O, ciężki! — zaśmiał się Hugo. — Wieziemy prowiantów na sześć dni, bo do granicy daleko.

— Tedy wóz z parą koni niech czeka... wy, panie, i ludzie wasi, kolejno jedźcie naprzód.

Lehndorff nie chciał wozu odstąpić i tak komenderował:

— Dragoni wraz z końmi powodnymi i Baumgardt niech naprzód jadą; my z wozem czekamy... kilku dragonów przy nas...

Wnet też zaczęto w tym porządku na prom wjeżdżać. Konie utykały na nierównym pomoście, wzdrygały się, cofały i parskały, głośno kopytami stukając. Brzęczały łańcuchy, prom się poruszył, zaszumiała woda; przerażone konie rżały, rwąc się naprzód. A łódnicy i czółnicy z pochodniami w ręku nawoływali się ciągle:

— Hej! hej!...

Montgoméry zsiadł z konia i prostował się, ziewając. Psota zaś, zbliżywszy się do niego, szepnął błagalnie:

— Przez litość, panie, wy wiecie wszystko... Gdzie Maryś moja?

Hugo się zaśmiał:

— A skąd wiedzieć mogę! Rozmiłowała się w młodym Kleiście i z nim poszła. Albo to jej źle? Chłopak jak malowanie... *canaille!*

— Nie żartujcie, panie — przerwał stary — nie żartujcie! Wyście z tym niemiaszkiem młodym pierwsi zaszli do mnie, a on potem wracał codzień, gdy mnie w chałupie nie było. I ot, stało się nieszczęście! Wyszła raz z karlikiem pana Brandta i już nie wróciła...

— A to — wtrącił Hugo, któremu ta rozmowa widocznie była niemiłą — pytajcie Brandta, albo najlepiej Kalksteina, gdyż ów Kleist, to jest jego *neveu*, czyli syn jego rodzonej siostry... On pewno wie...

— Byłem i u pana Brandta, byłem i u pana

Kalksteina, który się mojego nieszczęścia użalił i pomoc przyrzekł. Ale on sam z rezydentem brandenburskim i z rodziną własną w walce...

— Już się pogodził... — przerwał Hugo — walczyć odtąd nie będzie. A cóż Brandt?

— Gadać ze mną nie chciał, a owego karlika pokazać mi nawet nie dozwolił... Ale ja go nadybię i albo uduszę, albo mi prawdę wyzna...

Zaszeleściło coś w wozie. Tomaszewski z głową skrył się pod derę, lecz nasłuchiwał pilnie.

— Stało się, panie, ogromne nieszczęście — biadał stary — małżonka moja z rozpaczy umarła, a ja...

Głos złamał mu się w piersi. Głowę siwą chylił do kolan Hugona.

— Powiedzcie, panie... — szeptał — powiedzcie!

Hugo był zły. Wąsy targał i mruczał:

— Do gadania nie mam nic. Co mnie to obchodzi?

I znowu szydersko dorzucił:

— Idźcie do Kalksteina, on pewno wie... on jest *compatissant* i człek mocny, o, mocny!

Prom już po raz trzeci czy czwarty powracał; poruszona woda z szumem zalewała brzegi.

— Baczność! — zawołał Lehndorff i zbliżywszy się do Psoty, składał mu opłatę za przewóz.

— A to dla was — rzekł, dodając złoty ponad należytość.

Stary się żachnął.

— Dziękuję Waszej Miłości, ale weźcie nazad ten pieniądz. Ja dla siebie nie potrzebuję nic... już nic!

Wypuszczona z ręki moneta, potoczyła się po pomoście, a Lehndorff komenderował:

— Fehr naprzód!... silnie konie ściągnąć... dalej!

Ruszył się wóz i wjeżdżał na pomost; wielkie koła zawadziły o próg i stanęły; konie cofnęły się nagle, a potem parły się naprzód, wóz zaś, popychany z tyłu przez pachołków, wtoczył się ciężko na pomost.

Psota sam pomagał pachołkom. A gdy tak z całej siły przyparł się do wozu, najwyraźniej usłyszał wydobywający się z jego wnętrza głuchy jęk. Przyłożył ucho i znowu usłyszał niemocne szamotanie się, a potem szept, jak zdławione, dalekie echo:

— *Mein Gott!*

W tymże momencie prom odbił. Psota wraz z czółnikami swymi został na brzegu, przerażony tem, co usłyszał. Własnym uszom wierzyć nie chciał.

— Słyszałeś? — spytał czółnika.

— Wyraźnie... Ktoś tam jęczał, panie...

A Psota nagle wołać począł.

— Strzymajcie się przez Boga! Hej, hej... nazad!

Szumiała głucho woda, a prom mknął dalej, szybko. Obok przewoźników stanęli dragoni, czujni na każde ich poruszenie, Lehndorff zaś krzyczał:

— Naprzód! naprzód!

Coraz słabiej dochodziło wołanie Psoty. Z wozu zaś wydźwignął się teraz na wierzch karlik i głosem ostrym, przenikliwym, krzyczał ku staremu strażnikowi:

— Szukaj, Psoto, swojej Maryś w Królewcu albo w Memlu... szukaj!... A przybywaj rychło stary dziadku... na chrzciny...

Psota wołać przestał. Osłabły, oparł się na ramieniu czółnika, patrzył w dal ciemną i słuchał tych szyderczych krzyków, których szum wody nie zgłuszył.

Pierwsze blade blaski przebijały się na niebie, gdy prom przybił napowrót. W milczeniu słuchał Psota relacyi przewoźników, jako nie mogli rozkazaniu zadość uczynić, byli bowiem trzymani jak w uwięzi. Lehndorff sam kierował przeprawą.

— Kto krzyczał stamtąd ku mnie? — zdławionym głosem spytał stary.

Przewoźnik przeżegnał się.

— Dyabeł, panie... mały, czarny dyablik, z twarzą okropną, skrwawioną i opuchłą, z potarganymi włosami... To zbójniki jakieś, którym czart sam pomaga...

Psota dygotał cały i milczał, a po chwili chwiejnym krokiem szedł do swojej chałupy. Zgar-

bił się, jak' ten, który ciężkie brzemię dźwiga, i dyszał.

Drzwi były tylko na kołek zaparte. Otworzył je i wszedł znagła, jakby chciał wszelkiemu wahaniu koniec rychły położyć. Blade brzaski wdzierały się do wnętrza izby przez małe okienko. Pustka i cisza, a nieład taki, jak w siedzibie człowieka, który o sobie zapomniał i o nic na świecie nie dba.

Na stole resztki jadła i suchego chleba; na ziemi rzucona odzież i zgnieciona słoma barłogu. W powietrzu woń stęchlizny, dusząca, ostra. Od alkierza przy izbie drzwi na poły otwarte. Tam było wszystko tak, jak przed miesiącem, jak tego wieczora, gdy Maryś wyszła, aby nie powrócić. Na łóżeczku małem, wązkiem, leżała biała jej sukienka; na podłodze walała się wstążka czerwona, którą ona zwykła była przewiązywać bujne swe, krucze włosy. W szarych brzaskach poranku wstążka owa wyglądała tak, jak pełzający wąż, a sukienka biała, jak spłaszczony, martwy kształt niewieści.

Psota patrzył moment, a potem nagle drzwi od alkierza zatrzasnął.

— Przepadła! — szepnął — przepadła!... Niech...

Nie dokończył; zachwiał się, na kolana się zsunął i twarzą przypadł do ziemi.

— Och, och! — jęczał — nie chcę kląć krwi własnej... nie chcę!

Głową o podłogę bił.

— Nie chcę! — powtarzał — raczej śmierć!...

Rzucał nim dreszcz gwałtowny, a potem nagle ogarnął ogień gorączki i chwycił nareszcie sen ciężki, kamienny.

II.

POGOŃ.

Nazajutrz po uwiezieniu Kalksteina, wjeżdżał do Warszawy Samuel Jankowski z ochotniczą drużyną i wiernymi towarzyszami swymi: Klattem, Stenclem, Jessmanem i Jakóbem Rottem, najmłodszym z synów nieszczęsnego mistrza królewieckich ławników. Z całej rodziny, pomimo rannej młodości swej, był ów Jakób najbardziej na Elektora zażarty, za rodzica, którego Fryderyk Wilhelm od lat tylu w uwięzieniu trzymał.

— Zemszczę się — wołał — albo zginę!

Gdy zaś to mówił, twarz jego biała, delikatna, niemal dziecinna, przybierała wyraz zawziętości srogiej.

Stanęli, jak to było umówione, na Pradze, a Jankowski, nie zastawszy tam Kalksteina, wnet pobiegł do Warszawy, iżby tam o nim języka zasięgnąć. U OO. Bernardynów nic wszakże nie wiedziano.

— Wyszedł — mówiono — wczoraj i nie wrócił..

Zaniepokojony kołatał Jankowski po dwakroć do pałacu ks. Wierzbowskiego, ale biskup na jakiejś ważnej naradzie u Króla bawił i widzieć się z nim nie było można; domownicy zaś zaręczali, iż Kalkstein nie pokazał się tam wcale, chociaż mieszkanie przygotowane od wczoraj czekało na niego.

Coraz większa ogarniała go trwoga; przeczucie mówiło mu, że Kalkstein padł ofiarą zamachu, i bił się z myślami, kędy iść, aby poratunek znaleźć: żali odrazu do Króla, czy też do którego z senatorów? Zdecydował się pójść naprzód do Brandta i tam na miejscu rzecz zbadać; jeżeli bowiem zamach jaki spełniono, to oczywiście rezydent brandenburski wiedzieć o tem musiał najlepiej.

Ale gdy tak pośpiesznie biegł przez Leszno, spotkał dwóch pacholików Kalksteina, którzy dopiero teraz otrzeźwiawszy, bardzo zawstydzeni wracali. Jeden z nich przypadł Jankowskiemu do kolan.

— Niech Miłość Wasza — prosił — raczy się za nami wstawić do pana pułkownika... Od rana wałęsamy się po mieście i nie mamy odwagi stanąć przed jego obliczem...

— Co się stało? — przerwał coraz bardziej zatrwożony Jankowski.

— Ano — odrzekł drugi — szelma Thamson, bogdaj z piekła nie wylazł, spoił nas, żeśmy jak

trupy przez całą dobę leżeli... Pan nasz poszedł... musiał ostawić nas w gospodzie... Surowy jest... boimy się teraz...

A Jankowski ręce załamał. Już dla niego było jasnem, że Kalkstein schwytany podstępnie. Lecz żali był żyw jeszcze, czy też może zamordowany odrazu? Pacholikowie żadnych wyjaśnień dać nie mogli, jeno przysięgali, że są niewinni i że w godzinę po przybyciu do gospody Thamsona, napiwszy się gorzałki i miodu, legli bez ducha.

— Wracajcie — rzekł im w końcu Samuel — wracajcie do klasztoru i czekajcie... Może wasz pan powróci. Gdyby wrócił, dajcie mi znać natychmiast... na Pragę... Ja lecę do Króla!

Poszedł. Ale w antykamerze królewskiej, jak zwykle, ścisk był okrutny. Mnóstwo panów i szlachty czekało na posłuchanie napróżno. Mówiono, że Król niemocny, wcale nikogo przyjmować nie będzie, ale pokojowy dworzanin Szczuka uwijał się wśród zgromadzonych i przedniejszych zapewniał na ucho, że Król ich przyjmie, byleby szary tłum się rozszedł. Między innymi rzekł to wojewodzie chełmińskiemu, Gnińskiemu. A ten, siwowłosy starzec, o twarzy wyrazistej i pięknej, oburzył się. Zmierzył Szczukę gniewnym wzrokiem i odparł głośno:

— Odkądże to, mościpanie, na dworze Piasta, szlachta szarym tłumem się zwie?

Szczuka zmieszał się, ale dostojnemu senatorowi hardo odpowiedzieć nie śmiał; bąkał jeno:

— Cóż poradzę?... Poseł cesarski Mayerberg jest tam już przeszło godzinę... Przybył również podskarbi Morstin i rezydent Brandt... konferują...

A na to skoczył Jankowski.

— Brandt! — krzyknął — on śmiał tu przyjść po spełnieniu zbrodni!...

W krótkich słowach oznajmił o zniknięciu Kalksteina.

— Jestem pewien — dodał — że porwano go i uwieziono!

— Crimen! — zawołano zewsząd — to crimen! Jeśli to prawda, gromadnie pójdziem do Króla, sprawiedliwości żądać...

Wszczął się gwar okrutny, a jeno tubalny głos chorążego sandomierskiego, Jaxy Dębickiego, zdołał zapanować nad nim.

— Nie darujem tego! krzyczał — na klejnot szlachecki się klnę, płazem nie puszczę... święć się imię Twoje!

Ale w tymże momencie otwarły się podwoje od komnaty królewskiej i wyszli stamtąd naprzód: ablegat cesarski Mayerberg i podkanclerzy Olszowski, za nimi zaś sunął się, jak kot, cicho, na palcach, Brandt. Świdrującemi oczkami badał przyczynę hałasu. Wrzawa uspokoiła się nagle. A wojewoda Gniński wnet przystąpił do Brandta i stanowczo spytał:

— Co z imćp. Kalksteinem?

Rezydent nieznacznie się wzdrygnął i cofnął się, jakby odpowiedzi uniknąć chciał. Ale Dębicki stanął tuż przy nim i powtórzył groźnie:

— Co z Kalksteinem? gadaj waść!

Chciał mówić cicho, lecz głos jego wybuchał, że słysząc te słowa, podkanclerzy u wyjścia przystanął i rzekł:

— Kalkstein od wczoraj u biskupa poznańskiego, pod dobrą opieką...

Jankowski odparł:

— Nie ma go tam.., nie ma nigdzie! porwano go i uwieziono! Spełniono crimen!

Dębicki, zapieniony z gniewu, rzucił się na Brandta, a za nim cały tłum szlachty otoczył go kołem, groźny, z podniesionemi pięściami.

— Zdasz ty nam z tego sprawę, łotrze brandenburski! — wołał Dębicki. — Schwycił go za kołnierz i trząsł nim jak wiechciem.

Nędzna postać rezydenta gięła się i kurczyła. Przerażony bełkotał sinemi wargami:

— Mościpanowie... co czynicie? jam jest reprezentant...

— Lucypera! — wrzasnął chorąży — i ja cię, szelmo, do niego odeszlę... Święć się imię Twoje!

I trząsł nim ciągle tak mocno, że aż głowa Brandta chwiała się na wszystkie strony; rezydent zębami szczękał, a chuda twarz jego stała się zielona ze strachu...

Już nawet sam Jankowski usiłował Dębickiego pomiarkować:

— Puśćcie go, mości chorąży, niech jeno wyzna, gdzie Kalkstein.

— Gdzie Kalkstein! — krzyczano w okół.

Podwoje od komnat królewskich znowu się otwarły i stanęli w nich pomięszani pokojowi dworzanie Rostocki i Szczuka, za nimi zaś ukazała się wykwintna, strojna postać Morstina. Z pogardliwym wyrazem na dumnej twarzy przypatrywał się scenie.

— Hołota... — mruknął.

Wysunął się naprzód, zbliżył do Gnińskiego i rzekł:

— Mości wojewodo! połóżcie temu koniec... Przecież to ohyda... w antykamerze królewskiej taki gwałt!... To jest *contra jus gentium*...

Chełmiński wojewoda spoglądał na podskarbiego wyniośle.

— Nie mówcie — odparł — ani o gwałtach, ani o żadnem prawie, wy, co je pierwsi naruszacie...

Podskarbi żachnął się i odrzec coś chciał, ale Gniński mówił dalej poważnie a z mocą:

— Wasze gwałty zniewalają do gwałtów... pomstę przyzywacie!

— Mości wojewodo! – krzyknął Morstin w uniesieniu — za te słowa zdacie mi sprawę...

Gniński podniósł dumnie głowę.

— Oczyście się wprzódy z zarzutów wam czynionych — rzekł i odwrócił się.

Podskarbi stał moment, wyiskrzonym wzrokiem mierząc wojewodę. Wargi mu drżały, ale nie wyrzekły nic i niebawem skrzywiły się szyderczym uśmiechem. Białą ręką otrzepywać począł koronki, któremi strojny jego francuski ubiór był ozdobiony na piersiach.

— Fi! — szepnął — *bruta bestia!*

Ale już i przeciw niemu poczęły zwracać się gniewy.

— Dobrać się trzeba do skóry jurgieltników różnych! — wołano. — Raz skończyć z tą hańbą!

Morstin, z ręką na rękojeści szpady, bardzo zbladły, cofał się zwolna ku komnacie królewskiej, na progu której stali ciągle dworzanie. Przysunął się do nich i szepnął Szczuce:

— Do Króla ich wezwać... Inaczej będzie gwałt...

Rzeczywiście z Brandtem było źle. Przyparto go do muru i targano. On, dygocząc jak w zimnicy, stał oparty plecami o ścianę i rękami drżącemi usiłował odeprzeć ataki.

— Wziąć go... na ulicę z nim! rozsiekać! — wołano.

— Szkoda szabli! — krzyczał Dębicki — kijem ubić, jak psa!... nogami zdeptać!

— Uspokójcie się, panowie bracia... uspokójcie się przez Boga żywego! — zaklinał Olszowski, stojąc z ablegatem cesarskim u wyjścia.

Ale baron Mayerberg zdawał się być całkowicie po stronie oburzonej szlachty.

— Jeśli to prawda — mówił — że Kalksteina porwano, to gwałt niesłychany, obelga straszna. Za to prawem odwetu, głowa rezydenta płacić powinna.

I pięknemi swemi, łagodnemi oczyma patrzył z ciekawością a spokojnie na zapasy Brandta z otaczającą go rozwścieklоną szlachtą.

Rezydent słabnął i słaniał się, zdawało się, że lada moment upadnie pod nogi tłumu, który go zdepcze.

W tem ozwał się donośny głos Szczuki:

— Jaśnie wielmożny wojewodo chełmiński, panowie bracia, najjaśniejszy Król wzywa...

I stała się nagle cisza; już tylko pomrukiwały pojedyńcze głosy, a imćp. Marcin Dębicki rzekł:

— Chodźmy, waszmościowie, święć się imię Twoje! i powiedzmy miłościwemu Królowi, jaką jemu i nam wyrządzono obelgę... A tego psa ubić będzie zawsze czas... Chodźmy!

Odstąpiono od Brandta; ten zaś długo nie czekał, jeno chyłkiem, w ślad za Olszowskim i ablegatem cesarskim, wysunął się z antykamery na podwórzec zamkowy.

— To rzecz niesłychana — mówił do podkanclerzego, dysząc ciężko i poprawiając na sobie zmiętoszone ubranie — niesłychany napad... i to pod bokiem Króla! Wściekła szlachta...

Podkanclerzy patrzył nań zimno i odparł zwolna:

– Pilnujcie się, aby nie było to prawdą, co mówiono o zniknięciu Kalksteina... inaczej będzie z wami źle.

A baron Mayerberg dorzucił:

— Gwałt gwałtu przyzywa... Źleście uczynili, mości Brandt... ohydnie!

Rezydent z podełba rzucał na nich wzrokiem niepewnym, spłoszonym i oglądał się, jakby nie wiedział, w którą stronę iść. Potępienia z ust ablegata cesarskiego nie spodziewał się wcale, a Mayerberg mówił tak stanowczo, jakby miał dowody prawdy.

— Ależ klnę się na Boga — bąkał — że ja nie wiem nic...

— Pokażcie tedy co rychlej światu Kalksteina — rzekł baron — i, odwróciwszy się od niego, począł o czem innem z podkanclerzym mówić, z cicha, jakby pozbyć się chciał towarzystwa rezydenta.

Brandt blade wargi gryzł i szedł jeszcze parę kroków z nimi. Ale widząc, że oni już wcale uwagi nań nie zwracają, przystanął, kłaniając się niezgrabnie. Otrzymał w odpowiedzi wzgardliwe skinienie głowy, które go do żywego ubodło.

— Marny pyszałek! — szepnął, mierząc wyniosłą postać cesarskiego ablegata pełnem gniewu okiem.

Nadjechała ozdobna karoca; przez okno wyglądnęła ku niemu uśmiechnięta twarz Morstina.

— Brawo! — wołał podskarbi — *audaces fortuna juvat!* brawo!

I kazawszy przystanąć, zabrał z sobą zgnębionego rezydenta.

— *Un vrai coup de maître...* — mówił — ale jak się to stało? powiedz...

Brandt podniósł na niego ogłupiałe spojrzenie.

— Co?... — rzekł, jakby nie rozumiał pytania.

— Nie kpij! — zawołał Morstin. — Tyś się głupiej szlachty przestraszył... Ale mnie mów prawdę!... Gdzie jest Kalkstein?

Tedy rezydent opowiadać począł. A raz zacząwszy, opowiadał długo, szczegółowo, przechwalając się.

Podskarbi zaś śmiał się, zacierając ręce.

— Gracz z waćpana... — gracz tęgi! - powtarzał.

— Kazałem im — kończył Brandt — jechać śpieszno ku granicy. Naprzeciw wyruszył już pułkownik Flemming z eskortą, a jeszcze przed tygodniem wysłałem kuryera do księcia Croy, by w ślad za Flemmingiem wyprawił drugi oddział... dyabeł bowiem nie śpi, lękam się po drodze trudności...

— E... — przerwał Morstin — najważniejsze dokonane. Tylko ty, kochanku, zniknąć stąd musisz...

Brandt żachnął się.

— Dlaczego? — spytał.

Podskarbi śmiał się.

Bo cię ubiją bez sądu. Nie masz momentu do stracenia, nogi za pas i zmykaj do Królewca...

Rezydent nie był kontent. Wygodnego stanowiska w Warszawie porzucać nie miał ochoty; spodziewał się nawet, że go teraz Elektor na niem w nagrodę ustali; może z rezydenta posłem mianuje.

— Przecież — ozwał się — po tem, co się stało, byłoby to jawnem przyznaniem... nie wypada...

— Tyś jest mądry, gdy o innych chodzi — szydził ciągle Morstin — gdy zaś o ciebie, toś wierutnie głupi... Przyznaniem się! cha, cha!... Nikt twojego przyznania nie potrzebuje, przecież to jawne... a długo, gdyby się nawet udało na razie, taić się nie da. Przecież Elektor z Kalksteinem zabawiać się nie będzie... Ostatni czas skończyć z nim... Więc zmykaj, jeśli ci skóra miła...

Brandt próbował jeszcze przedstawień.

— Tyle spraw — mówił — nie mogę!

— Sprawy Wichertowi zostaw, on się tu już obeznał; zresztą ja mu będę radą. Najdalej jutro umykaj, bo siebie zgubisz, a Elektorowi zaszkodzisz...

Morstin mówił tak stanowczo, że wyglądało to na rozkaz w imieniu Elektora wydany, tedy Brandt zafrasował się jeszcze więcej i po chwili bąknął:

— Taka to nagroda!... tyle trudu, tyle niebezpieczeństw, tyle zniewag, a potem: idź precz...

— Nie pleć waść głupstw! — przerwał zniecierpliwiony podskarbi, chociaż go frasobliwa mina

Brandta okrutnie śmieszyła. — Jeżeli nie dbasz o swoją głowę, to siedź...

Urwał, a potem dodał od niechcenia:

— Co tam! I ja wkrótce stąd pójdę... pójdę na zawsze...

Krótki moment na jego wypieszczonej i szyderczo najczęściej uśmiechniętej twarzy, osiadł cień smutku.

Machnął ręką.

— Bez żalu... co tam! — szepnął, jakby własnym myślom zaprzeczyć usiłował.

— Odwiozę cię na Leszno — rzekł po chwili zwykłym tonem do Brandta. — W gorący czas dzisiejszy niebezpieczno ci samemu po ulicach wędrować.

Dał rozkaz stangretowi i już w milczeniu jechali; dopiero przed samą Thamsonową gospodą ozwał się Morstin:

— Przyszlę ci dziś jeszcze pisma do księcia Croy... doręczysz. Dam ci też szczegółowe na piśmie informacye, co Elektorowi masz odemnie rzec...

Zatrzymała się karoca. Brandt wysiadł.

— Dziękuję Waszej Miłości — rzekł chmurno — za okazywane mi względy...

— Rozpogódź czoło — śmiał się podskarbi — zobaczysz, Elektor cię teraz ozłoci...

Ale rezydent był ciągle posępny i jakby zgnębiony. Nie uśmiechała mu się snadź wcale służba

u Elektora w jego pobliżu; wolał służyć mu zdala, zwłaszcza w Warszawie, gdzie czuł się niejako niezależnym, swobodnym, a był szafarzem elektorskich łask, z których też sam dla siebie bez rachunku mógł czerpać.

Nie działały przeto na niego zachęcające słowa Morstina, który raz jeszcze powtórzył:

— Przyszlę ci zaraz pisma... a ty jutro skoro świt na Szczytno do Królewca... Bywaj zdrów!

— Zalecam służby moje Waszej Miłości... — rzekł Brandt, kłaniając się nizko.

Morstin kiwał głową, lecz ręki doń nie wyciągnął, i szyderczo uśmiechnięty, deklamował przesadnie swój dawny wiersz, zmieniając go nieco:

Jeżeli cię jednak kiedy, rezydencie drogi,
Zapomnę, niech Charybdy topi mię wir srogi...

Dał znak, ruszyła karoca, a przed oczyma skonfundowanego rezydenta mignęła raz jeszcze śmiejąca się ironicznie twarz podskarbiego.

Brandt stał moment, patrząc za nim z wściekłością, poczem splunął i szybko wszedł do gospody. Ale tu czekała na niego znowu niemiła niespodzianka.

U progu komnaty powitał go stolnik Brzoska. Jego pomarszczone i szpetne oblicze nosiło wyraźne ślady przebytych wzruszeń; było żółto-zielonej barwy, czerwonemi plamami gdzieniegdzie znaczone.

— Czekam na was od rana, mości rezydencie... — rzekł ochrypłym głosem.

Brandt wszedł i ze złością kapelusz cisnął na ziemię. Nie patrząc na stolnika, odparł:

A ja wcale waćpana nie pragnąłem widzieć... Dziś czasu nie mam...

— Ja zaś — odrzekł stolnik z tłumionym gniewem — nie mam pieniędzy... Przyszedłem po należność moją...

— Należność! należność!... — wybuchnął Brandt. — Ile?

— Przecie wam najlepiej wiadomo... Dukatów sto...

Rezydent skoczył.

— Wybyście dukaty jedli, a ja ich nie mam!

Stolnik drżał cały. Przystąpił do Brandta, i świdrując go roziskrzonym wzrokiem, rzekł przez zęby:

— Nie żartuj-no waść. Kupiłeś mi duszę, to płać! Tanio ci ją sprzedałem, więc płać i to zaraz... bo źle będzie!

— Co to? groźba! — krzyknął Brandt, siny ze złości.

— Nie groźba, ale prawda. Nie zapłacisz ty, dadzą chętnie inni... Przecie Kalkstein nie dojechał jeszcze do granicy... ja zaś byłem naocznym, a więc cennym świadkiem, jak..

— Milcz! milcz!... — wyszeptał rezydent, i już

bez sporu, drżącemi rękami, zaczął z sakwy odliczać pieniądze.

Brzoska stał nad nim i chciwemi oczyma pożerał dukaty; lecz zarazem dokuczała mu myśl:

— Lepsze było to złoto, któreś zagrabił pod Warką... Lepszy był trzos zabitego Szweda, niż te Judaszowe srebrniki...

Brandt, odliczywszy, odgarnął pieniądze wzgardliwym ruchem ręki i rzekł krótko:

— Żegnam...

Za pogardę i szyderstwo, doznane przed momentem od Morstina, płacił tą samą monetą Brzosce.

Ten wybiegł na ulicę i biegł dalej oszalały, bez pamięci, jakby go co goniło, w stronę królewskiego zamku. Zdyszany, przystanął tam i czekał. Przed zamkiem snuły się gromadki szlachty, żywo rozprawiając; mówiono już głośno o porwaniu Kalksteina i o posłuchaniu, jakie w tej sprawie Król Gnińskiemu i szlachcie udzielił. Posłuchanie dotąd nie było skończone.

— Już tam pan Marcin Dębicki i pan Jankowski — ktoś rzekł obok stolnika — zdołają przedstawić Królowi, jaką zbrodnię spełniono i za dośćuczynienie uzyskać...

— Więc Jankowski już przybył — szepnął Brzoska — to dobrze! Muszę się z nim widzieć...

I chyłkiem wszedł do zamku, gdzie go jako byłego dworzanina pokojowego, bez trudu puszczono.

Gdy szlachta pod przewodem Gnińskiego wtło-

czyła się hurmem do komnaty królewskiej, Korybut widocznie mocno poruszony, siedział w wielkiem poręczowem krześle, spoglądając z przerażeniem, wytrzeszczonemi oczyma, na wchodzących. Obok niego stali dworzanie Rostocki i Szczuka, w wielkich teraz łaskach będący, a tuż przy nim, oparta na poręczy krzesła, pochylona troskliwie ku małżonkowi, królowa.

— Co to? co się stało, wojewodo? — pytał Korybut Gnińskiego — co znaczą te hałasy?

Bezwiednie szarpał palcami koronki szerokiego kołnierza i potrząsał kędziorami długich, trefionych włosów.

— Spokojnie... spokojnie... — powtarzała pochylona ku niemu królowa — zdrowiu swemu szkodzicie...

— A, prawda, prawda — potwierdził Król — szkodzę, a raczej oni mi szkodzą... zabijają!

Tymczasem Gniński podniesionym głosem czynił relacyę. A Jankowski na moment jeden odbiegł myślą od przedmiotu, tak go zajęła jasna, jakby anielska postać królowej, którą po raz pierwszy widział tak blizko.

Była ona podówczas w samym rozkwicie swej dziwnej, nieziemskiej urody.

Mała wzrostem i szczupła, odziana w białą, powłóczystą suknię, bez ozdób żadnych, jeno ze złotą przepaską na jasnych włosach, ruchy miała miękkie, łagodne, wyraz niewyczerpanej dobroci i ciągłego

smutku w oczach dużych, szafirowych i w całej twarzy, bardzo bladej, o rysach delikatnych a pięknych, jak wyrzeźbionych. Gdy zwracały się ku Królowi, oczy te patrzyły jakby ze współczuciem, niemal litością, na innych spojrzenie spadało z wysoka, promienne i zawsze dobroci pełne, ale dalekie, jak zimowe słońce. Otaczał ją całą dziwny czar i majestat zarazem.

Jankowski, patrząc na nią, myślał:

— To jest przedziwna istota; czysta jak łza a smutna jak czyścowa dusza. Odkąd została królową, każdy jej czyn, każde słowo, każdy ruch i myśl każda jest poświęceniem, albowiem przemocą i na zawsze oderwane są od tego, o czem serce marzyło... Tak wyglądać musi rezygnacyi anioł, który schodzi czasem ku utrapionym i rozpacz ich owiewa cichą mgłą spokojnego smutku...

A teraz ona podniosła głowę i z natężeniem wsłuchiwała się w to, co mówił Gniński. Usiłowała dokładnie zrozumieć obcą jej mowę, której się jednak pilnie uczyła.

Wojewoda zaś poważnie a ze spokojem przedstawiał obelgę, jaką przez porwanie Kalksteina wyrządzono Królowi i Rzeczypospolitej.

— To jest crimen! — kończył — to pogwałcenie praw wszelakich!

A na to niecierpliwie poruszył się Korybut.

Gdzie dowody?... — przerwał. — Mówicie, że Kalkstein porwany, a kto to widział?... Przed

momentem był tu ablegat cesarski i podkanclerzy i sam Brandt... oni nie wiedzą nic... Waszmościowie zaś napadacie u mnie rezydenta brandenburskiego!... To jest... to jest...

Pięścią uderzał o poręcz krzesła, szukając wyrazu.

Eleonora znów pochyliła się ku niemu i kładąc rękę na jego ramieniu, szepnęła:

— Nie unoście się, panie! żądajcie dowodów...

— Tak, żądam dowodów! — powtórzył Król, na którego ubieloną twarz wybiegły ceglaste rumieńce.

Tedy Gniński wymienił Jankowskiego nazwisko; a wśród szlachty poczęły odzywać się szmery niezadowolenia, że Król słowom wojewody odrazu uwierzyć nie chciał i miast oburzyć się na Brandta, szlachtę gromił.

Korybut niecierpliwił się.

— Gdzież jest ów imćp. Jankowski, który świadectwo ma dać? — pytał.

Natenczas z tłumu wysunął się Jankowski. Czuł, że mu serce wyskakuje z piersi, albowiem w tym momencie odpowiedzialność na nim ciężyła wielka; żali zdobędzie się na taką wymowę, iżby wahającego się Króla przekonać, do czynu pobudzić i nie jeno Kalksteina, lecz zagrożoną sprawę niepodległości Prus ocalić, wskazać niebezpieczeństwo, jakie Rzeczypospolitej ze strony spanoszonego Elektora groziło?

Oddawszy głęboki pokłon majestatowi, podniósł głowę i ujrzał oczy królowej, utkwione w siebie z wyrazem ciekawości i niepokoju. Eleonorę przeraził niemal widok tego człowieka, o spojrzeniu ponurem, który miał twarz wyschniętą pustelnika, a w swej chudej postaci, w oczach małych, siejących iskry, wyraz nieugiętej siły.

— Ona lęka się mnie — pomyślał Jankowski — ale będzie za mną...

I począł mówić, zrazu głosem stłumionym, jak ten, któremu oddechu braknie, a potem coraz donośniej, z rosnącym zapałem. W przemowie swej mniej wspominał o Kalksteinie, lecz jako naoczny od lat tylu świadek, przedstawiał to, co się w Prusiech działo, aby je od Rzeczypospolitej oderwać, a zapewnić niedawnemu hołdownikowi niezależność i tron...

Nastała cisza, jakby makiem siał. Wszyscy słuchali, a niejednemu dopiero teraz otworzyły się oczy, że w tej z Elektorem walce nie o jednego człowieka chodziło, że ten człowiek był jeno ostatnią zaporą w pochodzie Fryderyka Wilhelma ku niepodległej władzy, na szkodę Rzeczypospolitej, że porwanie Kalksteina, to nie tylko niebywała obraza dla Króla i narodu, lecz dowód rozzuchwalenia się zdobytej podstępem siły. Dzisiaj tę siłę można było jeszcze przełamać, jutro mogłoby być zapóźno. Utrata Prus, to cofnięcie się wstecz, to

postradanie znacznego pośród państw innych wpływu, to cios.

Korybut przestał ręką o poręcz bić i słuchał, wytrzeszczając oczy w przestrachu. Wszak do tego ciosu przyczynił się on sam niemało, dając Elektorowi królewskie poręczenie, że nieszczęsne pakta welawsko-bydgoskie dotrzymane będą! Teraz widział jasno, co sprawił.

Królowa słuchała także. Jakkolwiek Jankowski mówił szybko, mowa jego była jej daleko zrozumialszą, niż poprzednia Gnińskiego oracya. Treść samą uzupełniały i tłumaczyły gesta, wyraz twarzy, cała postać, która wyprężała się w uniesieniu i była jakby żywym protestem przeciw spełnionemu zamachowi. I nagle postać ta przypadła do nóg Króla.

— Najjaśniejszy panie! — wołał Jankowski — weź głowę moją na okup, jeślić kłamię... Tysiące wiernej szlachty pruskiej wyciągają oddawna ku Majestatowi Twemu ręce. Wspomóż ją, a wdzięczność potomnych będzie ci niespożytą nagrodą. Chciej okazać siłę ku upokorzeniu zaciekłego wroga, który hardą głowę coraz wyżej podnosi!...

Oczy królowej rozpłomieniły się dziwnie. Nie mogła ich odwrócić od klęczącej Jankowskiego postaci, a on czuł to spojrzenie, które go rozgrzewało i dodawało coraz większej mocy jego słowom.

Skończył, lecz nie podnosił się z klęczek.

A wówczas Eleonora pochyliła się ku Królowi i szepnęła z mocą:

— Ten człowiek prawdę rzekł... uczyńcie to, o co prosi...

— Cóż mam uczynić? — ozwał się Korybut bardzo zmieszany, wodząc niepewnym wzrokiem po zgromadzonych. — Zawezwę Brandta... zapytam się go... do Elektora wyprawię list surowy... tak, surowy!

— Dozwól nadto, Najjaśniejszy Panie — ozwał się Jankowski — dozwól wiernym twym żołnierzom, by natychmiast na odsiecz szli... Porwanego dogonią i odbiją!

Król niecierpliwie się poruszył.

— Na to ja nie mogę nic!... — przerwał — niech idzie kto chce, to już do hetmanów należy, ja się w to mieszać nie mogę... nie!

I wstał na znak, że posłuchanie skończone. Zwrócił się jeszcze ku zgromadzonym.

— Proszę jeno — dodał — o spokój, iżby gwałtów nie było...

Znowu szmer niezadowolenia był odpowiedzią na te słowa. Wychodzono w pognębieniu:

— On listem surowym chce gwałty naprawiać... A Elektor z tego drwi... co mu tam listy!

Jeden z ostatnich wychodził Jankowski. Odwrócił się w progu; królowa patrzyła za nim i pożegnała go spojrzeniem, które wyraźnie mówiło:

— Uczynię, co będzie w mocy mojej, ale walka z niedołęstwem najtrudniejsza!

I podeszła do Króla, który stał znużony, patrząc przed siebie bez wyrazu.

— Wieczyste kłopoty — szeptał — wieczyste! Jednego dnia spokoju nie ma... strach!

Rostocki stał przy nim z przymuszonym uśmiechem na ustach.

— Miłościwy Panie — mówił — zdrowie twoje droższe nad wszystko...

— Moje zdrowie! — przerwał Korybut, machając ręką — moje zdrowie złe, bardzo złe... Mizerny jestem, co?

Rostocki zaśmiał się wesoło:

— Jeszczem nigdy zdrowszego oblicza nie oglądał...

Król poklepał go po ramieniu.

— Pochlebniku! ja czuję, żem mizerny... coś mi oczy wciąga w głąb... nie widać tego po mnie, co?

— Ani śladu! — zawołał Rostocki i wnet odwrócił rozmowę od drażliwego o wyglądaniu przedmiotu.

— Był tu dziś zrana stary Abram...

— A... był? i cóż?...

— Przyniósł rubiny... śliczne!

— I zostawił je?

— Są w sypialni Waszej Królewskiej Mości...

Oczy Króla, który w drogich kamieniach się kochał, zabłysły.

— A to chodźmy... chodźmy! — mówił — będziemy je oglądali... wybornie!

Śpieszącego się powstrzymała królowa.

— Należałoby może — rzekła — wezwać zaraz podkanclerzego i Paca na naradę...

Król z widoczną niechęcią spojrzał na nią i jakby mu już myśl o Kalksteinie i sprawie pruskiej zupełnie z głowy uciekła, w roztargnieniu spytał:

— Na naradę?... na jaką i po co?

— Przyrzekłeś Wasza Miłość wysłać pismo do Elektora... zadośćuczynienia żądać... Z tem zwlekać niepodobna!...

Korybut przystanął, zasępiony.

— A tak... prawda... trzeba... Nie można ani chwili spocząć!... Niech Szczuka wnet idzie i w mojem imieniu ich zawezwie. Oni pewno i takby przybyli moją biedną głowę kłopotać...

Rękę przykładał do czoła, stękając.

— Głowa mnie boli... i tak jakoś mdli...

— Śniadanie przygotowane... — szepnął Rostocki.

— A to dobrze... chodźmy!

I nie patrząc na królowę, wsparty na ramieniu umiłowanego dworzanina, poszedł Korybut jeść śniadanie i rubinami się bawić.

Tymczasem do wychodzącego od Króla Jankowskiego podbiegł czekający nań w antykamerze, Brzoska.

— Kłaniam się waćpanu... — rzekł.

Jankowski żachnął się ze wstrętem, a ze zdumieniem patrzył na bladą, mocno poruszoną twarz stolnika. Chciał odejść, nie odrzekłszy nic, ale Brzoska mówił dalej, śpiesznie, zapobiedz snadź chcąc, aby mu nie przerwano:

— Ważne mam dla waści nowiny... Posłuchać warto... byłem świadkiem naocznym porwania Kalksteina...

— Należałeś waść do spisku! — surowo ozwał się Jankowski.

Stolnik w piersi się bił.

— Nie!... jeno biernym świadkiem byłem... Panu Bogu przysięgam... Schwytano go, skrępowano, na skarbny wóz rzucono i uwieziono...

— Kiedy to się stało?

— Wczoraj, późnym wieczorem...

— W którą stronę...

— Pojechano ku przewozowi Bielańskiemu, a słyszałem, jak rezydent Brandt nakazywał Lehndorffowi, iżby jechali koni nie szczędząc, na Żerań, Jabłonnę, Nieporęt, ku granicy pruskiej...

Jankowski słuchał i w myśli obliczał, żali ich jeszcze dogonić było można.

— Nie ma momentu do stracenia... — rzekł sam do siebie — natychmiast gonić trzeba...

I zwracając się ku stolnikowi, spojrzał mu bystro w oczy.

— Dlaczego mi waćpan to mówisz? — spytał. —

Jeżeli dlatego, aby drogę zmylić, to na rany Chrystusa się klnę...

— I ja na nie przysięgam! — żywo przerwał Brzoska — że mówię prawdę... Oddaję się w wasze ręce... weźcie mnie z sobą...

Jankowski moment się wahał.

— Nie! — odparł stanowczo — w mojej kompanii dla takich jak waćpan miejsca niema... Toby nieszczęście przyniosło. Nam potrzeba sumień czystych i rąk dzielnych...

I odszedł spiesznie.

Stolnik pięścią za nim pogroził i splunął ze złością.

— Wściekły pies! — mruknął — i on mnie pogardą traktuje!... Żebym tak siłę miał!... Ale ja cię jeszcze wraz z przyjacielem twoim Łyszczyńskim w moje ręce dostanę... poczekaj!

Szedł ulicami z pochyloną głową, którą tysiące ugniatały myśli.

— Że też wszędy — szeptał — pogarda mnie ściga? Jakby jakieś przekleństwo... I ci, którym służę i ci, których nienawidzę, jednako mi płacą... Co teraz czynić? Do Wilna, czy do Niewodnicy wracać niema po co; z zamku królewskiego wyparli mnie Szczuka i Rostocki!... Brandt sam niepewny... do niego niema co iść...

Przystanął i rozglądał się dokoła. Zaszedł na ulicę Jezuicką, kędy wznosił się wielki dworzec biskupów poznańskich.

— Byłby tu dziś Kalkstein bezpieczny — pomyślał z szyderstwem stolnik — ano, nie poszczęściło mu się...

W tymże momencie z podwórza pałacu wytoczyła się kolasa Morstina.

Odwiózłszy Brandta, podskarbi chciał widzieć się z X. Wierzbowskim, snadź, aby własną sytuacyę u wpływowego senatora zbadać, ale zacny biskup, oburzony coraz widoczniejszemi intrygami, w których rękę podskarbiego widział, wytrzymał go czas jakiś w antykamerze, a w końcu przyjęcia odmówił...

Dotknięty do żywego tą odmową, Morstin wyjeżdżał, a Brzoska dostrzegł przez okno kolasy postać jego wciśniętą w głąb i twarz, zaczerwienioną z gniewu, z wydętemi hardo grubemi wargami...

— Coś mu nie poszło! — pomyślał. — Nie cierpię tego przeklętego Francuzika... ale wyboru nie mam. Do niego pójdę. On zawsze usług potrzebuje, a snadź sam niebawem zmykać stąd będzie... to i mnie zabierze z sobą... Pójdę wszędy, byle stąd daleko.

I poszedł do Morstina.

Tymczasem Jankowski odbył na Pradze krótką naradę z wiernymi towarzyszami swymi.

— Niema co się wahać — mówił Klatt swoim grubym, stanowczym głosem, potrząsając kwadratową głową — gonić trzeba, dziś jeszcze...

— Zanimbyśmy — dorzucił obersztlejtnant

Stencel — uzyskali pomoc od Paców lub Króla, Elektor jużby zdusił Kalksteina...

— Tak! — potwierdził z mocą młodzieniaszek Roth — nie oglądać się na nic i na nikogo nie czekać...

Ponura twarz Jankowskiego rozjaśniła się na moment.

— Wyście gotowi! — zawołał — wiem to... Ale żali takich wśród nas dużo jest?...

Poczęto tedy obliczać siły.

I w tej nowej wyprawie spotkał Jankowskiego zawód. Zrazu zaciągi na Litwie szły wybornie. Zagrzani jego gorącem słowem, różni młodzieńcy garnęli się ku niemu, pociągani urokiem tej awanturniczej przeciw Elektorowi kampanii. Ale już w ciągu podróży niektórym zaciężyła twarda dowódzcy ręka. Jankowski powtarzał sam każdemu, iż w tej walce nie należało spodziewać się ani chwały, ani nagrody, ani stanowczego zwycięstwa; że tu szło jeno o to, iżby przykładem takiej rozpaczliwej wyprawy zachęcić innych, wywołać skuteczną pomoc Króla i Rzeczypospolitej.

— Na głód, na chłód, na trud i na śmierć pewną idziemy! — wołał — kto nie czuje w sobie mocy takiego poświęcenia, niech lepiej ostanie...

Niektórzy też, zniechęceni, zostawali. Jankowski nie wstrzymywał nikogo, a odchodzących żegnał bez goryczy.

— Dobrze waść uczyniłeś — mówił — iżeś

wejrzał w siebie zawczasu... Potem mógłbyś sobie nieszczęście a nam szkodę przynieść... Nam potrzeba takich, którzy za siebie nie oglądają się, o sobie nie myślą, a przeto są na wszystko gotowi...

Teraz jednak widział, że aby skuteczną Kalksteinowi pomoc przynieść, garstka pozostałych jest nieco zamała. W ostatnim momencie jeszcze odstąpiło kilku, ale postanowiono bezzwłocznie wyruszyć i jeszcze tejże nocy wyjechać.

U Bielańskiego przewozu stał znów jak wczoraj stary Psota, ponury, milczący. Noc była bezksiężycowa, ciemna, chociaż pogodna; mróz ściskał, woda pod mroźnym podmuchem szumiała dziś inaczej: miała czasem jękliwe tony, dalekie, to znów bliżej odzywał się w jej głębi huk stłumiony, ale wyraźny, który u samego brzegu rozpływał się w głuchy plusk opadającej fali. Czasem zamigotały na jej powierzchni gwiazdy, ale do brzegu fala przybiegała czarna, kołysała czółnami, cofała się i rozpływała z cichym szmerem na nadbrzeżnym piasku.

Pierwszy w pędzie nadjechał Jankowski.

— Hej! hej! — wołał już zdaleka — gotować przewóz!

Psota krzyknął na czółników, którzy wnet zażegli pochodnie. On zaś pytał Jankowskiego:

— Ile koni?

— Bez mała trzydzieści.

— Dlaczegóż w nocy? — mruknął stary — wiatr dmie... niebezpiecznie...

— Nie mamy momentu do stracenia — przerwał żywo Jankowski — gotujcie się!

Stary się przeciwił: konie były wielkie a rącze, o nieszczęście w noc ciemną nietrudno, zwłaszcza, że promy zużyte.

Wreszcie zgodzono się, że przeprawa odbywać się będzie częściami, po trzy albo cztery konie, powoli, ostrożnie.

Ożywiły się brzegi Wisły; po obu stronach jaskrawe światło rzucały ogniska, migały w rękach czółników pochodnie, wyrzucając z siebie smugi czarnego dymu. Ścichł szum rzeki, zgłuszony donośnymi okrzykami przewoźników, parskaniem koni, tętentem ich kopyt i wołaniem:

— Hej, hej! hej, hej!

— Trzymaj mocno! powoli! z Bogiem!

Pierwszy oddział odpłynął. Jankowski sam pilnował przeprawy, niecierpliwiąc się w duchu, że ona tak długo trwać musiała. Stał obok Psoty i z wytężeniem a niepokojem patrzył na oddalający się prom.

Psota wysunął się naprzód i żerdzią poprawiał ognisko. A wówczas Samuel ujrzał w blaskach dziwną twarz starca, dużą a wyschniętą, z roztarganą siwą brodą, o pałających gorączkowo oczach.

I naraz zagadnął:

— Byliście wy wczoraj przy przewozie w nocy?...

Stary podniósł na niego pytający wzrok.

— Byłem, panie — odparł — byłem... Jechali zbójnicy z łupem... żywym jeszcze, bo jęczał. Słyszałem!

Jankowski ręce załamał:

— A wiecie wy, coście uczynili? — zawołał — kogoście uprowadzić dali?... Biedny, nieszczęśliwy Kalkstein!

A na to nazwisko Psota żachnął się gwałtownie.

— To był on... Kalkstein! Znam go, byłem u niego, pomoc mi przyrzekł, a teraz sam...

Urwał i posępnym wzrokiem patrzył w ciemną dal.

— Wy mu na odsiecz iść chcecie... — ozwał się po chwili. — Oni na Nieporęt uszli... z wozem ciężkim iść muszą wolno... ale nie dogonicie prostemi drogami, nie dogonicie! Trzeba manowcami krótszemi lecieć, przez pola, ugory... Ja te manowce znam, bom je nieraz z moim zmarłym dobroczyńcą imćp. Gissą przebywał... Mam też tam na Żuławach siostrę, podle Pogorzałej wsi... Znam przeto drogę i niedawno tam byłem...

Po chwili, jakby nieśmiało dorzucił:

— Dozwólcie panie, ja was przeprowadzę...

Samuel podejrzliwie nań spojrzał.

— Kto wie — myślał — jakie on ma zamysły!... może to najemnik Brandta i z drogi nas chce zwieść...

Więc zrazu nie odpowiadając, począł badać starca, coby on miał za przyczynę, aby iść z nimi na niebezpieczną wyprawę.

Tedy Psota opowiedział mu wszystko. Mówił głosem stłumionym, który łamał się w krtani; głowę pochylał, to znów ją dźwigał, a wówczas Jankowski widział jego oczy, ciskające iskry z pod brwi siwych, nastrzępionych.

— Nie było dla mnie na świecie nic — kończył starzec — nad moją Maryś, a oto zbezcześcili mi ją i porwali. Tedy żadnego niebezpieczeństwa się nie lękam... na wszystko odważę, bo mi się dusza, rozpaczy pełna, wyrywa sama z ciała. Pragnę pomoc wam dać w tym pościgu, pragnę przyczynić się do wyzwolenia imćp. Kalksteina, który o mojej niedoli wie, i nad nią się użalił, a którego porwały snadź te same zbrodnicze ręce, co i Maryś moją... A może... może... tam...

Urwał, Jankowski zaś rzekł:

— Macie nadzieję, że ją tam nadybiecie... w Prusiech?

— Nie mam nadziei — odparł starzec — ale gdybym ją spotkał...

— Przebaczylibyście jej? — żywo zagadnął Jankowski.

Starzec począł siwowłosą głową trząść.

— Panie, panie! — zawołał — wczoraj kląć chciałem... jej zbuntowaną głowę... Ale Bóg miłosierny zamknął mi usta i zmordowanego powalił

na ziem... Więc już tych ust przekleństwo nie otworzy... Milczeć będę i odwrócę się, jeśli żyć dalej zechce w ohydzie... nieszczęśliwej a pokutującej, przebaczę... przygarnę ją...

Zamilkł moment, a potem dorzucił błagalnie:

— Nie dziwujcie się, panie, słabości starca i nie potępiajcie... Wszakże to dziecko moje... moja krew!

A Jankowski objął go ramieniem:

— Moc przebaczenia — rzekł z cicha, głosem wzruszonym — to największa moc. Bóg wam dał wielką łaskę, iż przebaczyć możecie... Chodźcie tedy z nami na głód, na chłód, na trud i na śmierć bez chwały!

Starzec pochylił się Jankowskiemu do kolan.

— Dzięki wam — rzekł — dzięki!...

I podnosząc głowę i prawicę ku niebu, powtórzył przysięgę straceńców.

— Ona mu idzie z duszy — pomyślał Samuel, słysząc te słowa z ust starca, wymawiane głosem silnym a głębokim.

Psota szybko podążył do chałupy i niebawem powrócił stamtąd uzbrojony cały. Miał pancerz na sobie, i hełm i wielką szablę u boku. Jakby mu nagle sił przybyło, ruszał się w tem uzbrojeniu swobodnie, jakby z młodzieńczą żywością.

— Hej, hej! — rzekł do Jankowskiego niemal wesoło — tak mi się zda, jakbym z zacnym panem moim, niegdy oberszterem Gissą na wojaczkę szedł... Wojowaliśmy to, bywało, wojowali!...

Ale na opowieść nie było już czasu. Prom przybijał do brzegu, iżby ostatnich towarzyszy i Jankowskiego przewieźć.

Obok niego stanął Psota, nagląc do pośpiechu.

— W imię Boże i Panny Najświętszej! — rzekł, podnosząc w górę ramiona, gdy prom ruszył.

III.

POD WILLENBERGIEM.

Jechano bardzo śpiesznie, z wytężeniem. Psota zdjął zbroję, gdyż starym barkom zaciężyła, złożył ją na wóz, który za kompanią podążał, a dosiadłszy jednego z koni powodnych, jechał naprzód, wskazując drogę bliższą, manowcami.

Ludzi, których spotykano po drodze, w polu, wypytywał wnet Jankowski, zali nie widzieli elektorskich dragonów, trzymających straż przy wozie skarbowym. Ale na manowcach, któremi wiódł Psota, trudno było zasięgnąć języka. Aż dopiero koło Jabłonnej, wydobyto się z puszczy leśnej na drogę szeroką i podążono do wsi, gdzie otrzymano pierwsze wiadomości od stojących podle karczmy wieśniaków.

— Jechał tu, panie, wczoraj taki poczet — mówił jeden stary. — Konie były okrutnie zmordowane, więc musiano przystanąć. Ale spieszono się tak, jak w ucieczce. Zwłaszcza jeden, który snadź był starszy nad wszystkimi, wielki czynił

hałas, nagląc. Drugi zaś mały, maluśki, z opuchniętą twarzą, także krzyczał, a zwijał się wszędy i skakał...

— Karlik Brandta! — mruknął Psota.

— Gromadą otoczyliśmy tabor i patrzyli ciekawie, bo to byli panie nie zwyczajni rycerze... Oni wieźli z sobą snadź skarby wielkie... gdyż około wozu ciągłą straż trzymali, a zwłaszcza ów starszy...

— Et, bajesz - przerwała mówiącemu młoda, rezolutna niewiasta, zbliżając się żywo ku Jankowskiemu — jakie tam skarby? Oni wieźli wielkiego zbrodnia... sama widziałam... Zaraz, ot, tam na zakręcie, widzicie? wydobyto go z wozu... Chryste Panie, jak on wyglądał! Cała twarz w sinych plamach, oczy bielmem zaszły, a chociaż rosły był i zda się silny, na nogach się słaniał...

— Mówił co, krzyczał? — spytał Jankowski.

— Gdzie tam, panie, mówić nie mógł, dygotał... Stałam podle chałupy mojej, za płotem, i wszystko widziałam. Prawił coś do niego ów starszy, ale zrozumieć nie mogłam, bo nie naszą mową, on zaś jeno głową chwiał.

— I cóż z nim uczyniono?

— Ano, nic. W koło nich kupa zebrała się ludzi ciekawych. Ów starszy rozganiać kazał, ale to nie wiele pomagało. Karlik zaś, który, Boże odpuść, jak dyabeł wyglądał, przybiegał raz w raz ku nam i krzyczał...

— Czego się gapicie?... bogdaj wam oczy wylazły! Abyście zaś zrozumieli, to wam powiem: Wieziemy wielkiego zbójnika, który zdrajcą był... wieziemy go do jego pana, który wielki a mocny jest, iżby go ukarał... Rzekł nawet, jaki to pan, ale nie pomnę... jeno musi być mocny, bo karlik ów tak prawił, iż gdyby on, ten pan, samego Najjaśniejszego Króla schwytać im kazał, toby schwytali... Musi więc ten pan mocny być... większy, niż sam Król...

— Cóż dalej? — niecierpliwie przerwał Jankowski — nie widzieliście nic więcej?

Białogłowa odparła żywo:

— Cobym widzieć nie miała?... Widziałam wszystko, jak tu na was, panie, dziś patrzę... Wzięto owego jeńca pod ramiona, wydźwignięto na białego rosłego konia i przywiązano. Ów zaś starszy wydziwiać mu począł i grozić... Do czoła wielki pistolet mu przykładał i krzyczał. A ten głową chwiał ciągle i raz słyszałam, szepnął: — Nie powiem... ni słowa! Okrutnie mu w piersiach zachrzęściało i zmilkł...

Jankowski opowieści tej słuchając, pięści zaciskał.

— I wy, ludzie — krzyknął — staliście kupą w około i nie broniliście? Gdzie sumienie!

— A dyć to zbrodzień był... — odparła niewiasta.

Stary zaś wieśniak ramionami dźwignął.

— A nam co do tego! — rzekł — każdy na swoje pociąga; nam się w to nie mieszać...

— A jak bronić? — dorzuciła białogłowa. — Oni go zaraz otoczyli, ci zbrojni, i ruszono pędem, z kopyta...

— Na koń! — zawołał Jankowski — może jeszcze dogonim!

Za wsią wjechano w las. Psota prowadził ścieżynami leśnemi, które miały drogę skrócić, ale jechać niemi było niesporo; konie ustawały. Jankowski chwilami rozpaczał, zwłaszcza gdy dla odpoczynku przystawać musiano.

Z równem wszakże wysileniem podążał Lehndorff ze swą zdobyczą. Kilka koni padło w drodze; w Nieporęcie zachorzał Tomaszewski; rana rozjątrzyła mu się na twarzy, gorączki dostał i ostawić go musiano, a z nim razem dwóch pachołków i parę zmordowanych koni, które oni mieli nazad do Warszawy odprowadzić. Kupowano inne i śpieszono dalej... Ale w tem wytężeniu omdlewali niemal wszyscy; nawet Montgoméry stracił humor, milczał posępnie, a od czasu do czasu spluwał i klął.

Kalkstein, uwiązany do konia, jechał nie mówiąc ni słowa, nie skarżąc się, nie czyniąc żadnego wysiłku. Zdawaćby się było mogło, że nie czuł i nie myślał nic.

— Przywieziemy Elektorowi trupa! — rzekł raz Lehndorff do Hugona, wskazując oczyma na Kalksteina, który za każdem stąpnięciem konia słaniał

się bezwładnie i byłby upadł, gdyby nie krępujące go sznury i ramiona jadących obok dragonów.

Montgoméry spojrzał i odparł:

— A niech! co mi tam... byleby już dojechać...

Tymczasem, pomimo pozornej obojętności, Kalkstein od tego momentu, gdy skrępowany w wozie przyszedł do zmysłów, przebywał dziwną w sobie zmianę. Czuł dojmujący ból fizyczny; bolało go całe ciało i z osobna każda kosteczka, ale w duszy, po chwilowem uniesieniu rozpaczy, przychodziło uspokojenie. Zrazu myśli plątały się w mózgu bezładnie, rwały się, wylatywały jak ptak spłoszony i nie wracały. Gdy skrępowany w wozie leżał, zduszony i zgnieciony, zdawało mu się, że umrze, przyzywał śmierci bez żalu; żegnał w myśli i błogosławił małżonkę i dzieci; czasami w gorączce słyszał wyraźnie płacz Krysia... Własne, głuche łkanie, które mu pierś rozrywało, brał za płacz dziecka i tulił je pieszczotliwie:

— Nie płacz, synku, nie płacz! — powtarzał szeptem. Przymykał oczy i wpadał w ciężki sen.

Nagle, w Jabłonnej, owionęło go zimne powietrze i ocuciło. Dźwigano go z wozu i usiłowano wsadzić na konia. On jęczał z bolu, obezwładniały; dźwigano go z trudem, a on nie miał woli żadnym ruchem im dopomódz; oczy zawarł... Patrzeć nawet nie chciał... Słyszał gniewne okrzyki Lehndorffa, który mu nakazywał milczenie i śmiercią groził, słyszał naigrawania się szyderskie Hugona, ale te

głosy zdawały mu się dalekie, zgłuszone, obojętne. Odpowiedział Lehndorffowi, sam nie wiedząc, co mówi. Wiązano go; na opuchnięte nogi i zgniecione ręce nakładano pęta, on zaś poddawał się temu bez oporu, jęczał jeno głucho.

Ruszono wreszcie w dalszą drogę. Zrazu ruch konia, odbijający się dotkliwie w jego zbolałem ciele i sama świeżość powietrza wprawiały go w omdlenie. Podano mu wina, on je pił chciwie, spragniony, i za moment oczy otworzył.

Był ranek słoneczny; promienie słońca przysłaniała przejrzysta mgła. Świeży śnieg iskrzył się, migotał, zdawał się poruszać, że okryta nim równina wyglądała jak wielkie falujące jezioro. W oddali widniejące pasmo lasów, z drzewami okrytemi szronem, w mgle promiennej, zdawało się warownym grodem o dziwacznych kształtach. Przydrożne drzewa chyliły nizko obciążone szronem gałęzie, jakby dawały pokłon przejeżdżającemu jeńcowi. Cisza. Słychać jeno krakanie wron, krążących ponad drzewami gromadą i głuchy chrzęst spadającego z gałęzi szronu.

Ani na Lehndorffa, ani na Hugona, ani na całą otaczającą go zgraję, Kalkstein nie patrzył. Nabiegłe krwią oczy podniósł w górę i napawał je blaskiem: otworzył spalone usta i pił powietrze, wciągał je do zdławionej piersi, a czuł, że mu się serce otwiera.

— Boże, Boże szepnął — jaką Ty piękność dałeś światu i jaki spokój...

Rzecz dziwna. Nie czuł w sobie żadnej nienawiści, żadnego gniewu. Zmieszane głosy swoich oprawców słyszał ciągle, ale one nie obudzały w nim żadnego innego uczucia, prócz żalu, że niesfornym gwarem mącą rozkoszną ciszę.

Po drodze, a zwłaszcza na popasach, gromadziły się ciągle wokół nich tłumy ludzi, ciekawych kogo to wiozą. Lehndorff i Montgomery coś im wówczas tłómaczyli, a Kalkstein raz dosłyszał, jak wśród tłumu tego podnosiły się złorzeczenia.

— Dobrze mu tak! — wołano — niech ginie zdrajca! Jemu zaś serce skoczyło w piersi. Wyprostował się, że aż powrozy trzasły, głową rzucił i krzyknął:

— Nie!

Zadziwił go własny głos jego; ochrypły a przeraźliwy jak jęk.

Lehndorff poskoczył ku niemu i, przykładając mu znowu lufę pistoletu do czoła:

— Milcz! — wrzasnął.

Po raz pierwszy spojrzał nań Kalkstein swemi zakrwawionemi oczyma, a w tym wzroku musiała być siła dziwnie ogromna, gdyż Lehndorf wytrzymać go nie mógł i zwracając się ku swoim:

— W drogę! — rozkazał.

Odtąd zatrzymywano się coraz mniej, a dążono coraz spieszniej. Znowu kilka koni padło i musiano

inne kupować. Aż dopiero dnia 1 grudnia z rana ujrzał Kalkstein srebrną wstęgę Nogatu, wijącą się pomiędzy wsiami Szonowem a Willenbergiem.

— Granica! — mruknął Lehndorff do Hugona — żebyż ją przebyć!... Pułkownik Flemming z posiłkami pewnie tam czeka...

Montgoméry żachnął się niecierpliwie.

— Po co nam to! — odparł. — Po co było żądać posiłków? Wobec Elektora taka podzielona zasługa nie znaczy nic... A my dalibyśmy sobie radę sami!

Ale Lehndorff był innego zdania.

— Lepiej — rzekł — podzielić zasługę, niż całą stracić. Ja mam przeczucia złe... chciałbym już być w Willenbergu. My sami z tymi zmordowanymi końmi i omdlałymi ludźmi nie oparlibyśmy się i dziesięciu junakom...

Był niespokojny i oglądał się na wsze strony. Choroba Tomaszewskiego, kupowanie koni po drodze, dłuższe popasy, z powodu zmordowania, opóźniły ich nieco. Ucieczka z jeńcem, którego bądź co bądź żywym lepiej było dowieźć, musiała być powolniejszą; dobrze urządzony pościg, mógł ich nawet przegonić i drogę odciąć. Tak rozmyślał Lehndorff i obliczał swe siły. Były słabe; w razie napadu czterech co najmniej dragonów musiałoby pozostać przy jeńcu i jego wyłącznie strzedz; z innych zaledwie na Baumgardta i Fehra liczyć można

było, że wytrzymają natarcie; reszta pierzchłaby od razu wobec przemagających sił.

I jeszcze jedna rzecz przeraziła go mocno nad samym rankiem. Mijali Pogorzałą wieś, nędzną osadę, położoną na lewym brzegu Nogatu, w dolinie. Od rzeczki szły gęste opary i zwisały ponad wsią, pogrążoną jeszcze w mroku. Ale bystre oko Lehndorffa dostrzegało tam ruch niezwykły. Byłoż to przywidzenie? Przecież najwyraźniej dochodziło rżenie koni, a w mgle zdawały się poruszać jakieś postacie. Zapytany Hugon nie widział i nie słyszał nic; złościł się jeszcze i spluwał.

— W malignie jesteś... dyabeł cię tumani! — mówił.

Ale nie! Na skręcie drogi, pod małym laskiem zamajaczyła wysoka, śpiesznie idąca postać.

Lehndorff przyłożył rękę do czoła i z wytężeniem patrzył.

W tymże momencie zoczył ich idący naprzeciw i przystanął. Chwilę się wahał i nagle skoczył w zarośla — zniknął.

— Widziałeś?... — rzekł Lehndorff do Hugona z przestrachem — widziałeś? kto to był!

— Ano — odparł Montgoméry — człowiek.

— Człowiek... człowiek... — odburknął Lehndorff. — Alem ja go widział dobrze... to jest ten sam, co u Bielańskiego przewozu stał... ten sam, co nas już wtedy chciał wstrzymać...

Montgoméry zaśmiał się w głos.

— Tyś już całkiem zmysły postradał! Jakiś cię strach opętał. Stary Psota, skądby on się tu wziął?... A choćby... Na niego dmuchnąć a padnie.

Ale Lehndorff rozkazał natychmiast dwom dragonom popędzić w to miejsce, kędy owa postać znikła w zaroślach. Pognali, lecz wnet wrócili z niczem; głucho było wszędy i pusto.

Montgoméry patrzył szydersko na Lehndorffa i gwizdał.

— Czas tracimy nadarmo... — ozwał się po chwili — jedźmy do Szonowa... spocząć trzeba; kości bolą, a w gardle wyschło...

Pojechali, ale Lehndorff oglądał się wciąż za siebie trwożnie; kazał dwom dragonom w tyle pozostać, dwóch wysłał przodem; sam zaś z jeńcem, Montgomérym, Fehrem, Baumgardtem i pozostałymi dragonami środek trzymał.

Już promienie słońca wybłyskiwały z poza mgły, gdy nagle wiatr powiał od rzeki, napędził tumany chmur, które wchłonęły w siebie światło; stała się ciemność i począł padać gęsty śnieg.

— Słyszysz? słyszysz?... - rzekł nagle Lehndorff do Hugona — tętent!...

A Montgoméry wybuchnął.

— Żebyś ty zgłuchł na wiek wieków, *canaille!* — wrzasnął. — Strach ci w uszach tętni...

Lehndorff nie mylił się wszakże... Pościg był blizko.

Jeszcze wczorajszego dnia, późnym wieczorem

przybył do Pogorzałej wsi Jankowski ze swą kompanią.

Psota przeprowadził szczęśliwie manowcami i był niemal przekonany, że uciekających wyprzedził.

— Oni tu — mówił — dopiero jutro nad ranem być mogą. Tedy mamy czas spocząć...

Ale Jankowski sam spoczywać nie chciał. Kompanię swoją, która w nużącej drodze także się umniejszyła, kilku bowiem towarzyszy z zimna i trudu zachorzało i musiało pozostać, troskliwie zlustrował i rozstawiwszy czaty, słabszym spoczynku dozwolił. Sam zaś nad uśpionymi straż trzymał, czujny na każdy ruch lub odgłos.

— Jeśli ich wyprzedziliśmy — myślał — wygrana nasza!

Noc już była głucha, gdy zbliżył się do niego Psota. On nie spał także, ciężkie myśli go gryzły.

— Panie — rzekł szeptem — mam tu niedaleko siostrę, starą Kachnę... Mieszka w chacie pod lasem. Mąż jej czółnikiem był; pojechał raz na bystrą wodę i przepadł, a ją odtąd dyabeł opętał. Zła jest a wie i słyszy wszystko i ze zbójnikami, powiadają, w zmowie bywa. Byłem ci ja u niej, gdy mi Maryś zginęła... przysięgam, że ona wiedzieć musi, że może dopomogła, ale wówczas nic mówić nie chciała... Pozwólcie, panie, dziś pójdę a tak mi się zda, że ona i nam pomocą być może...

Jankowski niechętnie słuchał. Było i teraz tak, jak zwykle; i w tym starcu szarpała się jego wła-

sna rozpacz, jego własny ból... Poszedł z nimi, aby córkę ratować, aby się pomścić może, nie zaś, ażeby w osobie Kalksteina sprawy pruskiej bronić! Przyszło mu jednak zaraz na myśl, że mogło być tak, jak mówił starzec. Wszak ów Kleist, który Maryś porwał, to był syn rodzony zaciętego wroga Kalksteina; więc jeźli stara Kachna w zmowie z nim była, wiedzieć też mogła o wielu rzeczach, które się tej sprawy tyczyły. Odrzekł tedy:

— Idźcie z Bogiem, a wracajcie rychło. Patrzcie też pilnie po drodze, czy gdzie elektorskich dragonów nie ujrzycie...

Stary pokłonił się i ruszył co żywo.

Na skraju lasu, na wzgórku, była nędzna, waląca się chałupa. W drzwiach otwartych, przez które buchały blaski palącego się na kominie ogniska i drgały czerwonemi plamami na białym śniegu, na pniach i gałęziach drzew, szronem okrytych, stała Kachna. Zdala, na tle tych czerwonych, migotliwych blasków, wyglądała iście jak czarownica. Chuda, wysoka, z roztarganym siwym włosem na głowie, machała wciąż wyschłemi rękami, mówiąc po za siebie piskliwym głosem:

— Skaranie Boskie z tobą! Czego ty płaczesz a jęczysz? Czy ty pierwsza z taką dolą? Nie pierwsza i nie ostatnia... Gadałam ci ja przecie, gdyś tu do mnie raz pierwszy z owym pięknym niemcem przyszła... Gadałam ci ja: nie na długo będzie tego kochania, bo on piękny i bogaty, a ty co?...

Z wnętrza chałupy ozwało się szlochanie:

— O, ja nieszczęśliwa! a co ja teraz poczne? co poczne!

— Owa! — mruknęła stara. — Masz teraz grosz, co go ci niemiec dał...

— Żebym go była nie widziała nigdy!... dyabelski grosz...

Stara zaśmiała się sucho, szczerząc czarne zęby.

— Głupiaś! grosz zawdy jednaki. Kto cię spyta, skąd on? Weźmie, napoi za to, nakarmi, chuścinę sprzeda... Hojny był pan... niema co rzec. I mnie poratował. A to byłabym z głodu już zdechła. Zarobku nijakiego, a twój rodzic, niby mój brat, zali spytał się kiedy: Z czego ty żyjesz starucho? Nie! suche liście gryź i zdychaj!...

Poruszała ją całą złość; dygotała, a z izby dochodziły ciągle płacz i jęk, na ognisku zaś syczały głośno gałęzie, odmarzając w ogarniającym je płomieniu i sącząc wodę, jak łzy.

Kachna zaś po chwili mówiła dalej, z rosnącym gniewem:

— On zawdy, rodzic twój, jeno z panami żył, na wojaczkę z nimi chadzał, a o krew własną nie dbał.

— Nieprawda!... — jęknęła Maryś — o, nieprawda! Dobry był ociec, dobry a miłujący... to ja byłam zła... ja!

— Głupiaś!... On ci teraz i ten grosz wydrze, co go masz... A ja ci mówię tak na rozum: schowaj go; będziemy teraz razem żyć... Nie tu w tej

nędzy, jeno tam... w Rastemborku... Alboż to zamknięty świat... Młodaś... pięknaś... to i co?

— Nie! nie! — krzyczała Maryś.

Silne ramię schwyciło nagle starą Kachnę za plecy i wyrzuciło precz, za próg, na śnieg.

Na środku chaty, przed barłogiem, na którym leżała Maryś, stanął Psota. Nie mówił nic, drżał cały jak w zimnicy, a ognistem spojrzeniem przeszywał córkę...

Ona porwała się i skulona, śmiertelnym lękiem zdjęta, przytuliła się do ściany, z załamanemi na piersiach rękoma. W blaskach ogniska widać było jej twarz, białą jak płótno, okoloną bujnymi czarnymi włosami, które się rozplotły i okrywały ją do stóp. Rozszerzonemi przestrachem oczyma patrzyła na rodzica, nieprzytomna.

On zaś po chwili wyszeptał z trudem:

— Ty... ty... ty!... żali wiesz, coś uczyniła? Matuchna twoja... już tam, Bogu się skarży!...

Z głuchym jękiem Maryś przypadła do stóp rodzica, oplotła je ramionami i nie płakała już, jeno skowyczała z bolu.

— Oj, oj, zabijcie mnie ojcze, zabijcie!

Psota chwiał się na nogach. Pięści zaciskał, ale ich na córkę nie podniósł; żałość była w nim teraz większa, niż gniew.

— Mów! — rozkazał za moment — gdzieś była? skąd tu jesteś?...

Ona nie zaraz mówić mogła, długą chwilę mo-

cowała się z łkaniem, które jej dech tłumiło, a wreszcie jąkała:

— Zabrał mnie... Kochaniem złudził... Zawiózł naprzód tu do Kachny... Byłam chora... tedy ona dała mi ziół jakichś i wydobrzałam... Stąd więc zabrał mię Kleist do Rastemborka... Tam w wielkim, strasznym jak więzienie zamku osadził...

Stara Kachna przyczołgała się do progu, leżąc na śniegu, z natężeniem słuchała.

A Maryś siedziała teraz na ziemi, u stóp rodzica, białe dłonie załamała na kolanach i ponurym wzrokiem patrzyła w płomień ogniska. Przestała łkać, mówiła zaś z coraz większą mocą:

— Dzień i noc płakałam... On zaś śmiał się ze mnie, to znów prosił, koił, pieścił...

— Gad! — mruknął Psota — gad piekielny!

— Minęło tak dwie albo trzy niedziele... Aż raz z rana, dni temu dwa, stał się wielki hałas na podworcu zamkowym. Przyjechali rycerze... mówili, że nad granicą muszą stać... straż trzymać i że Kleist musi z nimi iść... A on wtedy...

Zamilkła ponuro, łamiąc ręce.

Psota zaś spytał:

— Dużo ich jest?

— Ze dwadzieścia koni, a może i więcej...

— Gdzie są?

— Muszą być w Willenbergu... tam mieli iść i czekać. Oni wszyscy, zwłaszcza zaś jeden, który dowódzcą jest, Flemming się zwie, drwili ze mnie

i mówili Kleistowi: rzuć dziewkę! Dość już tego... kulą ci będzie u nogi... rzuć ją! A potem mówili, że mają stąd zabrać kogoś i powieźć daleko, bo się znacznej za to spodziewają nagrody... Tedy on...

Głos złamał się jej w piersi, mówić dalej nie mogła.

A Psota naglił, głosem ostrym:

· Mów dalej... momentu do stracenia niema!...

— Tedy on... uczynił tak! Wygnał mnie, wygnał! Na urągowisko dał... Kazał iść precz... do Kachny... A gdym nie chciała... żołnierzom odprowadzić kazał... Zawleczono mnie tu i rzucono. A on w ostatnim momencie, ulitował się niby nademną i przyrzekł przyjść... lecz niema go i już nie będzie!...

Czołgała się znów u stóp rodzica, wiła się w bolu.

— Zabijcie mnie! zabijcie! — jęczała.

Psota stary walczył z sobą. Był taki moment, że chciał pochylić się, porwać w ramiona nieszczęsną dziecinę swoją, utulić przy gorącem sercu i unieść gdzie daleko, za oczy... Ale wnet na pamięć mu przyszedł Jankowski i niebezpieczeństwo, w jakiem znaleźć się mogła jego nieliczna a zmordowana kompania, wobec świeżych posiłków, przybywających ku wzmocnieniu tych, którzy Kalksteina porwali.

Tedy poruszył się tak, jak ów, który ciężar z siebie zrzuca i tonem urywanym, szybkim, rzekł:

— Słuchaj, Maryś!... Nie ruszaj się stąd... Gdyby

ten... Kleist, a z nim inni rycerze tu przyszli, nie mów nic... lecz zatrzymaj ich...

— Boję się... boję... — szeptała Maryś — ucieknę!...

— A Boga-ś się nie bała! — wybuchnął Psota. — Lecz wnet się zmiarkował i powtórzył szeptem:

— Zatrzymaj ich... jeśli chcesz Boga mieć przy skonaniu...

Kachna poruszyła się w śniegu.

— Ho, ho! — mruknęła — on tu chce zasadzkę czynić.. A niedoczekanie!...

Ześlizgnęła się ze wzgórka w dół, a potem porwała się i pobiegła skrajem lasu, co tchu...

Maryś przestraszonemi oczyma patrzyła na rodzica.

— Chcecie go ubić? — pytała — ubić?...

Psota pochylił się ku niej:

— Maryś... Maryś... — szeptał niemal czule — zgrzeszyłaś... odpokutować winnaś... Możesz teraz nie dopuścić do zbrodni i odpokutować, jeśli tu Kleista i jego kompanię moment przytrzymasz... Ja tu wnet przybędę...

Ruszył się żywo, lecz jeszcze w progu przystanął.

Maryś siedziała ciągle na jednem miejscu, z załamanemi na kolanach rękami, wpatrzona sztywnie w ognisko, dysząc ciężko.

— Słysz, Maryś! — rozkazał Psota — jeśli chcesz Boga przy skonaniu mieć... pomnij!

I znikł. Ona zaś powtarzała, jak nieprzytomna:

— Zatrzymać go... na śmierć!... zatrzymać!

I przypadła twarzą ku ziemi, łkając głucho.

Stary Psota biegł co sił starczyło ku Pogorzałej wsi. Prawie już nie wątpił, że wyprzedził uwożących Kalksteina i że ów Flemming i Kleist czekali na nich z posiłkami. To przypuszczenie zmieniło się niebawem w pewność, gdy biegnąc skrajem lasu ujrzał rycerzy i dragonów elektorskich, wlokących się drogą leniwo, okrążających jeńca. Wysoka postać Kalksteina, na białym koniu, mignęła mu przed oczyma, ale przypatrzeć się jej nie mógł... skoczył w głąb lasu i umykał co tchu. W tym momencie zapomniał o wszystkiem, co przeżył dzisiejszej nocy: jedna tylko myśl trwożna, aby się nie opóźnić ogarnęła go całego.

Dobiegł wreszcie, zdyszany, opadający z sił. Z kilku urywanych słów dorozumiał się Jankowski wszystkiego.

— Na koń! na koń! — rozkazał.

Za moment pędzili. Stary Psota przywdział zbroję i obok Jankowskiego jechał milczący. Z pod hełmu błyszczały jego oczy nieco przymglonym ogniem, jakim się żarzą przysypane popiołem zgliszcza.

Lecieli długo. Szeroka równina pod Willenbergiem, zbiegająca ku Nogatowi, okryta przymarzniętym śniegiem, zalśniła się cała w promieniach wschodzącego słońca, że oczy mrużyć mu-

siano. Na tej lśniącej przestrzeni ujrzano zdala posuwające się postacie.

— To oni! — rzekł Psota – jeszcze ku nim ani Kleist, ani Flemming nie wybiegli...

— Co koń wyskoczy! — krzyknął Jankowski. — W sam środek taboru... W imię Boże, naprzód!

Pruli powietrze jak ptaki, do kulbak schyleni... Słychać jeno było przyśpieszone oddechy ludzkie i głośniejsze chrapanie zmordowanych koni, z których para buchała.

Tabor coraz bliższy. Już pojedyncze postacie dobrze dostrzedz było można. Przed momentem zatrzymał się poczet dla wytchnienia. Zły i zmarznięty Hugo pił gorzałkę i innych częstował, drwiąc z Lehndorffa, który naglił, by się nie wstrzymywano.

— *Poltron! canaille!*... — mruczał Montgoméry. I gryząc suchar z kawałkiem słoniny, pił ciągle. Zaczęło mu się robić lepiej na sercu. Nagle zbliżył się do Kalksteina i podając mu kubek z gorzałką, rzekł:

— Łyknij, *camarade!*... W memelskiej Pfefferstube takiej ci nie dadzą... łyknij stary pijaku...

Kalkstein więzami szarpnął, pochylił się nieco ku niemu i spojrzał nań swemi krwawemi oczyma, milcząc.

A on śmiał się, czerwony, na poły pijan.

— Prawda! — rzekł — ty masz niewolne ręce. Powijaki elektorskie cisną, co? ale jest sposób...

Zwrócił się do dragona, który trzymał powrozy podtrzymujące jeńca.

— Weźno-ty kubek i w gardło mu wlej... tylko sam nie wychlej po drodze...

Dragon kubek wziął i, obejmując ramieniem jeńca, który coraz gwałtowniej szamotał się, zbliżał trunek do jego ust. Kalkstein czuł już woń gorzałki i krztusił się.

Gdy wtem rozbrzmiał głos Lehndorffa:

— Pogoń! pogoń! na koń co tchu!...

Teraz już i Hugo dojrzał goniących.

— *Sacré tonnerre!* — zaklął i gramolił się na konia, który się porywał, spłoszony.

Tymczasem Lehndorff rozkazy dawał:

— Zostawić wóz! — krzyczał — pędzić za mną, a potem, gdy krzyknę, zwrócić się ku pogoni, w porządku, osłaniając jeńca... Jeniec teraz naprzód!...

Kalkstein obrócić się nie mógł; widział jeno popłoch, a za sobą słyszał coraz bliższy tętent.

I na moment krótki, serce, które niemal bić ustawało, wezbrało nadzieją, uderzyło żywiej...

— Być żeby to mogło? odsiecz? — to niepodobna!

Głowę pochylił na piersi.

— Na coć się przyda?... — myślał — na co? próżna walka, szkoda krwi ludzkiej... jam już trup!

Ciągniono go teraz, przymocowywano silniej powrozami; on się słaniał na wsze strony... Po-

gnano go naprzód; oprócz dwóch dragonów, nie widział już nikogo obok siebie i nic prócz olśniewającej śnieżnej równiny... Powietrze dławiło go; usta i oczy zawarł i pędził... zdawało mu się, że w otchłań. Nagle zmieszało się wszystko... posłyszał szczęk broni, wściekły wrzask, tumult, jęki.

Czując już pogoń na karku, Lehndorff, który jeden przytomności nie tracił, zakomenderował zwrot, ale zaledwie obrócić się zdołano, wpadł na nich z impetem Jankowski, a za nim Klatt, Stencel, Roth, Psota i inni. Wpadli tak nagle i z taką siłą, że konie łbami się zwarły, a w szeregu Lehndorffa odrazu powstał zamęt. Jankowski z mieczem podniesionym w ręku, z rozpłomienioną twarzą wołał:

— Matko Przenajświętsza, dopomóż!

Stanął w strzemionach, wysoki, chudy, zawzięty i siekł na prawo i lewo, usiłując przedrzeć się ku Kalksteinowi. Była chwila, iż go, rwącego się naprzód, zewsząd otoczono, a Lehndorff mocno na niego natarł. Wnet jednak Klatt i Psota, powaliwszy dragonów dwóch, wypruli się ku niemu, a Stencel z pistoletu strzelił. Koń Lehndorffa wspiął się w górę, cofnął się na zadnich nogach, zacharczał, ryknął i runął wraz z jeźdźcem. Teraz stał się tumult ogromny... Jeszcze trzech dragonów usieczono, Baumgardt i Fehr ranni leżeli, a kilku rajtarów, stojących najbliżej Kalksteina, czekało jeno hasła, iżby umknąć.

Hasło to dał Montgoméry. Od samego początku krótkiej walki, trzymał on się z tyłu, patrząc przerażonemi oczyma na to, co się stało. W oszołomionej gorzałką głowie strach gospodarował.

— *Peste* — mruczał — *peste!...* To jest poprostu szkaradna zasadzka... *canaille!*

Gdy zaś Lehndorff z koniem się zwalił, nie czekając dłużej, krzyknął:

— *Sauve, qui peut!*

A do dragonów, którzy Kalksteina trzymali:

— Za mną, wraz z jeńcem!

Ostrogi w boki konia wbił i czmychał, nie oglądając się. Padło za nim kilka strzałów, ale jeden tylko kapelusz z głowy mu zbił.

Tymczasem Jankowski i Klatt, mocno szablą dragońską w twarz ranny, przedarli się pierwsi do Kalksteina.

Przerażeni rajtarzy umknęli za Hugonem, a Kalkstein własnym pozostawiony siłom, słaniał się bezwładnie, i byłby niechybnie spadł z konia, który rwał się, parskał i chciał pomknąć za innymi, gdyby go równocześnie silną dłonią nie podtrzymał Jankowski, Klatt zaś pohamował wierzchowca, schwyciwszy za uzdę. Moment tak stano, w niepewności, co czynić. Rannych Fehra, Baumgardta, Lehndorffa otoczono w okół. Ale należało decydować się rychło, gdyż z Willenbergu odsiecz lada moment nadbiedz mogła. Zmykających ku grani-

cznej wsi Hugona i dragonów już zaledwie dostrzedz było można. Psota, stojąc na straży przy Lehndorfie, który jęczał przytłoczony ciężarem cielska ubitego konia, wołał:

— Śpieszmy się, przez Boga!

Stencel z konia zeskoczył i podbiegł ku Kalksteinowi, który zgoła omdlały, leżał bez zmysłów w ramionach Jankowskiego.

— Rozetnij powrozy — rzekł Samuel.

Pękły więzy. Jankowski także z konia zeskoczył i z pomocą Stencla złożono bezwładnego na ziemi.

— Ciężki jest... — rzekł Stencel — nie udźwigniemy.

Tedy Samuel przywołał innych towarzyszy.

— Weźcie go — rzekł — i nieście.

Ale wtem dojrzał ów wóz skarbny, porzucony opodal przez Lehndorffowych rajtarów, więc kazał omdlałego tam złożyć, konie wprzągnąć i jechać ku Pogorzałej wsi.

— Co czynić z rannymi? — pytał Psota — dobić?

Na pobojowisku, obok rannych było kilka trupów. Sześciu dragonów elektorskich i trzech Jankowskiego towarzyszy, na których on patrzył moment z ogromnym smutkiem.

— Śmierć rycerska, a bez chwały! — szepnął. — Waszych dzielnych imion nie zapisze nikt... ale wie o nich Bóg...

Pochylił się nad jednym. Młodzieniaszek to był ledwie, z jasnymi, długimi włosami. Miał całą czaszkę rozwaloną, aż do oka, które wypłynęło i zwisło na strzępach krwawych. Drugie otwarte, patrzyło sztywnie, wygasłe, w promienne niebo.

Był to ów najmłodszy syn królewieckiego mistrza ławników, Hieronima Rotha, którego Elektor od lat tylu więził. Chciał pomścić rodzica i padł...

Ciężkiem westchnieniem podniosła się pierś Jankowskiego, ale wnet otrząsnął się i głowę podniósł.

Psota powtarzał naglące pytanie:

— Rannych dobić?

Jankowski oglądnął się. Baumgardt zdawał się omdlały, jeno drgał czasami, miał twarz zalaną krwią i ranę w boku. Fehr siedział skulony, prawa ręka zwisała mu bezwładnie; Lehndorff zaś przestał jęczeć... z nogą zdruzgotaną leżał bez zmysłów.

— Dobijcie — jęknął Fehr.

Ale Jankowski sprzeciwił się.

— Nie wolno nam! — rzekł. — Bezbronni są... nie godzi się. Jedźmy!

Tymczasem do wozu wprzągnięto już konie i wnet ruszono. Obok nieprzytomnego ciągle Kalksteina, usiadł Klatt i podtrzymując mu głowę, wlewał do zaciśniętych ust wino. On też po chwili oczy otworzył; oczy wielkie, bez wyrazu, zagasłe. Wpatrzył się w ogromną a krwią ociekłą twarz

Klatta, wzdrygnął się cały i wnet znów oczy zawarł w omdleniu.

Tymczasem Psota, jadąc obok Jankowskiego, mówił:

— Do Pogorzałej nie jedźmy. Zawsze nas tam dogonią, a w tej wsi obrona trudna.

— Więc gdzie? — spytał Jankowski.

— Tam, gdzie byłem w nocy — odparł Psota — do chałupy starej Kachny. W lesie zasadzkę urządzić łatwo... Jeżeli pogoń wyślą za nami, oni tamtędy z pewnością przeciągać będą... tam ich wysieczem.

— Więc prowadź! — rzekł krótko Samuel.

Przybyli tam wkrótce. Na progu, skulona, siedziała Maryś, Kachny nie było. Ujrzawszy nadjeżdżających rycerzy, Maryś klasnęła w ręce i porwała się: mniemała, że to Kleist przybywa. Na widok rodzica, cofnęła się przerażona w głąb izby.

Psota zeskoczył z konia i podbiegł ku niej.

— Dobrze, żeś czekała — rzekł — a teraz miejsca w izbie... chory, ranny jest...

Maryś pospiesznie krzątać się poczęła; rozścielała świeżą słomę na ziemi.

Tymczasem Kalksteina dźwignięto z wozu i bezwładnego niesiono.

Maryś, widząc twarz jego, żółtą jak pargamin, a sinemi piętnami znaczoną, ręce załamała. Przytuliła się do rodzica w przestrachu.

— Kto to?... — szeptała — kto to? już trup!

Psota odtrącił ją.

— Żyw jest jeszcze — odparł — a cierpi... Taka to ofiara jak ty, tych samych zbójników... jeno bezwinna! słysz, bezwinna!

Zaciśniętą podniósł pięść, a ona głowę chyliła, jakby czekając ciosu.

Psota zaś, którego naprzemiany brała złość, to znów wielka ogarniała żałość, mówił dalej spokojniej lecz z mocą.

— My tu ostaniem... w lesie. A ty z pagórka zejdź, stań na kraju lasu, oczy wytrzeszcz, a słuchaj. Gdybyś dojrzała, że Flemming, lub ten twój Kleist jadą, daj im znak... niech się zbliżą... rozumiesz!

A jej serce przestawało bić w piersiach. Przypadła rodzicowi do kolan:

— Nie! nie! — jęczała — na śmierć mam go wzywać?... nie!

— Musisz! — krzyknął Psota — musisz... tak ci każę, ja, rodzic twój... tak ci każe nieszczęsna matuchna twoja, która Panu Bogu dotąd na ciebie skarżyć się będzie, dopóki tego nie sprawisz...

Musiała być wielka moc w tych słowach, gdyż Maryś nie opierała się już, jeno jęczała głucho. Nagle porwała się i zbiegła ze wzgórka. Stanęła na skraju lasu, otulona w nędzną chuścinę i w czarne zwoje rozplecionych włosów. Dygotała całem ciałem, nieprzytomna, patrząc dziko przed siebie wielkiemi, przerażonemi oczyma. Wysoka jej po-

stać, na białem tle śniegu, musiała być widna z daleka; w promieniach słońca wyglądała jak zjawisko cudne, a straszne swoją rozpaczą.

Tymczasem Klatt i Stencel, z rozkazu Jankowskiego, który przy Kalksteinie pozostał, objęli dowództwo. Idąc za radą Psoty, który miejscowości był świadom, kazali konie uprowadzić w głąb lasu, sami zaś wraz z towarzyszami, ciężkie złożywszy zbroje, ukryci za drzewami czekali.

— Oni tu iść muszą — mówił Psota — wązką ścieżyną; przypuścim ich blizko, jak najbliżej... A wtedy kupą na nich... Wszystkich wysieczem...

Sam stanął opodal chałupy, za pierwszem drzewem, tak, że ze wzgórka widział ciemną głowę swojej Marysi i każdy jej ruch mógł dostrzedz.

— Zobaczę, gdy da znak... — myślał.

I znowu serce rwała mu żałość.

— O, na niedolę ci przyszło, dziecino — szeptał — na niedolę! Na toż cię matuchna wypieściła, wychuchała, na toż jam cię w ramionach kołysał, do piersi tulił, abyś teraz... och! och!...

Nabrzmiewały mu łzy pod powieką, łkanie dławiło... Więc schwycił w garść śniegu i tarł nim oczy, skronie, lub w usta brał i łykał.

Jankowski zaś siedząc przy Kalksteinie na ziemi, usiłował go przyprowadzić do zmysłów. Jakoż niebawem on oczy otworzył przytomne; rozglądał się dokoła. Wpatrzył się potem w twarz Jankowskiego i krzyknął:

— Tyś to jest, Samuelu, ty!... Boże!

A Jankowski, pochyliwszy się nad nim, mówił:

— Wolny jesteś... Zbierz siły, wnet nam trzeba dalej...

Kalkstein usiłował się dźwignąć.

— Wolny! — zawołał — wolny!

Porwał się, ale wnet opadł napowrót, jęcząc.

— Nie mogę — szepnął — nie mogę... zgruchotany jestem...

Jankowski jeszcze bliżej pochylił się nad nim i znów mówić począł a zagrzewać:

— Zbudź w sobie moc... nie dozwól, aby te wysiłki szły na marne. Jeżeli Bóg zbawić człowieka nie może, bez jego własnej woli, to tembardziej my ocalić cię nie zdołamy, jeśli ty sam nie zechcesz... Pomyśl... polała się dzisiaj krew... niech nie przepada...

Kalkstein drgnął.

— Wielu zginęło? — spytał.

— Kilku... a między nimi młodzieniaszek Roth...

Krystyan Ludwik jęknął, dźwignął się i usiadł. Ręce wyciągnął przed siebie; ręce dziwnie niemocne, drżące, opuchnięte, sine, zbroczone krwią, która z pod paznogci, pod naciskiem powrozów, wyciekła.

— Roth... — powtarzał — Roth...

I nagle krzyknął:

— Dość tej krwi przeze mnie, dość!

I mówił dalej w gorączkowem podnieceniu:

— Wiesz, Samuelu, jam już nie ten teraz, co dawniej... Gdy mnie skrępowanego wieziono, Bóg mi dał jasnowidzenia moc... W ciemnościach przejrzałem. I teraz widzę, że to daremna walka... Nadto grzeszyłem, czuję to sam. Grzeszyłem samochwalstwem, dumą i złością... i za to dopuścił Bóg, iżem pozbawion sił... Zginąć muszę, a wy, a ty, Samuelu, nie traćcie szlachetnej krwi dla mnie...

Ale Jankowski nie chciał słuchać.

— Nie o ciebie jednego walczymy i ty nie siebie jeno bronisz... Pomnij, com ci zawsze mówił!...

Kalkstein znowu się porwał:

— Nie! — zawołał. — Jam tego nie godzien. Bóg da, znajdą się inni, mocniejsi, ku obronie. Ja już jeno męczarnią i śmiercią protestować przeciw przemocy zdołam... do czynum nie zdolny!... I oto na stracenie pójdę!...

Jankowski odrzec coś chciał, ale wtem stało się larum ogromne. Cichy, zamarzły las nagle ożywił się. Słychać było łomot gałęzi, rżenie koni, broni szczęk, okrzyki dzikie.

Jankowski wybiegł a Kalkstein opadł na posłanie, oczy zawarł i szeptem powtarzał psalm:

— Z głębokości wołałem ku Tobie... Panie! Panie!

Psota, stojący ciągle za drzewem, ujrzał przed momentem, jak Maryś wyprostowała się, ramiona wzniosła do góry i machać niemi poczęła, jakby dawała znaki...

— Dzielna jest!... — mruknął stary — przyzywa ich tu... A teraz rozważał, co czynić i cicho dawał hasło stojącemu poza nim Klattowi, który podawał je innym.

— Już idą... baczność! Gdy się na wzgórek drapać poczną, rzucimy się na nich kupą... Ni jeden nie ujdzie...

Wtem Maryś opuściła ramiona i przerażone oczy zwróciła ku rodzicowi... Stała się rzecz niespodziewana. Nadjeżdżający poczet ze trzydziestu a może więcej ludzi złożony, wstrzymał się nagle. Jeźdźcy poczęli zeskakiwać z koni. Maryś dostrzegła ich postacie, dobrze uzbrojone, a wśród nich widziała wyraźnie dorodną postać Kleista... Pierwszy z konia zeskoczył i zbliżył się do wozu, który za pocztem w ślad jechał. Z wozu tego wyjrzała niewiasta, Maryś poznała ją odrazu, to była stara Kachna. Podniosła się na wozie i żywymi ruchami rąk wskazywała ścieżynę leśną, w górę idącą.

Słów Maryś dosłyszeć nie mogła, z ruchów jednak domyślała się wszystkiego i w przestrachu opuściła ramiona. Chciała krzyczeć ku rodzicowi: ratujcie się! lecz głosu jej w piersiach zabrakło, osunęła się na kolana...

Kachna zaś mówiła do Kleista:

— Przysięgam... sama słyszałam. Psota rzekł: tu przyjdziemy... ty ich zatrzymaj, Maryś!... Widzicie, ona znaki daje... iżby w zasadzkę wciągnąć. Wy tedy idźcie tą inną ścieżyną, w górę... aż do

polanki. Tam się uszykujcie i lećcie w dół, na nich... Zgniecie cie ich!

— Nie kłamiesz ty, wiedźmo? — krzyknął Kleist.

— Jeśli kłamię, ubijcie! — odrzekła stara. — A toć widzicie, Maryś znaki wam daje... Jak wiatrak ramionami macha...

— Maryś! Maryś! — mruknął Kleist — gadzino, chcesz pomsty!... obaczym!

Zbliżył się Flemming i rzekł:

— Dość gadania... chodźmy! Czas nagli... oni ujść gotowi. — I dał rozkaz:

— Za mną!

Poszli niemal wszyscy. Ostał jeno Kleist i kilku rajtarów zbrojnych. Kleist moment się wahał, a potem nagle na konia wskoczył i krzyknął:

— Naprzód zdradę ukarać!...

Puścił się pędem, a za nim owi zbrojni.

Maryś widziała ich pędzących ku niej; byli coraz bliżej. A wówczas ona dźwignęła się i wyciągając ku rodzicowi ręce, krzyknęła:

— Zasadzka! ratujcie się!

I wysilona padła znowu, twarzą do ziemi.

Psota dał znak: za wzgórka zbiegano w momencie, gdy Kleist nadleciał:

— Ty jaszczurko! — krzyczał do leżącej jak w omdleniu dziewki... zapłacisz za zdradę...

Ale podniesiony miecz jego spotkał się z ogromną szablą Psoty.

Ten patrzył na niego wyiskrzonym wzrokiem.

— Uwodzicielu! — krzyknął — złodzieju! Ukradłeś jej cnotę, a teraz chcesz wziąć życie... Pierwej moje!

Starli się, i byłby stary Psota padł zaraz na miejscu, gdyż Kleist zapieniony z gniewu, najeżdżał go koniem i raził mieczem z góry, a Psota widocznie był osłabły i zaledwie ciosy odpierał, gdy w tem nadleciał Klatt, Stencel i inni.

Piękna, młodzieńcza twarz Kleista pobladła. Widział się zgubionym; otoczono go wokół.

— Zbóju! — krzyczał Klatt, zleź z konia, poddaj się!...

Kleist hardo głowę podniósł.

— Trupem mnie weźmiecie! — odkrzyknął. Lecz konia ściągnął i cofał się.

— Ognia! — zawołał do pachołków.

Z obu stron padły strzały. Psota zachwiał się, miecz mu wypadł z ręki, schwycił się za piersi, kilka kroków się cofnął, zatoczył i obok Marysi na ziemię runął.

— Jezu! Marya! — jęknął.

Ranny był także Kleist; kula przeszyła mu lewe ramię, ale walczył niezmordowanie, cofając się ciągle przed cisnącą się ku niemu gromadą.

Wtem z góry rozległ się tętent, krzyki i łomot gałęzi. Z boku leciał Flemming z całym oddziałem.

— Ku mnie! — wołał Kleist — ku mnie!

W tymże momencie wybiegł z chaty Jankowski. Odrazu zrozumiał, co się stało. — Zginąć trzeba! — pomyślał.

— W imię Boże! — krzyknął. — I rzucił się w wir walki.

Cofnięto się teraz od lasu na równinę, ale walczono bezładnie; wązką ścieżyną leśną wybiegali jeszcze ciągle Flemmingowi rycerze i wpadali, jak w odmęt w zwarty kłąb walczących. Zwolna jednak szykować się poczęto; z obu stron ciężkie poniesiono straty; rannych i zabitych było wielu. Jankowski cięty w głowę, lewą ręką ocierał krew, która mu zalewała oczy, a prawicą siekł ciągle na prawo i lewo. Już Kleist ranny zwalił się z konia, który z rozwianą grzywą, chrapiąc rozdętemi nozdrzami pierzchnął; Flemming z wielkim trudem odpierał zaciekłe ataki Jankowskiego, który wołał:

— Bij! zabij!

Gdy w tem po nad całą tą wrzawą, ozwał się przeraźliwy, jakby nieludzki krzyk.

W progu chaty, oburącz trzymając się oddrzwi, na chwiejnych nogach, stanął Kalkstein.

Ostatnich sił dobył i krzyczał:

— Przestańcie... przez Boga! jam tu jest!...

Osuwał się na ziemię i znowu się dźwigał.

Walka wrzała zawzięta, i był znów moment, że zdawało się, jako Jankowski z garstką swoich przemoże. Elektorscy dragoni, napierani silnie, zła-

mali szyk i poczęli się cofać, Jankowski zaś widząc to, krzyknął ku swoim:

— Odwagi! nasze zwycięstwo!

Klatt, nietknięty dotąd i niezmordowany a okrutnie zażarty, najgorzej płoszył dragonów wielką szablicą i dogadywał im, dysząc:

— Zmykajcie pruskie chamy, bo do nogi wybiję!...

Ale wtem krzyknął Flemming:

— *Victoria!*

Na równinie, od granicy, widać było w blaskach słońca pędzący poczet zbrojny.

Leciał co tchu, wysłany przez ks. Croy za Flemmingiem posiłkowy oddział chorążego Blocka we dwadzieścia cztery konie.

W jednem mgnieniu oka otoczył walczących.

— Zginęliśmy! — szepnął Jankowski.

Jeszcze moment trwała nierówna walka, ale już bez żadnej nadziei.

— Brać ich! — wołał Flemming — wiązać!

Żołnierze Blockowi rzucili się kupą i niebawem wszystkich zdołali rozbroić.

A wtedy Flemming poskoczył ku chacie.

— Mam cię! — krzyknął do Kalksteina — mam cię, zdrajco!

Krystyan Ludwik, na poły omdlały, leżał w progu. Otworzył oczy i zgasły wzrok utkwił w twarz Flemminga.

— Dobij mnie — szepnął.

Flemming zaśmiał się.

— To mało — rzekł — za to, coś sprawił... Elektor znajdzie na ciebie lepszy sposób — psie!

I kopnął go nogą.

Kalkstein spojrzał na niego z niewymowną pogardą.

— Ty na bezbronnym się pastwisz — przemówił — jestem w twych ręku... czyń ze mną, co chcesz... Ale tamtych wolno puść...

Flemming nie odrzekł nic. Patrzył na jeńców, których ku chacie prowadzono i myślał, co czynić z nimi. Lepiej było rzeczywiście ich puścić, a tak nakazywał i sam książę Croy, iżby w tej wyprawie jeńców nie brać, o którychby potem rzeczpospolita gwałt czynić mogła. Dość już spodziewano się o jednego Kalksteina kłopotu. Tedy ostawiwszy jeńców pod silną strażą, zajął się natychmiast wraz z Blockiem czynieniem porządku. Kleista i innych rannych złożono na wóz, który wnet wyruszył ku granicy; kilku pachołków pobiegło w las, ku polance, na której pozostawiono konie, a gdy te nadbiegły, formowano szeregi. Jankowski i ujęci jego kompanowie, rozbrojeni, nie mogli być niebezpieczni, tedy Flemming postanowił ich puścić.

Tymczasem Jankowski podniósł swą twarz, krwią ociekłą, i z rozpaczą patrzył na leżącego jak bez ducha Kalksteina.

— Bóg nie chciał... — szeptał — Bóg nie chciał!

Krystyan Ludwik poruszył się i dźwignął nieco.

Ujrzawszy Jankowskiego, wyciągnął ku niemu drżące ręce:

— Żegnaj, miły mój, żegnaj!... Skończona sprawa...

Wyratujemy cię jeszcze! — zawołał Samuel — sprawiedliwość jest!

— Dla mnie już jeno śmierć! — odparł Kalkstein. — Sam winien jestem, że ginę... A wy już dla mnie nie marnujcie sił...

Zamilkł, bo w tymże momencie na rozkaz Flemminga poczęto dźwigać go z ziemi i krępowano powrozem, aby znów, jak wprzódy, na konia wsadzić.

Flemming rzekł do trzymających straż nad jeńcami dragonów:

— Wy ich teraz trzymajcie, a każdemu, któryby umykać chciał, w łeb. Gdy my zaś już będziemy opodal, puśćcie ich i pędźcie ku nam... A oni niech idą na złamanie karku...

Zwrócił się ku Jankowskiemu, któremu rana na twarzy ciągle krwią broczyła.

— Masz odemnie pamiątkę — ozwał się szyderczo — a że ci życie darowuję, to jest nie moja, lecz najjaśniejszego Elektora łaska... Okaż że mu się wdzięczen...

Jankowski nie zwrócił cale na te słowa uwagi, jakby nie do niego były mówione. Stał z głową podniesioną, patrząc w dal, na Kalksteina, który uwiązany do konia, odjeżdżał. I znowu jego wysoka postać, powrozami skrępowana, górowała nad

innymi. Z dwóch stron jadący dragoni trzymali powrozy, podtrzymujące go pod ramiona i plecy; a on za każdem stąpnięciem konia chwiał się; głowa opadała mu na piersi, to znów dźwigała; miała taki ruch, jakby żegnała i dawnych towarzyszów broni i marzenia dawne i całe dotychczasowe życie.

Samuel podniósł rękę i uczynił za nim znak krzyża świętego, co zoczywszy Flemming zaśmiał się w głos z wielkiem szyderstwem.

— Ongi — krzyknął — był łotr na krzyżu, a ty kładziesz krzyż na łotrze, cha, cha!... Ale to mu nie pomoże nic...

Wskoczył na koń i popędził ze swoją czeredą. Niebawem i ci dragoni, którzy na straży pozostali, na dany znak opuścili jeńców i pognali za Flemmingiem. Jankowski z garstką swoich był wolny.

Poczęto zaraz obliczać straty. Zginęło kilku dzielnych, kilku zbiegło w popłochu ku Pogorzałej wsi; do końca, wraz z Jankowskim, wytrzymało dziesięciu.

— Ale gdzie jest Psota? — spytał nagle Samuel — widziałem, że padł, lecz może żyw jeszcze.

Poczęto szukać i znaleziono go tam, gdzie padł, wśród walki z Kleistem u stóp wzgórka, w zaroślach. Był nieprzytomny, ale dyszał jeszcze; z rany w piersiach sączyła się krew. Maryś objęła go ramionami, otuliła chuściną i siedziała tak nad nim,

skostniała z zimna, sztywnym wzrokiem wpatrując się w obumarłą twarz rodzica.

— Tatuś! tatuś! — szeptała bezwiednie.

W koło nich długi czas wrzała walka; po nad głową Marysi gwizdały kule, ale ona nie widziała i nie słyszała nic, od momentu, gdy ujrzała Kleista rannym i ojca upadającego obok siebie, bez zmysłów.

Odciągnięto ją przemocą a dźwignięto rannego z ziemi. Jankowski kazał czterem najsilniejszym nieść go ostrożnie, ku Pogorzałej wsi. Wóz i konie wszystkie zabrał Flemming, tedy musiano pieszo iść, zwolna, jak za pogrzebem. Obok rodzica szła Maryś, krokiem sztywnym, wyprostowana. Chwilami porywał ją dreszcz tak gwałtowny, że aż szczęki z głuchym chrzęstem obijały się o siebie; czasem ręką zbroczoną w krwi ojca targała włosy bujne, rozplecione, okrywające ją jak płaszcz żałobny. Przez zaciśnięte zęby szeptała:

— Zabiłam matuchnę i rodzica... i jego zabiłam!

Wzdrygnęła się całem ciałem i szła dalej w rozpaczliwem milczeniu.

Już blaski słońca gasły na zachodzie, gdy zbliżono się do pierwszych chałup Pogorzałej wsi.

Psota nagle poruszył się gwałtownie; z ust otwartych buchnęła krew. Ranny otworzył oczy, spoglądnął dokoła przytomnie i do Jankowskiego, który szedł opodal, ręką skinął.

Wstrzymano się moment. Jankowski pochylił się nad rannym, który z trudem bełkotał:

— Miejcie, panie, o duszy mojej pamięć, a otoczcie opieką tę, która duszę swą na stracenie oddała. Niech ją odzyszcze w pokucie...

Wzrokiem wskazywał na Maryś, która stała teraz z załamanemi rękami, bez ruchu.

Spojrzenie starca utkwiło w niej, przywrzało do tej postaci, rzucało iskry, i zwolna sztywniało, stawało się szklistem, aż zgasło...

Z chałup poczęli wybiegać wieśniacy, zrazu przerażeni; lecz widząc niezbrojnych, kupili się w około nich, ciekawie.

IV.

PO ZAMACHU.

Jeszcze Jankowski nie zdążył do Warszawy powrócić, gdy wieść o zniknięciu rezydenta Brandta do najwyższego stopnia wzmogła oburzenie wśród szlachty i niektórych panów możnych, wywołane porwaniem Kalksteina. Zdawało się, iż oburzenie to, niby ognista fala, rozleje się po całym kraju i wszystkich ogarnie. Nawet Król, tym razem zupełnie szczerze, wyrażał głośno żal swój i gniew.

— Nikczemna zdrada — powtarzał — nikczemna! Potomność nie zechce wiary dać temu, co się w naszych oczach stało... To potworne!

Korzystając z takiego usposobienia Korybuta, tak sama królowa, jak podkanclerzy Olszowski, biskup Wierzbowski i kanclerz W. X. L. Pac, usiłowali skłonić go do stanowczych kroków.

— Należy wysłać natychmiast — radził Olszowski — nadzwyczajnego posła do Berlina, któryby

tam na miejscu domagał się uwolnienia Kalksteina i siedział dopóty, dopóki tego nie uzyszcze...

— Tak będzie najlepiej — dorzucił Pac. — Ażeby zaś Elektor nie mniemał, że to igraszki są, ja wyszlę nad granicę silny oddział litewskiego wojska.

Wierzbowski, który kanclerza nie lubił, a szczerości jego nie zbyt ufał, rzekł na to:

— Tak trzeba było odrazu uczynić, gdy o to błagał Kalkstein, gdy tego domagał się Jankowski. Nie byłoby się to stało, co teraz jest...

— A któż się tego spodziewać mógł! — wybuchnął Pac, bardzo z tej uwagi nie kontent.

Po pięknej, sędziwej twarzy biskupa przemknął smutny uśmiech:

— Ach, tak! — dodał z cicha — u nas tak zawsze. Nie spodziewamy się nigdy złego, a gdy nadejdzie...

— No, teraz — przerwał Król, z miejsca powstawszy — działać będziemy... tak, działać! Waszmościowie mówicie: posła wyprawić... Dobrze to jest... ale kogo? co?...

Wymieniono kilka nazwisk senatorskich.

Król stojąc słuchał. Swoją małą, delikatną ręką szarpał, jak zwykle, koronki kołnierza i grubemi wargami mlaskał. Jego twarz biała, jakby nalana czy opuchła, wyrażała dręczący wysiłek myśli i niezadowolenie.

— Nie! — rzekł wreszcie — nie! Senatora

żadnego... Sprawa jest ważna, nie przeczę... obelgę nam wyrządzono wielką, to pewna... Ale rzecz sama przez się i osoba owego Kalksteina za małe, aby aż senator... nie! A sam Elektor? co? także za mały! On mi tu swoich kamerjunkrów nasyła, a jabym mu senatora słał! Za wielki honor, za wielki!

— Jabym mniemał — ozwał się Olszowski — że najlepszym byłby imćp. Wojciech Opacki, podkomorzy warszawski...

Na to nazwisko Korybut wyraźnie się skrzywił. Nie lubił on tych, którzy za przeszłego panowania zdobyli sobie zasługi i byli wiernymi pamięci Jana Kazimierza.

— Opacki... Opacki... — powtarzał, spoglądając po obecnych — Opacki, co?

— Najlepszy! — rzekł stanowczo podkanclerzy. — Znam jego charakteru zacność, wieku powagę i doświadczenie; dzielnie on bronił niegdy spraw Rzeczypospolitej u dworów w Sztokholmie i Kopenhadze... Król Jan Kazimierz wielce go sobie cenił...

A na to Korybut jeszcze bardziej się skrzywił, ale gdy i Pac i Wierzbowski do zdania podkanclerzego się przychylili, oponować nie śmiał, rzekł jeno z niechęcią:

— Niech więc będzie Opacki... i niech zaraz wyrusza. Tylko — dodał śpiesznie — on pono

z wielkim sumptem lubi urządzać wszystko... a tu gotowizny niema, skarb pusty...

Obruszył się na to biskup poznański.

— Miłościwy panie! — zawołał z żywością — poseł Waszej Królewskiej Mości musi wystąpić *honeste*, inaczej nie przystoi i nie miałoby to żadnego skutku wobec Elektora, który przepychem otaczać się lubi...

Zacny biskup, widząc wahanie się króla, zaczął z mocą przedstawiać dalej, jako w tej sprawie z naciskiem wszelakim i godnością postępować należało, idzie tu bowiem o naruszoną zuchwale cześć Rzeczypospolitej i samego Króla. Nakazuje tak zresztą czynić i sama chrześcijańska miłość bliźniego, w imię której bronić i ratować nieszczęsnego Kalksteina, wydanego na męczarnie, stało się świętym obowiązkiem...

Korybut usiadł i wytrzeszczonemi oczyma, zrazu jakby z lękiem wpatrywał się w twarz biskupa, którego poważał i zdanie jego może najwyżej cenił. Olszowskiego lękał się i dlatego często słuchał, Pacowi nie dowierzał, Wierzbowskiemu ufał zupełnie, podziwiając jego niewyczerpaną dobroć, miłosierdzie, a przy wyrozumiałości, niezłomną stanowczość.

Słuchał więc pilnie, a w miarę jak słuchał, w jego zgasłych oczach zapalały się płowe błyski.

— Tak! — potwierdzał — tak uczynimy!

Czuł, że idąc za poradą biskupa, omylić się

nie może, albowiem rada ta wypływała z czystego i przekonanego sumienia. I następowała w nim owa dość częsta przemiana, iż z ospałego i apatycznego, stawał się nagle zapalczywym, pragnącym w jednym momencie wszystkiego dokonać.

Gdy biskup skończył, Król znów powstał z miejsca, lecz jakby wyszlachetniały, pewny siebie.

— Dobrze mówicie, księże biskupie! — rzekł — dobrze. — I zwracając się do podkanclerzego, dodał:

— Wam poruczam tę sprawę. Niech Opacki jedzie i wystąpi godnie, niech co rychlej sprawi to trudne poselstwo i wolność Kalksteinowi, a nam zadośćuczynienie przynależne uzyska... My zaś teraz zajmiemy się pismem do regencyi pruskiej... Chcę, iżby było stanowcze i ostre...

— Dlaczegóż nie odrazu do samego Elektora? — wtrącił Pac.

Korybut niecierpliwie ramionami dźwignął.

— Dlaczego? — powtórzył — dlaczego? Rzecz jasna. Majestat tej Rzeczypospolitej tego wymaga... Król polski nawet przypuszczać nie chce, iżby to, co się stało, było dokonane za wiedzą i wolą lennika naszego... mniema, jako zamach spełniony został przez zbyt gorliwych służalców i domaga się przykładnego ich ukarania, przedewszystkiem kamerjunkra Brandta...

— Jabym wszakże... — zaczął Pac.

— Tak chcę! — krzyknął Król, gniewnym wzrokiem mierząc litewskiego kanclerza, którego

opasła twarz zbladła. Wielką głowę schował w barczyste ramiona i zamilkł chmurny.

Korybut zaś zmiarkował się i dorzucił.

— Gdyby pismo nasze do regentów nie odniosło skutku, wyślemy drugie, do Elektora...

Pac ramionami dźwignął.

— Znam ja ich... — odparł z niechęcią... — Jeśli Wasza Królewska Mość mniema, że książę Croy, albo kanclerz Somnitz, albo taki zaciekły Wallenrodt, czy Kalnein lub Tettau, zechcą usłuchać...

— Tak postanowiłem... — przerwał znów Korybut, i nie bacząc już na widoczną opozycyę Paca, począł z podkanclerzym i biskupem Wierzbowskim owo pismo układać. A tak się dnia tego zaciekł, iż nawet o posiłku zapomniał i nie spoczął, dopóki pisma tego ostatecznie nie ułożono.

Pismo było rzeczywiście stanowcze i ostre; domagało się bezzwłocznego uwolnienia polskiego indygeny Kalksteina i ukarania łotrów, którzy podstępem go porwali.

— Teraz będziemy czekać... — mówił Korybut kontent, zacierając ręce. — Ciekawy jestem, jaką dadzą odpowiedź... oczywiście upokorzyć się muszą...

Tych nadziei królewskich nie podzielał wprawdzie nikt, zwłaszcza zaś kanclerz Pac, który obrażony nieco, iż Król rad jego słuchać nie chciał, głośno wygadywał i śmiał się z owego pisma.

— Papierowej walki Elektor się nie lęka. — mówił.

Jakoż niebawem nadszedł respons, grzeczny wprawdzie, ale wykrętny. Regencya pruska żadnej wiadomości o jakimś popełnionym gwałcie na osobie Kalksteina nie miała. Jeżeli Brandt z Warszawy zniknął, uczynił to bez upoważnienia, a gdzieby przebywał, nikomu z regentów nie było wiadomem. Co się zaś tyczy Kalksteina, był on osądzony i skazany prawomocnym wyrokiem Elektora, który przeto jedynie mocen był wyrok znieść i skondemnowanego uwolnić...

Korybut nie posiadał się z gniewu, czytając tę odpowiedź. Po komnacie biegał, krzyczał, że to jest niebywałe zuchwalstwo, chciał wojenną wyprawę przeciw Elektorowi gotować, wreszcie pismo regencyi zmiął, na podłogę rzucił i ciężko w krześle usiadł, zafrasowany. Frasunek ten pomnożył się jeszcze, gdy mu znać dano, iż odsiecz przez Jankowskiego urządzona, spełzła na niczem, że na terytoryum Rzeczypospolitej odbyła się z rycerzami elektorskimi walka, w której zginęło wielu, a kilku, w tej zaś liczbie sam Jankowski, rany odniosło.

— To jest prosty rozbój!... co? — mówił Król, przerażonemi oczyma na Olszowskiego patrząc.

I skończyło się na tem, że wyprawił nowe pismo do samego Elektora ze stanowczem żądaniem uwolnienia bezprawnie schwytanego Kalksteina i dania należnej satysfakcyi obrażonemu majestatowi Rze-

czypospolitej. Równocześnie podkomorzy warszawski, Opacki, wyjeżdżał do Berlina z obszernem pełnomocnictwem, a Król, żegnając go, rzekł mu jeszcze:

— Bądź waszmość stanowczy... tak!... Powiedz Elektorowi jegomości, że jeśli dawne zachowanie u mnie mieć chce, niech postąpi, jak tego żądam, albowiem inaczej...

Strzymał się, nie wiedząc, co po tem »inaczej« nastąpić miało i, zwracając się ku Rostockiemu, dodał swoim zwyczajem:

— Tak mogę mu rzec... co?

Rostocki się skłonił, a Opacki, człek powagi wielkiej, stłumił uśmiech, który wybiegał mu na usta i odparł:

— Rozkazaniu Waszej Królewskiej Mości stanie się zadość... Wszelkich usiłowań dołożę, iżby dokonać uwolnienia imćp. Kalksteina... Gdybym zaś tego nie zdołał...

— Ani przypuszczać chcę!... — zawołał Korybut. — Jedź, mój miły, i nie wracaj aż z tym biednym Kalksteinem.

Inaczej go teraz nie nazywał i rzeczywiście szczerze nad jego losem biadał, zwłaszcza gdy zawezwany Jankowski zdał mu o swojej niefortunnej wyprawie relacyę.

Po owej nieszczęśliwej pod Willenbergiem utarczce, Jankowski, pogrzebłszy przystojnie w Pogorzałej wsi zwłoki Psoty i poległych towarzyszy, z ciężkiem sercem do stolicy wracał. Przedewszyst-

kiem zająć mu się wypadało umieszczeniem stosownem owej Marysi, którą mu umierający Psota pod opiekę dał, a która od zgonu rodzica niemal nieprzytomną była.

Był dawnymi czasy w Warszawie klasztor pod tytułem trzeciego zakonu św. Franciszka od Pokuty. Zgromadzenie to zwało się kongregacyą panien i wdów Dewotek, a założone było przez owego świętego w tym celu, iżby niewiastom ubogim a pobożnym, lub takim, któreby pragnęły obmyć pokutą winy dawne, dać schronienie i możność prowadzenia bogobojnego życia, w regule, mniej ścisłej, ale jakby zakonnej. Zgromadzenie to, dostatnio przez szczodrych fundatorów uposażone mieściło się obok klasztoru Panien Bernardynek, opodal Zamku królewskiego, przy zbiegu dawnego Wału i Krakowskiego-Przedmieścia.

Ale czasu wojen szwedzkich klasztor ów wraz z domicilium czyli xenodochium Panien Dewotek pogorzał i okrutnemu uległ spustoszeniu; mniszki przesiedliły się w znacznej części do Wilna, a niejako na straży zgliszcz owych pozostały jeno najstarsze, między innemi zaś była przeorysza Panien Bernardynek, wielebna matka Febronia Gumowska, i przełożona dawnego xenodochium, przeszło dziewięćdziesiąt lat licząca, imćpanna Zofia Wolińska, która całe mienie swoje na ufundowanie owego schroniska przed laty ofiarowała. Jankowski znał ją oddawna, była bowiem daleką powinowatą matki

jego, do niej przeto postanowił się udać i prosić o opiekę nad Marysią. Pomimo późnego wieku, imćp. Wolińska zachowała całą przytomność i żywość umysłu, jeno wzrok tak osłabł, że gdy Jankowski do niej przybył, zaledwie po głosie poznać go mogła.

— Pan Bóg z waćpanem! — zawołała, kładąc drżące dłonie, na jego pochylonej głowie — a toć chyba coś extraordynaryjnego stać się musiało, skoro do mnie przychodzisz...

Pan Samuel w kilku słowach opowiedział rzecz całą. Staruszka słuchała pilnie, trzęsąc głową i wzdychając.

— Coć poradzić mogę? — rzekła wreszcie. — U nas nędza... ledwie na kawał chleba starczy, gdzież ja ową sierotkę podzieję?... Patrzcie!

I wskazywała rękami na szczupłą, ubogą izdebkę, w której jeno najkonieczniejsze sprzęty proste, drewniane znajdowały się: miast łóżka dwie deski na ziemi, wązkim siennikiem i derą przykryte, stół biały i dwa takież zydle. Na murach nieodnawianych, u okien i drzwi, wszędzie ślady pogorzeli straszliwej: smugi dymu, długie, wyciągnięte, jak potworne palce.

— Gdzież ja owo niebożątko podzieję? — powtarzała.

— Przytulcie ją, matko... - błagał Jankowski — U was nędza, mówicie. Ale wy w duszy macie

skarby wielkie, a u niej tam spustoszenie ogromne. Tymi skarbami podzielcie się z nią!...

Nie odpowiadając zrazu, staruszka podniosła zgasłe oczy w górę, jakby tam szukała natchnienia.

— Odpowiedzialność to wielka — rzekła po chwili zwolna — i niebezpieczna rzecz niedołężną starość sprzęgać ze zbuntowaną młodością...

— Bunt w niej zgnębiony... — wtrącił Samuel — zostało jeno sieroctwo wielkie i pustka...

— I z tego także szatan korzystać umie... On nieraz taką pustkę podszepty swymi zapełnia... A głos mój słaby...

— Lecz łaska Boża — przerwał znów Jankowski — mocna jest...

Mniszka zgasły swój wzrok utkwiła w niego. Czerwone jej powieki zaczęły się mrużyć i drgać, jakby odrobinę światła schwycić usiłowały.

— Jest-li w niej — rzekła — żądza pokuty?

— Teraz — odparł Jankowski — w duszy jej taki zamęt, jaki panował wszędy, zanim Stwórca rzekł: *Fiat lux!*

— Dziwny waść masz głos — ozwała się znów po chwili mniszka — iście dziwny.. Idzie, jak gdyby z przepaści, a przenika...

Na to zaś Samuel pochylił się do kolan staruszki.

— Oby — rzekł — przekonać was zdołał, matko! Ocalcie tę biedną duszę...

Mniszka podniosła oczy w górę. Wargi jej po-

ruszały się moment w cichej modlitwie, a potem wyrzekły krótko:

— Niech przyjdzie...

Tegoż dnia jeszcze, nad wieczorem, wprowadził Jankowski Marysię do celi staruszki.

Sierota nie opierała się wcale; kazał jej iść, więc szła, nie pytając dokąd, bezwiednie.

Stanęła w progu, onieśmielona, drżąca, patrząc szeroko otwartemi oczyma, na postać mniszki, przybraną w prosty, gruby habit szary, z którego wyglądała twarz wychudła, żółta, jak woskowa.

Na powitanie Jankowskiego nie odpowiedziawszy, mniszka wyciągnęła ku Marysi białe, przeźroczyste a drżące dłonie.

— Pokój z tobą, córko... — rzekła. — Pójdź do mnie...

Maryś ruszyła się od progu i szła wolno, zatrzymując się za każdym krokiem, sztywnie. I nagle przypadła do stóp staruszki, twarz kryjąc w dłonie.

A ona rękę swą położyła na głowie dziewczyny i zwolna gładziła jej bujne włosy.

Była chwila ciszy, wśród której słychać było jeno szept mniszki:

»Pokropisz mnie, Panie, hyzopem, a będę oczyszczona... Obmyjesz mnie, a będę nad śnieg wybielona. Słuchowi memu dasz radość i wesele.. a rozradują się kości poniżone...«

Marya głośno łkać zaczęła. Tak jej się zdało, jakby ze słowami mniszki, za dotknięciem jej ręki, której delikatną pieszczotę czuła na głowie swojej, spływała do jej duszy słodycz przebaczenia. Tak jej się zdało, jakby w tym momencie, matuchna jej biedna przestawała skarżyć się Panu Bogu — jak mówił rodzic — na wyrodną córkę.

A imćp. Wolińska spytała nagle:

— Pragniesz pokuty?...

— Och, pragnę!.. — wyjąkała Maryś.

Tedy mniszka podała jej krzyż, który miała przy różańcu, zawieszonym u pasa, a Maryś schwyciła go w obie dłonie i do stóp Zbawiciela przycisnęła spalone gorączką usta.

A staruszka rzekła do Jankowskiego:

— Teraz odejdź waćpan. Ona niech ostanie... tymczasem przy mnie. Ale nie na długo, boć mi już wielki czas na spoczynek wieczny; te zaś zgliszcza, które nam po nawale szwedzkiej ostały, porzucić musim. Zgromadzenie nasze rozproszyło się, a w części zlało się w jedno z pobożnemi siostrami Bernardynkami i przeniosło do Wilna. Niebawem, za miesiąc lub dwa, ostatnie siostry zakonne tam wyjeżdżają... Tam też i Maryś pojedzie, jeśli do służby swej powoła ją Bóg...

Na tem się ta rozmowa skończyła, a Jankowski wychodząc czuł dziwne uspokojenie. Rad był, iż zadośćuczynił poleceniu Psoty i że zbłąkaną jego córkę doprowadził do portu.

— Rzecz dziwna — myślał, wracając — ta Maryś biedna spotka się w Wilnie pod jednym dachem z Halszką Łyszczyńską. A może też te obie zmordowane dusze w zbliżeniu wzajemnem ukojenie znajdą...

Tu zaczął myśleć o Łyszczyńskim Kazimierzu, o jego wewnętrznych walkach, szamotaniu się i niepokojach.

— W nim — szepnął do siebie — umysł pragnie ciągle światła, a w coraz większą brnie ciemność, gdyż pyszny jest... Serce zaś pożądało jednej wielkiej miłości i zbuntowało się znalazłszy nicość... Albowiem nie w miłości dla niewiasty jest treść żywota, jeno w poświęcaniu siebie dla powszechnego dobra...

Tu zaś myśli jego pobiegły znów za nieszczęśliwym Kalksteinem, który w tym momencie musiał już być w elektorskich szponach. Ale myśli te stały się wnet goryczy pełne, przewidując zły koniec całej pruskiej sprawy, która straconą się być zdawała.

Wróciwszy na Pragę, długo w noc konferował jeszcze ze Stenclem i Klattem, którzy z ran poniesionych pod Willenbergiem leczyli się, a także żadnej otuchy nie mieli.

— Gdyby nawet — mówił Stencel — Król jegomość zdołał uwolnienie Kalksteina uzyskać, to i cóż z tego? On zgnębiony i zgnębione Stany pruskie nie podniosą już głowy, a zrozumienia dla

nich i poparcia, któreby tak skutecznem było i złamało Elektora potęgę, tu nie znaleźć...

Klatt trząsł kwadratową, kudłatą głową i przytwierdzając tym słowom, mruknął:

— Nam trzeba na innem polu rycerskiej śmierci szukać...

A na to porwał się z miejsca Samuel i w uniesieniu zawołał:

— Tak-ci jest... to prawda! Niepodobna przeciw ościeniowi wierzgać... Idąc za Kalksteinem, zmarnowaliśmy dużo sił, albowiem nie było za nami Rzeczypospolitej, która niebezpieczeństwa pruskiego nie widzi. Więc dalej tą drogą iść nie możem, iżby nam nie zarzucono, jako dla jednego człowieka poświęcamy wielu... Kości nasze i nasza krew pod Willenbergiem niech przeto będą ostatniemi ofiarami, dopóki Bóg sam nie uzbroi króla i narodu przeciw zdradzieckiej Elektora potędze. Na to zwracać baczenia nie przestanę, dopóki w piersiach tchu, Kalksteina nie opuszczę, iżby mu w jego niedoli ulgę przynieść, ale oręż nasz w inną teraz zwrócić mamy stronę...

Klatt otworzył oczy szeroko i utkwił wzrok w natchnioną jakby twarz Jankowskiego z podziwem. Było bowiem już tak w kompanii owej, iż wszyscy słuchali Samuela, jako wyroczni, czując w nim moc dziwną, nieziemską niemal, gdyż z żadnych ziemskich nie wynikała źródeł. Moc ta pozwalała mu całkowicie o sobie zapomnieć, bo

i teraz, gdy inni z ran poniesionych leczyć się musieli, Jankowski, jakkolwiek mocno w głowę i rękę rażony, zdawał się nie czuć bolu tych ran, które źle zaopatrzone, jątrzyły się. Powróciwszy z niefortunnej wyprawy, przedewszystkiem myślał on o innych, o pomieszczeniu i zaopatrzeniu towarzyszy, o daniu przytułku osieroconej córce Psoty. Był z relacyą u podkanclerzego Olszowskiego, u Paca i Wierzbowskiego biskupa, zamyślał też do Króla iść, iżby interwencyę na rzecz Kalksteina przyspieszyć, ale już tego wieczora, gdy powróciwszy z klasztoru, z Klattem i Stenclem naradzał się, zauważyli oni obaj, jako Jankowskiemu nieraz tchu brakło. Chwytał się czasem bezwiednie za głowę, a mówił coraz szybciej, gorączkowo.

— W inną stronę poniesiemy nasz oręż! — wołał — tam, kędy jest najważniejsza dziś potrzeba i niebezpieczeństwo najsroższe. Na dworze Paców wyrozumiałem, iż srogie gromadzą się chmury... Doroszeńko z serdeniatami swymi przyzywa ordę tatarską i turków, którzy domagają się Kamieńca i Ukrainy... Wszystkich oczy, nawet najbardziej zawistnych, zwracają się teraz ku hetmanowi Sobieskiemu... w nim wszyscy czują moc... Więc i ja ku niemu pójdę, bo dziś jedno ramię znaczy wiele, a ja mam je poświęcone i oddane powszechnej sprawie. Czuję, iżbym odżył w tych zapasach, które będą i wielkie i da Bóg, zwycięzkie!... Kto chce, niech idzie ze mną!...

Klatt i Stencel zawołali zgodnie, porywając się:

— Idziemy!

I znowu zaprzysięgli sobie tej nocy rycerskie braterstwo; a mieli i tę pociechę, że także inni, młodsi kompanowie oświadczyli gotowość iść do obozu, pod dowództwo hetmana.

Długo jeszcze układali plan tej wyprawy, ale Jankowski opadł z sił... gorączka go zmogła. I gdy nazajutrz podkanclerzy Olszowski przysłał po niego z wezwaniem do Króla, poseł ów zastał go zgoła nieprzytomnym, w malignie.

Wśród kompanów Jankowskiego, srodze zaniepokojonych, zdumiono się wielce, gdy tegoż dnia jeszcze przybył na Pragę, umyślnie przez królowę Eleonorę wysłany, lekarz jej nadworny, który rany jego mocno rozjątrzone, opatrzył troskliwie, przepisał leki i dłuższy spokój zalecił. Codziennie też przybywał odtąd goniec z królewskiego zamku, aby się o stanie zdrowia rannego rycerza wywiedzieć.

Jankowski rychło przychodził do siebie i niebawem, jakkolwiek osłabiony, mógł stanąć przed obliczem królewskiem.

Korybut przyjął go niezmiernie łaskawie i zaraz mówić począł o sprawie Kalksteina:

— Nie zaniedbałem i nie zaniedbam niczego, iżby sprawiedliwości zadość się stało. Opacki, nasz podkomorzy warszawski, osobiście już nalega w Berlinie na Elektora, ja sam zaś dwukrotnie pisałem

do Fryderyka Wilhelma, domagając się zadośćuczynienia za tak pogwałcone prawa narodów. Mam nadzieję, że dobrze będzie...

Nic wszakże nie zapowiadało, iżby te nadzieje ziścić się miały. Prowadzone w Warszawie śledztwo już z tego powodu nie mogło mieć należytego skutku, że główni sprawcy zamachu Brandt, Montgoméry, Lehndorff, Fehr i Baumgardt zniknęli ze stolicy. Ujęty Thamson klął się na wszystkie świętości, iż podczas zamachu nie był obecny w gospodzie, karlik zaś Tomaszewski inną opowiadał baśń, jakoby jedynym sprawcą zamachu był Baumgardt, który miał różne zatargi z Kalksteinem i mszcząc się napadł go, porwał i uwiózł. To samo powtarzał kanclerz wielki koronny, Jan Leszczyński, usiłując wszelką winę od Elektora odsunąć, a zohydzić zarazem Kalksteina w umyśle Króla i szlachty.

W tym celu dnia pewnego, a było to już z końcem stycznia roku Pańskiego 1671, pojawił się w stolicy paszkwil p. t. »*Christiani Lodovici Kalksteinii Mores et Fatum*«, w którym całe życie nieszczęsnego więźnia w najczarniejszych przedstawione było barwach, a przytem owe zatargi z Baumgardtem opisano tak, iżby zemsta wywarta wyglądała jako sprawiedliwa i słuszna.

Leszczyński natychmiast zaniósł ten paszkwil Królowi i tak mówił:

— Niech Wasza Królewska Mość wysokim

rozumem swym sam rozsądzić raczy: godna-li to jest rzecz Najwyższy Majestat w taką sprawę mieszać i dla podobnego człowieka narażać. Wszyscy wiedzą, jako Kalkstein pijanica był i rozpustnik... Nie bronię ja wcale Baumgardta i jego zuchwałego czynu.. należy od Elektora domagać się ukarania śmiałka. Lecz z drugiej strony zważyć trzeba, jako on wziął pomstę za naruszoną cześć swoją, a to są prywatne sprawy, które jeno niechętni i podstępni Waszej Królewskiej Mości tak przedstawić pragną, jakoby politycznemi były...

Korybut słuchał i wytrzeszczonemi oczyma, w niepewności, spoglądał na zaufanych doradców swoich, Rostockiego i Szczukę. Ci jednak, czy przez kanclerza ujęci, czy też nieświadomi sprawy, milczeli, a Król to miękł i wątpił, to znów swego dobrego serca się radząc, z niezwykłą stanowczością, ku zdumieniu wszystkich, wybuchał. I raz, gdy Leszczyński ponownie z owemi plotkami przyszedł, ofuknął się srodze:

— Słuchać tego nie mogę i nie będę! — zawołał. — Plotarstwo to jest, któremu nie wierzę. Znam tych z imienia i nazwiska, którzy o imćp. Kalksteinie dobre dają świadectwo, tych zaś, którzy rozszerzają paszkwilusy, nie widać... jeno echa słychać...

Mała postać kanclerza drgnęła, a na jego żółtą, pomarszczoną twarz wybiegły rumieńce gniewu.

— Przecież — odparł — ani ja, kanclerz, ani ksiądz Prażmowski, prymas...

Ale samo nazwisko prymasa było zdolne do żywego poruszyć Korybuta.

Wstał nagle i dokończyć nie dając — rzekł:

— Dość tego, mości kanclerzu — książę prymas niejednokrotnie zapomniał, co winien własnemu dostojeństwu i królewskiemu majestatowi... I teraz jest, jak zawsze, przeciw mnie i przeciw sprawiedliwości, którą pogwałcił Elektor...

Podniósł głowę i z niezwykłą godnością, dorzucił:

— Znam ja granice obowiązków moich... Gdyby nawet Kalkstein takim był, jak mówicie, szalbierzem i rozpustnikiem, toć obowiązkiem Naszym jest obstać za nim, boć jego skrzywdzono, a tej Rzeczypospolitej i Nam, Królowi, wyrządzono obelgę...

I nie żegnając kanclerza, wyszedł z komnaty.

Tegoż dnia jeszcze Leszczyński doniósł prymasowi o tej rozmowie i o despekcie, jaki go spotkał.

Prażmowski ślepe oko zawarł, a drugiem szyderczo na kanclerza patrzył. Ten zaś unosił się:

— Człek to jest — mówił o Królu — którego nie zbadać... Jednego dnia słucha i potakuje, miękki jak ciasto, a nazajutrz przyodziewa się w majestat i zdaje mu się, że jest Król.

Prymas zaśmiał się w głos.

— Niech mu się zdaje! — rzekł — aż do ostatniego momentu, który niedaleki...

Sępia jego twarz przybrała wyraz ostry. Powieka nad ślepem okiem drgała, a on nachylił się do ucha kanclerza i powtórzył szeptem:

— Moment niedaleki... Opat Paulmiers znów tu niebawem przybędzie.. Konferencya wojskowa gotuje się... Książę de Longueville czeka... trzeba jeno hasła.

— A kto je wyda?... — z powątpiewaniem spytał kanclerz.

Prymas otworzył ślepe oko, które zdawało się iskrzyć...

— Hetman... — odparł cicho.

Na te słowa wszedł podskarbi Morstin i żywo opowiadać począł, jakie wiadomości otrzymał z Berlina, Gdańska i Paryża. Dla sprzysiężonych wiadomości zdawały się być dobre. Elektor obiecywał dać poparcie w sprawie detronizacyi Korybuta i wyniesienia na tron księcia de Longueville, byleby tylko wrzawa o Kalksteina i niepodległość Stanów pruskich na zawsze ustała. Król francuski w ludziach i pieniądzach przyrzekał także posiłki, a wysłannik jego opat Paulmiers z Gdańska donosił, iż gotów jest na każde wezwanie przybyć, byleby od Sobieskiego hetmana stanowczą deklaracyę co do konfederacyi wojskowej otrzymał. »To jednak bieda — dodawał — iż na moje listy pan

hetman responsu nie daje i w tej sprawie stanowczości niema...«

Leszczyński ramionami dźwignął:

— On zawsze tak. Chciałby a boi się... Całe nieszczęście w tem, że teraz piękna Marya Kazimiera w Paryżu, a hetman wpływu jej pozbawiony, o rycerskich czynach jeno marzy, z każdym godzić by się rad...

Po wypieszczonej twarzy Morstina przebiegł uśmiech dziwny, jakby pogarda dla obecnych, którzy sprawy tej pojąć nie mogli. Uśmiech ten wnet zniknął, ustępując miejsca wyrazowi skupienia.

— Słusznie rzekł pan kanclerz — mówił po chwili zwolna, nieco szyderskim tonem — on bystre oko ma... My na pana Sobieskiego liczyć nie zawsze możemy, a zwłaszcza nie tam, kędy jego intencye z naszemi się rozchodzą...

— Otóż to! — zawołał Leszczyński, uradowany, że taki mądry człek, jak Morstin, jego zdaniu przytwierdza. — Otóż to! ja zawsze twierdziłem, jako hetman niepewny...

— Chi, chi, chi! — zaśmiał się sucho podskarbi. — Wyborne słowo: niepewny!... Mam ja teraz dworzanina, który sam się zgłosił do mnie, a był dawniej u Radziwiłła Bogusława i na królewskim dworze, potem Brandtowi służył... Zwie się Brzoska...

— Znam go — rzekł kanclerz.

— A jak sądzicie? — zagadnął z nagła Mor-

stin — pewny-li on jest, czy niepewny?...

Leszczyński, nie wiedząc co odrzec, milczał prymas zaś niecierpliwie się poruszał, czując, że Morstin jakowąś miał na myśli złośliwość.

— Owóż — ciągnął podskarbi, spoglądając z ukosa na kanclerza — mój Brzoska jest pewny...

— I ja tak mniemam — wtrącił Leszczyński.

— Pewny on jest — kończył Morstin — ale jeno wtedy, gdy potrzeba jakoweś szelmostwo zrobić... Natomiast ja dla niego nie zawsze pewny jestem, bo on nie wie, żali ja na to lub owo szelmostwo przystanę... Zależy to więc od punktu widzenia i dlatego pan Sobieski dla nas nie zawsze pewny jest...

Powieka nad ślepem okiem prymasa skurczyła się i zawarła. Poruszył się żywo.

— Mości podskarbi! — krzyknął — to obelga!

Morstin skłonił się głęboko.

— Niech mi Wasza dostojność przebaczy — mówił ciągle tym samym tonem, spokojnie. — Obelgi niema, albowiem ja nie wyłączam się z kompanii i powiadam: *dla nas*... My mamy intencye inne, pan hetman inne; jakkolwiek cel na razie jednaki: złożenie z tronu Korybuta. Pan Sobieski potężnego i możnego Króla chce mieć, rząd silny, wojsko pomnożone, ubezpieczone granice... My zaś...

— My także! — przerwał prymas, machając z oburzenia drżącemi rękami — my także...

Podskarbi znowu się skłonił.

— Nie poważę się przeczyć... ale widzę inaczej. My powtarzamy wprawdzie to samo, ale jeno dla pozoru. Albowiem ten, który burzyć idzie, nie mówi wszystkim: zniszczenia pragnę, jeno rzecze: gmach szczęśliwości zbuduję!

Prymas porwał się z miejsca.

— A to niesłychane! — krzyknął — w obecności mojej takie rzeczy prawić... tego nie ścierpię!

Podskarbi głowę podniósł. Na jego twarzy nie było widać ani wzruszenia, ani obawy, iż prymasa obraził. Na grubych jego ustach igrał ciągle uśmiech.

— Źle jest — ozwał się z całym spokojem, patrząc na prymasa, który wzburzony chodził po komnacie — źle jest, gdy dążący do wspólnego celu jednakiemi drogami, nie chcą, czy lękają się powiedzieć sobie prawdy. Po co wzajem się łudzić? Reformy chce Sobieski i siły z góry, jednolitej a wspartej na militarnej potędze... Taka reforma nas by naprzód ścisnęła... Więc my jej pragnąć nie możem, więc z hetmanem pójdziemy jeno dopóty, dopóki on nas wspomagać będzie w najbliższym celu, to jest w detronizacyi. Dalej drogi nasze rozchodzą się i rozejść się muszą. My potem przeciw niemu działać i walczyć będziemy, a więc idzie o to, iżby on przedwcześnie tego nie spostrzegł i nie cofnął się...

Gdy to mówił podskarbi z tym zimnym spokojem, który nieraz starczy za siłę wymowy, a często

bardziej przenika i trwalej w umyśle zostaje, prymas miarkował z trudnością swój gniew. Każde jego słowo szarpało w nim najdotkliwsze uczucia i upokarzało dumę, zohydzało we własnem sumieniu. Ale do poróżnienia z podskarbim dopuścić nie mógł; usiadł więc opodal, plecami do niego się obrócił i, zagryzając usta, postanowił milczeć. Drżącą ręką szarpał krzyż, zawieszony na szyi, na wstędze jedwabnej, która przykry wydawała szelest.

Mała postać Leszczyńskiego cała utonęła w poręczowem krześle. Zgarbił się, głowę opuścił na piersi i słuchał.

Morstin zaś rozparł się w fotelu, nogę na nogę założył, i bawiąc się niedbale koronkami swego stroju, ciągnął dalej:

— W tem był błąd cały, iż z panem Sobieskim w zbyt otwarte grano karty. Uczynił to pierwszy opat Paulmiers, odkrywając przed nim całą sieć intrygi. Z nim trzeba inaczej gadać. Powiedzieć mu: źle jest, potrzeba reformy, zwiększenia siły zbrojnej i władzy hetmańskiej; on bez wahania powie: dobrze, bo tak czuje. Powiedzieć mu: zły jest, niedołężny Król, dopóki jest, reformy nie dopuści... Złóżmy go! On odpowie: Zgoda, wiem o tem, będę z wami... Ale rzec mu tak: uczyń konfederacyę wojskową, spiskuj przeciw Królowi, a potem, gdy to wszystko sprawisz, oddaj nam władzę, bo my tu chcemy drugie francuskie królestwo uczynić i rządzić sami, bez szlacheckiego gminu a może

nawet bez sejmu, to w nim się zaraz zerwie szlachecka krew i krzyknie: nie!

Poruszył się prymas i pół postacią zwracając się ku Morstinowi, ozwał się porywczo:

— Krzyknie: nie! bo sam Królem chciałby być...

Podskarbi utrefioną głową chwiał:

— Nie znacie go... nie znacie! — a jam go sobie na cząsteczki rozłożył i wiem z czego się składa. To przedewszystkiem rycerz i wódz jakiego nie było...

— O, za pozwoleniem — zaopanował prymas — taki Czarniecki...

Morstin się zaśmiał.

— Taki Czarniecki sam by pod jego dowództwo poszedł, gdyby go widział w obozie, lub gdy plany układa... Wówczas przetwarza się on cały: jest jakby z płomienia, wzrok ma orli, o wszystkiem pamięta, ogarnia całość i szczegóły drobne, zapałem porywa...

— Nie wiedziałem — wtrącił szydersko prymas — żeście tak rozmiłowani w hetmanie...

Morstin ramionami dźwignął.

— Jam już w nikim nie rozmiłowany... — odparł, tonem jakby smutnym — zostały mi jeno oczy, które widzą i myśl, która rozważa i utopić się nie da...

Zamilkł, a po chwili, wznosząc wzrok w górę, deklamował z cicha:

... Przebóg! jak żyję, serca już nie mając?
Nie żyjąc, jako ogień w sobie czuję?
Jeśli tym ogniem sam się w sobie psuję,
Czemuż go pieszczę, tak się w nim kochając?

Prażmowski, usłyszawszy rymy, uśmiechnął się pogardliwie i rzekł:

— Mnie się zdaje, mości podskarbi, że wy politykę wierszami psowacie a wiersze polityką...

Morstin żachnął się niecierpliwie, lecz wnet zmiarkował się i odparł:

— Macie słuszność, księże prymasie... macie słuszność. Ale to już taka moja natura... Nie lubię długo w błocie siedzieć i przyzywam czasem słońca, które je wysusza... Stąd błoto popsute a słonecznym promieniom nie zaszczyt, iż się w kałuży kąpały...

Na to zaś kanclerz Leszczyński, który siedział milcząc, podniósł nagle suchą swą twarz i zaśmiał się głośno.

— Nie rozumiem tego — rzekł — co słońcu szkodzi...

— E! — przerwał podskarbi słońcu to nie szkodzi, jeno ono żabom niektórym zawadza, które tylko w ciemnościach z kałuży wyłażą i skrzeczą...

Prymas, który lepiej od kanclerza rozumiał, nogą przytupywał z gniewem i znów wtrącił:

— No, mój słoneczny panie, mówże dalej.. chciałbym przecie od mądrości waszej dowiedzieć się, co zacz jest ów pan Sobieski, w którym ja

tylko nienasyconą ambicyę widzę... Rzekłeś: wódz natchniony, a potem?...

— Polityk...

— Cha, cha! — zaśmiał się prymas — to już istna, jakoście rzekli, żaba...

— I mnie się też zdaje — ozwał się Leszczyński — że jego polityka nie tęga...

— No — odparł, kłaniając się szydersko podskarbi — nie taka wprawdzie jak wasza... z wami nawet w porównanie iść nie może... Wasza polityka cała utonęła w Berlinie, w niej też utopiliście naprzód kandydaturę do tronu Neuburga, a potem nawet własnego krewniaka Grzymułtowskiego...

— Wy za to, mości podskarbi — odciął się kanclerz — pływacie jeszcze ciągle po wierzchu...

Prymas sucho się zaśmiał.

— Do przyszłego sejmu... — dorzucił szydersko.

Morstin wstał, bardzo blady. Obu sprzymierzeńców swoich obrzucał nienawistnym wzrokiem i moment milczał, zagryzając grube usta.

— Nie spierajmy się — ozwał się wreszcie, miarkując gniew, który w nim wrzał — moment jest ważny i nam potrzeba zgody... Polityka pana Sobieskiego, jeżeli się zmienia i nam teraz dogodną nie jest, to jeno dlatego, że postępować z nim nie umiano. Wy, księże prymasie, a nawet sam opat Paulmiers, nadto wyraźnie ukazaliście mu zgoła inne cele, niż reforma, której on pragnie... Hetman tedy się zaląkł. Dopóki piękna jego Marysieńka

była z nim razem, dopóty jeszcze przed nią można było sobie z nim poradzić... Teraz, odkąd ona siedzi we Francyi, hetman patrzy inaczej...

— Chorągiewka! — wtrącił Prażmowski, ramionami dźwigając.

— Żali byłby stałym, gdyby dziś chciał Kondeusza, a jutro Longuevilla?... On przy Kondeuszu trwa...

— A o sobie myśli... — wtrącił prymas.

— Nie! — żywo zaoponował podskarbi. — Nie znacie go, powtarzam! Już mu Marysieńka niejednokrotnie takie myśli poddawała, lecz on je zawsze odpycha. Dla siebie pragnie on jeno niekrępowanej władzy hetmańskiej, na tronie zaś chce mieć króla z krwi monarszej, króla-dynastę...

Prymas nie mówił nic, jeno nogą tupał i chwilami śmiał się szydersko, a kanclerz znów wyciągnął głowę i rzekł:

— Nie rozumiem was, mości podskarbi... Jeżeli taką politykę uważacie za dobrą, dlaczego nie wspieracie hetmana, a idziecie z nami, których potępiacie?...

Twarz Morstina miała w tym momencie wyraz smutku i powagi. Przystąpił do kanclerza i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Jestem — rzekł — jako ów podróżny, który drogę zmylił, a chociaż wie o tem, nie chce mu się już wracać, bo... zaszedł za daleko...

Machnął ręką i począł zwolna chodzić po komnacie, a po chwili ozwał się:

— Opat Paulmiers powinienby teraz tu przyjechać i do hetmana się przyczepić... z nim choćby do obozu iść.

— On też niebawem tu przybędzie... — wtrącił prymas.

— To dobrze. Ale Sobieskiemu niech mówi jeno o królu francuskim... niech przywiezie obietnice Ludwika stanowczej pomocy... W zamian zaś niech żąda zawiązania konfederacyi wojskowej, dla złożenia z tronu Korybuta... Niech przedewszystkiem przeszkadza temu, iżby Sobieski nie pojednał się z Królem..

— Nad tem czuwa hetman polny Wiśniowiecki — wtrącił kanclerz — pała on zawsze nienawiścią do koronnego hetmana i do zgody nie dopuści...

— Cha, cha, cha!... — zaśmiał się nagle w głos Morstin — dobre macie wiadomości, ale z przed pół roku!

Przystanął na środku komnaty i ręce załamał.

— I wy chcecie polityką kierować? — zawołał, znów szydząc.

— Przecież wiadomo powszechnie — ozwał się niecierpliwie kanclerz — jako pomiędzy Dymitrem a Sobieskim rozogniła się jeszcze bardziej w ostatnich czasach animozya o starostwo soleckie; król Wiśniowieckiemu je nadał, nie bacząc na prawa

przedtem nabyte przez hetmana, który owo starostwo w arendzie trzyma. Hetman odebrać sobie tego starostwa nie dozwoli, obsadził je swymi dragonami i bez mała wojna będzie...

Podskarbi ciągle śmiał się i szydził.

— Ale w tej wojnie — rzekł — chyba sam książę prymas, albo co pewniejsza, imćks. biskup poznański dowodzić będzie, wiążąc stułą rękę nadobnej księżniczki Teofili Ostrogskiej, siostrzenicy hetmana, z prawicą książęcia Dymitra, ku lubej zgodzie i pojednaniu wszystkich...

Prażmowski żywo się poruszył.

— Nie może to być! — zawołał — związek ten nie przyjdzie do skutku...

Podskarbi skłonił się nizko.

— Chylę głowę przed wyrokiem Waszej Książęcej Mości... I wiem, że gdyby to od was zależało, z tego wesela nie byłoby nic... Niestety, jednak...

— Nie będzie! — wybuchnął prymas — nie będzie! Wiem, że księżna Gryzelda pragnie skłonić swego ukoronowanego syna do zgody z Sobieskim, wiem, że o to samo zabiegają i królowa Eleonora i podkanclerzy Olszowski. Ale z tego nic. Księżna Gryzelda słała posłów kilkakrotnie do hetmana, ano bezskutecznie. Był tu i u mnie w sprawie tej krewniak mój, Tomisławski. Wszystko to jednak naprożno...

Morstin zbliżył się do prymasa, pochylił i począł mówić niemal szeptem.

— Mylicie się... Ja wiem lepiej... Oddawna już książę Dymitr we Lwowie przesiadywał, szukając z hetmanem konfidencyi. Wysłałem ja tam sprawnego człeka, o którym przed momentem mówiłem, iżby wszystko spenetrował. Ten tedy Brzoska dziś nad ranem powrócił i taką mi relacyę zdał: Zagodzone jest wszystko. Książę Dymitr tak się rozmiłował w siostrzenicy hetmana, że w tem kochaniu wszelkie dawne swoje animozye utopił. Wraz z księciem wojewodą wołyńskim pojechał do Jaworowa, do Sobieskiego, tam go za dawne urazy przebłagał, a Czartoryski w jego imieniu formalnie prosił o rękę księżniczki Teofili...

Prymas wstał nagle i przerażonym wzrokiem patrzył na Morstina. Małżeństwo to zadawało cios stanowczy planom jego i całemu, raz już rozbitemu, a teraz ponownie z trudem, w okół osoby księcia de Longueville skupionemu, francuskiemu stronnictwu. Małżeństwo to, jednając Dymitra Wiśniowieckiego z Sobieskim, zbliżało hetmana do Króla, a tem samem pozbawiało spiskujących przeciw Korybutowi głównej podpory.

— Być nie może... być nie może... — szeptał Prażmowski.

Kanclerz także porywczo wstał z miejsca i rzekł:

— O tem natychmiast donieść trzeba Elektorowi...

Podskarbi ramionami dźwigał i śmiał się.

— Pan kanclerz mniema, że u Elektora na

wszystko znajdzie lekarstwo... A ten, jak go Kalkstein zwał, krwawy Frycek, sam teraz w kłopotach. Zapewne, że go to mocno interesować będzie, albowiem hetman pogodzony z Królem, to silna pomoc Kalksteinowi dana, to nietylko uwolnienie pochwyconego exulanta, lecz podźwignięcie całej sprawy Stanów pruskich... Lecz co Elektor poradzi na to Dymitrowe kochanie, które wszelkie animozye niweczy?...

— Ale — wtrącił prymas — żali jesteście pewni, iż ów wasz Brzoska dobrze to widział?...

— Ma on oczy jak ryś, a spryt dyabelski — odparł podskarbi. — Dawny radziwiłłowski, a potem królewski dworzanin, ma on tam u dworu Dymitra liczne konexye... Przybywszy do Lwowa, znalazł dawnych towarzyszy, którzy go i do Jaworowa zabrali, kędy widział i słyszał wszystko...

— I hetman przeprosiny przyjął! — zawołał znów prymas.

Morstin usiadł, nogę na nogę założył i bawiąc się od niechcenia złotym łańcuszkiem, zawieszonym na piersi, mówił dalej z całym spokojem:

— Uczynił więcej, gdyż przyrzekł Dymitrowi rękę siostrzenicy... potem powiedziano sobie: *nunc est bibendum*... i cale przystojnie pito, na zgodę, wreszcie tak ułożono, iż Dymitr pojedzie teraz do Białej i tam sobie księżniczkę Teofilę zaręczy, ślub zaś i wesele z wielką paradą odprawione być mają

w Warszawie, dla okazalszego demonstrowania miłej hetmana z Królem jegomością zgody.

Prymas usiadł ciężko i ręką czoło tarł, a kanclerz drobnym krokiem chodził po komnacie, powtarzając:

— Do tego nie można dopuścić, nie!

— A jak? — spytał Morstin, spoglądając nań szydersko.

Prażmowski szarpnął znów gniewnie jedwabną wstążkę na szyi.

— Że też wy, mości podskarbi — wybuchnął — możecie o tem tak spokojnie mówić... Rzekłby kto, że was to nie obchodzi zgoła... gdy przecie fakt ten...

— To Korybuta umocnienie — dokończył Morstin — to jego tryumf, a nasza przegrana... wiem to. Mam oczy otwarte...

— Dajcie więc radę!... — rzekł prymas, zwracając się ku podskarbiemu całą postacią.

Kanclerz przystanął i patrzył także na Morstina wytężonym wzrokiem.

— Tak — potwierdził — dajcie radę... przecież jakaś być musi...

Morstin ramiona roztworzył.

— Najlepsza — odparł, wciąż szydząc — wleźć w mysią dziurę... pan kanclerz może się tam zmieści... i ciepło mu będzie.

Leszczyński niecierpliwie się żachnął.

— Ciągłe kpiny... — rzekł i nadąsał się.

Podskarbi śmiechem parsknął.

— Kpię — odparł — bo jak to mówią, kiep się wykpi a durnia powieszą... ja zaś wisieć nie chcę.

Prażmowski miarkował gniew, który w nim wrzał, a czując, że Morstin nie byłby tak spokojny, gdyby rady jakiej nie widział, wtrącił bardzo łagodnym tonem:

— Rzeczywiście, mości podskarbi, poważnie zastanowić się trzeba, aby te plany pojednania zniweczyć...

— Ba! — odparł podskarbi — gdyby to plany, ale to już spełniony cud... A jaka rada na cuda?... zwłaszcza gdy...

Podniósł oczy w górę i przesadnie deklamować począł:

Cuda te czyni miłość, jej to czyny,
Którym, ktoby chciał rozumem się bronić,
Tembardziej w sidła z rozumem swym skoczy...

Prażmowski ramionami dźwignął.

— Znowu rymy! — szepnął.

Morstin zaś moment milczał, jakby z natrętnemi walczył myślami; twarz jego przybrała znowu wyraz powagi czy smutku. Westchnął, wstał z miejsca i rzekł:

— Na mnie już czas... żegnajcie...

Prymas patrzył na niego niespokojnie.

— Czekaj, mości podskarbi — ozwał się. — Musimy przecież zastanowić się, co czynić...

— Mojem zdaniem — wtrącił Leszczyński —

należałoby przedewszystkiem przedstawić hetmanowi...

— Co przedstawienia pomogą? — żywo przerwał Morstin. — On przecie wie dobrze co czyni... i na to rady nie ma. Możnaby jeszcze próbować odwlec to małżeństwo i pojednanie z Królem. To zaś sprawi najlepiej książę prymas, wmawiając Korybutowi...

— Ja na niego żadnego wpływu nie mam!... — porywczo zawołał Prażmowski.

— Ale macie wpływ na tych, którzy są najbliżsi ucha pańskiego... Każcie Rostockiemu albo Szczuce wmówić w Króla, jako potrzeba, iżby wyjechał z Warszawy... Niech go nastraszą spiskiem i skłonią do wyjazdu dla bezpieczeństwa życia... choćby do Częstochowy, albo Krakowa...

Prymas i kanclerz słuchali z natężeniem, czuli bowiem, że po wielu szyderstwach, dopiero teraz podskarbi mówił poważnie, skuteczne wskazując sposoby. Nie przerywano mu, on zaś, jakby zapalając się do planów, które się w jego umyśle rodziły, mówił dalej:

— Wśród dworu łatwo rozpuścić nie uchwytne plotki, które nie wiedzieć skąd powstają... Najlepiej użyć do tego Szczuki i księdza Cieciszowskiego, bo ten spowiednik królewski ciągle czegoś się lęka, więc i Korybuta przestraszy... Nie trudno przecież sprawić, iżby on list jaki znalazł z ostrzeżeniem...

Kanclerz zaśmiał się.

— Wcale nie trudno — wtrącił. — Ale co z tego?

Prymas spojrzał na niego surowo, nie rad z przerwy, podskarbi zaś, broniąc już swego planu, podchwycił żywo:

— Co z tego? Wszakże wam chyba wiadomo, że Sobieski, wezwany przez Króla na radę wojenną, ma niebawem tu przybyć... Nie można teraz dopuścić tego zbliżenia, z którego zwolennicy pojednania, jak królowa, księżna Gryzelda, podkanclerzy Olszowski zarazby skorzystać umieli. Jeżeli zaś Król raz jeszcze radę odłoży i wyjedzie, nietylko do zbliżenia nie przyjdzie, ale hetman do niechęci i wyrzekań będzie miał nowy powód...

— Doskonale! — zawołał prymas.

Morstin uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Otóż Król wyjechał — ciągnął dalej — a hetman zły... Książę prymas wzywa wówczas na gwałt zacnego opata Paulmiers, który przybywa do Jaworowa i rozdmuchuje ową rozbudzoną niechęć... Niech jeno będzie ostrożniejszy i, nie mówiąc zbyt wiele, niech tylko demonstruje konieczność detronizacyi niedołężnego Korybuta...

Prażmowski wstał i obie dłonie ku Morstinowi wyciągnął.

— Tak to lubię! — rzekł — wasza rada wyborna... i do przeprowadzenia łatwa...

— Tylko — pospieszył zastrzedz się podskarbi

moje nazwisko nie może być już w tę sprawę wmieszane... Mam ja bez tego dość kłopotów...

— I jabym także nie rad... — rzekł kanclerz.

Morstin zaśmiał się szyderczo.

— O, pan kanclerz zawsze nie rad!... Najwygodniej wszystko cudzemi rękoma robić... Ale w tym wypadku radzę wam, mości kanclerzu, przyczynić się... Elektor bowiem będzie wam wdzięczen. Teraz Korybut okrutnie zażarty za Kalksteina i do Elektora szturmuje; ten zaś bicz z piasku kręci i kłamstwem jak może się wywija... Niebawem zaś i kłamstwo się urwie. A gdy Korybuta dobrze przestraszycie... on wnet o wszystkich Kalksteinach zapomni... Radzę przeto działać szybko a zręcznie.

Skłonił się i wyszedł, rad w duchu, iż sprzymierzeńców swoich, których niecierpiał, szyderstwem pognębił, a poddał im plan, którego urzeczywistnienia sam pragnął.

Widocznie też zdołał prymasa i kanclerza przekonać, ci bowiem, nie zwłócząc, wszelkich użyli sposobów, iżby wieść o nowym spisku u dworu rozszerzyć. W kilka dni potem szeptano sobie na ucho o jakiemś piśmie ostrzegającem, które otrzymać miał ksiądz Cieciszowski; wkrótce zaczęto wymieniać nazwiska; mówiono, że na czele nowego spisku stanął wódz gwardyi, chorąży koronny Hieronim Lubomirski, że Król ma być zgładzony sztyletem albo trucizną...

Popłoch u dworu stał się ogromny. Przerażony

Korybut pokazywał wszystkim pismo, znalezione w komnacie spowiednika i każdego pytał drżącym głosem:

— Co czynić?

Zdawało mu się już, że jest otruty, więc omdlewał z przestrachu, a potem gniewem wielkim się unosił, groził niewidzialnym wrogom srogą pomstą, wreszcie rozczulał się nad własną dolą i biadał:

— Co ja komu złego uczyniłem? Za co mię tak prześladują?

Z najbliższego otoczenia, podkanclerzy Olszowski i Wierzbowski biskup, którym dotychczas Król najbardziej ufał, przeczuwając w tych wieściach podstęp złośliwy, uspokajali i radzili puszczać owe plotarstwo mimo uszu.

— Skrytobójców w naszym narodzie nie masz...— mówił z powagą biskup — i nie masz ręki, którąby się w morderczym zamiarze na Pomazańca Bożego podniosła... Obawą swą krzywdzisz, miłościwy Panie, naród...

— A... a... — przerwał Korybut — a plany konfederacyi wojskowej, a sprzysiężenie siedmnastu najmożniejszych przeciw mnie... mam ich nazwiska spisane... mam! Wszyscy tam są... najprzedniejsi..

— To rzecz inna — żywo wtrącił Olszowski — są tacy i temu nie przeczę, którzyby chcieli inaczej, niż jest... którzy myślą o jakowejś reformie... Ale to nie skrytobójcy, czyhający na życie...

Korybut z niechęcią na mówiącego spojrzał.

Wstał z miejsca i żywo po komnacie przechadzać się począł, poczem, zatrzymując się przed podkanclerzym:

— Wy mnie ich nie brońcie! — rzekł niemal z gniewem — kto spiski knowa, ten zaczynając nie wie, na czem skończy i jakich będzie musiał imać się środków.

Podniósł głowę w górę i, usiłując przybrać majestatyczną postawę, mówił zwolna, z godnością:

— Korony wydrzeć sobie nie dam, ani jej dla uciechy spiskujących nie złożę, iżby przeszła na bękarci ród owych Saint-Paulów czy Longuevillów... Kto na to dybie, aby z tronu mię złożyć, dybie i na moje życie, bo chyba z życiem ustąpię...

Olszowski wiedział, że gdy Korybut przyodział się w majestat, nie było już z nim rady. Im z większą trudnością mu to przychodziło, tem uporczywiej trzymał się raz schwyconego górnego tonu. Więc podkanclerzy spojrzał porozumiewająco na biskupa i milcząc wyszli z tej narady, nic nie wskórawszy.

Król zaś mówił za chwilę do Szczuki w rozdrażnieniu:

— Oni mnie uśpićby radzi, iżbym knowań nie dojrzał... Ale ja oczy mam teraz otwarte... tak, mam!

— Przecież Wasza Królewska Mość — wtrącił zaufany dworzanin — podejrzywać nie możesz, ani podkanclerzego ani biskupa...

— Co nie mogę? — wybuchnął Korybut — dlaczego nie mogę? Ja nikomu nie ufam... wszystkich podejrzywam!... tak!

Zausznik pochylił się do kolan królewskich.

— Chyba nie mnie, Miłościwy Panie... — szepnął z przymileniem.

Korybut moment milczał, a potem, usiadając ze znużeniem w krześle, odparł z pewnem wahaniem:

— Nie... ciebie nie! Rostockiego nie!

I wnet dorzucił żywo:

— Ale oni i was mnie pozbawią, tak!... Miałem wiernego dworzanina, Kochanowskiego... dobrym mi był. I cóż? Prymas na niego się uwziął... musiałem oddalić... Och, ten prymas... ślepy bożek!

Znów chwila milczenia. Potem zaś rzekł Szczuka:

— Ksiądz arcybiskup, to rozumny człek i dla Waszej Królewskiej Mości przychylny...

— Co też ty pleciesz! — zawołał Korybut. — Przychylny! a na czele sprzysiężenia stał... co?

— Ja w to uwierzyć nie mogę — łagodnie zaoponował dworzanin. — Być może, iż tamci ująć go i wciągnąć chcieli, ale ksiądz arcybiskup nie dał się...

Korybut wytrzeszczył na niego oczy.

— Nie dał się powiadasz? co?... Ale w Łowiczu był ów wysłannik tego Longuevilla... siedział tam u niego... ten... ten... jak się zwie?

Opat Paulmiers... — dokończył Szczuka. —

Może i był... każdemu przybyć wolno... Ale odjechał, nic nic wskórawszy...

Król wstał i zwolna przechadzał się mocno zadumany. Wreszcie zatrzymał się przed Szczuką, podniósł na niego wzrok wysiłkiem myśli znużony.

— Więc tybyś radził... co?... — zagadnął.

— Radzićbym nie śmiał — odparł Szczuka — wiem bowiem, że mądrość Waszej Królewskiej Mości...

— No tak... tak... ale cobyś mniemał, iżby uczynić należało... mów! co?...

— Mniemałbym — rzekł Szczuka, z trudnością tłumiąc śmiech — że skoro bystry wzrok Waszej Królewskiej Mości przenika intencye nawet tak biegłych polityków jak podkanclerzy i biskup poznański... to należałoby szukać innego przeciw nim oparcia... Ja tak wierzę przenikliwemu umysłowi...

— No, tak — znów przerwał Korybut — więc co?

— Że chociaż dotychczas zdawało mi się, iż ci dostojnicy nietylko godnością urzędu, lecz i cnotami słyną...

— Aha, poczynasz wątpić...

— Zachwiałem się... Bo mi się teraz przypomina, jako nikt inny, jeno podkanclerzy Olszowski przeciw księdzu arcybiskupowi mówił...

— A tak, podszczuwał, podjudzał... tak!

— Ksiądz arcybiskup użalał się na to nieraz przedemną i innymi, a w rozżaleniu swem być może

iż się dał malkontentom pociągnąć... Ale on w intencyach swych był szczery i Waszej Królewskiej Mości oddany...

— No, no — wtrącił Król — temu już nie uwierzę... nie!

Zaprzeczenie to jednak było pełne wahania i po chwili Korybut przystanąwszy przed Szczuką, położył mu rękę na ramieniu.

— Może ty masz słuszność — rzekł. — Między mną a prymasem była niechęć, a nawet zatargi... o, były! Ale mnie, jako Królowi nie przystoi chować prywatnych uraz... co?

Wydął wargi i dorzucił:

— Jako Król powinienem zapominać, przebaczać... patrzeć na to z wysoka.

Szczuka oczywiście najuniżeniej to potwierdził, a gdy Król usiadł, przedstawiać mu począł, iż konieczną jest rzeczą odbyć z prymasem naradę poufną w nieobecności podkanclerzego i poznańskiego biskupa, a nawet bez ich wiedzy.

Od dnia tego nastąpiło widoczne zbliżenie się Króla z prymasem, który tak zręcznie rzeczą pokierować umiał, iż Korybutem niemal zupełnie owładnął. Podtrzymując obawy co do mniemanego spisku, umiał okazać się troskliwym i pożytecznym; nawet nowego kucharza z Francyi dla Króla sprowadził pod pozorem, iż dawny stał się podejrzanym. Po sprowadzeniu owego kucharza, Król po raz pierwszy spożył obiad z wielkim smakiem

i bez lęku, a z wdzięcznością spoglądając na prymasa, rzekł:

— Zdaje mi się, jakobym odżył... zupełnie mi jest dobrze... Tamten mnie truł... powolnie, ale truł.

A do Szczuki potem mówił:

— Jakto człek pomylić się może... Nie cierpiałem tego prymasa, a teraz widzę, że jest nieoceniony...

Wpływ podkanclerzego i Wierzbowskiego biskupa niepomiernie odtąd zmalał; doradcą stał się prymas i dążył wytrwale a zręcznie do celu, w czem mu teraz zawsze skuteczną radą dopomagał, ukryty po za nim Morstin.

Celem najbliższym było odwleczenie porozumienia i pojednania Króla z Sobieskim. Tedy prymas, nie obwiniając wyraźnie hetmana i mieniąc się przyjacielem jego, nieustannie przedstawiał, jako nie należało dopuścić do wzmożenia się władzy hetmańskiej, któraby królewską ukrócić mogła.

— O! — wołał ucieszony Korybut — zawsze tak mówiłem... nie można!... A oni, Olszowski i poznański biskup, ciągle mi w uszy kładli, iż należy wykonać uchwałę ostatniego sejmu i podwoić liczbę zaciężnego wojska...

— Któreby — wtrącił Prażmowski — słuchało hetmanów, nie Króla...

— A tak! a tak!... Malkontenci chcieliby wojska, jaknajwięcej zaciężnego wojska, bo wiedzą,

że pospolite ruszenie stanie za mną, jest ochroną tronu... co?

Już w połowie lutego mógł Prażmowski zwiastować Morstinowi, iż intryga najzupełniej się powiodła. Król nietylko już teraz zbliżenia się z Sobieskim nie pragnął, ale chciał uniknąć spotkania się z nim i występował głośno przeciw zamierzonemu związkowi siostrzenicy hetmana z księciem Dymitrem; ażeby zaś owe plany pokrzyżować, postanowił wyjechać z Warszawy. Wszystko to zaś tak zręcznie ułożone było, iż Korybut mógł mniemać, że działa i postanawia sam, nawet wbrew woli prymasa. Śmiał się zadowolony i mówił do Szczuki:

— Ślepy bożek musi być dzisiaj nie kontent. Namawiał mnie, abym w Warszawie pozostał dla spotkania się z Sobieskim, który tu ma na radę wojenną przybyć... Ja zaś powiedziałem: nie!... Radę wojenną odwołam, uniwersały na sejmiki niech wyjdą, a ja do Częstochowy i Krakowa muszę.. Prymas jest zły... ale tak postanowiłem... nie cofnę się, co?

— Ksiądz arcybiskup — rzekł Szczuka — od zdania odstępować nie lubi, ale uznaje, sam słyszałem, siłę postanowienia Waszej Królewskiej Mości i podziwia ją.

Korybut uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Przekonał się!... Przekonają się wszyscy, że ja sobą bezmyślnie kierować nie dam... o, nie!

I z wielkim zapałem a pośpiechem począł wybierać się w podróż ku widocznemu zmartwieniu królowej, która za Olszowskiego radą idąc, usilnie starała się odwieść małżonka od tego zamiaru. Wszystko było daremne. Na wszelkie przedstawienia o konieczności zgody z hetmanem i rychłej rady wojennej, wobec coraz bliższych niebezpieczeństw tureckich, tatarskich i wichrzeń Doroszeńki, Król odpowiadał uparcie:

— Pamiętam o tem dobrze... pamiętam! Na to przyjdzie czas... Teraz jednak ja stąd wyjechać muszę, bom tu życia niepewny, a chcę, iżby się spiskujący przekonali, że ja ich niecne plany znam... i pokrzyżować potrafię...

Obawa tego mniemanego spisku, sztucznie w umyśle Króla podtrzymywana, tak nim owładnęła, że każdy, kto przychodził ze słowem uspokojenia, już tem samem w oczach królewskich podejrzanym się stawał.

— Oni z umysłu uśpić mnie chcą — powtarzał, aby tem łacniej zgładzić.

Nawet ukochany dworzanin Rostocki wpadł w chwilową niełaskę za to, że poważył się wyrazić wątpienie, żali jakikolwiek spisek istnieje.

Korybut patrzył na niego długi moment wytrzeszczonemi oczyma, głową z politowaniem chwiał, a potem rzekł:

– Już i ty!... już i ciebie ujęto.

I przez kilka dni nie dozwolił mu do siebie

przystępu. Rostocki nie rychlej do łask wrócił, aż przyniósł wieść, iż ablegat cesarski otrzymał także doniesienie o spisku. Wprawdzie hr. Mayerberg uroczyście zapewniał, że wieść jest nieprawdziwa i że on w żadne sprzysiężenie na życie Króla nie wierzy, ale Korybut przekonać się już nie dał.

— Mówić nie chce — mruczał — poprostu kłamie... dyplomata! co?...

Oczywiście, że wśród tych obaw i zakłopotania sprawa Kalksteina utonęła. O ile zrazu Król z całym zapałem do niej się zabierał i groźne protesty do Elektora słał, teraz zaledwie czytał relacye wysłanego do Berlina Opackiego; czytał je, nie rozumiejąc, lub słuchał, myśląc o czem innem.

Raz, gdy podkanclerzy Olszowski, który jakkolwiek czuł swoją niełaskę, nie cofał się z zajętego stanowiska i rady swe wypowiadał zawsze stanowczo a ze spokojem, chciał do tej sprawy powrócić i skłonić Króla do energicznych kroków, Korybut gniewnie się ofuknął.

— Wy bo — zawołał — do wojny z Elektorem chcecie mnie pchać... a to jest szaleństwo! On mi teraz potrzebny; w razie tureckiej zawieruchy, w moc traktatów, pomoc mi dać winien, więc ja go teraz lekceważyć nie mogę... nie! Zresztą — dodał spokojniej — on przyrzekł dać zadośćuczynienie. Brandta i tych innych... jak się tam zwą... do odpowiedzialności pociągnął i ukarze... tak!

Trzeba czekac, aż się sprawa wyświetli... Elektor bowiem twierdzi, iż pochwycenie Kalksteina to sprawa prywatnych zatargów...

— Ależ to szalbiercze kłamstwo! — przerwał z oburzeniem podkanclerzy to zwykłe Elektora wykręty!...

Korybut gniewnie na niego spojrzał, i przybierając majestatyczną postawę, która, jak zwykle, była znakiem końca wszelakiej dyskusyi, rzekł:

— Mości podkanclerzy, miarkuj się!... Nawet ja sam... nawet ja, nie śmiałbym tego Fryderykowi Wilhelmowi zarzucić...

Taki sam respons: czekajcie! — otrzymała od króla deputacya szlachty, która pod wodzą chorążego Dębickiego przybyła raz jeszcze z prośbą o stanowczą interwencyę w sprawie uwięzionego i srodze dręczonego Kalksteina.

Jankowski, który w tej deputacyi brał udział, pobiegł potem całkowicie zgnębiony do Olszowskiego.

— Niema już rady! — wołał — Król nas odstąpił, Elektor tryumfuje... Niema rady. Można już nieszczęsnemu Kalksteinowi *requiescat* śpiewać... Straszna rzecz! Ja tu dłużej nie wysiedzę. Z moimi kompanami postanowiliśmy do pana Sobieskiego iść... do obozu.

Zamiar ten Olszowski pochwalił.

— Teraz — mówił — dzielnych rąk coraz bardziej potrzeba. Niebezpieczeństwa srogie i bliskie

są, a ładu i zgody brak. Tedy idźcie z błogosławieństwem Bożem... Ja zaś o Kalksteinie nie zapomnę... dziś jeszcze z królową mówić będę... Może też ona zdoła skłonić małżonka, iżby przed wyjazdem jeszcze jedno stanowcze pismo do Elektora wyprawił i poparł tem Opackiego starania...

Jankowski, pożegnawszy się, z ciężkiem sercem wychodził, gdy go podkanclerzy u progu wstrzymał.

— Wiesz co, waćpan — rzekł — jedź ze mną natychmiast do królowej. Ona o was kilkakroć wspominała... pamięta waszą ognistą do Króla przemowę. Wasze tedy słowo może teraz na nią silniej, niż moje oddziałać. Jedź ze mną...

Królowa przyjęła ich natychmiast, i z wielką atencyą powitawszy podkanclerzego, z nim naprzód długi rozmawiała moment. Jankowski słyszał, jak zapewniała, iż bez niczyjej prośby, ciągle dokłada starań, aby skłonić małżonka do energicznego wobec Elektora działania.

— Ale — dodała — coć poradzę! Owe teraz wieści o spisku i nasz wyjazd psują wszystko... Lękam się, że pan hetman urażony będzie ponownem odwleczeniem rady wojennej... a ja tak gorąco pragnęłam zbliżenia się jego do mego małżonka, tak pragnęłam, iżby raz te niesnaski ustały, które jeno na szkodę powszechności wychodzą...

Gdy to mówiła z wielkim żalem, drobna jej postać zdawała się rosnąć w oczach Jankowskiego i znowu przedstawiła mu się, jakby otoczona jasno-

ścią nieziemską. Słyszał jeszcze jej dźwięczny głos, gdy mówiła, iż Bóg nie dał jej dość siły, aby mogła sprawami kierować, że nie jest taką królową, jakiej w tym momencie Polakom potrzeba; ona potrafi jeno przedstawiać i prosić, co wobec wpływów innych nie zawsze bywa skutecznem. A potem z wielkim lękiem dodała, jako widzi dobrze niebezpieczeństwo grożące i potrzebę silnej władzy. I nagle, jakby obawiała się, iż jej słowa mogłyby być uważane, jako oskarżenie małżonka, poczęła chwalić dobroć jego, której nadużywają doradcy źli...

— Ale wy go nie opuszczajcie, mości podkanclerzy — dorzuciła — chociaż teraz myśli jego w innym kierunku poszły, niech dobra wasza rada go nie opuszcza. Lękam się, że to wszystko dzieje się jeno na to, iżby mu zgubę zgotować. Byłoby cale inaczej, gdyby się nam było udało przeprowadzić zgodę z panem Sobieskim... Takbym pragnęła, iżbyście wy panu hetmanowi ze swej strony przedstawili wszystko i uprosili go, iżby cierpliwym był...

Wyciągnęła ku Olszowskiemu swoje drobne dłonie.

— Uczyńcie to... uczyńcie!... — błagała.

Jankowski patrzył na nią z zachwytem i myślał, że ona jest jak dziecko niewinne, które bez skazy przechodzi przez otaczający je ogień różnych intryg, podstępów i ambicyi złych, wierzy snadnie w dobroć każdego i każdemu dopomódz rade.

Nie mógł się jednak długo zastanawiać nad tem, gdyż w tym momencie podkanclerzy wskazał na niego, mówiąc, iż on właśnie teraz do hetmana i do obozu iść zamierza.

— Zaufany to jest — mówił Olszowski — i pełen poświęcenia człek, a rycerz dzielny, który godzien jest pozyskać łaski hetmana i niewątpliwie niebawem je zdobędzie... On też, przebywając ciągle z panem Sobieskim, a świadom tutejszych spraw, będzie mógł najłacniej wszystko przedstawić i wyjaśnić.

Eleonora zwróciła ku Jankowskiemu swoje piękne, marzące oczy. Przez chwilę patrzyła badawczo, z wysoka, jakby przypominała sobie, gdzie już raz widzieć mogła tę posępną, ponurą twarz, do której wieczysty przylgnął smutek. A potem szła zwolna ku niemu, łagodnego uśmiechu pełna. Jemu się zdało, że postępuje w promiennej jakby mgle. Pochylił się głęboko i z bijącem sercem słuchał jej słów prostych, nieuczonych, któremi go prosiła, iżby słuszny gniew hetmana uśmierzyć się starał i do zbawiennego dzieła zgody przyłożył ręki.

I nagle przykląkł przed nią.

— Uczynię wszystko, co jeno w mocy mojej będzie — rzekł z zapałem — tak mi dopomóż Bóg!

Królowa wyciągnęła ku niemu swą dłoń.

— Niechże wam dopomaga Wszechmogący!... — odparła szeptem.

On zaś, nie śmiąc ująć tej ręki, przyłożył do

niej swoje spieczone, szorstkie usta i ucałował z takiem uszanowaniem, jak rzecz świętą.

Wyszedłszy z Olszowskim z posłuchania tego, długo mówić nie mógł i dopiero gdy żegnał się z podkanclerzym, rzekł, wznosząc oczy w górę:

- Dawno tak chciałem, ale teraz pragnę. Oddawna czułem, jako mi potrzeba na szersze pole wyjść i dla większych spraw oddać życie. A może też i owe większe posłużą tym mniejszym, opuszczonym teraz przez wszystkich... Wy, mości podkanclerzy, ratujcie Kalksteina, otwierajcie oczy Króla na elektorskie podstępy... Jam się do tej polityki nie zdał... Rycerzem jestem i nim chcę być. Za głosem mego przekonania pójdę i za głosem tej królowej, która zda mi się być istnym aniołem pojednania i zgody.

— Ona nim jest... — odparł poważnie podkanclerzy, żegnając i błogosławiąc rycerza.

V.

PFEFFERSTUBE.

Od pewnego czasu Fryderyk Wilhelm nie domagał. Pierwsze początki groźnej choroby, która się później w wodną puchlinę zamienić miała, już się teraz objawiały. Stracił najprzód sen a potem apetyt; czasem zaś taka ogarniała go niemoc, iż się z łóżka podźwignąć nie mógł, a wówczas wpadał w gniew i lekarzom wymyślał.

Najgorzej wychodził na tem pierwszy minister hr. Waldeck, którego Elektor ciągle do siebie wzywał, dyskusye wywoływał polityczne, a w razie najmniejszej opozycyi łajał. Często też trudno wyrozumieć było, czego sobie życzył Elektor, albowiem w rozmowie przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, pytaniami zarzucał, a myśli swoich nie wypowiadał do końca.

W takiem usposobieniu zastała go wieść o dostawieniu Kalksteina. Tak się tem uradował, że zerwał się z łóżka i zupełnie ozdrowiał.

Zawezwany Waldeck zastał go chodzącego po komnacie.

— Nareszcie... — szeptał Elektor — nareszcie!

Śmiał się, zacierając grube, czerwone ręce.

Waldeck stał w progu i czekał w milczeniu rozkazów.

— Czemu ty, Waldeck, nie gadasz nic?... — rzekł nagle Fryderyk Wilhelm, przystając i patrząc na niego, — czasem to gadasz za wiele, a teraz coś ci zamurowało gębę. Może ci żal tego wściekłego psa?...

Waldeck ramionami wzruszył.

— Żal mi tych — odparł — którzy pod Willenbergiem zginęli; kilku dzielnych padło... Fehr, Baumgardt, Kleist ranni... nawet Lehndorff...

— Bo głupi! — przerwał Elektor — głupcom tak zawsze... Czemu się tak późnili? Jak na raku leźli, czekając, aż ich waryaty polskie dogonią... Mnie ich nie żal. Nie ci, będą inni, co tam!

Stęknął nagle i usiadł.

— Nogi mnie bolą... — rzekł — czart wie czego puchną, a ci durnie cyruliki nie umieją znaleźć rady, ty zaś Waldeck gryziesz mnie swymi żalami... Mnie to ci nie żal, chociażem chory!...

— Przeciwnie, miłościwy panie — pośpieszył zaprotestować minister — ubolewam...

— Cha, cha! twego ubolewania nie boi się puchlina.. Ona z ciebie kpi a nawet ze mnie kpi i wtedy, kiedy najmniej potrzebna, przychodzi...

Chciałbym sam do Memla pojechać, aby powitać tego pana Stolińskiego... cha, cha! Dobrze mu tam, hę?

— Właśnie przybył z Kłajpedy... — zaczął Waldeck.

— Co? — wrzasnął Elektor — co ty mi śmiesz o Kłajpedzie gadać... Kłajpeda! to tak Litwini szczekają. U nas jest Memel, rozumiesz?

Waldeck uśmiechnął się nieznacznie i ciągnął dalej:

— Przybył z Memla kuryer od jenerała Görzkego...

— O, to jest dzielny człek!... cha, cha! jemu Kłajpeda nie przejdzie przez usta. On tam panu Stolińskiemu dogodzić potrafi... No, i cóż donosi?...

— Prosi o instrukcye. Więzień jest chory mocno...

— Nie trzeba, żeby zdechł... — rzekł kurfirst — nie trzeba; to byłoby dla niego za mało... Jeżeli chory tak, że ruszyć się nie może, to mu kajdany z rąk i nóg zdjąć... ale do pala zawsze niech będzie przykuty... Niech mu dają lepsze pożywienie, nawet trochę wina... Jestem dobry, Waldeck, prawda?...

W miarę jednak jak nadchodziły coraz natarczywsze pisma królewskie, dobroć ta kurfirsta zamieniała się we wściekłość. Do ostateczności zaś doprowadziło go przybycie nadzwyczajnego posła, Opackiego. Zrazu widzieć go nawet nie chciał.

— Słuchaj, Waldeck — mówił, pięściami grożąc — co oni tam sobie w tej Warszawie myślą? przestraszyć mnie chcą? Niedoczekanie! Ja się nikogo nie boję... chyba Pana Boga...

Szyderstwo wykrzywiło mu twarz.

— Chi, chi! — zaśmiał się — ty, Waldeck, ja ciebie znam, ty sobie pomyślałeś, że i Pana Boga nie bardzo... ale bo Go nie obrażam, nie!...

Elektor, gdy był bardzo zły, to ze wszystkiego drwił, nawet z samego siebie. Mówił wtedy urywanym tonem i zębami zgrzytał, jakby co gryzł.

— Wprawdzie — ciągnął dalej — odkąd moja w Bogu spoczywająca pierwsza małżonka, Ludwika Orańska, oczy zamknęła, nie śpiewam już psalmu: *O, Jesu, meine Zuversicht!* bo mi to było za jej świątobliwego żywota mocno dokuczyło, ale z Panem Bogiem jestem w porządku... Ty się śmiejesz w duchu, Waldeck, ja cię znam! Ale tak jest; zapytaj się ministrów mego zboru, albo lepiej wybadaj moją drugą wspaniałą małżonkę Zofię Dorotę... wspaniała, co?

Waldeck milczał. Znał on dobrze swego pana i wiedział, że teraz każde niebaczne słowo mogło wywołać burzę. Elektor mówiąc to, myślał o czem innem, gryzł się owem nadzwyczajnem Opackiego poselstwem, a gniew swój z umysłu drażnił jeszcze bardziej, wspominając o swej drugiej małżonce, księżniczce na Holsztynie Sonderburg-Glücksburg, której nie cierpiał.

Chodził teraz po komnacie i z nienawiścią szeptał to nazwisko.

— Sonderburg-Glücksburg... tfu!

Zatrzymał się nagle przed Waldeckiem i położył mu rękę na ramieniu.

— Wiesz ty — rzekł — mam ciężkie zmartwienie... Mój najstarszy, Fryderyk, nie może znieść macochy... Gadać do niej nie chce... awantury wyprawia... Śmiały jest... nie boi się jej. To dziwne, myślisz, bo jej wszyscy się boją, ale on nie... Słabowity, połamany, nędzny, ale duch w nim jest... To będzie pierwszy...

Chciał powiedzieć: król, ale się wstrzymał; rzucił jeno na Waldecka okiem, które ciskało płowe błyski.

Waldeck zaś tak słuchał, jak gdyby nie słyszał. Twarz jego nie wyrażała ani zdziwienia, ani oburzenia; była jak gdyby nie zapisana biała karta. Niejednokrotnie bowiem Elektor zwierzał się przed nim ze swoich familijnych trosk, wyciągał na słówka, ale raz, gdy minister takiem zaufaniem ośmielony, poważył się rzec, iż plan uknuty przez Zofię Dorotę wydziedziczenia Fryderyka dla słabości zdrowia, iżby następstwo jej synowi zapewnić, był niegodziwym, rzucił się jak wściekły i krzyknął:

— A tobie co do tego?... ty słuchaj i milcz, bo mogę cię tak ścisnąć, że już ani piśniesz! Patrzcie go... on, ten mizerak będzie mi dyktował, co ja, Elektor, mam czynić...

Od tej pory Waldeck stał jeno jak na mękach, słuchając zwierzeń pana, ale uparcie milczał. I teraz nie odrzekł nic, choć go Elektor naglił:

— No, mówże co!... tę waśń domową zażegnać trzeba, a nie wiem, jak... Dla uśmierzenia mojej wspaniałej małżonki, kazałem temu francuskiemu bazgraczowi, Vaillantowi, malować jej portret. Widziałeś? śliczny, co?...

Przystanął i mówiąc dopomagał sobie gestami:

— Taka wielka persona, o! z długą twarzą, żółtą jak pargamin... oczy zaspane... nos ogromny... płaszcz gronostajowy... zausznice wielkie, perły... brylanty... Za sto lat powiedzą: a to wspaniała niewiasta... królowa!

Znowu chodził i mruczał:

— Sonderburg-Glücksburg... tfu!

Usiadł. Ale gniew w nim nieco stygnąć się zdawał, to też po chwili mówił spokojniej:

— Ty mnie doradzać, Waldeck, nie chcesz. I masz racyę, bo ja sobie poradzę sam. Więc się za to tym polskim posłem zajmij, jak się on tam zwie?

— Opacki... — rzekł Waldeck.

— Słyszałem o Pacu, a tu znów Opacki... tfu!... To jakiś mizerny człek... Pac większy... a to snadź hołota! Takiego mi tu ślą...

— Podkomorzy warszawski... pono szanowany wielce...

— Och! — wybuchnął Elektor — szanowany!...

Oni tam siebie samych szanują, ale nie mnie!... nie mnie! Król mi tu groźne listy przysyła... o! jakbym ja słuchać musiał...

— To też sądziłbym wtrącił minister — że należałoby...

— Co? usłuchać! — wrzasnął Fryderyk Wilhelm.

— Nie — odparł Waldeck — ale nie drażnić. Uczynić coś przecie, coby wyglądało...

— Cha, cha, cha! — przerwał szyderczo Elektor — nie gadaj! ja się obejdę bez twego wyglądania...

Wstał i zbliżywszy się do ministra, począł mówić tonem urywanym, rozkazująco, przeszywając go wyiskrzonym wzrokiem.

— Słuchaj-ty, Waldeck, ty mnie nie bałamuć, bo będzie z tobą źle... Zrozumiej-że raz, o co tu idzie. Tu nie idzie o jednego Kalksteina. Czy ty myślisz, że byłby on taki wyrósł, gdyby nie poparcie tu, wśród Stanów pruskich, gdyby nie ciągłe tu bunty?... A ja uśmierzyć je i zdławić muszę... inaczej wszystko, com sprawił, byłoby stracone... Prędzej czy później stracone. On był z innych najśmielszy, więc za wszystkich zapłaci, a ci inni wówczas przycichną... rozumiesz?

— Stany pruskie — wtrącił minister — siedzą teraz cicho, spełniają wolę...

— Cicho... cicho... — powtarzał Fryderyk Wilhelm, chodząc po komnacie. — Ale to cisza, pod

którą kryje się nieufność, nienawiść, cała burza gniewu. Ja tych buntowników wszystkich po imieniu znam, ale bez dowodów pochwycić ich trudno... Kalkstein dowody da...

— Kalkstein nie powie nic...

A na to Elektor aż skoczył.

— Nie powie! — krzyknął — zobaczymy!

Przybrał wyraz zacięty, okrutny.

— Żelazami każę go piec, obcęgami rozciągać, kołem gruchotać... dopóki mi wszystkich Schliebenów, Rackmohrów i innych zdrajców nie wyda!...

Blada twarz ministra spochmurniała. Dzielny żołnierz, zręczny wódz, śmiały polityk w sprawach niemieckich, Waldeck nie mógł się nigdy pogodzić z Elektorem, gdy szło o sprawy polskie lub pruskie, wewnętrzne. Od lat blisko dwudziestu stojąc u steru rządów, dążył on tylko do jednego celu, w którym widział wzmocnienie zagrożonej ze wszech stron Brandenburgii. Ścisłe sojusze z książętami niemieckimi, a zwłaszcza z miastami związkowemi, mogły jedynie, zdaniem jego, zapewnić jej siłę przeciw Austryi i domowi habsburskiemu, którego należało korony pozbawić, a oddać ją bawarskim Wittelsbachom... Do tego dążył Waldeck wytrwale; liczne związki i sojusze były już zawarte, aby jednak cel w zupełności osiągnąć, potrzeba było spokoju wewnątrz, spokoju z Polską, pomocy z Francyi. Sprawa Kalksteina, wywołana brutalnym gwałtem, mogła to wszystko zniweczyć

a nie przynieść żadnego pożytku. W chwili, gdy zdaniem Waldecka, należało wszelkiemi siłami popierać w Polsce stronnictwo malkontentów, stronnictwo francuskie, przyspieszyć detronizacyę Korybuta a wyniesienie na tron francuskiego książęcia, iżby przez niego wpływy rakuskie w Polsce zgnieść, a pozyskać przeciw Austryi pomoc potężnego króla Ludwika, w tej chwili i wśród takiej roboty znęcanie się nad Kalksteinem, burzące umysły w Prusiech, wyglądało, zdaniem ministra, na osobistą zemstę, która szeroki plan polityczny, dzieło całego żywota Waldecka, mogła zniszczyć bez śladu. Ratować to postanowił minister choćby kosztem swego stanowiska.

Pozwoliwszy więc wyburzyć się Elektorowi, gdy ten wreszcie znużony usiadł, począł mówić ze spokojem w obronie swoich myśli.

Fryderyk Wilhelm plecami do niego się obrócił, zżymał się czasem, mruczał gniewnie, palcami po stole bębnił, ale słuchał z coraz większą uwagą.

— Ludwik XIV — kończył minister — gotuje się teraz do nowej walki zaborczej... Wojna z Hiszpanią podniosła jego znaczenie; teraz uderzy na Holandyę... Zawiera przymierze z Anglią... ze Szwecyą... wszystkie sojusze rzeczypospolitej niderlandzkiej niweczy... Niebawem Holandya odosobniona będzie...

Fryderyk Wilhelm przestał bębnić palcami po

stole, zwrócił się półpostacią ku Waldeckowi i rzekł:

— To wszystko ja wiem, mój miły... Wiem także, iż mam układ tajny z Ludwikiem, iż mam mu dać pomoc... dziesięć tysięcy żołnierzy...

— Tak — potwierdził Waldeck — i będziemy musieli udział wziąć w tej walce.

Zbliżył się do Elektora i już w najlepszem porozumieniu poczęli obaj układać plany. Fryderyk Wilhelm złagodniał zupełnie, przyznawał Waldeckowi słuszność i z zadowoleniem po ramieniu go klepał.

— Tak to lubię... — mówił — to lubię! Damy Ludwikowi pomoc, pójdziemy z armią nad Ren... ale gdyby Ludwik chciał niderlandzką rzeczpospolitą zniszczyć...

— Tego dopuścić nie można... Niemcy byłyby całe zagrożone. Wówczas trzeba stanąć w obronie... zawrzeć sojusz choćby z cesarzem...

Elektor śmiał się tak, że mu aż oczy zachodziły łzami.

— Tak... tak... — mówił — wyborny jesteś!... Nie można przecież dozwolić, aby zbyt wzrosła potęga Ludwika, któraby w końcu całe Niemcy pochłonąć mogła... Wiesz ty co, Waldeck? Ten Ludwik, to jest mądry król... o, mądry! Ale oszukać go można. On myśli, że już Holandyę w kieszeni ma, a to nieprawda. Tam wprawdzie katolicy wyciągają ku niemu ręce, ale właśnie dlatego

nie można dopuścić, iżby tryumfowali. Porozbijał wprawdzie Ludwik traktaty; odciągnął ku sobie Anglię i Szwecyę... Ze mną także sojusz zawarł... Ale to nic. Wiesz, Waldeck, ja lubię traktaty, bo mnie to zabezpiecza, a w danej chwili, cha, cha! — mogę uczynić co mi się podoba.

Waldeck pomyślał, że zapewne i Ludwik francuski nie inaczej rzecz pojmował, zawierając z Elektorem sojusz, ale nie rzekł nic. Począł poważnie rozwijać cały plan postępowania w przyszłej wojnie zaborczej, zamierzonej przez Francyę. Król Ludwik nadto był potężny, iżby go można było poskromić w zapędach i wszelkich korzyści w walce tej z Holandyą, pozbawić, lecz należało działać przezornie tak, iżby te korzyści o ile można pomniejszyć, do upadku niderlandzkiej rzeczypospolitej nie dopuścić, a choćby wojnę domową w Holandyi wzbudzić przyszło, podźwignąć ją i rządy nad nią powierzyć domowi orańskiemu w osobie księcia Wilhelma.

— Młodzieniaszek to jeszcze — mówił Elektor — ale dzielny, niczego się nie ulęknie, a zahartowany w twardej życia szkole, zniesie wszystko...

Elektor lubił snuć szerokie plany, a zawsze w końcu z tych burz i spodziewanych zamieszek widział siebie wychodzącego ze swą Brandenburgią na miejsce naczelne.

Wówczas milknął, grubemi wargami mlaskał i uśmiechał się.

Tymczasem Waldeck, widząc dobre usposobienie

pana, schodził zwolna z tych szerokich zamiarów na pole spraw bliższych. Przedstawiać począł, iż teraz wszelkie siły wypadało skupić w przewidywaniu wielkiej wojny europejskiej. Należało przeto unikać zatargów z Polską i sprawę Kalksteina uśmierzyć.

Elektor na samą o Polsce wzmiankę żachnął się niecierpliwie i zachmurzył.

— Znowu wracasz — rzekł — a co ja z tem poczne? — przecież Kalksteina nie wydam!...

— O tem mowy nie ma, ale trzeba ich uśpić... Opacki coraz natarczywszy...

Fryderyk Wilhelm zębami zgrzytnął:

— Jabym go... jabym go... — mruknął.

Ale nie dokończył groźby i słuchał w pochmurnem milczeniu tego, co doradzał Waldeck: Opackiemu należało łaskawe posłuchanie dać, jak najdłużej trzymać go w Berlinie, zabawiać, wozić do Spandawy, Kistrzyna, pokazywać rzeczy widzenia godne, wyprawiać dla niego polowania, uczty...

— Tak samo radzi z Warszawy, następca tego durnia Brandta, Wichert... — wtrącił Elektor, którego oczy znów się rozpromieniły, wszelką bowiem podstępną grę lubił.

— Następnie — ciągnął Waldeck — jabym wydał manifest...

— O, o! — zakrzyczał Elektor — jaki manifest, po co?...

— Aby zwalić całą winę na służalców... Wy-

toczyłbym surowy proces Brandtowi, Montgomeremu, Baumgardtowi... A Opacki będzie myślał że to wszystko są skutki jego poselstwa i natarczywych somacyi...

— I będzie kontent... cha! cha! — zaśmiał się Elektor.

— Najważniejsza jednak rzecz to osiągnąć, iżby sam Kalkstein na piśmie potwierdził, jako go porwał Baumgardt z zemsty prywatnej, bez wiedzy i woli Waszej Miłości...

Fryderyk zwrócił się całą postacią ku Waldeckowi. Twarz jego była w tym momencie czerwona, usta otwarły się szeroko a czoło nad oczami zmarszczyło.

I nagle zaśmiał się w głos.

Wstał i rękę na ramieniu Waldecka położył.

— Tyś jest — rzekł — tyś jest przemądry... mój Waldeck. — Niech to Görzke sprawi... Jabym widzisz rad rychło z tym Kalksteinem skończyć... Ale lepiej zwlec... lepiej.

— Tembardziej — wtrącił minister — że grożąca wojna z Turcyą odciągnie wkrótce uwagę Polski, a wtedy...

— Tak... tak... — szeptał Elektor — tak dobrze... I manifest wydam i śledztwo wytoczyć każę... niech jeno Görzke takie pismo od tego Stolińskiego... cha, cha!... dostanie. Niech czyni co chce, byle dostać, rozumiesz?... Niech mu da ulgi, niech mu ukochaną małżonkę sprowadzi... O! najlepiej będzie,

aby ona takie pismo wymogła... uważasz? niby w nadziei uwolnienia... cha! cha!... Tak Görzkemu napisz...

Zacierał ręce z ukontentowaniem i w wielkiej łasce odprawił ministra, a w kilka dni później wszystko stało się tak, jak ułożono.

Przedewszystkiem Opacki posłuchanie otrzymał, które się z niezwykłą uroczystością odbyło. W paradnej sali berlińskiego zamku Elektor zasiadł na tronowem krześle, pod baldachimem, na wzniesieniu, w otoczeniu swej świetnej gwardyi i służby dworskiej w strojach wspaniałych. Czterech z przybocznej gwardyi, najprzedniejszych, z halebardami w ręku, w złocistych zbrojach i hełmach, wprowadziło Opackiego przed oblicze Elektora, który w pół leżał na owem krześle, z głową opartą na ręku, z wyrazem cierpienia na twarzy. Oczy miał przymknięte, ale z poza rzęs patrzył badawczo na posła.

Opacki, niemłody już człek, wysokiego wzrostu, rycerskiej postawy, miał w ruchach i wyrazie twarzy wielką powagę. Twarz ta, z siwą, przystrzyżoną i na poły rozdzieloną brodą, o wąsie sumiastym podkręconym w górę, patrzyła przed siebie śmiało, dużemi, wyrazistemi oczyma. Odziany był w strój skromny, czarny, który dziwnie odbijał od lśniącej zbroi elektorskiej gwardyi i kapiących od złota mundurów dworzan.

Szedł ku Elektorowi zwolna, z głową wzniesioną do góry, a stanąwszy przed nim, oddał pokłon.

A Fryderyk Wilhelm, jakby dopiero wówczas go zoczył, oczy otworzył, poruszył się i z trudem podźwignął.

Zszedł ze wzniesienia i, uprzejmie odpowiadając na ukłon posła, zbliżył się ku niemu. Kulał i opierał się na lasce, twarzy zaś swej usiłował nadać wyraz uśmiechnięty, niemal radosny.

— A! — rzekł — witam wysłannika najjaśniejszego Króla, mego łaskawego sprzymierzeńca...

Mówił wolno, po polsku, z trudem, a przy wyrazie: sprzymierzeńca, zająknął się i zakrztusił.

U Elektora, który się teraz na wzór francuski wielkim ceremoniałem otaczał, było rzeczą zupełnie niezwykłą, iż do posła schodził z tronu i nawet językiem jego przemawiać raczył. Dworzanie spoglądali na siebie w zdumieniu. On zaś ciągnął dalej, szukając wyrazów:

— Dawniej mówiłem dobrze po polsku, ale odkąd niezapomnianej pamięci, wujaszek mój drogi, Bogusław Radziwiłł, umarł... straciłem wprawę...

— Wasza Elektorska Wysokość raczy... — zaczął Opacki po niemiecku.

Ale Fryderyk Wilhelm mu przerwał:

— O, nie! mów waść po polsku... mnie to jest bardzo przyjemnie... bardzo!

Tedy poseł podał mu własnoręczny list Korybuta, jako swoje pismo uwierzytelniające.

Kurfirst przyjął je z wielką attencyą i nie czytając złożył na złotej tacy, którą mu wnet podał

jeden z szambelanów. Mówił dalej, bez przerwy, jakby posła do słowa dopuścić nie chciał. Frazesy polskie mieszał z niemieckimi.

— Tak, tak... śmierć Radziwiłła była dla mnie okrutnym ciosem... Odtąd i w Polsce poczęto o mnie źle mówić... nie ufać... On był moim orędownikiem... a teraz...

Uczynił minę bardzo przygnębioną i dodał:

— Obmowa, oszczerstwa mają wolne pole...

Opacki głowę podniósł i rzekł głosem stanowczym.

— Racz pozwolić, Wasza Elektorska Mość, że przedstawię w krótkich słowach treść mojego poselstwa... Fakt porwania Kalksteina z Warszawy...

— O! — żywo przerwał kurfirst — w tej sprawie zarządziłem surowe śledztwo... Winni będą przykładnie ukarani, a przedewszystkiem ci, co nadużyli, jak Baumgardt, mego nazwiska dla dogodzenia swojej osobistej zemście... Jam w tej sprawie nic nie winien, nic! *So wahr Gott, Gott ist!* Moje zaręczenie daję, jako sprawiedliwości stanie się zadość...

— Składam dzięki Waszej Elektorskiej Mości — wtrącił z głębokim ukłonem Opacki — za to poręczenie. Rad jestem, iż memu miłościwemu Królowi będę mógł donieść, jako Wasza Wysokość winowajców ukarze, a co za tem idzie, niewinnego Kalksteina uwolni...

Po opasłem obliczu kurfirsta przemknął błysk;

zamigotały stalowym ogniem oczy; postać jego skurczyła się nagle, jak czyni zwierz dziki, gotujący się do skoku.

Ale to trwało jedno tylko mgnienie. Na grubych wargach znowu ukazał się przymusowy uśmiech.

— Jakto? jakto uwolnić? — spytał Elektor, udając zdumienie.

— Albowiem — kończył poseł — skoro Serenitas Vestra przyznaje, iż stał się gwałt przez łotrów spełniony, przeto zanim owi ukarani będą, gwałt ten naprawiony być winien...

Elektor skrzywił się, pochwycił za nogę i kaszlać począł.

— Oj, oj! — stęknął — niemocny jestem... widzisz waść, niemocny...

Podbiegli szambelanowie, a on, wsparty na ich ramionach, wszedł na wzniesienie i usiadł ciężko.

Moment siedział bez ruchu, z przymkniętemi powiekami, bardzo cierpiący. Lecz wnet oczy otworzył i mówił, nie patrząc na Opackiego, po niemiecku.

— *Sie werden sehen... Herr Succamerarius... dass Wir diese Affaire nach Verlangen Seiner Majestät zu tractiren suchen werden. So... wie ein treuer Freund... ja!...* Trzeba jednak czasu... Śledztwo musi być przeprowadzone, a może być, iż zakończy się uwolnieniem... tego... tego...

Grube wargi mu drżały. Nie skończył i znów przymknął powieki, krzywiąc się.

Tedy Opacki powtórzył raz jeszcze, iż Jego Królewska Mość spodziewa się, jako poczucie sprawiedliwości Elektora nie dopuści, aby indygena polski gwałt cierpiał...

— Indygena polski... — szeptał ze złością kurfirst — pan Stoliński!...

A gdy podkomorzy warszawski rzekł wreszcie, iż to, co się stało, stało się przeciw prawu narodów... Elektor żachnął się, wielkie oczy otworzył i przerwał:

— Jakie prawo narodów?... to jest gwałt nie przeczę... ale sprawa prywatna... zgoła prywatna... Powtarzam, winni ukarani będą... przykładnie ukarani... *Unterdessen...*

Opadł na krzesło, dysząc. Opacki chciał jeszcze coś rzec, ale Fryderyk Wilhelm, ręką kiwał, powtarzając:

— *Unterdessen... unterdessen...*

Tedy poseł submitował się i wyszedł. Elektor towarzyszył mu aż do progu wyiskrzonem tłumioną złością spojrzeniem, a gdy zniknął, porwał się i ruchem ręki zakreślając krąg:

— Precz stąd! precz wszyscy!...

Był wściekły, tchu mu brakło, dygotał.

Gwardya, dworzanie wychodzili zwolna, ordynkiem. A on zębami zgrzytał, nogami, bez względu na ból, tupał, niecierpliwiąc się, że to tak długo trwało. Wreszcie krzyknął:

— Waldeck!

Minister zwrócił się od progu.

Kurfirst nie zszedł, ale skoczył ze wzniesienia i jakby nagle sił mu przybyło, począł biegać po sali. Nie opierał się już na lasce, ale nią o podłogę bił.

Twarz miał bladą, sine wargi, które wciąż otwierał, chwytając powietrze.

— Łotr!... — łajał zdyszanym głosem... — łotr!... wszyscy łotrzy!...

Przypadł do Waldecka, chwycił go za ramię i szarpnął.

— I ty także! — wrzasnął.

Minister cofnął się.

— Wasza Elektorska Mość — rzekł stanowczo — Wasza Elektorska Mość zapomina...

— Nie! — przerwał kurfirst — nie zapominam, hi! hi! żeś ty jest Jerzy Fryderyk hrabia Waldeck... hi! hi!... nie zapominam, żeś ty mój minister... i żeś mnie, pana swego, naraził na taki despekt!...

Znów biegać począł, a potem nagle:

— Jakto! — krzyknął — taki szlachetka nikczemny... ten... ten... mały Pac, czy jak tam!... będzie śmiał upominać mnie w imieniu Jego Królewskiej Mości... hi, hi, hi! będzie śmiał zarzucać mi gwałt przeciw prawu narodów... A ty na to nic?!

— A co to jest? — rzekł Waldeck, śmiało głowę podnosząc, widocznie obrażony — co to jest jeśli nie gwałt *contra jus gentium?*

Fryderyk Wilhelm przystanął nagle; zdawało się, iż wielkiemi stopami w ziemię się zarył. Przystanął naprzeciw Waldecka i laskę podniósł. Oczy jego ciskały zielonawe błyski, z ust półotwartych wychodził chrapliwy oddech... I tak stał moment, jakby rzucić się miał na ministra, który bardzo poruszony, z ręką na rękojeści szpady, czekał...

Ale snadź Waldeck był nadto Elektorowi potrzebny, bo za moment Fryderyk Wilhelm rękę opuścił i począł śmiać się przymuszonym śmiechem.

— Cha, cha, cha!... niech ci się honor nie psuje, mój Waldeck... nie! Ja wiem, że ty...

Urwał, i nagle osłabły, począł zwolna iść ku swemu miejscu, opierając się na lasce. Usiadł ciężko.

— O, o, jakem niemocen! — stęknął — a ty się jeszcze na mnie gniewasz!

Przez przymknięte powieki badał oblicze Waldecka, który wciąż stał chmurny.

— Radzić trzeba.. — rzekł po chwili, podnosząc się — więc się nie gniewaj, a radź...

Przybrał dobroduszny uśmiech.

— Potem — dodał — gniewać się będziesz, a ja cię także potem, mój Waldeck, przeproszę... tak, potem... cha, cha!

— Gdzie jest Brandt? — zagadnął nagle.

— Był w Królewcu — odrzekł minister, lecz wedle rozkazania Waszej Elektorskiej Mości, udał

się już na Pomorze, do Stołupina... zawsze jako porucznik von Wedell, szlachcic kurlandzki...

Elektor śmiał się głośno.

— Dobrze tak! — rzekł. — Był jeden von Wedell z Kurlandyi, także awanturnik, ale w wojnie holenderskiej gdzieś przepadł... nie będzie się przeto upominał. A tamci?

— Są jeszcze w Królewcu... leczą się...

— Niech sobie się leczą, ale dalej... Ja ich znam, w razie śledztwa, wyśpiewaliby wszystko... Napisz, Waldeck, do księcia Croy, aby dla nich obmyślił schronienie, gdzieś naprzykład w Kołobrzegu... A tego Montgomérego trzeba wysłać jeszcze dalej... Niech jedzie do Holandyi a potem do Anglii... ja muszę wiedzieć, co się tam teraz dzieje... Pieniędzy mu dać i niech się tam patrzy a przygląda...

Tak rozrządziwszy, Elektor uspokoił się całkowicie i już w dobrym humorze naradzał się z Waldeckiem, a tegoż jeszcze dnia osobni kuryerzy powieźli tajne instrukcye Elektora do Królewca i Kłajpedy.

Z odrętwienia, w jakiem od chwili porwania swego pozostawał, zbudził się Kalkstein pewnego poranku, na widok siniejącej w mgle zatogi kurońskiej albo kłajpedzkiej, która mierzeję kurońską oddziela od stałego lądu.

Szarpnął powrozami i spytał jadących obok dragonów:

— Gdzie mnie wieziecie?

Odpowiedzi nie było. Ale on na nią czekać nie potrzebował, bo rozglądnąwszy się rozpoznawał sam.

Mgły poranne pierzchały przed słońcem, a w jego blaskach ukazała się ciemna, ponura zatoka, po nad nią zaś, na skałami najeżonem wybrzeżu, groźne wieże i baszty krzyżackiej twierdzy.

— To mój grób... — pomyślał i głowę opuścił na piersi. Przejęło go drżenie dziwne, niepohamowane. Skrępowany, zbolały, chory, mógł dotychczas przynajmniej oddychać wolnem powietrzem, a teraz, na widok czarnych murów twierdzy, czuł, że mu serce bić ustaje i tchu w piersiach braknie.

Jakaś nieokreślona nadzieja mówiła mu dotąd, że go wiozą do Królewca; nawet cieszyła go myśl, że ujrzy dobrze znane sobie mury miasta, gdzie tyle lat młodości przeżył, nie jedną chwilę rozkoszną, wiele marzeń i dni zapału, który go podtrzymywał w niebezpiecznej z Elektorem walce. Tam miał przyjaciół, znajomych, których sam widok mógł go pokrzepić na duchu; tam rychlej mógł się spodziewać pomocy, albo przynajmniej ulgi. Ale tu, na tem piaszczystem wybrzeżu, w tej strasznej twierdzy, nie było ratunku. Mówiono o niej, że przez jej grube mury głos ludzki nie przeniknie, a jeno słychać tam ustawiczny, niby głos Bożego gniewu, ryk fal morskich, rozbijających się o podwodne skały.

W odrętwieniu swem nie zwracał uwagi, że

już począwszy od Tapiau, codziennie niemal wybiegali naprzeciw Flemminga kuryerzy, snadź z coraz to nowemi poleceniami i że wskutek tego zboczono z drogi do Królewca i coraz spieszniej, ubocznemi ścieżynami dążono do Memla.

Snadź kurfirst, czy też książę Croy, przewidzieli, iż pojawienie się w Królewcu schwytanego Kalksteina mogłoby wywołać tam zamieszanie i niepokoje, woleli go tedy skryć w tej niedostępnej twierdzy.

U jej głównej bramy, ponad mostem zwodzonym, oczekiwał przybywających Joachim Görzke, komendant placu w Kłajpedzie.

Wysoki, bardzo chudy, o twarzy zmarszczonej i żółtej jak pargamin, Görzke, w swej ciężkiej, bez ozdob żadnych, zbroi, wyglądał na tle czarnych murów twierdzy, sam jak martwy posąg, na którym nigdy i nic wrażenia uczynić nie może. Stał, jak wryty, i w krótkich słowach wydawał rozkazy, nie odwracając głowy ku tym, do których mówił. Głos miał głuchy, bezdźwięczny, wieczyście ochrypły, który, gniewnie podniesiony, miał czasem ton przenikający, piskliwy. Słuchał teraz raportu więziennego dozorcy, zamglonemi, przymkniętemi oczyma patrząc w dal, w stronę, skąd miał przybyć więzień.

Dozorca stał przed nim, wyciągnięty sztywno, patrząc jak w tęczę w groźne oblicze jenerała.

— Knopf — mówił Görzke — za niego odpo-

wiadasz mi głową... rozumiesz? Wszystko przygotowane?

Dozorca miał twarz młodzieńczą, białą, różową, oczy figlarne, a usta pełne żartów i śmiechu, zwłaszcza wówczas, gdy do twierdzy memelskiej przybywał nowy mieszkaniec. Była w nim taka dusza, która radowała się z cudzego nieszczęścia, zgoła nielitościwa. Wzruszyć jej nie było sposobu, gdyż, im kto bardziej cierpiał, tem Knopf większe okazywał wesele. Sam Görzke dziwował się temu i nazywał go szalonym dyabłem, ale też ufał mu najwięcej i najważniejszych więźniów opiece jego powierzał.

Na pytanie, czy wszystko gotowe, Knopf wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

— Jeszcze nigdy Pfefferstuba nie była tak przysposobiona — odparł. — Pal kazałem wbić nowy, tamten był nieco spróchniały... łańcuch także nowy: okienka górne, wedle rozkazu zabite... ani jeden promień światła nie dojdzie...

— Dobrze — rzekł Görzke. — Poruszył się żywiej i dodał, wskazując ręką przed siebie:

— Już jadą!...

Rzeczywiście w oddali ukazał się poczet Flemminga, ze swoją zdobyczą. Widocznie wszyscy byli znużeni, bo jechali wolno i nagle zatrzymali się raz jeszcze.

Kalkstein tak osłabł, że go ani powrozy, ani przy nim jadący dragoni utrzymać na koniu nie

mogli. Trzeba go więc było z konia zsadzić i położyć na wozie; zdawało się, iż ducha wyzionie. Wlano mu do ust wina i orzeźwiono, a za chwilę poczet wjeżdżał na most zwodzony, wiodący do twierdzy.

Görzke w krótkich słowach powitał Flemminga i Blocka, lecz rzuciwszy wzrokiem na Kalksteina, leżącego na wznak na wozie, z zawartemi powiekami, dorzucił z rozczarowaniem:

— Przywieźliście trupa...

Knopf, który pierwszy zbliżył się do wozu z wielką ciekawością i rękami dotykał Kalksteina, zawołał:

— Nie, on żyje!... jeno powietrze memelskie go tak oszołomiło... Przyzwyczai się.. Dźwignijcie go! — dodał, zwracając się do dragonów.

Z trudem dźwignięto go z wozu, ale Kalkstein ustać na nogach nie mógł; zginały mu się kolana i całym ciężarem osuwał się na ziemię.

— Pokłony bije... — ozwał się z szyderstwem Knopf.

A na te słowa Kalkstein drgnął cały. Potężnym wysiłkiem woli wyprostował swoją ogromną postać, otworzył oczy krwią zaszłe i spojrzał dokoła.

Z piersi jego wyszedł stłumiony, chrypliwy głos:

— Pokłon — rzekł — jeno Bogu... Na wasze głowy i sumienia krew moja!...

Wnet prowadzono go do lochu. Ale zatęchłe, wilgotne powietrze podziemi znów pozbawiło go

zmysłów. Po oślizgłych, błotnistych schodach wleczono więźnia aż do kaźni, zwanej »Pfefferstube«. Była to kaźń najgorsza, tak szczupła, że od muru do muru ramionami dostać było można, a tak wysoka, iż z górnego okienka zaledwie blade światło na dół schodziło. Ale i to okienko było teraz szczelnie drewnianemi deskami zabite. Złożono Kalksteina na ziemi przy murze, na garstce przemokłej słomy, opasano i skuto ramiona łańcuchem, przytwierdzonym do pala głęboko wbitego w ziemię i pozostawiono w samotności. Omdlały, słyszał jednak, jak zapadały z łoskotem ciężkie żelazne podwoje, najprzód bliższe, potem drugie dalsze, a wreszcie raz jeszcze, jak dalekie echo, ozwał się zardzewiałych zawias zgrzyt.

I cisza; jeno szmer kropel wilgoci, zsuwających się wzdłuż murów, jeno za każdem poruszeniem łańcucha brzęk i nieregularny, szybki odgłos tętna własnego serca. Opanowało go zrazu znowu odrętwienie martwe. Leżał bez ruchu i bez myśli; sen go ogarniał ciężki, zmory dusiły i wnet budził krzyk ochrypły zdławionej piersi. Otwierał oczy i wnet je zamykał, przerażony ciemnością, nieprzeniknioną, ciężką. Czas stracił dla niego wszelką miarę; z początku było mu to zupełnie obojętnem, ale potem myśleć począł czy to jest noc, czy ranek, czy południe? Czasami zdawało mu się, że umiera, a wówczas szczelnie zawierał powieki, modlił się głośno i czekał... Lecz śmierć nie nadchodziła,

a natomiast porywało okrutne, palące pragnienie, więc zaschniętemi wargami zbierał krople wilgoci ze słomy, na której leżał, żuł ją chciwie, a namacawszy rękami dzban z wodą, pił stęchłą, cuchnącą.

A potem myślał, że mu jest teraz w tej ciszy i ciemnicy lepiej, niż wówczas, gdy skrępowany, wśród szyderstw dragonów, jechać musiał na koniu i patrzeć na drwiące oblicza swoich oprawców. Ciężył mu teraz wprawdzie opasujący go łańcuch, ale ręce miał nieco wolniejsze i mógł swobodniej myśleć. Przytulał płonącą głowę do wilgotnej ziemi i usypiał spokojniej, w poczuciu, że mu jest lepiej.

Nagle, raz, obudził się z takiem pragnieniem głosu ludzkiego, światła, życia, że począł szarpać się okrutnie i głową bić o ziemię. Byłby sobie wówczas czaszkę o mur rozwalił, lecz dostać się do niego nie mógł; łańcuch za krótki. Po chwili uspokoił się i teraz dopiero posłyszał, że ową ciszę, która go otaczała, napełniał ciągły, jednostajny huk, tak nieustający, że z tą ciszą tworzył jedno. Począł tedy myśleć:

— Ta kaźń musi być w narożnej baszcie, która wchodzi w zatokę morską. To woda tak huczy: ona jest w koło mnie i nademną.

Położył się na wznak i szeroko otwartemi oczyma patrzył w górę. Nieprzebita ciemność... A jednak tam, u samego szczytu jeden, malutki, blady odblask, dobywający się przez szczelinę...

Ach, światło, gdyby je ujrzeć! Całą siłą wzroku wpił się w ten odblask; zdawało mu się czasem, że go widzi, a czasem on znikał, jakby go jakaś dłoń okrutna ścierała. Pragnienie światła było u niego silniejsze, niż pragnienie głosu ludzkiego lub głód, który mu chwilami dokuczał. Przez otwór nad drzwiami rzucano mu codzień kawałek suchego chleba; on go chwytał i gryzł, ale milszą mu, niż to pożywienie, była świadomość, że jest ktoś żyjący obok niego, który mu chleb rzuca i wyczekiwał zawsze z upragnieniem tego momentu. Samo to oczekiwanie już go pobudzało do życia i myśli; nasłuchiwał zgrzytu drewnianej okiennicy, którą ów otwór był zamknięty, a wówczas sztywnie wpatrywał się w ciemność, chcąc dojrzeć rękę, rzucającą mu chleb. To jedno, co łączyło go ze światem, co mu go przypominało. Ale to przypomnienie było zrazu jak blady cień; dawniejsze koleje własnego życia, dawniejsze radości, smutki i walki zdawały mu się marą senną. W miarę jednak, jak czas upływał, obraz minionej przeszłości stawał się jaskrawszym. Z powracającemi siłami i zdrowiem wracały wspomnienia, uczucia dawne, tęsknota. Raz dźwignął się, usiadł przy palu i wielkim głosem począł wołać po imieniu małżonkę i dzieci. Głos jego odbijał się głucho wśród ciasnych murów, szedł w górę i niknął, a jemu się zdało, że odpowiada mu ich łkanie. Odtąd pustka i ciemność zaczęły się zaludniać

postaciami najdroższych; rozmawiał z niemi głośno i długo, koił ich smutek, zapewniał, że mu nic złego się nie dzieje, że go nic już nie boli. Aż raz po takiej rozmowie, padł twarzą do ziemi, począł szarpać łańcuchem, wić się i krzyczeć:

— Jam szalony! szalony!...

Lecz co to? Zupełnie jak pierwszego dnia... Dalekie echa kroków, zgrzyt zawias, coraz bliższy, i łoskot otwieranych drzwi. Wreszcie silny prąd powietrza i ogromne światło, przerażające, nie do wytrzymania.

Kalkstein skulił się przy palu, jak ten, który się lęka, lub czatuje i oczy silnie zmrużył: bolało go, piekło światło.

Wszedł Knopf, postawił latarkę na ziemi, zbliżył się do więźnia, i, nie mówiąc nic, usiadł przy nim. Miał twarz łagodnie uśmiechniętą, oczy pełne współczucia.

Po chwili mówił głosem cichym, stłumionym:

— Posłyszałem krzyk i przyszedłem... Może wam czego potrzeba?.. mówcie! Mnie was żal...

Zwolna Kalkstein otwierał oczy... Widział teraz zieloną pleśnią pokryte mury swej kaźni, widział łańcuchy, którymi był przykuty, odzież własną w łachmanach, poszarpaną, zdartą, ręce swoje jak ręce szkieletu, zczerniałą pokryte skórą, nogi wychudłe, wyciągnięte na zgniłej słomie.

Dygotał całem ciałem z przerażenia i wstrętu. Po co przyszedł ten człowiek, aby mu okazać tę

okropną nędzę? po co on przyszedł? Naigrawać się i szydzić?...

Ale nie! Znowu cichy głos Knopfa, drżący współczuciem:

— Uspokójcie się, panie! Czynię źle, przychodząc tutaj, wbrew surowym rozkazom... Ale przenieść tego na sobie nie mogłem... Tyle już dni, tygodni minęło...

— Tygodni... — jak echo powtórzył Kalkstein.

Czasem mu się zdawało, że minął wiek cały, a czasem, że to było wczoraj, gdy go w ten loch rzucono.

— A tak... tygodni!... — powtórzył Knopf. — Lecz niedola wasza zbliża się już do końca. Przybył poseł Jego Królewskiej Mości do Berlina w sprawie waszej... żąda uwolnienia...

— Och, och!... — jęknął Kalkstein. — Zdawało mu się, że śni, że to nie jest ani głos ludzki, ani ludzka postać, która tak czule do niego przemawia.

— Ktoś jest?... — wyszeptał z trudem.

Knopf ręką machnął.

— Taka ofiara, jak wy, panie. Z tą różnicą, że mi dano teraz wolność, iżbym innych w niewoli strzegł. Siedziałem i ja w tej kaźni i wiem, co to znaczy...

W zmąconym mózgu więźnia zacierały się wrażenia. Ale jeden wyraz w nim pozostał:

— Poseł — powtarzał — poseł...

— A tak... — powtórzył Knopf. — Wkrótce

przyjdą tu was badać. Chciałem uprzedzić, abyście byli ostrożni. Ja wiem, co taki jenerał Görzke znaczy. Gdybyście chcieli żalić się, skarżyć, on was zdusi... Najlepiej mówić: tak!

Kalkstein leżał, jak w omdleniu. Słów Knopfa nie rozumiał, ale brzmienie łagodne głosu kołysało go, jak pieszczota.

— Och, och! — jęczał z cicha.

Tedy Knopf jeszcze bardziej się zbliżył, ramię wsunął mu pod głowę, dźwignął ją, a drugą ręką wlewał do ust wino.

— Biedny! biedny!... — szeptał.

Nagle, jakby go coś tknęło, porwał się, pochwycił latarkę i wybiegł, drzwi zatrzaskując za sobą. Wszystko znikło, pierzchło, jak widziadło senne. Ciemność teraz jeszcze gorsza i jeszcze straszniejsza pustka...

Ale odtąd Knopf powracał codziennie. Usiadał tak samo na ziemi przy Kalksteinie, w bladem świetle latarki ukazywał mu swoją łagodnie uśmiechniętą twarz i mówił do niego długo a słodko. Przynosić mu też począł pożywienie i wino.

— Tyś jest dobry — mówił Kalkstein — bardzo dobry. Z tobą przychodzi tu do mnie światło a z niem otucha. Ale gdy odejdziesz jeszcze mi straszniej... Gdyby nie ta ciemność!...

Nazajutrz Knopf przyszedł nie sam, ale z pachołkami, którym polecił odbić jedną z desek, zakrywających górne okienko kaźni. Długo trwało,

zanim oni, wdrapawszy się na wysokie drabiny, zdołali to uczynić, a Kalkstein w milczeniu przypatrywał się tej robocie z bijącem sercem. Gdy zaś deska odpadła i więzień ujrzał bladą smugę światła, spływającą aż do jego barłogu, wyciągnął ku niej skute dłonie i począł nagle szlochać jak dziecko.

Pachołkowie wyszli, a Knopf usiadł znów przy nim i począł uspokajać.

— Nie poddawajcie się, panie — mówił. — Najgorsze już minęło. Teraz będzie wam coraz lepiej. Dziś pozwolił jenerał Görzke dać wam trochę światła, jutro pozwoli, aby was odwiedził minister tutejszego zboru lub pomocnik jego dyakon Schultze. Gdy zaś pierwsze śledztwo skończy się, to może żonie waszej i dzieciom pozwolą przyjść...

Na to zaś Kalkstein zaczął znów jęczeć i szlochać, szarpać się na łańcuchu, po ziemi się wić...

— Nie doczekam ja tego! — wołał — nie doczekam!...

A Knopf znowu jak pierwszego dnia porwał się i wybiegł znagła, pozostawiając więźnia pod wpływem rozpaczy.

Tak chciano widocznie wolę w nim złamać, budząc zarazem pragnienie ulg i życia.

Obietnice wszakże Knopfa poczęły się ziszczać. W kilka dni później przybył do kaźni superintendent memelski, nazwiskiem Schrade, sędziwy człek, który sam wiele przeżył i na wiele nędz ludzkich

się patrzył, miał przeto duszę wyrozumiałą, a serce do litości skłonne. Starzec to był, bardzo chudy, zgarbiony. Miał posępną twarz, oczy bez blasku, zgaszone, a czerwonemi otoczone obwódkami, jakby od częstych łez. Mówił zwolna, cicho, głosem drżącym i bez dźwięku. Nie uczynił zrazu na Kalkstein miłego wrażenia. Z powrotem sił, budziła się już w nim dawna podejrzliwość i zaciętość. Na pierwsze słowa pastora, który rzekł, jako mu przynosi religijną pociechę w dniach niedoli, żachnął się i nie podnosząc z barłogu, a nie bacząc na obecność Knopfa i innych dozorców, odparł chmurno:

— Katolikiem zostałem i jeno od katolickiego księdza pociechę przyjmę...

Schrade zwrócił się do Knopfa:

— Wyjdźcie — rzekł — zostawcie nas samych.

Rozkaz spełniono, a starzec, usiadłszy na przygotowanym dla niego zydlu, ozwał się:

— Źleś uczynił, iżeś to głośno wyznał, prawdę-li czy fałsz, nie wiem... Naraziłeś siebie bez potrzeby na ucisk gorszy... Nie powiem ci ja, żeś odstępcą od wiary przodków, gdziekolwiek bowiem człek ujrzy światło prawdy, tam winien iść... Ale ci powiem: nie przychodzę do ciebie, iżby w sumieniu twem rozterkę czynić i tłómaczyć ci: ta lepsza wiara, a ta gorsza, jeno przychodzę, w imię Chrystusa, ze słowem miłości, pojednania i spokoju...

Kalkstein przymknął oczy i słuchał tego głosu który mu się wydawał nie głosem ludzkim, ale

dziwnym szmerem dalekiej rzeki, szmerem kropel, spadających wprost w głąb duszy.

Schrade zaś mówił dalej:

— Pognębiło cię nieszczęście srogie... Usiłuj przebaczyć prześladowcom swoim... Powtarzaj codziennie: przebaczam, jako przebaczył Chrystus, a choćbyś zrazu tego nie czuł, to przyjdzie taki dzień, w którym rozpromieni się dusza twoja łaską przebaczenia...

Chwila ciszy, a potem znów ten szmer głuchy:

— Nie jesteś sam... Czuwa nad tobą w niebiesiech Bóg, a tu na ziemi ta, którą ci On za małżonkę dał, święta i dzielna niewiasta...

— Och! och! — jęknął więzień. Zatargał łańcuchem, że aż ogniwa zgrzytnęły, przyczołgał się do stóp starca i usiłował skutemi ramionami je objąć.

— Święta... — powtarzał — święta!... A jam ją taką nieszczęśliwą uczynił!... A dzieci moje? A Kryś?.., och! och!

— Są wszystkie tutaj... widziałem je wczoraj. Przybyły z matką z Berlina. Ona to wybłagała u Elektora ulgi dla ciebie, nie ustaje w zabiegach, niezmordowana, silna duchem... Ona ci przez usta moje powtarza: bądź mężnym!...

Pochylił się aż do ucha Kalksteina i szeptał:

— Przysyła ci przezemnie inną jeszcze pociechę...

Do ręki wciskał mu sporą księgę.

— Weź-to — mówił — i schowaj... To księga Pisma. Gdy źrenica twoja zdoła schwycić światełko z góry, to czytaj... a jeśli czytać nie będziesz mógł, to do ust ciśnij, do serca przytulaj, a słowo Boże odczujesz w sobie...

Kalkstein ujął księgę, a rękami chwytał stopy starca.

— Święty ojcze... — szeptał — święty ojcze!

On zaś przykląkł przy nim z trudem i usiłował jego głowę dźwignąć.

— Uspokój się — powtarzał — bądź mężnym, a i jej, tej dzielnej małżonce twej, prześlij pociechę. Przyniosłem kartkę i pióro... napisz słowo...

Kalkstein dźwignął się nagle.

— Dajcie! — rzekł.

Schrade oglądnął się. Tak mu się wydało, jak gdyby w górze, ponad drzwiami, dał się słyszeć szmer... Ale nie... cisza.

Starzec osunął się całkowicie na ziemię. Latarkę zbliżył, wyjął z zanadrza kartkę papieru, pióro i małą flaszkę z inkaustem, a zakrywając swoją postacią więźnia, podał mu przygotowane już do pisania pióro.

Ale to szło nie sporo. Opuchłe palce nie mogły utrzymać pióra, za każdem jego pociągnięciem ręka drżała i brzęczały łańcuchy. Starzec położył kartkę na przyniesionej księdze i własną ręką prowadził drżącą rękę Kalksteina.

„Sercem ukochana żono!... — pisał więzień —

najdroższe dziateczki! Chwalcie Boga, ja żyję. A wy, miłujcie panią matkę... uczcie się przeba...

Nie dokończył. Zgrzytnęły zawiasy, drzwi się otwarły i nagle wpadł Knopf z pachołkami.

— Rozmowa skończona... — rzekł.

Starzec dźwigał się z ziemi, chowając pośpiesznie w zanadrze kartkę. Pochylił się raz jeszcze nad Kalksteinem, przeżegnał go i szepnął:

— Pokój z tobą...

Wyszedł zwolna, krokiem chwiejnym w otoczeniu Knopfa i pachołków, jak pod strażą.

A Kalkstein został sam, lecz mniej już samotny. Trzymał w uścisku, przy sobie księgę, brzmiały mu w uszach ostatnie słowa starca i rzeczywisty spokój spływał mu do duszy.

Potem zaniepokoiła go myśl, że mu Biblię odbiorą, więc ją naprzód ukryć się starał, blizko siebie; rozdrapawszy wydrążenie w ziemi, przykrył ją słomą i łachmanami swej odzieży. W szczelinie muru, pod pleśnią, ukrył także pozostawione w pośpiechu, przez pastora inkaust i pióro, ciesząc się nadzieją, że będzie mógł myśli swoje spisywać, choćby na kartach księgi. Czuł się wzmocnionym i pokrzepionym na duchu, czuł się otoczonym niewidzialną opieką, bliższym ukochanej swej rodziny i przyjaciół. Zaludniła się pustka, która go otaczała dotychczas.

Tymczasem Schrade musiał przejść surową indagacyę u jenerała Görzkego, który go nie cier-

piał, posądzał go bowiem o sprzyjanie katolicyzmowi. Przed laty w Królewcu przebył nawet Schrade cały proces z powodu, iż odkryto jego ścisłe stosunki z rektorem tamtejszego kolegium Jezuitów, ks. Radaczem. Posądzano go, że stał na czele opornego Elektorowi duchowieństwa luterskiego, które się chętnie łączyło z duchowieństwem łacińskiem i szlachtą pruską przeciw samowoli Fryderyka Wilhelma. Nie dowiedziono mu wprawdzie spisku, ale przychwycone listy jego do ks. Radacza i do rektora warszawskiego kolegium Jezuitów, Branickiego, stały się powodem, iż Schrade przeniesiony został do Memla. Że nie postąpiono z nim surowiej, to zawdzięczał jedynie temu, iż w rzędzie regentów pruskich był brat jego stryjeczny, Wilhelm Schrade, i że związkami pokrewieństwa połączony był z najpotężniejszymi rodami pruskimi.

Wysyłając go do celi Kalksteina, Görzke z góry przekonany był, iż równocześnie i więźnia i nienawistnego sobie pastora schwyta w podstępne sidła na gorącym uczynku tajemnej zmowy. Przez otwór nad drzwiami kaźni Knopf widział wszystko i uradowany doniósł komendantowi.

Stawiony przed nim Schrade nie zapierał się wcale.

— Odkąd-że to — mówił — Biblia zakazana jest w państwie elektorskiem? Zaniosłem więźniowi religijną pociechę... to mój obowiązek i prawo.

A pozwoliłem napisać tę oto kartkę, w której są słowa przebaczenia...

Chmurny wzrok Görzkego rzucał błyski gniewu. Ale na razie wypadało okazać się wspaniałomyślnym; miał zresztą, czego pragnął: dowody, które mógł, skoro się okaże potrzeba, użyć przeciw Schrademu i Kalksteinowi. Spisano tedy akt sążnisty i wypuszczono pastora, dozwalając mu nawet ową kartkę, z której kopię zdjęto, doręczyć małżonce więźnia.

Görzke, działając na podstawie świeżych instrukcyi, z Berlina otrzymanych, rzekł wreszcie, odprawiając pastora:

— Najjaśniejszy Elektor jest skłonny do przebaczenia ciężkich win Kalksteina... Starajcie się to przedstawić jego małżonce... Powiedźcie jej, że zamiast włóczyć się z Berlina do Królewca i z Królewca do Memla, zamiast dokuczać wszystkim swemi skargami i prośbami, lepiejby uczyniła, gdyby skłoniła więźnia, iżby się przyznał do winy, jako spiski niegodne w Polsce przeciw Elektorowi knował... Niech Kalkstein upokorzy się i o przebaczenie błaga... niech wyzna, że porwany był z Warszawy przez Baumgardta, z którym w nienawiści żył... bez żadnego udziału ani Elektora, ani jego rezydenta. Jeżeli owa zapalczywa niewiasta tak działać przyrzeknie, pozwolę jej pisać do małżonka, dopuszczę ją nawet do kaźni... Niech takie pismo od niego zdobędzie...

Schrade przy ostatnich słowach podniósł osiwiałą głowę do góry i swemi zgasłemi oczyma spojrzał na komendanta tak dziwnie, iż ten mimowoli wzrok spuścił ku ziemi.

— Powołaniem mojem jest — rzekł starzec z mocą — głosić prawdę i uczyć prawdy, nie kłamstwa. Albowiem, ktoby chciał złem zdobywać dobro, nie osiągnie nic i przepadnie sam... wraz ż pomocnikami swymi...

Görzke ani drgnął. Na jego pargaminowej twarzy nie odbiło się żadne wrażenie; jeno na chudych policzkach znać było, iż kurczowo zaciska szczęki.

— Znajdą się inne sposoby... — mruknął przez zęby — i dał znak ręką, iżby wyprowadzono pastora.

Odtąd codziennie zdumiewał się Kalkstein coraz nowemi świadczonemi sobie łaskami. Nietylko, że nie odebrano mu Biblii, nie pozbawiono go inkaustu i pióra, lecz nazajutrz po bytności Schradego, odbito całkowicie okno, Knopf przyniósł inne jeszcze książki i papier, cały dzban wina, pożywienie obfite i smaczne.

— Widzicie — mówił Knopf swoim łagodnym, dźwięcznym głosem — to wszystko tak Najjaśniejszy Elektor rozkazał, to dobry pan!

Kalkstein nie odpowiedział nic, a przypisując te ulgi interwencyi Schradego, o niego pytał:

— Niemocen — odrzekł Knopf — bardzo nie-

mocen, od czasu gdy był tutaj... snadź mu wilgoć tego lochu zaszkodziła... Starzec jest...

Nazajutrz jednak w zastępstwie Schradego przybył do kaźni dyakon Schultze, i odtąd przychodził niemal codziennie. Był to człek młody, usposobienia bardzo łagodnego, ale w słowach mocno powściągliwy i rozważny. Na zapytania Kalksteina dawał krótkie i wymijające odpowiedzi, a wolał zajmować się z nim czytaniem Biblii i śpiewaniem psalmów. Głos miał świeży i dźwięczny; słuchając go, Kalkstein przymykał oczy, zapominał o chwili obecnej i tonął w dziwnych jakichś marzeniach. Gdyby nie tęsknota, która go od czasu do czasu porywała, byłoby mu już prawie dobrze, że sam sobie się dziwił i myślał, jak to człek, do wszystkiego przywyknąć jest zdolny, że nawet w takiej strasznej kaźni może mieć myśli pogodne, może mieć cały swój świat osobny, w którym dusza jego przebywa.

Gdy raz o tem wspomniał Schultzemu, ten na niego ze zdumieniem spojrzał, zadumał się i po chwili odparł:

— To jest siła czystego sumienia i ta jest różnica pomiędzy człowiekiem, którego dusza zawsze jest wolna i którą cierpienia uszlachetniają, a zwierzęciem, które w niewoli staje się złem i groźnem, albo płochliwem i nikczemnem.

Od tego czasu Schultze stał się innym, bardziej rozmownym i wylanym. Uprzedzony, miał on

zrazu to przekonanie, że Kalkstein to awanturnik zwykły, lub zgoła zbrodzień, którego nawracać było potrzeba; teraz podziwiać w nim począł wielki spokój, cierpliwość bez granic, poddanie się srogiemu losowi, w którem jednak nie było podłości.

Raz rzekł Kalkstein, jakby sam do siebie:

— Tak mi jest, jak temu, który w walce padł, śmiertelnie rażony. Dotychczas podniecała go myśl, że zwyciężyć może i burzyła w nim krew... A teraz wie, że Bóg chce inaczej... więc ku Niemu wszystkie myśli swoje posłał i wszystkie uczucia, dla siebie nie pragnąc na ziemi nic. Jest mi tak, jakbym był w grobie, który jest kresem dla mnie, ale nie dla moich myśli, usiłowań i pragnień dobrych. One zostały, a jeśli Bóg zechce, to je ożywi i natchnie niemi mocniejszych i godniejszych odemnie... Pragnąłbym, aby to był mój syn... mój Kryś... albo wnuk mój, albo prawnuk...

Schultze odwrócił się, bo czuł, iż łzy napełniają mu oczy, i szybko wyszedł, nie mówiąc nic. Ale tegoż dnia przybył do kaźni Knopf i przyniósł Kalksteinowi świeżą odzież. Była prosta, z grubego szarego sukna, lecz świeża i cała; suknie zaś więźnia przegniły zupełnie i rozpadły się w strzępy. Zrazu jednak on z niemi rozstawać się nie chciał.

— Nie! nie! — wołał — ostawcie mi te strzępy... one są moje!

Z niemi łączyła się niepowrotna przeszłość. Wszak to była ta sama odzież, w której szedł, Bóg wie jak dawno, przez Leszno do Thamsonowej gospody, do Brandta. Szedł pewny siebie, ufny, wierzący w opiekę Króla i poparcie panów możnych, w zwycięstwo swej sprawy. A ta odzież szara, cała, to gorzej niż stargany łachman, to kaftan niewolniczy.

— Nie!

Trzeba było długich perswazyi Knopfa i łagodnych jego uśmiechów, aby go przekonać. I byłoby go może i to nie przekonało, gdyby nie zręczne słówko dozorcy.

— Dyakon Schultze — rzekł Knopf — stara się wyjednać, iżby wolno było małżonce waszej przyjść tutaj. Zapewne to wyjedna... Ale przecież w łachmanach takich ona was ujrzeć nie powinna...

A na to Kalkstein rzucił się gwałtownie i począł sam zdzierać z siebie łachmany zgniłe.

— Dawajcie! — wołał — dawajcie! I wychudłe swoje, skute ramiona z natężeniem wyciągał.

Przebrano go. On zaś schwycił w dłonie kilka strzępów starej odzieży i do ust cisnął, leżąc na wznak, z zamkniętemi oczyma.

A Knopf, który tych uczuć zgoła nie pojmował, śmiał się i myślał:

— On już zgłupiał zupełnie...

Chciał mu też włosy i brodę przystrzydz, bo nadmiernie wyrosły, ale na to Kalkstein za nic

nie przystał. Zrazu krzyczeć począł, a potem błagał tak usilnie, że nawet Knopf uległ.

— Niech będzie — rzekł. — Ale na co wam te kudły?...

Po wychudłej twarzy Kalksteina przemknął jakby uśmiech.

— Dzieciństwo — odparł — ale mi je ostawcie... Na nich liczę dni mojej niedoli...

Wszakże obietnica Knopfa nie tak rychło się ziściła. Mijał dzień za dniem, a Kalkstein napróżno wyglądał przybycia małżonki. W tem oczekiwaniu opuszczać go poczęła cierpliwość. Miotał się, szarpał na swoim łańcuchu i po dawnemu unosił.

— Znowu mnie oszukali, łotry! — krzyczał.

A dyakon Schultze uspokajał go, mówiąc:

— Sam się o to staram i z pewnością uzyskam... Przedtem jednak przybędzie do was jenerał Görzke i komisya śledcza...

— Po co? — przerwał gwałtownie Kalkstein — niech mnie ubiją bez sądu! Nie powiem im nic...

Ale Schultze nieledwie błagał, iżby porywem nie zepsuł tego, co cierpliwość uzyskała. Knopf zaś nieustannie mu przedstawiał konieczność poddania się, szczerości bezwzględnej i łagodności, albowiem jeno tym kosztem uzyskać może pozwolenie na widzenie się z żoną i dziećmi, a może nawet wolność.

O wolności Kalkstein już nawet marzyć prze-

stał; zdawało mu się niepodobieństwem, iżby go Elektor oswobodził.

— On mnie nie puści! — szeptał — nie puści!

Natomiast jedynem pragnieniem jego stało się to, iżby mógł widzieć się z małżonką i dziećmi.

— Ty jesteś dobry człek — mówił do uśmiechniętego Knopfa — to widać z oczu twoich... Spraw to, iżby biedną małżonkę moją i dziatki, a przynajmniej najstarszego Krysia dopuszczono do mnie!... Widziałeś ty ich? widziałeś?...

A Knopf, prawdę z kłamstwem mieszając, opowiadał, że ciągle widuje nieszczęśliwą niewiastę, która codziennie do komendanta z prośbami przychodzi, a wygląda jak cień. Widział także i Krysia; biedny schorzały chłopczyna, któremu wieczysty przestrach z zapadłych oczu patrzy...

Słuchając tych opowieści, Kalkstein łkał głucho, a wreszcie raz spytał:

— Czego oni odemnie chcą? czego?

— To wam powie jutro sam jenerał Görzke — odparł Knopf, i swoim zwyczajem wyszedł szybko, zostawiając więźnia z własnemi myślami.

Jakoż nazajutrz niezwykła wrzawa przerwała grobową ciszę kaźni. Kalkstein podniósł się z barłogu, wsparł na łokciu i słuchał, jak z łoskotem otwierano podwoje więzienne, jak zbliżało się do niego coraz donośniejsze echo śmiałych, ciężkich kroków kilku a może i kilkunastu ludzi. Przywy-

kłego do ciągłej ciszy raziła ta wrzawa, odbijała się boleśnie w uszach.

Naraz otwarły się drzwi ostatnie i do kaźni wbiegło trzech pachołków z pochodniami w ręku.

Kalkstein wytrzeszczył szeroko oczy, a potem zawarł je gwałtownie. Nie mógł znieść ani tej wrzawy, ani tego światła, ani silnego prądu powietrza, idącego z otwartych podwoi. Padł na wznak i dyszał ciężko.

Za pachołkami wkroczyli do kaźni Albrecht von Kalnein, prezes komisyi śledczej, jenerał Görzke i fiskał elektorski Filip Lan.

Kalnein, sędziwy już człek, o twarzy pięknej, choć surowej, pochylił się nad więźniem i chwilę patrzył. Na jego obliczu odbiło się coś nakształt zgrozy, czy współczucia. Podniósł się i z wyrzutem na Görzkego spojrzał. Ten zaś bezdźwięcznym swym głosem, patrząc w próżnię, ozwał się:

— Krystyan Ludwik Kalkstein, odpowiadaj!

Więzień leżał bez ruchu; pierś jego tylko podnosiła się przyspieszonym chrypliwym oddechem.

— Odpowiadaj! — mówił dalej Görzke — żali prawdą jest, iżeś się odgrażał zbrojnym najazdem polskim na Prusy, iżeś lżył jego Elektorską Mość, zwąc go kłamliwym Kainem, wiarołomcą, krzywoprzysiężcą i infamisem? Żali prawdą jest, iżeś głośno twierdził, jako Stany pruskie gotowe są odpaść od Jego Elektorskiej Mości, iżeś wrzekomo

w imieniu tych Stanów do Króla polskiego i do sejmu wnosił supliki?...

Nie było odpowiedzi. Z zawartemi szczelnie powiekami, Kalkstein leżał, jakby nie słysząc, co do niego mówiono.

Tedy Kalnein znów pochylił się nad nim i głosem stłumionym, w którym współczucie brzmiało, przemówił:

— Przyszliśmy, iżby ci ulgę przynieść... Od twoich odpowiedzi to zależy... Nie zamykaj się w milczeniu...

Łagodny głos Kalneina zdawał się budzić więźnia. Poruszył się i oczy szeroko otworzył, wpatrując się w pochyloną nad sobą postać.

On go znał tego Kalneina z czasów młodości swej; wiedział, że chociaż Elektora zwolennik, był to człek prawy, przez przeciwników nawet szanowany. Więc odrzekł cicho:

— Nie mam co rzec... nie mam sił bronić się... Wydajcie wyrok co rychlej... dozwólcie jeno, iżbym żonę i dzieci widzieć mógł...

Była chwila narady między Kalneinem, Görzkem i Lanem. Usunęli się opodal i szeptali tak, iż więzień ani słowa dosłyszeć nie zdołał, widział jeno po gestach, iż Kalnein domagał się czegoś i przedstawiał, a Görzke ruchem głowy przeczył. Jednak Lan, który był dotychczas milczący, rozstrzygnął na stronę Kalneina. Görzke ramionami wzruszył i, zbliżywszy się do więźnia, rzekł:

— Dobrze więc... dozwolę im tutaj przyjść... ale pod jednym warunkiem... Uczynisz to, czego własna małżonka twoja od ciebie wymagać będzie...

Kalkstein usłyszał jedno tylko słowo: »dozwolę«; i więcej już nic. Nagle, jakby światłość ogromna otoczyła go i oślepiła; radość niewymowna zalała jego zrozpaczoną i zgnębioną duszę i pomieścić się w niej nie mogła, więc uchodziła z piersi dziwnym jękiem, do skowyczenia podobnym.

A Görzkie powtarzał swoje: uczynisz to? uczynisz?

Co znaczyło to pytanie? Dopiero teraz je słyszał. A czegóżby on nie uczynił dla tej umiłowanej, słodkiej, dzielnej niewiasty? I czegóżby ona żądać mogła, czegoby on nie miał prawa, lub nie chciał uczynić?

Więc porwał się, zatargał łańcuchem i krzyknął:

— Uczynię!...

Za moment otoczyła go znów ciemność i cisza. Ale on w niej słyszał teraz tysiące głosów upajających, rozkosznych. Nawet ów groźny huk fal, rozbijających się o skały, nawet szmer kropel wilgoci, zsuwających się po zapleśniałych murach, brzęk łańcuchów, szelest słomy barłogu, wszystko w około było dziś inne i wraz z gwałtownem tętnem serca mówiło mu:

— Ona przyjdzie!

Całe życie skupiło się w tej myśli, w tej nadziei, w tem pożądaniu. Ona, ta umiłowana, po tylu wycierpianych katuszach, przyjdzie tu, do niego. On ujrzy jej ukochaną postać, jej wypłakane całować będzie oczy, usłyszy słodki głos jej, w skute ramiona ujmie jej drogą głowę i przyciśnie do stęsknionej piersi!...

A potem?... To »potem« istnieć nie może. Myśl urywała się tu, jakby ją przecięła — śmierć.

I nastąpiły długie godziny oczekiwania i bezmiernej tęsknoty. Umyślnie snadź chciano, iżby go katusza oczekiwania zżarła i złamała, uczyniła powolnem narzędziem.

A tymczasem Görzke usposabiał żonę jego, Maryę, przedstawiając, iż Elektor we wspaniałomyślności swej gotów Kalksteinowi przebaczyć i wrócić mu wolność, uczynić jednak tego nie może pod naciskiem.

— Dopóki — mówił — poseł polski, Opacki, siedzieć będzie w Berlinie i nękać żądaniami, dopóki z kancelaryi królewskiej nadchodzić będą do kurfirsta groźne pisma, dopóty on cofnąć się nie może... Nie może też wziąć na siebie winy porwania... Gwałt ów spełnił z zemsty osobistej Baumgardt...

— To nieprawda! — zawołała Marya.

Görzke, przechadzając się zwolna po komnacie, rzucił z podełba gniewne spojrzenie na siedzącą

przy oknie niewiastę. I jego nawet zdumiewała nieugięta siła woli i męstwo w tej na pozór słabej, wiotkiej, wynędzniałej istocie. Zdumiewała i obudzała gniew, ale ten wobec Maryi nie wybuchał nigdy, miarkowany niezwykłem poszanowaniem. Knopf nie mógł wyjść z podziwu, że srogi dla wszystkich jenerał, dla jednej tylko Maryi okazywał niebywałe względy.

I teraz potłumił gniewne poruszenie.

— Nie jest to nieprawdą — odparł zwolna — co mówię. Dowody są. Jeszcze w wojsku litewskiem, między małżonkiem waszym a Baumgardtem zachodziły niesnaski... A potem w Warszawie... To bardzo lekkomyślne miasto... Baumgardt zaś z Warszawianką się ożenił... No, i... ona była młoda, urodziwa, Kalkstein zaś był sam... No, i...

Marya porwała się z miejsca i wyprostowała hardo swą niewielką postać. Na jej wymizerniałą twarz, jakby z wosku ulepioną, wybiegły żywe rumieńce; oczy zawsze piękne, chociaż w głąb zapadłe, ciskały iskry.

— Mości jenerale! — wybuchnęła — to potwarz, w którą nie uwierzę nigdy... Powtarzacie mi to umyślnie, abym i ja go odstąpiła, mszcząc się za niewiarę... Usiłowania daremne, przysięgam!

Wyprężyła ramiona i ręce, tak przeźroczyste, że każdą bladą żyłkę na nich znać było.

— A gdyby nawet — mówiła dalej - gdyby nawet było to prawdą, co mówicie, to i cóż

z tego?... Ja mu pozostanę wierną i nie odstąpię do ostatniego tchu... Wołać będę w niebogłosy i żalić się na krzywdę nam wyrządzoną!...

Görzke przystanął i ramionami dźwignął.

— Co to pomoże? — rzekł spokojnie. — Wy sobie wierzcie, albo nie wierzcie, lecz krzykiem nie uzyskacie nic...

Zbliżył się do Maryi i, ujmując za zimne ręce, mówił, jak mógł najłagodniej.

— Mnie was żal, szczerze żal... Usiądźcie i uspokójcie się... Ja wam dobrze radzę, wierzcie mi... Procesami z Elektorem nie wygracie nic... A tak, kto wie? możecie odzyskać wszystko. Niech Kalkstein da pismo, stwierdzające, że nie było zgoła żadnego zamachu, że to nie był plan przez rezydenta Brandta z woli Elektora uknuty, jeno zemsta prywatna...

Marya usiadła i twarz ukryła w dłonie.

— Boże! wielki Boże!.. — szeptała.

Görzke zaś stanął nad nią i ciągnął głosem stłumionym:

— Chcecie-li wolności waszego małżonka, skłońcie go, iżby takie pismo dał... Wówczas bez nacisku Elektor będzie mógł okazać łaskę... On dobry jest, wspaniałomyślny, lecz nie na rozkaz, nie pod przymusem... Rozumiecie?

Marya nie odpowiedziała nic. Jeno nagle powstała, wyprostowana jak struna, i głosem pewnym:

— Prowadźcie mnie do niego! — rzekła.

W zgasłych oczach Görzkego zamigotał błysk tryumfu. Aby zdobyć zaufanie, postanowił okazać się niezwykle dobrym.

— Nie — odparł — nie zaraz. Małżonek wasz jest zmordowany, niemocen. Uprzedzić, przygotować go trzeba... Wy zaś weźcie z sobą najstarszego Krysia... To go ucieszy...

Marya podniosła na niego wzrok zdumiony. Żali i w tym człowieku budziła się litość?

Ale z pargaminowej twarzy Görzkego nic wyczytać nie było można. W zmarszczkach około ust było jakieś skrzywienie, może uśmiech; zgasłe oczy, unikając wzroku Maryi, patrzyły w próżnię.

Tedy ona nie odrzekła nic i wyszła cicho, przesunęła się jak cień; w czarnej, powłóczystej sukni zdawała się wyższą a otoczoną dziwnym majestatem dzielnie znoszonego cierpienia.

Teraz Görzke patrzył na nią, dopóki nie znikła, i stał moment w zadumie, a potem w dłonie klasnął.

Wszedł uśmiechnięty Knopf.

— Wprowadzisz ją — rzekł jenerał — wraz z synkiem, do Pfefferstube... Nie odstępuj! Gdyby więzień pisać chciał, dostarczysz czego potrzeba... Na każde słowo pilnie zważaj... relacyę mi zdasz, rozumiesz?

Knopf skłonił się i wybiegł, a w pół godziny potem wprowadzał do kaźni Maryę i Krysia.

Skulony, ze wzrokiem wpatrzonym sztywnie

w ciemność, siedział Kalkstein. W pół otwartemi usty chwytał powietrze do zdyszanej piersi, a cały dygotał, chociaż pot kroplisty oblewał mu czoło. Z długimi, osiwiałymi włosami, rozczochraną brodą, która mu na piersi spadała, wychudły jak szkielet, był straszny.

Marya wstrzymała się moment u progu. Widokiem tej kaźni ciemnej, ponurej, zatęchłej, przerażony Kryś, ociągał się, szarpiąc matkę za suknię. Drżał z lęku; w tym osiwiałym starcu, skutym w łańcuchy, a wyglądającym dziko, nie rozpoznawał ojca!

— Mamo! — szeptał — mamo!

Ona zaś nagle rzuciła się ku więźniowi, Przypadła do ziemi, chwyciła go w ramiona, a potem całować poczęła jego nogi, kolana, ręce, łańcuchy.

— O, mój ty!... mój ty ukochany! — jęczała.

A on w tem objęciu, pod tymi pocałunkami omdlewał. Po wieku całym wzgardy, pohańbienia, szyderstw, nienawiści, nędzy, taka miłość i taka cześć!... Tego serce wytrzymać nie może, ani myśl objąć, ani słowo wyrazić; bo to jest katusza najsroższa i nieskończona rozkosz...

Długa cisza, wśród której słychać jeszcze przyspieszone oddechy, jak stłumione szlochanie i cichy płacz przerażonego Krysia. Chłopczyna oparł się o zapleśniały mur, twarz rękami zakrył i drżał.

— Mamo! — powtarzał — mamo!

Wszak ten zbrodzień, zakuty w łańcuchy,

o zdziczałej, zarośniętej twarzy, to nie mógł być rodzic jego, ten umiłowany jego tatuś, którego piękna, dorodna postać wyryła się w pamięci dziecka.. On tego człowieka lęka się.

Nagle głos, tak stłumiony, jakby szedł z podziemiów, ale rzewny, tkliwy, ten dawny głos, brzmiący jak pieszczota:

— Synu... Krysiu!...

Całe ciało chłopczyny zadrgało. Odjął ręce od twarzy, głowę w ramiona stulił, ale się nie ruszał. Owszem, jeszcze silniej przyparł się do muru.

I znowu ten sam głos, to samo wołanie:

— Nie poznajesz mnie? lękasz się swego tatusia? Krysiu!

Głośne łkanie wyrwało się z piersi chłopczyny. Podbiegł, na wilgotnej ziemi poślizgnął się i padł przy ojcu, raniąc sobie głowę o łańcuchy, które zabrzęczały.

I znowu cisza. Kryś łkając cicho, przytulił się do ojca; drażniła go w twarzyczkę szorstka odzież więzienna, dławiła ostra, nieznośna woń słomy przegniłej, ale na swojem czole czuł teraz dotknięcie znanej sobie ukochanej dłoni. Wychudłymi palcami gładził Kalkstein bujne włosy swego chłopczyny i powtarzał:

— Dzieciątko ty moje!... dzieciątko!

Nagle usiadł. Ujął w ręce, o ile na to krępujące go łańcuchy pozwalały, głowę Krysia i podniósł ku światłu.

Chciwie się wpatrzył w bladą twarzyczkę, zalaną teraz łzami. Ze zranionego o łańcuch czoła sączyła się kroplami krew.

— Zbliż się... zbliż, synku! — prosił więzień, nie mogąc go przyciągnąć ku sobie.

A wtedy Kryś podniósł się i jak dawniej oba ramiona ojcu na szyję zarzucił. Łkał i śmiał się zarazem.

— Tatuś... mój tatuś kochany!

Już się nie lękał tego okropnego, zdziczałego więźnia; nie bał się ani dziwnego spojrzenia jego w głąb zapadłych, zgasłych oczu, ani tych łańcuchów, które brzęczały tak ponuro, ani tej okropnej kaźni. Śmiał się i łkał, całując jego usta, oczy, osiwiałe włosy. W tem objęciu czuł się bezpiecznym i rozpoznawał tego, do którego pieszczoty tęsknił tak długo, o którym w domu słyszał ciągle, że go czcić i miłować zaraz po Bogu należy.

Knopf u progu stojąc, przypatrywał się temu obojętnie. Do scen więziennych nawykło już jego z natury twarde serce. Myślał więc tylko:

— Kiedy to się skończy? bo to jest nieznośne...

Ale więzień słabnął. Trzymając w uścisku Krysia, osunął się na ziemię, złożył głowę na kolanach Maryi i szeptał cicho, zniemożony:

— Gdyby tak śmierć... gdyby śmierć!...

Lecz Marya tego przypuścić nie chciała. On żyć musi, żyć będzie spokojny, wśród swoich, jeśli nie

w Knauten... to gdzieindziej. Wszystko jedno, byle razem!

Unosząc nieco głowę jego ku sobie, szeptała mu do ucha słowa otuchy: W Polsce zajmują się nim ciągle; nadchodzą do niej listy, drogą skrytą, przez królewieckich Jezuitów; obiecują pomoc, wśród szlachty rumor wielki... Więc trzeba mieć nadzieję...

— Nadzieję... nadzieję! — powtórzył Kalkstein, wodząc oczyma po czarnych murach kaźni. Ten sam wyraz zabrzmiał mu szyderstwem. On miał jej tyle i oto, co się stało!

Podniósł głowę wyżej i spojrzał w twarz małżonki. W mrocznem świetle, padającem z góry, zaledwie mógł dostrzedz rysy; wydała mu się trupio blada. Gdzie zniknął blask jej spojrzenia promienny?...

— W twoich oczach — ozwał się cicho — niema nadziei...

I począł te oczy całować namiętnie, długo, jakby pocałunkami tymi pragnął w nich dawny wywołać blask.

Lecz zbliżył się Knopf i rzekł:

— Więzień jest osłabły... wzruszenia szkodzą... może wina?

Podawał blaszankę, napełnioną kwaśnem winem. Kalkstein wypił je wszakże chciwie; zawsze lepsze było, niż stęchła woda. Odetchnął i ozwał się do Maryi.

— To jest dobry człek... On mi wiele świadczy... wiele...

Marya podniosła oczy na Knopfa. Ujrzała twarz uśmiechniętą, ale we wzroku jakiś zimny, stalowy blask, jak ostrze sztyletu. Widziała go zresztą nieraz w pełnem świetle, nie w tej mrocznej kaźni i czuła do niego mimowolny wstręt. Ten jego uśmiech przejmował ją lękiem. Chciała pochylić się ku Kalksteinowi i szepnąć: — Nie wierz... nie ufaj! Ale wstrzymała ją myśl, że ta ufność, to może jedyna pociecha więźnia, pocóż mu ją odbierać?...

Nie rzekła tedy nic, a Knopf ozwał się, patrząc przenikliwie na nią:

— Czas uchodzi... a wy wiecie, pani... co trzeba...

Kalkstein zatargał łańcuchem tak silnie, że Kryś porwał się i przytulił do muru z przestrachem.

Na słowa dozorcy krew zastygła w żyłach więźnia. Jakto, czas? on mógłby przeminąć? i ta chwila mogłaby się skończyć?

— Nie, nie, nigdy! — wołał.

A ona teraz ujęła go w ramiona i poczęła tulić, pieścić jak dziecko.

— Powrócę — mówiła - a potem ty do nas wrócisz... Trzeba jeno, widzisz, abyś powiedział... abyś napisał list do senatorów polskich, że... że...

Nie mogła dokończyć, coś ją w gardle dławiło.

I w tymże momecie uczuła, jak głęboko pada złe słowo w duszę ludzką; w tym momencie zadrżało jej na ustach pytanie: żali to prawda, co mówił Görzke o żonie Baumgardta i powodach wrzekomej zemsty skrzywdzonego małżonka?

Trwało to jedno mgnienie oka; wnet szeptem kończyła:

— ...Że to nie z woli Elektora porwano cię z Warszawy, że tego nie uczynił Brandt... jeno Baumgardt, mszcząc się... swojej krzywdy...

Wzrok jej, gdy to mówiła, z całą siłą utkwił w twarzy małżonka. Złe słowo kiełkowało w jej duszy; chciała wiedzieć, przekonać się, więc patrzyła przenikliwie a nieufnie, niemal ostro.

Ale Kalkstein leżał bez ruchu, na wznak, z szeroko otwartemi oczyma, jakby zrazu nie rozumiał. Nagle porwał się i krzyknął:

— To fałsz! fałsz!

A oczy Maryi zabłysły niewymowną radością. Pochyliła się i chwyciwszy rękę małżonka w obie swoje dłonie, okrywała je pocałunkami.

— Tak, byłam pewna... wiem o tem — mówiła szeptem — ale co czynić?... Napisz, jak chcą, aby wolność odzyskać.

Kalkstein znów padł na wznak, oczy zawarł i dyszał. Chciał jeszcze protestować przeciw temu kłamstwu, które uniewinnić miało Elektora, lecz zbrakło mu siły.

Ona zaś, zwróciwszy się do Krysia, rzekła:

— Proś, synku, aby ojciec twój chciał być wolny...

Chłopczyna z przestrachem przysuwał się do rodzica, lecz po chwili, znowu, jak wprzódy, objął go rączętami za szyję.

— Tatuś, tatuś! — powtarzał, chciej być wolny... chodź z nami!...

Pierś więźnia podniosła się gwałtownie głuchem łkaniem. Ogarnęła go martwota; nie mógł myśleć, to jeno czuł, że mu tchu brak i że dłużej takiej męczarni nie wytrzymałby.

Na nalegania małżonki i Krysia, odpowiedział cicho:

— Dobrze, dobrze... jutro.

Knopf rzekł do Maryi:

— Rozmowa skończona...

Nie opierała się, nie błagała, aby jej wolno było zostać dłużej, chociaż czuła, że dusza jej się rozrywa. Więzień leżał bez ruchu, z zawartemi powiekami, jakby obcy wszystkiemu, co się w okół niego działo; ona zaś całowała jego czoło, usta, włosy, ręce, kolana, a potem ujęła Krysia za rękę i wyszła cicho.

Kalkstein pozostawał długo jak martwy, a gdy się ocucił, wszystko to zdało mu się snem. Szeroko otwartemi oczyma spoglądał w około, a ujrzawszy siedzącego obok Knopfa, spytał:

— Gdzie oni?

Dozorca odrzekł:

— Małżonka wasza przyjdzie tu niebawem... przyjdzie po to, coście dać przyrzekli, po to pismo, które ma wrócić wam swobodę... Pamiętacie? Oto wszystko gotowe...

I pokazywał papier, inkaust, pióro.

Ach, tak! Teraz przypominał sobie dokładnie. I znowu zerwał się w nim bunt. Jakto, on miałby kłamstwem uniewinnić Elektora, całą winę zamachu zwalić na Baumgardta, aby kurfirst był nieodpowiedzialny wobec Króla i Rzeczypospolitej?... Nie, nigdy!

Ale Knopf, pochyliwszy się ku niemu, począł mówić o żonie i o Krysiu. Chwalił go bardzo. Co za śliczny i rozsądny chłopczyna... będzie z niego pociecha. Chociaż biedny, mizeraczek... martwi się, do tatusia tęskni... On ogromnie widać miłuje tatusia... ciągle o nim mówi... Co to będzie za radość, gdy drzwi tej kaźni otworzą się i tatuś jego wyjdzie na wolność!...

Kalkstein słuchał, i nagle, po chwilowym buncie opanowała go taka żądza swobody, iż w tem pragnieniu wszystkie inne zatonęły uczucia.

— To jedyny sposób — myślał — jedyny! Gdybym się opierał, zdusi mnie Elektor w tej kaźni, zdusi bez sądu... Wyzwolić się muszę, bądź co bądź!

Gdy więc Marya nazajutrz przybyła, tym razem sama, bez Krysia, powitał ją z ogromną radością i zaraz pisać chciał.

Knopf, aby mu to łatwiej przyszło, kazał wnieść światło i rozkuć prawe ramię więźniowi, a wedle instrukcyi Görzkego sam owo pismo dyktował. Była jeszcze kwestya, do kogo ma być wystosowane; Görzke zrazu chciał, aby do samego Króla, lecz Kalkstein stanowczo się sprzeciwił.

— Majestatowi kłamać nie będę! — zawołał.

Knopf pobiegł do komendanta, a Görzke nie chcąc zbytniem naleganiem sprawy zepsuć, od tego żądania odstąpił, i zgodził się na list do podkanclerzego Olszowskiego.

Napisał go Kalkstein bez oporu; pisał spiesznie, gorączkowo, a skończywszy osunął się w objęcia Maryi.

— Wszystko to dla ciebie... dla was... — szeptał. — Chcę z wami być... wśród was umrzeć...

Złożył głowę na jej kolanach, patrzył na nią w górę i powtarzał:

— Ty jesteś rozkoszą moją... nawet tu, w tej kaźni... Idzie od ciebie światło, które duszę moją napawa.

A gdy Knopf, otrzymawszy pismo, chciał przerwać rozmowę, tedy Kalkstein, aby tę rozkosz przedłużyć, zapragnął pisać jeszcze do Wierzbowskiego biskupa, a potem do Elektora.

Görzke się zgodził. Więc Kalkstein pisał jeszcze przez dwa dni. List do biskupa poznańskiego był takiej samej, co poprzedni, treści, a zaś w piśmie do Elektora powoływał się więzień na wydane mu

i podpisane przez kurfirsta *litterae protectoriales*, zaręczał, że od tego czasu nie popełnił nic, coby zasługiwało na karę i prosił o uwolnienie z twierdzy.

Nazajutrz jednak po napisaniu tej supliki, gdy Marya przybyła do kaźni, nie chciano już jej wpuścić, a więzień nadaremnie czekał... Szamotał się na łańcuchu, głową o ziemię bił i skowyczał z rozpaczy...

Görzke zaś ręce zacierał i mówił do Knopfa:

— Teraz trzeba z tej rozpaczy skorzystać... Namówisz go do ucieczki, a gdy wszystko przygotowane będzie, my was przychwycim. Będzie powód do obostrzenia...

Knopf śmiał się z uciechy, tak go owa igraszka z więźniem radowała.

Komendant memelski natychmiast osobnego kuryera wysłał do Berlina z pismami Kalksteina, a dla Fryderyka Wilhelma był to prawdziwie radosny dzień, gdy je otrzymał.

Natychmiast przyzwał Waldecka.

Gdy minister wszedł, Elektor żywo chodził po komnacie, nie czując niemocy. Twarz miał zaczerwienioną, z oczu strzelały stalowe błyski; ręce zacierał i śmiał się.

— A co? — zawołał — moja polityka dobra, co? z waszą ślimaczą nigdybym był tego nie osiągnął... Czytaj, miły hrabio, czytaj!...

I podał mu pismo Kalksteina.

Waldeck czytał uważnie, a skończywszy, złożył

pismo na stole, w milczeniu. Jego rozumna a rycerska twarz nie wyrażała radości.

Fryderyk Wilhelm przyskoczył ku niemu.

— Cóż? nie mówisz nic? — zagadnął z gniewem. — Ach, ty! ty!... nie rozumiesz, że to mój tryumf? że odtąd ani najjaśniejszy Król, ani przemądre Stany najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie mają nic odemnie do żądania? Cóżem ja winien, że tam jakiś Baumgardt mścił się... Rzecz inna, że mając raz Kalksteina w moich ręku, wydać go nie mogę, jako przeniewiercę, zdrajcę, paszkwilanta mego! To jest moje prawo, tak! Powiedz to temu nadzwyczajnemu, cha! cha! posłowi, Opackiemu. Może sobie już jechać. Ładnie sprawił poselstwo! Teraz nie mam już z nim nic do gadania...

Znowu chodził po komnacie, rzucając od czasu do czasu z podełba wzrok na Waldecka. Złościło go milczenie ministra.

Po chwili mówił, jakby sam do siebie:

— Tak więc z panem Stolińskim koniec... Do króla natychmiast wysłać pismo... listy Kalksteina zaraz wyprawić; kopje z nich zdjąć; niech u nas zostaną...

— Tym listom — ozwał się minister — nie uwierzy nikt...

Elektor na środku komnaty przystanął, gębę otworzył szeroko i gniewne oczy na Waldecka wytrzeszczył. Wargi mu drżały; milczał moment i nagle wybuchnął:

— Tyś się wściekł, Waldeck!... A mnie na co ich wiara? Potrzebny mi był jeno taki dokument i ten mam!... A wiarę ich tobie daruję... cha! cha!... Patrz-no tylko, abym ja tobie wiary mojej nie odebrał; bo ty mi od pewnego czasu...

Usiadł, stękać począł i zwolna szedł ku fotelowi, na którym usiadł ciężko.

— Ty mnie dobijasz, Waldeck, ty mnie dobijasz! — skarżył się żałośnym głosem.

— Miłościwy panie — ozwał się minister — ja zawsze tylko w szczerej chęci...

— Chęci!... chęci!... — ofuknął się Elektor — z twojej chęci tyle co z babskiego języka... zmartwienie jeno... zgryzota!

A w duchu myślał:

— Gdybyś ty mi nie był potrzebny! tobym cię posłał wraz z twemi dobremi chęciami tam, gdzie pieprz rośnie...

Głośno zaś zagadnął:

— Więc czegobyś ty chciał? jakbyś myślał, jak?

Waldeck moment się wahał, lecz nagle zdecydowany, ręką machnął i, zbliżając się, rzekł:

— Z Kalksteinem ja skończyłbym tak: Za to że ubliżył godności elektorskiego majestatu, skazałbym go na utratę dóbr i wygnanie z granic Prus...

— Do Polski może... cha! cha! — szyderczo przerwał Fryderyk Wilhelm.

Dłuższe trzymanie go w kaźni, lub co gorsza

wydanie surowszego wyroku, wzburzyłoby do reszty i tak już rozgorączkowane głowy szlachty pruskiej i wywołałoby niechybnie odwet ze strony Rzeczypospolitej...

Elektor słuchał, wargi gryzł z wściekłości, opuchłe kolana rękami tarł, a czasem szeptał:

— Nie wytrzymam!... O, o, *Herr Gott*, nie wytrzymam!...

Wreszcie począł krzyczeć w głos:

— Ty głupi, Waldeck!... głupi, albo przewrotny! Ty nie minister mój, a wróg... Ja cię!.. Ale nie, pierwej odpowiem ci na wszystko: Kalksteina nie puszczę, nie! Aby mi nowe spiski knował? nie!... Ja przez niego wiedzieć będę wszystko... boć przecie nie on sam działał? On przed Królem i przed Stanami polskimi odgrażał się imieniem całej szlachty pruskiej... Więc niech powie: kto z nim?... A ja wszystkich zduszę!...

— Nie wyda on nikogo! — wtrącił minister.

Fryderyk Wilhelm zwrócił ku niemu rozognioną twarz, na rękach w fotelu się wsparł i podniósł, jakby skoczyć miał:

— Nie wyda? cha! cha!... Zobaczymy! Niechno mu tam w Memlu ostrą kwestyę zadadzą... zobaczymy...

Osunął się znowu i rękami pokazywać począł:

— Niech-no go jeno rozłożą... tak! wyciągną... tak!... a potem zakręcą... zakręcą... zakręcą... cha! cha! Wyśpiewa wszystkich mi wiernych Schliebe-

nów, Rothów, Rackmohrów... cha! cha! Wszyscy wraz z nim pójdą pod miecz — rozumiesz?

Waldeck milczał. Czuł, że mu krew w żyłach stygnie.

— On przecie tego nie uczyni... — myślał.

Elektor zaś mówił, a raczej krzyczał ciągle szyderczym głosem:

— Wówczas, widzisz, nastąpi dopiero uspokojenie... cha! cha! wzburzonych umysłów. Kalkstein czy tu, czy z wygnania, burzyłby ciągle, a tak, widzisz, wybornie, będzie cisza...

Po chwili ciągnął dalej:

— Na jedno jużem ci odpowiedział, kochany Waldeck, a teraz na drugie odpowiem. Lękasz się ty odwetu ze strony Rzeczypospolitej?... A ja sobie z tego kpię... rozumiesz? Oni teraz tam będą bardzo zajęci; nie stanie im czasu myśleć o swoim panu Stolińskim, nie! Oni nawet teraz będą kontenci z tych dokumentów, które im poślę! Nie uwierzą im — powiadasz? Może być... ale będą udawali, że wierzą... bo jeden kłopot spadnie im z głowy... Ja wiem, że tak. Teraz mają oni inną, ciężką robotę. Z jednej strony Doroszeńko i tatarzy... a Doroszeńko już wie, czegoby chciał brandenburski Elektor! On wie i tak uczyni, nie popuści!

— Kuryera naszego przychwycono — przerwał Waldeck.

— To i cóż z tego? — wrzasnął Fryderyk Wil-

helm — przychwycono tego, który już wracał... Mają ślad, dowodów brak... Ale trzech innych do Czehryna dotarło i Doroszeńko już wie... nie popuści! A z drugiej strony — ottomańska potęga, co?... Gdzież im teraz pan Stoliński i odwet za niego w głowie? Wkrótce tam będzie zawierucha okrutna, o, będzie...

Urwał i za moment mówił wolniej i ciszej, jakby sam do siebie:

— Ukraina już nie ich... nie!... Kamieniec przepadnie!...

Zamyślił się, marząc. I nagle krzyknął:

— Gdyby nie ten hetman! gdyby nie on!

Gwałtownie się poruszył, a potem szybko, tonem urywanym rozkazy wydawał:

— Napisać natychmiast do Kalneina i Görzkego... Niech tego pana Stolińskiego wezmą ostro na męki... dopóki nie wyśpiewa spólników... »Ostrą kwestyę« mu zadać, niech śpiewa... A potem — pod miecz!

Waldeck otworzył usta, protestować chciał, lecz Elektor porwał się z miejsca i wrzasnął:

— Ani słowa! tak musi być!

Waldeck tedy w milczeniu ochodził.

Lecz Elektor jeszcze w progu go zatrzymał.

— Aha! ten Görzkie to dzielny człek, zręcznie to sprawił... Ale chwalić nie trzeba... rozumiesz?... niech się ciągle zasłużyć stara... Napisz mu więc, żem nie kontent, iż nie kazał Kalksteinowi pisać

do samego Króla... On przecież z paszkwilami na mnie aż do niego trafiał... Napisz tedy, żem nie kontent, bardzo nie kontent, cha! cha!...

Minister skłonił się i wyszedł. Czuł, że wszelka opozycya byłaby daremna; wyrok na Kalksteina był już nieodwołalnie wydany...

Elektor za wychodzącym Waldeckiem pogroził pięścią z ogromną złością.

— Poczekaj!... — szepnął — przyjdzie i na ciebie czas!

Usiadł znowu, głowę wsparł na ręce i zadumał się. Jego opasła twarz to bladła, to czerwieniała, odbijając różne wrażenia, których w samotności maskować nie było potrzeba. Czasem grube wargi uśmiechały się szyderską radością, to znów zaciskały się one, a wówczas z oczu strzelały błyski, które wnet' potem zasnuwała mgła, jakby zniechęcenia, czy niepewności.

I znowu, jak pierwej, Elektor poruszył się gwałtownie, a wznosząc zaciśnięte pięści do góry, wyszeptał dziwnym tonem niemocnego gniewu:

— Gdyby nie Sobieski... gdyby nie on!...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ II.

VI.

DZIWNE POSELSTWO.

Imćp. Mikołaj Attelmayer, syn konsularny a drab miejski, powróciwszy z wyprawy szwedzkiej, czasu Jana Kazimierza, siedział ciągle odtąd we Lwowie, jeno jeszcze gorzej zhardział i konsulom a rajcom miejskim coraz bardziej dokuczał. Czasem też po swojemu po mieście hałasował, a wtedy go do więzienia miejskiego, »Dorotką« zwanego, ku uspokojeniu zamykano. To go najwięcej gryzło i, gdy go po wytrzeźwieniu wypuszczono, wygadywał, komu się dało, na miejskie rządy.

— Oni — krzyczał — mszczą się na mnie nicponie, iżem jest lepszy od nich, sprawiedliwy konsularny syn, a na złość im drabem zostałem i dobrze mi jest! Oni się na mnie mszczą, albowiem wiedzą, com ja pod Warką ze Szwedami dokazał. I najdzielniejsi rycerze temu się dziwowali...

I tu po raz setny opowiadał z dumą, jako to on, chcąc zasadzkę szwedzką z lasu wypłoszyć,

kazał zażegnąć łąki w około i pożar w boru wzniecił, że przerażeni Szwedowie na drzewa się wdrapywali, a potem spadali w płomienie i na skwarki się piekli.

— Tego — dodawał — żaden z tutejszych rajców, ani wszyscy razem nie dokażą! Sam pan Czarniecki i Lubomirski marszałek myśleli mi za to nagrodę dać, ale ja nijakiej nie chciałem, to zaś mi wystarcza, że gdy odtąd baba kaszę warzy i kawałki słoniny dorzuca, to mówi: »będzie ci kasza ze szwedami...« Takiemu mądremu słowu, które na wiek wieków ostanie, że i ludzie zapomną, skąd się ono wzięło, żaden z naszych przemądrych konsulów początku nie da, bo to panie, kpy są...

Od pewnego czasu stracił jednak Attelmayer humor. Powróciwszy ze szwedzkiej wyprawy, zastał on jeszcze w zdrowiu opiekunkę swoją, starą Gretę, w jej nędznej, zamiejskiej gospodzie pod Górnym Zamkiem. Uradowała się Greta tym powrotem wielce, ale niebawem chorzeć poczęła i widocznie z sił spadać.

— Przyjdzie mi już zamrzeć! — mówiła do Attelmayera. — Tchu w piersiach brak... nogi się trzęsą...

A ten na to w złość okrutną wpadł:

— Nie pleć, stara wiedźmo, nie pleć! Jeszcze się tam imć pan Lucyper obędzie bez ciebie...

Ale chociaż złościł się i łajał, to jednak owa niemoc starej, która mu zawsze dobrą opiekunką

była i, pomimo ubóstwa swojego, chętnie jego przygarniała nędzę, gryzła mu duszę.

I raz w nocy, gdy Greta w malignę wpadła i zdawało się, że już ducha wyzionie, powziął wielkie postanowienie:

— Czekajcie, matko! — mówił, siedząc przy jej barłogu, na ziemi — czekajcie jeszcze do rana... A ja wam takiego doktora sprowadzę, który wam omdlałe ciało naprawi, duszę za rogi schwyci i zatrzyma...

Nie rozumiała tego nieprzytomna Greta i ciągle jeno wśród majaczeń powtarzała, jako jemu, Attelmayerowi, ową chałupę ostawia w puściźnie, a prosi go, iżby drabem nicponiem być przestał, gorzały nie pił i nie hałasował, gdyż po jej śmierci nikt go już z »Dorotki« wypraszać nie będzie...

— Zmarniejesz tam, biedaku, zmarniejesz... — szeptała.

On zaś słuchając, czuł, że mu serce wyrywa się z piersi, a łzy do oczu cisną. Tedy porwał się, łuczywa na ognisko dorzucił, albowiem ciemność mu zawadzała, i począł wielkimi krokami po izbie chodzić a gadać głośno:

— Oto co! na co mi twoja chałupa? Wolę na murawie legnąć i w gwiazdy się patrzeć, niż na taki obrzydliwy, czarny strop... Co mi po twojej chałupie?... Jak będziesz tak wydziwiać i głupstwa pleść, to jak mi Bóg miły pójdę, opiję się gorzały, co szyja strzyma, i tak w samym rynku nahała-

suję, że mnie wnet do »Dorotki« zamkną! A ty się wtedy zerwiesz i polecisz na poratunek. I zobaczym, kto mocniejszy: czy ja, czy ta twoja głupia śmierć, którą mnie straszysz...

Ale stara znów mocno jęczeć zaczęła i kaszlać. Więc Attelmayer przykląkł przy niej, podał jej wody, a prosił:

— Strzymajcie się, matko, strzymajcie się do rana!...

Godziny wszakże wlokły się okrutnie powoli i świtu trudno się było doczekać. Chora to zrywała się i majaczyła, to zapadała w odrętwienie zupełne. Nareszcie usnęła spokojnie; oddech stał się równiejszym. Attelmayer zaśmiał się z cicha:

— Widzisz, starucho, widzisz! — mruczał. — Śmierć nie taka głupia i ciebie nie chce... bo wie, żeś mi tu potrzebniejsza niż jej! A cóżbym ja robił bez ciebie?... Oj, ty... ty!

I z wielką miłością wpatrywał się w jej zczerniałą, chudą, pomarszczoną twarz. — Szpetnaś — myślał — jak czarownica, aleś dla konsularnego syna, który drabem jest, miałaś serce jak nikt... toż cię miłuję okrutnie!

Uspokojony, usiadł wygodniej na ziemi, głowę oparł o krawędź łóżka, nogi wyciągnął i szeptał ciągle, aż sen niespostrzeżenie go ogarnął.

Gdy się obudził, był już dzień, mglisty, chmurny. Spojrzał na Gretę: spała spokojnie; więc porwał się i zaczął się zbierać do wyjścia.

Chora otworzyła przytomne oczy.

— A ty gdzie idziesz, drabie? — spytała.

— Po zdrowie dla was — odparł Attelmayer — legajcie cicho, aż ja tu z imćp. Anczewskim przyjdę...

Greta żachnęła się niecierpliwie:

— Do resztyś zdurniał!... A gdzieżby do mnie taki królewski doktor przyszedł?...

— Nie zechce przyjść, to przyjedzie, a jechać nie zechce, to go przyniosę!...

I wyprostował swoją wielką, barczystą postać.

— Czekajcie matko! — dorzucił. I nie zważając na mruczenie starej, wybiegł.

Czuł on jednak, że to nie łatwa będzie sprawa. Marcin Nikanor Anczewski, nadworny doktor J. K. M. i konsul, mieszkał w rynku, w swej własnej, wspaniałej kamienicy, otoczony zgrają sług, wśród książęcego przepychu. Przystęp tam nie był łatwy, a przeprawa z zuchwałymi dworzany bogatego konsula mogła nie być przyjemną. Pamiętał dobrze Attelmayer, że gdy odbywało się wesele córki Marcina Nikanora z lekarzem Andrzejem Szymonowiczem, to była taka we Lwowie parada, jakby królewska córka wychodziła za mąż. A gdy on wówczas, ciekawością wiedziony, chciał się wedrzeć do wnętrza kamienicy, iżby się bliżej ucztom weselnym przypatrzeć, spotkał go despekt niemały. Obskoczyła go bowiem zgraja sług i omal za drzwi nie wyrzuciła sromotnie. Trzeba było aż interwencyi po-

ważnego imćp. Samuela Kazimierza Kuszewicza, ławnika i notaryusza, iżby syna konsularnego z rąk zażartych służalców wydobyć.

Ale wspomnienie pozostało niemiłe. I Attelmayer, który zrazu biegł szybko, im bliżej było do rynku, tem wolniej szedł, a czasem przystawał, rękami machał i mówił sam do siebie:

— Już ja im tam z serca nie radzę, na mnie się dziś zamierzać. Kto się nadto zbliży, a grube rzeknie słowo, będzie trup albo kaleka... Ja mojej starej wiedźmie muszę królewskiego doktora sprowadzić, iżby od niej śmierć odegnał... A jak muszę, to muszę... Leczy ten pan Anczewski panią krakowską i pana kanclerza koronnego i samego Króla jegomości, to niech spróbuje wyleczyć Gretę. Będzie miał za to większą sławę w niebiesiech, albowiem ziemskich honorów ma dość... Tak mu rzekę... A on pójdzie... pójść musi!

Uspokajał się tak, lecz czuł, że mu serce coraz mocniej bije, a gdy wchodził na ciemne, kamienne schody pięknej kamienicy doktora, lęk zaparł mu dech w piersiach.

— Tfu! — splunął — boję się...

W antykamerze wybiegł naprzeciw niego młodzieniaszek bezwąsy, przybrany w kaftan granatowy ze złoconymi guzami.

— A to po co? — spytał, mierząc pogardliwie olbrzymią, licho odzianą postać draba.

Attelmayer głowę podniósł.

— Zawołaj-no — rzekł — starszych od siebie. Ważną sprawę mam, której twój młody umysł nie uchwyci.

Ten zaś się obruszył:

— Co mi ty będziesz, drabie, od młodych wymyślał!

— Za takie wymyślanie będziesz ty na starość w łapę lizał... — odparł drab. Aby zaś do zwady nie dopuścić, ujął owego chłopaka za kołnierz i lekko popychał go przed sobą do drugiej izby.

— Prowadź mnie — rzekł — dalej...

Ale pacholik krzyczeć począł; zbiegali się zewsząd słudzy, zoczywszy zaś znanego sobie draba, okrążali go z groźnemi minami.

— Zdala odemnie!... — wrzasnął Attelmayer — bo jak mi Bóg miły, będzie z wami źle!... Żartować dziś nie będę, choćbym za waszą niewolniczą skórę pod miecz katowski miał pójść... Radzę tedy z serca — ostrożnie!

Zrobił się huczek niemały. Z przyległej komnaty wyglądnął Marcin Nikanor. Widocznie zajęty był strojem; włosy bowiem miał na poły utrefione, na sobie zaś biały, długi kaftan, ozdobiony koronkami Z poza pleców doktora wyglądała zaciekawiona twarz balwierza Franka, zwanego Trzęsigłówką.

— Co to za hałasy?... — spytał imćp. konsul, groźnie brwi marszcząc. A zoczywszy Attelmayera, poznał go i dorzucił:

— Już drugi raz na mój dom napadasz, drabie!..

Syn konsularny nisko się pokłonił:

— Nie jest to żadna napaść... — odparł. — Pierwszy raz była to ciekawość, bez której, jak wiadomo, nie masz mądrości. Chciałem oczy moje napaść widokiem wspaniałości godów weselnych córki konsularnej. Teraz zaś w progi Wasze przywiodła mnie najgorsza nędza...

Marcin Nikanor skrzywił się.

— Nędzy — rzekł — jest dość we Lwowie... a jeden mieszek wszystkim nie nastarczy... Młody jeszcze jesteś, silny, pracuj! Aleś ty pono próżniak i nicpoń...

Mówiąc to chciał drzwi zamknąć, ale Attelmayer poskoczył ku niemu:

— Pozwólcie, panie, jedno krótkie słowo! Powiedziałem: najgorsza nędza, to nie ta zwyczajna, która rękę wyciąga i którą lada grosz zaspokoi; lecz taka, która do mądrości Waszej, nie do mieszka sięga i błaga: »Odpędźcie śmierć!...

Marcin Nikanor wstrzymał się. Attelmayer mówił głosem bardzo wzruszonym, drżącym; twarz miał bladą, oczy krwią nabiegłe i dziwnie smutne.

— Chory jesteś? — spytał konsul.

Attelmayer ręką machnął.

— E, panie! — odparł. — Gdyby o mnie chodziło, tobym Waszej Miłości zgoła nie trudził... Ale tu idzie o jedną białogłowę...

Wśród gromady sług poczęto się śmiać. Attelmayer spojrzał gniewnie:

– Odpędźcie panie, niewolników waszych iżbym swobodnie mówić mógł.

Anczewski także się uśmiechnął, a snadź zainteresowany, coby to mogła być za niewiasta, która w drabie miejskim protektora znalazła, rzekł mu:

— Wejdź do mnie i mów...

Drab spojrzał tryumfująco i wszedł, drzwi zatrzaskując za sobą.

Sypialnia nadwornego lekarza była urządzona z przepychem. Olbrzymie łoże, pod baldachimem, na wzniesieniu, zajmowało połowę komnaty, której ściany i podłoga pokryte były kosztownemi makatami i kobiercami. Wszędy zaś widniał złotem haftowany, jak gdyby herb: lew wyskakujący z za muru, z mieczem w prawej łapie i ogonem zadartym.

W zwykłym czasie byłby zaraz Attelmayer podrwiwał z tej próżności herbowej sławetnego konsula, ale teraz zaledwie zwrócił uwagę na otaczające go wspaniałości, a wpatrzył się w oblicze królewskiego lekarza, chcąc zapewne wybadać, jaki być może skutek jego zuchwałej prośby.

Oblicze to, jeszcze dość młode, delikatne i wypieszczone, miało wyraz łagodny, uśmiechało się pogodnie. Marcin Nikanor otulił się w swój biały, koronkowy kaftan i usiadł przed olbrzymiem zwierciadłem, a mistrz Frank, Trzęsigłówką zwan, przy-

stąpił do ukończenia swego dzieła, trefienia już nieco siwiejących włosów konsula. Każdy niemal włosek z osobna uczesywał, układał, zawijał, a co chwila innym olejkiem maścił.

Attelmayer, stojąc poza nim, widział w zwierciadle obok doktora, i siebie, swoje rozczochrane włosy, grube rysy, żylaste a czarne ręce. W porównaniu z delikatną postacią Anczewskiego, wyglądał jak straszydło.

Aż się Frank śmiać zaczął.

— Odstąp, drabie — rzekł — bo zwierciadło psujesz...

— Ho, ho! — odparł Attelmayer — patrz-no ty, Trzęsigłówko, abyś swoją robotą partacką mądrej głowy nie popsował...

Ale Anczewski przerwał:

— No, mów, z czemś przyszedł?

— Ano, z prośbą. Przysłowie powiada: nędzy dosyć, gdy kto musi prosić... Ja zaś prosić nie zwykłem, a namyślać się czasu nie mam. Więc krótko rzekę: Pod Górnym Zamkiem w chałupie nędznej, ale własnej, mieszka stara, bardzo stara białogłowa. Zwie się Greta... Śmierć ją chce wziąć, ja zaś tego dopuścić nie mogę... Kłóciłem się z tą śmiercią dziś przez noc całą. Ona mówi: wezmę! a ja na przekór: nie dam! I nie dałem. A na odchodnem zagroziłem jej, iż przywiodę takiego doktora, który ją zawsze szczęśliwie odgania. Ona

struchlała, a ja oto przyszedłem po was, dobry panie...

Frank Trzęsigłówka przestał układać włosy, i śmiał się tak, aż się w pół zgiął, zaś pan Anczewski całą postacią zwrócił się ku drabowi i ze zdumieniem, lecz i z uśmiechem na niego patrzył.

— Tybyś chciał... tybyś chciał, ażebym ja?...

— Nie słuchajcie go, panie — ozwał się Frank — to szalony człek... Niech idzie precz!...

I znowu się śmiał, że mu łzy z oczu ciekły.

— Nakażcie, panie, temu mizernemu golibrodzie — wybuchnął Attelmayer — iżby cicho był, albowiem ja z przeproszeniem Waszej godności, igrać z nim na słowa nie będę... Konsularny syn, chociaż drab, ale pięści ma, które takim pustym Trzęsigłówkom snadnie poradzą...

I wyciągnął żylaste pięści.

Pan Anczewski, który odważnego ducha nie był, a bójek nie cierpiał, skrzywił się. W duchu już żałował, iż tego zuchwałego draba dopuścił do siebie; trzeba go było odrazu z pierwszej izby kazać wyrzucić; teraz było już zapóźno; zanim służba by nadbiegła, kto wie, coby ten śmiałek uczynił? Tedy uspokajając, rzekł:

— Frank, kończ rychło... bez śmiechu.

— Słusznie rzekliście, panie — potwierdził Attelmayer. — Bo tu śmiechu niema... Najjaśniejsza śmierć, w imieniu której przychodzę, śmiechu nie lubi...

Konsul rozmowę odwrócił.

— Wszak ty się zwiesz Attelmayer? — spytał.

Drab ręką machnął.

— Tak samo — odparł — jak najbogatszy w tem mieście konsul.

— Jan Attelmayer, krewny twój?...

— Rodzony stryk... niby rodzica mego brat rodzony... Ale to, panie, jakaś inna krew... I nim przed wami zasłaniać się nie będę. Jam jest drab miejski, a on konsul... jam jest taki, jak mysz kościelna, a on bogacz! Alem ja pan, a on niewolnik, z którym nie mieniałbym się nigdy... Co to on, panie, powinności ma, których ja nie znam i znać nie chcę... Paradę ustawicznie robi, więc powietrze wciąż kradnie i nadyma się niem, że ledwo nie pęknie... A to jest dla niego wielki trud i nieprzyjemność dla tego powietrza, które się w nim psowa... Ja zaś jestem jak ten ptak, swobodny... Jedyną na świecie mam tę starą Gretę... Umiera, panie, ratujcie ją!...

Ostatnie słowa, wymówił drab tak miękkim głosem, że pan Anczewski, nie bacząc na pracę Franka, którą nagłym ruchem popsuć mógł, zwrócił się znów całą postacią ku Attelmayerowi:

— Daleko to? — spytał.

— Pod Górnym Zamkiem... Dla waszych koni blisko, dla moich nóg daleko... Dla was trzy pacierze, dla mnie siedm psalmów pokutnych...

Pan Anczewski coraz bardziej się bawił. W dłonie klasnął i do wchodzącego pokojowca rzekł:

— Niech zaraz kolasa będzie gotowa...

Frank pochylił się ku niemu i zagadnął szeptem, zdumiony:

— Czyżbyście jechali, panie?...

— Kończ rychło! — rozkazał doktor. I już się niecierpliwił.

— Co jest tej twojej Grecie? — spytał, zdejmując śpiesznie kaftan koronkowy.

— Abo ja wiem? Dusza snadź w kolana jej wlazła, że się trzęsą i chodzić nie dają...

Za moment doktor był już gotów. Attelmayer zaś uszczęśliwiony, że mu się tak powiodło, uśmiechał się i ku wielkiej uciesze pana Anczewskiego, który rozrywki lubił, opowiadał, jakto on pod Warką chłopami dowodził i jak Szwedów na skwarki palił.

Wychodził obok doktora dumny, patrząc tryumfująco na zdziwioną służbę. Piękna kolasa oczekiwała już przed domem. Pan Anczewski wsiadł i wskazał Attelmayerowi miejsce obok stangreta, na koźle.

Ale drab głową potrząsnął.

— Weźcie mnie, panie — rzekł — do środka... Mniej mnie będzie widać... A temu wspaniałemu furmanowi w granatowym żupanie byłby wstyd obok draba jechać i jeszczeby na złość całą kolasę przewalił...

Pan Anczewski zaśmiał się i ręką skinął na znak zgody; więc Attelmayer zajął miejsce naprzeciw niego, wołając do woźnicy:

— Pod Górny Zamek, do gospody imćpani Grety!

Ale gdy już dojeżdżali, Attelmayer posmutniał i wzdychać począł.

— Oj, panie! — ozwał się nagle — jeśli wy mnie ją odratujecie, to przysięgam, jakem prawy konsularny syn, w gębę ani gorzały, ani wina, ani piwa nie wezmę i hałasować nie będę, a chociaż niewolnictwa nie cierpię, do was, panie, na psią służbę pójdę!...

— Tak ją miłujesz, tę babę?... — spytał doktor.

Attelmayer ramionami dźwignął.

— Ona mi jedna na świecie... — rzekł głucho.

Dojechali. Doktor, prowadzony przez draba, wszedł szybko i zbliżył się do barłogu Grety. Skrzywił się; brud tu był, woń nieznośna stęchlizny i gorączkowych wyziewów, co delikatne powonienie wytwornego konsula raziło.

— Otwórz okno! — rzekł krótko. — A gdy Attelmayer rozkaz spełniał, pan Anczewski przystąpił do badania chorej.

Greta otworzyła zdumione oczy i z przestrachem wpatrzyła się w piękną twarz doktora.

— Co to? — szeptała — co to?...

Ale doktor nie odpowiadał i dalej prowadził badanie, pospiesznie i z widocznym przymusem.

Do takich nędzarzy chorych nie przywykł, a widział przytem, że już nie poradzi nic.

Wstał tedy i rzekł do Attelmayera, który z przerażeniem patrzył na zniechęcone oblicze doktora:

— Pójdziesz, a spiesznie do oficyny Wedelskiego... wiesz? Ja tam leki sporządzić każę... Odbierzesz... Pożywienie dla chorej sam przyślę...

I już wychodził. Rad był co rychlej wydostać się z tej brudnej i cuchnącej izby.

Attelmayer szedł za nim z głową spuszczoną.

— Więc co, panie? — spytał głosem stłumionym, gdy już pan Anczewski w kolasie siedział — co będzie?

Doktor ramiona roztworzył.

— Rzecz powszednia — odparł krótko — śmierć...

Kolasa ruszyła, a drab został sam i tak moment stał przed chałupą. Chwilami chwytał się oburącz za głowę, jakby rozbiegające się w popłochu myśli powstrzymać chciał.

Lecz nagle począł biedz, jakby go co gnało, ku miastu. Ciężko mu było, czuł brak tchu w piersiach, pot czoło oblewał; biegł jednak, nie ustając, aż do owej oficyny Wedelskiego, który podówczas najlepiej leki sporządzał.

Zanim do miasta dobiegł, leki owe były już przygotowane, gdyż p. Anczewski polecił pośpiech; sam zaś Wedelski dawał jeszcze Attelmayerowi

szczegółową informacyę, kiedy i w jakim porządku chora ma je zażywać.

Ale drab z roztargnieniem słuchał. Brzmiały mu ciągle w uszach okrutne słowa doktora, więc niespokojny był i chciał biedz co rychlej z powrotem. Rzekł tedy, przerywając:

— Zapłacić bym rad...

I szukał w mieszku pieniędzy.

Wedelski, który był człek krotofilny, począł się śmiać.

— Nie szukaj — rzekł — bo nie znajdziesz... Zresztą imćpan Anczewski wszystko zapłacił.

— A, tak! dobrze — zawołał Attelmayer, dumnie głowę podnosząc — to ja się z nim porachuję, jeno przedtem wypróbować muszę, zali leki skuteczne...

I wybiegł. Pędził jeszcze prędzej, bez tchu, dręczony przeczuciem złem, gnany echem słów doktora: »Rzecz powszednia — śmierć!«

— Och, och! — wzdychał — gdyby jej nie stało... tobym poszedł w świat, za oczy... Ale ona nie umrze, nie!

I wołał w głos:

— Nie! nie!

Przed progiem chałupy omal nie upadł ze znużenia. Szybko drzwi otworzył i podbiegł...

Na łóżku leżał trup Grety, kostniejący już, z otwartemi oczyma i usty...

Attelmayer na kolana się zwalił i począł skowyczeć, jak pies, którego biją...

Od tej pory zmienił się zupełnie. Nietylko w opustoszałej chałupie usiedzieć nie mógł, ale i Lwów wydawał mu się za ciasny. To też poza mury miasta coraz częściej i coraz na dłużej wybiegał, a gdy dawni kompanowie pytali, coby czynił, ręką machał w milczeniu, albo opryskliwie odpowiadał:

— W dzień gwiazd szukam, a w nocy słońca... Ii, co wam po tem!

Wiosna w tym roku stała się wczesna i piękna; w połowie kwietnia było tak ciepło, jak w czerwcu i roślinność rozwinęła się bujnie.

— Za taką wiosnę — mówił Attelmayer — gotów-em nieco Panu Bogu przebaczyć, że mi Gretę wziął...

I raz pod wieczór, wróciwszy z wycieczki za miasto, poczuł w sobie dawną fantazyę. W pustej chałupie pod Górnym Zamkiem usiedzieć nie mógł; pił przeto do nocy z kompanami, a potem chcąc snadź gnuśnych konsulów miejskich, zwłaszcza zaś imćp. Jana Attelmayera z błogiego snu obudzić, począł okrutnie w samym rynku hałasować. Jednego strażnika miejskiego, który szwedem z pod Warki zdał mu się być, mocno pobił, drugiego skaleczył, że go wreszcie do »Dorotki« wpakować musiano. Aż go stamtąd pan Anczewski, dowiedziawszy się o tem, przemożną interwencyą swoją wydobył.

— Duch Grety w niego wstąpił... — mruknął drab, gdy mu powiedziano o tem wstawiennictwie

nadwornego doktora. — Ale dziękować mu nie pójdę, bo jest kiep, który jeno najjaśniejsze i jaśnie wielmożne choroby leczy, a biedaków odsyła do królestwa niebieskiego.

Dwudniowem siedzeniem w »Dorotce« tak się drab rozżalił, iż postanowił święcie Lwów opuścić; tymczasem o głodzie snuł się w okolicach, przemyśliwając, coby mu dalej uczynić należało.

Najczęściej jednak nie myślał o niczem, bo mu w tem przeszkadzały ukochane jego promienie słoneczne i rozkwitająca bujnie roślinność. Kładł się w trawie i całemi godzinami patrzył w górę, w błękit niebieski, śledził lot ptaków i krążących w około niego muszek różnych i czuł się mniej samotnym. Ale głód mu doskwierał; trzeba się tedy było zbliżyć do osad ludzkich. Zerwał się z legowiska i poszedł przez las, piaszczystą drogą, ku wsi Czerniława. Znał on tę wieś dobrze, bo tu nieraz się zapędzał; wiedział też, że w przysiołku, zwanym Lisko, był klasztorek mały, który przed kilkunastu laty spustoszyły Chmielnickiego hordy. Wśród ruin mieszkał tam jednak ciągle mnich jeden, nazwiskiem Ciukwicz, wielce dobroczynny człek, dawny przełożony klasztoru. Żył z jałmużny i darowizn, a wszystkiem dzielił się z ubogimi, którzy się do niego zewsząd zbiegali. On ich karmił, poił, do pracy nakłaniał, chorym leki wymyślał, grzesznych nawracał, i tak żył błogosławiony i błogosławiący.

Wiadomo jednak było, że ksiądz Ciukwicz z prostotą obyczaju, szorstką mową i rubasznem obejściem, łączył niezwykłą naukę, nabytą za lat młodych w Rzymie w kolegium Propagandy, a potem jeszcze w Brunsberdze u OO. Jezuitów. Ale mnich mówić o tem nie lubił, wszelkie ofiarowane sobie niegdyś dostojeństwa i zaszczyty odrzucał, a po zburzeniu klasztoru, począł wieść żywot jakoby pustelniczy. Czasami jednak zdarzało się, że znikał na czas dłuższy ze swojej pustelni, a byli tacy, którzy przebąkiwali, że ksiądz Ciukwicz ważne tajemnicze misye odprawuje i częste odbywa narady z hetmanem Sobieskim, który go wielkiem zaufaniem darzy, a niedawno wyprawił go nawet do Czehryna z niebezpiecznem i trudnem do Doroszeńki poselstwem.

Gdy takowe pogłoski doszły do uszu księdza, nie był kontent z tych gadań, ale nieukontentowanie swe pokrywał rubasznym śmiechem, że zaś nie kłamał nigdy, tedy nie zaprzeczał, lecz ręką machał, mówiąc:

— Ma tam hetman sprawniejszych i młodszych odemnie posłów...

Attelmayer znał także mnicha, i dawniej, gdy mu było chłodno lub głodno, często do niego zabiegał, lecz gdy raz ksiądz surowo go zburczał za próżniactwo i do pracy nakłaniał, drab rozgniewał się i przychodzić przestał.

— Gbur jest — mówił o nim — może być

uczony, ale gruby człek, który dla konsularnego syna nijakiego szacunku nie ma...

Teraz jednak, w tym smutku, jaki go gnębił, mimowolnie pomyślał o mnichu, jako o tym, któryby mu pociechę dać mógł.

Wyszedłszy z lasu, ujrzał w różowym blasku gasnącego słońca wieś Czerniławę, obszerną, rozłożoną wśród wzgórz i ogrodów. Poza wsią lśniła w promieniach, jak różnobarwna wstęga, rzeka Szkło, przerzynająca piaszczystą równinę, okoloną czarnym murem jaworowskich borów.

Wszystko to przedstawiało się oczom Attelmayera, jak cudowne zjawisko, owiane przeźroczystą, jaśniejącą, błękitną mgłą. Od siedzib ludzkich dochodziły zmieszane głosy, wśród których wybijały się radosne okrzyki i śmiechy bawiących się po nad rzeką dzieci.

Attelmayer stał moment wpatrzony. Ale głód psuł mu zachwyty i złościł go. Machnął ręką, mruknął: bydlę jestem! i poszedł dalej ku ruinom klasztoru, położonym na wzgórku a ukrytym wśród gęstwiny leśnej. Coś go ku nim ciągnęło.

Idąc wązką ścieżyną, ujrzał zdala postać księdza Ciukwicza. Wysoki, bardzo chudy, mnich zdjął z siebie habit i zajęty był rąbaniem drew. Wiatr rozwiewał mu siwiejące włosy i takąż brodę, a on z wielkim rozmachem uderzał siekierą w kłodę, za każdym zaś ciosem słychać było wychodzący mu z piersi głośny oddech: Ech!... ech!...

Attelmayer przystanął. Sam widok mnicha, jego surowej, wyschłej postaci, przeraził go.

— Będzie łajać!... — mruknął — a mnie to na co? Dość już mam w sercu goryczy... Nie zdzierżałbym się i odplunął, a wobec księdza to grzech... Nie pójdę!...

Wszedł w gęstwinę i legł na mchu, wśród drzew, twarzą ku niebu. Zmierzchało już. Świegot ptasząt milknął; jeno czasem jeszcze zrywał się ostry, tłumny, kłótliwy spór o legowisko. Niebo ciemniało, czyste, pogodne; zdawało się zniżać i opierać na wierzchołkach drzew, kołyszących się lekko, jak do snu. Cisza w okół; jeno odgłosy siekiery i głęboki oddech mnicha: »Ech!... ech!...« Powietrze pachnące; woń świeżej roślinności, cały dzień ogrzewanej promieniami słońca, upajała. Attelmayer przymknął oczy; nie czuł już głodu, przejął go natomiast chłód; więc szczelniej owinął się w opończę i drzemać poczynał. Odgłosy siekiery ustały i nic już nie przerywało ciszy.

Naraz ozwała się ludzka mowa, tuż blizko.

Attelmayer otworzył oczy i spojrzał. Obok, ścieżyną szedł zwolna mnich, a przy nim dwóch ludzi, przyodzianych dziwacznie, w skóry. Jeden z nich, miernego wzrostu, dobrej tuszy, zaszyty w tę skórę wyglądał jak tłumok, z dużą, ludzką głową na wierzchu. Drugi, wyższy, żywy w ruchach, zdawał się wyskakiwać ze zbyt szerokiego odzienia, które się na nim marszczyło i fałdowało.

Twarzy ich w mroku drab rozeznać nie mógł, ale postacie widział i głosy słyszał wyraźnie; nic jednak zrozumieć nie mógł, rozmawiali bowiem obcą mową, która mu się cudaczną być zdała.

— Ki-dyabeł! — mruknął Attelmayer — ładnych gości ma mnich...

Ciekawy był z natury, więc przyczołgał się ostrożnie, jeszcze bliżej ku ścieżynie, aby coś więcej dostrzedz i dosłyszeć. Zaparł oddech, wytrzeszczył oczy i słuchał.

Teraz mówił ksiądz Ciukwicz po łacinie, co już łatwiej przyszło synowi konsularnemu zrozumieć. Dochodziły do niego czasem całe zdania, czasem jeno urywane wyrazy. Raz posłyszał, jak mnich zwracając się ku owemu niższemu a opasłemu, rzekł do niego z wielką rewerencyą: — *Illustrissime!*

— Ho, ho! — mruknął drab — ten tłumok, to jakaś ważna persona...

I z coraz większem natężeniem słuchał dalej, jak ksiądz Ciukwicz doradzał natychmiastowe widzenie się z hetmanem Sobieskim, postępowanie ostrożne ale stanowcze.

— Uznaję już i ja — mówił — że tak dalej iść nie może. Niebezpieczeństwo tureckie coraz bliższe... Pochłonie nas i zgnębi, jeżeli w czas nie zapobiegniemy...

Nie wszystko Attelmayer mógł dokładnie zrozumieć, to jednak było jasne, iż owi cudaczni,

w skóry zaszyci ludzie przybywali zdaleka, a mieli ważne do spełnienia poselstwo. W rozmowie padały nazwiska panów możnych: Prażmowskiego, prymasa Morstina, a najczęściej króla Michała, na którego ów opasły zdawał się mocno zżymać.

— Na to wszystko — zakonkludował mnich — jeden tylko hetman poradzić może.

I odeszli ku ruinom. Ale Attelmayer już ich z oka nie spuścił. Wstał i, ostrożnie przedzierając się wśród gałęzi, które rękami przytrzymywał, aby nie szeleściały, doszedł w ślad za nimi aż do miejsca, kędy przy rozwalonym na poły klasztorku, urządzona była stajenka.

Nieznajomi tam weszli, Attelmayer zaś przypadł do ziemi i postanowił czekać; ciekawość go bowiem coraz większa piekła. Czekał niedługo, gdyż za moment ów wyższy i żywy, wyszedł ze stajenki i począł zbierać suche gałęzie, które narzucał na przygasłe opodal ognisko. Niebawem buchnął jasny płomień, a teraz wyszedł także ów drugi i obaj przy ognisku usiedli grzać się.

Było to tak blizko Attelmayera, iż mógł on doskonale twarze ich rozeznać i każde słowo słyszeć.

— Wierutne małpy! — myślał drab, przypatrując się im. — Zwłaszcza ten grubszy, szkaradny. Policzki jakby spuchnięte, uszy ogromne, nos jak kartofel, usta mięsiste, wywrócone. Ale mądry musi być, bo z jego małych oczu, patrzących z pod

gęstych brwi ciemnych, strzelają błyski. Ręce ma białe, delikatne, pieszczone... Nie darmo go ksiądz Ciukwicz »illustrissime« zwał... Za to ten drugi, to jakiś pospolity człek... Gdyby go po ludzku przyodziać, toby może nie był tak szkaradny; gębę wesołą ma, a miele wciąż językiem.

Rzeczywiście, ów gadał nieustannie, ręce zacierał i śmiał się; tamten zaś wyciągnął się przy ognisku i rzadko co odpowiadał półsłówkiem. Zamyślony był i poważny.

Ale z rozmowy tej Attelmayer nic pochwycić nie mógł. Dochodziły do niego słowa dźwięczne, bardzo szybkie, lecz zgoła niezrozumiałe. To go okrutnie gniewało.

— Przeklęta, dzika bestya! — mruknął — po jakiemu on plecie? Brzęczy to, kwiczy, a sensu złapać nie sposób. Tak mi się czasem zda, że to nasz pan Bandinelli z p. Vassarim, albo z innym jakim włoszyskiem gada. Ale nie. Przecie we Lwowie nasłuchać się można różnych nacyi dość; są nawet angielczykowie, co syczą jak gadziny, a czasem się krztuszą, jakby kluski łykali, ano, takiej mowy nie słychać... Ki-dyabeł!

Niebawem jednak gniewać się przestał, a patrzył z coraz większem natężeniem. Starszy coś rzekł krótko, a młodszy porwał się, wbiegł do stajenki i wnet wrócił, dźwigając w obu rękach wielką, osmoloną maźnicę.

— Aha!... to oni pewno na wieczerzę smołę jadają... — rzekł do siebie Attelmayer.

Ale tymczasem ów młodszy począł maźnicą plugawą obracać na wsze strony i kręcić, aż się otworzyła pośrodku.

Zdumionym oczom lwowskiego draba ukazała się w podwójnym dnie kryjówka, a w niej złote monety i różne papiery, które ów starszy przy świetle ogniska pilnie przeglądał. Attelmayer, tłumiąc oddech w piersiach, patrzył ciągle i widział, jako to były pisma i listy pieczęciami opatrzone, oraz całe szeregi cyfr różnych.

— Ho, ho, ptaszki! — mruknął. — Wyglądają jak gdyby nic, a to rabuśniki są, albo zabijaki...

Chciał z krzykiem wpaść na nich, lecz wczas zmiarkował się na myśl, iż ksiądz Ciukwicz z ludźmi tymi przestawał, a nawet owemu starszemu wielką okazywał rewerencyę. Postanowił więc naprzód mnicha uprzedzić o owej podejrzanej maźnicy, a przybyszów nie spuszczać z oka, gdyby zaś co złego poczynali, przeszkodzić.

— Dogonię ja was łotrzyki i przytrzymam! — kończył w myśli — bo dla złodzieja droga jedna, dla goniącego dziesięć...

Tymczasem ów, rozejrzawszy papiery, coś rzekł do towarzysza swego, który wnet to wszystko napowrót do kryjówki powkładał, pięścią górną część maźnicy do dolnej starannie przybił, a potem jeszcze szpary obmazał smołą.

Ognisko przygasało. Niebawem też owi ludzie ruszyli się z miejsca; starszy poszedł naprzód ku małej celce wśród ruin, kędy ksiądz Ciukwicz czasem przejezdnym przytułek dawał, za nim zaś wszedł ów drugi, niosąc maźnicę. Wkrótce w małem okienku zabłysło światełko, Attelmayer porwał się z ziemi i jednym skokiem był przy niem. Zajrzał.

Starszy chodził zwolna po izbie w zadumie, a młodszy rozkładał na podłodze słomę, siano, a na tem w płótno grube zaszyty, z kilku części złożony materac. Próbował go ręką, wygładzał.

— Ho, ho! — mruknął drab — wygodny sobie, jak but dziurawy o jednej podeszwie!...

Wszystko, co widział, postanowił opowiedzieć natychmiast księdzu Ciukwiczowi, i doczekawszy się momentu, gdy ów starszy, głośno ziewając, ułożył się na przygotowanem miękiem legowisku, odszedł od okna i pospieszył do celi mnicha. Drzwi jednak były zaparte i w oknach ciemno. Rozejrzał się w około i w głębi, na samym krańcu ścieżyny leśnej, dojrzał wysoką postać księdza.

Przechadzał się on zwolna i półgłosem odmawiał pacierze.

Attelmayer znał obyczaj mnicha, iż rozmowy z Bogiem dla nikogo nie przerywał; tedy wszedł w las i, na ziemi przysiadłszy, czekał.

Noc już była głucha, a powietrze spokojne. Niebo wyiskrzone gwiazdami zdawało się teraz

bardzo dalekiem od drzew wierzchołków, które stały nieruchome, jak senne.

Mnich zaś, opodal od Attelmayera przystanąwszy, ciągle szeptał pacierze.

Nagle padł na kolana i głosem głuchym a głębokim, który dziwnie przejmująco brzmiał wśród ciszy i tej puszczy leśnej, wołał, z wyciągniętemi ku niebu ramionami:

— *Clementissime Deus, Pater misericordiarum et Deus totius consolationis, qui neminem vis perire in Te credentem, atque sperantem: secundum multitudinem miserationum Tuarum respice propitius famulum Tuum Joannem, quem Tibi vera fides et spes christiana commendat...*

— Za jakiego Jana on się tak modli? — myślał Attelmayer. Ale głos mnicha i jego postać, jakby natchniona, przenikały go mimowolnie. Ukląkł także i powtarzał za nim słowa modlitwy, wypowiadane wolno, z naciskiem.

Mnich kończył po polsku:

— Natchnij go, Stwórco, umocnij prawicą Swoją, iżby, podniósłszy miecz, pogromił nieprzyjacioły Twe... Oto przybytki Twoje, bezecną poniszczone ręką, w gruzach leżą. Oto w sercach wiernych niegdy Twych synów gaśnie wiara i uczciwość i cnota dawna... Natchnij go, Zbawco, iżby ocucił naród z martwego snu, obudził w nim zapał święty ku obronie wiary Twej i tej ziemi od nieprzyjaciół Krzyża! Daj mu śmiałość i moc! daj mu wielkość

i sławę ku pomnożeniu sławy Imienia Twego! Niech zniknie z tej ziemi wszelaka niecnota, przedajność i obłuda, za przewodem tego Jana, któregoś posłał, iżby prostował drogi przed Tobą!

Umilkł i twarzą przypadł do ziemi. A nad nim, w górze, zaszumiał nagle cały bór, od lekkiego powiewu. Attelmayerowi zaś zdało się, że to modlitwa starca tak idzie z tym szumem ku niebu. Przejęła go dziwna trwoga, jakby przed czemś tajemniczem, co go zewsząd otoczyło, przed jakimś niewidzialnym światem i niewidzialną potęgą, którą poruszyło błaganie mnicha.

Tymczasem ksiądz Ciukwicz wstał i z pochyloną głową szedł zwolna ku swej celi. Attelmayer, nie namyślając się, zabiegł mu nagle drogę i do kolan przypadł.

Mnich cofnął się.

— Ktoś ty? — spytał — czego chcesz?...

Ale wnet rozpoznał draba:

— A to ty, lwowski nicponiu! Po co po nocach się włóczysz?... Nabroiłeś pewno szpetnie i po ratunek przychodzisz...

Attelmayer milczał, a wreszcie rzekł krótko:

— Nędzny jestem...

Powiedział to głosem tak dziwnie brzmiącym, że mnich bystro na niego spojrzał, a widząc w całej jego postaci niezwykłe przygnębienie, chociaż był nawykł ostro przemawiać i karcić draba za próżniactwo, tym razem rzekł jeno:

— Chodź za mną...

Weszli do celi. Mnich rozniecił tlejące na kominie ognisko i ukazała się oczom Attelmayera izba dość przestronna, o dwóch małych oknach, uboga lecz schludna. Na bielonych ścianach wisiało kilka obrazów świętych i wielki krzyż drewniany nad tapczanem, służącym mnichowi za łóżko. Sprzętów prawie żadnych: dwie ławy i stół.

— Siadaj — ozwał się ksiądz — dam ci jeść... pewnoś głodny...

Attelmayer odparł szczerze:

— Oj, głodnym, jak młynarska kura...

A na to mnich zwykłym sposobem burczeć począł:

— Boś próżniak! A nie mówię ci zawsze: pracuj! Nie stary jesteś, siłę masz, mógłbyś pożytecznym być. Ale co tobie gadać?... szkoda słów... Sadzaj ty żabę na złocie, ona woli w błocie...

Drab nie odrzekł nic. Usiadł przy stole i podparł głowę na rękach. Mnich zaś podszedł do pieca, wyjął stamtąd misę z kaszą gryczaną i wielki kawał chleba, i to wszystko przed Attelmayerem postawił.

Drab zrazu się nie ruszył. Ale snadź woń jadła drażniła go niemało, bo wnet nozdrzami ruszać począł, językiem mlasnął, a wreszcie głowę podniósł i rzucił się ku misie.

Mnich uśmiechnął się i nieco łagodniejszym tonem spytał:

— I gdzieżeś to się włóczył, nicponiu, żeś tak zgłodniał?...

Drab jeno głową kręcił, bo z pełnemi usty odpowiedzi dać nie mógł.

Zjadł kaszę do ziarnka, chlebem wytarł misę i zakąsił, i uczyniło mu się lepiej.

Zmordowane nogi przed siebie wyciągnął, odetchnął głęboko i rzekł:

— Ano, Bóg zapłać wam, ojcze, iżeście nakarmili draba, bo jużbym był zdechł...

I odpowiadając na poprzednie pytanie, dorzucił:

— Gdzie ja się włóczę?... Włóczę się i szukam zgubionej myśli...

Ksiądz się znów obruszył.

— Gdzie tam jaka myśl w twojej pijackiej głowie!

Ale Attelmayer posmutniał wnet bardzo i mówić począł o chorobie i śmierci Grety, o swojem teraz opuszczeniu i samotności.

Mnich usiadł naprzeciw i słuchał bardzo uważnie, utkwiwszy w niego swe siwe, w głąb zapadłe a błyszczące oczy. Przejmujące to było spojrzenie i dziwna twarz tego mnicha, wystająca z pod ciemnego habitu, ogorzała od słońca, o rysach ostrych, posępnych, z siwą, długą brodą i takimiż włosami, które mu na ramiona spadały.

Słuchając, ksiądz Ciukwicz myślał:

— Ktoby to przypuszczał? W tym drabie jest

tkliwa dusza, która teraz cierpi; trzeba jej pomoc dać, albowiem bez celu żyjąc, zmarnieje...

I gdy Attelmayer, skończywszy opowieść, ukrył twarz w dłonie, bardzo zgnębiony, mnich położył mu rękę na ramieniu i rzekł łagodnie:

— Wspomóż duszę Grety poprawą... A jako ona była dla ciebie dobrą, chociaż obca, tak ty dobrym bądź dla innych, chociaż oni tobie obcy są. Zapomnij o sobie, a bliźnim służ...

Ale Attelmayer kazań słuchać nie lubił, o bliźnich zaś miał swoje a nieszczególne przekonanie.

— Bliźni... bliźni... — mruknął z niechęcią. — Miłuj bliźniego, a weź kij i ubij go... mądrzy powiadają ludzie.

Wstał żywo i rzekł do księdza:

— Bywajcie zdrowi... Dziękuję wam za strawę i za to żeście mnie wysłuchali. Lżej mi jest... Nie mam teraz do kogo słowa przemówić i dławię się.. Żegnajcie!

— Dokąd idziesz? — spytał mnich.

Attelmayer, stojąc już u drzwi, odparł:

— Pójdę szukać jakowegoś Szweda bliźniego, iżbym mu tak usłużył, jak pod Warką... A znajdę go może blizko.

Chciał wychodzić, lecz moment pomyślał i zawrócił się od progu.

— Za wasze dobre słowo — rzekł — ja wam, ojcze, odpłacę się... Wy tu pod waszym dachem łotrzyków trzymacie...

Mnich poruszył się żywo i z ławy wstał.

— Jakich łotrzyków?... — spytał z pewną obawą w głosie.

— Sam widziałem... Gdyście wy, ojcze, z Panem Bogiem piękną rozmowę mieli, oni tymczasem gadali z sobą cudacznie, a potem przy ognisku opatrywali maźnicę z podwójnem dnem, kędy jakoweś pisma i monety, pewno zrabowane, ukryte są... Już ja ich z oka nie spuszczę...

Mnich z widocznym przestrachem słuchał. Domyślił się odrazu, kogo drab w podejrzeniu miał, ale wtajemniczać go lękał się, kłamać zaś sumienie mu nie pozwalało. Tedy wahająco się spytał:

— A cóż ty z nimi czynić chcesz?...

— To samo com uczynił z jednym łotrzykiem, czasu króla Jana Kazimierza. Zaprowadzę tych bliźnich do Lwowa, niech się tam w »Dorotce« przesiedzą i niech ową zmyślną maźnicę naszym uczonym konsulom okażą, iżby ci się nauczyli, kędy najlepiej grosze trzymać...

Ksiądz Ciukwicz za rękę go pochwycił.

— Nie czyń tego! — zawołał — nie czyń!

Attelmayer, którego uwagi nie uszło pomieszanie mnicha, spojrzał podejrzliwie:

— Dlaczego nie?... To jakaś nieczysta robota... i ja muszę...

— Poczekaj — przerwał ksiądz — poczekaj... Ja ci powiem.

I nie chcąc kłamstwa na swoje własne sumienie brać, dodał spiesznie:

— Powiem ci to, co oni sami mi mówili, okazując dokumenty, które stwierdzają, jako to są oficyerowie zagraniczni... hiszpańscy...

— Ho! ho!... — mruknął Attelmayer — a po co tu się włóczą?... Czy to mało mamy różnych nacyi...

— Widzisz — perswadował mnich — oni mówią, że w naszej armii służby chcą szukać... i do hetmana do Jaworowa idą... Mają do niego pisma od różnych wielkich panów, od Prażmowskiego prymasa...

Drab wielką swą, kudłatą głową chwiał:

— Niech-no — wtrącił — nasi mądrzy konsulowie owe pisma odczytają...

— Słuchaj-no! — zawołał zniecierpliwiony już nieco ksiądz Ciukwicz — zważ, jako oni są pod moim dachem i pod opieką moją. Im się tu nic złego stać nie może... Rozumiesz? Przyjąłem ich i za nich ręczę. A ty, pilnuj się, iżbyś zbytnią zapalczywością sam w matnię nie popadł...

— Dobrze! — odparł Attelmayer. — Ręczycie za nich, ojcze, to ja ich tu nie zaczepię... Ale niech jeno od was wyjdą...

— Czekaj! — przerwał mnich. — Powiadam ci, że to godni ludzie są, mający wysokie znaczenie... zwłaszcza ten, który pono zwie się Beauval...

— Co mi tam! — zawołał drab — bawół czy

nie bawół, wszystko jedno!... Zawsze ta maźnica z podwójnem dnem nie podoba mi się... Godni a pewni ludzie takich nie mają... Chcą do hetmana iść, dobrze! Ale ja ich sam poprowadzę... W razie zaś, gdyby...

Mnich w dłonie klasnął:

— Wyborna myśl!... wyborna! Uczynisz im nawet przysługę. Mieli oni bowiem z sobą parobka, który im drogę wskazywał i konia z wozem wiódł, aliści parobek ten nagle zmarł; a oni, nie świadomi dobrze miejscowości i mowy, zabłąkali się do mnie...

— Hm... hm... — mruknął niedowierzająco Attelmayer — do Jaworowa pół mili stąd... bez przewodnika trafiłby i ślepy... Gdyby wprost przed siebie przez pagórki szedł, wnetby namacał Jaworów...

Mnich żachnął się niecierpliwie.

— Wierz lub nie wierz, ale tak jest, jak mówię... Chciałem ich sam świtem, do hetmana prowodzić, ale skoro chcesz śledzić ich, to idź sam z nimi. Uczynisz potem to, co ci hetman rozkaże...

Myśl zbliżenia się do hetmana ucieszyła lecz zarazem przeraziła draba. Widywał on nieraz Sobieskiego we Lwowie. Stał w tłumie i gapił się, zachwycony wspaniałą, rycerską postawą wodza. Ale wydawał mu się on hardy i nieprzystępny. Na ostatnie tedy słowa księdza machnął ręką i rzekł:

— On tam ze mną gadać nie będzie!... On tak patrzy na ludzi, jakby ich po ziemi szukał...

— Patrzy z wysoka — potwierdził mnich — bo większy od wszystkich duchem, odwagą, męstwem... bo na nim spoczywa oko Boże...

— Pod Warką — wtrącił Attelmayer — gadałem ja ci z większymi od niego, jak naprzykład z panem Czarnieckim...

— On większy od wszystkich! — zawołał z zapałem ksiądz. — Otacza go Boża moc, a opromienia sława! Ale on przytem dobry jest i przystępny pan...

Wstrzymał się i za moment dorzucił, kładąc rękę na ramieniu Attelmayera:

— Wiesz-ty co?... chceszli przestać być drabem i włóczęgą?... Powiadasz, że myśli zgubionej szukasz... Znajdziesz ją w obozie... Teraz rąk silnych więcej niż kiedykolwiek potrzeba, a w ochotniczym pułku pana Piwa hetman cię chętnie pomieści...

Attelmayerowi oczy zabłysły.

— Niech będzie i Piwo! — zawołał. — Dajcie słowo do hetmana.

— Jutro sam do Jaworowa przybędę — odparł mnich. — A ty skoro świt, prowadź tamtych ludzi. Prowadź zaś ich tak, by was nie zatrzymały straże i aby rozgłosu nie było... Znasz-ty dworek myśliwski hetmana?

— Znam... Na wzgórku, wśród lip... nad stawem.

— Otóż tam przebywa od dni kilku z kompanami swymi, dzielny rotmistrz, Jankowski Samuel, czekając dalszych rozkazów. Do dworku tego dojść możecie bez wszelakiej przeszkody. Jankowskiemu zaś to jedno powiedz: Ksiądz Ciukwicz nas przysyła... To wystarczy, a on już wiedzieć będzie, co czynić należy...

— Dobrze — odparł Attelmayer — a teraz ostańcie z Bogiem...

— Gdzież idziesz? — spytał mnich — spocznij tu, w izbie...

— Ho, ho! — odparł drab — ja tamtych odstąpić nie mogę... Przy owej cudacznej maźnicy legnę, aby się gdzie wraz z tymi skórzanymi oficyerami nie zapodziała...

Jeszcze nie świtało, ale w powietrzu czuć już było ranek. Attelmayer, przyległszy wśród zarośli, opodal stajenki, okutany w opończę, wpatrywał się w niebo, zwolna jaśniejące, na którem gwiazdy bladły, wsłuchiwał się w lekki szmer lasu i myślał, że już napewno będzie rychło świt, albowiem szmer drzew stał się nagle inny. Uważał to on już nieraz, w czasie wędrówek swoich, że bór inaczej szumi z wieczora, leniwo, jakby sennie, inaczej wśród nocy, mrukliwie, gdy go czasami wiatr silniejszy obudzi, inaczej zaś nad ranem, zwolna a przeciągle.

— Za moment — szepnął drab — ptaki wrzasną chórem na powitanie dnia i będzie po spaniu...

Zasunął opończę na głowę, wyciągnął się wygodniej i sam nie wiedział, kiedy usnął.

Przebudziły go głosy. Był już zupełny brzask; owi dwaj, w skóry zaszyci, przygotowywali się do odjazdu; młodszy konie siodłał, a starszy rozmawiał z księdzem Ciukwiczem.

Attelmayer szybko ogarnął się, opończę poprawił na sobie, skudłaczone włosy palcami rozczesał i przystąpił bliżej.

— *Laudetur Jesus Christus!* — rzekł do mnicha, na tamtych nie patrząc.

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedzieli wszyscy.

Lecz nieznajomi podejrzliwem okiem spoglądali na wielkiego draba, a starszy ujął mnicha pod ramię i, odprowadziwszy, coś mówił mu do ucha. Mnich uspokajał go:

— Ja za niego ręczę — mówił. — Doprowadzi was bezpiecznie i Jankowskiemu odda, a ten wam przystęp do hetmana ułatwi. Nad wieczorem sam przybędę...

Zwróciwszy się zaś do Attelmayera, wczorajsze polecenia mu powtórzył, dodając:

— Staraj się tak, iżby was po drodze nie spotykano i nie zatrzymano... Manowcami wiedź...

Attelmayer wielką głową chwiał potakująco, ale było widocznem, że bez przekonania. Cała ta sprawa, jakkolwiek ks. Ciukwicz za nią obstawał, nie podobała mu się. Powierzchowność przybyszów, im

bardziej im się przypatrywał, nie wzbudzała w nim ufności, a oglądał się ciągle za ową tajemniczą maźnicą, złoszcząc się w duchu, iż żadnym znanym sobie językiem rozmówić się z nieznajomymi nie mógł i należycie rzeczy zbadać.

Niebawem wszakże pokazało się, że ów młodszy zna kilka polskich wyrazów, Attelmayer zaś nieco po niemiecku umiał; z trudem więc porozumiewać się poczęli.

— Tam... tam... — mówił młodszy przybysz, wymachując rękami... — kodź waspan... kuni... Wagen... Pferd... waspan!...

Attelmayer ramionami dźwigał, a ksiądz Ciukwicz uśmiechnął się i rzekł:

— On chce, iżbyś z nim do stajni szedł wóz wytoczyć...

— Ulrich!... — ozwał się w tej chwili starszy, a gdy tamten nie dosłyszał, powtórzył głośniej:

— Werdum!

Drab roześmiał się w głos.

— A to jest dobre szwabskie nazwisko! — mruknął do mnicha. — Ja nie potrzebuję się pytać: *wer dumm,* wiem bowiem, że to on jest głupi...

— Ale — dodał w myśli — ten głupszy, kto takim wierzy...

I nie mógł pojąć, że mnich, którego za rozumnego miał, ciągle z wielką attencyę z owym starszym rozmawiał. Rozmyślał nad tem i ramionami z niechęcią dźwigał, dopomagając Werdumowi wóz

wytaczać i konia wprzągać. Na wozie były różne tobołki z prowiantami i rzeczami, a także ów materac, na którym wysypiał się starszy podróżny.

— Wygodniś.. przybłęda! — mruczał Attelmayer, a ciągle teraz oglądał się za ową tajemniczą maźnicą o podwójnem dnie. Nie było jej w stajence, ani na wozie i dopiero w ostatnim momencie wyniósł ją z celi Werdum. Drab chciał mu ją wziąć z ręki, ale Werdum nie pozwolił na to, a nawet energicznym ruchem odtrącił Attelmayera i sam począł umocowywać ją z tyłu wozu na silnym łańcuchu.

— Czekaj-no! — szepnął drab — już ja cię potrącę, wraz z twoją przeklętą maźnicą...

Tymczasem ów, skończywszy robotę, zwrócił się do Attelmayera z bardzo uprzejmym uśmiechem i zaczął po niemiecku wypytywać go o drogę. Mówił tak szybko, że drab zaledwie które słowo złapać mógł. Więc rzekł:

— Ba! ba! nie tak galopem! Ja twój szwargot dyabelski rozumiem jeno wtedy, gdy stępo jedziesz; a gdy sam nim mówię, to jest mi tak, jakbym na języku kamień, a w gardle piasek miał... Nicht galopp... nicht galopp!

Uśmiechnął się na to ksiądz Ciukwicz i ozwał się do draba:

— Poczekaj, dam ci czem gardło odwilżyć...

I za moment wyniósł ze swej celi spory gą-

siorek miodu, który w tym klasztorku niegdyś sławny bywał.

— Pamiątka z lepszych czasów — rzekł mnich, nalewając czarkę.

Napili się podróżni, łyknął iAttelmayer, a wszyscy poczęli ów miód mocno chwalić. Drabowi zaś oczy zaświeciły się i rzekł:

— Miałem ja już wczoraj ten miód na myśli, bom tutejszego obyczaju świadom, alem upomnieć się nie śmiał. Dzisiaj zaś, gdy z polecenia waszego, ojcze bogobojny, drab lwowski ważną misyę spełnić ma, to na waszem miejscu, jabym temu spragnionemu nieboraczkowi drugą i trzecią czarkę dał, a nawet może i gąsiorek cały, ową pamiątkę na pamiątkę ofiarował... Niechby miał!

Ksiądz Ciukwicz zmarszczył się surowo, ale zanim słowo wyrzekł, już Werdum wstawiać się począł za drabem i prosić o drugą czarkę miodu dla niego.

Tedy mnich udobruchał się i, nalawszy z pełna, podał czarkę Attelmayerowi, mówiąc:

— Pomnij jeno, coś wczoraj przyrzekł...

Drab wypił, szeroką dłonią usta obtarł, językiem mlasnął i odparł:

— Bez obawy bądźcie, ojcze... Już ja ich nie opuszczę i doprowadzę...

Mnich podniósł oczy i ramiona w górę:

— Tedy jedźcie z Bogiem... *Deus vos benedicat!*

Tymczasem owi dwaj dosiedli koni, Attelmayer zaś szedł naprzód, prowadząc za uzdę konia z wozem i tajemniczą maźnicą.

Wyruszyli. Dzień wstał szary, smutny, zamglony a ciepły; w powietrzu wisiał deszcz. Wydobywszy się z gęstwiny leśnej, Attelmayer, stosownie do poleceń mnicha, chciał prowadzić manowcami, przez pagórki a lasy. Wkrótce jednak przekonał się, że wóz ciasnemi drożynami nie przejdzie i, chcąc nie chcąc, skierować się musiał na gościniec szeroki.

Jechali w milczeniu, zwolna, jakie pół godziny, aż ukazał się w dali ogromny staw, którego wody szare, mętne, stały nieruchomo pod niebem schmurzonem.

Werdum podjechał ku Attelmayerowi i częścią po niemiecku, częścią łamaną polszczyzną, wypytywać go począł.

Drab odpowiadał niechętnie:

— Macie oczy, to patrzcie!... Widzicie... jest staw na rzece Szkle, a nad tym stawem zamczysko hetmańskie... mocne zamczysko, ho, ho opatrzone armatą... Tam łotrzyków przytrzymać można. Silnym wałem jest otoczone... a ot, z tej strony jest też brama na przegrodku, dalej baszta wysoka na rogu, z której już nas pewno widzą... Ale my tam nie pojedziem...

Werdum spojrzał zdziwiony.

— Warum? czemu nie? — spytał.

— Bo nie! — odparł krótko Attelmayer.

— Ale otóż... — dodał po chwili — jedzie już zda się ku nam poczet z zamku...

Rzeczywiście, z owej bramy na przegródku wyjechało na drogę kilku zbrojnych. Jechali zwolna, a rozpoznać ich zrazu dokładnie nie było można, albowiem mgła gęsta rozlazła się po świecie i chwilami wszystko zasłaniała przed okiem.

Ale, jakto często po chmurnym poranku bywa, powiał nagle wiatr silniejszy, odpędził w inną stronę dżdżyste chmury i począł zmiatać mgły. Opadały one z nieba, niby zasłony szare, pozostawiając przejrzystą powłokę, przez którą ukazał się z jednej strony niewielki szmat błękitu. I zwiększał się coraz bardziej, aż wreszcie odsłoniło się niebo i wybłysły jasne promienie na ziemię, po której kłębami wiła się pokonana mgła...

Wówczas Attelmayer i towarzysze jego ujrzeli wyraźnie opodal, naprzeciw siebie, wspaniałego jeźdźca.

Koń pod nim, rosły, biały, nogi przednie podnosił wysoko, jak gdyby tratował owe skłębione mgły, a głową rzucał i parskał, jakby chciał wydrzeć się pędem w dal i z niechęcią ulegał silnej dłoni, która go niewoliła spokojnie iść. Koń był rosły, zdawał się wszakże niknąć wobec jeźdźca, tak wspaniałego, że raz go spostrzegłszy, trudno już było oczu od niego oderwać. Miał on na sobie żupan czarny, a u boku szablę krzywą, błysz-

czącą w słońcu jak ognisty miecz, od dyamentów, którymi rękojeść jej i pochwa sadzone były. Na głowie niewielki kołpak z kitą, a z pod niego wyglądała twarz, dziwnie promieniejąca w tych porannych blaskach. Wypruł się już zupełnie z tej mgły i moment przystanął. Na strzemionach wspiął się i dźwignął swą postać, tocząc wokoło rozjaśnionym wzrokiem, jakby rozradowanym tą pogodą, która po chmurnym ranku nastała. Zwrócił się do towarzyszy, którzy także się zatrzymali i mówił coś do nich głośno, wesoło. Potem nagle dał koniowi ostrogę, a ten wspiął się i pomknął chyżo naprzód.

Owi zaś, którzy z Attelmayerem naprzeciw dążyli, przystanęli w dziwnym lęku czy podziwie. Ta postać, która z mgły wypruła się ku nim taka potężna i wspaniała, taka pogodna i promienna, zdała im się nadzwyczajnem zjawiskiem.

Attelmayer mimowolnie czapkę zdjął, a owi w skóry zaszyci, spoglądali na siebie moment w milczeniu. I naraz wszystkim trzem wyrwał się z piersi szept, pełen zachwytu:

— Hetman!... Sobieski!...

On zaś zrównał się z nimi, a spojrzawszy na twarz starszego, którego ksiądz Ciukwicz *Illustrissime* zwał, żachnął się niecierpliwie. Po pięknej twarzy hetmana przemknęła chmura niezadowolenia.

Uchylił nieco kołpaka, pochylił się z siodła i rzekł zcicha a stanowczo, po francusku:

— Nie spodziewałem się was... teraz nie pora... nie!...

— Muszę mówić koniecznie — ozwał się pospiesznie podróżny — ważne nowiny!... muszę...

— Teraz niepodobna!... — przerwał hetman.

— Koniecznie potrzeba! — nastawał tamten.

— Więc chyba dziś w nocy — rzekł po chwili namysłu Sobieski — ale jutro jedziecie...

I zwracając się do orszaku swego, który tymczasem nadbiegł, zawołał:

— Mości Jankowski! Zabierz tych oto podróżnych i zawiedź ich do myśliwskiego dworku...

A ciszej dodał:

— Staraj się, iżby ciekawe oczy nie podglądały...

Znów uchylił kołpaka i z resztą orszaku rysią podążył dalej; owi zaś podróżni z bardzo rzadkiemi minami pojechali zwolna za Jankowskim do myśliwskiego dworku.

Attelmayer zaś myślał:

— Dobre przeczucie miałem; łotrzyki to są, których pan hetman zgoła oszczędzać nie będzie...

I tak manewrował, iżby się ku Jakowskiemu zbliżyć mógł i jemu o maźnicy owej z podwójnem dnem powiedzieć.

Jakoż, zdoławszy to uczynić, szepnął:

— Mości rotmistrzu, ważne słowo mam rzec:

Jankowski badawczo spojrzał. Nędzna postać draba nie wzbudzała snadź w nim zaufania, brwi bowiem zmarszczył i żachnął się.

— Mów! — rzekł krótko.

Attelmayer wnet odczuł nieufność; kudłatą głową potrząsnął, czapkę dłonią na czoło wcisnął i odparł rezolutnie:

— Jabym się tam w gawędy z waszmością nie wdawał... jeno ksiądz Ciukwicz mi zlecił...

— Ksiądz Ciukwicz! — zawołał Jankowski w zdumieniu, to on was tu śle?...

— I tak i nie — odrzekł drab — tych tu w skóry zaszytych, niby hiszpańskich oficyerów, djabeł pono przysłał... Mnie zaś ksiądz Ciukwicz rozkazał zabrać ich i do was, panie, bezpiecznie przeprowadzić, iżby się z hetmanem widzieć mogli.

I w krótkich słowach opowiedział rzecz całą.

Jankowski zaś słuchał pilnie a chmurzył się coraz bardziej. Snadź mu te nowiny całe przyjemne nie były. Gdy do myśliwskiego dworku dojechali, na dziedzińcu z konia zeskoczył i do Attelmayera rzekł:

— Dobrze, żeś mi to odkrył... Teraz na oku ich miej... ja wnet do hetmana muszę...

Przedtem jednak zbliżył się do owych podróżnych i coś z nimi po niemiecku szwargotać począł, na co oni, bardzo onieśmieleni, półgębkiem odpowiadali.

Poczem ich do dworku wprowadził.

Dworek to był bardzo pospolity. Nizki, pod słomianą strzechą, drewniany, jeno obmurowany

zewnątrz, o wązkich oknach sklepionych, wcale nie zaimponował Attelmayerowi.

Ramionami dźwignął:

— Phi! — mruknął — nie lepsza chałupa od gospody Grety.. jeno obszerniejsza nieco...

Tymczasem na rozkaz Jankowskiego towarzysze jego zbrojni otoczyli strażą wóz z tajemniczą maźnicą, chociaż ów starszy przybysz z widocznem zaniepokojeniem za nią się oglądał.

Attelmayer zaśmiał się w głos.

— Sztywnie się ogląda — mruknął — jak wilk. Ale to już nie pomoże nic... Będziesz tu siedział, gdyby w Dorotce...

I za innymi do sieni wszedł. Sień była bardzo duża i jasna, kamienną wyłożona posadzką. Z niej Jankowski wprowadził przybyłych do przestronej izby, o dwóch oknach, która również jak dworek cały była urządzona po prostu. Ściany bielone, stół i ławy drewniane, na podłodze skóra niedźwiedzia.

— Tu — rzekł Jankowski — spocznijcie waszmościowie. Wnet posiłek z zamku przynieść każę; a skoro hetman powróci posłuchanie u niego wyrobię...

Wyszedł i rzekł do Klatta:

— Miły mój, pilne miej na nich baczenie, iżby nie wychodzili, a nadewszystko, iżby ich tutaj nie widział nikt i w gawędy z nimi się nie wdawał.

Spieszącemu do zamku zaszedł drogę Attelmayer.

— Radziłbym Waszej Miłości — ozwał się — ową maźnicę w dobre przechowanie wziąć... bo to z takimi hiszpańskimi oficyerami i o cud nie trudno... Może zniknąć jak sól w ukropie...

Jankowski z ciekawością przypatrywał się drabowi.

— Ktoś ty jest? — spytał.

Attelmayer głową potrząsnął:

— Z łaski Boskiej człowiek, z urodzenia konsularny syn, z psiego losu drab lwowski...

Po chmurnej twarzy rotmistrza przebiegł jakby uśmiech.

— To znaczy nicpoń... — rzekł.

— Tak nieraz mówią, ale to wierutna nieprawda... Długoby gadać o tem.

— Przeprowadź mnie do zamku — rzekł na to Jankowski, którego ta postać bawiła — opowiesz po drodze... W zamku posiłek dostaniesz i nagrodę...

— Ho, ho! — odparł drab — posiłek przyjmę, kielich gorzały zdałby się także, co się zaś tyczy nagrody, to nie... nie wezmę! A z wami, panie, teraz nie pójdę, bo mi tu zostać potrzeba, przy maźnicy owej. Już ja jej dopilnuję... Za całą zaś nagrodę to mi, panie, uczyńcie, iżbym wspaniałego hetmana z blizka oglądać mógł...

— Miłujesz go?

— Miłować nie mogę, bo go nie znam... Ale dziś on mi oczy poraził wspaniałością swą. Ażem

czapkę wziął w garść mimo-chcąc... Jeszczebym go raz ujrzeć chciał...

Jankowski prawie się zaśmiał.

— Dobrze — rzekł łagodnie — dobrze, będziesz go widział... A teraz, gdy taka ochota, maźnicy pilnuj, aż ja powrócę.

I odszedł spiesznie. Attelmayer zaś głowę podniósł i dumnie postąpił ku miejscu, kędy stał wóz z maźnicą z tyłu zawieszoną. Otaczało go kilku zbrojnych. Ale Attelmayer nie zważając na nich, przepchał się aż do samego wozu.

— Z polecenia rotmistrza — rzekł stanowczo do tych, którzy go oddalić chcieli — mam tu stać i nie ruszać się aż do jego powrotu!

Wkrótce też straż jego okazała się skuteczną. Klatt bowiem, nie znając sprawy, rozkazał już był, na życzenie przybyłych, przenieść do izby maźnicę. W czas sprzeciwił się temu Attelmayer, mówiąc, jako on z polecenia rotmistrza ma nad nią straż trzymać. Omal z tego powodu sprzeczka nie wynikła, albowiem Klatt wiary temu dać nie chciał i nie rozumiejąc powodu, o uparte szaleństwo Attelmayera pomawiał; ten wszakże nie ustąpił i szepnął Klattowi do ucha:

— Nie sprzeciwiajcie się, panie, bo nieszczęście gotowe... To cudaczna maźnica jest, która ważne tajemnice skrywa... Więcej nie mogę rzec... gdy rotmistrz przybędzie, wszystko wam wyjawi...

Klatt odstąpić musiał, Attelmayer zaś położył

się na ziemi, obok wozu i, w obu rękach trzymając łańcuchy, którymi maźnica przytwierdzona była, patrzył ze złośliwym uśmiechem w okna izby, w których od czasu do czasu widział zafrasowane oblicza tajemniczych podróżnych.

Tymczasem Jankowski w dolnej komnacie zamku oczekiwał z upragnieniem powrotu hetmana.

Od czasu swego tu przybycia, czuł on się w swoim żywiole: zdawało się, że odżył i odmłodniał. Myśl jego wracała wprawdzie często do Kalksteina i krwawiła mu serce przeczuciem złem, ale widział teraz jasno, że nie jest pora wznawiać tej sprawy, że są bliższe i sroższe niebezpieczeństwa, dla odparcia których wszystkie siły i męstwo poświęcić należy. Pocieszał się też nadzieją, że Elektor nie ośmieli się targnąć na życie indygeny polskiego, że sprawa pójdzie w odwłokę i zakończy się ostatecznie uwolnieniem więźnia. Ufał przyrzeczeniom podkanclerzego, iż sprawy tej nie zaśpi, a energicznemi remonstracyami niewolić będzie Elektora do zadosyćuczynienia sprawiedliwości.

I przemocą odwracał myśl swoją od tej sprawy, pragnąc całkowicie poświęcić się hetmanowi w tej walce, która się zbliżała.

Nieraz w nocy, gdy jego zmordowaną duszą niepokój targać począł i sen spędzał z powiek, snuł się jak cień po wirydarzu zamkowym i szeptał, jakby z Kalksteinem rozmawiał:

— Nie, jam o tobie nie zapomniał... Niech jeno

prawica Boża odwróci od nas hordy dzikie, które nam zalaniem i hańbą grożą, a przybędę ci z pomocą... Teraz sił rozpraszać nie wolno! Teraz walka na śmierć albo życie całego narodu!

Przeczucie tej walki, walki bohaterskiej pod wodzą hetmana, w którym widział zapał prawdziwego chrześcijańskiego rycerza, burzyło mu krew. I w uniesieniu nieraz przypominał wiernej swej drużynie dawną straceńców przysięgę:

— Na głód, na chłód, na trud i na śmierć rycerską bez chwały!

Przybywszy do Jaworowa z pismem od podkanclerzego Olszowskiego i z ustnem poleceniem królowej, znalazł u Sobieskiego uprzejme, lecz zrazu nie zbyt ufne przyjęcie. Ale niebawem zaufanie zdobył. Hetman przypatrywał mu się uważnie i pilnie słów jego słuchał, a bystrem i doświadczonem okiem rozpoznał wkrótce, że to nie jest ani zwykły dworzanin, ani zwykły żołnierz, że ten prosty, o sobie zawsze zapominający człek, ma w swej posępnej, zmiętej twarzy wyraz nieugiętej woli, a w błyskach w głąb zapadniętych oczu wieczysty smutek, który jednak nie stłumił zapału gotowej zawsze do poświęceń duszy. Zdumiewało go też nie mało, iż ten z pozoru niepoczesny rycerzyk miał wytrawne a szerokie pojęcie o sprawach wojskowych i publicznych.

— Skąd waćpan to wszystko wiesz? — zagadnął go raz, wśród rozmowy, gdy Jankowski, po

kilkodniowym w Jaworowie pobycie, chciał pożegnać hetmana i prosił o respons na Olszowskiego pismo, a raz jeszcze przedstawiwszy przykre, prawie nieznośne położenie króla wobec zabiegów stronnictw, nalegać począł, iżby Sobieski jawnem pogodzeniem się z dworem kres położył intrygom.

Na zapytanie hetmana Jankowski nie zaraz dał odpowiedź, a wreszcie rzekł:

— Przypatrywałem się pilnie ludziom i sprawom, a w tem patrzeniu nie zawadzałem sam sobie, to jest nie zawadzały mi żadne własne widoki, lub względy... Dlatego to może wzrok mój, chociaż słaby, mógł dotrzeć głębiej...

— Słusznieś to rzekł! — zawołał Sobieski — tak jeno patrząc, można widzieć dobrze... Ale jeżeli ty taki wzrok masz, toś niebezpieczny człek...

Zaśmiał się i dorzucił:

— Możesz duszę przejrzeć na wylot, gdy się najmniej tego spodziewa...

Po chudej twarzy Jankowskiego przemknął także uśmiech.

— Toż najczęściej teraz — odparł — muszę oczy spuszczać i gryzę się... Jeno tu, przed tobą, Panie, gdy stoję, patrzę wprost i serce mi rośnie...

Hetman rękę na ramieniu mu położył.

— Wygląda to na pochlebstwo — rzekł — a jednak czuję, że mówisz prawdę...

I od tej pory szczególne łaski Jankowskiemu okazywać począł. Wprawdzie co do zgody z dwo-

rem stanowczej odpowiedzi nie dawał, zasłaniając się tem, że Król z Warszawy do Częstochowy i Krakowa wyjechał.

— Bóg raczy wiedzieć po co! — dodał z niechęcią. — Ja tam za nim gonić nie będę... A na zgodę przyjdzie czas, gdy do Warszawy na wesele księcia Dymitra z siostrzenicą moją księżniczką Teofilą Ostrogską, pojadę... Z ciężkiem sercem, na ból i na mękę, ale pojechać muszę...

Tymczasem zaś Jankowskiego od siebie nie puszczał; nieraz do późnej nocy z nim się naradzał i pełen rycerskiego zapału układał plany wojenne.

— Wiesz ty co? — rzekł mu raz znagła. — Ja tak rozumiem, jako służba dworska i owo bieganie z poselstwy, choćby od królowej, nie dla waćpana. Jabym cię rad przy sobie zatrzymał, albo jeśli nie chcesz bezczynnie czekać, zanim ja do obozu będę mógł, to możesz zaraz iść... Ku stronie Kamieńca i Baru zgromadziłem pobliższe chorągwie i regimenty dragońskie, a kasztelanowi czernichowskiemu, Silnickiemu, poruczyłem nad nimi jeneralną komendę. On jednak mało tam ma zdeterminowanych rycerzów. Weź swoich dzielnych kompanów i idź tam!

Jankowskiemu paliły się do tego oczy; zarazem jednak ujrzał przed sobą w tej chwili postać królowej, taką piękną a smutną i błagającą. Odparł więc, że wszelkie rozkazy hetmana spełnić jest

gotów, pierwej jednak pragnąłby uczynić zadość poleceniu królowej, iżby jej od hetmana dobre słowo zanieść mógł.

Ale Sobieski żachnął się niecierpliwie.

— Dobre słowo... dobre słowo... — mruknął. — Bogdajby oni dobrych rad słuchali a byłoby inaczej; niechby oni mieli oczy ku widzeniu otwarte, skąd i jakie niebezpieczeństwa grożą... Ale patrzeć nie chcą!...

Na tem się podówczas ta rozmowa skończyła i rzecz znowu poszła w odwłokę. Jankowski jednak postanowił sobie ciągle do tej sprawy wracać, a nieustannie przypominać hetmanowi konieczność pogodzenia się z Królem. I niebawem miał tę pociechę, iż dojrzał, jako Sobieski w zaciętości swej słabnie. Z coraz większym zapałem mówił o gotujących się zapasach wojennych, a coraz bardziej zajęty układaniem planów obrony, oddalał się tem samem od wszelakich intryg, któremi zawsze głównie kierował prymas Prażmowski.

Jankowski, który był już posiadł całe zaufanie hetmana, z przerażeniem dowiedział się teraz, jako te intrygi rozgałęzione były; w kraju obejmowały najmożniejszych, a sięgały aż do francuskiego tronu, kędy je umocnić starała się piękna małżonka hetmana. Teraz dopiero dojrzał Jankowski, że potrzeba było jednego tylko Sobieskiego słowa, aby doprowadzić do sprzysiężenia w wojsku, detronizacyi Króla Michała i powszechnej burzy we-

wnętrznej, która, wobec grożących niebezpieczeństw wojennych, musiałaby się zakończyć ostatecznym pogromem.

Ale hetman tego słowa nie wyrzekł. Unosił się czasem i groził, a wówczas Jankowski zrazu ostrożnie i ze spokojem, potem zaś z coraz większym zapałem, który miał siłę przekonywającą, bo z duszy płynął, mówić poczynał, przedstawiając wszystkie klęski, któreby z przedsięwzięć takich na kraj spadły. Tylko jeden hetman mógł je oddalić siłą swego oręża, poświęceniem swej szlachetnej duszy.

Sobieski milknął i słuchał. Wszystkie argumenta, jakie Jankowski przytaczał, powtarzało mu nieraz sumienie własne; słowa jego zdawały mu się głosem tego sumienia, więc dlatego milknął i słuchał. A raz mu rzekł:

— Jabym powinien waćpana natychmiast oddalić, bo waść myśli mi burzysz i osłabiasz zamiary...

Ale go trzymał i Jankowski z radością widział, że stosunki Sobieskiego z prymasem i stronnictwem francuskiem były coraz rzadsze, a na pisma ajentów księcia Longuevilla hetman nawet responsu nie dawał. Układał on teraz plan całej kampanii wojennej przeciw kozakom i tatarom z jednej, a Turcyi z drugiej strony.

— Na *consilium bellicum* — mówił — które niebawem odbyć się ma, przedstawię ten plan Kró-

lowi, a jeśli go zatwierdzi, to, jak mi Bóg miły, wszelakich uraz zapomnę!...

Jankowski był tak z tego usposobienia hetmana szczęśliwy, że wnet do podkanclerzego pismo obszerne wyprawił z doniesieniem, iż wszystko idzie jaknajlepiej i że pogodzenie się Sobieskiego z dworem jest blizkie.

Tembardziej zatem przeraził się, gdy w owych obcych przybyszach, których Attelmayer przyprowadził, domyślił się wysłanników francuskiego do polskiej korony kandydata. I z wielkim niepokojem oczekiwał w dolnej komnacie zamkowej powrotu hetmana.

Nie długo czekał, Sobieski bowiem, snadź sam zaniepokojony, niebawem powrócił i wszedł do komnaty. Twarz miał chmurną. Nie mówiąc nic, rzucił kołpak na stół i wielkimi, ciężkimi krokami przechadzać się począł.

Komnata była przestronna, zapełniona niemal cała różnoraką zbroją. Na środku stał wielki stół drewniany, misternie rzeźbiony, takież ławy i krzesła. Przez duże okna gdańskie wpadały do wnętrza, przedzierając się przez gałęzie drzew ogrodowych, wesołe promienie wiosennego słońca i lśniły migotliwie na owych zbrojach, na gdańskiej polerowanej posadzce i na złocistych sztukach, któremi piękne podwoje komnaty były wysadzane.

Sobieski wciąż chodził w milczeniu. Czasami przystawał i z gniewem nogą o posadzkę bił,

a wreszcie zatrzymał się przed Jankowskim, i nie patrząc się na niego, spytał:

— Polecenie wykonane?

— Wykonane...

— Są w dworku?

— Są...

— Nikt ich nie widział?

— Nikt...

Hetman znowu chodził. A wreszcie, jakby sam do siebie, mówić począł:

— To wszystko ten prymas! I po co on mi ich nasyła? Ja teraz nie mogę... nie powinienem...

Usiadł ciężko na ławie.

— Na mnie odpowiedzialność cała — ciągnął dalej — na mnie! Oni wzbudzają różne siły a chcą, iżbym ja je później uśmierzył... Kto zaś może mieć pewność, iż uśmierzyć potrafi? A co potem rzeką? co potomność powie? Hetman spiski knuł, zamiast granic bronić! hetman zdrajca!

Jakowski zbliżył się i niemal do kolan mu się pokłonił:

— Niechże Wasza Miłość — rzekł głosem ze wzruszenia drżącym — niechże Wasza Miłość odepchnie od siebie raz jeszcze to pokuszenie złe... Oddalić ich stąd trzeba!

Sobieski głowę podniósł i tak na Jankowskiego spojrzał, jakby po raz pierwszy zauważył jego obecność...

Niecierpliwie ramionami dźwignął.

— Waść ciągle swoje! Oddalić?... żali mogę? Waćpan powtarzasz: Dwór zgody ze mną chce! A ja wiem, że to nieprawda... tam zawziętość ku mnie coraz większa...

Porwał się i w wielkiem wzburzeniu chodzić znów począł po komnacie. Oczy siały iskry, twarz nabiegła krwią.

Po chwili mówił dalej, rzucając z podełba na Jankowskiego spojrzenia:

— Waćpan gotóweś zaraz rzec, że ja o sobie jeno myślę... Tak mówią i kłamią! Cała Polska tego pełna... A ja z poświęceniem ostatnich sił służę dobru publicznemu!... A co oni, co Król czyni?

Zatrzymał się przed Jankowskim i, patrząc sztywnie w ponurą twarz jego, ciągnął głosem urywanym a z mocą:

— Przedstawiałem temu Królowi, jako kamieniecka forteca, główny zaszczyt całego tutejszego kraju, nie jest *capax* do obrony. I cóż z tego? Oni tam jeno garnizon bez odsieczy, *nudum praesidium* zostawiają! A czy Król jegomość wiedzieć chce, jak wielkie *praeparamenta bellica* czyni Porta? Na inkursye Doroszeńki z Tatarami patrzy obojętnem okiem i miasto wojska przyczyniać, umniejsza je i jeno wici na pospolite ruszenie wydaje, jakby wszystka nadzieja w zmordowanych pospolitakach była! A wiesz waćpan, po co to wszystko?

Jankowski milczał, czekając aż burza przeminie, Sobieski zaś zawołał z wielką goryczą:

— Nie dlaczego innego to czynią, jeno dla pognębienia hetmana, dla umniejszenia jego władzy! A przecież waćpan, jako zbliżony do spraw dworskich, wiedzieć musisz, iż szerzono przeciw mnie paszkwilusy różne, a rymopis pewien orzekł, jako »nie będzie w Polsce zgoda, aż obwieszą hetmana«, i że nawet hiszpańskim proszkiem dyamentowym zgładzić mnie chciano! Żem ja wojsku był miły, to podbuntowano przeciw mnie szlachtę... Wszak waćpan wiesz, jako sejmik sieradzkiego województwa taką swoim posłom instrukcyę wydał, iżby żądali, abym ja, folgując niby zdrowiu swemu, buławę położył... Taka to jest moja nagroda!...

Ostatnie słowa wyrzekł głosem stłumionym, w którym drżało głębokie wzruszenie. Usiadł teraz przy stole i twarz ukrył w dłonie.

Milczenie zaległo. Słychać było jeno głęboki oddech hetmana.

Jankowski, którego te skargi poruszyły do głębi, podbiegł i oburącz za kolana go uchwycił:

— Panie mój miłościwy! — zawołał. — Słuszne są żale wasze, ale pozwólcie słowo rzec... Jeżeli nieprzyjaciół waszych namnożyło się siła, to jedynie przez te poselstwa i intrygi francuskie...

Sobieski odjął ręce od twarzy.

— O, wiem ja — przerwał z goryczą — że ci, co są źli na mnie, są źli i na Francuzów... Wiem

ja, że wspólnych wrogów mamy, ja się jednak o to bynajmniej nie skarżę na Francyę... I kto wie, co lepiej...

Urwał i spojrzał przed siebie, wdal, posępnym wzrokiem.

— Nieprzyjazne takie — dorzucił po chwili — to są czasów konjunktury, które się łacno odmieniają..

Ale teraz Jankowski głos zabrał. Wzruszony do głębi, czując niebezpieczeństwo chwili, postanowił nie oglądać się na nic i wypowiedzieć wszystko, co mu na duszy ciężyło. Wszak nietylko ta jest odwaga, która się na polu bitwy okazuje; ale częstokroć większe jest męstwo w wypowiedzeniu prawdy w stanowczym momencie, zwłaszcza gdy ją wypowiada nic nieznaczący człek wobec potężnego hetmana. W duchu rzekł więc sobie tak: »Do stracenia nie mam nic. Rozgniewa się hetman i każe iść precz, to pójdę... Lecz obowiązek spełnię!...«

Począł tedy mówić, zrazu zwolna, z attencyą wielką, przedstawiając, iż teraz jest taki czas, w którym należy wszelakich uraz zapomnieć, a jeno o obronie pamiętać... Na hetmana oglądają się teraz wszyscy, komu jeno dobro publiczne na sercu leży. Jemu Bóg dał miecz ognisty ku odparciu nieprzyjaciół Krzyża; miecza tego, niechże nie wytrąca z ręku zawiść lub prywata. Cóżby się teraz z Rzecząpospolitą stało, gdyby wobec niebezpie-

czeństw srogich, nastały wewnątrz detronizacyi i bezkrólewia zamieszki? Wszak na to tylko, krom Turków, Tatarów i Kozaków, czyha zawsze czujny kurfirst brandenburski, który pogwałciwszy wszelkie zobowiązania i traktaty, a nawet przez porwanie Kalksteina, prawo narodów, teraz z Doroszeńką się porozumiewa, a już wiadomo, że zbuntowany hetman zaporoski tron polski Elektorowi ofiarować się poważa!

Z coraz większym zapałem mówił Jankowski, a hetman z coraz większem zajęciem go słuchał, nie przerywając. Gdy rotmistrz w uniesieniu użył czasem śmielszego słowa, które wobec hetmana nie było właściwem, po ustach Sobieskiego przebiegał dobrotliwy uśmiech.

— Zuchwały jest szlachcic! — myślał. — Ale to jego zuchwalstwo czyste jak kryształ...

Częściej jednak zdawało mu się, że to co Jankowski mówi, on nieraz słyszał w głębi własnej duszy. I dziwnie przejmowała go ta mowa.

— Głos sumienia... — pytał — głos sumienia?...

Ale oto rotmistrz znowu do kolan mu się rzucił i wołał nieledwie z płaczem:

— Zagrożona ojczyzna wyciąga ku tobie dłonie. Panie! wyrzuć z duszy myśli skryte, odepchnij tych, którzy twej siły ku złym celom użyć chcą, a podnieś miecz zwycięski, który ci dał Bóg, iżbyś nieprzyjacioły tej ziemi i wiary świętej pogromił...

Tchu mu w piersiach zabrakło; mówić dłużej nie mógł, jeno dyszał ciężko.

Sobieski powstał żywo i z ziemi go podniósł.

— Wstań, rotmistrzu — rzekł łagodnie — śmiała jest twoja mowa i taką nikt jeszcze do hetmana nie przemawiał, ale wiem, że z najlepszych intencyi wypływa. Poruszyłeś mi waść duszę do głębi... więc twoje słowa pod rozwagę wezmę... To już zaraz wiedz waćpan, że ja do żadnych teraz knowań, choćby godziwy i dobry cel miały, ręki nie przyłożę, dopóki nieprzyjaciel zagrażać będzie granicom tej Rzeczypospolitej... To wiedz, iżby twoja gorąca dusza uspokojenie znalazła...

Jankowski słuchał z pół otwartemi usty, jakby pił słowa hetmana. Na chudą twarz jego wybiegły lekkie rumieńce; oczy pałały...

— Dzięki Ci, Boże! — szeptał — dzięki!

A gdy Sobieski mówić skończył, pochylił się ku jego prawicy, chcąc ją ucałować.

Ale hetman nie dozwolił na to. Panował nad sobą, iżby nie okazać wzruszenia. Rzekł więc krótko:

— Teraz idź, rotmistrzu; a zarządź, iżby tym przybyłym na niczem nie zbywało...

— Odprawić ich potem?... — spytał Jankowski, wyiskrzonem spojrzeniem przenikając hetmana, jakby wywołać chciał odpowiedź twierdzącą.

Sobieski oczy utkwił w ziemię; zapytanie nie

było mu miłe. Przez moment milczał a wreszcie odparł:

— Niewczas to wszystko, niewczas! — Ale widzieć ich muszę... Mają pewno od prymasa listy, a może i...

Chciał powiedzieć: »z Francyi, od księcia Longueville«, ale nie dokończył. Przeszedł się parę razy po komnacie i po chwili dodał, na rotmistrza nie patrząc:

— Powiedz im tak: Zobaczę się z nimi, lecz dopiero w nocy... Przyjdę sam do dworku. A ty tak się postaraj, iżby o tem nie wiedział nikt. Na krok niech nie wychodzą... Ja przyjdę!

Nie zbyt z takiej odpowiedzi rad, bo w niej wahanie widział, Jankowski podążył do dworku, gdzie wszystko w porządku zastał i Attelmayera, trzymającego straż przy maźnicy.

Poszedł natychmiast do izby, kędy owi dziwni posłowie przebywali i oznajmił im wolę hetmana, jako dopiero w nocy sam tu przybędzie, na co starszy mocno się zaraz ofuknął i zawołał:

— Nie spodziewałem się takiego przyjęcia! Przecież panu hetmanowi wiadomo, kto jestem i że z ważnem przychodzę poselstwem...

Jankowski za ramię go pochwycił:

— Ciszej! — szepnął — ciszej! nikt tu bowiem wiedzieć nie powinien, jakie to poselstwo... Inaczej byłbym zmuszony was stąd do Lwowa odesłać, a tam radźcie sobie, jak potraficie...

I wyszedł, drzwi zatrzaskując za sobą.

Na dziedzińcu Attelmayer, dokoła otoczony, stał przy wozie i opowiadał, jak zwykle, swoje bohaterskie ze Szwedami walki. Jedni się śmieli, inni niedowierzającemi obrzucali go pytaniami, a on tem jeszcze bardziej poduszczony, coraz większe wymyślał dziwy.

Zoczywszy wszakże Jankowskiego, wnet umilkł i zbliżając się do niego, szepnął:

— A co, panie, hetman?

Widząc zaś, jako Jankowski zdumiony patrzy i nie pamięta, dodał:

— Przecież obiecaliście, rotmistrzu... Ja chcę go widzieć zblizka...

— A, prawda... — ozwał się z uśmiechem rotmistrz — miej cierpliwość... może jutro...

— Ho, ho! — przerwał drab mocno niezadowolony — jutro nie pewne... dziś jest moje... Chciałbym też wiedzieć, co z tymi hiszpańskimi oficyerami uczynić mam. Jam ich tu przywiódł i oni do mnie należą, a radbym ich do Lwowa do Dorotki zaprosił...

Ale wnet inni nadbiegli, Klatt zaś i Stencel ze śmiechem poczęli rotmistrzowi opowiadać, jako ich Attelmayer serdecznie ubawił, dziwy wygadując.

Na to obruszył się drab:

— Żałuję — rzekł — żem waćpanom szczerą opowiadał prawdę, którą pan Czarniecki i inni nie-

boszczykowie, a niektórzy i żywi potwierdzićby mogli.. Żałuję, bom zapomniał, że z niektórymi ludźmi gadać, to jak z kobyłą pacierz mówić...

Odszedł do wozu, bardzo zachmurzony, oparł się na nim jednem ramieniem i gwizdać począł.

Jankowski zaś rzekł:

— Nie dokuczajcie mu, mości panowie. To jakiś dziwny jest człek, ale zda mi się zacny i determinacyi niezwykłej...

— A ktoby mu tam dokuczał! — odparł Klatt — to jest łgarz krotofilny bardzo, któryby się i w obozie przydał ku rozweseleniu... Na zgodę trzeba mu gorzały dać, którą lubi...

Jakoż niebawem Attelmayera znowu otoczono kołem, a on, wypiwszy jedną i drugą czarkę, całkowicie udobruchany, śmiał się i mówił:

— Dobre z was, mości panowie, chłopy, ja zawsze wolę najgłupszego szlachcica, od nadętego konsularnego męża. A gdyby który z was mniemał, że to niewiele jest, to niech ze mną, jeśli łaska, idzie do Lwowa, a ja mu pokażę, jakie to barany...

I tak prawił im różne krotofile, aż do czasu, gdy nad wieczorem przybył ksiądz Ciukwicz. Ujrzawszy go drab zaraz umilkł i sposępniał, bo ten surowy mnich zawsze go lękiem przejmował.

— Będzie wnet łajał — mruknął — iżem gorzałę pił...

Ale ksiądz nie zwrócił nawet na niego uwagi.

Pogadał nieco z Jankowskim i zaraz we dwóch podążyli szybko do zamku.

Mnich ważne przynosił nowiny. Używany przez hetmana do układów z Doroszeńkiem, miał on tam przy nim i w okolicy swoich ludzi, którzy na wszystko mieli baczenie i ważniejsze przynosili wieści. Wyprawiwszy tajemniczych posłów z Attelmayerem do hetmana, udał się tedy ksiądz Ciukwicz niezwłocznie do Lwowa, aby tam zasięgnąć języka i przekonać się, coby owym posłom odpowiedzieć należało. Wiedział on bowiem dokładnie, kto oni są i z czem przybywają. Starszego poznał jeszcze roku zeszłego we Lwowie, kędy ów poseł przybył, iżby się widzieć z Sobieskim, i skłonić go do zawiązania konfederacyi wojskowej dla złożenia z tronu króla Michała i wyniesienia księcia de Longueville. Ciągnęły się wtedy długie narady, na których był obecny, jako zaufany hetmana, ksiądz Ciukwicz. Uchwalono, że konfederacya stanie w pierwszych dniach listopada, jakkolwiek takiemu zamachowi sprzeciwiali się mocno wojewoda ruski Jabłonowski, pułkownik Polanowski i inni. Możeby jednak konfederacya owa była podówczas przyszła do skutku, gdyby nie to, że Korybut wczesną o tem powziął wiadomość, a Ludwik XIV pospieszył wyprzeć się wszelkiego udziału w intrygach swoich ajentów. To wystąpienie francuskiego króla powstrzymało działanie malkontentów, popierających kandydaturę ks. Longueville i zaha-

mowało spisek. Nadomiar król Michał, zawiadomiony, że jacyś posłowie francuscy snują się po kraju, rozesłał za nimi pogoń, a ksiądz Ciukwicz musiał podówczas wśród ruin swego klasztorku przez dni kilka ich ukrywać, zanim zdołali bocznemi drogami, w przebraniu umknąć dalej i przedostać się wreszcie do Łowicza, pod opiekę prymasa.

Wiedział zatem mnich, że ów starszy zowie się nie Beauval, lecz Jan de Courthonne, abbé de Paulmiers et Harchagrats, i jest zaufanym ajentem francuskiego rządu; drugi zaś, towarzysz jego i dworzanin, którego on sobie w podróży wynalazł, człek na uniwersytetach niemieckich uczony, a szukający po świecie fortuny, nazywa się Ulryk Werdum, pochodzi zaś ze szlacheckiego rodu ze wschodniej Fryzyi. Wiedział też ks. Ciukwicz, że gdy owe pierwsze rokowania się rozbiły, hetman wycofać się usiłował, zawiązanie konfederacyi odwlekał, a gdy nań naciskano, odpowiadał, że należy czekać z tem na rezultat komisyi radomskiej, przed którą armia wytoczyła różne skargi i exorbitancye.

— Nie otrzyma satysfakcyi, to pewna — mówił hetman — a wówczas tem łatwiej doprowadzić się da do związku... Czekajmy!

Ta rada i odwłoka nie poszła snadź w smak ani malkontentom w kraju, ani księciu de Longueville, bo oto opat Paulmiers, ponownie wysłany,

po naradzie z prymasem, znowu przybywał, aby kusić i naglić hetmana.

Wybadawszy ich takowe zamiary, ksiądz Ciukwicz, mocno zaniepokojony, przybył do Lwowa, a tu odrazu powziął niefortunne wieści. Nadbiegli z pod Baru zaufani ludzie opowiadali straszliwe rzeczy: Serdeniata Doroszeńki palą wsie koło Międzyboża i Baru; cały kraj tamtejszy w ogniu i buncie... Doroszeńko zawarł traktat z hetmanem zadnieprskim, Mnohohreszuym, i pokoju z Rzeczpospolitą mieć nie chce. Przerażony mnich pobiegł do władyki lwowskiego, Szumlańskiego, który był niedawno z niewoli od Doroszeńki powrócił, ale i władyka to samo mu potwierdził, dodając nadto, jako Wysocki, poseł do Turek, doniósł, iż tam natarczywie żądają wydania Kamieńca, a ze Stambułu poszły już do hana krymskiego emiry, czyli rozkazania, aby na Ukrainę wkroczył, hanowi zaś owemu przybyło wojska sto tysięcy nohajców.

Zgoła straszliwe były wieści, a na pożegnanie władyka i to jeszcze księdzu Ciukwiczowi dorzucił, jako przyszły od pewnego jeńca z Białogrodu doniesienia, że Turcy z pewnością na wiosnę na wojnę idą, pod wodzą bardzo dzielnego i odważnego Mustafy-baszy.

Ledwie tedy żyw dojeżdżał mnich do Jaworowa, a jakkolwiek dotychczas skłaniał się był, za namową Sobieskiego, ku francuskiemu stronnictwu i na niedołężne rządy Korybuta wyrzekał, toć

wszakże, usłyszawszy to wszystko, podobnie jak Jankowski zatrwożył się owem nowem poselstwem z Francyi.

— Teraz nie czas! nie czas! — powtarzał sobie jadąc. — Teraz skupić nam siły wszystkie ku obronie, a o innych sprawach zapomnieć...

I wyrzucał sobie, iż owego opata Paulmiers nie zatrzymał u siebie a do Jaworowa puścił.

Lepiej już było — myślał — za poradą Attelmayera do Lwowa ich słać; niechby tam z nimi konsulowie sprawę przez jakiś czas czynili...

Uradował się też niemało, gdy do Jaworowa przybywszy, z ust Jankowskiego się dowiedział, jako hetmanowi nie było zbyt spieszno do owego posła i że dopiero w nocy widzieć się z nimi miał.

Nie zwłócząc też, obaj do Sobieskiego poszli.

Hetman z wielką rewerencyą powitał mnicha.

— Witajcie, ojcze! — rzekł — Bóg was tu zesłał na moją pociechę. Potrzeba mi było waszego słowa...

Ale ksiądz był bardzo chmurny.

— Łaski Bożej, nie słowa ludzkiego nam dziś potrzeba — odparł — wielkiej, szczególnej łaski, iżbyśmy pokuszenia złe tem snadniej odepchnąć mogli...

Sobieski się żachnął.

— Jakie pokuszenia? — zagadnął.

Tedy mnich mówić począł. Opowiedział to

wszystko, co od lwowskiego władyki i od innych we Lwowie słyszał. A głos mu drżał, i stał się dziwnie przenikającym, gdy skończywszy opowieść, zawołał:

— W twoich ręku, mości hetmanie, jest teraz wszystko: świetność albo pohańbienie tej Rzeczypospolitej! Pan na niebiesiech dał ci wielką moc na ziemi, iżbyś bronił jej od nieprzyjaciół Krzyża... Biada tobie i nam wszystkim, jeżeli tę moc ku innym zwrócić zechcesz celom. Nie o to teraz idzie, kto nad nami panować ma: Korybut, czy Francuz, lecz o to, aby nie panował nad nami półksiężyc fałszywego proroka, abyśmy pohańbieni nie byli i w wierze świętej naszej i w wolności, abyśmy dźwigać nie musieli sromotnego kaftana poddaństwa!

Z wielkim ferworem mówił ksiądz. Stanął przed Sobieskim i wysoką prostował postać, która zdawała się tracić swą rubaszną prostotę, a stawała się wspaniałą, jakby natchnioną.

Tymczasem słońce zgasło i mrok zapadał. W komnacie, której okna ocienione były drzewami, było już niemal zupełnie ciemno. Jankowskiemu wszakże zdawało się, iż dostrzega, jako oblicze hetmana, pod wpływem gorących słów mnicha, mieniło się dziwnie.

Sobieski siedział na ławie przy stole. Oparł głowę na ręku i patrzył w dal.

Wreszcie ramionami dźwignął i, gdy mnich umikł na chwilę, rzekł:

— Życie za wiarę świętą położyć jam gotów... Każdy poczciwy umrzeć za nią mieć sobie winien za największe szczęście...

Mówił to głosem głębokim, z przekonania, ale bez zapału. Coś mu na duszy ciężyło, co gnębiło zapał rycerski...

Wstał, przeszedł się po komnacie, a zatrzymując się przed Ciukwiczem, dodał:

— Ale wy wiecie, ojcze, wiecie wszystko! Nie dość jest wzywać do krucyaty, nie dość na nią z zapałem polecieć, trzeba módz zwyciężyć.

— Bóg da zwycięstwo! — przerwał mnich.

Sobieski w piersi się uderzył.

— W Boga ja wierzę! — odparł — ale Go wyzywać nie śmiem... Oni, to jest Król i jego doradcy, chcieliby snadnie, iżby Bóg za nich wojował, a oniby siedzieli doma, nie dbając o żołnierzy. Oni po prostu nie wierzą, że wojna na karku. Sejm uchwalił podwojenie wojska, a gdzie jest owa aukcya? Sejmiki relacyjne nie zatwierdziły tej uchwały! A czyja to, ojcze robota? Czyja to robota, że trybunał radomski umniejszył regimenty, że oberszterowie nie wzięli pieniędzy, więc i żołnierza bez lenungu do obozu prowadzić nie mogli? A wiesz ty, ojcze, co się na Litwie dzieje? Pacowie tam wszystko czynią, iżbym ja, hetman, bez pomocy ostał! Oniby mnie radzi na jatki wydać...

Oni nawet z nienawistnymi sobie dotychczas Sapiehami sojusz zawarli, iżby szlachtę buntować. Toż wici królewskie żadnego tam nie odnoszą skutku!

Hetman mówił z wielkiem wzburzeniem; to chodził szybko, ciężkimi krokami, to znów przystawał; prawicą zaś to wąsa targał, to żupan szarpał na piersi. Głos mu drżał, a był podniesiony, gniewny...

Jankowski, korzystając z przerwy, wtrącił:

— Na Litwie mam ja licznych wśród szlachty przyjaciół... Jeżeli Wasza Miłość dozwoli, tam z moimi kompanami teraz podążę, a może mi się uda zmienić...

Hetman niecierpliwie ręką machnął:

— Przeciw Pacom nie dokażesz tam nic...

W dłonie klasnął i do wchodzącego pokojowca:

— Dajcie światła! — rzekł.

Za moment wniesiono kilkoramienne świeczniki złote, a przy blasku świec woskowych ujrzeli ksiądz Ciukwicz i Jankowski, jako twarz hetmana była jak gdyby w ogniu, czerwona, oczy zaś krwią nabiegłe.

Teraz znów mnich począł mówić. Słowa jego płynęły spokojniej, zdawało się, iż żal, gorycz czy smutek ciężki pognębia pierwotny zapał. Głos mu drżał, przygłuszony, jak gdyby z wielkiej głębi pochodził. Stał przy stole, naprzeciw hetmana, nie patrząc na niego, jeno oczy i twarz do góry wzniósł

i mówił długo, nie wiodąc już sporu, nie usiłując przekonać, lecz modląc się raczej Bogu, i żaląc się, jako dopuścił, iż stało się wielkie spustoszenie w umysłach i sercach ludzkich.

— Nie Turek i nie Tatar pokona nas — wołał — jeno my sami siebie zgnębimy! A gdy prywata, złość, zawiść wszystkie łaski Boże z tej ziemi wyplenią, przyjdzie naówczas i pochłonie nas wróg! Przyjdzie jako karzący miecz sprawiedliwości!... A my wówczas jedni na drugich winę zwalać poczniemy, albo w niepokonanej pysze będziemy się nad sobą żalili, mówiąc: byliśmy mądrzy i silni i dzielni, ale prawica Boża zgniotła nas!... Zmartwiałe sumienie niegdy wielkiego narodu nie słyszy już Bożego głosu, który woła wciąż jeszcze: ocknijcie się i wstańcie! bo oto za moment zbudzi was grom, który was w proch zetrze wraz z waszą pychą i prywatą i sobkostwem. Nie mieliście miłości, odwrócą się od was oblicza tych, którzy was miłowali, nie mieliście pokory, tedy pycha panować będzie nad wami, zapomnieliście modlitwy, tedy zmilknie ona w przybytkach Bożych, które rozpadną się w gruzy! I stanie się nad wami takie milczenie, jakie panowało wśród odmętów wód i wśród ciemności w przeddzień stworzenia!...

— Ojcze — wyszeptał hetman — nie mówcie tak, nie mówcie!...

Ale też i ksiądz Ciukwicz dłużej mówić nie

mógł. Przy ostatnich słowach głos mu zaszedł łzami, pierś głuche poruszyło łkanie i wyczerpany, na ławę padł, kryjąc twarz w dłonie.

Jankowski rzucił się ku niemu, a zaś hetman, nie mówiąc nic, powstał i zbliżył się do okna.

Noc była pogodna, cicha. Przez gałęzie drzew szedł lekki wietrzyk, jakby pieścił zaledwo rozwijające się liście, a z góry padał na nie łagodny, błękitnawy blask, który je przenikał, prześwietlał i padał drżący, blady na świeżą murawę.

Hetman byłby wolał, aby w koło niego taka sama szalała burza, jaka w nim wrzała. Ten spokój i ta cisza, rozlane w okół, pozwalały myślom gryzącym napełniać głowę, która pałała. Nic nie odwracało uwagi, nic nie płoszyło trosk.

Wyraźniej niż kiedykolwiek stanęła mu przed oczyma postać tej, którą miłował nad życie, dla której gotów poświęcić był wszystko, a która była zdolna jednem swem słowem, jednym uśmiechem usunąć wahanie z duszy, natchnąć do bohaterskiego czynu. Ale właśnie tej jedynej, najukochańszej a cudnej Marysieńki zabrakło hetmanowi. I gdy w kraju języki złe rozpuszczały coraz więcej ubliżających mu wieści, pomawiając go, że pieniądze hybernowe na swoją korzyść obraca, to znów, iż francuskie pieniądze między wojsko rozrzuca, aby je przeciw Królowi buntować, ukochana żona jego nietylko nie koiła owych zmartwień, ale długim pobytem swoim we Francyi podniecała

potwarze, a nadto w swych listach drażniła miłość i dumę hetmana, usiłując go skłonić do czynów, przeciw którym powstawało jego sumienie.

I teraz właśnie niedawno zagroziła mu, że nie wróci wcale, że się go wyrzeknie; przeraziwszy go zaś tą groźbą, usiłowała w następnym liście przedstawić, jako on jest tylko z tytułu hetman, że on żadnej władzy nie ma, a kto inny za niego bierze wielkość i sławę. Mówiła to zaś jedynie dlatego, aby wnet dodać, iż należy porzucić kraj niewdzięczny, zabezpieczyć się tak, jak zabezpieczył się Morstin, który już francuskie poddaństwo uzyskał. A gdy Sobieski na to się oburzał i wobec niebezpieczeństw kraju porzucać nie chciał, natenczas przyszło stanowcze pismo, jawnie już poduszczające hetmana do pochwycenia władzy królewskiej w swe ręce. Rzecz przedstawiała jasno: albo porzucenie kraju i szukanie znaczenia na francuskim dworze, albo zdobycie polskiego tronu, chociażby podstępem i zdradą. Takim tylko kosztem mógł Sobieski pozyskać miłość i łaski tej niewiasty, do której wyrywała się jego cała dusza i gorzała krew.

A tu przychodzili znów inni: szeptał głos sumienia przez Jankowskiego usta, wołał ksiądz Ciukwicz w Bożem imieniu: Ty jeden ocalić możesz! Ocknij się i weź zwycięski miecz, któremu będzie błogosławić Bóg!

Równocześnie jeszcze inne krępowały go więzy

i wołali inni ludzie, z którymi się sprzągł: to Prażmowski prymas, to Morstin, to ów opat Paulmiers, który przychodził z wezwaniem do spełnienia przyrzeczeń, złożonych księciu de Longueville...

Dusza hetmana szarpała się w tej rozterce. Przyłożył rozpalone czoło do okna i szepnął z goryczą:

— Nieszczęśliwszego człowieka, któryby takie rzeczy na sobie znosił, kto pokaże? Niechęć Króla, nienawiść podburzonej szlachty i jawną niemiłość tej, którą kochałem milion razy więcej, niż siebie!... Nie! nie! — dodał po chwili w myśli — ja nie mogę zerwać z przyjacioły, nie mogę tych posłów odprawić z niczem i tak bezbronny oddać się na łaskę i niełaskę Korybuta... Nie!

Odszedł od okna i zwracając się do Jankowskiego:

— Mój rotmistrzu! — rzekł — przygotuj wszystko w dworku, ja bowiem za moment tam przybędę... Uprzedź posła... niech czeka... Chciałbym jednak tak, iżby prócz zaufanych nie widział mnie nikt...

Zimny dreszcz przeszedł Jankowskiego od stóp do głowy. Więc i to, co on mówił i co z takim zapałem głosił mnich, to wszystko nadarmo! Hetman nie chciał zerwać ze spiskiem, a to przybycie i żywe słowo francuskiego posła, właśnie w tym momencie najfatalniej wpłynąć mogło na budzący

się zapał wojenny naczelnego wodza. Wszystko stracone! — myślał, wychodząc z zamku zgnębiony.

A i mnich także żywo powstał z miejsca.

— Żegnajcie! — rzekł szorstko — żegnajcie, mości hetmanie... Pomnijcie jednak, iż Bóg zna wszelakie skrytości myśli, a komu dużo dał, od tego i więcej wymagać będzie... Karząca prawica jego i najpotężniejszych dosięga...

Szedł ku drzwiom; Sobieski zatrzymać go chciał.

— Nie odchodźcie, ojcze, nie odchodźcie jeszcze! — przemówił miękko.

Ksiądz Ciukwicz spojrzał na niego bystro. Dostrzegł wahanie i sam się moment zawahał, lecz wnet odparł stanowczo:

— Nie — rzekł — nie ostanę... Są takie chwile, w których najskuteczniej mówi głos sumienia... słowa ludzkie często jeno zadrasnąć mogą. Niech więc sumienie wasze, mości hetmanie, mówi teraz... Ja modlić się będę za was i za ten kraj nieszczęsny!... Bogu was oddaję...

I wyszedł, a hetman został sam, na środku komnaty, jak wryty. Ta cisza, która go ogarnęła, przerażała go. Zostało w niej jakby stłumione echo słów mnicha, surowych, groźnych... Rzucił dokoła okiem, po tych murach, przy których stały wielkie zbroje, całkowite, jakby zastęp martwo śpiących rycerzy. Szedł od nich dziwny chłód

a z pod hełmów zdawały się chwilami błyskać wielkie, czarne, głęboko zapadnięte oczy, wszystkie utkwione sztywnie w niego z jakimś okropnym wyrzutem...

Sobieski dźwignął ramionami i począł ciężko chodzić po komnacie. Tarł ręką czoło, jakby gnębiące myśli rozegnać chciał...

— Co on mówi o intrygach i spiskach, ten mnich? — szepnął. — Zali jest spiskiem dążyć do dobrego, kiedy źle jest, kiedy wszystko rozpada się i w niwecz idzie? Niedołężny Król zagraża publicznemu dobru, zali więc zbrodnią jest usunąć go, zmusić, by koronę złożył?

Wyjął z zanadrza duże pismo, rozłożył je i przystanąwszy przy świeczniku czytać począł.

Był to list małżonki, jeden z ostatnich, który hetman, snadź w obawie, aby komu w oko nie wpadł, zawsze przy sobie nosił. Na widok tego pisma rozjaśniło się na moment jego oblicze, zabłysły oczy, a pierś podniosła się westchnieniem.

— Jedyna, najukochańsza duszy i serca pociecho! — szepnął.

I czytał chciwie.

Był to list, w którym piękna marszałkowa wyrzekając na dwór francuski, iż stanowczej decyzyi powziąć nie chce i przypominając, jako na żądanie przerażonego Korybuta, wyparł się nawet kandydata swego księcia de Longueville i zadał kłam ajentowi swemu w Gdańsku, wyraźnie już

namawiała, iżby hetman nie zrywał wprawdzie stosunków ze stronnictwem francuskiem, tak jednak rzecz kierował, aby zamieszki owe na jego obróciły się korzyść. Wszakże on lepszym mógł być królem niż obcy — książę de Longueville!... I stawała się niezmiernie czuła, zapewniała o swoich dla małżonka gorących affektach, o tęsknocie, o wierności. »Pragnę powrócić — mówiła w końcu — ale jakąż rozkoszą byłby ten powrót, gdybym wraz z hołdem dla małżonka mogła złożyć hołd królowi«.

Były takie chwile, że Sobieski czuł w tych słowach obłudną przesadę i na samą myśl takiego działania wzdrygał się. Ale też czasem, w rozgoryczeniu, mimowoli wracał do tej myśli, a miał nawet dla niej osobną w duszy nazwę... Zwał ją: pokuszeniem rozkosznem, a rozkosznem nie dla tego, iż siebie widział u szczytu, że widział wszystkie zawiści i niechęci pogromione u stóp swych, lecz, że myśl owa, gdyby urzeczywistnioną być mogła, to powrót ukochanej małżonki, to nierozerwalne już odtąd z nią pożycie, to jej zadowolenie i szczęście. I widział ją w królewskich szatach, w tryumfie, promienną...

I teraz w tym momencie dreszcz rozkoszny przeszedł go całego. Przymknął oczy i czuł się w jej objęciu to miękkiem, pieszczotliwem, to znów silnem, namiętnem...

— Królowo moja! — szepnął.

Po chwili schował pismo starannie w zanadrze i znów chodzić począł po komnacie. Oblicze jego, roztkliwione przed chwilą, zasępiało się w miarę jak rozważał. Zwolna układały się myśli, dojrzewał plan działania...

Tak! należało się widzieć z opatem Paulmiers, nie zrażać go, lecz obietnicami na przyszłość uzyskać nową odwłokę... Stanowczego nie poczynać nic, dopóki wypadki same nie przyniosą wyjaśnienia sytuacyi...

— Tak! tak! — powtarzał z mocą i chodził ciężko, że echo jego kroków rozlegało się wśród nocnej ciszy.

Nagle drgnął. Olbrzymi miecz, pamiątka po hetmanie Żółkiewskim, snadź potrącony, osunął się ze ściany i z wielkim brzękiem i szczękiem padł u stóp Sobieskiego, tak, że albo cofnąć się, alboby go przestąpić musiał.

Oblicze hetmana zbladło. Stanął i cofnął się.

Byłżeby to zły omen, fatalna wróżba porażki, może kary i hańby za myśli, które w duszy owo rozkoszne pokuszenie rodziło?

Miecz cecorskiego bohatera padł!

— Wielki Boże! — wyszeptały drżące usta hetmana.

Pochylił się, podniósł miecz, moment patrzył na niego z widocznem rozrzewnieniem, a wreszcie z czcią do ust przycisnął i na dawnem ustawił miejscu.

Usiadł przy stole w zadumie, ale już spokoju odzyskać nie mógł. Spojrzał na zegar. Było już dobrze z północy, tedy porwał się, kołpak na głowę nasadził i żywo wyszedł z komnaty.

— Trzeba z tem skończyć!... — powtarzał, dążąc do myśliwskiego dworku.

Szedł wąską ścieżyną, często przystając i oglądając się, zali go jakie oko obce nie śledzi. Ale była cisza dokoła i pustka. Jankowski z tego przejścia oddalił wszystkich, a jeno zdala rozstawił swoich żołnierzy na czatach. Najtrudniejsza była sprawa z Attelmayerem, który za nic nie chciał odstąpić od wozu i tajemniczej maźnicy.

— Choćbyście tu mieli — wołał — na kawałki mnie rozsiekać, nie odejdę! Samemu hetmanowi do rąk oddam!

I tak się zawziął i tak hałasował, że Jankowski, nie chcąc wrzawy większej wszczynać, kazał wóz do stajenki wtoczyć i upartemu drabowi straż pozostawić musiał, rad wszakże, iż go w ten sposób z drogi, którą hetman przechodzić miał, usunął.

Attelmayer wyciągnął się w stajence na sianie, obok wozu i znużony drzemać począł chociaż sen gniewnem mruczeniem usiłował odpędzić.

Czuł niezadowolenie wielkie.

— Oni coś tu wszyscy knowają — szeptał — hasła jakoweś dawali, rozstawiali czaty, a ksiądz Ciukwicz ostać tu nie chciał i nazad, widocznie chmurny, do pustelni swej odszedł... Po tych roz-

stawionych czatach i po tem, że mnie tu w szopie zamknięto, mniemam, że może sam hetman tych officyerów hiszpańskich w nocy oglądać chce... A czyż takiemu wspaniałemu rycerzowi przystało do takich nicponiów nocą chadzać? Coś w tem jest, ale co?

Nasłuchiwał, lecz prócz szumu drzew i pluskania wody w ogromnym stawie nic słychać nie było. Nagle sen go ogarnął.

Narada hetmana z opatem Paulmiers trwała długo a była burzliwa. Oddalono wszystkich, nawet Werdumowi opat wyjść kazał i odrazu bardzo stanowczo przedstawiać począł, jako nie godziło się dobrze rozpoczętej rzeczy porzucać i odstępować wiernych sprzymierzeńców. Milczenie hetmana, który na listy naglące responsu nie dawał, a zapowiedzianej konfederacyi wojskowej nie przygotowywał, wszystko powstrzymało. Na dworze francuskim panowało przykre zdumienie, iż danych zobowiązań hetman nie dotrzymywał...

Zrazu Sobieski zawarł się w przezornem milczeniu i słuchał cierpliwie, ale na ostatnie słowa wybuchnął:

— To wy mnie nie dotrzymaliście zobowiązań! Wszystko było przygotowane, gdy król wasz, na skargę Korybuta, iż spisek przeciw niemu knowany, popiera, wszystkiego się wyparł, powstrzymał księcia de Longueville, a nawet swego ajenta na dowód uwięzić kazał! Więc my mamy tutaj

narażać się, działać, głową nakładać, a za pierwszym alarmem król francuski za nas się schowa i nas jako zdrajców wyda!...

Paulmiers słuchał spokojnie, pozwolił hetmanowi się wyburzyć. Opasłą jego twarz rozjaśniał czasem uśmiech na poły dobroduszny, na poły szyderski; oczy zaś z podełba rzucały od czasu do czasu przenikliwe na hetmana spojrzenia.

Gdy zaś Sobieski umilkł, poczekał jeszcze moment, a potem ozwał się zwolna:

— Na wszystko mam przeciwne dowody... Tedy ani unosić się, ani sporu z wami wieść nie potrzebuję. Jeżeli wielki nasz król wyparł się niebacznych działań ajenta swego w Gdańsku, Akakii, i jeżeli księcia de Longueville na razie powstrzymał, to inaczej uczynić nie mógł...

— Nie mógł!... — przerwał z goryczą hetman — bo nie chciał, bo się przeląkł reklamacyi cesarskiego i polskiego dworu!

Paulmiers wstał z ławy, na której naprzeciw Sobieskiego siedział i wyprostował się dumnie:

— Ludwik Wielki nie lęka się niczego — odparł.

— Nawet łamać przyrzeczeń... — wtrącił hetman.

Z oczu opata posypały się iskry gniewu. Chciał wybuchnąć; ale się wnet zmiarkował i wargi zbladłe zacisnął. Przeszedł się po izbie, milcząc, a wreszcie zatrzymał się przed hetmanem i rzekł głosem stłumionym:

— Unosicie się, mości hetmanie, a szkoda, bo teraz jest chwila ostatnia, iżby z rozwagą a spokojem i stanowczo postępować. To wam właśnie przedstawia i książę prymas w piśmie, które wam wnet doręczę... To samo pisze wam i Morstin... Okażę wam nadto pisma księcia de Longueville, za wiedzą króla wydane, a nadto list markiza de Lionne, królewskiego ministra. To was chyba przekona, że jeśli ajenta Akakię odwołano, to jedynie dlatego, iż nie umiał tajemnicy dochować i wszystko przed czasem niebacznem swem postępowaniem zdradził... Dworowi zaś polskiemu i cesarskiemu nie można było przecie nic innego rzec, jak tylko, że nikt o detronizacyi króla Michała nie myśli...

— Okażcie owe pisma — rzekł krótko Sobieski.

Tedy opat klasnął w dłonie i wchodzącemu Werdumowi rozkazał przynieść maźnicę.

Ale tu najtrudniejsza sprawa była z Attelmayerem. Obudzony z nienacka, zaspany, nie mogąc rychło zmysłów zebrać, sądził zrazu, jako to jest napad, począł tedy gwałtu krzyczeć, a uczepiwszy się obu rękami maźnicy, nogami wierzgał i odtrącał Werduma.

— Weźcie odemnie — wołał — tego skórzanego dyabła, bo mu tę podłą jego skórę zedrę!... Maźnicy nie odstąpię, bom z rozkazu rotmistrza stróżem jej jest. Jeno hetmanowi ją oddam!

Nadbiegł Jankowski i ten dopiero spokój uczy-

nił, dozwoliwszy drabowi zanieść maźnicę za Werdumem do izby.

Do Klatta zaś rzekł:

— Dziwnie mi się podoba ten drab. Dobrze mu powierzyć straż... Można być pewnym, że póki żyw nie odstąpi!

Klatt zaśmiał się i odparł:

— Głupi, bo głupi, ale ucieszny łgarz.

Lecz Jankowski wziął draba w obronę.

— Nie taki on głupi, a rezolutny i śmiały. On by z nami pewno szedł na głód i na chłód...

Właśnie gdy tak rozmawiali, wyszedł z dworku Attelmayer i zbliżył się do nich bardzo chmurny.

— Żegnajcie, panie rotmistrzu — rzekł — ja idę...

— Gdzie? — zagadnął rotmistrz.

— Jak się dowiem, to wam powiem... Na razie wiem, że idę...

— Pocóż tak spiesznie?... Spocznij...

Attelmayer ręką machnął.

— Zgryzł mnie hetman, więc spoczywać tu nie chcę i idę...

I mówił dalej z żalem:

— On mi się zrana wielce spodobał. Z mgły wyszedł w blaski słoneczne jak cudowny rycerz, żem przed nim czapkę zdjął i byłbym klął... Ale teraz to inny człek... inny! Twarz zafrasowana, ponura, gniewna, oczy krwią nabiegłe, a na ustach duma i złość...

— Powiedział ci co?

— Ano, nie wiele... Ten skórzany dyabeł począł coś na mnie łgać, iżem hałasował, a on obejrzał mnie od stóp do głów jak dzikie zwierzę i kazał iść precz... Więc idę ochotnie, albowiem z takim hetmanem, który po nocy ze zbójnikami cudzoziemskimi się zmawia, nic wspólnego mieć nie chce! Żegnajcie panie...

Ale Jankowski jeszcze go strzymał.

— Czekaj-no waćpan — rzekł idąc obok niego.— Widzę, żeś ty jest dzielny chłop...

— Dobry wzrok macie, panie...

— Dzielny a wierny — ciągnął dalej rotmistrz, nie zważając na przerwę — takich zaś jest teraz nie wielu. Otóż ja ci powiem: ostań ze mną?

— Niby jak i po co? — zagadnął Attelmayer.

Jankowski przystanął i rękę na ramieniu mu położył.

— Słuchaj — rzekł z mocą — nadchodzi czas i wielki już jest, aby z Tatary, Kozaki i Turki, co naszą świętą ziemię bezczeszczą, stoczyć bój na życie lub śmierć...

— Śmierci się nie lękam, życia nie kocham, a bić potrafię... — wtrącił drab, którego odrazu uroczysty ton mowy rotmistrza poruszył.

Jankowski zaś mówił dalej:

— Jeśli tak jest, toś nasz... Jest tu nas gromadka nie wielka takich straceńców, którzy nie sobie, ani nikomu, jeno Bogu i ojczyźnie służą,

a dla niej życia pozbyć gotowi, nie szukając nigdy i w niczem chwały własnej.

— Żebym jej nawet szukał, tobym nie znalazł, bo by mi ją inny z przed nosa skradł — wtrącił znów niepoprawny drab. — Naprzykład, panie, pod Warką...

— Słuchaj — przerwał rotmistrz — o sobie w tym boju zapomnieć trzeba...

— Dajcie-no mi, panie Tatara, Turka, albo też jakiego Szweda, to zapomnę o sobie...

— Dobrze — rzekł Jankowski. — A masz-ty może kogo na świecie, któryby cię mógł zawołać i odwołać od służby?

Drab zaśmiał się przymuszonym śmiechem i ręką machnął:

— Zawoła mnie Pan Bóg, to pójdę... Zresztą nikt...

Pochylił głowę, westchnął i półgłosem dorzucił:

— Była Greta... ale poszła już... poszła!

Jankowski dalej nie pytał, powtórzył jeno po chwili:

— Toś ty jest nasz...

Zaległa cisza. Attelmayer stał z pochyloną zawsze głową przed Jankowskim, który patrzył w górę, w wygwieżdżone niebo.

— Trudno jest dziś — myślał — coraz trudniej o takich, coby ze mną szli. Gromadka się zmniejsza... Kości niektórych wiatr rozwiał pod

Willenbergiem... a przybyło nie wielu... Ten zaś po za siebie oglądać się nie będzie...

Położył rękę na ramieniu Attelmayera i rzekł:

— Pójdziesz tedy z nami, ze mną, na chłód, na głód, na trud i na śmierć rycerską bez chwały!

Drab swoim zwyczajem odpowiedzieć chciał, że chłód, głód i trud on już zna i wiernie z nimi trzyma, co zaś śmierci się tyczy, to ona i takiego znajdzie, który się za piec skrył, ale uroczysty ton mowy rotmistrza wstrzymał żartobliwe słowa, odparł więc krótko, a z mocą:

— Pójdę!...

Znowu zaległa cisza. Jankowski nie odejmował ręki z ramienia Attelmayera, który czuł, że przechodzi go od stóp do głowy dziwny dreszcz, nie żeby się lękał, ale tak jak gdyby coś niedoznawanego dotąd wchodziło w jego istotę. Spojrzał na rotmistrza. Twarz jego o rysach ostrych, posępnych, podniesiona ku niebu, w tych blaskach niepewnych, mrocznych, które od gwiazd padały na nią, wydawała się trupio bladą, życie tkwiło jeno w oczach, które jaśniały zapałem nieziemskim.

Ale po niebie przeleciał jakby cień... Gwiazdy pobladły i stawały się coraz mniejsze, jakby zapadały w toń błękitu. I pełnym blaskiem zajaśniała promienista zorza.

— Już świt niedaleki - rzekł rotmistrz — a hetman?

W obawie, iżby wracającego o świcie hetmana

i owych posłów dziwnych, jakie potem nieżyczliwe nie dojrzało oko, kazał Attelmayerowi zejść z drogi, którą Sobieski wracać miał, a sam pobiegł do dworku.

Hetman naradę już skończył i zabierał się do odejścia. A posępny był i zatrwożony jeszcze bardziej w sobie, niż wówczas, gdy tu szedł. Pisma, okazane przez opata, przekonały go rzeczywiście, iż król francuski bynajmniej cofać się nie myślał, że przeciwnie życzył sobie i domagał się stanowczego działania, a na ostateczne poparcie kandydatury księcia de Longueville przesyłał nawet znaczną sumę pieniędzy. Teraz jednak musiała być zawiązana konfederacya wojskowa i orzeczona detronizacya Korybuta. Hrabia de Lionne donosił, że książę jest gotów przybyć *incognito*, w tajemnicy, do Łowicza, a prymas zawiadamiał, iż poczynił tam przygotowania na przyjęcie przyszłego króla.

Kości były rzucone, minął czas wahania... A jednak w duszy Sobieskiego coraz silniejszy podnosił się protest przeciw temu, co dotąd czynił i przeciw dalszym działaniom, których od niego się domagano. Szukał tedy jeszcze zwłoki, chociażby najmniejszej i żegnając się, tak rzekł do opata:

— Nie myślę was odstępować, ale teraz jest taki czas, iż powziąć decyzyi nie można. Ja muszę do Warszawy, na wesele siostrzenicy mojej. Jadę tam z wielką męką, ale muszę... Tymczasem zbierze się trybunał wojskowy płatniczy w Radomiu.

Nie zaspokoi on wojska, to wiem; doda jeno jeszcze goryczy, a natenczas konfederacya bez trudności stanie...

— Nowa zwłoka... — mruknął z niechęcią Paulmiers.

— Nagłość mogłaby wszystko zgubić — zakonkludował Sobieski. — Waszmość jedźcie teraz do prymasa i w Łowiczu siedźcie spokojnie... Ja wam prześlę hasło...

I nie wdając się w dalszą dyskusyę, wyszedł.

Paulmiers mocno był niekontent.

— Poczekaj — szepnął za odchodzącym — nie opuszczę ja cię teraz; przyczepię się do ciebie jak smoła, choćbym z tobą do obozu miał iść...

Zbudził drzemiącego Werduma i nie zwłócząc, wziąwszy z sobą przewodnika, którego im Jankowski dał, podążyli ku Lwowu.

Attelmayer dojrzał wychodzącego z dworku hetmana. Ukrył się za drzewo i wytężonym wzrokiem śledził. Sobieski szedł wolno, z głową spuszczoną na piersi. Był jednak moment, że przystanął, oczy podniósł w górę, ku blednącemu w pierwszych świtach rannych niebu, a potem ramiona wyciągnął, jakby się modlił. Attelmayer dojrzał jeszcze, jak po chwili nakreślił na piersiach wielki znak krzyża świętego i poszedł zwolna dalej. Wielka jego postać malała w oddaleniu i wreszcie znikła na zakręcie drogi ku zamkowi wiodącej.

— Dobrze, że się modli — szepnął drab — może Bóg litościwy oświeci go, iżby to jakieś cudaczne, dyabelskie poselstwo, cale wielkiemu hetmanowi nieprzystojne, odpędził od siebie...

Było mu zimno. Nad ranem wiatr powiał chłodny i do szpiku kości przenikał. Attelmayer chciał iść do dworku, ale wnet się strzymał, przyszła mu bowiem na myśl przysięga straceńców.

— Aha — mruknął — już się zaczyna! Jest chłód, a będzie głód... dobrze jeszcze, że ten twardy rotmistrz o pragnieniu nie mówił, bo to najtrudniej znieść...

Legł na ziemi, głowę o pień drzewa oparł, okutał się w opończę i dopóty patrzył w migocące światło zorzy, aż sen skleił mu powieki.

II.

Z ODMĘTU.

Kazimierz Łyszczyński siedział ciągle w klasztorze OO. Jezuitów w Wilnie. W pierwszych czasach po widzeniu się z małżonką, gdy tę niegdyś tak bardzo umiłowaną a zawsze drogą Halszkę ujrzał nieprzytomną, powtarzającą bez myśli modlitwy, zdawało mu się, że w nim zamarła zmordowana dusza. W milczeniu słuchał słów O. Gedeona Brzoski, wygłaszanych jednostajnie, głosem przyciszonym.

— Wątpiłeś — mówił ksiądz — nie wyrzucałeś z serca myśli żrących, które ci szatan podsuwał, i oto zgruchotał cię Pan karzącą prawicą...

Potem przedstawiał mu O. Gedeon, jako on wszystkie dary Boże zmarnował: miał imię zacne, dostatek, mądrość nawet... I jakiż z tego pożytek. Mądrość ludzka, oświecona łaską Bożą, to jak pięknie oszlifowany dyament, szatan pychy zmienia go wnet w wypalony, bezużyteczny węgiel.

Gdy tak mówił ksiądz, zdawało się czasem

Kazimierzowi, że słyszy słowa O. Przygodzkiego, który go, młodzieniaszka podówczas, w tejże samej celi nauczał i przysposabiał do zakonnego żywota. Zdawało mu się, że wszystko co nastąpiło potem: jego ucieczka z klasztoru, poszukiwania Halszki, pobyt na dworze Paców, wypadki, w jakie był wmieszany, wreszcie małżeństwo z Halszką i nieszczęśliwe z nią pożycie, że to wszystko aż do rozstania się z małżonką i ostatecznej katastrofy, było jeno snem okropnym. Czasem ta cała przeszłość zdawała mu się jaskrawym obrazem, malowanym krwią jego serdeczną, a czasem zasłaniała go mgła, że już nic dostrzedz nie mógł. Jedno wszakże zasłyszane słowo rozsuwało nagle tę mglistą zasłonę i obraz cały jeszcze jaskrawszym czyniło.

Tak raz, gdy O. Gedeon, wyliczając owe dary Boże, które Kazimierz na marne puścił, wspomniał, iż prócz innych dobrodziejstw miał on i małżonkę, piękną a dobrą i cnotliwą, porwał się nagle Kazimierz, jakby go co upiekło. Zacisnął pięści i wyiskrzonym wzrokiem patrząc na księdza:

— Nie mówcie mi o niej! — krzyknął — nie mówcie! Jej cnota! ha, ha!... Za jej cnotę Bogusław Radziwiłł dyabłu teraz duszą swą płaci!...

O. Gedeon przeniósł spokojnie ten gwałtowny wybuch, a za moment znowu swym miarowym głosem mówić począł, jako to są podejrzenia nie-

godne, które mu szatan podsunął, iżby duszę jego tem łatwiej usidlić mógł.

— Podejrzenia! podejrzenia! — przerwał Kazimierz — pytajcie, ojcze, brata waszego, stolnika, pytajcie jej samej!... I ona nie zaprzeczy...

— Ona jest bez pamięci — odparł O. Gedeon — a brat mój oświadczyć wam gotów, iż to co niegdyś mówił, w rozdrażnieniu rzekł i gniewie...

Porwał się znowu Kazimierz gwałtownie na wspomnienie wroga swego:

— Brat wasz jest tutaj? — zawołał.

O. Gedeon odrzekł z cicha:

— Jest... bardzo zgnębiony... Nie poszło mu także życie... W ostatnich czasach był u dworu podskarbiego Morstina, ale, jak wiecie, z podskarbim jest źle... sam bytu swego niepewny... Siedzi pono teraz w Gdańsku, czy też w Paryżu... A brat mój przywlókł się tutaj... dachu nad głową nie ma, bo Niewodnicę Kościelną brat wasz Witold mu zabrał...

— I dobrze uczynił — przerwał Kazimierz. — Winien nam był a zaprzeczał i prześladował niegodnie!

Mówił tak, ale myślał w duchu:

— Gdyby ten Brzoska odwołał... gdyby powiedział i przekonał, że to, co mnie od lat tylu prześladuje, to jeno ciężka zmora, przywidzenie... oddałbym mu tę Niewodnicę nieszczęsną... oddałbym i przebaczył...

Sama myśl, iż to staćby się mogło, jakiemś

dawno niedoznawanem uczuciem przeniknęła jego serce. Czuł, jak gdyby wielki ciężar usuwał mu się z duszy. Zamiast mgły, która mu dotąd wzrok przysłaniała, ujrzał przed sobą Halszkę taką, jaką niegdyś umiłował, łagodną, cierpliwą a dzielną.

— Gdyby — myślał — w jej niewinność uwierzyć! Mógłbym być jeszcze szczęśliwym... Ująłbym w objęcia tę ukochaną głowę i dopóty bym całował a pieścił, dopókiby pamięć i myśl zgubiona nie powróciła do niej...

O. Gedeon mówił ciągle, ale Kazimierz w zadumie pogrążony, słów jego nie słuchał... Utkwiło mu jeno to, co ksiądz w końcu rzekł:

— Jeżeli nawet małżonka wasza myślą zgrzeszyła, to za myśl swą odpokutowała już srodze. A jeżeli przebaczył jej Bóg, Sędzia Najwyższy, dlaczegożby nie miał przebaczyć człowiek? Przebacz, zwłaszcza teraz, gdy ona niemocna... i gdy lada dzień zamrzeć może...

Wzdrygnął się Kazimierz.

— Co on mówił ten ksiądz? Jego Halszka, ukochanie jego, miałaby umrzeć?... On mógłby jej nie widzieć, przeklinać w duchu, ale śmierciby jej nie przeniósł.

I nagle ujrzał ją przed sobą taką, jaką ją zobaczył po swoim powrocie do Wilna, w klasztorze na Zarzeczu, pogrążoną w zadumie, powtarzającą bezprzytomnie modlitwy, bijącą się w piersi ze sło-

wami: — »To na odkup za jego, Kazimierza, bluźnierstwo!«

Podbiegł do księdza i porywając go za obie ręce:

— Ale ona nie umrze — krzyknął — nie!

Tak był wzburzony, iż wreszcie O. Gedeon uspokajać go musiał, przyrzekając, że u przełożonej klasztoru wyrobi pozwolenie, aby Kazimierz mógł widzieć się z Halszką.

— Lekarze wprawdzie — rzekł — sprzeciwiają się temu, mówiąc, jako wszelkie wzruszenie dla małżonki waszej mogłoby być zabójcze. Jeżeli więc Matka Przeorysza zezwolenie da, to jeno pod warunkiem, że zachowacie się spokojnie. Małżonka wasza zwolna odzyskuje pamięć; sił ubywa a pamięć wraca.

— Wspomina o mnie? przeklina? — wtrącił gwałtownie Kazimierz.

— Często modli się za was... — odparł poważnie ksiądz.

I jeszcze dorzucił:

— Tembardziej potrzeba, iżbyś spokojnym był wobec niej, która teraz pamięta i cierpi... Dlatego też przed widzeniem się z nią, wyrzuć z duszy wszelkie podejrzenia, któreby cię unieść mogły. Niech więc ten, który owe podejrzenia, w występnej złości wzniecił, tu przyjdzie, odwoła, wyjaśni.. Brat mój, stolnik...

Kazimierz przerwał:

— Nie! nie! widzieć go nie chcę! Mniej bolały rany, zbójecką ręką jego na polu elekcyjnem mi zadane, niż ta, którą szatański jego język w duszy mi uczynił, a która krwawi się po dziś dzień... Ubiłbym go, gdybym go ujrzał!...

Nie po raz pierwszy O. Gedeon usiłował skłonić Kazimierza do zgody ze stolnikiem. Z każdej sposobności korzystał, by powrócić do tej sprawy, przedstawiając, iż czyni to dlatego jedynie, iżby brat jego mógł sumienie swe oczyścić, a Kazimierz przebaczeniem podnieść się na duchu. Teraz zaś, widząc, iż Łyszczyński wyszedł z dotychczasowej martwoty, a rozrzewnione jego serce staje się przystępniejszem dla uczuć szlachetnych, z tem większym naciskiem przedstawiać począł, jako przebaczenie sprowadza do duszy przebaczającego łaskę potężną, która ją uzdrawia i pociesza.

— Brat mój — kończył ksiądz — sterany jest ciężkim żywotem. Bóg wie, zali mu długo siły wystarczą... chceszli, aby z gniewem twoim stanął przed Tronem Najwyższego. Małżonka twoja przebaczyła mu winę... połącz się też z nią w tem świętem uczuciu...

Te ostatnie słowa widocznie oddziałały na Kazimierza. Przystanął na środku celi, powtarzając z cicha:

— Przebaczyła... ona przebaczyła...

I nagle, zwracając się do księdza:

— Niech przyjdzie brat wasz... — wyjąkał — niech przyjdzie!...

Ukrył twarz w dłonie i usunął się na ławę.

A O. Gedeon, czasu nie tracąc, wybiegł po brata.

Nie była to jednak rzecz łatwa znaleźć go o tej porze. Pan stolnik już od dłuższego czasu przebywał w Wilnie i mieszkał w klasztorze, u brata, przed którym udawał zgnębionego losem nędzarza i skruszonego grzesznika. W rzeczywistości był on ciągle na usługach podskarbiego Morstina, i z jego polecenia przybył na Litwę, aby badać opinię szlachty, zwłaszcza zaś wojska, które niepłatne burzyło się, a pilnie śledzić postępowanie Paców, gorliwych stronników królewskich. Z misyi tej, a przedewszystkiem z pana swego, który traktował go z dojmującą pogardą, nie był wszakże pan stolnik zadowolony. Podskarbi dumny był i uszczypliwy, traktował z góry a smagał szyderstwem, przytem zaś płacił źle i niechętnie. To też p. Brzoska nie myślał natężać się w jego usługach. Siedział po największej części w Wilnie, gotów każdej chwili zmienić służbę, gdyby się nadarzyła lepsza. Ale opinia p. stolnika była bardzo zła na Litwie. Przez Witolda Łyszczyńskiego, który z nim długoletnie procesy prowadził, wiedziano, że Brzoska w brzydkie intrygi się mięszał, że wygnany haniebnie przez Bogusława Radziwiłła, nie zagrzał miejsca i na królewskim dworze; byli też i tacy

którzy zwali go jurgieltnikiem pruskim i pomawiali o czynny udział w porwaniu Kalksteina, co na Litwie budziło daleko żywsze niż gdzieindziej oburzenie, ile że nieszczęsny exulant bawił tu przez długie lata i lubiony był.

Wobec takiej opinii, trudno było p. stolnikowi znaleźć lepsze pomieszczenie. Siedział więc w klaszturze, narzekał, biadał, jak było potrzeba w piersi się bił, a wieczorami schodził się z dawnymi towarzyszami swymi, pułkownikiem Marcinem Łąckim, kulawym Morstinem i innymi, którzy tu także dla elektora brandenburskiego pracowali, łagodząc oburzenie z powodu sprawy Kalksteina i śląc sążniste do Królewca i Berlina relacye o usposobieniu umysłów. Hetman Pac odgrażał się bowiem wówczas głośno, iż urządzi zbrojną na Prusy wyprawę, a szlachta na sejmikach groziła elektorowi krwawą zemstą. Fryderyk Wilhelm śmiał się z tego szyderczo, na pozór lekceważąco zbywał, lecz swoją drogą rozsyłał wszędy i utrzymywał zgraję ajentów, aby w czas wiedzieć o wszystkiem. Otóż Brzoska zaraz się z nimi znalazł i cichaczem się schodził, a głównie naradzano się teraz nad tem, jakimby sposobem znaleźć przystęp do Paców, aby o każdym ich kroku i zamyśle mieć wczesną wiadomość, czego się kurfirst brandenburski wielokrotnie i natarczywie domagał.

Raz późnym wieczorem, w jednej z gospód przedmiejskich, pułkownik Łącki w wielkiej taje-

mnicy urządził schadzkę a zawezwał na nią i stolnika. Elektor zaczynał być mocno wymagającym, żalił się, jako przesyłane przez Łąckiego i kuternogę relacye nie są dokładne, żądał energicznego działania w tym kierunku, iżby hetmana Paca przeciw Sobieskiemu drażnić a w wojsku litewskiem ducha buntu podtrzymywać, aby w wyprawach Sobieskiego udziału wziąć nie chciało.

»Jego Elektorska Mość — pisał książę Croy — żąda, pułkowniku, abyś wyszukał przy boku Paca zdolną osobę, któraby go na krok nie odstępowała a miała wzrok bystry i potrafiła zjednać sobie jego zaufanie. Powinien to być człek sprawny, obrotny, spraw publicznych świadom, a z niższego stanu, iżby na siebie uwagi nie zwracał. Najjaśniejszy Elektor jemu i wam sowitą przyrzeka nagrodę...«

Brzoska sucho się zaśmiał.

— Elektorska nagroda... — mruknął... — Znam ją... Psu na budę nie starczy...

Przyszło mu jednak na myśl, że onby podjął się tej misyi ochotnie, nie dla owej nagrody, która oczywiście byłaby licha, lecz aby na dwór Paca się dostać. Mógłby tam dwom panom służyć: Morstinowi i francuskiemu stronnictwu, a zarazem strzedz interesów kurfirsta.

Uradował się tedy w duchu wielce, gdy były sekretarz Leszczyńskiego kanclerza Gurowski, zabrawszy głos, oświadczył, iż zdaniem jego, nie było do takiej misyi sposobniejszej osoby nad stol-

nika Brzoskę, który z niejednego pieca już chleb jadał a znał ludzi i sprawy.

— Do... dobra ra... rada! — potwierdził jąkając się Łącki.

Ale Brzoska, nie okazując ukontentowania, począł trudności czynić. On w służbie dworskiej siły stargał a w nędzy jest; teraz zaś spokoju pragnie. Uczciwie służył, a jaką ma nagrodę? Zawistni szarpią jego sławę...

Na to Morstin kuternoga począł ręce zacierać i śmiać się szyderczo. Przeszedł się kulejąc po izbie, otworzył drzwi, zaglądnął, zali kto nie słucha, zamknął je szczelnie napowrót i zbliżywszy się do stołu, przy którym towarzysze siedzieli, rzekł:

— Co też pan stolnik plecie? Kurfirst nie wymaga uczciwej, jeno sprytnej służby... I mnie się widzi, że do takiej na dworze hetmana Paca najzdolniejszy imćp. Brzoska. Krewny mój, który mnie znać nie chce, a panu stolnikowi ufa, podskarbi Morstin, o to się na niego nie pogniewa, bo chociaż teraz, odkąd Pacowie królewskimi stronnikami, na nich jest krzyw, to przecie zna imćp. Brzoskę, i wie, że on potrafi i jemu i Pacom i kurfirstowi usłużyć...

Stolnik poczerwieniał cały. Z najwyższą złością patrzył na kuternogę, który śmiał się tak, że mu się garb trząsł, i ogromną głową chwiał, powtarzając:

— Tak... tak... on najlepszy!

Stolnik użył wszelkich sił, aby nie wybuchnąć. W duchu myślał; bogdajeś się w ziemię do reszty zapadł, ohydna pokrako! — a głośno rzekł:

— A dlaczegóż nie waćpan?

Kulas odstąpił od stołu i ukazując swoje stopy olbrzymie i wykręconą do środka nogę, odparł:

— Elektor najjaśniejszy chce mieć takiego, któryby nie był znaczny, wszędy się wśliznął i dobrze biegać potrafił, a ja ledwo łażę i każdy mnie dopatrzy...

— Mości stolniku! — zawołał Gurowski — nie sprzeciwiaj się... My waćpana wybieramy i basta. Pułkownik Łącki doniesie wnet o tem do Królewca...

— Ba... basta! na... napiszę — stanowczo zakonkludował pułkownik.

Ale Brzoska miał minę bardzo skupioną i posępną.

— Będzie trudno — ozwał się po chwili — bardzo trudno, choćbym chciał...

— Dlaczego? — zagadnął Gurowski.

— Z tej prostej przyczyny, że mnie tam u Paców Łyszczyńscy tak oczernili, iż przystęp do hetmana raz na zawsze mi zamknięty...

— Cóż tacy Łyszczyńscy znaczą?...

— Fu... furda — zauważył Łącki.

— Paców z Łyszczyńskimi łączą dawne stosunki — tłómaczył Brzoska — Kazimierz był ulubionym dworzaninem kanclerza, a posiadł łaski

i hetmana i tego, co był wojewodą trockim, później wileńskim, a teraz, za zezwoleniem małżonki, do stanu duchownego wstąpił i mniejsze święcenia już wziął, patrząc chciwem okiem na biskupią stolicę wileńską, na której Sapieha dogorywa... Tedy ów Kazimierz Łyszczyński i brat jego Witold, zażarci wrogowie moi, wszystkich Paców przeciw mnie usposobili, a nawet za ich pomocą wyzuli mnie z ojcowizny... z Niewodnicy mojej...

— E... e... — ozwał się kuternoga — nie oni wyzuli, jeno ona sama z waćpana zlazła... Wiem ja coś o tem... i o powodach animozyi Łyszczyńskich słyszałem. Mniemam jednak, że pojednać się z nimi nie byłaby rzecz trudna... Kazimierz zgnębiony pono u OO. Jezuitów pokutę odprawia...

Stolnik przerwał żywo:

— Napróżno o pojednanie się staram przez brata mego O. Gedeona, napróżno!... To mściwy człek...

Szyderczo znowu zaśmiał się Morstin.

— Ha, ha! — zawołał — to waćpan już sam o tem myślałeś!... Pojednać się z Łyszczyńskimi, a przez nich trafić do Paców! Nie mówię ja, że z waćpana sprytny człek...

Stolnik do krwi gryzł wargi ze złości.

— Nie o tem myślałem — bąkał — nie o tem... Ale to chrześcijańska rzecz... Kazimierz nieszczęśliwy jest wielce...

— A waść masz czułe serce... — dorzucił Morstin.

Ale Gurowski i Łącki przerwali wnet dyskusyę i tak ostatecznie uradzili, iżby Brzoska koniecznie pojednał się z Łyszczyńskimi i uzyskał ich poparcie u Paców.

Od czasu tej narady stolnik począł wobec brata swego O. Gedeona grać rolę skruszonego grzesznika, którego sumienie gryzie, iż nastawał na życie Kazimierza, a potem oszczerstwem na Halszkę rzuconem i ją i jego w nieszczęście wtrącił. Od tej też pory O. Gedeon z coraz większą natarczywością pracował nad tem, aby pogodzić brata z Łyszczyńskimi, a w ten sposób spokój duszy im wrócić. Najprzód jednak udał się na Zarzecze do sióstr Bernardynek, gdzie matka przeorysza powiedziała mu, iż zaręczyć może, jako Halszka do nikogo żalu w sercu nie żywi, wszystkim przebacza i za wszystkich się modli.

— Stan jej — mówiła przeorysza — niemal jednakowy, a tak mi się widzi, że kres jej męczarni się zbliża... Gaśnie w oczach. Stała się białą, przeźroczystą, jakby już cale nieziemską. Ale pamięć jej wraca; jest jeszcze za mgłą, ale wraca i zda mi się, że gdy zupełnie wróci, to będzie koniec. Po raz pierwszy obudziły się w niej wspomnienia dawne, gdy razem z siostrami naszemi warszawskiemi, przybyła tu nieszczęśliwa sierotka jedna, córka strażnika przewozu na Wiśle, który

zginął w jakiejś potyczce na pruskiej granicy. Na imię tej sierotce Maryś, a czy imię to, czy może rysy twarzy tej dzieweczki, przypomniały Halszce przeszłość, dość, że ujrzawszy ją, zakrzyknęła: Maruchna! — i omdlała. Gdy zaś powróciła do zmysłów, natarczywie błagać poczęła, aby owa sierotka do niej przyszła. — »To siostra Kazimierza — mówiła — to Maruchna!« — Nie mogłam zakazać i odtąd owa Maryś na krok jej nie odstępuje, nie sprzeciwiając się w niczem biednej chorej, która jak dawniej uporczywie milczała, tak teraz z ową mniemaną Maruchną ciągle gada, przypomina jej dawne dzieje, to znów przeprasza i słuszność przyznaje. Mówi nieraz: »Czemu ja ciebie nie posłuchałam, czemu, gdym się z tobą wyrywała do Birż!... Stąd poszło najgorsze nieszczęście!« A wówczas płacze cicho, że patrząc serce się kraje...

Ze wzruszeniem słuchał tej opowieści O. Gedeon, nie przerywając, a wreszcie ozwał się.

— Chciałbym, iżby brat mój mógł z jej ust własnych przebaczenie usłyszeć...

Ale przeorysza żywo przerwała:

— Co też wam na myśl przychodzi, ojcze? To niepodobna!... Lekarz surowo wszelkich wzruszeń zabronił. Życia jej narażać nie mogę...

— A gdyby mąż widzieć się z nią zapragnął?

— Niech czeka, aż ona go sama zawezwie. To niechybnie nastąpi, a będzie to pewnie moment ostatni...

Tedy ksiądz Brzoska, widząc nieugiętą przeoryszy wolę, nalegać nie śmiał i już ją pożegnał, ona zaś na odchodnem mu rzekła:

— Uspokójcie sumienie brata waszego. Nieraz słyszałam, jako się za niego modliła, a nie dalej jak wczoraj ozwała się do tej Marysi, którą siostrą mężowską być mieni: — »Łaska Boża wszechpotężną jest... Za jej pomocą, wygnałam ja z mojego serca wszelaką zawziętość. A z pociechą widzę, że i ty, Maruchno, odpuściłaś winy stolnikowi Brzosce..... Żyw-li on jeszcze?« — Tem pytaniem zmieszana, Maryś nie wiedziała co odrzec, ja zaś nakazałam jej gestem milczenie, a Halszka zapominając wnet o swem pytaniu, poczęła gładzić włosy klęczącego przy niej dziewczęcia i dorzuciła z cicha:

— »To mi dziw... ty zawsze taka młoda i piękna, jakby dla ciebie lata minione nie miały znaczenia... A ja?...« — Przymknęła oczy i szepnęła jeszcze: »Niech nam Bóg wszystkim przebaczy!« — Uspokójcie tedy sumienie brata waszego...

Tak tedy grunt przygotowawszy do zgody i uzyskawszy z wielkim mozołem przyzwolenie Kazimierza, O. Gedeon, który był żarliwym o zbawienie dusz sługą Bożym, chciał natychmiast stolnika zawieść do Kazimierza celi, ale dnia tego Brzoska zajęty snadź naradą z Łąckim i Gurowskim, dopiero późnym wieczorem do klasztoru wrócił.

Kazimierz zaś po owej rozmowie z O. Gedeo-

nem, pozostał sam, z myślami swojemi, które plątały się jak w gorączce, w dziwnej rozterce. Wspomnienie Halszki, długo odpędzane, powróciło teraz z tem większą siłą. Zdawało mu się, że słyszy głos jej spokojny a silny, którym, nie zaprzeczając swej miłości dla Bogusława Radziwiłła, przysięgała wszakże, iż nie była nigdy winną złamania wiary małżeńskiej... Widział ją przed sobą na klęczkach, czołgającą się ku niemu i wołającą: »Jak Bóg na niebie!» — A teraz wraca jej pamięć... pamięć krzywd od niego doznanych, pamięć okrutnej niedoli, w jaką ją wtrącił... Przebaczała mu w obłędzie, lecz teraz, gdy sobie przypomni, przeklnie go, wyrzeknie się, odepchnie!...

Biegał po szczupłej celi, trącając się o ściany. Nie! on pójdzie do niej, padnie do jej stóp, przebaczenie uzyska i jedno choćby słowo dobre, jeden uśmiech, który rozjaśni jej biedną, wybladłą twarz.

Usiadł przy stole, oparł się na nim łokciami i głowę płonącą na rękach złożył.

Tyle lat takiej męczarni! Lepsza byłaby śmierć. I czegóż od niego żądał ten ksiądz? Aby przebaczył Brzosce, sprawcy jego i Halszki nieszczęścia? Dobrze mówić mnichowi, który pozbył się uczuć wszelkich, którego sercem nie zatargała nigdy namiętność. Dobrze mu mówić!... Ale on, zali przebaczyć jest zdolen? Jeżeli Halszka przebaczyła, to i on wypowie usty, że przebacza... Ale serce, czy to potwierdzi? Chyba nigdy! Zaśmiała się ku niemu

szyderczo wyschła, ohydna twarz stolnika, a on, aby jej nie widzieć, pięściami oczy gniótł — daremnie!

Był moment, że porwał się z miejsca i chciał biedz za O. Gedeonem, iżby cofnąć dane słowo. Lecz wnet przychodziło mu na myśl, że on tem przebaczeniem zjednoczy się z Halszką i może łatwiej od niej odpuszczenie win swych uzyska. Ona powinna go ujrzeć pojednanego z Bogiem i ludźmi, ona taka dobra, taka cierpliwa, taka dzielna!

Zmierzch zapadł na dworze. Cela nurzała się już w cieniach; na ścianie, naprzeciw okna bielał jeno wielki krzyż z rozpiętem ciałem Zbawiciela. Łyszczyński wpatrzył się w ten krzyż upornie.

— Trzeba — myślał — abyś Ty, Chryste, uczynił cud, iżby duszę moją przetworzyć, iżby zapomnieć mogła... Przelałeś za tę duszę krew, to ją teraz zbaw... oddaję Ci ją! Ale Ty, bez woli mojej, nie zbawisz jej... bez mojej nie zgasisz w niej ani jednej myśli i ani jednego wątpienia w wiarę nie zmienisz!... A czy ja wolę mam? Błąkam się po manowcach bezwiednie, jak bezwiednie zaszedłem do tej celi. Tyle mam woli, co liść jesienny, miotany wichrem... Ja woli nie mam — a Ty, Chryste, nie uczynisz cudu!...

I znowu, jak niegdyś, zdawało mu się, iż z głowy jego wychodzą myśli, jak żywe potwory i pełzają po ziemi, po ścianach, syczące, straszne...

Wzdrygnął się...

— Bluźnię... bluźnię... — szepnął i szybko zapalił światło. Stało mu się raźniej, usiadł znów przy stole i aby myśli rozegnać, wyjął z zamkniętej szuflady starą księgę. Wynalazł on ją w bibliotece klasztornej, zarzuconą pomiędzy rupiecie. Tedy ją zabrał i przechowywał w tajemnicy, odrazu go bowiem mocno zainteresowała, a wiedział, że O. Gedeon, gdyby ją zoczył, nie omieszkałby mu jej odebrać ile-że heretycką była. Zawierała ona traktat o istności Boga pod tytułem: »*Theologia naturalis*« i wydana była we Frankfurcie w r. 1615 przez Jana Henryka Alstediusa, kalwińskiego ministra. Kazimierz pilnie się w niej rozczytywał, notując sobie wszelakie przez owego autora przytaczane za i przeciw dowody, oraz czyniąc własne uwagi, na osobnych karteluszach. Praca ta, odrywając myśli jego od trosk i strapień, zajmowała go wielce i umyślił nawet sam napisać traktat w dyalogu, w którymby ateusz spór wiódł z wyznawcą Bożym, a jeden drugiego przekonać usiłował.

Dzisiaj jednak i ta praca szła mu nie sporo. Gniewały go wywody kalwińskiego teologa, zdawały mu się błahe i zgoła nie wystarczające. To co Alstedius, jako dowody istnienia Najwyższego Stwórcy przytaczał, mogło być — tak mniemał Łyszczyński — użyte, jako argument przeciwny. Miejsce tedy owe dla pamięci podkreślił, a przy

jednem dopisał w rozdrażnieniu ręką swą na marginesie: *Ergo non est Deus...*

Napisał i spojrzał na nakreślone litery. Przejęło go dziwne drżenie; zdało mu się, że litery owe żyją; to drgają, to wydłużone pełzają jak gady... Chciał je zamazać, gdy wtem u samych drzwi celi posłyszał głosy.

O. Gedeon, doczekawszy się brata, bez zwłoki go przyprowadzał. Weszli tak szybko, że Kazimierz zaledwie miał czas księgę schować; kilka przez niego nakreślonych kartek pozostało na stole.

Łyszczyński powstał bardzo zmieszany. Oto po tylu okropnych przejściach spotykał się znowu oko w oko z zaciętym swym wrogiem. Ale wróg ten jakiż był inny, jaki zmieniony! Brzoska przybrał minę niezmiernie koruą, skruszoną, nieśmiałą. Stał u progu, zgarbiony, z głową spuszczoną na piersi. Z podełba, ukradkiem rzucał jeno bystre w około spojrzenia.

— Kazimierzu — rzekł ksiądz — oto brat mój, w poczuciu swej względem ciebie winy, przychodzi cię prosić, abyś mu w imię Zbawiciela krzywdy doznanej zapomniał...

Kazimierz stał nieruchomo, sztywny. Patrzył wciąż na Brzoskę i myślał:

— Jaki on nędzny! Że też w takiem marnem ciele tyle mieścić się może szatańskiej złości...

Zbierała go jakaś pogardliwa litość.

Tedy stolnik postąpił jeden krok naprzód i nie

podnosząc oczu, ani wyciągając ręki, ozwał się z cicha:

— Sumienie oddawna mnie gryzie, iżem dawnego towarzysza mego... sąsiada... który dla mnie dobry bywał, w przystępie zawiści i gniewu ukrzywdził... Proszę was... przebaczcie!...

Głos mu się złamał, jakby ze wzruszenia.

A Kazimierz jeszcze milczał moment. Potem zaś nagle zdecydowany, rzekł szybko:

— Nie o mnie i nie o moją krzywdę chodzi... Tę ochotnie odpuszczam. Ale wyście, mości stolniku, ukrzywdzili oszczerstwem niewieścią cześć... To odwołajcie... skoro już niema innego sposobu naprawienia złego... To odwołajcie!

W miarę, jak mówił, podnosił głos, iskrzącem spojrzeniem mierząc stolnika.

Ten zaś głowę nieco dźwignął, rękę na piersi położył i odparł uroczyście:

— Na Boga przysięgam, że wszystko, com wam wówczas mówił, mówiłem przez złość, przez zemstę za to, iż mnie Bogusław Radziwiłł z waszego powodu zbeszcześcił!

Kazimierz dyszał ciężko. Podbiegł do Brzoski i za ramię go uchwycił. Patrzył mu teraz prosto w oczy, jakby głąb duszy jego przeniknąć chciał i powtarzał głosem zdławionym:

— Przysięgasz? przysięgasz? Na duszę twą, na sumienie, na życie?

Brzoska wił się pod naciskiem silnej dłoni

Kazimierza. Wrzał w nim gniew, budziła się dawna nienawiść, ale odrzekł stanowczo:

— Wszystko, com mówił o Halszce... o małżonce waszej... o jej dla Radziwiłła występnej miłości... było oszczerstwem!... Zraniliście mi duszę, nie chcieliście mi oddać siostry waszej w małżeństwo, pomimo przyrzeczeń... a potem gnębiliście, przywiedliście do nędzy... Więc się mściłem.

Ostatnie słowa wymówił Brzoska syczącym głosem i takim tonem, jak gdyby nagle sam z pokornego winowajcy oskarżycielem się stawał.

Ale O. Gedeon nie dopuścił do dalszej dyskusyi, a widząc, że Kazimierz, dotknięty tonem ostatnich słów stolnika, odstąpił od niego chmurny, ozwał się surowo do brata:

— Twojego czynu nie usprawiedliwi nic. Ciężki popełniłeś występek, którego nie odpuści Bóg, jeśli przebaczenia nie wyjednasz sobie u pokrzywdzonych. Ty zaś, Kazimierzu, jeżeli pragniesz zdobyć spokój ducha, a może i uzdrowienie uzyskać małżonki, nie zamykaj serca i odpuść, jako chcesz, aby i tobie odpuszczono...

Łyszczyński, który na wzmiankę o uzdrowieniu Halszki drgnął cały, podniósł w górę oczy i rzekł uroczyście:

— Jako się zagoiły te rany, które mi twoja ręka, stolniku zadała, tak niech się zagoi i zniknie krwawa pamięć twojego oszczerstwa. Przebaczam...

zapomnieć chcę i zapomnę, jeśli jeno ona, Halszka, uzdrowioną będzie...

A na to O. Gedeon, uradowany wielce, pochwycił Kazimierza w ramiona.

— Fiat! fiat! — powtarzał. — Bóg potężny a miłosierny, przeto ufaj, mój synu...

Poczem ujął rękę brata i włożył ją w prawicę Kazimierza. Uścisk wszakże był zimny i sztywny, a odbił się w sercu Łyszczyńskiego uczuciem wstrętu. Wnet też, chcąc co rychlej scenę tę skończyć, odwrócił rozmowę, prosząc O. Gedeona, aby u przeoryszy sióstr Bernardynek wyjednał pozwolenie widzenia się z Halszką.

— Będę spokojny — mówił — będę milczący, ale dozwólcie mi ją widzieć!... To dla mojego i jej uspokojenia konieczne.

O. Gedeon przyrzekał, wzywając jednak do cierpliwości, wszelakie bowiem naglenie mogłoby Halszce zaszkodzić.

Tymczasem stolnik zbliżył się do stołu i ukradkiem spozierał na kartki, zapisane przez Kazimierza. Wzrok miał bystry, więc jakkolwiek z ukosa na pismo okiem rzucał, odczytywał dobrze pojedyncze zdania, których treść uderzyła go odrazu.

— Ho... ho! pan brat zawsze na teologiczne manowce zachodzi — pomyślał. — Dobrze to wiedzieć...

Utkwiło mu zwłaszcza w pamięci zdanie, rozpoczynające się od słów: »My ateusze mamy prze-

konanie... Na tych słowach kończyła się kartka i dalszego ciągu stolnik dopatrzeć się nie mógł. Ale to, co wyczytał, było już dostateczne, aby Łyszczyńskiego przed sąd duchowny zapozwać. Mimowolnie wyciągała się ręka stolnika, aby pochwycić ową kartkę. Mieć taki dokument, to znaczyło mieć w ręku Kazimierza losy; w zamian za taką kartkę, zawierającą własnoręczne przyznanie się do niewiary, możnaby było żądać od niego, nietylko już protekcyi u Paców, lecz całego choćby majątku... Skończoneby już było to wieczyste tułanie się, wieczysta nędza!

Oczy stolnika błyszczały jak kocie, a ręce aż się zaciskały kurczowo. Był moment, że stolnik całej siły woli użyć musiał, aby nie uledz pokusie, nie rzucić się na owe kartki i odrazu, głośno nie oskarżyć Kazimierza. Ale się pomiarkował. Takie gwałtowne działanie mogło popsuć całą sprawę. Należało postępować rozważnie, przezornie, aby tem pewniej uzyskać od Kazimierza wszystko, a w razie oporu zgubić go.

Niebawem też poczęto się żegnać. Stolnik znowu pokorny, rzekł na odchodnem do Kazimierza nieśmiało:

— Pozwólcie, że ja tu do waszej celi czasem zaglądnę, iżby samotność waszą rozerwać...

Kazimierz nie odrzekł nic, głową jeno skinął potakująco. A po ich wyjściu długo jeszcze spoczynku nie zaznał; gnębiło go przeczucie, że

z tym Brzoską nowe jakieś przyszło do niego nieszczęście.

Od tego dnia Kazimierz z coraz większem upragnieniem czekał chwili, w której będzie mu wolno widzieć się z Halszką. O. Gedeon przynosił mu częste wieści: było stanowczo lepiej; z każdym dniem coraz żywsza budziła się pamięć, a chociaż w miarę tego i smutek stawał się głębszy i następowały ciężkie zadumy, ale dzielna dusza Halszki krzepiła się modlitwą i słowami otuchy, których jej nie szczędził O. Gedeon i siostry zakonne. O małżonku jednak swoim nie wspominała dotychczas nigdy, a raz, gdy O. Gedeon umyślnie na próbę uczynił o nim wzmiankę, pobladła i zatrzęsła się całem ciałem Nie rzekła ani słowa, oczy zawarła i długi czas siedziała w milczeniu.

Ale w kilka dni później zażądała, iżby jej przyprowadzono córkę jej, Zochnę, która przebywała ciągle w domu matczynego wuja, chorążego Jesmana i wychowywała się pod opieką siostry jego, niemłodej i bezdzietnej wdowy, imćpani Petroneli Zbikowskiej.

Zrazu zakonne siostry sprzeciwiały się temu a i lekarz lękał się, iżby to widzenie się z córką nie wywarło zbyt wielkiego na chorej wrażenia. Ale Halszka coraz natarczywiej domagać się poczęła.

— Nie wzbraniajcie mi! — prosiła, składając białe, wychudłe ręce... Gdy Bóg dał, iż pamięć mi

wróciła, to i mnie należy wrócić do obowiązków moich. A przecież ta dziecina, to dla mnie ukojenie i pociecha.

Rzeczywiście przytomność już miała niemal zupełną. Ową Maryś, która jej siostrą mężowską Maruchną Szczenicką się być zdała, trzymała zawsze przy sobie, ale błąd swój rozpoznawała zwolna.

I dnia pewnego, gdy Maryś stała w oknie celi, zapatrzona w dal i zadumana tęsknie, Halszka spoglądała na nią długo, z natężeniem. Pocierała ręką czoło, usilnie zbierając myśli, a wreszcie szepnęła:

— Dziwna rzecz, jak ja mogłam przypuszczać... I przywołała do siebie dzieweczkę. A gdy ta przyklękła u jej kolan, Halszka poczęła gładzić jej twarz i włosy, patrząc jej w oczy, przyglądając się rysom, a wreszcie rzekła:

— Ktoś ty jest dziecko?

Wzdrygnęła się Maryś. Ona o swem nazwisku, przeszłości i hańbie zapomnieć pragnęła! Zatem chyląc głowę w wielkiem pomieszaniu, odrzekła cicho:

— Nieszczęśliwa jestem... Sierota...

Zdziwiła Halszkę taka wymijająca odpowiedź, tedy spytała jeszcze:

— A cóż cię tu przywiodło?

Maryś jeszcze ciszej odparła:

— Grzech...

Wyraz ten jak rozpalone ostrze przeniknął serce Halszki. Więc i ta dzieweczka pokutnicą jak ona!...

Ujęła głowę jej w obie dłonie i podniosła ku sobie, patrząc w jej piękne oczy, w których błyszczały łzy. W jednem mgnieniu oka w jej dotychczas zamąconej pamięci odbił się cały obraz jej życia. I wczesne a okrutne sieroctwo, i pobyt na dworze księcia Bogusława Radziwiłła, gwałtowna dla niego miłość, i łzy, i srom. A potem, pod moralnym przymusem zawarte z Kazimierzem małżeństwo i okrutne z nim pożycie i walki wszystkie, a wreszcie wyjazd do Birż, ostatnie z Kazimierzem zajście... Co dalej?... noc głucha, pustka, cisza... Tu pamięć wpada w otchłań... urywa się, ginie...

I Maryś zdała się jej w tym momencie najbliższą istotą na świecie; tak samo nieszczęśliwą, tak samo występną i tak samo pokutującą. Objęła dzieweczkę ramieniem i przycisnęła do piersi, szepcząc:

— Obieśmy grzeszne... obie!

W kilka dni później, za przyzwoleniem lekarza, przyprowadzono Zochnę do matki. Sam chorąży Jesman przywiódł ukochaną wychowankę swoją, z której był dumny, wyglądała bowiem nad wiek rozwinięta, a była bardzo piękna. W pięciu latach zdawała się mieć dziesięć, tak wyrosła, taka była kształtna, a w ciemnych, dużych oczach tyle miała nad wiek rozumu. W pierwszych latach życia,

wątła i mizerna, teraz twarzyczka jej, okolona złocistymi włosami, tryskała zdrowiem. Po zachorzeniu Halszki, dziecko czas długi wyrywało się i tęskniło do matki, lecz niebawem, pod troskliwą opieką pani Zbikowskiej uspokajać się poczęło, zwłaszcza od czasu, gdy chorąży Jesman, dbały, aby Zochnie pod jego dachem na niczem nie zbywało i aby miała towarzysza zabaw, wziął na wychowanie i pod opiekę zaledwie rok od niej starszego, stryjecznego jej braciszka, Janka Szółkowskiego, którego rodzice w rannem dzieciństwie odumarli. Dzieci odrazu przystały do siebie, a odtąd dworek p. Jesmana rozbrzmiewał ciągle wesołością i śmiechem.

— Niech Zochnie — myślał pan chorąży — pozostaną na całe życie wspomnienia swobodnego dzieciństwa...

Z pewnym tedy przestrachem dowiedziała się Zochna, że ma iść do klasztoru, odwiedzić chorą matkę. Pamiętała ona ją dobrze, ale już przeszło od roku nie widziała jej wcale i rysy matczyne poczęły się zacierać w dziecinnej pamięci. Mówiono jej, że matka chora, że zmieniona bardzo, wymizerniała. A to ją mimowolnie przenikało lękiem.

— Ja się boję, Janku, ja się boję — przyznała się braciszkowi. — Żebyś ty przynajmniej ze mną szedł...

Ale na to pan chorąży zgodzić się nie chciał i, ująwszy Zochnę za rękę, powiódł ją na Zarzecze.

Zochna szła w milczeniu, o swoim lęku nie mówiła nic dziadkowi, ale gdy weszli na ponury i ciemny korytarz klasztorny, ze drżeniem przytuliła się do jego ręki.

Przeorysza otworzyła drzwi od celi. Zochna, mimowolnie ociągając się nieco, stanęła na progu. I w blaskach słonecznych, padających z okien, ujrzała postać matki. Haszka powstała z miejsca, otworzyła ramiona, lecz wnet opadła bezsilnie, blada bardzo, z zawartemi powiekami.

Rzucono się ku niej, aby ją cucić. Zochna zaś, nie puszczając ręki chorążego, przytulona ku niemu, patrzyła szeroko otwartemi oczyma i szeptała z nietajonym już przestrachem:

— Dziadziu!... o, dziaduniu!...

Ale Halszka wnet otworzyła oczy. Wyciągnęła znów ramiona i na jej bladych ustach ukazał się uśmiech, smutny, łzawy...

— Zochno, dzieciątko moje — wyszeptała.

A Zochna dopiero w tym uśmiechu poznała matkę. I wyrywając się chorążemu, pobiegła w otwarte objęcia.

Przez długi moment nic słychać nie było, tylko jęczące westchnienia, wyrywające się z piersi Halszki stłumione okrzyki dziecka:

— Och, matuchno!

Aż wreszcie rozłączyć je musiano i stosując się do poleceń lekarza, uprowadzono Zochnę do domu.

Halszka tak była wzruszeniem wyczerpana, że nie miała nawet siły opierać się temu.

Ale od tego dnia polepszenie stawało się coraz widoczniejszem. Przychodziły wprawdzie jeszcze chwile ciężkiego smutku, jakby zadumy, lecz Halszka mogła już ją odegnać siłą woli. Najczęściej wówczas przywoływała Zochnę, która przychodziła albo z chorążym, albo z panią Zbikowską, czasem zaś przyprowadzała z sobą i Janka na zabawę w ogrodzie klasztornym.

Ze zdrowiem powracała też Halszce dawna spokojna dzielność i stanowczość w spełnieniu tego, co za swoją uważała powinność.

Raz tedy, gdy dzieci bawiły się wesoło w ogrodzie, Halszka przypatrywała im się długo, a potem rzekła do matki przeoryszy:

— Muszę się widzieć z małżonkiem moim...

Przeorysza nie zbyt temu była rada. Pomna gwałtownego wybuchu Kazimierza, gdy po raz pierwszy ujrzał Halszkę chorą, lękała się i teraz zbyt silnego wzruszenia, pragnęła odwlec tę chwilę.

— Jeszcze jesteś niemocna — mówiła — czekajmy aż siły zupełnie powrócą.

Ale Halszka czekać już nie chciała i codziennie z coraz większą natarczywością domagała się tego.

— To mój obowiązek święty — powtarzała. — Bóg mi zdrowie powrócił nie na to, iżbym tu siedziała bezczynnie. Zochna potrzebuje coraz bardziej macierzyńskiej opieki, a on, Kazimierz... Bóg wie,

jakie myśli dręczące opanować go mogą w samotności celi klasztornej... Resztę życia zmarnowanego winnam mu oddać...

I dorzucała w myśli:

— Na odpokutowanie...

Rzeczywiście uważała to za najsroższą pokutę. Mimowolnym strachem przejmowała ją sama myśl tego spotkania i tej rozmowy. Lepiej niż kto inny znała ona gwałtowność Kazimierza, której wybuchów nic i nikt powstrzymać nie był wstanie. Lękała się spotkać z jego wyiskrzonem, namiętnem spojrzeniem, ujrzeć tę postać piękną a groźną, tę twarz ponurą, surową, drgającą wewnętrznem wzruszeniem.

Ale postanowienie jej było nie cofnione i raz zrana przyszedł do celi Kazimierza O. Gedeon, zwiastując mu, iż Halszka pragnie z nim się widzieć.

Po długiem, daremnem oczekiwaniu, po tylu zwłokach, był to moment dla Kazimierza prawdziwie straszny.

Na te słowa O. Gedeona zbladł jak chusta, porwał się z miejsca i szeroko wytrzeszczonemi oczyma, niemal z przerażeniem na niego patrzył.

— Ona sama chce... — powtarzał — ona żąda?...

To mu się w głowie pomieścić nie mogło. W najlepszym razie spodziewał się, że na jego ciągle ponawiane prośby, Halszka zgodzi się wreszcie widzieć się z nim, ale żeby sama żądać miała?

I w tymże momencie przeniknęła go okropna myśl, że może ona chora, umierająca...

Pochwycił księdza za rękę:

— Nie dręczcie mnie! — zawołał — co z nią?...

Ojciec Gedeon uspokajać go począł:

— Chodź, a rychło... sam się przekonasz, że jest dobrze...

Szli w milczeniu. — Jak ją zastaną? zali bardzo zmienioną? co ja jej powiem?... Te myśli, cisnące się nawałem, dręczyły Kazimierza. Tak długo pragnął tego widzenia się, a teraz nie wiedział, co powiedzieć ukochanej!

Gdy zaś zbliżali się do klasztoru, O. Gedeon począł wzywać Kazimierza, iżby całą siłą woli zapanował nad sobą i powstrzymał się od wszelkich objawów czy to radości, czy żalu, czy wzruszenia.

— A jakby to być mogło? — myślał Kazimierz. — Iście nieludzkie żądanie... — Ale przyrzekał spokój.

— Byle już prędzej... byle prędzej!

Gdy wszedł na kurytarz, serce uderzyło mu gwałtownie, a potem nagle jakby się wstrzymało; krew wspienioną falą mózg mu zalewała. Nie widząc nikogo, nie pozdrowiwszy przeoryszy, która wyszła naprzeciw, rzucił się naprzód ku drzwiom celi.

Ale przeorysza zabiegła mu drogę.

— Odpowiedzialna jestem za jej zdrowie i życie — rzekła spokojnie. — Czekajcie panie, przy-

gotować ją muszę... Ona wprawdzie wie, że dziś przybyć macie, ale zawsze należy ją uprzedzić, że nadszedł moment...

Na te spokojne słowa zakonnicy, gwałtowny bunt podniósł się w krnąbrnej zawsze duszy Łyszczyńskiego.

Kto śmiał zapierać mu drogę do niej, do Halszki? Kto śmiał stawać między nią a nim, dawać jej ochronę przeciw niemu, mówić o odpowiedzialności, skoro on sam, jej mąż, był tylko odpowiedzialny? Ta obca niewiasta rozporządzała nią i nim, jakby własnością swoją!...

Byłby ją odepchnął i wszedł, ale przeorysza szybko drzwi szczelnie na rygiel za sobą zamknęła, z drugiej zaś strony podbiegł O. Gedeon i ujął go pod ramię, mówiąc:

— Na miłość Bożą, co czynisz? Ręczyłem za ciebie, że będziesz spokojny, a widzę, że w tobie zawsze dawny szatan harce wyprawia...

— Sto szatanów, nie jeden! — krzyknął Łyszczyński. — Niech mnie do niej puszczą zaraz, natychmiast, bo inaczej...

Nie dokończył. Zgrzytnęły rygle, drzwi się otwarły i w progu ukazała się zakonnica.

— Halszka was wzywa... — rzekła.

— A wtedy Kazimierz wpadł gwałtownie do celi.

Naprzeciw niego, u okna, siedziała w dużem, poręczowem krześle Halszka.

Wpadł nagle i cofnął się.

Byłaż to ona? Raczej jej cień, blady, przeźroczysty... Jeno oczy zostały te same, bardzo wielkie, piękne, pełne spokoju, a patrzące śmiało. Na ustach nie było uśmiechu, tylko u kątów skrzywienie, znak przebytych cierpień...

Nie wyciągnęła ku małżonkowi dłoni, lecz głosem cichym, wyczerpanym, rzekła:

— Bądź pozdrowion... Kazimierzu... Witam cię...

Na dźwięk tego głosu on żachnął się. Był ten głos jak dalekie echo strun, które czas roztargał, martwy, zimny... Kazimierz zacisnął wargi i stał u progu, nieruchomy, patrząc sztywnie.

Ona zaś czekała moment, a potem podniosła na niego łagodny wzrok i dodała:

— Milczysz? nie powiesz mi nic?... A ja pragnęłam cię widzieć, by ci to rzec, iż gdy oto Bóg dobry powrócił mi pamięć i życia przydłużył, to uważam za znak, iż chce, abym tu na ziemi odpokutowała ciężkie przewinienia moje, abym spełniła obowiązek mój względem ciebie i córki... Ciebie więc pytam, Kazimierzu: tyś pan mój i małżonek, rozkazuj. Jak chcesz, abym ten obowiązek spełniła?...

Głos bardzo wątły a korny zaszedł w końcu łzami i ścichł, drżący; Halszka pochyliła głowę.

A wówczas serce Kazimierza zapłonęło ogromnem współczuciem; podbiegł ku niej i na kolana przed nią padł.

— Halszko! Halszko! — wyjąkał — jam za ciebie zawsze życie oddać był gotów... Miłuję cię tak samo, jak pierwej... Wiec ty rozkazuj, co czynić mam, aby ci spokój i całkowite zdrowie powrócić... Ty rozkazuj, ukochana!...

Pochwycił jej rękę, wychudłą, białą, błękitnemi żyłkami znaczoną i do spieczonych ust tulił namiętnie.

Nie broniła mu ręki, nie cofała się, ale uściski te snadź dziwną sprawiały jej boleść, bo twarz jej śmiertelną powlokła się bladością a oczy, jakby w omdleniu się zawarły.

Po chwili jednak ozwała się szeptem:

— Nie, Kazimierzu. Ja tobie do rozkazania nie mam nic... chcę spełnić wolę twoją. Jeśli prawdą jest, żeś mi przebaczył...

Ale on gwałtownie przerwał:

— To ty, Halszko, ty mi przebacz... ty zapomnij!

I w uniesieniu całował kraj jej sukni, na poły zakonnej, czarnej.

— Zapomnijmy sobie wzajemnie — odrzekła ona. — Mnie łatwiej to uczynić, bo dusza moja długo była jak w odmęcie i teraz dopiero budzić się zaczyna... Ale ty, Kazimierzu, ty, nie dla mojej miłości, bom jej nie warta, ale dla miłości Bożej i dla zbawienia nas wszystkich, wyrzuć z duszy pamięć złą podejrzeń niesłusznych.

Łyszczyński żywo porwał się z klęczek. A ona

sądząc, że go dotknęła, wyciągnęła ku niemu rękę i dorzuciła spiesznie:

— Wiem, żem winna... nie bronię się! Ale nie tak, jak mniemałeś... nie tak!

Wstrzymała się moment, a potem głosem pewnym, stanowczym:

— Nie złamałam ci nigdy wiary małżeńskiej... — rzekła...

On już raz w życiu słyszał z jej ust taką przysięgę... Moment ten stanął żywo przed oczyma jego duszy. Wówczas nie uwierzył, dzisiaj po odwołaniu oszczerstwa przez samego oszczercę, słowa Halszki zabrzmiały, jak uroczyste stwierdzenie jej niewinności i jej, lat tyle znoszonego, okrutnego męczeństwa.

I znowu ukląkł przed nią, jak przed świętą... Patrzył na jej bladą, przeźroczystą a zawsze piękną twarz, na tę ukochaną głowę, która tyle przeniosła trosk i myślał, że mu już życia nie wystarczy na wynagrodzenie. Głuche łkanie ozwało mu się w piersi.

— Halszko!... Halszko moja!... — powtarzał z cicha i ogarniał ją całą płonącem spojrzeniem.

A ona, jakby broniąc się przeciw sile tego wzroku, pochyliła nieco głowę na piersi i mówiła dalej po chwili głosem stłumionym.

— Teraz, Kazimierzu, pora rozpocząć życie inne, na nowo. Zapomnieć o sobie dla dziecka naszego, dla córki... Zochna dorasta...

Te słowa nie obudziły w sercu jego echa. On o tem dziecku zrazu myślał z niechęcią, a potem wcale nie myślał. Stało się dla niego obcem i obojętnem.

Ale zadrżał, gdy Halszka dodała:

— Jeżeli chcesz... jeżeli pozwolisz, zamieszkamy znów razem w dworku naszym...

W uniesieniu radości, porwał się Kazimierz, objął ją silnem ramieniem, pochwycił, uniósł ku sobie, całował jej włosy, czoło, twarz, szyję, a wreszcie wpił się w jej usta namiętnym pocałunkiem.

Ona gięła się w tym uścisku bezsilnie, ogromne jej włosy rozplotły się i okoliły jej twarz zdumioną, przerażoną, patrzącą na Kazimierza szeroko otwartemi oczyma. Był w nich strach i wstręt...

A on jak w szale, powtarzał:

— Więc ty już nie lękasz się mnie?... moją jesteś, moją!...

I znowu zimne jej usta rozgniatał pocałunkiem.

Ciało Halszki wyprężyło się nagle, zesztywniałe ramiona odtrąciły Kazimierza, a ona z przeraźliwym jękiem opadła na krzesło w omdleniu.

Nad nią stał on, trupio blady, z posiniałemi wargami, z oczyma, w których migotały błyski wściekłości.

— Odepchnęła!.. — szeptał i zęby zaciskał ze zgrzytem.

A tymczasem do celi, na jęk Halszki, wbiegła przeorysza z O. Gedeonem i rzuciła się ku Halszce.

Nacierała wodą jej skronie a na Kazimierza patrzyła z surowym wyrzutem.

— A mówiłam — rzekła z cicha — przedstawiałam, że ona takich wzruszeń nie zniesie...

Kazimierz zaś myślał:

Czego chce tutaj ta mniszka? jakiem prawem staje między nim a Halszką, która była przecież żoną jego, jego własnością? Jakiem prawem ona zdaje się jej bronić i osłaniać przeciw niemu?

I patrzył z rosnącą wściekłością, jak zakonnica ujęła w łagodne objęcia głowę Halszki, a ona jak dziecko tuliła się do niej ze drżeniem. Ruch jej zdawał się mówić: — Utul mnie, matko, ochroń!...

Zaciskał pięści i nie słyszał uśmierzających słów O. Gedeona, który odciągnąć go się starał.

Wtem zakonnica zwróciła się ku Kazimierzowi i szepnęła:

— Przychodzi do siebie... otwiera oczy... Wyjdź waćpan! wyjdź!

Usta Kazimierza skrzywiły się kurczowo i ze ściśniętej krtani wydobył się szyderczy, chrypliwy śmiech:

— Ha! ha!... kto mię wygania?... ostanę tu...

Halszka drgnęła. Śmiech ten i słowa przywróciły jej przytomność. Uwalniając się z objęć mniszki, zwróciła ku małżonkowi spojrzenie jeszcze mgłą omdlenia zaćmione. Jej blade, drżące usta usiłowały się uśmiechnąć i wyszedł z nich szept urywany:

— Proszę... matko... niech ostanie... on dobry!.. jam jeszcze niemocna... nabawiam was strachu... darujcie!

A na te słowa cała wściekłość Kazimierza zgasła; stał teraz, jak winowajca, chyląc głowę, tłumiąc łkanie, które mu pierś rozrywało.

— Jam jest dziki zwierz — myślał — a ona święta...

Zbliżył się, pochylił, ucałował jej zimną, wychudłą rękę i wybiegł szybko.

Gdy zaś znalazł się w swej celi, chwycił go płacz ogromy.

Odtąd stał się, jak gdyby innym człowiekiem. Często odwiedzał Halszkę, ale gwałtowność swą trzymał na wodzy, patrzył na nią z głęboką czcią i miłością, a słów jej słuchał w milczeniu, upajając się dźwiękiem jej głosu.

— Mów tak do mnie, mów! — prosił nieraz, siedząc u jej stóp.

A ona wszystkie skarby swej dobroci starała się przelać w jego zbolałą i rozgoryczoną a namiętną duszę.

Z obawą zrazu, pomna dawnych wybuchów, lecz potem coraz śmielej mówiła mu o Zochnie, o obowiązkach względem niej, o swem pragnieniu, iżby to dziewczątko bogobojnie wychowane było.

Halszka miała zawsze głębokie przeświadczenie, że wszystkie nieszczęścia, jakie ją spotkały, były karą Bożą za jej występną dla Bogusława Radzi-

wiłła miłość; a jedyną obawą jej było, że jeśli grzech w pełni odpokutowanym nie będzie, kara ta przejdzie i na jej ukochane dziewczątko. Pamiętała też i o tem dobrze, że wina jej wprowadziła w zamęt umysł jej małżonka, który w porywach rozpaczy śmiał nawet bluźnić Bogu i kary kościelne na siebie był już ściągnął, za jakoweś dyskusye i dysputy religijne. Pokuta więc jej dopóty nie mogłaby być zupełną, dopóki on, Kazimierz, w niej udziałuby nie wziął, dopóki nie odwołałby swych bluźnierstw i szczerem sercem się nie nawrócił. A jakiż teraz był stan jego duszy?

Długo nie śmiała Halszka poruszać tej sprawy, aż raz wreszcie zagadnęła:

— Bywasz ty, Kazimierzu, w świątyni Bożej?...

On z widoczną odpowiedział niechęcią:

— Mieszkam w klasztorze... więc muszę...

Zimny dreszcz ją przeniknął. Nie z własnej przeto woli, nie z potrzeby modlitwy!

— Zaniepokojona wypytywać poczęła o to w kilka dni potem O. Gedeona, który odwiedzić ją przybył. Ale ksiądz nic bardzo pocieszającego zwiastować jej nie mógł.

Jest w nim — mówił — dziwna krnąbrność ducha a zawsze pycha umysłu, któryby chciał wszystko zbadać i wszystkiego dociec. On chciałby czynić inaczej niż wszyscy, a to, w co wszyscy wierzą, już dla tego samego zda mu się być wątpliwem. Pracowałem ja nad nim wiele, ale dotych-

czas z tym jeno rezultatem, że się nie zrywa do jawnego buntu. Od pewnego czasu widzę w nim wszakże uspokojenie znaczne. Od ciebie, córko, zależy, aby do jego skołatanej duszy zupełna wróciła pogoda i aby spłynęła na niego łaska wiary...

A widząc Halszkę zasmuconą wielce, dodał jeszcze:

— Módlmy się gorąco i miejmy nadzieję... Twoje pobożne działanie i miłość jego dla córki powinny w nim obudzić dawną żarliwość wiary i dawną miłość Bożą...

Miłość jego dla córki! Tej Halszka dotąd dopatrzeć się nie mogła. Przy pierwszem powitaniu Kazimierz był zimny i jakby niechętny, a Zochna, ujrzawszy człowieka, nieznanego sobie, którego zwać jej kazano rodzicem, przerażona jego ponurą twarzą i przenikliwym wzrokiem, tuliła się do matki, szepcąc jej do ucha:

— Ja się boję...

Nie poprawiło się to i później, chociaż Halszka, ilekroć Kazimierz przyjść miał, przywoływała Zochnę. Dziecko zalęknione wnet traciło swobodę, a on wpatrywał się w nie sztywnie i ponuro.

Raz rzekł do Halszki:

— Ona dziwnie do ciebie podobna...

Powiedział to tonem jakby wymówki, że w rysach Zochny nie mógł dopatrzeć żadnego do siebie podobieństwa.

— Oby była szczęśliwsza! — westchnęła Halszka.

— Będzie bardzo piękna!... — dodał Kazimierz, nie łącząc się z życzeniem małżonki.

Trwało to tak, aż Halszka nie poczuła się na siłach klasztor opuścić. Były to dni wielkiej dla Kazimierza radości, tak wielkiej, że nawet Brzoska, który teraz codziennie niemal go odwiedzał, witany był uprzejmie. Dusza jego była tak pełna szczęścia, że nie było już w niej miejsca na żadną zawiść lub gniew.

Zajęty był cały teraz urządzeniem dawno opuszczonego dworku na przyjęcie Halszki, w czem mu wielce umiał być pomocnym stolnik. Kazimierz dziękował mu z wylaniem, a Brzoska rzekł:

— Nie dziękujcie... Pragnąłbym, abyście się na większych rzeczach przekonać mogli, jako ja całem sercem gotów jestem okupić moje względem was przewinienia...

A korzystając z dobrego usposobienia Łyszczyńskiego, począł wnet żalić się na swą niedolę i nędzę.

— Lecz cóż ja mogę! — biadał — co mogę? I na marne życie nie starczy...

Kazimierz zaś przerwał:

— I ja radbym okazać wam, iż żalu nie chowam. Gnębił was tam kondemnatami brat mój Witold i za dawne porachunki Niewodnicę wam wziął... Napiszę do niego, iżby wam ją zwrócił, albowiem ja pretensyi moich się zrzekam...

Ale stolnik głową chwiał i kurczył twarz, aby okazać wzruszenie.

— Byłoby to — rzekł stłumionym głosem — wielkie dobrodziejstwo dla mnie, ale ani od was ani od Witolda wymagać tego nie mogę, nawet na sumieniu lżej mi jest teraz, żem wam należność mą spłacił. Dacie mi kiedyś na stare lata przytułek w owej biednej, niegdyś mojej Niewodnicy... to wszystko. Teraz jeszcze pracować mogę i pracować chcę... Sprawy publiczne mnie nęcą...

— To się im oddajcie... — wtrącił Kazimierz.

Stolnik ramiona roztworzył.

— Ano trudno!... Teraz jest taki czas, że bez dobrego słowa za sobą nic wskóracie nic. Los złośliwy zrządził, iż ja w ostatnich czasach musiałem służbę wziąć u podskarbiego Morstina. To jest znienawidzony człek, który u wszystkich ufność postradał. Któż w to uwierzy, jakom ja sam tę służbę porzucił, nie chciałem bowiem w spiski przeciw królowi się mieszać... Czyniłem już ja różne starania, iżby na dwór kanclerza lub hetmana Paca się dostać, ano nadaremnie... Wiem ja, że was Pacowie mają w estymie wielkiej... gdybyście tak chcieli...

Propozycya ta nie była snadź Kazimierzowi dogodną, bo wymijająco rzekł:

— Ja tam nie wiem, żali który z nich uczyniłby co dla mnie...

— A wszakże — podchwycił Brzoska — i kan-

clerz i hetman, przybywszy do Wilna, odwiedzali was w klasztorze... wiem, że to są koneksye dawne, jeszcze od czasów ś. p. rodzica waszego... Wasze słowo dużo u nich waży...

Zbliżył się do Kazimierza i, chcąc go ostatecznie zjednać, dorzucił z cicha, jakby nieśmiało:

— Bo ja wam powiem szczerze... Ja muszę teraz z Wilna precz. Gdy małżonka wasza klasztor opuści... nie chciałbym rzucać jej się w oczy... Ona mi przebaczyła, ale zawsze takie wspomnienie!... A jabym nie chciał i na jedną chwilę jej i wam odzyskanego zamącić spokoju...

Kazimierz niemal z wdzięcznością spojrzał na zmieszane oblicze stolnika i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Zacnieś to pomyślał i dobrześ to powiedział... Nie mnie, ale ją oszczędzać trzeba... Napiszę do kanclerza...

Oczy stolnika zabłysły radością. Nie spodziewał się nawet tak łatwego zwycięstwa.

— Nie potrzeba pisać — dorzucił szybko — kanclerz właśnie wczoraj przybył do Wilna, wraz z bratem swoim Mikołajem Stefanem, ex-kasztelanem wileńskim...

— Jakto ex-kasztelanem? — spytał Kazimierz, który o całym świecie teraz zapomniał.

— A to nie wiecie nic? — zaśmiał się Brzoska. — Panu kasztelanowi tak dokuczyła małżonka, Tryznianka *dc domo*, że postanowił ziemskie rzucić

zaszczyty i poświęcić się duchownemu stanowi, na co pani kasztelanowa, równie pono owem małżeństwem zniechęcona, chętnie urzędowym aktem zezwoliła. Ale że za niektórymi ludźmi zaszczyty tak chodzą, jak za mną bieda, przeto pan kasztelan, zaledwie mniejsze święcenia wziął i zaledwie biskup Sapieha oczy zawarł, już na stolicę wileńską mianowany jest... Właśnie też przybył tu z bratem, iżby kapitułę sobie zjednać i przeciwnościom jakim zapobiedz...

— A toś mi waćpan nowinę zwiastował? — zawołał Kazimierz, mocno tem zainteresowany. — Będę u kanclerza!

I z wielką ochotą dnia jeszcze tego tam poszedł.

Kanclerz przyjął go niezwykle uprzejmie, a dowiedziawszy się, jakie zmiany zaszły w jego życiu, uradował się tem wielce.

— To dobrze — rzekł — że waćpanu lżej na duszy. Będziesz mógł pożytecznym być i wrócić do czynnego żywota. Nam bardzo teraz dzielnych ludzi potrzeba. Wiem, żeś naszemu domowi oddany; Otóż przed tobą taić nie będę, że z nami jest źle...

— Jakto! — zawołał Kazimierz — przecież potęga prześwietnego domu Paców nie była nigdy jeszcze tak wielka!

Kanclerz wydął grube wargi.

— Tak — potwierdził. — Ale i niebezpieczeństw tak wielkich jeszcze nigdy nie było...

— Przecież król... — wtrącił Łyszczyński.

Pac ręką machnął.

— I o taką lalkę nawet walczyć potrzeba... aż nieraz obmierzienie bierze. W stolicy walka z podkanclerzym Olszowskim o wpływ na króla, coraz bardziej zacięta... A tu na Litwie Sapiehowie rosną.. Po nad wszystkimi zaś góruje ten, którego poprzedza wszędy zwycięstwo, a za którym idzie sława.. Sobieski!

Kanclerz w wielkiej pasyi chodził po pokoju, rękami machał i mówił jakby sam do siebie:

— Rzecz niesłychana! Ze szczupłemi siłami rzucił się na Doroszeńkę i ordę... Zdawało się zginie... Otóż nie! Rozgromił!

Zatrzymał się przed Kazimierzem i wytrzeszczając na niego wielkie swe a mętne oczy, rzekł:

— Na Litwę jeszcze wieść nie dotarła o tych zwycięstwach... Ale ja wiem... Wszystkie tam grody poddają się Sobieskiemu, a on idzie niepowstrzymany dalej... Teraz jest pod Winnicą a może już ją zdobył! Wróci jak tryumfator, jak król... gdzie zaś! większy, niż król... A my przecie tego dopuścić nie możem!...

Łyszczyński od czasu swego wyjazdu z Warszawy tak był daleki od intryg dworskich, tak odwykł od takiej mowy, że słowa kanclerza wydały mu się nietylko dziwne, ale przerażające.

Jakto? więc kanclerz wielkie zwycięstwa hetmana uważał za klęskę?...

Milczał chmurny, a Pac usiadłszy mówił dalej, spokojniej:

— Ale korzyści on nie osiągnie, nie! Cóż z tego, że odbił Ukrainę, ale się tam nie utrzyma... Zobaczysz! I do jesieni się nie utrzyma... Wojsko litewskie nie pójdzie na pomoc... Jużeśmy tak z hetmanem litewskim ułożyli. Ani jednego żołnierza nie puścim... Wojsko niepłatne zwiniemy i basta!...

Kanclerz tak był zajęty swoimi planami i tak wzburzony Sobieskiego sławą, że na Łyszczyńskiego nawet nie patrzył. A twarz Kazimierza mieniła się dziwnie. Był taki moment, że całej siły musiał użyć, aby nie wybuchnąć i nie krzyknąć:

— To zbrodnia, co wy czynić chcecie!

Ale się zmiarkował. Czuł bowiem, że jego protest nic tu nie pomoże, a dowiedzieć się chciał, do czego kanclerz zmierza, mówiąc mu o tem.

Po chwili też kanclerz rzekł:

— Waćpan dawniej miałeś tu znaczne wzięcie wśród szlachty... jednać ją sobie umiałeś wymową, którą nawet w stolicy chwalono... Otóż my na waćpana wiele liczymy... Na sejmikach...

— Mości kanclerzu — żywo przerwał Kazimierz — jam już nie ten, co dawniej... Zgniotło mnie nieszczęście...

— Ale już sobie precz poszło... — wtrącił kanclerz — więc teraz czas...

— Czas użyć choć momentu spokoju... — znów przerwał Łyszczyński.

Dopiero teraz podniósł na niego oczy Pac i wpatrzył się bacznie.

Za moment wstał i zwolna przechadzać się począł po komnacie.

Nagle zatrzymał się i nie patrząc już na Kazimierza, mówił z naciskiem:

— Tobie może na myśl przychodzi, że to jest złe, co my czynimy. Zasiedziałeś się w klasztorze i straciłeś rozumienie rzeczy publicznych. Więc ja ci powiem krótko: Jeśli Sobieski wróci z tej Ukrainy, jako tryumfator, jeśli ją zdoła w swych ręku utrzymać, to wiesz co się stanie?... Stanie się to, czego oddawna pragną Sobieski i Prażmowski prymas... Oni spiski knują przeciw Majestatowi, to zdrajcy! Michała złożą z tronu, a Francuza wprowadzą, może zaś pan hetman hospodarem zechce być? Cha! cha!... Oni wszelkiemi drogami do celu dążą... Oni już nawet o rozwodzie królowej Eleonory myślą i z rezydentem cesarskim w konszachty weszli, aby pomoc rakuską zyskać. Eleonora na rozwód możeby się zgodziła, ale ona Karola Lotaryńskiego, nie Longuevilie'a, chce... Im zaś wszystko jedno, byle Korybuta znieść, byle nas zdeptać i swoją ugruntować potęgę... Oni nawet nie zawahaliby się niebezpieczeństwa wojny tureckiej na kraj ściągnąć, byle Sobieski mógł nowe odnieść tryumfy i nimi usłać sobie drogę, kto wie, może do tronu...

Kanclerz znowu zapalać się zaczął i umilkł nagle. Kazimierz zaś rzekł:

— To, zaiste, nie do wiary, aby tak niecne plany...

— A widzisz... a widzisz... — wtrącił żywo Pac. — Nie do wiary, a prawda! Rozejrzyj się waść, a sam się przekonasz... Przeto jeśli my, ja i pan hetman litewski, nie chcemy wojska litewskiego słać, iżby niecnym spiskom pomocy nie dawać, żali źle czynimy?... Jeśli ci taka myśl przyszła, to ją wyrzuć. My stajemy w obronie prawa i Majestatu. Niedołężny jest Król, to prawda... Ale to wybraniec narodu i pomazaniec Boży, więc my przy nim, do ostatniej kropli krwi!...

Ostatnie słowa wypowiedział Pac podniesionym głosem i pięścią grzmotnął się w piersi.

Kazimierz nie wiedział już teraz, co o tem wszystkiem myśleć. W słowach kanclerza zdawała się przebijać szczerość, a to, co mówił, nie było bez podstawy. Jeżeli bowiem malkontenci, z prymasem i hetmanem koronnym na czele, spiski przeciw Majestatowi knowali, to czyż winni byli ci, którzy stojąc przy Królu i pragnąc utrzymania jego władzy, przeszkadzali działaniu tamtych i nie chcieli wojskiem litewskiem popierać zwycięstw, które były zarazem ohydnego spisku tryumfem?

Nie chcąc jednak odrazu mieszać się w te sprawy i broniąc swego, z takim trudem odzyskanego, spokoju, rzekł w końcu:

— Ja przy Waszej Miłości ostanę zawsze, mości kanclerzu... Alem teraz jeszcze niesposobny do czynu. Zaśniedziałem w klasztorze... Przytem małżonka moja dotąd niemocna...

— Wiem... wiem.... — przerwał dobrotliwie Pac — i ani myślę teraz cię odciągać. Idzie mi jeno, abym w waćpanu miał tu w Wilnie wiernego sługę, któryby w razie potrzeby....

— O tem Wasza Miłość niech nie wątpi — wtrącił żywo Kazimierz... — Na każde zawołanie jam na usługi wasze...

Tu mu przyszedł na myśl Brzoska i jego gorąca chęć dostania się na dwór Paców. Począł tedy zachwalać jego przymioty, sprawność i rozum.

A Pac, słuchając, powtarzał:

— Stolnik Brzoska... stolnik Brzoska... A... a... przypominam... Ale on już z niejednego pieca chleb jadł... i pono na królewskim dworze bywał, lecz w nieszczególnej jest tam pamięci...

Na to zaś Kazimierz, przyznawając, iż on sam także z Brzoską dawniej w poróżnieniu był, począł przedstawiać, jako w stolniku zaszła teraz wielka zmiana i że on pragnie jeno dobrej sprawie wiernie i statecznie służyć...

— Więc dobrze — rzekł kanclerz — przyślij mi owego Brzoskę; jeśli sprawny, to przyda się albo mnie, albo panu hetmanowi litewskiemu... Waćpana zalecenie mi starczy...

Gdy zaś Łyszczyński dziękował, Pac dorzucił jeszcze:

— Pomnij jednak waszmość, coś mi przyrzekł, iż w razie potrzeby będziesz mi tu pomocnym... Tymczasem staraj się o to, żebyś między bracią dawną wziętość odzyskał. A że zaległeś nieco pola, trzeba ci będzie jakiś urzędzik ziemski upatrzeć... to zawsze pomaga, powagi dodaje... Wakuje teraz podsędkostwo brzesko-litewskie... Trzeba się postarać, iżby cię szlachta na blizkim zjeździe wybrała, a już ja w tem, że cię Król z pomiędzy wybranych zamianuje...

Kazimierzowi nie zbyt zależało na tem, lecz skłonił się dziękując i już pożegnał kanclerza.

W kilka dni później stolnik Brzoska wpadł do celi Kazimierza rozpromieniony cały. Rzucił mu się na szyję, całował a ściskał. Tak zdawał się wzruszony, że ledwo mówić mógł.

— Niech wam Bóg zapłaci... — jąkał — bo mi chyba żywota nie starczy, iżby się wywdzięczyć...

I uspokoiwszy się nieco, jął opowiadać, jako go kanclerz łaskawie przyjął, ważne misye mu zlecił, dla spełnienia których będzie musiał po całej Litwie wędrować.

— Macał mnie pan kanclerz długi czas — dodał w końcu Brzoska — aby mój umysł spenetrować. Obracał na wsze strony i za język ciągnął, ale przekonawszy się, iżem ja na sprawach publicznych zęby zjadł, a niejednych, zgoła tajnych, świa-

dom jest, bardzo ze mnie począł być rad i zaufaniem obdarzył...

— Jakież to są misye? — zagadnął Kazimierz.

Stolnik się uśmiechnął.

— E, różne — odparł. — Ot naprzykład w Brzeskiem mam tak czynić, iżby was szlachta na zjeździe podsędkiem wybrała...

Kazimierz ręką machnął.

— Więc do dworu kanclerza należeć będziesz? — spytał.

Stolnik zacierał ręce z ukontentowania wielkiego.

— W tem główna rzecz — odparł — że do obu dworu i kanclerza i hetmana... Gdzie będzie potrzeba...

Przypomniały się Łyszczyńskiemu słowa kanclerza; domyślał się łatwo misyi stolnikowi poruczonej i miwowolny zdjął go strach...

— Sobieski tam walczy — myślał — a oni tu tak uczynić chcą, iżby jego zwycięstwa poszły na marne... Piekielna robota!...

I sam teraz uspokajał siebie racyami, które z ust kanclerza słyszał.

Ale długo nie było dziś czasu zastanawiać się nad tem, bo to był właśnie dzień, w którym miał klasztor opuścić i przenieść się do swego dworku, kędy nazajutrz przybywała Halszka z Zochną. Uradowany był tem tak w duchu i zajęty, że wszystko inne w jego oczach malało.

Stolnik ofiarował mu się z pomocą przy tych przenosinach.

Kazimierz się uśmiechnął.

— Nie wielka rzecz! — zawołał — kilka książek i szpargałów...

Oczy Brzoski zabłysły i mimowolnie pobiegły ku owemu stolikowi, w którym kryły się pisma Kazimierza. Gdyby je dostać?... Dobrzeby się było zabezpieczyć przeciw temu, względem którego miało się ciężki obowiązek wdzięczności. A stolnik wdzięczności nie cierpiał... Lecz jak to uczynić?

Niebawem nadszedł O. Gedeon i dał hasło.

— No, Kazimierzu — rzekł — już czas... Chodźmy do kościoła. Ponownie z ciszy klasztornej idziesz w świat... trzeba, żebyś tam szedł z błogosławieństwem Bożem...

W milczeniu poszedł Kazimierz za O. Gedeonem. W kościele zgromadzeni byli wszyscy bracia zakonni, a przy głównym ołtarzu, rzęsiście oświetlonym, stał jeden z ojców, w komżę i stułę przybrany, czekając.

Kazimierz ukląkł na stopniach i pochylił głowę, a ów ksiądz mówić doń począł, rzewnie a gorąco. Był to jeden z tych, który pamiętał Kazimierza jeszcze młodzieniaszkiem, z nim razem nowicyat odbywał i był świadkiem jego ówczesnej żarliwości.

Więc mu to naprzód przypomniał. A potem mówił o pokuszeniach, które najdzielniejszych nawiedzają i o walce z niemi. I sprawiedliwy —

wołał ksiądz — upaść może, a upada zawsze podówczas, gdy pychę dopuści do serca i umysłu swego; gdy sądzi, że sam przez się mocny jest. Lecz ten, który nie jest nieprzyjacielem Bożym, a jeno z krewkości natury ludzkiej padł, dźwiga się z upadku za łaską Bożą i wówczas wie, że słaby, że nędzny i że mu na każdym kroku pomocy, łaski i mądrości Bożej potrzeba. I tą pokorą staje się znów silnym... Z tem przeświadczeniem o własnej niemocy a potędze Bożej, idź więc w świat, Kazimierzu, a bądź tam pochodnią wiary świętej wśród oziębłych i wątpiących. Dał ci Bóg wiele, lecz pomnij, że światło umysłu twego i ogień twojej wymowy nie z ciebie, jeno z Boga jest...

Kazimierz coraz niżej głowę chylił, jakby się lękał, aby oko czyje nie wyczytało mu z twarzy jego myśli. Te zaś były niespokojne i dręczące. Czasem słowa księdza poruszały go i rozrzewniały wspomnieniami dawnemi; duszę jego na chwilę przenikała żarliwość młodzieńczej wiary; czuł gwałtowną potrzebę wyznania jej i swierdzenia. Aż oto nagle zrywał się jakby wielki szum, który zagłuszał i tłumił wszystko. Kazimierz nie słyszał już słów kapłana, lecz słuchał głosu, który mu w duszy syczał szyderstwem:

— Obłuda! to wszystko, co ten mówi, obłuda.. Nie mówiłby tak, gdyby nie czuł w tobie siły i nie chciał cię zjednać... Zakon rozparł się zanadto; ale choć potężny, czuje, że przeciwko niemu

wstaje wszędy nienawiść, więc radby wszystkie wyższe umysły wokoło siebie skupić... Prostaczka nie pielęgnowaliby tak, jak pielęgnowali ciebie, i nie żegnaliby tak uroczyście, jak ciebie żegnają. Ale bo ty znasz ich dobrze, znasz ich słabe strony, górujesz teologiczną wiedzą, śmiałością rozumowań, wymową... Więc jesteś im groźny... Nie mogą cię zdeptać, zgnieść, przeto honory ci czynią... Strzeż się i — nie wierz!

Nagle ucichł i głos kapłana i szyderczy głos w duszy Kazimierza. Ozwał się organ przeciągłymi tony i zabrzmiał śpiew.

— *Salvum fac populum Tuum, Domine!*

Kazimierz dźwignął zwolna głowę.

Z podniesioną w rękach monstrancyą, wśród blasków odbijających się od niej i świateł wysokich gromnic, z twarzą przysłoniętą nieco przejrzystą osłoną, wśród dymu kadzideł, wnoszącego się błękitnemi smugami, stał przed nim kapłan. Oczy utkwił w Przenajświętszą Hostyę z wyrazem głębokiej wiary, a potem nagle je zawarł z czcią ogromną, jakby w uznaniu niegodności swej, jakby porażony potęgą Majestatu Bożego...

On wierzy... — pomyślał Łyszczyński. — I patrzył jeszcze na tę twarz skupioną, a pełną spokoju, oderwaną od ziemi. Byłażby i to obłuda? O, nie, on wierzy ten ksiądz... szczęśliwy!

Pierś Kazimierza podniosła się westchnieniem. I gdy po raz trzeci *Salvum fac* zabrzmiało, a ksiądz

monstrancyą kreślił nad jego głową krzyż błogosławieństwa, on przypadł twarzą do ziemi, poruszony do głębi, szczerze pragnący wierzyć...

Niebawem, po pożegnaniu, Kazimierz wychodził z klasztoru, w towarzystwie stolnika. W ostatnim momencie omal nie zapomniał papierów swoich i owej teologii Alstediusa w kryjówce stołu. Zawrócił się od progu, a za nim pobiegł podejrzliwy wzrok Brzoski.

— Dajcie, ja wam to zaniosę... — ozwał się stolnik uprzejmie, wyciągając już ręce po książkę i papiery.

Ale Łyszczyński ręką machnął.

— E — rzekł — to na spalenie...

Zatrzymał się nawet przy kominie, na którym dogasało ognisko, ale wnet namyślił się inaczej. Rzucił raz jeszcze okiem po celi, w której tyle przebył udręczeń, westchnął, papiery i księgę ścisnął pod ramieniem i szybko wyszedł...

— Niech ocaleje — szepnął — moich męczarni pamiątka...

Stolnik miał jeszcze tegoż dnia wyruszyć z Wilna do Grodna, z poleceniami kanclerza, tedy odprowadziwszy Łyszczyńskiego do dworku, niebawem z nim się pożegnał.

Kazimierz został sam, ale wśród wspomnień, jakie w nim każdy kącik w tym dworku obudzał, porwał go niebawem niepokój okrutny. Godziny wlokły się leniwo, on zaś pragnął, żeby to już

było nazajutrz, gdy Halszka przybędzie, ku której wyrywała się cała jego dusza w namiętnym porywie. Krew spienioną falą uderzała mu do głowy, która pałała.

— Halszko! Halszko! — wołał, biegając po izbie.

A wreszcie nie mogąc wydzierżeć, porwał się i pobiegł na Zarzecze.

Ale do furty zadzwonić nie śmiał; był już bowiem wieczór późny. Snuł się jeno pod oknami klasztoru i patrzył na migające w nich światła. Dopiero nad ranem wrócił do dworku, znużony na śmierć.

Halszka tej nocy także nie zaznała spokoju. Ciężko jej było rozstać się z tą celą, do której przybyła bezprzytomna z rozpaczy, a w której jednak myśl jej wyszła z zamętu i zahartowała się wola. Ciężko jej było żegnać siostry zakonne, a zwłaszcza przeoryszę, która rzeczywiście w tych ciężkich chwilach prawdziwą była jej matką. Lecz najciężej przychodziło jej rozstawać się z tą, która bezwiednie przyczyniła się do obudzenia jej myśli. Zrazu łudziła się, że Maryś z nią pójdzie.

— My się przecież nie rozstaniem — mówiła do niej. — Ty ze mną...

Maryś przyklękła przy niej i wznosząc swe duże, pełne wyrazu oczy, złożyła ręce jak do modlitwy.

— Nie żądajcie tego, pani, ode mnie... nie żą-

dajcie!... To byłaby nadto wielka rozkosz dla mnie, a ja pokutę ślubowała... Tu z tobą było mi za dobrze... Teraz dopiero zacznie się pokuta i tak być musi do śmierci...

Słowa były tak stanowcze, że Halszka nalegać nie śmiała. Ale tak umiłowała tę dzieweczkę pokorną a cichą, że serce się jej krwawiło na myśl o rozstaniu.

Lecz przyszła wreszcie ta chwila. Z brzaskiem dnia, Maryś, jak zwykle, przybiegła do swojej, jak ją zwała, królowej. Przypadła do jej stóp i zaczęła całować jej ręce, kolana, nie płacząc, z głuchem jeno łkaniem.

Halszka pochwyciła ją w objęcia i trzymała długo przy sercu, które omdlewało z bolu. Nie mówiły do siebie już nic, ani się skarżyły, bo czuły, że każda dobrowolnie spełnia obowiązek, i że w tym momencie jedno czulsze słowo lub łza, mogłaby osłabić wolę.

A gdy po nabożeństwie i pożegnaniu z siostrami, o południu dnia tego, Halszka przekroczyła furtę klasztorną i w towarzystwie Zochny i pani Zbikowskiej, szła w świat na niepewne losy, a pewno na nowe walki, czuła, że pozostawia za sobą spokój, tak potrzebny jej skołatanej duszy. U bramy odwróciła się i spojrzała. W dolnej celi, w oknie stała Maryś i w spojrzeniu pełnem smutku posyłała jej całe swe utęsknione serce.

— Maryś! Maryś! — szepnęła Halszka. — I poszła szybko, czując, że jej sił zabraknąć może.

— O, jak ja tej dzieweczce zazdroszczę!... — myślała.

U wrót dworka, niespokojny, rozgorączkowany czekał Kazimierz. Halszka sama prosiła, iżby na pożegnanie do klasztoru nie przychodził; znając go, wiedziała, że go to tylko rozdrażnić może.

Więc czekał na nią u wrót, wypatrując jej wytężonym wzrokiem.

Ona widziała go już zdala i mimowolnie się wzdrygnęła. Postać jego wysoka, chuda, ponura, zdała się jej nieubłaganą jak przeznaczenie, nieugiętą jak obowiązek...

On zaś wybiegł naprzeciw niej i ramiona ku niej wyciągnął.

— Witaj, szczęście moje! — rzekł.

Halszka, podając mu obie dłonie, podniosła na niego wzrok łagodny i szepnęła:

— Oboje wychodzimy z odmętu. Obyśmy nareszcie doznali spokoju!

III.

NA MARNĘ.

Robota wrogów okazywała się skuteczną. Zwycięski miecz Sobieskiego zdobywał mu coraz większą sławę, ale naprzeciw tej sławy wychodziły: złość, zawiść, intryga i nie dozwalały dopełnić zwycięstwa. Cała olbrzymia przestrzeń kraju w sposób cudowny, szczupłemi siłami, oczyszczona z przemożnego najazdu ordy tatarskiej i dzikiej tłuszczy zbuntowanego Doroszenki; Ładyżyn, Krasne, Szarogród, Brahiłów, Bracław i Kalnik — to tyleż świetnych zwycięstw, to tyleż obowiązków wdzięczności Króla i narodu dla dzielnego hetmana, którego orężowi błogosławił Bóg.

Gdy do Bracławia wprowadzono polską załogę, Sobieski, uczyniwszy przegląd sił swoich, rzekł do Jankowskiego:

— Uszczupliliśmy się znacznie w tych zapasach, jeżeli teraz spóźnią wyprawy i posiłki, nie

moja będzie wina... Tak wielka prowincya utrzymać się da jeno wielkiemi wojskami. Inaczej cuduby potrzeba, a Bóg daje nam swą łaskę, lecz cudu *sine necessitate*, nie uczyni.

Tak samo z wielkim żalem powiadali uczestnicy chwalebnej wyprawy: Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski, Hieronim Augustyn Lubomirski, kawaler maltański, Mikołaj Sieniawski, chorąży wielki koronny i Jerzy Ruszczyc, dzielny rotmistrz, który, jako najbliższy w tych zapasach towarzysz Jankowskiego, widząc jego męstwo i niestrudzoną wytrwałość w boju, koniecznie domagał się, iżby go hetman nietylko zaufaniem, ale jakowymś widomym znakiem swej łaski, znacznem dostojeństwem wojskowem wynagrodził.

Lecz Jankowski, jak o łaskę błagał, iżby tego nie czyniono.

— Ślubowałem — rzekł wreszcie — iż w ukryciu zostanę... Tak mi jest najlepiej. Dość nagrody w ukontentowaniu z takiej wiktoryi... Dozwólcie mi tak zostać...

Za przykładem Jankowskiego, szedł ślepo, wierny mu jak pies, Attelmayer. Inaczej jeno swoje racye wyrażał. Ciężko ranny w głowę i twarz pod Winnicą, nie chciał długo na miejscu zostawać, jeno z krwawiącą się jeszcze blizną, która mu prawy policzek i powiekę szpetnie przecinała, brał udział w dalszych walkach, a gdy go sam hetman wynagrodzić chciał i nawet szlachectwo obiecywał,

Attelmayer nizko się pokłonił, a potem głowę hardo podniósł i rzekł, jak zwykle, zuchwale:

— Wdzięczen Waszej Miłości, ale co to, to nie. Ja już tak umrę konsularnym synem i drabem... A mniemam, jako lepiej być ołowianym pankiem, niż złotym służką. Są przytem u nas tacy szlachcice, co to w ośmiu na rynku jedną kozę sprzedają, a wydziwialiby sobie ze mnie, mówiąc: on tak podobny do szlachcica, jak śledź do kuropatwy... A to mnie na co?

Pan Sieniawski, który przy tem był, począł się śmiać i rzekł:

— A toś ty djablo jest pyszny...

— E, mości chorąży! — odparł Attelmayer — pycha, to nie moja rzecz... Wiadomo zaś, jako pycha razem ze szlachcicem w niebie się rodziła, i w piekle z nim mieszka. A ja ani tak wysokiego rodu nie jestem, ani tak ciepłego mieszkania nie pragnę.. Niech koń z koniem ciągnie, a wół z wołem...

Już była późna jesień R. P. 1671, gdy Sobieski, zdobywszy Kalnik, wstrzymać musiał zwycięski swój pochód. Spodziewane posiłki nie przybywały, a natomiast z Litwy coraz gorsze nadchodziły wieści. Z końcem października wiedział już Sobieski, że wojsko litewskie za przyczyną Paców zwinięto!

— Prędzejbym się milion razy śmierci spo-

dziewał!... — wołał hetman z rozpaczą — aniżeli tego, co się w wojsku litewskim stało!

Nie było jednak rady. Musiał cofnąć się za Boh pod Bracław i tu zwoławszy koło jeneralne, ogłosił koniec wyprawy i szczupłe swe wojsko rozpuścił na leże zimowe.

— Wszystko na marne! wszystko!... — mówił z rozpaczą.

Do Jankowskiego zaś rzekł:

— Zdaję komendę Dymitrowi Wiśniowieckiemu: może Król Jegomość łacniej krewniakomi swemu, niż mnie z pomocą przyjdzie... Ja zaś do Lwowa wracam, bom jest chory... złamany... Ty, miły mój, na Litwę jedź, a spenetruj, co się tam dzieje... jakie tam piekielne roboty czynią?.. Bo nietylko zbuntowano wojsko i zwinięto, lecz jeszcze na mnie ohydne rzucają kalumnie. Tedy jedź waćpan tam, a jako naoczny świadek, coś tu widział, opowiadaj... Zabierz swoją gromadkę i głoście nasze tu krzywdy... Może słowa wasze jaki skutek odniosą.

Jakkolwiek z przykrością, nie opierał się temu rozkazowi Jankowski i już w początkach listopada wraz z nieodstępnymi towarzyszami swymi był w drodze ku Wilnu. Jeden tylko Attelmayer, który już tęsknił do Lwowa, podążył tam ze świtą hetmańską.

— Ja wam, mości rotmistrzu — mówił — nie przydam się na tej Litwie zgoła, a nawet poszko-

dzić mogę, bo gębę paskudną mam, co wszystko wygada, o czem głowa myśli, a tym zdrajcom i buntownikom litewskim pewnieby nie darowała... Jak będzie potrzeba, to ja się przy was znajdę... bom pomny ślubowania swego...

Pożegnał go tedy Jankowski bardzo czule i męstwo jego chwalił, na co drab:

— Nie godzienem żadnej pochwały... Szabla tatarska ozdobiła mi jeno twarz, która była dotychczas bez rycerskiego znaku. Gdy konsulowie, albo ławnicy lwowscy moją bliznę obaczą, to zgłupieją do reszty...

Ale przestał się śmiać, gdy nadszedł moment rozstania. Krwawa powieka zaczęła mu drgać, więc szybko schwycił za kolana swego umiłowanego rotmistrza, ręką machnął i uciekł pędem...

Jankowski przybywszy do Wilna, gorzej tam wszystko zastał, niźli się spodziewał. Wojsko całe było w jawnym buncie, a wśród szlachty wielkie przeciw Sobieskiemu wzburzenie. Jakaś niewidzialna ręka kierowała tem zręcznie; szły pogłoski potworne, niewiadomo przez kogo szerzone. Różni zbiegowie z obozu Sobieskiego — mówiono — świadczą, jako to jest człek okrutny a dziki, który całe wojsko na mięsne wydał jatki, który w Winnicy straszliwej rzezi się dopuścił, który pieniądze, przez króla na żołd wypłacone, sobie zatrzymał.

Jankowski, słysząc to, ręce załamywał z roz-

paczy. Cóż on mógł poradzić z kilkoma towarzyszami swymi przeciw tej potwarzy, która jak potwór wielogłowy szła rosnąc, mnożąc się i rozszerzając, a wszędy ślad ohydny zostawiając posobie?...

Dowiedziawszy się, jako Łyszczyński w uspokojeniu teraz, a w zgodzie z Bogiem i ludźmi, z uzdrowioną małżonką w swoim dworku mieszka, ucieszony tem wielce, zaraz tam pospieszył.

Radość była niezmierna obu dawnych kompanów: Jankowski zauważył zaraz, że twarz Kazimierza straciła swój wyraz ponury, a rozpromieniła się radością, gdy weszła Halszka powitać gościa. Ale ona wydała mu się cieniem, bladem widmem, które nie chęć, jeno obowiązek życia poruszał. Z nieokreślonym jakimś bolesnym uśmiechem na ustach, słuchała, gdy Jankowski opowiadał o Sobieskiego dzielności i zwycięstwach.

— To iście chrześcijański rycerz! — wołał on z zapałem. — Laska i moc Boża są w nim, bo inaczej trudno byłoby pojąć, jak człek śmiertelny tyle trudów znieść może. Od świtu do późnej nocy na koniu, sam ciągle w ogniu, nieustraszony i nieugięty, jest przykładem dla wszystkich... Pomnę pod Bracławiem... Ścigaliśmy Tatarów, a szliśmy dzień i noc przez bagna, wody, moczary straszliwe, aż do samego Bracławia, kędy w górnem mieście osadzili się serdeniata, a w dolnem Tatarowie... Tedy rzekł pan hetman: Skoczymy między nich,

między te dwie mieście i rozdzielimy doroszeńkowych od ordy. Była jeszcze noc, gdyśmy tam z wielkim impetem a hałasem skoczyli... «Z nami Bóg!» — wołał hetman i pruł się sam naprzód... Stał się sądny dzień... Krzyk, wrzask, tumult, jęki. Serdeniata bili w dzwony, a Tatarowie, spostrzegłszy, że są od nich odcięci, rzucili się z dzikim wrzaskiem uciekać w pole. Rozlecieli się złodzieje, jak ptaki, a my z hetmanem za nimi, co koń wyskoczy... Biegłem tuż przy nim... i widziałem wówczas dobrze jego oblicze, promienne, jakby natchnione. Dyszał ciężko, ale nie folgował.

— «Tatarów gonić trudno — rzekł do mnie — ale z nami Bóg i Najświętsza Matka!» Aż tu nagle, Jezus Marya! jak z pod ziemi wyrosło wkoło nas z dziesięciu może Tatarów. Widzę ja, nad hetmana głową szablica krzywa i dwoje oczu błyszczy, jak szatańskie, tuż przy mnie... Nie było momentu do stracenia... Palę z pistoletu, równocześnie hetman mieczem tnie... Oczy zamigotały i zgasły... A tu już nadbiegli pan Aswerus, komendant barski i młodziuchny a grzeczny rycerzyk p. Nowowiejski. Pierwszy odrazu jednego Tatarzyna szpadą przebił, a p. Nowowiejski ze swymi dwoma kompanami, dwóch innych jeńcem wziął... Inni uciekli. Wybłysnął świt, a potem zaczął się upalny ranek, my zaś bez tchu lecieliśmy dalej. Ci zaś Tatarowie, jak gdyby skrzydła mieli; lecz popłoch ogarnął ich wielki... Rzucali wszystko nam pod

nogi: najprzód jeńców, których byli pobrali, potem mięsa różne i żywność, potem z pod siebie wyrzucali siodła, a wreszcie, iżby im lżej było, burki, wojłoki, nawet suknie wierzchnie i koszule... A nasi siekli ich i chwytali. Bieżeliśmy tak z mil ośm bez ustanku... Natłukliśmy tego tałałajstwa co nie miara, kilku możniejszych żywcem wzięto, reszta zaś potopiła się w rzece na przeprawach. Cały jasyr odbiliśmy... I tak zawsze i tak wszędzie...

Jankowski mówił z wielkim ogniem, Halszka słuchała go z zapartym oddechem; na blade jej policzki wybiegł żywy rumieniec. Natomiast Kazimierz nie okazywał żadnego wzruszenia, raczej nieufność czy powątpiewanie, a gdy rotmistrz skończył, ramionami dźwignął i rzekł:

— Waćpanu nigdy nie brakło zapału... Ale tu na Litwie nieco inaczej mówią o panu Sobieskim...

— Wiem o tem! — przerwał z goryczą Jankowski — i to jest rzecz najniegodziwsza... Złe duchy pracowały nad tem, iżby tak świetną wiktoryę na marne puścić... Cały kraj kresowy z najazdu wyzwolony, a cóż się z nim stanie, gdy sił niema, aby go utrzymać? Na czyjeż to spadnie sumienie?...

— Ja tam z wami o to sporzyć nie będę — odparł Łyszczyński — bo tych spraw nie bardzo jestem świadom, a myśl moja i serce były zbyt długo od nich oddalone. Ale spytajcie stolnika

Brzoski... on jest teraz tutaj, w Wilnie, a bywał po całej Litwie i Koronie...

— Stolnik Brzoska... stolnik Brzoska... — powtarzał Jankowski, jakby przypominając sobie — ależ to wierutny infamis, który z rezydentem brandenburskim Brandtem...

— Co tam było, to było — przerwał Kazimierz — i ja niezbyt mu dufałem, bo swego czasu na mnie godził i życia szmat mi zatruł... A no, biedny był, to, jak to mówią, djabła nawet za ogon ciągnął... Ale teraz, to stateczny człek... Jest na dworze kanclerza Paca, a oddaje usługi i hetmanowi litewskiemu, był nawet pod Dubienką, kędy to rozwiązanie wojska litewskiego nastąpiło...

Gdy tych słów domawiał Łyszczyński, drzwi się otwarły i cicho, swoim zwyczajem, wsunął się do izby stolnik.

Na korne pozdrowienie Brzoski, Halszka odpowiedziała lekkiem skinieniem głowy i wyszła, on zaś zoczywszy rotmistrza i poznawszy go odrazu, żachnął się i cofał, jakby umknąć chciał.

Rotmistrz przenikliwym patrzył nań wzrokiem. Trudno było teraz rozpoznać dawnego stolnika, tak był zmieniony i strojny, a przytem wąsy zapuścił długie i brodę. Jeno oczy zawsze, jak dawniej, biegały niespokojnie po kątach, jakby czegoś szukając.

Spotkanie się z rotmistrzem było mu snadź bardzo niemiłe, ale się wnet zmiarkował i, przy-

stępując bliżej, cały w ukłonach, rzekł głosem, któremu łagodne chciał nadać brzmienie:

— Nie wiem, czy pan rotmistrz raczy przypomnieć sobie...

— O, pamiętam! — szorstko przerwał Jankowski — chociażeś waćpan do niepoznania się odmienił...

— Bóg łaskaw na swego mizernego sługę — odparł kornie stolnik — a i ludzie są dobrzy. Wszystko, co dziś mam, zawdzięczam i głośno to mówię, imćpanom Łyszczyńskim, którzy nietylko, że ojcowiznę moją, Niewodnicę kościelną, wrócili mi, pretensye swe, słuszne pretensye, na lata rozkładając, lecz jeszcze dali sposób do życia i służby pożytecznej na dworze przemożnych Paców...

— Dziwne waść przechodzisz koleje — wtrącił rotmistrz z widoczną pogardą — od rezydenta brandenburskiego...

— Och, nie wspominajcie, mości rotmistrzu, tych czasów! — zawołał Brzoska — sumienie ciągle o to mnie szarpie, żem bezwiednie stał się narzędziem zguby tego nieszczęsnego Kalksteina!...

— Cóż z nim? — porywczo spytał Jankowski.

— Źle, bardzo źle!... — westchnął stolnik. — Imćpan hetman Pac i pan kanclerz bardzo się tem zajmują, ale pono nikt już nie poradzi nic... odkąd Król Jegomość i podkanclerzy Olszowski zapomnieli o sprawie.

— To nie może być!... — zawołał Jankowski.

Stolnik uśmiechnął się szyderczo i ramionami dźwignął.

— Jak to widać — rzekł — że pan rotmistrz rycerskiem rzemiosłem się bawi i w obozie przebywa... Toż nie wiecie nic... Ja zaś z polecenia hetmana litewskiego byłem i w Królewcu i w Kłajpedzie i w Berlinie...

— I cóż? i cóż? — pytał Jankowski, i zapominając na moment o swoich wstrętach, chwycił stolnika za rękę. — Mówcie!

— Serce się kraje mówić! — ozwał się Brzoska, pochylając głowę. — Przedewszystkiem Król, widząc, jako misya Opackiego żadnego nie odnosi skutku, tego posła nadzwyczajnego odwołał. Elektor wolniejsze już miał ręce. Teraz zaś jest pewny, że traktaty welawsko-bydgoskie, dające mu niezawisłość, stanowczo zatwierdzone będą, że hołdu z Lauenburga i Bytowa nie złoży, że zagrabiony Drahim przy nim zostanie, że...

— Skądże ta pewność?... — przerwał żywo Jankowski.

Brzoska rad z wrażenia, które wywarł, podniósł głowę i uśmiechnął się szyderczo:

— Skąd? — powtórzył — to wy najlepiej wiedzieć powinniście... Przecież pan hetman wielki koronny Sobieski nieustannie straszy Króla niebezpieczeństwem wojny tureckiej... przecież pan hetman, nie poprzestając na tem wywoływaniu

krwawego widma, grozi konfederacyą wojskową, detronizacyą Króla Jegomości...

— To fałsz!... — krzyknął rotmistrz.

Oczy Brzoski zamigotały zielonawym blaskiem.

— Fałsz, powiadacie, mości rotmistrzu?... Otóż na dowód, że prawda, tyle jeno wam powiem: Wiadomo nam tu dobrze, że w obozie hetmańskim, przez cały czas kampanii, przebywał wysłannik francuski, opat Paulmiers, pod przybranem nazwiskiem Jana Bardouini, kawalera de Sacconay; wiadomo nam, że prymas Prażmowski wyrobił mu podstępem u króla patent z pieczęcią, w którym król, dobry a łatwowierny, wrzekomego kawalera tego, wraz z jego dworzaninem, który się zwie w istocie Ulryk Werdum, a nosi również fałszywe nazwisko Gracyana Ulryka, jako królewskiego indziniera wszystkim officyerom zaleca; wiemy, że ów indzinier, a w istocie opat, przybył do obozu z wielką paradą, w moderunku rycerskim, z ogromnym dworem, że miał piękne wierzchowce, trzy wozy do taboru i prowiantu, masztalerzy, kucharza, paziów... słowem, wystąpił, jak sam książę de Longueville, którego forytuje... cha! cha!

Gdy to mówił Brzoska z wielkiem szyderstwem, Jankowski odwrócił się ku oknu i milcząc patrzył posępnym wzrokiem na spadające zwolna z chmurnego nieba płatki śniegu. Serce mu biło gwałtownie, bo wiedział, że to, co mówił stolnik, było prawdą i drżał na myśl, jakie niebezpieczeń-

stwo grozić mogło Sobieskiemu z odkrycia tej tajemnicy, pilnie strzeżonej. Kto mógł ją zdradzić, nie pojmował. A teraz, cóżby pomogło, gdyby przeczył, lub gdyby zaręczał, że w ciągu całej kampanii hetman w żadne konszachty z owym indzinierem wdawać się nie chciał, i że z wielkiem niezadowoleniem cierpiał go w obozie, gdzie mu był nasłany. Po chwili rzekł jednak:

— A któż go, tego indziniera, przysłał? Może i to wiecie, bo ja wiem tylko, że pan hetman cale z tego kontent nie był...

— He... he... — zaśmiał się Brzoska — kto go przysłał? To tylko zręczna intryga prymasa... Aż do wiedeńskiego dworu trafił!... Zalecił go tam książę Mantuański, a Cesarzowa Jejmość zaleciła królowi Michałowi, który mu i patent i pasport wydał...

— Przeto stało się to bez woli i wiedzy hetmana!... — próbował bronić Jankowski.

— A to już jeno sam Pan Bóg wie — odrzekł stolnik, który widząc pomieszanie rotmistrza, cale otuchy nabrał; usiadł i rozparł się wygodnie w krześle.

— W sumieniu ludzkiem czytać trudno... — dodał po chwili — można jeno z czynów poznać, co się tam dzieje, a te czyny...

— Zamilcz waść! — krzyknął rotmistrz, zwracając się nagle ku Brzosce całą postacią i wyiskrzonym mierząc go wzrokiem — o czynach

hetmana nie wam sądzić! Jego bohaterstwo, jego dzielność widzieć trzeba...

Twarz stolnika pobladła, oczy znów strzeliły iskrami tajonej złości, ale odparł spokojnie:

— Źle jest, mości rotmistrzu, że przybywszy na Litwę, iżby opinię ku panu Sobieskiemu skłonić, milczeć każecie tym, którzyby wam najlepiej i odrazu powiedzieć mogli, że tu nie wskóracie nic... Trudu szkoda...

Starły się gniewne spojrzenia rotmistrza i Brzoski, ale tym razem stolnik nie cofnął wzroku, patrzył zuchwale.

— Zobaczymy! — mruknął Jankowski.

— Trudu szkoda! — powtórzył stolnik — a jeśli chcecie, powiem krótko, dlaczego...

— Mówcie...

— Bo my tu, zdala będąc, widzimy lepiej niż wy, olśnieni zblizka rycerską dzielnością hetmana. I tu jej nikt nie przeczy, ale jakież działanie i ku czemu zmierza? A wiecie wy, dlaczego wojsko litewskie nie poszło wam z pomocą i zwinęło się?...

— To zdrada nikczemna! — wybuchnął Jankowski.

Brzoska ramionami dźwignął.

— Nie wiem, po czyjej stronie zdrada... — odparł. — Byłem w obozie hetmana litewskiego Paca i sam widziałem. Staliśmy pod Dubienką, gotowi do wymarszu. Aż tu powiadają nam: Pan hetman Sobieski nie chce mieć wojska litewskiego

w krajach koronnych i dlatego furażowania ono w przemarszu mieć nie będzie... województwa koronne prowiantu nie dadzą! A jakże wojować bez żywności?

— Przecież zapłata była wyznaczona wojsku? — wtrącił Jankowski.

Brzoska wzgardliwie ręką machnął.

— Król przysłał sześćdziesiąt cztery tysiące złotych polskich... a jakże to wystarczyć mogło? Żołdu wypłacić nie chciano, a komisarz królewski Gniński najwyraźniej deklarował, że nie dozwoli wybierać w przemarszu żołnierzom żywności lub siana, chyba za zapłatą właścicielom, posesorom lub księżom... Cha! cha! piękna rzecz! To znaczy: do owej sumy przez Króla przysłanej, dopłać, bratku, jeśli żyć chcesz...

— A nas takie wieści dochodziły — przerwał Jankowski — że wojsko było gotowe iść, ale znaleźli się hultaje, dezerterowie z naszego obozu, którym mówić pozwolono i chętny dano posłuch...

— A to jest czysta kalumnia! — zawołał z udanem oburzeniem stolnik. — Żadnych dezerterów nie było... Przybył jeno z waszego obozu bardzo grzeczny porucznik chorągwi pancernej, Branicki. A ten widząc rozpaczliwą pozycyę naszą, radził słusznie nie brać tej odrobiny pieniędzy i wracać do gromady... Pan hetman litewski wszelkich używał środków, aby skłonić wojsko do wymarszu. Gdy stanęło w szyku, zewsząd ozwały się woła-

nia: ‹Nie pójdziemy! na mięsne jatki wydać nas chcą!› Pac perswadował jeszcze, zaklinał, a widząc, że nic nie wskóra, rzekł wreszcie: ‹Skoro iść nie chcecie, zwijam wojsko!...› Uczynił to z bolem serca, ale uczynić musiał...

Jankowski już prawie nie słyszał słów Brzoski. Utkwił w niego wzrok przenikliwy, a podejrzeń pełny i z zaciśniętemi pięściami ku niemu szedł.

— Branicki... Branicki... — powtarzał syczącym głosem — a to jest fałsz najpewniejszy!... Dwóch jest Branickich w obozie naszym, dwóch jeno, a obaj są tam *praesentes*... Przeto ten wasz Branicki, to łotr, sprzedawczyk, zdrajca!...

Brzoska porwał się z miejsca, przerażony wyrazem oblicza i głosem rotmistrza, bardzo groźnym.

A Jankowski następował ciągle na niego i pięścią mu grożąc, mówił:

— To nie Branicki był, słyszysz waść? To byłeś ty, lub tobie podobny służalec...

Brzoska, przyparty do ściany, trząsł się ze strachu.

— Mości rotmistrzu... — bełkotał — na zbawienie przysięgam...

Byłby go jednak Jankowski, którym wściekłość miotała, niechybnie wówczas zbezcześcił i silną pięścią do ziemi przybił, gdyby nie Łyszczyński. Przysłuchywał się on dyskusyi w milczeniu, a rot-

mistrz — i to go jeszcze bardziej drażniło — mimowolnie czuł, że ten jego dawny kompan i przyjaciel, raczej jest za Brzoską, niż po jego stronie. Czuł, że jego słowa odbijają się jeno o uszy Kazimierza i giną bez echa.

Widząc też, iż Jankowski nie posiada się już z gniewu, Kazimierz pospieszył stolnikowi z pomocą. Ujął za ramię rotmistrza.

— Samuelu — rzekł stanowczo — pomnij, jako imćpan Brzoska jest pod moim dachem...

Jankowski wnet ochłonął. Odstąpił od stolnika i mruknął jeno:

— Masz słuszność... szkoda pięści...

A Brzoska, poczuwszy się bezpiecznym, już śmiał się szyderczo. Nie odchodząc ode drzwi, przez które rychło umknąć mógł, ozwał się:

— Teraz jest taki czas, iż wszelakie prywatne animozye i pomsty na później odłożone być muszą... Ale ja waszych obelg, mości rotmistrzu, nie zapomnę... A teraz dam wam nawet dobrą przestrogę... Miarkujcie się, bo z wami i z tym, który was tu posłał, może być źle. Nie taiłem przed wami, jako my wiemy o wszystkiem, nawet o francuskich posłach w obozie hetmańskim i o punktach zamierzonej konfederacyi wojskowej i o postanowieniu detronizacyi niedogodnego wam Króla... A to jest dopiero piękna zdrada i *crimen laesae Majestatis*... Sejm przyszły będzie miał dużo z tem do roboty, pomimo niebezpieczeństwa wojny ture-

ckiej, którą z umysłu, dla lepszego ukrycia spisków waszych, straszycie... Zamiast tedy spiski tu knować, lepiej gotujcie obronę koronnego hetmana, którego głowa dalipan niepewna!...

Jankowski znowu się ku Brzosce porywał, ale ten, nie czekając, skłonił się szyderczo, drzwiami trzasnął i zniknął.

Jankowski długo jeszcze nie mógł uspokoić się po tej rozmowie. Czuł, że wbrew swojemu zwyczajowi, nad miarę wobec Brzoski się uniósł, a zarazem, przypominając sobie jego słowa, widział, jakie niebezpieczeństwa hetmanowi groziły, jakich kalumnij on padał ofiarą. Ubolewał on sam nad tem, iż owi tajemniczy posłowie, którzy Sobieskiego w Jaworowie ścigali, ukazali się nagle w innem przebraniu w hetmańskim obozie, domyślał się nowych intryg, ale widział i był przekonany, że Sobieski w czasie kampanii żadnego w nich nie brał udziału. Zali zaś mógł pozbyć się tych nieproszonych kompanów, skoro kawaler de Sacconay przybywał z polecenia samego króla, podobnie, jak i towarzysz jego, zwący się teraz Gracyan Ulric, który odgrywał rolę dymisyonowanego kapitana, znającego się na sztuce zakładania min i spełniającego wrzekomo funkcye ochmistrza trenów królewskiego inżyniera. Zresztą Jankowski śledził ich pilnie w obozie i nie dostrzegł nic, chyba to, że wysyłali często do Łowicza różne listy i częste korespondencye sami odbierali.

Jankowski widział teraz jasno robotę wrogów. Szło głównie o to, iżby na przyszłym sejmie skompromitować hetmana, aby mu zarzucić zdradę i knowanie spisków przeciw Królowi. Cała zgraja szpiegów musiała Sobieskiego otaczać, o czem go należało bezzwłocznie uprzedzić. Jeszcze tego samego dnia napisał rotmistrz obszerną do hetmana relacyę i wysłał z nią Stencla, jednego z najwierniejszych swoich.

— Jedź, miły mój, jedź! i wszystko jeszcze ustnie przedstaw hetmanowi. Niech się strzeże...

Ale i to wysłanie poselstwa niezbyt go uspokoiło. Wiedział, że Sobieski rozgoryczał się łatwo, a z drugiej strony łatwowiernym był. Gorycz popychała go w intrygi, knute przez prymasa i posłów księcia de Longueville, przeciw Królowi, a łatwowierność nie dozwalała należycie ukrywać planów. Więc lękał się i biadał, a rozpamiętywając owe świetne zwycięstwa, które powinny były zapewnić hetmanowi pierwsze miejsce i pierwszy głos w Rzeczypospolitej, ręce łamał w rozpaczy.

— Wszystko na marne! wszystko! — powtarzał.

Coraz też częściej, jak zmora ciężka, przychodził mu na myśl Kalkstein, w tej memelskiej fortecy opuszczony przez wszystkich, wydany na łup Elektorowi. Ostatni obrońca swobód pruskich, wokoło którego zgromadzić się miała cała, wierna Rzeczypospolitej, pruska szlachta, ginął w kaźni,

a z nim wszelaka nadzieja poskromienia, zuchwale rosnącej brandenburskiej potęgi. A rozpamiętywując znowu i swoje zabiegi i walki, i starania innych i przyrzeczenia królewskie, i złudne obietnice panów możnych, powtarzał z żalem:

— I to poszło na marne!

A cóż sobie myśleć musiał nieszczęsny Kalkstein w swej kaźni, co myślała pruska szlachta, wyciągająca ku Rzeczypospolitej wierne dłonie, z błaganiem o pomoc?.. Opuścili ich wszyscy, a nawet on, najwierniejszy Kalksteina przyjaciel, zdawał się już o nim nie pomnieć.

Ta myśl tak go gryzła, że postanowił nawet do Paców się udać, iżby im dawne obietnice interwencyi na rzecz Kalksteina przypomnieć. Utwierdziły go w tej myśli wielkopolskie sejmiki, na których głośno i z oburzeniem sprawę exulanta pruskiego podniesiono, a jeszcze bardziej umocnił go w przedsięwzięciu imćp. Franciszek Gembicki, starosta nowodworski, dawny jego i Kalksteina towarzysz rycerski. Zapewniał on, że jeśli na królewskim dworze przestano mówić o memelskim więźniu, to jedynie dlatego, iż rozpuszczono tam pewnie fałszywą pogłoskę, jakoby Kalkstein w więzieniu zmarł, że jednak królowa Eleonora poleciła mu zbadać tę sprawę, a jeżeli Kalkstein żyw, dać mu opiekę i pomoc. To samo sejmiki wielkopolskie, poleciły mu czynić...

— Przybyłem tedy do Wilna — mówił Gem-

bicki — aby z Pacami, kanclerzem i hetmanem, którzy dla tej sprawy przychylnie usposobieni są, w porozumienie wejść i to słowo zacnej królowej im zanieść... Oni nam pomoc dać winni!

Uradował się mocno Jankowski tem niespodziewanem poparciem, a frasowało go jeno to, że on, jako zaufany towarzysz i sługa Sobieskiego hetmana, nie mógł mieć u Paców należytej wiary i posłuchu. Ale i w tem niespodziewanie pocieszył go Łyszczyński. Sam raz przybiegł do niego i rzekł:

— Ten stolnik Brzoska, to powtarzam ci, teraz zacny jest człek... Jakiś inny duch w niego wstąpił, od kiedy opuściła go bieda... Każdemu dogodzićby rad. Przyszedł dziś do mnie i mówi: Zbezcześcił mnie imćp. Jankowski, ale ja rankoru chować nie będę... Sądzi mnie takim zawsze, jakim mnie znał dawniej i dlatego o różne niecnoty pomawia. A ja przekonać go chcę, że jest inaczej... Trudna rada była z Pacami, lecz ja umiem już z nimi gadać... Otóż obydwa, i kanclerz i hetman ofiarują się Kalksteinowi pomoc dać... jeno żądają, iżby imćp. Jankowski do nich przyszedł... na naradę. Teraz obydwaj są w Wilnie...

Rotmistrz z niedowierzaniem słuchał.

— Abo to prawda!... — rzekł.

— Sam sprawdziłem — odparł Kazimierz. — Bezzwłocznie pobiegłem do kanclerza i dorzuciłem gorące słowo. On szczerze pomódz chce, jeno nie

wie, jak?... Czeka na ciebie, iżbyś mu wskazał sposoby...

Rotmistrz z wylaniem Kazimierzowi dziękował i natychmiast wybierał się do kanclerza. Na wychodnem jednak rzekł do Łyszczyńskiego:

— Co tam Pacowie myślą, Bóg wie... Może też oni szczerze Kalksteinowi i szlachcie pruskiej pomódz chcą, bo tej sprawie zawsze przychylni byli, a i dawne obietnice ich wiążą. Ale ja temu Brzosce nie wierzę nic a nic i to już coś niedobrego musi być, gdy on się wmieszał.. Radzę ci też, nie dufaj mu, bo on i ciebie zwieść gotów, a tyś mu się oddał...

Kazimierz się uśmiechnął:

— Nie lękam się ja niczego. Gdyby nawet chciał, co mi zrobić może? Ja teraz do żadnych spraw się nie mieszam i mieszać nie chcę. Uczyniłem jeno dla kanclerza Paca to, żem urząd ziemski, podsędkostwo brzesko-litewskie przyjął... I oto już mnie Król Jegomość zamianował.

Jankowski przyjął to z radością.

— To dobrze jest — zawołał — będziesz miał pożyteczną pracę, a to cię od smutnych myśli odciągnie...

Kazimierz sposępniał nagle:

— Trzebaby wiele na to — odparł — aby je rozegnać... Teraz gnębi mnie to, że mi jest zbyt dobrze i tak mi się zdaje, że wisi nade mną nieszczęście...

I głosem stłumionym dodał:

— Halszka zawsze niemocna... Czasem mi się zda, że to cień, który lada moment zniknie, a wtedy...

Dłużej mówić nie mógł, coś go zdławiło w krtani, a twarz przybrała wyraz ponury, niemal srogi...

— A wtedy... wtedy... — powtarzał przez zaciśnięte zęby.

— Bóg z wami! — zawołał Jankowski — w Nim ufność i nadzieja nasza...

I pożegnawszy przyjaciela, pośpieszył do kanclerza.

Pac przyjął go niezmiernie uprzejmie. Jego opasła twarz wyrażała zadowolenie, grube usta usiłowały łagodnie się uśmiechać, jeno w wyłupiastych oczach, mgłą zaszłych, był dziwny wyraz to obojętności, to znów jakby tłumionego gniewu. A wówczas ospałe to spojrzenie, rzucało krótkie, stalowe błyski.

Ani o hetmanie Sobieskim, ani o ostatniej wyprawie wojennej nie uczynił wzmianki, jeno wspomniawszy, jako wiele słyszał o dzielności rotmistrza, odrazu *ad rem* przystąpił.

— Sprawa pruska — rzekł — to nasza sprawa... pacowska! Ja i hetman litewski nie zapomnieliśmy obietnic i dotrzymamy... Ale teraz Król nie może nic... Elektor mu potrzebny... w razie wojny tureckiej ma dać posiłki, więc go Król oszczędzać

musi. Przeto jawnej interwencyi na korzyść Kalksteina i Stanów pruskich w tym momencie spodziewać się nie można... Co innego jednak Król i różne racye stanu, a co innego ochotnicza wyprawa. Przecież teraz waćpan do obozu nie wracasz... Wojsko na zimowych leżach, a pan hetman koronny, jakem słyszał, zażywa wczasu we Lwowie i oczekuje powrotu z Francyi ukochanej małżonki...

Tu głos mimowolnie mu zadrżał i oczy błysnęły, ale wnet zmiarkowawszy się, dodał:

Przeto waćpan nie potrzebujesz teraz do obozu iść i możesz snadnie zająć się taką ochotniczą wyprawą. Ja i pan hetman chętnie ci dopomożemy...

A gdy Jankowski z uniesieniem dziękować chciał, kanclerz przerwał:

— Nie dziękuj waść, bo sprawa niełatwa i niebezpieczna. Elektor ma wzrok bystry i ręce długie... Przeto najlepiej działać podstępem. Tak też ułożyliśmy rzecz z panem starostą nowodworskim Gembickim. On pojedzie do Malborka i stamtąd pisać będzie do małżonki Kalksteina, która jest niewiasta dzielna i nieustraszona Trzeba przedewszystkiem wiedzieć, zali Kalkstein żyje, bo się pogłoski rozeszły, jakoby w więzieniu zmarł...

— Pewny jestem — wtrącił rotmistrz — jako to jest fałsz, przez Elektora umyślnie puszczony, iżby uwagę odwrócić...

— Może być fałsz, lecz może być i prawda — rzekł kanclerz. W każdym razie naprzód stwierdzić to trzeba. Jeżeli żyje, wówczas...

Tu się pan kanclerz zamyślił, głowę wsparł na ręku i po chwili mówił, jakby sam do siebie.

— Przecież siłą memelskiej twierdzy nie weźmiemy... Po prostu trzebaby Kalksteina z więzienia podstępem uwieźć... Tu jeno wielka determinacya i odwaga...

— Ja się nie ulęknę! — zawołał Jankowski.

— Wiem o tem — potwierdził Pac. — Ale waćpan sam jeden nie wskórasz nic... Potrzeba mieć kilku równie odważnych... Waść masz kompanów swoich?...

Tu z podełba, bystro na Jankowskiego spojrzał.

— Mam — odparł rotmistrz — mam takich, na których, jak na siebie samego liczyć mogę...

— Są tu w Wilnie?...

— Nie wszyscy... Inni są w różnych miejscach, ale wnet mogą tu być...

— Aha! — mruknął Pac.

I dodał w myśli:

— Dobrze mówił Brzoska... Biegają po Litwie dla Sobieskiego, a przeciw nam... Trzeba ich stąd koniecznie oddalić...

— Otóż mniemam — rzekł głośno — że należy ich wszystkich co rychlej zgromadzić. Gdy zaś p. starosta nowodworski, który w Malborku będzie, z małżonką Kalksteina korespondencyę roz-

pocznie i uprzedzi ją, iżby wszystko pogotowiu było, natenczas waćpan, jeśli determinacyę masz, staraj się pokryjomu, wraz z najbardziej zaufanymi do Kłajpedy dotrzeć...

Jankowski, nie widząc jeszcze owej zapowiedzianej pomocy, milczał. Pac rzucił mu znowu spojrzenie z podełba i po chwili mówił:

— Pan Gembicki, świadom jest tamtejszych spraw i ludzi, tedy on z waćpanem najlepiej ułoży, jakiego fortelu użyć, iżby się do kaźni Kalksteinowej dostać. Ja wiem jeno, że teraz moment najsposobniejszy, albowiem jenerał Görzke, najsroższy strażnik Kalksteina, komendant fortecy memelskiej, do Berlina wezwany jest, iżby Elektorowi doradził, jakby najsnadniej zniewolić komisyę sądową do wydania wyroku śmierci... Tedy czujność w twierdzy zmalała i będzie najłatwiej...

— Tak! — wtrącił rotmistrz — ale gdyby nawet wszystko nam się powiodło, nie rozumiem, w jaki sposób dalej, bez pomocy orężnej...

— O to się waść nie lękaj! — żywo przerwał kanclerz. — Pan hetman litewski i ja, damy ludzi zbrojnych poddostatkiem, którymi waćpan dowodzić będziesz. Część ustawisz na granicy, pod Willenbergiem, innymi zaś całą drogę z Kłajpedy obsadzisz, iżbyś w każdym wypadku pomoc miał... O to się nie lękaj... to już nasza rzecz i nasze słowo...

A gdy Jankowski dziękować począł, kanclerz rzekł:

— To nasza wspólna sprawa i wspólny obowiązek. Ratować Kalksteina przyrzekliśmy i będziemy. A skoro teraz Król i Stany Rzeczpospolitej żadnej akcyi przedsięwziąć nie mogą, to my ją podejmiemy sami!...

I dodał, uderzając w stół pięścią:

— Ja i pan hetman litewski rozumiemy to dobrze, że to nie jest prywata żadna, jeno publiczna sprawa... że tu nie idzie o jednego Kalksteina, lecz o upokorzenie rosnącej Elektora potęgi, którąśmy niebacznie sami poparli.

I to mówiąc wstał i bardzo uprzejmie pożegnał rotmistrza.

— Niech was Bóg prowadzi! — dorzucił uroczyście, wznosząc tłuste ręce do góry. — W naszym klasztorze, w Pożajściu, *in Monte Pacis*, nakażemy Kamedułom nabożeństwa ustawiczne na waszą intencyę i tego biednego Kalksteina...

Po wyjściu jednak rotmistrza był z siebie niekontent. Usiadł, głowę wsparł na ręku i zamyślił się posępnie. Zmordowała go obłudna rozmowa i czuł coś nakształt wyrzutów sumienia. I nie rozchmurzył się nawet, gdy po wyjściu Jankowskiego wsunął się do komnaty, najlepszy teraz powiernik i doradzca, stolnik Brzoska.

Spojrzał na niego tak chmurno, iż stolnik, nawykły do zmiennych losów fortuny, struchlał.

— Co?... — wyjąkał — nie chce?..

Kanclerz ręką machnął.

— Przeciwnie — rzekł — pojedzie.. Ale to na twojem sumieniu. Pamiętaj!... Jemu włos z głowy spaść nie powinien...

Brzoska odetchnął i odparł:

— Dobroć Waszej Miłości granic nie ma... A wszakże to jest walka, i jeżeli ten Jankowski z towarzyszami swymi tu ostanie, za nic ręczyć nie można... Buntują szlachtę i wojsko... Jeden z nich, nazwiskiem Klatt, niby sejmik pod Grodnem zwołał i tyle uzyskał, że się tam wszyscy za Sobieskim deklarowali... Znów niedawno Jankowski wysłał innego kompana swego do Lwowa, iżby tam Sobieskiemu opowiedział wszystko, a mówią, że ten Stencel znaczne pieniądze dla wojska przywieźć ma... Słowem, jeśli oni tu ostaną, na wiosnę cała Litwa za Sobieskim pójdzie. O jego teraźniejszych wiktoryach opowiadają cuda...

— Tak... tak... — mruknął Pac, uspokojony nieco — to jest walka i my zwyciężyć musimy.

Tak się tedy stało, iż z końcem grudnia R. P. 1671 Jankowski, rozstawszy się z Gembickim, który do Malborka podążył, i silny oddział pacowskich żołnierzy nad granicą pruską rozstawiwszy, sam z Klattem i kilku innymi towarzyszami, w przebraniu pątniczem znalazł się w Kłajpedzie.

Rzeczywiście jenerała Görzkego nie było w for-

tecy; wezwany przez Elektora, w Berlinie siedział. Nie zdziwiło też zrazu rotmistrza, iż czujność w twierdzy zdawała się być bardzo zwolniona. Stosownie do umowy z Gembickim, nie wchodził on wszakże przez czas dłuższy z nikim w bliższe stosunki; sam i wraz z Klattem przypatrywał się jeno i badał. Nie zbliżał się nawet do małżonki Kalksteina, którą kilkakrotnie widział, jak z Krysiem wokoło fortecy krążyła. Serce mu się krajało, gdy patrzył na tę niewiastę, z której jeno szkielet pozostał. A jednak w jej zapadłych, gorączką świecących oczach, widać było niezłomne postanowienie: «Wytrwam do ostatka!» Przynosiła co rano, to żywność, to odzienie, to książki dla więźnia i starała się ubłagać dozorcę Knopfa, iżby to małżonkowi doręczał. Knopf najczęściej nie przyrzekał nic, lecz z uśmiechem łagodnym przyniesione rzeczy zabierał. Raz, Jankowski, w przebraniu żebraczem, zdołał przedostać się aż do fortecznego dziedzińca. Z wyciągniętą ręką, począł głośno odmawiać pacierze. Właśnie Marya rozmawiała z Knopfem i pytała o zdrowie małżonka.

Knopf miał litościwą minę.

— Cud — mówił — że jest tak, jak jest... Dobrze nie może być, po przebytej ostrej kwestyi... Kości połamane ma. Ale silna natura, więc z dniem każdym przybywa sił...

Marya wzdrygnęła się całem ciałem,

— Zali mnie już nigdy nie będzie wolno widzieć go? — jęknęła.

— Czekajcie, pani — odrzekł dozorca. — Jak jenerał Görzke powróci, pewnie zezwoli. Zastępca jego, pułkownik Leschwang, prawa nie ma...

Jankowskiemu dech zaparło w piersiach.

— Więc go na tortury brano! — myślał z rozpaczą. — I kiedyż, Boże, położysz tym okrucieństwom kres...

Marya, z głową spuszczoną do ziemi, przechodziła koło niego.

On rękę wyciągnął ku niej, jęcząc w głos modlitwy.

Marya rzuciła mu monetę.

— Módlcie się — rzekła — za nieszczęsnych... żywcem pogrzebanych...

Żebrak pochylił się, ujął kraj jej sukni i ucałował.

Knopf bystrym wzrokiem dojrzał to odrazu. Podbiegł ku żebrakowi i rzekł surowo:

— Tu nie wolno!... idź precz!...

Jankowski z trudem, z ziemi się dźwigał.

— Darujcie, panie — mówił. — Od wczoraj nie jadłem... słabość mnie chwyciła...

Knopf przenikliwym wzrokiem na niego patrzył. I w końcu uśmiechnął się dobrotliwie.

— Chodźcie — rzekł — za mną.

I wprowadził go do swojej izby.

Jankowski, idąc rozglądał się na wsze strony.

Zauważył, że straży było nie wiele. U wejścia dwóch żołnierzy i dwóch strażników, oprócz Knopfa.

— W dziesięciu — pomyślał — zmoglibyśmy ich...

Tymczasem Knopf podawał mu żywność.

— Jedźcie — mówił — byście nie myśleli, że my tu mamy bezlitośne serca.

Jankowski poznał, że była to ta sama żywność, którą Marya dla małżonka przyniosła, a także spostrzegł, iż w izbie leżało odzienie dla więźnia przez nią przeznaczone. Dławiło go to jedzenie, ale udawał, że chciwie spożywa...

A Knopf ciągle przypatrywał mu się bacznie, wreszcie spytał:

— Wyście pewno zdaleka?

— Ot — odparł Jankowski — snuje się człek po świecie, a nigdzie biedy swej zgubić nie może...

Strażnik zaśmiał się w głos.

— Jabym wam zazdrościć tego mógł... Siedzieć tak ciągle na jednem miejscu, to się i liczbę lat zatraca... Tu niema do kogo słowa przemówić... chyba z tymi nieszczęsnymi, co w lochach gniją... Ale jaki cud was tu do Memla przyniósł?

Przygotowany był na to pytanie Jankowski, tedy westchnął głęboko i odparł:

— Ja bo taki z tych stron jestem... Miałem tu niegdy rodzinę... Ano, złe skusiło, żem młodzieniaszkiem do Polski poszedł i ot, takem tam zmar-

niał... Ale teraz moich to już nikogo niema... O żebranym chlebie trzeba dalej wędrować... Bóg wam zapłać, panie, za strawę...

Wstał, chcąc wyjść z twierdzy, bo go pytania Knopfa niepokoić poczęły, lecz ten zatrzymał go.

— Siedźcie jeszcze — mówił — spocznijcie. Jam rad, że mogę do kogo słowo przemówić... A to się życie przykrzy w tem więzieniu... Dawniej, to przynajmniej z jednym, z tym biednym Kalksteinem pomówić było można... Ale teraz, odkąd go na ostrą kwestyę wzięto... to już trup, nie człowiek...

Westchnął, głowę na piersi opuścił, lecz z podełba bacznie na żebraka patrzył.

Ale na twarzy Jankowskiego żaden muskuł nie zadrgał. Obojętnie słuchał.

— Już to, jabym za nic w świecie nie chciał — ciągnął Knopf po chwili — w skórze naszego Elektora być... Co ten człowiek na sumieniu dźwiga, to strach! Albo naprzykład z tym Kalksteinem! To pono w Polsce ważna była persona — pułkownik! A tu, jeśli zlitowanie Boskie rychło nie przyjdzie, zgnije w lochu... Litość bierze patrzeć...

Jankowski milczał.

— Twarda kanalia! — rzekł sobie w duchu dozorca, i znowu się ozwał:

— Ja po chrześcijańsku ulgę staram się mu przynieść. Co drugi dzień przyprowadzam mu djakona Schultze, z którym on święte psalmy od-

prawia... Wpuszczam też czasem do kaźni którego z więźniów, ale on z nimi mówić nie chce, i nie dziw, bo to pospolici zbrodniarze są... Ot, tak naprzykład z wami, toby on się może rozgadał i poweselił, zwłaszcza, żebyście mu co powiedzieli o Polsce, do której on zawsze tęskni...

— A ja tam po co? — mruknął niechętnie żebrak.

— Ano, przykra to jest rzecz... — wtrącił Knopf — widok straszny... ale byłby chrześcijański uczynek... Kto wie, jak mu jeszcze długo na świecie... mniemam, że to już ostatnie dni... Kości ma połamane...

Teraz zdało się Knopfowi, że pięści żebraka zacisnęły się kurczowo, i że w jego posępnych, w głąb zapadłych oczach przemknął błysk.

— Ot, wiecie co? — zawołał nagle — komendanta, jenerała Görzkego, który jest srogi, niema teraz w Memlu, zastępca jego, pułkownik Leschwang, człek ludzki... przez palce patrzy. To też teraz używamy nieco swobody... Polecę do niego... Może pozwoli, abym was do Kalksteinowej kaźni wprowadził, dla rozweselenia tego biedaka, który od wczoraj konać się zdaje... Niech ma przynajmniej przed śmiercią pociechę i o Polsce pogada...

I nie czekając na odpowiedź, wybiegł z izby.

Wpadł jak burza do komnaty pułkownika:

— Jest ptaszek! — zawołał.

Leschwang spojrzał zdumiony.

— Nie może być! — rzekł nieufnie.

— Rękę w ogień włożę, że to on... ten sam, o którym doniesiono...

I w krótkich słowach opowiedział pułkownikowi rzecz całą, opisując postać i twarz żebraka.

Leschwang, słuchając, przeglądał leżące na stole papiery.

— Tak... tak... — mruczał. — Görzke tak pisze: Doniesienie pewne z Wilna, od zaufanego niegdyś sługi Brandta, szlachcica Brzoski... Niejaki rotmistrz Jankowski przybędzie z kompanami do Memla, w celu uwiezienia Kalksteina... Podaje rysopis... zgadza się z tem, co mówisz... Chudy bardzo, twarz ponura, wyschnięta... blizna na czole, oczy błyszczące, w głąb zapadłe...

— Ten sam! — zaręczał Knopf radośnie — rękę w ogień dam...

Poczęto się naradzać śpiesznie, co czynić? Czy mniemanego żebraka ująć zaraz, czy też czekać?...

Jenerał Görzke — rzekł Leschwang — poleca ująć wszystkich, to jest Jankowskiego i jego kompanów, a ująć tak, iżby żadnego hałasu nie było i żaden nowy Opacki w nadzwyczajnem poselstwie nie przybył..

— Policzyć najprzód trzeba tę kompanię — wtrącił Knopf — a na to, iżby ich wszystkich tu sprowadzić, zaledwie kilka dni wystarczy... Mnie się tak widzi, że przedewszystkiem przyswoić trzeba tego żebraka, który nieufny jest. Niech so-

bie przez dni kilka swobodnie do Kalksteina chadza, niech plan ucieczki ułoży... A w ostatnim momencie przyłapiemy wszystkich...

— Dobrze — rzekł pułkownik — uczyń tak. Jeno pomnij, że z wyraźnego rozkazu najjaśniejszego Elektora, włos im z głowy spaść nie powinien... On nie chce sprowadzać sobie nowego na głowę kłopotu... Przychwycić i przytrzymać, aż z Kalksteinem nie będzie koniec...

Knopf rozradowany powracał do izby, w której Jankowski w wielkim niepokoju czekał. Miał on przeczucie złe, wietrzył podstęp i zdradę; był nawet taki moment, że nie czekając na powrót Knopfa, umknąć chciał. Ale sam się zawstydził tego zamiaru. Wszak on na wszelkie niebezpieczeństwa był gotów, a tu zginąć, czy gdzieindziej, wszystko jedno, byle w sprawie dobrej. Zresztą, nie należało wierzyć przeczuciom, a korzystać z okazyi... Kto wie?

Wszedł rozpromieniony Knopf.

— A co? nie mówiłem? — zawołał z progu — nasz pułkownik zacna dusza... to nie dziki Görzke! Pozwolił na wszystko...

Pośpiesznie zapalił latarkę i mówił:

— Na świecie jeszcze dzień biały, a u tego nieszczęsnego Kalksteina noc... Chodźcie za mną, świecić będę, a uważajcie, bo schody do lochu strome i oślizłe.

Szli zwolna po kurytarzach pustych.

— Za Görzkego — ozwał się Knopf — to wszędy straży huk... A teraz, gdy go niema... hulają żołnierzyki w mieście... hulają. A po co strzedz? Jabym Kalksteinowi kaźń otworzył na oścież, a uciecby nie zdołał. Chybaby go kto na plecach wyniósł...

Zatrzymał się przy wielkich drzwiach żelaznych i kluczami dzwonił, otwierając...

— Jeżeli znaliście go kiedy — rzucił od niechcenia — to go nie poznacie... A nie krzyknijcie...

— Skądże ja go mam znać? — odburknął żebrak. — Nawet nie słyszałem o nim i nie wiem, za jaką zbrodnię skazany...

Knopf w głos się zaśmiał.

— Zbrodnię! — powtórzył. — Zali u Elektora trzeba zbrodnię popełnić, iżby tu się dostać... Wystarczy Memel Kłajpedą nazwać...

Schodzili ostrożnie po schodach. Wreszcie Knopf latarkę postawił na ziemi i szepnął do żebraka:

— Patrzcie, tam w kącie... to on!

Jankowski nie widział zrazu nic... Zadławiła go w gardle ostra woń zgniłej słomy, stęchlizny i strasznych wyziewów... Całej siły woli musiał użyć, iżby nie upaść i nie okazać wzruszenia. Słyszał tętno własnego serca, bijące gwałtownie, a od czasu do czasu stłumiony jęk, pochodzący stamtąd, kędy wskazywał Knopf.

Zwolna dostrzegał... Na garstce słomy, leżał

bez ruchu człowiek, przykuty do słupa. Raczej szkielet ludzki, powleczony czarną skórą.

— To on... to on! — powtarzał Knopf.

A Jankowski czuł, że się dłużej nie zdzierży, że ogarnia go rzewność i litość ogromna, i lada moment chwyci płacz, który go dławił w krtani.

Tedy przypadł do wilgotnej ziemi i twarz ukrył w dłonie. Knopf zaś pochylił się ku niemu i rzekł:

— Ostańcie tu, a usiłujcie go pocieszyć... Ja wrócę niebawem.

I wyszedł, zostawiając latarkę i drzwi od lochu otworem.

Zwolna Jankowski podniósł głowę; skierował światło latarki ku więźniowi i wpatrzył się.

Kalkstein miał oczy szeroko otwarte. Patrzyły one, zdając się nie widzieć; były bardzo duże, lecz bez wyrazu; mętne a szkliste. Usta miał wpół otwarte, spalone; od czasu do czasu usiłował je zwilżyć językiem, który był suchy i twardy. Twarz, zmieniona do niepoznania, o rysach ostrych i wychudłych, okolona była długimi, siwymi włosami i takąż brodą.

— Wody... — wyszeptał więzień.

Jankowski chwycił w obie ręce dzban, stojący opodal i podał mu napój cuchnący, zgniły.

Kalkstein z trudem dźwignął głowę i pił chciwie; woda, przechodząc przez gardło, wydawała głuchy odgłos. On krztusił się, jęczał, ale pił.

Wreszcie głowa opadła ciężko na barłog; on zaś oczy zawarł i dyszał chrypliwie.

Jankowski przysunął się do ucha więźnia i szepnął:

— Nie poznajesz mnie... jestem Samuel Jankowski... przybyłem tu, iżby cię wyzwolić...

Od głowy do połowy ciała zadygotała postać więźnia. Szczęki obiły się o siebie ze zgrzytem; poruszone nagle, zabrzęczały łańcuchy. Kalkstein dźwignął głowę i wpatrzył się sztywnie.

— Nie... nie! — szepnął — nie kuś!...

Lecz za moment, jakby mu sił przybyło, mówił niemal głośno:

— Znowu znikniesz... a mnie ciemność ogarnie!... Nie chcę.. już nie chcę... byle rychło śmierć...

Jankowski przysunął się jeszcze bliżej i szeptał ciągle:

— Zbierz siły — mówił — czas wyzwolenia nadszedł...

Więzień ruchem głowy wskazywał na swoje nogi:

— Patrz... jam łachman zdarty... Na coś się przyda...

Jankowski podniósł nieco latarkę i omal jej nie upuścił z ręki, taki go ogarnął lęk...

Na garstce słomy leżały nogi bez ruchu, pokręcone dziwnie, pogruchotane, jakby nie należące do tułowia. Okrywał je podarty łachman, przez który widać było opuchłe, zsiniałe ciało...

— Tortury... — szepnął Kalkstein — tortury... dwa razy... ostra kwestya, z rozkazania samego kurfirsta...

Poruszył się żywiej i dorzucił szybko:

— Alem nie wydał nikogo... nie! Elektor chciał mieć moich spólników... Nie doczeka!... Powiedziałem: hrabia Schlieben polecił mi w Warszawie, iżbym się Królowi na elektorskie rządy skarżył, ale Schlieben jest u was, bezpieczny...

Mówił to tak silnie, że przypomniał się Jankowskiemu dawny, impetyczny Kalkstein, więc rzekł:

— Potrzeba, abyś się stąd wydostał, potrzeba koniecznie; już teraz nietylko słowem, ale męczeństwem swem świadczyć będziesz...

Więzień oczy zawarł, ale głową chwiał przecząco:

— Bóg da świadectwo prawdzie... Co już po mnie?... Dziateczki moje niech świadczą... Powiedz Maryi, niech je wywiezie na terytoryum Rzeczypospolitej, do Warmii, albo do Pułtuska... Niech się uczą po łacinie... i po polsku...

Reszta słów zginęła w jakiemś bełkotaniu dziwnem. Więzień usypiał, znużony wysiłkiem.

Gdy Knopf nadbiegł, zastał żebraka stojącego nad uśpionym więźniem.

— A co? — spytał ze współczuciem — ożywił się?...

— To już trup... — mruknął Jankowski.

— E, nie! — mówił dozorca, idąc naprzód z latarką po oślizłych schodach. - To przychodzą na niego takie momenta, czasem zaś jest całkiem przytomny i silny. Jeno te nogi... bez ruchu, pogruchotane...

Westchnął i mówił dalej, zamykając drzwi od lochu:

— Ot, ofiara złości Elektora! — Zawziął się na niego, a jenerał Görzke także... Po co naprzykład trzymać go na łańcuchu, gdy on i tak ruszyć się nie może... Ja go czasem rozkuwam, bo mi żal...

Jankowski odejść już chciał:

— Bóg wam zapłać — rzekł — za strawę i za dobre słowo... Mnie już czas...

Ale Knopf zatrzymał go jeszcze:

— Czekajcie... znajdzie się jeszcze dla was jaki grosz... A przyjdźcie jutro... Wiecie co? ja zdejmę Kalksteinowi kajdany, zaraz mu będzie raźniej... A mówił co z wami o Polsce?...

— Leżał, jak omdlały... zdaje się, że w nim już pamięć zagasła...

— O, nie! — zaprotestował znów Knopf — zobaczycie jutro... przyjdźcie jeno... ja mu łańcuchy zdejmę...

I bardzo uprzejmie, obdarowawszy jeszcze, pożegnał żebraka.

Ale go z oka nie spuścił i wysłani za nim gońce wnet spenetrowali, że ów żebrak miał przy-

tulisko nad samym brzegiem cieśniny Kłajpedzkiej, niedaleko ujścia rzeki Dangi, w chałupie rybackiej. Skoro się tam pojawił, wnet zbiegło się ku niemu ośmiu albo dziesięciu rybaków, z którymi on długo się naradzał.

To wszystko doniesiono Knopfowi, który, wielce uradowany, ręce zacierał i zapewniał Leschwanga, że rotmistrza wraz z jego wszystkimi kompanami rychło i bez hałasu pochwyci.

— Nawet w Memlu nikt o tem wiedzieć nie będzie... — zaręczał.

Nazajutrz jednak był w wielkim niepokoju. Do późnego wieczoru czekał na żebraka, lecz ten się nie pokazał. I na trzeci dzień go nie było, gońce jednak wysłani na wybrzeże, przynieśli wiadomość, że tak żebrak, jak owi rybacy, byli wszyscy na miejscu, Knopfowi bowiem przychodziło na myśl, że rotmistrz może domyślać się podstępu i zbadawszy, iż zuchwałe przedsięwzięcie jego nie może mieć dobrego skutku, zaniechał zamiaru i uszedł.

Tak nawet doradzał Klatt, który przecież zwykle nieustraszony był, ale Jankowski po chwilowem wahaniu, postanowił wytrwać.

— Warto próbować.. — mówił. — Jeśli się uda, to taki krwawy, a żyjący Kalkstein, z pogruchotanemi na torturach nogami, to najsilniejszy przeciw Elektorowi protest... to hańba kurfir-

sta przed całym światem... to zwycięstwo sprawiedliwości nad gwałtem...

— A jeśli się nie uda? — zagadnął Klatt, chwiejąc z powątpiewaniem kwadratową, ogromną głową.

Jankowski ramiona wzniósł ku schmurzonemu niebu.

— To zginiemy! — odparł — zginiemy w tej walce w obronie prawdy...

I dodał ze smutkiem:

— Wracać też niema po co... Przeciwko Sobieskiemu spiknęły się tam duchy złe... Wszystko idzie na marne... Czy tam, czy tu zginąć bez chwały, wszystko jedno. A tu jeszcze zwycięstwo może łatwiejsze, niż wśród tamtejszych knowań. Zresztą urządźmy tak wszystko, iżby wiktoryę sobie zapewnić...

I ułożyli cały plan. Zuchwały był, ale bacząc na rozluźnienie czujności w twierdzy, powieść się mógł łatwo. Właśnie trzeciego dnia było święto rybackie, wszystkie gospody w mieście już o zmierzchu były zapełnione, a cała niemal załoga forteczna sprawiała sobie ucztę.

O zmierzchu też Jankowski wraz z Klattem, obaj w przebraniu żebraczem, przybyli pod mury twierdzy. Usiedli i Klatt żałośliwie począł śpiewać pieśni nabożne.

Za moment w bramie ukazał się Knopf. Uśmiechnął się nieznacznie i udając zrazu, że nie do-

strzega żebraków, rzekł groźnie do towarzyszącego mu żołnierza:

— Gdyby tak dziś jenerał przybył, to chybaby nas wszystkich pod miecz katowski dał... Z całej załogi nas dwóch... A o nieszczęście łatwo, jeszcze w taki dzień... Kto tam? Werda? — krzyknął usłyszawszy śpiew Klatta. I śpiesznie zwrócił się w tę stronę...

— A, to wy? — rzekł poznawszy Jankowskiego — w niedobry przychodzicie czas... już późno... A kto z wami?

— Pątnik pobożny — odparł Jankowski — tuśmy się spotkali, a ja mu rzekłem o miłosierdziu waszem... Zimno dziś takie, że krew krzepnie, a głód większy niż kiedy, bo naród o pijatyce jeno myśli... Tośmy mieli nadzieję, że wy litościwy panie...

Knopf zdawał się namyślać.

— Ha, trudno — ozwał się — na mnie wielka odpowiedzialność cięży... W twierdzy nikogo niema nawet pułkownik w mieście hula...

— Za łyżkę strawy i trochę ciepła przy ognisku — wtrącił Jankowski — my całą noc czuwać gotowi, iżby co złego się nie stało... Ja to nie wiele sił mam, ale za to kompan mój za dziesięciu strażników wystarczy...

Wskazywał na Klatta.

Patrzył też na niego i Knopf, myśląc:

— Istotnie, ten niebezpieczny jest... Bary i łapy, jak niedźwiedzie...

Zdawał się jeszcze wahać, lecz po chwili, rzekł:

— Chyba mnie Bóg za dobre serce nie skarze... Dziś jest święto... i wam się należy... Chodźcie..

Za chwilę Jankowski z Klattem siedzieli w izbie dozorcy i spożywali strawę, przyniesioną dziś zrana przez Maryę dla małżonka.

A Knopf ciągle gadał. Mówiąc zaś rzucał często na Klatta niespokojne spojrzenia. Ten barczysty drab widocznie lęk w nim obudził. Mimowolnie na myśl mu przyszło:

— Gdyby tak tego niedźwiedzia zdjęła ochota rzucić się na mnie, to zdusiłby mnie, zanimby pomoc nadbiegła...

I gorączkowo się śpieszył. Ni stąd, ni zowąd zwrócił na Kalksteina rozmowę.

— Jakieście to pieśni śpiewali? — spytał Klatta.

Klatt obtarł usta dłonią i odburknął:

— Różne... Umiem i polskie i litewskie i kurońskie, a także niemieckie...

— Co po niemieckich! — z lekceważeniem rzekł Knopf. — Polskie to są piękne pieśni... Raz tu zaszedł był jeden pątnik z Polski... z Częstochowy szedł... Nasz biedny Kalkstein, jak go usłyszał, to dwa dni płakał, alem ja także dwa dni o chlebie i wodzie w wieży siedział, z rozkazu

jenerała, za to, żem owego pątnika do więźnia zaprowadził...

Zaległo milczenie. Knopf jeno z podełba patrzył, jakby propozycyi jakiej się spodziewał, w końcu rzekł, zwracając się ku Jankowskiemu.

— Na moją odpowiedzialność zwolniłem dzisiaj więźnia z kajdan... I zaraz mu jest lepiej. Anibyście go poznali... Z dyakonem Szultzem psalmy śpiewał, a kilkakrotnie zapytywał o was.. Zgoła przytomny jest...

— Możnaby go może dziś widzieć?... — wtrącił Jankowski.

Knopf ramiona roztworzył.

— Trudno, bardzo trudno... — odparł. — Boję się. A nuż ten dyabeł Görzke nadjedzie...

Zamyślił się.

— Chciałbym z duszy — ozwał się po chwili — niechby biedny więzień choć w dzisiejsze święto pieśń polską usłyszał...

Nagle zdecydował się.

— A! niech się dzieje, co chce! Przecie mi za to głowy z karku nie zdejmą.. Chodźcie, tylko cicho...

Lecz przy drzwiach zatrzymał się jeszcze:

— Czekajcie — rzekł — popatrzę pierwej, zali na kurytarzach pusto.. Za moment wrócę...

I wybiegł.

Klatt rzekł szeptem do Jankowskiego:

— Jesteśmy w pułapce... Ten człowiek widoc-

cznie wciąga nas podstępnie. Umykajmy, póki czas...

Ale rotmistrz umykać nie chciał.

— Zapóźno... — odparł — wahać się już niepodobna. Czasem i mnie zdaje się, że to jest podstęp... Nie mogę jednak przypuścić, aby Elektor, z Kalksteinem sprawy nie załatwiwszy, chciał nowy kłopot na swą głowę sprowadzać... Gdyby nas schwytał, odnowiłoby to jeno sprawę Kalksteina... Za dni kilka wiedzianoby już o tem na królewskim dworze i protestowano...

Klatt kudłatą głową chwiał.

— Nie wieleby nam przyszło z protestu.. — rzekł.

— Byłaby to w każdym razie dla Kalksteina pomoc — odparł rotmistrz. — Odświeżyłaby się pamięć gwałtu...

Na kurytarzu ozwały się kroki. Umilkli obaj. Po chwili znów szepnął Jankowski.

— Lękam się jeno, iżby nasi nie zawcześnie dali hasło... Rozporządziłem tak: W godzinę po naszem tu wejściu, mają podnieść krzyk wielki od strony dziedzińca i ze strażą wszcząć zwadę. Jeśli zdołają wedrzeć się do środka, tem lepiej, w każdym razie stanie się zamieszanie; my zaś z Knopfem damy sobie radę i uniesiem Kalksteina...

— Szalone przedsięwzięcie!... — mruknął Klatt.

— Takie najczęściej się powodzi — żywo prze-

rwał rotmistrz... Zresztą, jeśli się lękasz, odejdź, ja zostanę...

Klatt aż skoczył:

— Takiego słowa od was w tym momencie — rzekł smutnie — nie spodziewałem się... Splućcie, rotmistrzu, splućcie krzywdę moją... Przecież my zawsze razem: na chłód, na głód, na trud...

Jankowski chwycił go w ramiona. Zwarli się w uścisku i stali tak moment milcząc, bez ruchu.

— Bóg z nami! — szepnął rotmistrz — słyszysz?...

Od strony dziedzińca poczęły dochodzić wrzaski. Równocześnie na progu izby ukazał się Knopf. Rzucił dokoła bystre spojrzenie; podejrzliwie i z lękiem mierzył Klatta. Przeraził go pułkownik Leschwang, który przed momentem rzekł mu szyderczo:

— Bacz jeno, iżby cię jeden albo drugi z tych pątników nie dźgnął na śmierć... A to jest łatwiej, niż Kalksteina uwieźć...

Ostudziło to nieco jego zapał, ale cofnąć się było nie sposób. Ujął tedy latarkę, mówiąc:

— Na szczęście, pułkownika niema, możemy więc iść... niech się Kalkstein ucieszy...

Poszli przez kurytarze puste, ale Knopf nie wysuwał się naprzód; usiłował w jednym szeregu postępować, snadź w obawie, iżby go znienacka w plecy nie dźgnięto.

Tymczasem z dziedzińca coraz gwałtowniejsze

dochodziły na kurytarz krzyki. Była chwila, że Knopf, rzeczywiście zdumiony, przystawał:

— Co to jest? co to znaczy?... — spytał, i poza siebie się oglądał...

— Pijani rybacy dokazują — ozwał się Jankowski.

— Aha! — pomyślał Knopf — to są pewnie twoi ludzie, którzy mają ci pomoc dać... Za moment będziecie razem.

I poszedł dalej. Niebawem schodzono po schodach do kaźni. Knopf, nie mogąc się pozbyć strachu, którego mu Leschwang napędził, przyparł się plecami do wilgotnego muru i, podnosząc latarkę w górę, przepuścił obu pątników przed sobą..

— Ho, ho! — rzekł — patrzcie, jaki dzisiaj imćp. Kalkstein wesoły, bez kajdan...

Rzeczywiście, więzień siedział oparty o ścianę i zdawał się przytomniej patrzeć. Ręką swobodną przysłaniał sobie oczy, które światło latarki raziło...

— No, mości pułkowniku — rzekł Knopf, głos podnosząc — przyprowadzam wam miłych gości, byście znali, że dziś święto w Memlu...

Postawił latarkę na ziemi i śpiesznie cofnął się ku wyjściu.

— Nie zostanę tu z nimi — myślał — oniby mnie tu snadnie sprzątnęli...

Głośno zaś dodał:

— Zabawiajcie się tu... ja pójdę obaczyć co tam za wrzawa...

I skoczył na schody.

— Czekaj! — krzyknął Klatt i chciał mu zabiedz drogę. Ale Knopf był już na górze i stamtąd śmiał się szyderczo.

— Czekajcie! — mówił — ja wam zaraz z pomocą nadbiegnę...

Nie było momentu do stracenia. Klatt zbliżył się do Kalksteina, który szeroko otwartymi oczyma patrzył, nie rozumiejąc, co się wkoło niego działo. Zdawał się rzeczywiście przytomniejszy. Siedział z podgiętemi nogami, które zawsze leżały bezwładnie, lecz świeżo były opatrzone i obandażowane. Snadź nie chciano dopuścić, iżby więzień sam zginął z zaniedbania i gorączki.

Nagle Kalkstein domyślił się:

— Przez Boga żywego! — zawołał z cicha, głosem złamanym — nie czyńcie nic... umykajcie!

Klatt nie odpowiedział. Przykląkł przy nim i oba ramiona jego zarzucił sobie na szyję.

— Ściśnij mocno!... — szepnął. — Do Jankowskiego zaś rzekł:

— Ty dźwignij nogi...

I wstawał zwolna z ciężarem.

Ale Kalkstein przeraźliwie jęknął. Bezwładne nogi zwisały; za każdem poruszeniem słychać było jakby chrzęst pogruchotanych kości. Jankowski usiłował podnieść te obumarłe nogi, ale więzień

znów jęknął jak zwierz raniony, ramiona mu się rozplotły i omdlał.

Klatt nie tracił jednak przytomności. Uniósł go jak dziecko w silnych ramionach i spiesznie zdążał ku wyjściu.

— Latarkę zgaś! — szepnął do Jankowskiego.

Za moment ogarnęła ich ciemność. Ale szli ciągle po oślizłych schodach, w górę, dźwigając omdlałego Kalksteina.

Na kurytarzu coraz większa wrzawa. Na samym jego końcu, w stronie, skąd przed chwilą Jankowski z Klattem przybyli, widać było gromadkę żołnierzy i strażników z pochodniami. Stamtąd też dochodził głos Knopfa:

— Otworzyć bramę! — krzyczał — niech wszyscy tu wpadną!

Wydostawszy się z lochu, który Knopf z umysłu zostawił otworem, Jankowski rzekł do zdyszanego Klatta:

— Musimy w przeciwną stronę... w ciemność...

Szli tedy, jak można było najśpieszniej, po omacku, obaj dźwigając bezwładne ciało Kalksteina. Krzyki z dziedzińca dochodziły coraz wyraźniej; była tam snadź zacięta bójka; od czasu do czasu padały strzały.

— Nie strzelać! — wrzeszczał Knopf — żywcem brać...

A oni szli, nie ustając. Pot zimny oblewał ich

czoła; zdawało się im, że ów kurytarz ciemny nie skończy się nigdy...

Nagle, mimowolnym ruchem, równocześnie rzucili się w bok, przypierając do muru.

Z chrzęstem zardzewiałych zawias, otwarły się opodal skryte w ścianie żelazne podwoje, przez które padła wązka smuga żółtawego światła. Okryty wojskowym płaszczem, w czapce na głowie, wyszedł z nich pułkownik Leschwang; przed nim postępował żołnierz z pochodnią.

— Przeklęta bestya, Knopf! — mruczał pułkownik — on tu sobie dla rozrywki wojnę wyprawił!...

I podążył śpiesznie ku wyjściu, skąd już żołnierze z pochodniami biegli.

Jankowski i Klat z zapartym oddechem, czekali, przyparci do muru.

Pułkownik, dążąc w przeciwnym kierunku, zostawił ich w cieniu. Jeszcze jakaś nadzieja zabłysła.

Jankowski szepnął:

— Tam! tam! i wskazał smugę światła, padającą z drzwi przymkniętych, któremi wszedł Leschwang.

Wbiegli na kamienne schody, słabo oświetlone kopcącym kagankiem. Było tu zupełnie pusto; ale Klatt widocznie pod ciężarem słabnął. Przystanąć musiał.

— Jeszcze moment! — zachęcał Jankowski —

bylebyśmy tu jaką kryjówkę znaleźć mogli i przeczekać... W zamieszaniu potem ujdziemy...

Klatt nie mówił nic, dyszał jeno; postąpił parę kroków w górę i znów przystanął.

Tymczasem na kurytarzu, blizko nich, wzmagał się tumult. Snadź Knopf już spostrzegł, że kaźń Kalksteinowa była pusta. Rozbiegano się na wszystkie strony, krzycząc:

— Nie ma ich!... Gdzie są? ujść nie mogli!

A Leschwang łajał wściekle:

— Obwieszę bez sądu!... ty... ty... duszo dyabelska!

I walił Knopfa pięścią w twarz.

— Och! och! — jęczał dozorca — ja ich pod ziemią wynajdę!...

I snadź nagle zobaczywszy owe drzwi otwarte, wywinął się z pod pięści pułkownika i rzucił się ku nim.

— Oni tam być muszą! — krzyknął.

Klatt złożył omdlałego Kalksteina na ziemi, a gdy Jankowski, klęcząc przy nim, usiłował go ocucić, on stanął na zakręcie schodów, gotów do walki. Od początku uważał to przedsięwzięcie za szalone, a ujrzawszy Kalksteina, tembardziej utwierdził się w przekonaniu, iż z tak schorzałym człowiekiem umknąć było niepodobna. Nie przeciwił się wszakże Jankowskiemu, bo i jemu także zginąć tu lub gdzieindziej było wszystko jedno: nie darmo przecież straceńcami się zwali. Chodziło te-

raz tylko o to, aby zginąć mężnie. Nawet im na myśl nie przyszło zostawić Kalksteina, iżby samym ratować się ucieczką. Jankowskiemu z wielkim trudem powiodło się oprzeć głowę więźnia o mur i ułożywszy wygodniej, przywołać go nieco do przytomności. Krystyan Ludwik błędne oczy otworzył i jęknął boleśnie, a potem wyszeptał:

— Uciekajcie!...

Jankowski stanął obok Klatta. Ten zaś plecami o ścianę się oparł, nogi rozszerzył, aby je utwierdzić i wyciągnął żylaste ramiona.

W tym momencie wbiegł Knopf na strome, kamienne schody. Miał krótki mieczyk w ręku, a pienił się ze złości; twarz jego rozbita, posiniała od razów Leschwanga, ociekła krwią i była straszna.

— Mam was! — krzyknął i darł się naprzód po schodach...

Klatt przypuścił go blizko. I nagle sam jeszcze zbiegł ku niemu, schwycił za podniesioną prawicę z mieczykiem i wykręcił, aż zachrzęściały kości; drugiem zaś ramieniem opasał go wpół jak obręczą i podniósł do góry.

Tymczasem przez drzwi otwarte zaczęli się tłoczyć inni żołnierze.

— Nie strzelać! żywcem wziąć! — komenderował Leschwang.

Lecz w tym samym momencie rozstąpili się i cofnęli żołnierze.

Z góry, ciśnięty całą mocą przez Klatta, leciał na nich Knopf. Mieczyk wypuścił z ręku i leciał jak piłka, głową na dół, a byłby zmiażdżył innych swoim ciężarem. Lecz rozstąpili się w porę; Knopf z okrutnym łoskotem spadł na ostatnie schody i jeszcze z nich się zsunął, aż pod nogi Leschwanga, znacząc kamienie posoką.

Pułkownik nogą go kopnął.

— Dobrze ci tak, psie! — krzyknął.

Lecz wnet komenderował:

— Drzwi zamknąć! z góry na nich!...

Jankowski spojrzał na Klatta, który stał spokojny, obojętny.

— Ostatni wysiłek na marne! — wyszeptał. — Przebacz mi bracie!...

Klatt nie odrzekł nic. Ramionami dźwignął, jakby się dziwił słowom rotmistrza, a potem rzucił się mu w objęcia.

I tak zwarci w uścisku stali chwilę ponad leżącym znów w omdleniu Kalksteinem, czekając śmierci.

— Ale słyszałeś? — ozwał się nagle Klatt. — Strzelać nie kazał... jeno żywcem wziąć...

— Niewola najstraszniejsza rzecz... — odparł rotmistrz.

— Więc brońmy się! — rzekł Klatt i biegł już w górę, aby nie dozwolić przejścia.

Było już wszakże zapóźno. Z góry waliła się na nich pędem kupa żołnierzy. Biegli bezbronni

na rozkaz Leschwanga, po trzech w szeregu, ile w wązkiem przejściu zmieścić się mogło, chcąc przywalić w ten sposób zbiegów własnym ciężarem.

Klatt rozstawił ramiona, oparł je o mur i zatarasował przejście. Jeszcze moment wstrzymał nawałę. Lecz trwało to już krótko. Niebawem wraz z Jankowskim stanął skrępowany powrozem przed Leschwangiem, który śmiał się szyderczo.

— Miło mi — rzekł — powitać dostojnych a niespodziewanych gości najjaśniejszego Elektora. On dobry, łagodny pan. Tak rozkazał, iżby waszmościom włos z głowy nie spadł.

— Więzić nas nie macie prawa! — zawołał Jankowski.

Leschwang zaśmiał się w głos.

— Mamy prawo się bronić — odparł — i odpierać zamachy na elektorską twierdzę. A cóżby się z nami stało, gdyby tak pobożni pątnicy mogli więźniów naszych z kaźni wynosić?... cha! cha!

— To odstawcie nas, jako przestępców do granicy — ozwał się Klatt — niech nas ukarzą władze Rzeczypospolitej..

— Piękna myśl — przerwał pułkownik — jeno wykonać się nie da... Mam wyraźny rozkaz: «Wszystkich zatrzymać!» Bo — dodał — zacny Knopf, któregoście waćpanowie za jego dobre serce strasznie poturbowali, że nie wiem czy się wyliże, zręcznie to urządził... Kompanowie waćpanów są

wszyscy tutaj, co do jednego... Prócz was, pątników, jest rybaków ośmiu... Najjaśniejszy Elektor, jak zwykle gościnny, dla wszystkich pomieszczenie obmyślił. Waćpanowie, jako najgodniejsi, zostaniecie tu, blizko waszego pana Stolińskiego, który teraz za waszą zabawkę, na łańcuszku pokutuje, a reszta do Królewca, albo może gdzieindziej pójdzie.

Klatt, którego szyderski ton mowy Leschwanga, okrutnie drażnił, zatargał więzami i krzyknął:

— Dość naigrawania! prowadźcie nas do kaźni!

— O, nie do kaźni! — poprawił pułkownik. — My wiemy, co się należy godnym officyerom Rzeczypospolitej...

I wnet dał rozkaz. Wprowadzono więźniów do przestronnej celi, o wielkiem zakratowanem oknie, wychodzącem na dziedziniec. Z ogniska, rozłożonego na kominie, rzucały się jakrawe blaski na białe, schludne ściany.

Leschwang kazał więźniom powrozy zdjąć. Stojąc w progu, rzekł jeszcze:

— Będzie tu waszmościom ciepło i spokojnie... Dobry Elektor nie chce was nawet samotnością karać. Możecie naradzać się dowoli, szczerze jeno radzę nie próbować ucieczki, bo to na nic się nie zda... Ten Knopf, dobry człek, ale łgarz; on łgał, mówiąc, że nie mamy dostatecznej załogi. I na przytrzymanie stu takich pątników wystarczy...

Radzę więc czekać cierpliwie, aż nie przybędzie odsiecz z Polski... cha! cha!...

Klatt, którego to szyderstwo smagało, jak obelga, rzucił się ku pułkownikowi, ale ten w tymże momencie zniknął. Zapadły za nim ciężkie, żelazne podwoje; zasunięto ze zgrzytem wielkie zawiasy i zamknięto kłódki. Więźniowie zostali sami.

Klatt usiadł ciężko przy stole na ławie i głowę wsparł na rękach. Jankowski długo chodził po celi w głębokiej pogrążony zadumie, aż stanął przy oknie, przez które padały do wnętrza pierwsze brzaski świtającego dnia.

W nocy spadł śnieg, białym całunem pokrył dachy i dziedziniec więzienny. Na wypogodzonem niebie przelatywały lekkie chmurki, nieco zaróżowione od wschodu... I nagle wybłysnął jasny, wesoły promień słońca, zaiskrzył się na śniegu i brylantowemi zalśnił barwami...

Otucha wstąpiła w serce rotmistrza.

— Bóg tak chciał! — ozwał się głośno. — A że nas tu nie ubito, to znak, jako Opatrzność do innych jeszcze przeznacza nas losów.. Bóg tak chciał.. On z nami!

I na kolana padł, a za nim ukląkł Klatt i obaj, ze wzniesionemi ku niebu ramionami w głos poczęli się modlić:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech!

Każde słowo wymawiali zwolna, dobitnie, że aż echo szło.

IV.

PALEC BOŻY.

Od kiedy minister brandenburski, hrabia Waldeck zapamiętał swego pana, nigdy jeszcze Fryderyk Wilhelm nie był w tak dobrem usposobieniu, jak w r. 1672. Nawet mniej go drażniła ciągła walka, jaka wrzała pomiędzy najstarszym synem jego z pierwszego małżeństwa, Fryderykiem, a macochą.

— Fryc dzielny jest — mówił śmiejąc się do Waldecka — w najtrudniejszej walce, bo z białogłową i jeszcze taką, jak miłościwa Elektorowa, cha, cha! daje sobie radę...

Zajęty był teraz ustawicznie rozmaitymi planami na przyszłość, a wśród nich zdawał się zapominać o chorobie, która mu się często przypominała. Miał oczy bacznie zwrócone na Francyę i politykę zaborczą Ludwika XIV, lecz nie spuszczał z uwagi ani tego, co się w Polsce działo,

ani niebezpieczeństw, grożących mu zawsze ze strony Szwecyi. Tymczasem umacniał fortyfikacyami Berlin, pomnażał i ćwiczył wojsko.

Od kiedy Ludwik XIV coraz wyraźniej okazywać począł swoje dążenia zaborcze, od kiedy wbrew traktatom i podczas pokoju, zajął i obsadził swem wojskiem Lotaryngię, nienawiść Elektora, nie tracąc na swej sile, podzieliła się pomiędzy Polskę a Francyą.

— Ten arcychrześcijański król — zwierzał się Waldeckowi — to jest arcyzbój! Onby chciał cały świat, a zwłaszcza Niemcy, rozbić i zagarnąć... Niedoczekanie!

I wbrew radom ministra, który lękał się szwedzkiego najazdu, zawarł w maju przymierze z Rzeczpospolitą niderlandzką, a niebawem wciągnął do tego sojuszu i cesarza Leopolda.

— Stać ja teraz będę na boku — dodawał — ale jeno do czasu... Gdyby jednak ten arcychrześcijański za daleko się zapędził, to ty, mój Waldeck, pójdziesz nad środkowy Ren... pójdziesz, choćbyś nie chciał... Obiecalem dać 26.000 dobrego żołnierza.. cesarskich będzie dwanaście tysięcy.

Waldeck próbował perswazyi; przedstawiał niebezpieczeństwa.

— Nie możemy tak się ogołacać — mówił. — Przecież i Polsce mamy dać przeciw Turcyi posiłki.

Elektor rozparł się w krześle, opuchnięte nogi

wyciągnął przed siebie i patrzył na ministra wytrzeszczonemi a szyderskiemi oczyma.

— Cha, cha! — zaśmiał się w głos — najjaśniejsza Rzeczpospolita w kłopotach... To jej dam, co mi się podoba, nie to, czego ona chce...

— Ma prawo żądać... — zaczął minister.

— Ma prawo! — przerwał Fryderyk Wilhelm — ona różne miała prawa i z tego co? Nic! Miała prawo żądać ode mnie hołdu, a ja teraz niezależny pan... traktaty welawsko-bydgoskie już zatwierdzone! Przyrzekłem dać 1.500 żołnierza, a dam 500 starych dragonów... więcej nic! I to, jeśli będę musiał...

Wieści nadchodzące z Polski niepomiernie go cieszyły. Wołał zaraz Waldecka i spowiadał mu się:

— Lękałem się ja tego Sobieskiego hetmana, ale teraz widzę, że niema czego. Oni tam sami go zwalczą! Wojować mu nie dają; odmawiają wojska... Co zdobędzie, to straci... Ot, Doroszeńko znów Ukrainy pan, a Turcy na karku... do Kamieńca i na Podole wlezą, a wtedy co? cha, cha! Jeszcze ja się tego doczekam, że ten malowany Król, któremu miałem pokłon bić, w kaftanie poddaństwa chodzić będzie...

Dygotał cały, tak nim wściekła poruszała radość.

— Jeszczeby to było nic, bo ten Sobieski, to jest zuch... szablą machać umie, że ty, Waldeck, przy nim... cha, cha! pożal się Boże!... Ale cóż?

w spiski się wdał i Króla z tronu zrzucić chce... O! Uwierzył w arcychrześcijańskiego Króla, a ten nie głupi. Obiecuje wszystko przez swoich ajentów, a potem wypiera się ich, zgoła nie po chrześcijańsku... Szlachta tymczasem za Królem jest popiera go i cesarz, a Sobieski na swego Longuevilla czeka... Niech czeka... cha! cha! Ta walka o tron w najjaśniejszej Rzeczypospolitej, to wyborna rzecz...

I dodał z szyderstwem:

— Mądry dyabeł ją wymyślił, na pożytek mądrym ludziom... A my, Waldeck, nie mamy czasu być głupi, co?...

Jedna rzecz tylko niepomiernie Elektora gniewała. To opór Stanów pruskich i nawet samej komisyi sądowej w sprawie Kalksteina. Wprawdzie pod naciskiem z Berlina, komisya ta wydała już dnia 8 stycznia wyrok, skazujący memelskiego więźnia, jako zdrajcę, fałszerza i oszczercę, na śmierć przez ucięcie głowy mieczem i konfiskatę dóbr, ale stany wzbraniały się zatwierdzić wyrok i odwołały się do łaski Elektora.

Czuł on, że była w tem chęć zwalenia całej odpowiedzialności na niego za surowy wyrok, od powiedzialności wobec Stanów pruskich, bardzo Kalksteinowi życzliwych, lecz nie mających dość siły, aby jawnie protestować, i wobec Rzeczypospolitej, która spełnienie takowego wyroku, mogła

słusznie uważać za ostateczne pogwałcenie praw swoich.

Wściekał się więc ze złości i klątwami miotał na członków komisyi i Stany, ale tym razem usłuchał rady Waldecka i postanowił czekać aż do czasu, gdy już niczego ze strony Polski nie będzie się mógł obawiać.

Tymczasem pocieszał się myślą, że Jankowski wraz z całą kompanią w pułapkę wpadł. Z tej awantury — jak ją zwał — śmiał się do łez, a nakazując komendantowi twierdzy memelskiej, iżby ujętych jak najlepiej traktował, polecał ścisłe nad nimi czuwanie, iżby nie umknęli.

— Głową mi za nich odpowiesz! — pisał do Leschwanga; Knopfa zaś, który z tej okazyi nie jedną ranę poniósł, a nietylko zęby, lecz i lewe oko utracił, na koszt swój leczyć kazał i sowicie wynagrodził.

— On to doskonale sprawił! — mówił ucieszony. — Łatwiejby mu było przyszło ująć ich pierwej... ale on czekał na spełnienie szalonego czynu, iżby wymówki nie mieli, że są niewinni... Teraz zaś, gdyby nawet Rzeczpospolita upomniała się o swoich zuchów, odpowiem: na gorącym uczynku złowieni... Nie czynię im przeto krzywdy, ale trzymam i zatrzymam, dopóki z Kalksteinem nie będzie końca...

Z nadejściem wiosny Fryderyk Wilhelm coraz większy okazywać począł niepokój. Był jak w go-

rączce. Na wszystkie strony: i do Warszawy i do Wiednia i do Francyi i na plac boju, kędy sprzymierzone trzy armie, francuska, angielska i szwedzka szły na zniszczenie Holandyi, gońców wysyłał. Nie było też dnia, aby do Berlina nie nadbiegali zewsząd liczni kuryerzy lub ajenci tajni z relacyami ustnemi.

A relacye musiały być dobre, bo kurfirst promieniał i coraz zuchwalsze plany snuł, które jeno Waldeckowi powierzał.

Raz mu rzekł:

— Wiesz ty co?... z Polską już koniec. Doszło tam *ad extrema*. Teraz Król sam przez zauszników swoich sejmy zrywa, iżby malkontentów do przewagi nie dopuścić... Czausz turecki wypowiedział wojnę, cała potęga Porty Ottomańskiej idzie nawałą, a oni tam spory wiodą i spiski knowają... Doroszeńko głowę coraz wyżej podnosi, a w ślad za nim idzie Haneńko i inni różni hetmankowie, czart ich wie, jak się zwą... A oni co? Prymasa, który śmiałość miał żądać, iżby armię do 70.000 podniesiono, ogłosili zdrajcą, infamisem, że on już nawet na pokojach królewskich się nie pokazuje, a że wściekły jest, więc coraz jawniej spiski knowa i coraz częściej do arcychrześcijańskiego Króla posłów śle, iżby wnet Longuevilla do Polski wyprawił... A król Ludwik śmieje się w garść, przyrzeka, tymczasem zaś Longuevillowi z Holendrami wojować każe...

— Doszły tu wieści — wtrącił Waldeck — i dzisiejszy kuryer to potwierdza, że Król Michał dobrowolnie koronę złożyć chce, że dwór cesarski na abdykacyę się zgodził, pod kondycyą, iż królowa Eleonora rozwód otrzyma i przyszłego Króla polskiego poślubi...

Elektor złośliwie z podełba na ministra patrzył.

— Każ ty obwiesić swego kuryera! — rzekł po chwili. — To są wszystko plotki i łgarstwa przez prymasa i innych malkontentów w kurs puszczane, dla utwierdzenia głupich w wierze...

Waldeck żachnął się gniewnie.

— Miłościwy panie! - zawołał — już niejednokrotnie tak było, iż relacye moje w wątpliwość są podawane lub zgoła zaprzeczane przez niewiadomych mi donosicieli!... Jeżeli utraciłem ufność Waszej Elektorskiej Mości!...

— Ta! ta! ta! — przerwał Fryderyk Wilhelm z dobrodusznym uśmiechem — już się mój minister gniewa!... A niema czego... cha! cha! Żebyś ty, mój bracie, nawet porzucić mnie chciał, tobym płakał, ale swoje robił. Tak musi być. Ty miej swoich donosicieli, a ja swoich. Z takich relacyi dopiero prawda pośrodku wyłazi...

Waldeck ramionami jeno dźwignął, milcząc. A kurfirst patrzył na niego z podełba i już złościł się, lecz się miarkował.

— Widzisz — dodał po chwili — to jest tak:

Ty odpowiadasz jeno za to, co mi powiesz lub doradzisz... a ja...

Strzymał się moment i, przybierając majestatyczną postawę, wargi wydął:

— Ja zaś odpowiadam za cały naród... za to, co mam jeszcze uczynić dla tego państwa, iżby stało się niezależnem i silnem...

Wstał z krzesła i ciężkim krokiem przystąpił do okna, wychodzącego na dziedziniec zamkowy, kędy przyboczna jego gwardya właśnie w tym momencie odbywała ćwiczenia. Na ten widok chmurna jego twarz rozpromieniać się zaczęła.

— Patrz-no, Waldeck, jakie to zuchy! — zawołał.

A widząc, że minister ociąga się, dorzucił:

— Nie grymaś, a patrz! Serce rośnie na ten widok...

Gdy zaś Waldeck przystąpił, kurfirst rękę na ramieniu mu położył.

— Słuchaj-no ty! — ozwał się po chwili — ty się na mnie nie gniewaj, bo ja cię miłuję... Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że dla twoich oczu, albo, żeś ty jest hrabia Waldeck... Nie! Ale miłuję cię, boś mi jest potrzebny, boś jest dzielny w wojnie a przezorny w radzie... I jeszcze dlatego, żeś ty wraz ze mną widział marne, liche początki, a teraz patrzysz na wzrost, na coraz większą siłę... żeś był przy samych fundamentach budowy, która rośnie...

Odstąpił od okna i przechadzał się zwolna po komnacie w zamyśleniu.

Waldeck zaś rzekł:

— Szczęśliwy będę, jeżeli Wasza Elektorska Mość i dalej do tej budowy mnie dopuści... Niczego więcej nie pragnę tylko służyć wam, miłościwy panie, ale skoro wiary nie mam...

— Wiary! — odburknął kurfirst, przystając na środku komnaty — jakże chcesz, iżbym wierzył kłamstwom, które ci donoszą... Powiadasz, że ja mam bezimiennych szpiegów, otóż ci powiem, bo ufam tobie, że ten, który mi donosi, ma imię i piękne...

I z piekącem szyderstwem dodał:

— Mógłby się nazywać Waldeckiem, gdyby się nie zwał Leszczyńskim... mógłby być moim ministrem, gdyby nie był kanclerzem wielkim koronnym najjaśniejszej Rzeczypospolitej... cha! cha!...

Waldeck pięści zacisnął, ale znając swego pana, który z największego zapału w szyderstwo zimne przechodził, nie myślał w dalszy spór się wdawać, szepnął jeno przez zęby:

— Stary niedołęga!...

Kurfirst to posłyszał i żachnął się gniewnie:

— Niedołęga, mówisz? Nieprawda! — krzyknął. — Stary on jest, zgrzybiały... ośm krzyżyków na karku dźwiga... ale wzrok ma dobry i słuch jeszcze lepszy... A zręczny jest i wierny mi zawsze. Potrafił do dworu się zbliżyć, z Ko-

rybutem w konfidencyi jest... stąd wie wszystko najlepiej... Zresztą czytaj!...

Wyjął z zanadrza wielkie pismo i podał ministrowi.

Waldeck wiedział, że to jest niezwykły dowód zaufania ze strony kurfirsta, który nie zwykł był ze swoich twierdzeń się tłumaczyć lub okazywać dokumentów.

Zatem wziął pismo kanclerza Leszczyńskiego z rąk Elektora i z ciekawością czytać je począł,

Fryderyk Wilhelm usiadł na dawnem miejscu, podparł głowę na ręku i przenikliwy wzrok utkwił w twarz ministra, wybadać chcąc wrażenie, jakie na nim to pismo czyniło.

I z pociechą widział, jako posępna twarz Waldecka rozchmurzała się zwolna.

— A widzisz! — ozwał się po chwili — z Rzeczpospolitą już koniec... Królewscy nie mają sił, a gdyby je nawet mieli, nie zdołają utrzymać na tronie niedołęgi, który nietylko działać, ale i myśleć nie umie... Malkontenci siłę-by mieli, mają bowiem rozumy takich, jak Prażmowski, jak Morstin i dzielność takich, jak Sobieski... Ale rozum ich zaciemniły animozye osobiste; dążą zapamiętale do złożenia z tronu Korybuta, nie bacząc, jakim będzie monarchą ów obcy Longueville, nie bacząc, zali kraj tylu zewnętrznemi niebezpieczeństwami otoczony, zdoła przenieść wstrząśnienia abdykacyi, bezkrólewia i elekcyi... Łudzą siebie

i łudzą innych zagraniczną pomocą, rozpuszczają wieści, jakoby cesarz Leopold zgodził się na detronizacyę Michała, co jak widzisz z pisma kanclerskiego, jest wierutny fałsz; wierzą obietnicom francuskiego Ludwika, któremu w głowie jeno rozbicie Niemiec... zabór świata...

Ostatnie słowa wymówił przez zaciśnięte zęby i pięścią w stół grzmotnął.

— Ale tego nie będzie! nie!... — krzyknął.

Waldeck rzekł:

— Mądrość Waszej Elektorskiej Mości wszystko to dobrze przewidziała... Gdyby jednak książę de Longueville zdołał na czas przybyć... dla nas elekcya jego nie byłaby pomyślną... To dzielny rycerz, a przytem to wzmocnienie francuskiej potęgi...

— Cha! cha! — zaśmiał się Elektor. — Gdyby przybył! ale nie lękaj się... pierwej Porta Ottomańska zabierze Kamieniec i zaleje Podole, pierwej Doroszeńko będzie całej Ukrainy panem... A wtedy co? Żaden Longueville nie pomoże... Tak jestem tego pewny, że gdy mnie się pytano, — bo oni i mnie się pytają! — czy jabym się zgodził, iżby ten bękart francuski królem polskim był, odrzekłem: A dobrze, czemu nie?... cha! cha!...

— W ostatnim jednak momencie — wtrącił Waldeck — wobec jawnych niebezpieczeństw, obudzić się jeszcze może duch w tym narodzie rycerskim... Tego się lękam... bo tak już bywało nie-

raz. Hetman Sobieski cuda istne na Ukrainie czynił... w nim jest niespożyta siła...

Fryderyk Wilhelm niespokojnie się poruszył i gniewne rzucił na ministra spojrzenie. Waldeck dotknął najdrażliwszej strony, albowiem i kurfirst tego rycerskiego ducha jedynie się obawiał.

— Dlatego — ciągnął dalej minister, zwykle przezorny — jabym oszczędzał siły i w wojnę holenderską na razie się nie mieszał...

— A któż ci każe iść zaraz nad Ren! — wybuchnął Elektor — poczekajmy jeszcze... Niech tymczasem w Polsce walka o tron trwa... niech trwa! Niech się zawiązują konfederacye, niech malkonteńci spiskują i niech tymczasem Turcy do Kamieńca się zbliżą...

Wstał zamyślony i przeszedłszy się po komnacie, znowu do Waldecka przystąpił.

— Sobieskiemu — szepnął — trzeba nogi podcinać, gdy głowy uciąć nie można... Chmarę ajentów trzeba rzucić, którzyby między szlachtą wieści przeciw niemu szerzyli... choćby najbardziej do prawdy niepodobne... Tłum uwierzy... Niech szepcą, że jest sprzedawczyk, jurgieltnik... że od Doroszeńka okup wziął, że Turków sam sprowadza, iżby Korybuta zgnieść, że wojsko buntuje, iżby władzę najwyższą miał... Niech on straci wiarę w narodzie, a i siłę postrada...

— Tak trzeba uczynić... — chmurno potwierdził brandenburski minister.

Oczy Elektora zabłysły w mroku wieczornym, który zalegał komnatę. Był rad z aprobaty Waldecka i poufale po ramieniu go poklepał.

A potem znów zwolna przechadzać się zaczął. Chwilami przystawał i oczy wznosił do góry w zadumie.

— Tak... tak... — mruczał, jakby sam do siebie — niech w Polsce walka o tron trwa, a zakończy się kaftanem poddaństwa... Potem zaś...

Urwał nagle i za moment rzekł, zwracając się do Waldecka:

— Wiesz ty?... ten Pufendorf, co moje dzieje pisze, to bibulasta natura... gryzmoła, ale nie głupi człek! Wiesz, co on mi tu kiedyś prawił? Ludwik XIV na zabór idzie... — powiada — więc go trzeba zgnieść... A jak to sprawić?... Rozerwać przymierze Francyi z Anglią, wojnę domową w Anglii wzniecić, a skojarzyć Niemcy i na czele niemiecko-holenderskiej armii na Paryż iść... wprost na Paryż!... Dobry plan... co?

Fryderyk Wilhelm lubił takie roić marzenia, a upodobanie to podzielał i Waldeck, w kreśleniu planów kampanii wojennych biegły i zuchwały. Do późna też w noc wraz z Elektorem obliczali siły niemiecko-holenderskie i układali ów pochód na stolicę arcychrześcijańskiego króla...

Pierwszy oprzytomniał Elektor i zaśmiał się nagle:

— Tymczasem — rzekł — król Ludwik Ho-

lendrów bije, a Sobieski gotów nam Turków przepłoszyć... Bądź zdrów, Waldeck, a pamiętaj o ajentach warszawskich...

Waldeck nie zapomniał i zaraz nazajutrz wysyłał kuryerów różnych do Gdańska i do Warszawy ze szczegółowemi instrukcyami.

Tymczasem w Warszawie był ruch ogromny. Na sejm, który rozpoczął się dnia 18 maja, zjechało się mnóstwo szlachty, a codziennie prawie odbywały się wspaniałe wjazdy panów senatorów, na czele licznych pocztów dworzan i zbrojnych. Prymas Prażmowski przybył z Łowicza z ogromnym dworem. Czterdzieści kilka karet wiozło co przedniejszych przyjaciół, a karocę prymasa, całą oszkloną, otaczała liczna i dobrze uzbrojona konnica jego domowa. W połowie czerwca przypłynął do Kazimierza dwiema szkutami i trzema dubasami wojewoda krakowski, Aleksander Lubomirski. Z sobą miał sług niemało i ze dwieście piechoty, a lądem postępowała ku Warszawie jego dragonia. W Puławach stali już z wielką kupą ludzi, chorąży koronny Sieniawski i Jabłonowski wojewoda, a lada dzień zapowiadano przybycie Sobieskiego hetmana, wojewody kijowskiego Andrzeja Potockiego i książęcia Aleksandra Ostrogskiego. Armie ich liczne i dobrze uzbrojone, ciągnęły już ku stolicy, a zgoła myśleć było można, że na oblężenie idą. Niepokój w mieście panował okrutny; starcy, niewiasty i dzieci umykali jak przed na-

iazdem, nie rzadko bowiem zdarzało się, iż owo żołdactwo nadworne, rozbestwione w pijanej swawoli, dopuszczało się gwałtów, że nikt mienia i życia bezpiecznym być nie mógł. Z ulicy przekradała się wrzawa i tumult do izby sejmowej, kędy już zgoła porządku utrzymać było niepodobna. Posłowie z rozmaitych stronnictw przybywali tłumnie w orszaku swoich »arbitrów», którzy wciskali się do sali, wrzaskiem tamując obrady. Nieprzyjaciele hetmańscy rozpuszczali wieści, że Sobieski przybywa na czele armii, która zwalczać będzie Litwinów i Wielkopolanów za ich wierność królowi. W sali sejmowej wskazywano oficerów i towarzyszów z hetmańskiego konwoju, którzy wciskali się pomiędzy posłów, iżby przeciwnych na dane hasło chwytać. Posłowie królewscy domagali się rugowania takich niebezpiecznych arbitrów i grozili zerwaniem sejmu. Popłoch stawał się coraz większy; ci co umknąć ze stolicy nie mogli, kryli się w przestrachu do lochów, lub nocą zalegali świątynie Pańskie.

Tymczasem Sobieski wraz z opatem Paulmiers, który go teraz nie odstępował, przybył do Kazimierza i tam, na szkucie odbywszy z Aleksandrem Lubomirskim naradę, do Warszawy podążył. Na owej konferencyi zapadła uchwała, iżby działać rychło i stanowczo, złożyć z tronu bądź co bądź niedołężnego Korybuta, choćby siły użyć przyszło i ogłosić bezkrólewie.

W stronnictwie królewskiem przeczuwano zamach i strach wielkooki ogarnął dwór. Na zamku dzień i noc czuwały gwardye w gotowości bojowej, pod Pragą zaś litewskie i wielkopolskie kupy zbrojne. Nie rzadko też między niemi a pocztami malkontentów przychodziło do krwawych zatargów i bójek ulicznych. Pijani swawolnicy przeciągali w nocy tłumami przez ulice z krzykiem i hałasem, a często nawet groźne wybuchały pożary, zbrodniczą wzniecane ręką.

Król przerażony, ani w dzień, ani w nocy nie miał spoczynku. Spoglądał na wszystkich wystraszonemi oczyma i pytał tak samo, jak czasu elekcyi:

— Co będzie teraz?...

Na to nikt z najbardziej mu oddanych odpowiedzieć nie mógł, a on, nie mając znikąd otuchy, na wszystkich począł patrzeć podejrzliwem okiem i najwierniejszych tą nieufnością zniechęcał. Odsunął się też od niego podkanclerzy Olszowski, a nawet kanclerz Pac, którym król głośno zarzucał, że zdradzili go i do malkontentów przystali. Gdy, puszczone przez złośliwe języki, rozbiegły się wieści, jakoby królowa Eleonora zgodziła się na rozwód i poślubienie Longuevilla, Korybut nieufnie spozierać zaczął na małżonkę, a nawet ulubionemu dworzaninowi pokojowemu, Rostockiemu, pilnie śledzić ją nakazał. I codzien-

nie wieczorem, zamknięty z nim w swej komnacie, wypytywał go niecierpliwie:

— I cóż? i cóż królowa jejmość? spiskuje?... co?...

Ale zausznik, jakkolwiek dla przypodobania się panu swemu, nieraz zmyślone wieści mu przynosił, gdyż wiedział, że mile słuchane będą, tym razem nic nawet wymyśleć nie mógł, czy też nie śmiał.

— Królowa — odpowiadał — najczęściej w komnacie swej przebywa... Smutna jest, płacze i modli się...

— Modli się... — z przekąsem powtórzył Michał — pewno o to, iżby już rychło Longueville przybył...

— Widzisz, mój Rostosiu — ciągnął dalej, z przymileniem na faworyta patrząc — ja dobry jestem dla ciebie; bez względu na wrzaski, żeś ty nie jest *terrigena* w województwie krakowskiem, dałem ci lelowskie starostwo i dzierżaw trzy... Ja dobry jestem... widzisz... ale ty nic jakoś dla mnie...

Rostocki, jakkolwiek nawykły do tego, że Król wyrządzone dobrodziejstwa wypominał, poczerwieniał wszakże, żachnął się i odparł:

— Zawsze gotów jestem, choćby z poświęceniem życia, okazać moją wdzięczność miłościwemu panu, ale w tym względzie nic dopatrzeć nie mogę... Królowa jejmość otoczona jest zresztą swym

dworem, zupełnie jej oddanym. Nie zdradzi nikt... Ją wszyscy miłują...

Korybut wybuchnął:

— O, widzisz!... wszyscy miłują!... A mnie nie cierpią... To ona tak umyślnie czyni...

Rostocki nie odrzekł nic, i na tem na razie skończyła się ta rozmowa, ale w kilka dni później przybiegły wiadomości, że jakiś poseł od księcia prymasa był u królowej i przyniósł pismo, na które ona niezwłocznie dała respons.

Na blade, nalane policzki Korybuta wybiegły ceglaste rumieńce.

— A co! — krzyknął — wiedziałem ja dobrze... Ze ślepym bożkiem spiskuje!...

Chciał odrazu biedz do królowej i żądać wydania owego pisma prymasa, ale wnet się zmiarkował. Usiadł ciężko w krześle i zamyślił się posępnie.

— Niema rady! — rzekł w końcu z westchnieniem — co ja mogę?... Powiem prawdę królowej, to ona wnet do cesarza ze skargą pisać będzie... a w nim jedyna moja nadzieja... Obiecuje posiłki przeciw malkontentom... Zresztą, gdybym teraz wystąpił i rzekł, że wiem o zdradzie królowej, to malkontenci zerwaliby się zaraz i przyśpieszyli zamach... Straszna rzecz!... Król życia niepewny...

Podniósł mętny wzrok na dworzanina i dorzucił:

— Prawda, Rostosiu, straszna rzecz... co?...

— Byleby ten nieszczęsny sejm się skończył — wtrącił zausznik — odbywa się pod grozą Sobieskiego hufców zbrojnych i to uczyni, co on i malkontenci zechcą... W tem niebezpieczeństwo największe...

— I ja tak myślę — potwierdził Król — trzeba go skończyć... I gdyby tak który z posłów mi wiernych... Ale gdzie oni są, ci wierni?...

Rostocki zbliżył się i szepnął:

— Imćpan chorąży gostyński Ubysz gotów jest odebrać sejmowi *activitatem*... Kanclerzowi Pacowi tak uroczyście przyrzekł...

— A, prawda! — zawołał Michał — chorąży gostyński, Ubysz... dobra myśl!... On mi wierny, ujmował się za mną w izbie... prawda! Rostosiu, zawezwij go jutro do mnie...

Nazajutrz też zrana przybył do komnaty królewskiej pan chorąży gostyński z dwoma kompanami swymi, Gomolińskim i Gąsiorowskim. Narada była krótka, a zakończyła się uchwałą, że ci trzej posłowie mają domagać się rugowania z izby poselskiej niepowołanych osób, zwłaszcza zaś wojskowych, które się tam wciskały, a gdyby marszałek żądania tego nie usłuchał, p. Ubysz miał oświadczyć, iż sejm pod grozą ucisku wojskowego, który pan hetman wielki koronny wywiera, obradować nie może, i założywszy *solennem protestationem*, wyjść z sali, to jest sejm zerwać.

— W ten sposób — mówił Król — odzyszczemy spokój.. Przecież waszmościowie widzicie, co się dzieje. Warszawa, dzięki panu Sobieskiemu i jego adherentom, nie jak stolica królewska, lecz jak obóz wygląda, a izba sejmowa, to zbiegowisko niesforne.

Imćpan Ubysz, człek w sile wieku, wzrostu bardzo wysokiego, barczysty, ręką ogromną, czerwoną, podkręcił wąsa, który mu dwoma długiemi a rzadkiemi pasmami na dół zwisał; odchrząknął, umocnił swoją wielką postać na rozstawionych szeroko, olbrzymich stopach i głosem ochrypłym, rzekł:

— Sprawi się to wszystko *pro bono publico* i najjaśniejszego majestatu... Sprawi się.. albom nie Ubysz, miłościwy panie! Kanclerzowi Pacowi dałem słowo i dotrzymam...

Ale Gomoliński bardzo chudy i mały, miał wyraźny lęk w oczach wytrzeszczonych.

— Zarąbią nas... — wtrącił.

— E, nie!... dość chwiejnie zapewniał Korybut, z uwagi tej nie kontent.

Ubysz się zaśmiał:

— Ktoby tam waćpana w tumulcie dostrzegł?... Musiałby pierwej prosić: rozstąpcie się, mości panowie, bo ja imćpana Gomolińskiego zarąbać chcę...

Gąsiorowski zaś, który na długiej, cienkiej szyi dźwigał dużą głowę o twarzy pomarszczonej, a bez

zarostu, jak niewieściej, wtrącił bardzo piskliwym głosem:

— Skoro jeno imćpan chorąży gostyński wykrzyknie: protestuję!... my nogi za pas...

— Tak, tak! — śpiesznie potwierdził Korybut — nogi za pas i do zamku... Tu waćpanom pod moją opieką włos z głowy nie spadnie...

Powiódł niepewnemi oczyma po zgromadzonych i dodał po chwili:

— Tak!... co?

— Sprawi się, najjaśniejszy panie — zakonkludował chorąży — sprawi się, albom nie Ubysz!

Po tej konferencyi, Korybut wielce był kontent. Już taką miał naturę, że w ostatecznej rozpaczy, przechodził z nagła w otuchę, a wówczas wszystko łatwem i pomyślnem mu się zdawało. Przy obiedzie, który spożywał z królową, jadł dużo i z ogromnym smakiem, a od czasu do czasu jeno rzucał z pode łba na królowę złośliwe spojrzenie. Eleonora milczała; piękne jej oblicze, bardzo blade, miało wyraz wielkiego smutku, niemal przygnębienia. Oczy jej zawsze wyraziste i promienne, zapatrywały się teraz często sztywnie przed siebie, jakby goniły za myślą oddaloną i tęskną.

Korybut, jeść skończywszy, odetchnął głęboko, rozparł się wygodnie i rzekł, zwracając się do stojącego za jego krzesłem Rostockiego:

— Niema to, jak czyste sumienie... co?

— Bezwątpienia... — odparł dworzanin.

— Wtedy, mój starosto, można jeść ze smakiem i wszystko to na pożytek idzie...

Spojrzał na królowę i po chwili dodał:

— Można wesołą zabawiać się rozmową, gdy myśl nie jest zaprzątnięta intrygą lub spiskiem...

Rostocki z cicha chrząknął, Król zaś, którego milczenie Eleonory drażniło, ciągnął dalej:

— Dawno nie jadłem tak smacznego obiadu... i jeszcze konfitur zjem...

Rostocki pośpieszył podać mu kryształową misę, konfiturami napełnioną, z której Korybut nabierał na talerz pełnemi łyżkami i aż ustami z zadowolenia cmokał. Z przymileniem spozierał na faworyta swego.

— Książę prymas — znów ozwał się, smakując — i pan Sobieski pewno tak smacznie nie jedzą, co?

Po bladych ustach królowej przemknął uśmiech, niedostrzegalny prawie, uśmiech, który nie szyderstwo, lecz jakby politowanie wyrażał. Ale wnet zniknął, ustępując miejsca wyrazowi, pełnemu godności i dumy.

Król bowiem, wciągając ciągle do rozmowy dworzanina, mówił:

— Malkontentom gorzko i kwaśno w gębie... toż i apetytu nie mają... A milczą, przemyśliwając wciąż, jakby to Króla swego zgnębić...

Urwał, znowu łyżkę konfitur przełknął i z widocznem szyderstwem, dorzucił:

— Patrz-no, Rostosiu, i królowa jejmość nic nie je i milczy...

W tej chwili Eleonora miała głowę podniesioną i szeroko otwartemi oczyma patrzyła w twarz małżonka. Uniosła się nieco z krzesła:

— Dozwól — rzekła — najjaśniejszy panie, abym odeszła...

Korybut, którego wzrok małżonki pewny i śmiały, odrazu zmieszał, poruszył się żywo:

— Ależ dlaczego? dlaczego?... — bąkał.

— Czuję się niezdrową — odparła Eleonora — i jak słusznie Wasza Królewska Mość zauważyłeś, jestem smutna... A w takim momencie najlepiej być samą i nie narażać się na ciekawe spojrzenia dworaków...

Powstała, złożyła ukłon i szła zwolna ku drzwiom, nie oglądając się na małżonka, który porwał się i odprowadzał ją z zafrasowaną miną.

— Prawdziwa królowa — szeptał — prawdziwa królowa!... — niema rady... to jest habsburgska krew!...

I wnet, jakto zwykł był czynić, począł winę z siebie na innych zwalać.

— Bo ty, mój starosto — rzekł po chwili do Rostockiego — zanadto na królowę następujesz... zanadto! A to jest czcigodna pani! Mówiłeś: z malkontentami jest w porozumieniu, to nieprawda!

Spenetrowałem... Prymas i inni udają się do niej, lecz nie dlatego, iżby w spisku z nimi była, lecz żeby o medyacyę ją prosić i pacyfikacyę przeprowadzić... o! To jest czcigodna pani, którą wszyscy miłują... A ty, mój starosto, proszę cię... nie pozwalaj sobie!... Tak!

— Najjaśniejszy panie... — zaczął niby zmieszany dworak, który w duchu śmiał się.

— Ani słowa więcej! — ani słowa! — stanowczo przerwał Michał.

Wstał i mocno oburzony wyszedł z komnaty.

Ale jeszcze tego samego wieczora Rostocki wrócił do łaski. Cały dzień ten był bardzo niespokojny; z izby sejmowej dostawały się na ulicę wieści o krwawych bójkach, wywołanych obecnością w sali licznych wojskowych z konwoju Sobieskiego; mówiono, że kilku posłów na śmierć usieczono, że izbę senatorską opasało wojsko hetmańskie, że przerażony biskup poznański Wierzbowski, opadnięty przez pijaną hałastrę, uciekł i schronił się do zakrystyi w kościele św. Jana. Nikt wieści nie sprawdzał, ale strach wielkooki szedł przez miasto i ogarniał wszystkich. Nad samym wieczorem rozeszła się pogłoska, jako Ubysz, chorąży gostyński, nie mogąc uzyskać rugowania z sali wojskowych, krzyknął: Protestuję! — wybiegł i sejm zerwał. Niektórzy przysięgali, że wiwieli kilku posłów, a w tej liczbie Ubysza, jako zmykali co tchu w stronę królewskiego zamku.

Popłoch powszechny wzmógł się jeszcze, gdy ujrzano, jak kupcy zamykali swe sklepy, pakowali na wozy towary i o zmierzchu wywozili je precz. Wywożono również skarbce klasztorne i srebra kościelne, a ciężko naładowane furgony z hałasem toczyły się po ulicach, otoczone zbrojnymi pocztami.

Korybut blady i drżący stał w oknie marmurowej komnaty, wsparty na ramieniu Rostockiego i wytrzeszczonemi oczami patrzył na ulicę, przez którą przeciągały niespokojne, burzliwe tłumy, wyglądające w cieniach nocy, jak przewalające się czarne fale. Czasem z odmętu tego wydobywał się głośny, przeraźliwy krzyk, który wnet tonął w groźnym pomruku tłuszczy.

Korybut wtedy cofał się od okna, ściskał kurczowo Rostockiego za ramię i powtarzał.

— Co będzie? co teraz będzie?

Do sali tymczasem wchodził, kto chciał. Rozmawiano z cicha, urywanymi wyrazy, jakto zwykle bywa w oczekiwaniu ważnych wypadków, gdy wtem rozstąpiono się u drzwi, przez które wkroczyło kilku senatorów z Fioryanem ks. Czartoryskim, biskupem kujawskim na czele. Wysoka jego, chuda i nieco przygarbiona postać nad wszystkimi górowała. Kroczył zwolna, z powagą wielką, którą też nacechowane było jego oblicze, o rysach raczej szpetnych, niż pięknych, schorzałych, pełnych jednak wyrazu dostojeństwa. Wszedłszy, wstrzy-

mał się nieco, powiódł oczyma po zgromadzonych i spytał:

— Gdzie Król?...

Mały, krępy, barczysty, a w ruchach żywy, Jan Gniewosz, kasztelan czechowski, podbiegł i wskazał na framugę okna, w której stał Korybut.

Ale Król, uprzedzony już o przybyciu senatorów, postępował ku nim.

— To szczęście — rzekł drżącym głosem do biskupa — że Wasza Książęca Mość przybywasz... Co się dzieje? co będzie?

— Źle się dzieje... — odparł biskup — sejm zerwany, a wszyscy mówią, że z polecenia Waszej Królewskiej Mości... Wzburzenie wielkie...

Korybut obu rękami machał:

— Ależ nie! nie! — prostestował — gdzież tam! poleceń nie dawałem...

I w tym przestrachu, sprzeciwiając się samemu sobie, dodał:

— Gdzieś tu był ten... ten... Ubysz... Niech wróci do izby... albo nie... bo go ubić gotowi... Niech Gomoliński idzie i niech powie, że Ubysz powróci *activitatem* sejmowi... jutro. Rostocki... wyszukaj ich i powiedz!

Dworzanin śpiesznie zwrócił się w stronę sali, kędy w rogu samym ukryci stali Ubysz, Gomoliński i Gąsiorowski. Po obliczu Czartoryskiego przemknął bolesny uśmiech. Potarł ręką szerokie

czoło, a dolna ust warga, którą miał bardzo wystającą, wydęła się mu jeszcze bardziej.

— Nie o to teraz idzie Najjaśniejszy Panie — zaczął.

Korybut przerwał żywo:

— Wiem, o co idzie! — zawołał — wiem dobrze... Idzie o to, abym koronę złożył... Więc zgoda... Jutro abdykować będę i — wyjeżdżam...

Gwałtownie żachnął się biskup.

— Królu miłościwy! — rzekł z powagą wielką — w tym momencie, to byłoby nieszczęście największe... Nie uczynisz tego...

Ale Korybut, wyrzekłszy raz ważne słowo i widząc, że uczyniło wrażenie, już upierał się przy niem. Chciał, aby go przekonywano i proszono.

— Postanowiłem — odparł — abdykuję!

Postąpił parę kroków i usiadł w poręczowem, złoconem krześle, przy stole.

— Nie uczynisz tego, Miłościwy Panie — powtórzył z mocą Czartoryski — jeżeli miłą ci jest ojczyzna, która w tych niebezpieczeństwach i utrapieniach ginie... Pomyśl, Królu, coby się z nią stało teraz, gdyby do niebezpieczeństw tych przybyły jeszcze bezkrólewia zamieszki?...

Korybut podniósł głowę i przerwał:

— Mam więc sam zginąć od skrytobójczej dłoni nieprzyjaciół moich?

Porywczy Gniewosz wysunął się i z całej siły w piersi się grzmotnął:

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał — gdybyś skłonił się do złożenia korony, to nas, wierną twoją radę i cały stan rycerski obróciłbyś na siebie... A, przysięgam, że natenczas w daleko większem od nas zostawałbyś niebezpieczeństwie, niż od twoich nieprzyjaciół!...

Król usta szeroko otworzył i w zdumieniu patrzył na Gniewosza, którego widocznie nie poznawał. Potem oglądał się na wszystkie strony, jakby Rostockiego szukał, któryby go objaśnił, i niepewny, strwożony, przebierał palcami po poręczy fotelu.

— Co to? — szeptał — pogróżki?...

W tymże momencie ruch znowu zrobił się u podwoi, które się na ścieżaj otwarły i weszła królowa.

Odziana była w czarną, powłóczystą suknię, bez ozdób żadnych. Od żałobnego stroju odbijała jeszcze bardziej jej blada, przezroczysta twarz. Szła zwolna, z głową podniesioną, na nikogo nie patrząc. Postępowała ku Królowi, z takim majestatem, że drobna jej postać zdawała się rosnąć i promienieć.

Zalęknione oczy Korybuta błysnęły radością; czuł, że mu niespodziewana przybywała pomoc, że wobec tej wątłej, a tak majestatu pełnej pani, zmilkną groźby i gniewy, że przed nią, tą dobrą

a szlachetną, skłaniają się nietylko czoła, lecz i serca wszystkich.

Ona zaś, stanąwszy przed Królem, przyklękła:

— Panie mój — rzekła — doniesiono mi w tym momencie, iż z ust twych wyszło słowo, na które wrogowie twoi z dawna czyhają. Wola narodu wyniosła cię na ten tron przesławny, wola Boża utrzyma cię na nim... Na klęczkach błagam, cofnij to słowo!

Korybut powstał i oba ramiona ku małżonce wyciągnął. Był widocznie do głębi wzruszony, w oczach miał łzy.

— Królowo... — zaczął, i łkanie głos mu stłumiło.

Ona zaś podniosła się z klęczek i wśród głębokiej ciszy, zwrócona teraz ku zgromadzonym, mówiła dalej:

— Pragnę, iżby to słyszeli wszyscy, ci zwłaszcza, co inne a niecne przypisują mi intencye, że ja Króla mego i pana, któremu wiarę małżeńską przysięgłam, nie odstąpię i w najgorszej doli, że dla uchylenia niebezpieczeństw od ojczyzny, która moją się stała, gotowam ofiarować wszystko, co posiadam, i że czynić będę, co jeno w mocy jest mojej, iżby małżonka mego w tem umocnić, jako on wolnymi głosami całego narodu wybrany, nie może korony złożyć, choćby na życzenie najmożniejszych!...

Głos jej brzmiał silnie, oblicze pałało. Wzro-

kiem pewnym, śmiałym, spoglądała na obecnych, którzy dech w piersiach zapierali, słuchając.

Korybut zaś był teraz w niemałym kłopocie, co począć. Czuł, że mu przemówić wypada, a myśli plątały się w głowie, słów brakło. Gdy królowa umilkła, nastąpił moment przykrej ciszy, aż wreszcie Korybut, zagrzany wzrokiem małżonki, która sztywnie teraz na niego patrzyła, postąpił krok naprzód, przybrał postać bardzo wyniosłą i rzekł:

— Słyszeliście, mości panowie... Wiem, com ślubował Bogu i narodowi memu, biorąc koronę... Wolę wzorem Władysława Jagiellończyka pod Warną, lub Ludwika pod Mohaczem poległych, powinowatych moich, z ręki pohańców śmierć ponieść świetną, niż zagrożony puginały służalczymi, ustąpić...

Na to biskup kujawski Czartoryski, oddawszy pokłon Królowi, dzięki mu złożył za postanowienie, które ciężką zmorę od kochających ojczyznę usuwa, i dodał:

— Wsparty twem słowem monarszem, miłościwy Królu, działać nie przestanę, iżby pacyfikacyę w umysłach braci utrwalić. Liczę w tem na wspomożenie najjaśniejszej Królowej, której cnoty i mądrość, powszechne mają w narodzie uznanie. Mam w Bogu nadzieję, że wkrótce nie będzie tych, których malkontentami zwą...

— Działaj tak... działaj! — powtarzał Korybut,

który teraz znużonym wzrokiem oglądał się wokoło i widocznie chciał już tę scenę zakończyć.

Jakoż niebawem w ślad za Czartoryskim i Gniewoszem tłumnie wychodzono z sali.

Ale już pierwsze uczucia pierzchały. Wejście poważnych senatorów, zwłaszcza zaś kujawskiego biskupa, a nadewszystko pojawienie się Królowej i jej uroczyste słowa, wywołały zrazu głębokie wśród obecnych wrażenie. Ale wnet przeminęło ono i niebawem tu i ówdzie poczęło gasić chwilowy zapał szyderstwo. Zwłaszcza pan chorąży gostyński był niekontent.

— A to, mości panowie — mówił chrypiącym głosem do otaczających go posłów — istne wyprawiono nam theatrum! Dziś tak, jutro inaczej. Król mówił zrana: sejm zerwij! a teraz Gomolińskiego posyła z obietnicą mego powrotu do izby...

— Ładnieby waćpana skóra wyglądała od szabel panów braci... — wtrącił inny.

— To też ja wracać nie głupi! — oświadczył p. Ubysz — i z zamku nie wyjdę... Niech sobie p. Gomoliński co chce obiecuje...

Inni zaś głośno drwili z przemowy Króla, który abdykacyę zapowiedział, a potem naraz chorągiewkę zwinął i deklarował uroczyście, że nie ustąpi...

— A gdzie on te puginały zbójeckie widział? — pytano ze śmiechem.

Znalazł się nawet taki, co jeszcze na dzie-

dzińcu zamkowym przedrzeźniać począł Korybuta i jego minę wyniosłą, z jaką powoływał się na Warneńczyka i Ludwika, poległych bohatersko, powinowatych, co powszechną wywołało wesołość.

Byli również i tacy, którzy naigrawali się z wymowy Królowej.

— Cudacznie mówi ta karliczka rakuska — szydził Gąsiorowski — zaczęła niby po polsku, a skończyła niby po włosku... Groch z kapustą!

I w takiem usposobieniu wysypano się na ulicę.

W dniach następnych, pomimo gorliwych medyacyi Czartoryskiego, nie ustawało wzburzenie. Wśród malkontentów wrzało i widać było gorączkowy ruch, zwłaszcza w pałacu Jana Kazimierza na Krakowskiem-Przedmieściu, kędy zajął mieszkanie Sobieski. Codziennie tam do późnej nocy odbywały się narady. Sejm czynnie obradować nie mógł, gdyż Ubysz, pomimo obietnic Gomolińskiego i codziennych niemal zapowiedzi marszałka Sokolińskiego, nie wracał, a mówiono nawet, że już umknął za Wisłę. W mieście popłoch się wzmagał; każdy był w oczekiwaniu jakichś niespodziewanych a groźnych wypadków. A popłoch ten zwiększały jeszcze ciągle w rozmaitych częściach miasta wybuchające pożary.

Raz, w nocy, opodal królewskiego zamku, wybuchł groźny ogień. Zapaliło się z zewnątrz stare, opuszczone dworzysko, na zburzenie przeznaczone.

Kiedy się spostrzeżono, ratunku nie było, cały gmach stał w płomieniach, a wiatr silny niósł je wprost na zamek, kędy powstała okrutna trwoga i zamieszanie.

Król w przerażeniu biegał po komnatach i krzyczał, że wyjeżdża, że wyjechać musi natychmiast, bo pożar ów, to widocznie hasło malkontentów do zamachu na jego osobę, a może i życie.

Nadaremnie teraz uspokajała go Królowa, przedstawiając, że niebezpieczeństwa niema żadnego, że w zamku uzbrojone gwardye czuwają, a stare dworzysko spali się rychło, nie wyrządzając nawet bliższym domostwom szkody.

Korybut nogami tupał i złościł się, wołając:

— Wy wszyscy przeciwko mnie! wy wszyscy pragniecie mojej zguby!

To znów trząsł się, jak w zimnicy, słabnął i jęczał:

— Chory jestem!

Uspokoił się dopiero nieco, gdy mu znać dano, że ogień ugaszony, ale na spoczynek iść nie chciał, lecz drzemał, siedząc w krześle i porywał się za każdym odgłosem, który z ulicy dochodził.

— Istne męczeństwo... co? — mówił do Rostockiego, który przy nim czuwał. — Ten biskup kujawski także dobry jest... Obiecał pacyfikacyę i — nic! Piękna pacyfikacya, kiedy mi już boki opalają...

To też nazajutrz zrana, gdy Czartoryski przybył do zamku, przyjął go bardzo źle.

— Na słowa, mości książę, ja się złowić nie dam! — mówił rozdrażniony. — Mnie tu zginąć przyjdzie, a wy sobie marne dyskursy wiedziecie...

Lecz biskup nie zląkł się tem wcale i odparł z powagą:

— Takie sprawy w dzień jeden załatwić się nie dadzą; nie taję, że trudności są wielkie i nie mniejsze rozdrażnienie, zwłaszcza teraz, gdy sejm się rozlazł...

Korybut podniósł na biskupa zmęczone, krwią nabiegłe oczy i jak zwykle spytał:

— No, więc co teraz będzie?...

— To od ciebie, miłościwy Królu, zależy — odrzekł stanowczo biskup — od energii twojej... Wiem, że dzisiaj wybierają się o posłuchanie prosić senatorowie niektórzy...

— Malkontenci! — wtrącił Korybut z widocznym przestrachem.

— Tak! — potwierdził Czartoryski — i to pod przewodnictwem samego prymasa...

Król patrzył na biskupa wytrzeszczonemi oczyma.

— Na co? po co?... kto taki? — powtarzał.

— Wiem jeno, że będzie prymas, a z nim prawdopodobnie Lubomirski i Potocki wojewodowie, chorąży koronny Sieniawski, Zamoyski starosta...

— Pięknie! pięknie! — krzyknął Król — sami

spiskowcy! powiedz jeszcze, mości książę, hetman Sobieski, a będą wszyscy... Lecz ja ich nie przyjmę!

Biskup zbliżył się do siedzącego Króla i, patrząc mu bystro w oczy, rzekł z mocą:

— Przyjąć ich trzeba, Najjaśniejszy Panie, trzeba wysłuchać, a na wszelakie propozycye, odpowiedzieć z godnością: nie!

Stanowczość głosu biskupa widocznie działała na Króla. Usta otworzył, powiekami łypał, jakby go siła wzroku Czartoryskiego raziła, a wreszcie rzekł:

— A cóż mi oni proponować mają?...

— Napewno nie wiem — odparł biskup. — Ale to z ich strony stanowczy krok... pewno będą mówić o abdykacyi dobrowolnej...

Korybut rzucił się w krześle:

— I radzisz mi, mości książę, abym ich przyjął!

— To koniecznie! — ciągnął dalej Czartoryski, nie spuszczając oka z pobladłej twarzy Króla. — Wszystko, co teraz skrycie nurtowało, wyjdzie w ten sposób na jaw... Z tem łatwiejsza będzie walka... Wasza Królewska Mość odpowiesz im stanowczo: nie! a tem dodasz otuchy wszystkim, którzy wiernie przy tobie stoją...

Korybut podparł głowę na ręku i zamyślił się, a po chwili rzekł zwolna:

— To jest *consilium* dobre... I ja tak myślę... tak! Król winien dodać otuchy... tak! Dziękuję ci,

mości książę, żeś mnie utwierdził w postanowieniu... Przyjmę ich i odpowiem: nie!

Tegoż dnia, a było to dnia 25 czerwca, gdy zmierzch już zapadł, zajechał szereg karoc przed zamek królewski. Pierwszy wysiadł Prażmowski, bardzo osłabły i schorzały tak, że go dwóch dworzan pod ramiona nieledwie nieść musiało. Za nim szli inni senatorowie w milczeniu, ale między nimi Sobieskiego nie było.

Wybiegł naprzeciw nich podkomorzy koronny Dönhoff i, ucałowawszy rękę prymasa, rzekł do niego z cicha, z przekąsem:

— Wspaniały jak nigdy... oczekuje w swoim gabinecie...

Rzeczywiście Król przygotowywał się do tego posłuchania z taką starannością, jak gdyby posłów ościennego mocarstwa przyjmować miał. Zrazu miało się odbyć ono w marmurowej sali, lecz Korybut wszedłszy tam, oświadczył, że go światło zbyt rzęsiste razi, i że woli przyjąć senatorów w swojej komnacie. Czynił to zaś głównie dlatego, że tu czuł się śmielszym, miał więcej otuchy, a wciąż pamiętał o tem, co mu rzekł kujawski biskup, jako stanowczym ma być.

Przystroił się też uroczyście a zbrojno, jak na turniej. Miał na sobie pancerz złocisty, kokardami i koronkowym kołnierzem podłużnym przystrojony. Z pleców spadał mu płaszcz długi, aksamitny, gronostajami podbity. Przed wejściem senatorów, przy-

glądał się w zwierciedle i rozmaitej próbował postawy; to stawał z ręką o stół opartą, to usiadał, to przechadzał się zwolna. Wszystko mu jakoś nie dogadzało: wyglądał dzisiaj źle. Z pod obfitych kędziorów peruki, patrzyły oczy znużone, duże, gałkowate, pełne jakby przestrachu; nos krótki, zadarty, zdawał się szydzić z dolnej części twarzy, zbyt dużej i tłustej. Prostował się, nogę naprzód wysuwał, wąsy bardzo do góry podkręcone jeszcze wyżej podkręcał, ale to wszystko na nic się nie zdało, widział to dzisiaj sam, że majestatu nie miał.

Wreszcie Rostocki wbiegł, znać dając, że senatorowie przeszli już marmurową salę i zbliżają się do komnaty. Król niecierpliwie ręką skinął, serce uderzyło mu silnie w wązkiej piersi, która pod pancerzem jeszcze wątlejszą się być zdawała, i usiadł ciężko w wysokiem poręczowem krześle złoconem.

Na ścieżaj otwarły się podwoje, z chrzęstem rozsunęła się ciężka, okrywająca je zasłona i wszedł prymas o własnej mocy. Widocznie panował nad sobą i nad chorobą, która bolem wykrzywiała blade usta i marszczyła twarz. Wszakże jedno oko iskrzyło się ogniem; nad drugiem, ślepem, powieka drgająca mrużyła się i zaciskała.

Wszedł i oddawszy ukłon głęboki, nie czekając na inwitacyę, usiadł naprzeciw Króla.

Korybut rękę wyciągnął i głosem stłumionym ozwał się do innych, którzy za prymasem weszli:

— Siadajcie, waszmościowie, siadajcie...

Zaledwie wyrzekł te słowa, byłby już je cofnął; wydały mu się miękkie dziwnie, zgoła nie monarsze...

Wszyscy usiedli, z wyjątkiem jednego. Chorąży konny Sieniawski stanął obok krzesła, na którem miejsce zajął Lubomirski, jedną rękę wsparł na poręczy, drugą na rękojeści miecza i podniósłszy głowę do góry, patrzył pięknemi swemi, wyrazistemi oczyma wprost w zalęknioną, pomieszaną twarz Króla.

— Lalka — myślał — wierutna, utrefiona i umalowana lalka!

A wzrok ten spokojny i śmiały, jeszcze bardziej mieszał Korybuta, który począł kręcić się na krześle i zwracając się do prymasa:

— Wasza Książęca Mość prosiłeś... — zaczął.

— Tak! — odparł Prażmowski — prosiłem w imieniu swojem i tu obecnych towarzyszy o posłuchanie Waszej Królewskiej Mości... Czas bowiem jest taki, że każdy dzień zwłoki niebezpieczeństw przymnaża, zwłaszcza teraz, gdy sejm za wolą Waszej Królewskiej Mości zerwany...

— Nie za moją wolą! — przerwał porywczo Król.

— Ale za namową kanclerza Paca — ciągnął dalej Prażmowski — co na jedno wyjdzie...

— Ubysz powróci do izby... — wtrącił Korybut.

— Przyrzeka to nam codziennie imćpan marszałek Sokoliński i z dnia na dzień prolongujemy w tem oczekiwaniu sesyę. Dopókiż to trwać będzie?...

Głos prymasa, w miarę, jak mówił, stawał się coraz bardziej ostrym, niemal wyzywającym. W blasku, padającym od wysokich świeczników, twarz jego schorzała, czerwonemi piętnami na policzkach znaczona, zdawała się drgać kurczowo. Dźwignął się nieco na fotelu i wyciągnął ku Królowi kościstą prawicę z długimi, bardzo chudymi palcami.

— Zważ, Miłościwy Panie, że moment jest ostatni... Pod nawałą turecką, która zdąża ku nam, wśród rozterek wewnętrznych i niezgody, padnie ta Rzeczpospolita, jeżeli na jej czele nie stanie mąż rycerski a dzielny...

Korybut oparł się plecami o poręcz fotelu, głowę wsparł na ręku i słuchał, nie przerywając. Zdawało się, że w tym stanowczym momencie, uspokaja się wewnętrznie, że namiętny głos prymasa i zuchwałe jego słowa, padające wśród ogólnej ciszy, zamiast go przerażać, budzą w jego duszy, uśpioną siłę, przejawiającą się w błyskach zwykle zamglonych oczu i w zaciśnięciu warg zbladłych.

— Udajemy się przeto do ciebie, Najjaśniejszy Panie — mówił dalej prymas — jako do pierwszego obywatela kraj miłującego, który ocalić go chce największą choćby własnej osoby ofiarą...

Uczyń, Królu, tę ofiarę... ustąp z tronu... złóż koronę!...

Padło wreszcie to słowo... padło jak grom.

Obu rękami wsparty teraz na poręczy krzesła, pochylony ku prymasowi, przyjął je Król z pozoru spokojnie i wstał nagle, a za nim, z głośnym łoskotem odsuwanych krzeseł, wstali wszyscy.

Była chwila milczenia, poczem zwolna, wyraźnie, odrzekł Król:

— Wiem, żeś mnie waszmość, księże prymasie, jeden koronował, aleś nie jeden obierał... Jeśli tedy wszyscy na to pozwolą i zgodzą się, bardzo rad do tychże ręku oddam, z których wziąłem koronę...

Wtem Sieniawski, w porywczości swej już się zdzierżeć nie mogąc, wystąpił i krzyknął hardo:

— Obierała cię, Miłościwy Panie, sama jeno tłuszcza szlachecka, a taka szlachta to groch, po którym nie będzie pszenicy... a cóż dopiero Króla!

Korybut pobladł jeszcze mocniej i cofnął się.

— Jest to — ozwał się po chwili — prawdziwa niewola, iż nawet obelg bez responsu słuchać muszę... Aby ujść tej niewoli, chętnie ustąpiłbym z tronu, jeżeli taka będzie wola wszystkich...

Podniósł głos, nogą tupnął i przypomniawszy sobie słowa kujawskiego biskupa, zawołał:

— Inaczej — nie!

Prymas, widocznie słabnący, oparł się oburącz

o stół i pochylony ku Królowi, mierzył go iskrzącem się nienawiścią okiem.

A Korybut mówił dalej, coraz bardziej się unosząc:

— Wy mnie tu, mości panowie, nie jako pana, ale nawet nie jako księcia starożytnej familii, ani jako równego sobie traktujecie!... Słuchać tego bez pohańbienia majestatu nie mogę! Na wasze słowa zuchwałe powiedziałem i powtarzam: nie!...

Prymas jeszcze bardziej się pochylił i głosem syczącym, chrypliwym, ozwał się:

— To Wasza Królewska Mość chcesz, żeby się krew niewinna przelała?...

— Sam waszmość tego chcesz! — odparł impetycznie Michał — ręce kapłańskie chcesz kąpać we krwi niewinnej!...

Prażmowski ruszył się z miejsca, skłonił się przed Królem, postąpił parę kroków ku wyjściu, lecz na środku komnaty zatrzymał się i zwrócił znowu ku Korybutowi, a podnosząc drżące ramiona do góry, zawołał:

— Protestuję przed Bogiem, że co się tylko teraz stanie, to stanie się za powodem Waszej Królewskiej Mości!...

Z piersi Króla wydobył się stłumiony krzyk, a potem za wychodzącym prymasem gwałtowne słowa:

— Po tysiąckroć przed Bogiem ja, Król, protestuję, że cokolwiek było, jest i będzie złego, to

wszystko jest i będzie z waszmości, księże prymasie!...

Prażmowski zatoczył się u drzwi na osłabionych nogach, ręką chwycił się muru i zwróciwszy się raz jeszcze ku Królowi, w milczeniu szyderski oddał mu ukłon.

Korybut wyczerpany, upadł ciężko na fotel, twarz kryjąc w dłonie. Opuściła go na chwilę zbudzona moc. Łkał głośno i płakał...

Tegoż jeszcze wieczoru wkroczyły do Warszawy poczty książęcia Aleksandra Ostrogskiego oraz chorągwie Andrzeja Potockiego. Wkroczyły, jak zwycięskie, z rozwiniętymi sztandarami, z hukiem a szumem, płosząc spokojnych mieszkańców, a zwady z gwardzistami królewskimi szukając.

Nocy tej i następnej nikt w stolicy oka nie zmrużył, na ulicach tłumiło się pijane żołdactwo, wrzeszcząc i hałasując, a nie rzadko szturmując do szczelnie zamkniętych domów.

Na Krakowskiem Przedmieściu, wokoło pałacu króla Jana Kazimierza, kędy hetman Sobieski rezydencyę swą miał, tłok był największy.

Wpośród żołnierzy snuła się tam moc szlachty i posłów, ciekawie zaglądając w rzęsiście oświetlone okna wielkiej sali tronowej, kędy najprzedniejsi malkontenci, codziennie, od owego posłuchania u Króla, do późna w noc, narady mieli.

A tłum burzliwy, wrzący niepokojem, czekał, jakby na hasło... Niejednemu zdawało się, że lada

moment otworzą się bramy pałacu, albo drzwi wielkie na krużganek zewnętrzny wiodące i ukaże się ten, który zmordowanemu narodowi ma zwiastować pokój, bezpieczeństwo i dawną wrócić siłę. A czekając na tego zbawcę, od momentu do momentu, tłum wrósł w ziemię i dyszał niecierpliwie.

Prymas od dni kilku nie opuszczał prawie wcale pałacu. W tym stanowczym momencie, od owej rozmowy z Królem, zdawało się, że ozdrowiał. Miał ruchy żywe, a mówił głośno, dobitnie i namiętnie. Zresztą w stronnictwie tem była już zupełna zgoda. Skoro Korybut dobrowolnie abdykować nie chciał, należało go przemocą strącić z tronu i ogłosić księcia de Longueville królem. Sobieski, który dotychczas najwięcej okazywał wahania, pod wpływem gorących słów prymasa i namowy opata Paulmiers, był już zupełnie zdecydowany stanąć na czele zamachu. Działano teraz pośpiesznie i stanowczo; zawarto układy nietylko z dowódcami wojska, które całe deklarowało się za hetmanem koronnym iść, ale z pierwszymi panami duchownymi i świeckimi, nawet z nieprzejednanym dotychczas stronnikiem królewskim kanclerzem Pacem. Umiano sobie zjednać i przedniejszych dworzan królewskich. Gdy zaś wszystko już pogotowiu było, wysłano posłów i pisma do francuskiego króla, w których błagano go, iżby nie zwłócząc, wyprawił księcia de Longueville

do Polski. Wysłano również pismo do księcia Kondeusza z prośbą, iżby tę sprawę poparł u króla Ludwika, a wreszcie trzecie do samego księcia de Longueville, opatrzone podpisami wszystkich, począwszy od prymasa i najprzedniejszych w narodzie, ofiarujące mu polską koronę i wzywające do niezwłocznego przybycia.

Nadszedł tymczasem dzień 30 czerwca. Z dniem tym upływał sześcioniedzielny termin trwania sejmu, który z powodu protestacyi Ubysza czynnie obradować nie mógł. Zgromadzili się wszakże w izbie posłowie, lecz gdy marszałek Sokoliński począł mówić i oświadczył, że chorąży gostyński powrócił do miasta i gotów protestacyę cofnąć, ozwały się liczne głosy: «Termin przeminął! Żegnaj Króla marszałku!»

Nadaremne były przemowy i perswazye biskupa Czartoryskiego, nadaremnie kilku senatorów i rozważniejszych posłów, błagało, iżby pozwolono na dalsze obrady.

— Niema zgody! — krzyczano.

Tedy o godzinie piątej popołudniu, gdy nie można było uzyskać spokoju, Król, który jak zmartwiały siedział na tronie, poruszył się i wstał.

Podbiegł ku niemu Czartoryski.

— Cierpliwości, najjaśniejszy panie! — szepnął — jeszcze moment...

Ale Korybut z niechęcią ręką machnął i szedł krokiem znużonym ku drzwiom. Zabiegali mu

drogę posłowie wielkopolscy, przemawiając, lecz on zdawał się tego nie słyszeć. Gdy nagle z samego końca sali ozwał się szyderski, donośny krzyk:

— Żegnaj Królu nieszczęsny!... Bogdaj na zawsze!...

Korybut, który przy drzwiach już stał, zwrócił się całą postacią i powiódł po sali błędnym wzrokiem. Boleśnie skrzywione usta drgały. Nie rzekł nic, jeno głową parę razy skinął i wyszedł.

W pałacu Kazimierzowskim malkontenci zgromadzili się tego wieczoru tłumnie.

Prymas wołał:

— Ani momentu do stracenia niema! Sejm się stanowczo rozlazł, a my czekać nie możemy, aż się rozlezie do domów szlachta. Co się stać ma, niech się stanie w obecności zgromadzonych Stanów, niech wszyscy widzą, iż nie wojnę domową, lecz walkę ku ocaleniu ojczyzny podnosim...

— Nie mamy responsu z Francyi — wtrącił Sobieski.

— Respons jest pewny — żywo przerwał opat Paulmiers — zresztą dziś, jutro nadejdzie niechybnie, a sposobny moment może nie powrócić...

— Tak! tak! — potwierdzili Lubomirski i Sieniawski i Potocki i książę Ostrogski, za nimi zaś inni.

Prymas ramiona wzniósł do góry.

— Przedsięwzięciu temu niech błogosławi

Bóg! — rzekł uroczyście — podejmujemy je w imię Jego, ku zbawieniu zagrożonej zewsząd ojczyzny...

I po chwili, zwracając się ku Sobieskiemu, dodał:

— Dziś zatem na zamek!

Hetman koronny nie zaraz dał odpowiedź, był zamyślony mocno i posępny, lecz Lubomirski, wojewoda krakowski, zawołał:

— Nie można się wahać... na zamek!

Zamoyski, starosta płoskirowski, który był człek przezorności wielkiej, ozwał się:

— Moje *consilium* jest czekać jeszcze, choćby dni kilka, aż do powrotu posłów i responsu arcychrześcijańskiego króla...

Opat Paulmiers niespokojnie się poruszył i przerwał żywo:

— Kawaler de Clèves dziś — jutro powróci... Pisał do mnie z Gdańska, donosząc, jako książę de Longueville ma już piękną zwerbowaną armię, do której codzień ochotników przybywa... Zważcie, mości panowie, że ciągłe zwłoki i brak z waszej strony stanowczego czynu, mogą nietylko armię ową, lecz i samego kandydata zniechęcić...

— Słusznie rzekł! — potwierdził jenerał Dönhoff.

Teraz zaś począł mówić prymas:

— Jedyną nadzieję — wołał z ogniem — utrzymania tej Rzeczypospolitej, mamy w sławie, bogactwach i sile najpotężniejszego dziś monarchy!

W opiece tej arcychrześcijańskiego majestatu pokładamy bezpiecznie całą nadzieję obrony sławnego królestwa naszego! On da nam pomoc przeciw ottomańskiej potędze, a król z najdostojniejszego francuskiego domu, walecznością swą i mądrością nietylko nas osłoni, lecz wydźwignie z nędzy klęsk domowych. On powróci do kwitnącego stanu wspaniałość i jedność Rzeczypospolitej, on rządy mądrymi ustali wzajemną ufność pomiędzy obywatelami, on utrzyma prawa przywileje i swobody nasze, odzyska to, cośmy utracili i zapewni pokój powszechny!

Wszyscy słuchali z natężeniem ognistych słów prymasa, jeden tylko podskarbi Morstin, siedząc w kącie sali, od początku żadnego w dyskusyi nie brał udziału, lecz uśmiechał się złośliwie, a wreszcie szepnął:

— Skąd on to wie wszystko, co tamten sprawić ma?

Ale tych słów nie dosłyszał nikt, wszyscy zaś przytwierdzali słowom prymasa, który dźwignął się z krzesła i prostując pochyloną swą, zgrzybiałą postać, wołał drżącym ze wzruszenia głosem:

— Tedy przyrzekamy wszyscy manifest taki spisać i wnieść, któryby przed całym światem wykazując niegodziwość rządów obecnych, świadczył o niewinności zamysłów naszych, skierowanych ku zbawieniu ojczyzny.

— Przyrzekamy!... — wołano.

— W imię Boga w Trójcy świętej Jedynego — coraz uroczyściej mówił Prażmowski — przysięgamy związać się niestarganymi węzły, iżby niedołęstwo, które nas zewsząd krępuje, otrząsnąć, a pomni słów Ekklezyasty: *Vae tibi Terra, cujus Rex puer est*... do tego dążyć, choćby zginąć przyszło, aby na przesławnym Jagiellonów tronie zasiadł dzielny, wybrany sercem i mądrością narodu, książę...

Umilkł prymas i wyiskrzonem okiem patrzył na zgromadzonych, jakby domagając się aprobaty.

A w zgromadzeniu stała się cisza, potem szmer głuchy, jak wtedy, gdy w chmurnem powietrzu waha się jeszcze burza, wreszcie liczne zagrzmiały głosy.

— Tak, przysięgamy!...

Prymas usiadł, a raczej upadł na krzesło, gwałtownie wzburzony. Przez długi moment mówić nie mógł, dyszał jeno ciężko, lecz potem zwrócił się żywo ku Sobieskiemu.

— Od waszmości teraz zależy wszystko... Rozkazy wydaj!...

Hetman koronny wstał. Rzekł krótko do Dönhoffa:

— Mości jenerale, obsadzisz waść zamek... Bronić się tam nie będzie nikt... przeto bez rozlewu krwi... Od tego momentu zamku nikomu opuszczać nie będzie wolno...

— Nikomu! — powtórzył z naciskiem.

Zwrócił się do Sieniawskiego, i tymże samym tonem, krótkim, rozkazującym:

— Mości chorąży koronny! — rzekł — waćpan zaniesiesz rozkaz mój jenerałowi artyleryi Kątskiemu i wraz z nim dragonami moimi obsadzisz cekauz. Arsenał Rzeczypospolitej zabezpieczyć trzeba...

Sieniawski i Dönhoff ruszyli się natychmiast z miejsc swoich, gdy powstał jeszcze opat Paulmiers, uśmiechnięty, promieniejący, i wyciągając ramiona do góry, zawołał:

— *Gloria in excelsis Deo!*

A na to prymas znowu obudził się z martwoty, dźwignął się i rzekł:

— Mości panowie! Wielce wysoki książę Karol Orleański, Duk Longevilijski, przyszły król nasz, niech żyje!...

— *Vivat!* — powtórzyli wszyscy.

Lecz w tymże momencie gwałtowny ruch wszczął się u podwoi. Te znagła się otwarły i wpadł do sali rycerzyk młody. Ubiór miał na sobie zszargany i zmięty, twarz ogorzałą, a chociaż młodą, znużoną i jakby zalęknioną.

Posłyszawszy okrzyk: *vivat!* — żachnął się i szukał niespokojnemi oczyma opata.

Ten zaś rzucił się ku niemu z okrzykiem:

— Kawaler de Clèves!... Książę Karol...

Nie skończył, bo przybyły ostatniego tchnienia ze zdyszanej piersi dobywając, przerwał głucho:

— Zginął!...

Padł grom i nastała cisza osłupienia... Oczy wszystkich obecnych, szeroko otwarte, lęku pełne, utkwiły w twarz przybyłego, który milczał dysząc... A wreszcie rzekł:

— Bez tchu lecę z Gdańska... Tam nadeszły pierwsze wieści... Stało się to przed dwoma tygodniami, przy przejściu Renu... pod Tolhuys...

— Wieści pewne? — spytał szeptem opat Paulmiers, który drżał cały, jak w zimnicy, a blady był jak trup.

— Nie mogłem sprawdzić... — odparł kawaler de Clèves. — Ale szczegóły są... Walczono w wodzie, walczono zwycięsko... Armia nasza otoczyła zewsząd nieprzyjaciół... działa zmusiły ich do poddania się... Opór ustał... droga stała otworem!... Gdy wtem książę de Longueville rzuca się na holenderską piechotę... Bij! zabij! — woła...

— Bohater!... — wykrzyknął Paulmiers.

— Szaleniec! — rzekł Sobieski.

— I cóż? i cóż?... — pytano.

— Śpieszy za nim książę Kondeusz — kończył kawaler de Clèves — chcąc go zapewne powstrzymać... Lecz wtem padają strzały... Pierwszy strzelił książę Karol... Odpowiedzieli Holendrzy z muszkietów... Książę na miejscu padł, bez życia... Szatańska kula przeszyła mu serce...

— A książę Kondeusz? — spytał drżący ze wzruszenia Paulmiers.

— Ranny w nogę...

— Po raz pierwszy w życiu!... — zawołał opat z rozpaczą.

Usiedli wszyscy, ale nikt nie zabierał już głosu. Po długiej chwili ponure milczenie przerwał znów Paulmiers.

— Lecz nie ręczysz waćpan — rzekł do kawalera de Clèves — że ta wiadomość pewna?...

— Za to nie ręczę... — odparł zapytany — kupcy gdańscy otrzymali ją pierwsi swoją pocztą... Na sprawdzenie dłuższego potrzebaby czasu... Zdawało mi się, iż bądź co bądź należy bezzwłocznie zawiadomić, więc leciałem co tchu... Tak dokładne szczegóły każą bowiem przypuszczać...

— Wszystko może być mylne! — żywo przerwał opat, rad uchwycić się choć słabej nadziei. — Już się tak nieraz zdarzało... Wracaj waćpan natychmiast napowrót, jedź choćby na sam plac boju i autentyczną przynieś nam wieść... To wszystko może być plotarstwo...

— W każdym jednak razie — rzekł Sobieski — my już teraz nic stanowczego przed sprawdzeniem przedsiębrać nie powinniśmy, abyśmy większego nie ściągnęli nieszczęścia... Obsadzenie zamku należy powstrzymać [1]).

---

[1]) Książę de Longueville zginął pod Tolhuys dnia 12 czerwca. Wedle świadectwa Werduma (Liske: «Cudzoziemcy w Polsce», str. 191), wiadomość ta doszła do Warszawy dopiero dnia 10 lipca. Szujski wszakże przypuszcza, (Dzieła

Prymas podniósł głowę i potwierdził:

— Tak... odwołać!... Ale o tem wszystkiem, aż do stwierdzenia strasznej wieści, niech będzie milczenie... Działać nie przestaniem... Wydamy manifest!...

Hetman skinieniem głowy dał znak Dönhoffowi, aby pozostał, do Sieniawskiego zaś rzekł:

— Arsenał w każdym razie zająć trzeba. Kątski nawet warty nie ma. Wymaga tego bezpieczeństwo publiczne... Kto wie, co jutro wyniknąć może?...

To pytanie okrutne: co jutro przyniesie, na które nikt odpowiedzi nie miał, wyryło się na obliczach wszystkich bladością przestrachu. Wobec zerwania sejmu, wewnętrznych niesnasek, powszechnego wzburzenia, grożącej wojny i braku wszelkiej obrony, to jutro mogło wstać krwawe i zakończyć się pogromem...

Milczący, zgnębiony, pierwszy dźwignął się prymas. Nie chciał pomocy i szedł sam ku drzwiom, krokiem chwiejnym, bardzo wolno.

Patrząc na tę zgrzybiałą, skurczoną postać, którą jeszcze przed momentem ogień zapału żywo

---

IV, 270—273), że pierwsza wiadomość dojść mogła do obozu malkontentów już 28 lub 29 czerwca. Na tem też przypuszczeniu oparłem niniejszy epizod, a przypuszczenie to tłumaczy niewyjaśniony skąd inąd fakt, dlaczego malkontenci nie dokonali wówczas postanowionego zamachu.

poruszał, szepnął wojewoda Potocki do Lubomirskiego:

— Niedługo mu już... Zda się, jakby śmierć za nim szła...

Na środku sali zatrzymał się Prażmowski; zwrócił się ku idącym za nim i rzekł:

— Żegnajcie, mości panowie, żegnajcie!... Bóg sam snadź nie chciał...

Poszedł dalej, szepcąc:

— Palec Boży... *Digitus Dei!*...

I tak się zatoczył, że byłby upadł, gdyby hetman koronny nie był podbiegł i pod ramię go nie pochwycił.

A Lubomirski potwierdził Potockiego słowa:

— Teraz to już trup!...

Podskarbi zaś Morstin, wychodząc wraz z innymi, miał ciągle złośliwie uśmiechniętą twarz i jeden, wśród popłochu, zimny zachował spokój. Słysząc ostatnie słowa prymasa, rzekł:

— On powiada: palec Boży! A to już nie palec, to chyba cała pięść!...

Za moment w wielkiej sali pałacu Jana Kazimierza pozostał sam jeden Sobieski. Przechadzał się zwolna w ciężkiej zadumie. Nie tyle wszakże przerażała go myśl o zgonie księcia de Longueville; rzecz nawet dziwna, czuł on, że mu z tą wieścią, jakby ciężar zsunął się z duszy, ciężar odpowiedzialności za tego cudzoziemca, któremu rządy w chwili tak trudnej oddać miano. Ale dręż-

czyła go niepewność najbliższej przyszłości i to przeświadczenie, że teraz przeciwnicy jego i prymasa rzucą się na nich z podwójną wściekłością.

Stanął w oknie. Na dziedzińcu Sieniawski gromadził dragonię, którą arsenał obsadzić miał. Wśród ciszy nocnej słychać było pośpieszne kroki, szczęk broni, koni rżenie.

— Tak! — myślał hetman. — Bądź co bądź bronić się musim... Cekauz zająć trzeba... Inaczej zgnębionoby nas...

Ale ten ruch na dziedzińcu wojenny, który właściwego celu już nie miał, drażnił go. Odstąpił od okna i spojrzał po sali.

W złocistych, wysokich kandelabrach, dopalały się już świece. Wosk topniał i spadał ze szmerem na posadzkę. Olbrzymia sala tonęła w półmroku; czuć tu było opuszczenie i zaniedbanie zupełne. Ściany pokryte pyłem i pajęczyną, która w strzępach zwisała. Na środku, pod murem, rozpierał się wspaniały tron na trzech stopniach, amarantowym aksamitem krytych. Ale aksamit ten spłowiał, sczerniał, wyglądał zdala jak kir; spłowiały złotogłowia i tapety, a rzeźby, zdobiące monarsze krzesło, odpadły. Ono samo, odwrócone niedbale, tulić się zdawało wstydliwie pod przekrzywionym baldachimem...

Tak wyglądał tron ostatniego dynasty...

Wzrok Sobieskiego oderwać się nie mógł od tego sponiewieranego tronu.

— Taki koniec wszelakiej wielkości ludzkiej...— pomyślał. — Jedna jest tylko rzecz wielka, która zostawia po sobie ślad promienny na zawsze... To bohaterska a zwycięska walka z nieprzyjaciołmi ojczyzny, to sława mieczem zdobyta!

— Teraz pora — szepnął — iżby wszelkie rozterki i diffidencye ustały... Jedyny cel: zwycięstwo... jedyna nadzieja: Bóg... jedyna pomoc: własny miecz!

Mimowolnie prawica hetmana spoczęła na rękojeści szabli i zacisnęła się na niej mocno, jakby w przyrzeczeniu...

Z podniesioną głową i rozjaśnionem okiem opuścił Sobieski tronową komnatę...

V.

POGROM.

Napróżno Attelmayer oglądał się wszędy za Jankowskim. Słych o nim zaginął. W obozie hetmańskim mówiono, jako go sam Sobieski na Litwę wyprawił; ci zaś, co z Litwy na ochotnika przychodzili, a także z pacowskich chorągwi towarzysze, powiadali, że Jankowski z silnym oddziałem zbrojnych na Prusy poszedł, Kalksteina ze szponów elektorskich wydzierać.

Drabowi lwowskiemu okrutnie było żal za rotmistrzem, którego dziwnie prostem swem sercem umiłował. Ten ponury, jak go zwał, rycerz, wywierał na niego taki wpływ, że na jedno jego słowo byłby w ogień skoczył, a przy nim na wszystko się ważył. Każde też jego słowo dobrze pamiętał, zwłaszcza zaś ową przysięgę straceńców. Ona mu nie dawała spokoju i nie pozwalała siedzieć bezczynnie we Lwowie.

— Czar na mnie rzucił — mówił drab — ten Jankowski. – Swojemi świdrującemi oczami w duszę mi się wgryzł, a dał takie przykazanie, które głośniej we mnie brzmi, niż najgłośniejszy katedralny dzwon...

A był to taki czas, iż dzwony często wzywały wiernych na modlitwę o zlitowanie. Przez Lwów przeciągały kupy zbrojne, w rozmaitych kierunkach ku obronie dążące, przybywali też z rozmaitych stron przerażeni zbiegowie, opowiadający straszliwe rzeczy. Mówiono, że sam sułtan turecki z dotąd niewidzianą siłą dąży pod Chocim i Kamieniec, że mu już przy lanych świecach most na Dniestrze budują, a on z całą siłą rzuci się na Kamieniec, potem weźmie Lwów, a potem całą Rzeczpospolitą w poddaństwo obróci...

Słysząc to Attelmayer, zdzierżeć się już nie mógł.

— Pójdę! — rzekł do siebie — i na pana Jankowskiego czekać nie będę... Jeśli go gdzie już albo głód, albo chłód, albo trud zamordował, to na mnie teraz pora, a ja go potem na tamtym świecie nadybię!...

I przyłączywszy się do pierwszej lepszej kupy zbrojnej, poszedł. Trafił źle, bo patrzeć musiał na same klęski. Pod Czetwertynówką był świadkiem, jak cała, nieliczna, ale osłaniająca Ukrainę armia Łużeckiego, otoczona przez ćmę Tatarów, połączonych z serdeniatami Doroszeńki, po bohaterskiej

walce, częścią uległa, częścią się rozpierzchła w nieładzie, pozostawiając wrogowi drogę otworem. Z ciężkiej tej przeprawy, w której i najmężniejsze serce truchlało, Attelmayer wyszedł wprawdzie bez szwanku, ale z takiem przygnębieniem, które go bardziej, niż najcięższa rana bolało.

— Teraz już niema ratunku! — mówił sobie w duchu — byle gdzie przepaść...

I z niedobitkami piechoty znalazł się w okolicach Żwańca pod Kamieńcem. Ale tam już panował strach, rządziła zaś rozpacz. Na rozkaz Sobieskiego ściągały się tam zewsząd posiłki, ale cóż one znaczyły, wobec strasznej potęgi sułtana, wobec hord tatarskich i serdeniackich? Z przybyciem Attelmayera hordy te opasały dokoła Kamieniec i tak ścisnęły, że już i ptak przedostać się tam nie mógł.

Bezczynnie, kryjąc się z niedobitkami owymi po opustoszałych okolicznych wioskach, przypatrywał się Attelmayer bohaterskiej a rozpaczliwej obronie. Widział, jak z trzech stron od Dłużka, od Zynkowiec i od Żwańca ciągnęły nieprzeliczone hordy, opasując miasto. Obozowisko olbrzymie rozłożyło się na milowej przestrzeni od Zynkowiec do Ciołkowic, a w niem dzień i noc panował mrówczy ruch... W przebraniu wieśniaczem podkradał się nieraz Attelmayer pod samo to obozowisko i widział, z jaką wytrwałością czyniono tam przygotowania do szturmu, robiono przekopy

aż do Nowego Zamku. Dzień i noc grzmiały działa i widać było latające w powietrzu kule wielkości głowy ludzkiej. Ktokolwiek jeszcze pozostał w okolicy, umykał, rad, że z tego pogromu duszę unosi...

Attelmayer zaś zupełnie zmartwiał. Ani strachu, ani głodu nie czuł; pragnął jeno przedostać się cudem jakim do Kamieńca i tam zginąć. Ale to było niepodobieństwem. Raz w pogodną noc sierpniową, idąc brzegiem rzeki Żwańczyka, wśród skał, przedostał się tak blizko obozowiska, że słyszał kroki straży nocnej, szczęk broni i głosy komendy. Pracowano tam bez wytchnienia, o czem świadczył nieustający gwar, szum, łoskot, jakby wzburzonych fal.

Attelmayer czuł się mocno osłabionym. Położył się wśród skał, twarzą ku niebu i postanowił już się stąd nie ruszać, czekać śmierci.

Żal mu było, że ginie tak marnie. Wolałby był paść od kuli pod Czetwertynówką, a tu, samotnie, pod obozowiskiem pohańców, to śmierć nietylko bez chwały, jak chciał Jankowski, lecz i nie rycerska.

— Tak zdycha pies... — myślał.

Ale ruszyć się nie miał siły. Owładnęła nim taka martwota, że niebawem i myśli w nieładzie plątać się mu poczęły.

Wpatrzył się w gwiazdy, które dawniej taką mu sprawiały rozkosz. Wydały mu się zgoła inne,

bardzo blade i prawie nienawistne, bo obojętnie patrzące w to ohydne mrowisko wrogów, którym przyświecały. Czasem przysłaniał je gęsty dym, idący od Kamieńca; stamtąd też dochodził huk dział i jak błyskawice połyskiwały zdala rozpryskujące się w powietrzu granaty. Dym był gęsty, czarny i rozchodził się szeroko wielkiemi smugami.

— To tak płyną ku niebu pomordowanych dusze... — pomyślał Attelmayer.

I znowu za moment wyjaśniało się niebo i przez rozrzedzoną chmurę dymu przebłyskiwały gwiazdy, jaśniejsze nawet niż wprzódy, obojętne.

Attelmayer pięści zacisnął. Zdawało mu się, że one, widząc z góry straszliwy pogrom, powinnyby być krwawe, albo zgasnąć z przerażenia, albo spaść ognistym deszczem i płomieniem zalać to obozowisko niewiernych.

Nie chciał na nie patrzeć, więc oczy przymknął i obrócił się na bok. Lecz w tymże momencie usłyszał obok siebie głośny szmer i jakby przyśpieszony oddech ludzki. Podniósł się nieco i oczy otworzył.

O kilka kroków od siebie ujrzał w cieniach świecące oczy, jak kocie i pełzającą ostrożnie, zwolna postać ludzką.

— Ha, przecie! — pomyślał — nie zginę marnie, jak pies...

Porwał się i rzucił ku pełzającemu.

Ale ten, ani napadać, ani bronić się nie myślał. Przypadł twarzą ku ziemi i jęczał z cicha.

— Ktoś ty? — krzyknął Attelmayer.

Na te słowa pełzający ów ukląkł i ręce jak do modlitwy złożył.

— Cicho... — szepnął — cicho na Boga! Usłyszą nas czaty... Jam zbiegł z obozowiska...

I mówił dalej zdyszanym głosem, tuląc się wśród skał:

— Zabrano nas ze Żwańca, z Babszyna, z Brahy... Spędzono wszystkich... Kazano wały sypać... podkopy ryć, miny podkładać... Jam już raz, z synem moim jedynakiem, uciekł im w czasie wycieczki do Kamieńca... Ale mnie znów wczorajszej nocy, gdym z innymi podjazd czynił, schwytano... Jedynak mój pozostał!... jest tam... A oni chcieli, abym ja, ojciec, miny podkładał!.. Jutro szturm walny... wszystko w ruchu, w zamęcie. Zdołałem umknąć... Do Kamieńca przedostać się nie sposób... Więc przyczołgałem się tu... Byle umrzeć na swobodzie i swoich nie mordować...

Umilkł i omdlewać się zdawał. Był to już człek niemłody i bardzo sterany; na wychudłej twarzy jeno oczy paliły się gorączkowym blaskiem.

Attelmayerowi zaś nagle przybyło sił. Noc bladła, za moment miał stać się brzask; przeto pozostać tu, pod samem obozowiskiem, było niepodobna.

Pochwycił zbiega za ramię:

— Chodź! — szepnął — chodź a rychło!

Zeszli, a raczej zsunęli się ze skał bliżej ku rzece, a tam poczęli biedz małą dróżyną, skryci złomami skał. Zmordowany zbieg ustał pierwszy. Na ziemię upadł dysząc i rzekł:

— Nie mogę!... Ale oni nas ścigać już tu nie będą... nadto zajęci...

Spojrzał na niebo, pierwszym rozjaśnione brzaskiem.

— Ostatni to dla Kamieńca świt!... — dodał i ręce załamał — ostatni!

Attelmayer usiadł przy nim i wypytywać go począł: zali już nie było ratunku? Przecie załoga trzyma się dzielnie, jest mocna?

Zbieg głową chwiał:

— Nadludzkiej siły by potrzeba — rzekł po chwili — aby tę siłę, która nas opasała, zmódz... A my mamy co? Tysiąc głów żołnierza... nieco szlachty, nas chłopów ze sto lub dwieście... Strzelać niema już komu... na sześć strzelnic jeden przypada strzelec... Wy nawet wyobrażenia mieć nie możecie, co się tam dzieje...

Odwinął rękaw opończy i okazał Attelmayerowi zsiniałe, opuchnięte ramię.

— Patrzcie — mówił — to od rzucania granatów i uderzeń kolby, bo muszkiety od gorącości trzaskają... A wszystko to nie czyni nic pohańcom... Zasłaniają się kamieniami i worami z ba-

wełną i ściskają coraz bliżej... coraz mocniej... A jest ich ćma nieprzeliczona, owych Turków, Wołoszy, Tatarów krymskich i dobruckich i białogrodzkich i serdeniat Doroszeńkowych...

Chwycił się oburącz za głowę i jęczał:

— A! a! a!... straszna śmierć... straszna śmierć!

— Widziałem — ciągnął po chwili — na własne oczy... Turcy mają siedm szańców, a uczynili cztery głębokie podkopy, z których jeden sięga do bramy Starego Zamku, a drugi do Ruskiej Bramy... W podkopach podłożyli miny, zapalają je... i...

— Słysz! — krzyknął znagła Attelmayer, chwytając tamtego za ramię.

W powietrzu rozległ się okropny huk. Jeden, a potem drugi i trzeci... Łamał się wśród skał i rozpadał na tysiąckrotne echo... Czarna chmura podniosła się od strony Kamieńca i szła groźna, kłębiąca się, ponura, przysłaniając niebo.

Zbieg klął na oba kolana i ramiona wyciągnął.

Wynędzniała twarz jego przybrała wyraz dzikiej rozpaczy. Spieczone usta otworzył i wyschłym językiem bełkotał:

— To koniec... koniec... Boże, ratuj... Syn mój!... syn!...

Wyprężył się, oczyma wywrócił i zanim Attelmayer pochwycić go zdołał, zwalił się głową na dół, z wyciągniętemi ramionami, ze stromego brzegu

w toń rzeki... Słychać było, jak czaszka jego z głuchym łoskotem obiła się o sterczące skały, a potem gwałtowny plusk wód Żwańczyka, który w tem miejscu płynął bystro ku Dniestrowi. Wir pochwycił wnet ciało, zakręcił niem i pochłonął, unosząc w dal...

Attelmayer stał moment, osłupiały, a potem nagle porwał się i zaczął biedz bez pamięci, jakby go co gnało...

I tak lecąc dzień i noc, bez wytchnienia, manowcami, znalazł się nagle w Jagielnicy. Ale tu zastał już tłum ludu. W miasteczku i całej okolicy pełno jańczarów, przydanych jako konwój tym, którym dozwolono opuścić Kamieniec. Krzyki, jęki, rozpacz wokoło. Przerażeni mieszkańcy zbiegali się tłumnie, aby z własnych ust tych, którzy przebyli oblężenie, słuchać strasznych opowieści...

Attelmayer chciał iść dalej, do Lwowa, ale sił mu zabrakło. Zachorzał ciężko, a gdy przyszedł do siebie, ujrzał się w gospodzie litościwego mieszczanka tamtejszego, który też kilku innych zbiegłych z Kamieńca, u siebie tulił. Gospodarz ów, Piotr, Łozą zwan, rodem był z Kamieńca i rodzinę tam blizką miał, która się teraz do niego schroniła. Ale i stąd wkrótce zabierać się musiano. Turcy byli już bowiem i Jagielnicę zajęli.

— Dobrze, żeś waćpan do zmysłów przyszedł — mówił Łoza do Attelmayera — bo dni

biegą, a nam wszystkim dalej trzeba... Tu już chrześcijańskiej duszy nie ostać...

I opowiadał, co się w Kamieńcu działo. Gdy sułtan wjeżdżał do miasta, a wjeżdżał z wielką paradą, na koniu jabłkowitym, w zielonej sukni srebrno-jedwabno-litej, jaśniejącej od drogich kamieni, wśród olbrzymiego orszaku, uzbrojonego w dzidy, pod nogi tego konia rzucano mu ku znieważeniu obrazy świętych z domów Bożych pobrane... Krzyże pozdejmowano z wież kościelnych, postrącano dzwony... Połyskują tam półksiężyce, a na modlitwę wzywa przeciągły, jękliwy krzyk pohańców... Biada zaś temu, ktoby śmiał użalić się, lub gdy sułtan przejeżdża, spojrzeć ciekawem okiem na jego majestat. Wnet daje szyję pod miecz katowski...

— Zgoła — kończył Łoza — zlitowania Boskiego już nie masz nad nami... Byle duszą chrześcijańską i wiarę świętą stąd unieść... Dobytek cały ostawię i w świat... kędy oczy poniosą...

Truchlał Attelmayer, widząc takie przerażenie i rozpacz. A cóż dopiero, gdy po raz pierwszy po swej niemocy wyszedł na rynek. Kilkaset wozów stało w ścisku, a na nim dzieci, niewiasty i mniszki uciekające z Kamieńca. Była tu i żołnierzy kupa, wygłodniałych, obdartych, a wyrzekających srodze.

— Wydano nas na jatki! — wołali — sprze-

dano nas... Zdradą wzięty Kamieniec... zdradą padł kraj cały!...

I tłum ten znędzniały, wrzeszczący w niebogłosy, miotany rozpaczą, stał tak bezradny, nie wiedząc, kędy się obrócić. Jakiejkolwiek chęci oporu lub walki w nim już nie było, jeno rozpacz dzika a wyrzekająca. Byłaby się ta cała gromada stoczyła w przepaść, jak ów bezimienny, zbiegły starzec, albo dałaby się posiekać jańczarom, szydzącym z tej spłoszonej czeredy.

Attelmayer zbliżył się do kilku żołnierzy, siedzących przy wozach.

— Trzeba ratować się — rzekł — cóż tu wysiedzicie?...

Jeden z żołnierzy wytrzeszczył na niego oczy i szydersko się zaśmiał.

— Chyba djabeł wyratuje — odparł — bo Bóg nie chciał, a panowie zdradzili...

Attelmayer protestować chciał, lecz drugi impetycznie krzyknął:

— Tak jest... zdradzili! Z Turkiem są w zmowie... Mówiono: sułtan da wam wolność... mienia nie zagrabi... A idź-no waść do Kamieńca i przypatrz się... Szlachta i księża w taczkach około murów pracują, a pan Myśliszewski, godny człek, omal pod kijami ducha nie wyzionął, za to, że czeladnik jego strzelby i oręża wydać nie chciał...

— Wyjechali jeno panowie bardzo szumnie —

dodał trzeci — wyjechali nietknięci... w sułtańskich kaftanach...

— A co czyni hetman koronny? — krzyknął inny — co czyni Król?...

— Rozpacz gada przez was — wtrącił Attelmayer — a mnie się widzi, że lepiejbyście waćpanowie zrobili, gdybyście, miasto tu siedzieć bezczynnie, zebrali się razem i szli kędy trzeba, ku obronie, naprzykład do Lwowa...

— Do Lwowa! — powtórzył z przekąsem pierwszy — pewno już tam kamień na kamieniu nie ostał... Wprost z pod Kamieńca ciągnęła ćma Turków na zdobycie Lwowa, kędy już pewnie teraz panuje Mahomet IV...

Attelmayer słuchał i krew mu stygła w żyłach.

Jakto! jego miasto, jego ukochane miasto, którego każdy kamień on znał i niemal za swą własność uważał, miałoby paść pastwą tureckiej czerni!

Nie słuchał już, co owi zrozpaczeni żołnierze mówili, lecz wpadł do gospody Łozy, podziękował mu za przytułek, pożegnał i śpiesznie wybierał się w drogę.

— Na śmierć pewną idziecie — mówił stary Łoza. — I ja wiem, że ćma Turków trzema szlakami podążyła w tamte strony... My stąd także jutro, skoro świt wychodzim — cały tłum idzie, ale jak najdalej od tych szlaków... Gdzie oczy poniosą... o żebraczym chlebie... Idźcie lepiéj z nami...

Ale Attellmayer gwałtownie się żachnął.

— Jeśli zginąć mam — odparł — to zginę, ale tam, na własnych śmieciach...

I poszedł.

Gdy przybył do Lwowa, trwoga tu już była wielka. Mówiono, że na górach Szychowskich pokazują się Tatarzy; w noc widziano łunę i dymy. Ruch w mieście był ogromny... Stary, czasu Jana Kazimierza wsławiony wódz, Eljasz Łącki, którego hetman Sobieski przysłał ku obronie, dzielnie się krzątał, iżby miasto umocnić. Naprawiano pośpiesznie zamek i bramy miejskie; naokoło murów kopano głębokie rowy, którymi połączono klasztor Bernardyński z bramą Halicką, przypuszczano bowiem, iż Turek podkopywać się będzie od strony kościoła Karmelitów. Bramę tedy ową i klasztor obsadzono żołnierzami i wzmocniono armatą. Obliczano siły; były bardzo mizerne; pozostawiona przez Sobieskiego załoga składała się z czterech chorągwi pieszych i dwóch jazdy. Oprócz tego z tysiąc mieszczan, czterystu zaciężnych nieźle uzbrojonych i nieco chłopstwa z rozmaitem narzędziem. A tu donoszono codziennie, iż coraz większe tłumy zbrojne ciągną ku Lwowu, jedne od strony Martynowa, a inne od Gródka.

Popłoch z dniem każdym wzrastał, i kto mógł, jeno wykradał się z miasta i uciekał. Już przedtem niektórzy rajcy i konsulowie miejscy umknęli; umknęli też znaczniejsi kupcy i mieszczanie, tak,

że czasu przybycia Attelmayera zaledwie trzecia część ludności została...

Wzburzony tem okrutnie, wpadł on zaraz w nocy na ratusz, kędę radzili pozostali rajcy: Zimorowicz i Gąsiorkowicz z ławnikami, w obecności komendanta Łąckiego.

Straż miejska wpuścić go zrazu do sali nie chciała, ale Attelmayer hałasować począł i krzyczeć:

— Cóż wy psubraty myślicie, że ja jestem ten co dawniej, drab miejski, i że się wypchnąć dam? A, niedoczekanie! Jeśli zaś którego język świerzbi, to niech idzie i powie imćpanu Zimorowiczowi, sławetnemu rajcy, że przybył żołnierz hetmański wprost z pod Kamieńca i posłuchania żąda...

Ten i ów, poznawszy Attelmayera, drwić poczynał, lecz wtem drzwi się otwarły i na progu stanął Zimorowicz. Człek już wiekowy, osiwiały, bardzo chudy, o twarzy wyrazistej, choć nie pięknej. Małemi błyszczącemi oczyma rzucał wokoło:

— Co to? co się stało? — spytał.

Attelmayer łokciem i pięściami utorował sobie do niego przejście i bez wstępu rzekł:

— Wracam z pod Kamieńca... wysłuchać mnie musicie...

Głos jego był tak przejmujący, a postać cała tak wyraźne nosiła ślady przebytych trudów i cierpień, że stary rajca, chociaż z pogardą dawniej traktował niepoprawnego draba, a nie cierpiał go

za uszczypliwe o poezyach jego i sielankach słowa, rzekł bez wahania:

— Chodź za mną...

Attelmayer wkroczył do sali i odrazu, czasu nie tracąc a śpiesząc się, począł mówić, raczej nawoływać, iżby obronę czyniono.

— Widziałem sam — wołał — własnemi oczyma widziałem, jaka ćma na Lwów idzie... A tymczasem miasto pustoszeje... umykają wszyscy śladem tych, którzy przykład dawać winni... Gdzie są pyszni rajce nasi i konsulowie, którzy czasu pokoju, taką mają hardą minę i tak się dmą, jak świnia w deszcz...

— Miarkuj się!... — przerwał surowo Zimorowicz.

— Nie mam czasu sielanek układać... — odparł zuchwale Attelmayer.

Lecz wnet pochylił się do ręki starca.

— Przebaczcie — rzekł — ojcze... Ja was urazić dziś nie chcę... bo wy przecie ostaliście tu... Więcej macie teraz odwagi, niż za młodszych lat... Ano, bądźcież odważni do końca, nawet — co nie łatwa rzecz jest — względem swoich... Każcie pozamykać wszystkie bramy i nie puszczać tchórzów...

— Co po nich? — ozwał się Gąsiorkowicz — i ręką machnął.

— Cenię wasze nazwisko — odparł Attelmayer — bo od gąsiorka miłego jest, ale nie ce-

nię zdania, bo płytkie, jak nasza Pełtew u brzegu. Zali nie wiecie, że jeden tchórz, gdy zmyka, pociąga za sobą dziesięciu, a każdy z nich do obrony życia stanie, gdy go kule ogniste przypieką...

— Ma racyę... — rzekł stanowczo sędziwy komendant Łącki. — Bramy pozamykać trzeba i uciekających powstrzymać...

— Lubię — wtrącił Attelmayer — z żołnierzami gadać... Z nimi jam zawsze w zgodzie, a z konsulami zawsze kłótnia...

I mówił dalej, słuchany teraz pilnie przez wszystkich, a przez Łąckiego z ciekawością i dobrotliwym uśmiechem:

— Rozejrzałem się już tu nieco w mieście i tak mi się zda, że gdy pan komendant dowodzić będzie załogą i zaciężnymi, którzy uzbrojenie mają, oraz kierować całą obroną, my tu powinniśmy z pozostałej ludności utworzyć posiłki, któreby wojowały czem bądź... choćby garnkami z ukropem, kamieniami z ulicy... Posiłkami tymi, aby porządek był, dowodzić mogą młodsi ławnicy, jako naprzykład imćpanowie: Czechowicz, Lechner i inni.

Ten ostatni się porwał:

— A cóż to waćpan chcesz, iżbym z babami ukropem wojował?

Attelmayer z góry spojrzał.

— Prędzej się Turek baby z ukropem ulęknie — odparł — niż waści z mieczem. Zresztą

postanowi pan komendant i tak będzie, ja myśli poddaję... A to jeszcze dodam, iż winien być taki jeden oddział ochotniczy, któryby na wycieczki za mury szedł i pilnie się o wszystko wywiadował, i w obozie nieprzyjacielskim umiał języka zasięgnąć i szpiegów przyłapywał. To muszą być zuchy... a tak mi się widzi, iż ja znajdę choćby dziesięciu takich we Lwowie... Mało to, ale lepiej rydz niż nic...

Gdyby nie Łącki, byliby pewno ławnicy i rajcy bezskuteczny nad temi myślami Attelmayera spór wiedli, ale stary wódz wnet zadecydował, że tak ma być i zbliżywszy się do draba, spytał:

— Waść wprost z Kamieńca?...

— Chorzałem długo w Jagielnicy — odrzekł Attelmayer.

Spochmurniał bardzo, głowę pochylił i ozwał się po chwili z cicha:

— Nie imały się mnie kule, ani jął się miecz i śmierć sama nie przyszła... A mam takie straszliwości w oczach, że chciałbym je zawrzeć na wieki... Toż przyszedłem głowę tu dać...

— Może zwyciężyć... — wtrącił Łęcki.

Attelmayer ręką machnął:

— Cudby był... cud!... Chmury idą na nas... Byle się bronić mężnie do ostatka...

— Tyś dzielny jest — rzekł Łącki wzruszony — gdyby takich więcej, a stałby się cud.

Mówiąc to rękę na ramieniu mu położył.

Attelmayer zaś rękę sędziwego wodza pochwycił, ucałował i śpiesznie wybiegł z sali.

Od tej chwili nie spoczął. Był wszędzie i wszystkiego pilnował, a jeszcze tejże nocy miał uciechę.

Zimorowicz bowiem, po naradzie owej, wydał natychmiast rozkaz, iżby przez bramy miejskie nie przepuszczano nikogo, chyba za jego własnem zezwoleniem. Attelmayer był u wszystkich bram, przestrzegając, aby rozkaz spełniono; gdy zaś nad ranem w stronę rynku wracał, spostrzegł, w otoczeniu licznego pocztu pachołków, kilka wyładowanych furgonów i piękną kolasę, dążącą za miasto. Miał z sobą kilku zdawna znajomych drabów, którzy też na dany znak obskoczyli kolasę.

— Stój! — krzyknął groźnie Attelmayer.

Przez okno karocy wyglądnęła blada, zalękniona twarz doktora Anczewskiego,

— Ha! ha! — zaśmiał się drab — królewski doktor... który Gretę do królestwa niebieskiego wprowadził... Swoim zwyczajem pan konsul zmyka...

— Z drogi! — wrzasnął doktor — to napaść! co to znaczy?

— Znaczy — odparł Attelmayer — że Wasza Miłość, jeśli jechać chce sam, to może dozwolę, ale dworzanie waszmości zostaną...

— Jak śmiesz? — krzyczał doktor. — Na ratusz z nim! — dodał, zwracając się do pachołków.

— Radzę ostrożnie... — wtrącił Attelmayer — przy bramach straż stoi i nie puści... A pachołko-

wie wasi rady mi nie dadzą... Będzie zaś wstyd, gdy się na ratuszu dowiedzą, jako doktor królewski i rajca miejski z uszczerbkiem godności swej zmyka. Radzę więc hałasu nie czynić, pachołków swoich pod moją komendę oddać, a samemu, jeśli wola, za miasto... Z Waszej Miłości w tem oblężeniu nie byłoby pociechy... więc z Bogiem!

Rad nie rad, pan Anczewski musiał pogodzić się z losem i wytargowawszy jeszcze trzech pachołków do strzeżenia furgonów, resztę pozostawił, a sam ujechał, przeprowadzony przez Attelmayera, któremu Zimorowicz znak wydał, iżby go żołdacy miejscy słuchali.

— Macie szczęście — rzekł mu na pożegnanie Attelmayer — żeście na mnie trafili. Inaczej z podróży nic... Nie puszczonoby was. A ja mam litość nad waszym bladym strachem i czynię to... bo mi tak Greta stara każe... Jedźcie z Bogiem!

W parę dni potem Lwów dokoła osaczony był żywym murem pohańców. Rozłożyli się oni trzema obozami: turecki był od wschodu, multańsko-wołoski od południa, a kozacki na północ. Liczono, że samych Tatarów było z ośmdziesiąt tysięcy, Turków z piętnaście, a z ośm tysięcy doroszeńkowych serdeniat. Naokoło miasta usypali szańce i zatoczyli działa na górze Szembekowej i pod św. Jurem i na ulicy Gliniańskiej; tarany podsunęli pod mury i rozpoczęli szturm. Dzień i noc grzmiały działa, ogromne kule żelazne padały na

ulice, jak deszcz z nieba. Popłoch stał się okrutny; do otwartych świątyń tłoczyły się niewiasty i dzieci z jękiem a krzykiem, którego zatłumić nie mógł ani odgłos dzwonów, ani śpiew procesyi, przechodzących z rozwiniętemi chorągwiami przez ulice dla uspokojenia strwożonego ludu. Sądny dzień nastał. Przy bramie Halickiej najgorsza była walka. Turcy uderzyli na nią z wściekością. Zdobywszy i zająwszy poblizkie domostwa, tłumem wdzierali się na dachy.

Attelmayer, który tam z gromadką swoją, owymi pachołkami Anczewskiego nieco pomnożoną, opodal stał, ujrzał z przerażeniem na owych dachach mnóstwo Turków. Cisnęli się, jak wściekli, popychając siebie wzajem, a krzycząc w niebogłosy w tryumfie.

— Bogdaj was, psy niewierne, ziemia pożarła! — mruknął drab i zapamiętale strzelał do nich z muszkietu. Ale strzały te snadź im szkody nie czyniły, bo pohańcy śmieli się, wygrażając. A na dachach był ich już cały tłum.

Gdy wtem, jakby w wysłuchaniu klątwy Attelmayerowej, stał się cud.

Ozwał się nagle okrutny łomot i trzask... Dachy na owych domostwach zachwiały się, w jedną pochyliły stronę i w mgnieniu oka zapadły w głąb... Tłum Turków zmilkł, zakołysał się i runął wśród chmury kurzawy. A teraz poza bramą ozwały się straszliwe jęki, skowyczenia, wycia...

— Za mną! — krzyczał Attelmayer ku swoim i parł się przez bramę.

Skoczyli tam i inni lepiej uzbrojeni Łąckiego żołnierze i pruli się przez szeregi tą nagłą wycieczką spłoszonych pohańców, aż do ich bateryi. Attelmayerowi, który naprzód leciał, zdawało się, że oślepł, bo kurzawa z owych zawalonych domów, zasłaniała wszystko. Słyszał jeno dzikie wrzaski i siekł bez pamięci na prawo i lewo. Dotarto aż do bateryi, kilka dział zwalono, kilka zagwożdżono. Turcy w popłochu uciekli, gnani ognistemi kulami, ścieląc trupami drogę.

Wnet zatrąbiono do odwrotu, szturm był odparty. Lecz niebawem zaczął się w stronie Górnego Zamku, którego strzegła nieliczna Sieniawskiego piechota.

— Chałupę Grety chcą zdobyć muzułmańskie psy! — mruknął Attelmayer i wnet tam ze swoimi pobieżał.

Ale gdy przybył, było już zapóźno... Lękiem zdjęta piechota owa, widząc z góry, jako w rozmaitych częściach miasta wszczyna się walka i wybuchają ognie — mniemając przeto, że miasto zdobyte i w perzynę się obraca, po krótkiej walce zleciała ze stromej skały i poszła w bezładną rozsypkę... Górny zamek opanowali Turcy...

Była już noc późna, gdy zmilkły działa i ustał bój. Attelmayer nie wracał już do miasta, lecz ukrywszy swoją gromadkę w zaroślach, sam od-

szedł opodal, legł na ziemi i wpatrzył się swoim zwyczajem w niebo. Gwiazdy świeciły jasno; zdawały się weselić i mrugać ku niemu figlarnie; poza bliższemi, wpatrzone jego oko dostrzegało całe miliony i miliony innych, mniejszych, które, to przebłyskiwały, to tonęły w przeźroczystej mgle. A po nad głównem obozowiskiem tureckiem zakreślał się jasno, wyraźnie półksiężyc, jakby samo niebo stroiło się dzisiaj w znak zwycięski Mahometa...

Attelmayer żachnął się i porwał z miejsca.

Z wyżyny, na której stał, widział całe miasto, czarne, ponure, milczące teraz jak grób. Po nad niem unosiły się ciężkie opary i szła stamtąd ostra woń krwi...

— Jutro — pomyślał Attelmayer — jutro o tej porze, kamień na kamieniu nie zostanie... zgliszcza jeno i trupy...

I w mgnieniu oka, jakto bywa, gdy cała dusza ludzka w jednej skupi się myśli, ujrzał ten Lwów takim, jakim bywał w dniach radośnych, w nim zaś siebie młodzieniaszkiem swawolnym... Ujrzał radości swe i smutki, i gorycze i nędze, i dobrych i złych ludzi, i swoją Gretę biedną, której chałupa rozwalona na poły, stała tam, u jego stóp, opuszczona...

Poczuł łzy pod powieką i ramiona przed siebie wyciągnął.

— Ukochane miasto moje!... — szepnął — co z ciebie jutro... co z ciebie!...

Wstrząsnął ramionami, jakby ciężką zmorę z siebie zwalić chciał.

— Zginąć przedtem — rzekł — byle nie patrzeć...

Przyszedł mu na myśl Jankowski i uśmiechnął się:

— A to będzie — dodał — istna śmierć rycerska bez chwały... bo tu i trupów naszych w zaroślach nie odnajdzie nikt... nikt też nie pomyśli o drabie...

Wnet zbudził śpiących towarzyszy.

— Chodźcie! — rzekł cicho — na Górnym Zamku jeno ich garstka... śpią psy i chrapią... Wpadniemy na nich, wymordujem do nogi i Zamek nasz!...

I poszli, a raczej pełzali w górę, cicho, wśród zarośli, aż wypełzli na sam szczyt...

Attelmayer dał znak... Zerwali się, i nagle, czyniąc larum straszne, wpadli na śpiących...

Ci zaś snadź w mniemaniu, że na nich wielka siła napadła, odrazu, nie spróbowawszy nawet oporu, poszli w rozsypkę. Dwóch usieczono, reszta, a była to jeno niewielka garstka, skacząc ze skał w popłochu, umknęła. Dano za nimi kilka strzałów, a niebawem widziano pierzchające ich cienie, które dopiero koło chałupy Grety zniknęły.

Attelmayerowi mocno podobała się ta zwycię-

ska wycieczka; pogodniejszem okiem spoglądał teraz w niebo, na którem już pierwszy przebijał się świt. Kazał jednak swoim towarzyszom pogotowiu być, bo lada moment spodziewać się było można nowego napadu.

Stanął u stoku góry i myślał nad tem, w jakiby sposób co rychlej dać znać na ratusz, iżby posiłki przysłano i już usta otwierał, aby dwóch ze swoich z wiadomością tam wysłać, gdy uszu jego doleciał szmer wśród zarośli, stłumiony jęk, a potem jakby szelest usuwającego się w dół ciężaru.

— Kto tam? — krzyknął.

Nie było odpowiedzi, lecz za moment znowu szmer...

Nie namyślając się dłużej, Attelmayer rzucił się w zarośla. Lecz zaledwie parę postąpił kroków, potknął się o leżącego na ziemi człowieka. Pochylił się nad nim i za gardło schwycił:

— Ktoś ty? — krzyknął.

— Litości, panie!... — odrzekł ów po polsku.

Attelmeyer zawołał na swoich i wnet wynieśli jeńca na górę. Był w stroju tatarskim, dobrze uzbrojony, a miał ciężką ranę w głowie, z której krew obficie płynęła... Związano mu ręce i złożono na ziemi.

— Przed laty — mówił on łamanym językiem — wzięto mnie w jasyr, gdym jeszcze pa-

cholęciem był, kazano służyć i przeciw swoim bić się...

— Szpiegować! — krzyknął groźnie Attelmayer — na gałęzi wnet zawiśniesz!...

Tatarzyn w piersi się uderzył.

— Już i tak nie wiele mi się należy — odparł — wszystko jedno... Ale nie! szpiegiem nie byłem... Na dowód powiem wam ważną rzecz...

Zdawał się omdlewać i umilkł. Tedy Attelmayer przykląkł przy nim.

— Mów! — rozkazał.

Lecz wtem nagła a jaskrawa światłość oblała szczyt góry.

Porwał się Attelmaeyer i spojrzał.

W dole, chałupa Grety stała w płomieniach. Jednym słupem ognistym palił się stary dach i spróchniałe ściany.

Drab stał moment zapatrzony w to ognisko. Coś mu się także zapaliło w piersiach i piekło serce na węgiel.

— Ostatni ślad... — szepnął — ostatni!... Nikogo już teraz i nic na świecie...

Lecz ów ranny jeniec poruszać się począł gwałtownie; podniósł się nieco na skrępowanych rękach i rzekł:

— Jeśli was niema tu więcej, to uciekajcie! Ten ogień, to zwykły ich znak, że w tej stronie posiłków trzeba... Wkrótce nadbiegną... zginiecie!

Attelmayer ręką jeno machnął, patrząc cią-

gle w przygasające już nieco zgliszcza chałupy Grety.

— Umykać? — myślał — a po co? Życie salwować... dla kogo? Niech przyjdzie śmierć, a rychło...

Zbliżył się do towarzyszy swoich i rzekł:

— Prowadźcie jeńca na ratusz i idźcie tam wszyscy ku obronie... ja zostanę tu...

Znowu poruszył się ranny i szamocząc się gwałtownie, bełkotał stłumionym głosem:

— Powiedźcie tym, którzy władzę tu dzierżą... powiedźcie, niech trzymają miasto, póki się da... Dwa lub trzy dni jeszcze.. Na pewno wiem... Turcy od oblężenia odstąpią... Przymierze już prawie zawarte!... Szturmu nie będzie... Turcy w strachu, bo hetman Sobieski ciągnie z siłą wielką, tyłom ich zagraża...

Attelmayer przypadł ku niemu:

— Przysięgnij!... — krzyknął — zali prawdę mówisz...

— Na duszę moją... przysięgam! — odparł z mocą jeniec.

Drabowi zaś zadrgało nadzieją serce.

— Więc miasto jeszcze ocalone być może! — myślał. — Trzeba teraz na ratusz biedz, umysły zwątpiałe zagrzać, do wytrwania skłonić...

— Chodźmy — rzekł — chodźmy, a żywo! Ty w moich ręku zakładnikiem zostaniesz — dodał do schwytanego. — Jeżeli jutro Turek znów sztur-

mować i niszczyć będzie, znajdę ja dla ciebie piękną śmierć, abyś kłamstwo odpokutować mógł...

— Szturmu nie będzie — powtórzył jeniec — wydano rozkazy do odwrotu... Część wojsk już się ruszyła... Okup wezmą i odstąpią...

Za moment gromadka cała schodziła z góry. Szła powolnie, wiodąc jeńca, którego ranę sam Attelmayer troskliwie teraz, o ile umiał, opatrzył, iżby mu krew nie uszła, i aby mógł zeznania swe na ratuszu powtórzyć.

Schodząc, drab obrócił się jeszcze ku chałupie Grety... Z kupy węgli żarzących i popiołów unosił się w górę jeno czarny słup dymu. Chałupa rozpadała się, kurczyła, przysiadała do ziemi i nikła; stary, wielki komin, przy którym on nieraz grzał się, spór wiodąc z «wiedźmą», jak nazywał Gretę, sterczał wśród zgliszcz, samotny. Ległby on tam koło niego i teraz z rozkoszą, ległby, czekając śmierci. Lecz oto musiał żyć, aby ocalić to miasto od hańby sromotnego poddania się...

Począł biedz szybko ku ratuszowi, w którego oknach paliły się jeszcze światła. Radzono tam noc całą i uradzono, że dalsza obrona na nic się nie przyda, że należy skoro świt wywiesić białą chorągiew i wysłać do tureckiego obozu posłów z prośbą o litość nad miastem.

Attelmayer przybywał w czas.

Nazajutrz też zaraz rozpoczęły się układy, które trwały dni kilka. Sprawdzono wkrótce, że jeniec

tatarski prawdę rzekł. Komisarze polscy byli już w obozie tureckim i układali warunki sromotnego pokoju, który niebawem miał stanąć w Buczaczu, oddać Kamieniec, Podole i Ukrainę Turkom, a na Rzeczpospolitę nałożyć hańbę haraczu...

Wielka radość zapanowała w mieście, ale trwała krótko, bo oto Turek zażądał wielkiego okupu, 20.000 czerwonych złotych, grożąc, iż jeśli go natychmiast nie otrzyma, zajmie i spali miasto i dalej pójdzie na podbój z armatą.

Tedy znowu wielki stał się skwierk i ogromna rozpacz. Naprożno przedstawiali komisarze pokojowi, że gdyby wzięto Lwów cały, kościoły i kamienice rozebrano na cegiełki, takiej sumy nie zdołanoby zebrać, wszyscy bowiem bogatsi mieszczanie przed oblężeniem precz ujechali, a wszystkie skarby i srebra kościelne dawno wywieziono. Turek wściekał się ze złości, groził i długo obstawał przy swojem, lecz wreszcie przystał na dziesięć tysięcy talarów, które we dwa dni Lwów złożyć miał.

Był tedy płacz ogromny, gdy przyszło ową sumę wybierać i składać. Po dwóch dniach zaledwie połowę zebrano, a za resztę ofiarowano zakładników, których Turek zażądał dwunastu, ze wszystkich stanów.

Dnia 4 października o świcie przybyło z obozu nieprzyjacielskiego dziesięciu Turków, a na ich czele sam skarbnik sułtański, człek ogromny,

z wielką czarną brodą, która mu do pasa sięgała. Duma w nim snadź była rogata, że na nikogo patrzeć nie chciał, jeno zwrócony do tłómacza, półgębkiem rozkazywał, a najczęściej ruchem ręki lub głowy dawał znak, że zgadza się albo nie zgadza. W sali na ratuszu zgromadzeni byli ławnicy i co przedniejsi mieszczanie, i w obecności komisarzy pokojowych składano ów krwawy okup.

Brodaty skarbnik liczyć zaczął talary. Oczy wlepił w sufit i czekał, a gdy rachubę skończono, nogą tupnął i splunął ze złością.

— Mało! — krzyknął.

I począł łajać po turecku.

Attelmayer, który w tłumie stał, pięści i zęby zaciskał, a w język się gryzł, iżby nie wybuchnąć.

Ale wtem stała się taka cisza, jakby makiem siał, gdy tłómacz przekładając krótkie słowa skarbnika, rzekł:

— Zakładnicy, gdzie?

Poczęto tedy wywoływać nazwiska, lecz skarbnik, który już snadź dobre wiadomości miał, na niektóre spluwał, na inne głową przecząco chwiał, najlepsze zaś z listy, którą miał przed sobą, wybierał.

— Dobry ma w gębie smak... sobaka! — mruknął Attelmayer i patrzył jak wychodzili i po Turków stronie stawali, wnet pod straż brani, ci, których skarbnik przyjąć raczył.

Wyszedł tedy najprzód Szymonowicz, doktor,

Anczewskiego zięć, potem ławnicy Dobrzyc i Nencke, potem dwóch Ormian możnych.

Ale skarbnik rzucił okiem na kartę, którą miał w ręku, i rzekł:

— Anczewski, królewski doktor!

Oho! — zawołał nagle, nie mogąc się zdzierżeć Attelmayer — szukaj wiatru w polu...

Gdy zaś odpowiedziano skarbnikowi, jako Anczewskiego niema, ów począł się rzucać i pienić ze złości. Coś długo po turecku wydziwiał, a wreszcie tłómacz wygłosił:

— Za Anczewskiego dwóch!...

Tedy wystąpił imćpan Jan Studnicki, ławnik i Ormianin Awedyk.

Lecz skarbnik na Studnickiego spojrzawszy, począł znów pluć i krzyczeć, Studnicki ów bowiem stary był wielce i tak schorzały, iż zaledwie nogami suwał.

— Nie chce trupa!... — przełożył tłómacz.

Tedy z tej spłoszonej gromady mieszczan, która tam w milczeniu stała, patrząc na ten okrutny pobór, wysunął się młodzianek niezwykle urodziwy. Na przybladłej jego twarzy, paliły się zapałem oczy.

— Za rodzica mego — zawołał — idę ja!

Szmer podziwu i współczucia przeszedł po sali. A starzec ów począł bardzo się trząść i drżącemi rękami chwytał za ramię młodzianka, szepcąc:

— Nie! nie!... przez Boga!

Ale już skarbnik, opatrzywszy zakładnika, dał znak ręką. Żołnierze tureccy pociągnęli młodzieniaszka i wepchnęli ku przyjętym.

Starzec jęknął i zwalił się na ziemię w omdleniu...

Tymczasem skarbnik sułtański niecierpliwić się już poczynał, a tłómacz wołał:

— Prędzej! prędzej!

Więc poszedł jeszcze p. Laurysiewicz i Jakób Jaśkiewicz i p. Gabryel Bernatowicz.

Policzono; jedenastu było. Na rozkaz skarbnika znów tłómacz krzyknął:

— Jeden jeszcze... a prędzej!

W osłupiałej gromadzie cisza. Jeden na drugiego spoglądał zalęknionemi oczyma, jakby się pytał: ty, czy ja? Najgodniejszych z nazwiska i mienia, z tych, którzy w mieście pozostali, już wybrano. Z młodszych był tylko jeden jeszcze nazwiskiem Karcz, który niedawno, przed samem nadejściem Turków, poślubił piękną Gretę Wilczkównę. Mimowolnie oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. On stał, przyparty do ściany, blady jak chusta i nieprzytomny prawie. Czuł na sobie owe spojrzenia, czuł, że go czeka okrutna niewola, że go na nią najbliżsi skazywali i — truchlał. U jego stóp, białemi rękami obejmując mu kolana, klęczała Greta. Nie mówiła nic, jeno od czasu do czasu stłumiony jęk wydobywał się z jej piersi. Czarne włosy rozplotły się w nieładzie i okalały twarz, jak marzenie piękną.

Ciche szepty poszły po sali.

— Karcz... Karcz...

— Prędzej! — wołał tłómacz — dwunasty!

— Karcz! Karcz... — szeptano.

A wtedy ona porwała się z klęczek i zwracając swą wysoką, wspaniałą postać ku szepczącym, osłoniła nią małżonka. Iskrzącemi oczyma patrzyła, jakby wyzywając do walki...

On zaś wołał ku niej: — Greto! Greto!

Skarbnik sułtański nogami tupał i wrzeszczał:

— Warunków nie spełniacie... biada wam! — przekładał tłómacz.

Już pan Zimorowicz usta otwierał, aby młodego Karcza wywołać, gdy wtem Attelmayer, obok Karcza stojący, rozepchnął tłum i wyszedł na środek.

— Attelmayer! — krzyknął donośnie — ja, dwunasty!

Ze zdumieniem patrzyli wszyscy, ani momentu nie wątpiąc, że skarbnik ze wzgardą odrzuci takiego zakładnika, który drabem miejskim był.

Ale ów, spojrzawszy na spis swój, w którym Attelmayerowie wśród najznaczniejszych wykazani byli, rzucił jeno wzrokiem na silną postać draba, dał znak i wnet Attelmayer wśród innych zakładników stał.

Pobór był skończony. Za moment wychodzono z sali. Za skarbnikiem oddział żołnierzy, a wśród nich zakładnicy. Attelmayer szukał wzrokiem pię

knej Grety. Stała na tem samem miejscu, ale oblicze jej, przed chwilą trupio blade, pałało teraz w rumieńcach. Gdy drab przechodził mimo, ona pochyliła się ku niemu i złożyła ręce jak do modlitwy, dziękując w milczeniu, ale z takim wyrazem, w którym była cała jej dusza.

On zaś uśmiechnął się ku niej dziwnie smutno, jak ten, który wie, że nic do stracenia nie ma i rzekł półgłosem:

— Dziękuj starej Grecie i rodzicom, że ci jej imię dali...

Nazajutrz, skoro świt, ruszyło się wojsko tureckie z pod murów Lwowa. Część znaczna hord tatarskich rozpierzchła się już była przedtem w rozmaite strony na zniszczenie kraju. Teraz zaś wyprowadzono całą armię turecką w porządnym szyku, a pod silną strażą pobranych zakładników, którzy w kamienieckiej fortecy czekać mieli dnia wyzwolenia swego.

Attelmayer szedł wśród innych, milczący, ale nie smutny. Czuł, że stało się tak dobrze, jak się stało, iż poszedł on, nie ów Karcz, który wolałby był śmierć, niż rozłączenie z umiłowaną małżonką.

— Po mnie — myślał — nie zatęskni nikt, i ja też nie ostawiam nikogo... ani myśli żadnej po sobie... Dawniej, gdym na szwedzką wojaczkę szedł, to płakała stara Greta... A teraz...

Uśmiechnął się.

Teraz może ta młoda a piękna Greta pomyśli choć jeszcze jutro o mnie z wdzięcznością...

Ręką machnął.

— A po co mi jej myśl, gdy ja idę w kamieniecki grób?... Spojrzał na innych jeńców, którzy przy nim szli, lub na furgonach siedzieli bez ruchu, osłupiali z rozpaczy.

— Ci biedni! szepnął — stokroć biedniejsi odemnie... Im serce na szmaty rwie się i krwawi. A mnie jeno tego miasta żal... i to nie wiem dlaczego?

Obrócił się... Szara mgła rozciągała się nade Lwowem jeszcze uśpionym. Z niektórych jeno kominów szły dymy, rozścielając się smugami w wilgotnem powietrzu, pod chmurnem niebem. Nic zresztą dostrzedz nie można było, lecz Attelmayerowi zdało się, że widzi rynek, ulice i znajome twarze, z których znikła już wczorajsza trwoga. A za moment znów mu się zdało, że słyszy dochodzące stamtąd wołania, krzyki, jęki i płacz za tymi, którzy w niewolę szli...

Raz jeszcze objął okiem całe miasto.

— Żegnaj, żegnaj! — szepnął — nie ujrzę cię już nigdy!

Szybko odwrócił się, ręką machnął, głową wstrząsnął i rzekł do idącego obok Awedyka:

— Mów-że waćpan co, bo mi się cni... Rzuć frasunek, nie pomoże nic, a kości wysusza... Ot

ciesz się, że masz we mnie przewodnika, bom ja pod Kamieńcem już był... ręczę, że nie zbłądzisz..

A ów podniósł na niego mętny wzrok, ramionami dźwignął i rzekł:

— Trudno weselić się...

Drab roześmiał się w głos.

— Niema się też czego weselić nagi, gdy w pokrzywy wpadnie, a skacze...

Na śmiech Attelmayera spojrzeli wszyscy na niego w zdumieniu.

— Dziwujecie się — dodał drab — że mi jeszcze trochę śmiechu w gardle ostało... Zróbcie jak ja... dajcie wasz rozum głupstwu zjeść, a poweselejecie... Źle wam jest? no, to co? Na świecie nie może dobrze być, chyba wtedy, gdy wilk ogonem będzie orał a owcami bronował...

A gdy tak mówił Attelmayer i dalej krotofile prawić począł, uczuli wszyscy, że on to czyni dla pokrzepienia serc i stało się im lżej...

* * *

Jankowski i Klatt liczyli z początku dni i tygodnie i miesiące, siedząc w celi kłajpedzkiej fortecy, a wreszcie i liczyć przestali. Zdawało im się nieraz, że świat się dla nich skończył, lub, że ich w grobie za życia zamknięto i kazano czekać leniwej śmierci wśród niczem niezmąconej ciszy. Nie zbywało im wprawdzie na niczem, dostar-

czano im żywności poddostatkiem, a nawet książki ku rozrywce przysyłano, lecz dozorcy, który im służył, nie wolno było słowa do nich przemówić. Otoczyły ich milczenie i pustka. Nawet widoku ludzi byli pozbawieni, bo przez mały dziedziniec więzienny, na który obrócone było okno ich celi, snadź z rozkazu komendanta, nie przechodził nikt; widać jeno było mury więzienne, bez okien, dachy, szmat zwykle chmurnego, zamglonego nieba, i w dali, w dali mętne wody rzeki Dangi, zlewające się w cieśninę kłajpedzką.

Wśród tej ciszy i pustki, w końcu im samym słów zabrakło. Pierwszy zaniemówił Jankowski, a po nim zamilkł i Klatt. Ostatnie słowo, które wyrzekli ku sobie, było pytanie:

— Co się dzieje tam... w kraju?

I pytanie to, na które znikąd odpowiedzi nie było, stężało w ich duszy okropną zagadką, zapierającą dech w piersiach, duszącą jak zmora, wyzierającą jak straszydło z ich twarzy, i jakby obłąkanego, sztywnego spojrzenia. Wreszcie patrzeć na siebie nie mogli i unikali wzajemnie swego wzroku.

Aż raz, w nocy, porwał się Jankowski z ławy, na której snem kamiennym spał. Porwał się i obudził Klatta.

— Słyszysz?... — szepnął — słyszysz?...

W twierdzy panował niezwykły ruch. Dochodziły echa kroków, szczęk broni, głosy. Z nagła

otwarły się żelazne podwoje i blask pochodni oślepił zrazu oczy więźniów. Kilku zbrojnych żołnierzy wkroczyło, a na ich czele dawno niewidziany Knopf.

Był ohydny. Napiętnowała go na zawsze ostatnia walka. Jedno oko wybite, zalepione miał czarnym plastrem, drugie, krwią zaszłe, iskrzyło się w tym momencie szyderczo z pod rozszarpanej, sinej powieki; szyderstwem też wykrzywiały się bezzębne usta.

Wszedł, i do osłupiałych więźniów rzekł:

— Bywajcie, mościpanowie!... Dawno nie miałem rozkoszy oglądać świątobliwych polskich pątników, którym pewno cniło się siedzieć tak długo w celi... Otóż najjaśniejszy Elektor dozwolił dziś na przechadzkę... Miłościwy pan!...

W odwykłych od ludzkiego głosu uszach więźniów, słowa te odbijały się dziwnie brzmiącem, niemal bolącem echem. Spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc.

A Knopf śmiał się...

— Śpieszcie się! mościpanowie — mówił — bo może być zapóźno... Kat, który z Berlina przybył, ma świerzb w rękach i czekać nie lubi...

— Nareszcie! — zawołał Klatt — bierzcie już nam głowy, choć bez sądu, byle rychlej!...

Knopf przysunął się bliżej i patrząc na niego nienawistnem spojrzeniem krwawego oka, rzekł stłumionym głosem:

— Za moje oko, za moje kalectwo, jabym twą głowę chętnie sam mieczem pomacał, ale to nie o wasze głowy idzie... Dziś z szyją imćpana Kalksteina zabawa...

Zrozumieli nareszcie! Oni mieli być świadkami śmierci tego, którego uwolnić pragnęli... To była elektorska zemsta... Dreszcz przebiegł im po ciele, krew stygła, a potem nagle wrząca, rozlewała się po żyłach i paliła mózg...

Knopf zaś mówił dalej:

— Mogłoby się to już odbyć oddawna, ale miłościwy Elektor w dobroci swej czekał z wykonaniem wydanego już i zatwierdzonego wyroku... Teraz zaś, gdy już w Polsce z łaski Proroka panuje najjaśniejszy i najpotężniejszy sułtan Mahomet IV...

— Łżesz psie podły! — wrzasnął Klatt i rzucił się ku niemu.

Żołnierze obstąpili wnet Knopfa, który się cofnął i dodał, śmiejąc się ciągle:

— Waćpanu to dziwnem się być zdaje... bo przez te mury nie dochodzą wieści... Ano, ja z miłości chrześcijańskiej dla pobożnych pątników, nie łgarstwa, lecz prawdę im mówię... W Kamieńcu i na całem Podolu półksiężyce świecą, a najjaśniejsza Rzeczpospolita obłożona haraczem... Sam Król już pono w kaftanie poddaństwa chadza...

— Milcz! milcz! — krzyknął Jankowski.

— Milczę już — odparł Knopf — bom już

wasze zasmucone serca ucieszył... A teraz iść pora na pana Kalksteina-Stolińskiego się patrzeć... cha! cha!

Dał znak. Żołnierze otoczyli więźniów i wywiedli ich na wielki dziedziniec forteczny.

Była noc jeszcze. Na chmurnem niebie nie przebijały się brzaski; wilgotna mgła spadała z góry i przenikała zimnem do kości. Wśród niej łamało się światło pochodni, trzymanych przez żołnierzy, rozszerzało się ponure, otoczone smugami czarnego dymu. Rozstąpiły się szeregi żołnierzy, aby przepuścić Jankowskiego i Klatta jak najbliżej miejsca stracenia. Przerażone ich oczy ujrzały przed sobą nizkie rusztowanie, na którem rozesłano białe płótno; w pośrodku stał stołek bez poręczy, a obok widniała barczysta postać kata, z obnażonemi po łokieć rękami, które wspierał na rękojeści wielkiego miecza. Naprzeciw po drugiej stronie zasiadła komisya. Był tam i sam Görzke i Kalnein i Leschwang i powolny rozkazom Elektora, urzędowy obrońca Kalksteina, Köppner i inni. Ich twarze zdały się Jankowskiemu blade i przerażenia pełne. A długo patrzeć na nie nie mógł, bo oto od strony fortecy ozwały się głosy, śpiewające psalmy i zamajaczyła w górze, niesiona w krześle postać Kalksteina. Obok niego szedł z krzyżem w ręku dyakon Schultze.

Wśród zgromadzonych stała się cisza ogromna.

Umilkł śpiew; słychać jeno było ciężkie kroki żołnierzy dźwigających skazańca.

Stanęli wreszcie, Jankowski nie mógł w tej chwili widzieć twarzy Kalksteina, bo strażnicy podnosili go teraz z krzesła i podprowadzali ku stołkowi. Dojrzał jeno zgarbione plecy w szarym kaftanie, głowę osiwiałą, naprzód podaną, i nogi, które ciągnęły się za nim bezwładne, jak kłody.

Usadzono go i rozstąpiono się nagle. Kalksteina twarz, oświetlona czerwonawem światłem pochodni, była teraz widoczną. Bardzo wychudła, miała wyraz wielkiego ukojenia. Oczy duże, pełne blasku, patrzyły śmiało przed siebie; zatoczyły koło, obejmując całe otoczenie jednem spojrzeniem i zatrzymały się dłużej na postaciach sędziów.

Görzke wstał, dwóch żołnierzy podeszło ku niemu z pochodniami, a on przy świetle czytać począł wyrok...

W twarzy Kalksteina ani jeden muskuł nie zadrgał. Słuchał spokojnie, a nawet zdawało się, że przy ustępie, w którym były wyliczone jego zbrodnie i piętnowano go, jako zdrajcę, fałszerza i oszczercę, usta skazańca złożyły się do uśmiechu. Natomiast głos Görzkego nie miał zwykłego ostrego tonu, był jakby niepewny i chwilami drżał.

Skończyło się czytanie i zaległa cisza.

Kalkstein głowę podniósł wyżej, wyprostował się, jakby dźwignąć się chciał i głosem pewnym,

donośnym, patrząc sztywnie na swoich sędziów, którzy siedzieli przed nim nieruchomo, zapytał:

— *Ist's nicht mehr?*

Odpowiedzi nie było, tedy on zwrócił się ku oprawcy i ręką dał znak. Chciał snadź, aby już rychlej był koniec.

Ale teraz przystąpili do niego dozorcy więzienni, aby mu oczy zawiązać i kaftan zdjąć.

Kalkstein energicznym ruchem ręki odtrącił ich. Oni zaś odstąpili bez oporu, a skazaniec śpiesznie zrzucił kaftan i kołnierz koszuli odwinął, obnażając szyję i ramiona...

W tym momencie przystąpił dyakon Schultze i podał mu krzyż. Więzień pochylił się, ucałował kornie, a potem oczy wznosząc do góry, zwolna kreślił znamię odkupienia na piersiach...

Przystąpił kat, podniósł miecz i zamierzył się... Ale wnet go opuścił. Głośny wydał rozkaz: potrzebował innego niższego stołka, Kalkstein był za wysoki, mistrzowi było niezręcznie...

I znowu moment ciężkiego oczekiwania; w całem zgromadzeniu skazaniec był najspokojniejszy. Schultze klął obok niego i zaczął odmawiać psalm:

De profundis clamavi ad Te Domine...

A Kalkstein powtarzał za nim każde słowo wyraźnie. Oblicze jego wyrażało w tym momencie zupełne skupienie, jakby oderwanie się od wszystkiego, co ziemskie. Oczy utkwił przed siebie w dal,

nie spoglądając już na nic i na nikogo, cały zwarty w jednem uczuciu i w jednej myśli... Postać jego przetworzyła się, rozjaśniła, taka niemocna i złamana, a taka silna i niezwalczona duchem.

Jankowski patrzył na niego z podziwem i czcią.

— On jest teraz — myślał — wyzwolony ze wszystkiej nędzy ludzkiej... Poczucie męczeństwa daje mu moc...

Przyniesiono niższy stołek i znowu dźwignięto Kalksteina. I znowu przez chwilę widział Jankowski jego zgarbione plecy, tył głowy, pochylonej naprzód i wlokące się za nim nogi, jak martwe kłody.

Mistrz uznał, że było dobrze... Przymocowano więźnia do owego stołka, a kat teraz odstąpił nieco, w obie ręce chwycił miecz, podniósł go, moment mierzył.

— Żegnajcie!... — zawołał Kalkstein donośnie, obejmując w tym okrzyku ostatnim wszystkich ukochanych i blizkich i dalekich, i wszystkie swoje ziemskie pragnienia...

Padł cios ciężki a głuchy.

I na białe płótno, wśród strumienia krwi potoczyła się głowa... Obróciła się raz i drugi i jeszcze raz, jakby o własnej mocy. Była teraz blizko Jankowskiego, że mógł widzieć, jak poruszały się wargi szybko, drgając. Oczy rozwarte szeroko, zdawały się także poruszać. Zwróciły się ku Jankowskiemu, który na kolana padł, wzroku nie mogąc

oderwać od rozszerzonych źrenic tej krwawej głowy, w których lśniła ostatnia skra życia. Gasła zwolna, wzrok sztywniał, zasnuwał się mgłą... powieki teraz drgały tak, jak drgają skrzydła konającego motyla...

Jankowski zawarł oczy i przypadł twarzą do ziemi, nie mogąc dłużej znieść widoku kurczowych drgań tej konającej głowy.

Gdy podniósł się, nie było już na płótnie ani głowy, ani zbroczonego tułowia, który wnet zepchnięto do przygotowanej skrzyni drewnianej.

W głuchem milczeniu rozchodzono się... Za chwilę na dziedzińcu pozostali jeno Klatt i Jankowski, jak zmartwiali, nie zdolni słowa przemówić.

Wtem podbiegł ku nim Knopf.

— Ano — rzekł — «zabawa» skończona... Zabierajcie się precz... Mieliście już dosyć elektorskiego chleba; miłościwy pan dłużej was gościć nie będzie...

I pchał ich ku wyjściu.

Dał znak. Otwarła się ciężka brama, i za moment obaj znaleźli się po za nią, wolni, na swobodzie.

Szary był świt. Mgła spadała kroplami dużemi, które marzły w powietrzu. Klatt dygotał szczękając zębami, a Jankowski nie czuł zimna, lecz ogień w piersiach i żar w mózgu.

Błędnem okiem potoczył w koło. Żadnego bla-

sku, żadnego celu, gdzieby wzrok spocząć mógł, jeno wszędy jednostajna, szara, ciężka mgła, całe morze mgły...

— Kędy iść?... — rzekł do siebie. — To krwawe wspomnienie powlecze się wszędy za mną... Ostatni obrońca swobód pruskich już padł... A tam? a tam?...

Począł jęczeć głucho:

— Och! och!

Porwał Klatta za ramię i powtórzył gwałtownie:

— A tam?... Jeśli to prawda, co mówił ten Knopf, jeśli tam także pogrom... to co?...

Klatt głosem twardym odparł:

— Damy głowy, jak on...

I poczęli szybko przedzierać się przez mgły.

VI.

IN HOC SIGNO

— Pomógł Polakom mój proch, którym im do Kamieńca posłał — szydził Fryderyk Wilhelm — pomógł im w powietrze wylecieć...

A gdy mu o traktacie buczackim doniesiono, już się nie posiadł z radości wściekłej. Do późnej nieraz nocy Waldecka trzymał u siebie i zwierzał się przed nim ze swego ukontentowania. To znów wołał Jerzego Derfflingera, który od pewnego czasu największe kurfirsta posiadł łaski i głównym wodzem całej Brandenburskiej armii mianowany został.

— To jest żelazny człek — mówił o nim Fryderyk Wilhelm - wolę go od Waldecka, który polityczny, ale miękki, choć czasem uparty rozum ma...

I spoglądając na Derfflingera, śmiał się.

— Lubię cię — mówił — bardzo cię lubię,

chociaż szpetny jesteś, jak stary djabeł, któremu piekło się sprzykrzyło...

Rzeczywiście Brandenburski wódz miał twarz chudą i zawsze tak skrzywioną, jakby gorycz łykał. Twarz tę powlekała czarna, twarda skóra, na której włosy róść nie chciały, jeno wąs skąpy, rzadki, zwisał ponad górną, bezkrwistą wargą; pod dolną zaś nieco wydętą, również mała bródka, którą Elektor kozim ogonkiem zwał. W oczach, jakby znużenia wyraz; zapalały się one rzadko, a wówczas miały błysk zielonawy, jak u kota. Wysoki i chudy, trzymał się prosto, a pancerza i zbroi nigdy nie zrzucał, aby, jak mówił, nie odzwyczajać się.

Lubił go za to Elektor i lubił jego mowę, która była twarda, urywana a krótka.

— Cóż ty myślisz z Polską... co? — zagadnął go raz Elektor w pierwszych miesiącach R. P. 1673.

Derfflinger ramionami dźwignął.

— Sama się zje... — odparł krótko.

Fryderyk Wilhelm w dłonie klasnął.

— Tak-że mi mów! — zawołał. — Bo widzisz, minister mój, hrabia Waldeck... powiada...

Zwrócił się do Waldecka, mierząc go szyderczym wzrokiem:

— Ty mówisz... że co?

Minister, nawykły już do szyderstw kurfirsta, odrzekł spokojnie:

— Powiadam, że tam teraz poczyna być le-

piej... Sromota buczacka obudza w narodzie duch... Większość tam już woła: nie trzeba nam kłótni, jeno wojny z Turkiem!... Chęć odwetu za pogrom, coraz gorętsza. Głowa malkontentów, Prażmowski prymas, zawarł już oko na wieki, a inni, skłonniejsi do zgody, gromadzą się przy Królu... Sam hetman Sobieski...

Elektor, ciągle gwałtownie rzucał się na krześle, na Derfflingera spoglądał i wołał szyderczo:

— Słysz! słysz!... co on prawi?

Na Sobieskiego nazwisko nogą tupnął z taką wściekłością, że aż syknął z bolu.

— Hetman! — krzyknął — on już trup!... Wszak wiesz chyba, co o nim w sejmie mówią, że Kamieniec zdradą sprzedał i z jenerałem podolskim Potockim milionami się podzielił... Wrzeszczy szlachta!...

— Zmilkną te plotki... — wtrącił spokojnie Waldeck.

— Nie zmilkną! — wrzasnął kurfirst — nie zmilkną... już ja w tem... Sobieski infamisem będzie i ujedzie precz... już ja w tem!...

I tak się oburzył, że się plecami do Waldecka odwrócił i jak zwykle, aby uspokoić się, począł mówić o Kalksteinie.

— Cha! cha!... Waldeck i tym panem Stolińskim mnie straszył... Prawił mi ostrożnie! nie można głowy mu brać, bo najjaśniejsza Rzeczpospolita oburzy się, wojnę wyda, a Stany pruskie wrza-

sną o prawa swoje... No i co? Kalksteina głowę już dawno robaki zgryzły, ja z Polską w najlepszej zgodzie, pomagam jej... cha! cha! pomagam prochem, a Stany pruskie... sza! jakby ich nie było...

Zamilkł, a po chwili ręką zamachnął w powietrzu i dorzucił:

Ten Kalkstein nie jedną, ale miał sto głów... I ja je uciąłem!... Padł, i następców nie będzie miał, nie! Ona myśli, ta jego wdowa, że dzieci swe chować będzie... cha! cha! Ja dobry jestem... wychowam je sam... służyć mi muszą.. Derfflinger, prawda? co? Służyć będą u ciebie... w szeregach...

Stary wódz w milczeniu się skłonił.

Elektor zaś za moment wrócił znów do spraw polskich. Głośno myśląc, usiłował sam siebie utwierdzić w przekonaniu, że Waldeck żadnej racyi nie miał.

— Gdzie tam będzie zgoda? — powtarzał — gdzie? Umarł prymas.. są inni. Longueville zginął, inni kandydaci wyrośli: Kondeusz, albo może książę Conti, albo nawet Turenniusz... albo jeszcze kto mniejszy... Walka o tron trwa, a to główna rzecz... Tworzą się ciągle związki, konfederacye konwokacye tfu!... gdzie tam zgoda, gdzie?

— Miłościwy panie wtrącił Waldeck — mądrość Waszej Elektorskiej Mości przenika wszystko.. Jako sługa wierny, obowiązany wszakże jestem

uwagę zwrócić, że ostatnie doniesienia zapowiadają tam zwrot... i że Sobieski...

Kurfirst znowu się rzucił i przerwał:

— Sobieski... ciągle Sobieski! — mruknął ze złością.

Ale teraz odwrócił się ku ministrowi, opasłą twarz na ręku oparł i wytrzeszczone gniewem, a błyszczące szydersko oczy w jego oblicze utkwił.

— No, mów — dodał — jaki zwrot?...

Waldeck wiedział, że wywoła burzę, ale postanowił wszystko rzec. Ciągnął więc dalej:

— Zdawało się, że po utracie Kamieńca i haniebnym pokoju buczackim, oddającym Turkowi kraj ogromny, zdawało się, że Rzeczpospolita upadnie pod brzemieniem tej klęski...

— Nie zdawało się — wtrącił Elektor — ale tak jest!...

— Otóż nie! — śmiało zaprzeczył minister. — Sobieski zdołał z nieliczną garstką wojska dokazać cudów. Poszedł na czambuły tatarskie...

— Cha! cha! — zaśmiał się Fryderyk Wilhelm — no i co?

Waldeck zwrócił się ku Derfflingerowi.

— Badaliśmy obaj pilnie plan tej wyprawy... Niech Derfflinger powie... to istny cud...

Stary wódz odchrząknął, skrzywił się, ale potwierdził:

— Tak, to dziwna rzecz...

— Szli Tatarowie z pode Lwowa trzema za-

gonami ciągnął Waldeck. — Sobieski rozbił naprzód Nuraddyna i dwa tysiące jeńców w jasyr wziętych uwolnił. Uderzył następnie na kosz Dziambetgereja i pogromił go na głowę, odbijając 20.000 jeńców; potem jeszcze raz pobił uciekającego Nuraddyna i resztę ogromnego jasyru mu wziął. Wreszcie Adżigerej z dziesięciu tysiącami ordy za Dniestrem stał... Ku niemu tedy zwrócił się hetman... Miał jeno półtora tysiąca wojska, a jednak z hord Adżigerejowych prawie nie ostało śladu... Hetman przewidział ich pochód i rozgromił...

Kurfist zębami zgrzytał, ale milczał. Stały przy nim na stole różne kubki i naczynia cenne, brał je po kolei i na ziemię ciskał. Wreszcie jednym zamachem ściśniętej pięści zgarnął je wszystkie i precz rzucił, że się z brzękiem i dźwiękiem rozleciały po komnacie.

— A z tego wszystkiego — wybuchnął — taka oto jeno korzyść!... czerepy!

Waldeck mówił wszakże dalej:

— Niech Derfflinger powie, czy ta wyprawa, to nie cud?... A korzyść jest ta, że w całym narodzie obudził się rycerski duch... że tysiące i tysiące wyzwolonych z jasyru opiewają dziś Sobieskiego sławę... że on swym mieczem nietylko wrogów, lecz i oszczerstwa przeciw niemu szerzone pogromił i zdeptał... że opromienia go taka sława, przed którą owe jadowite gadania pierzchają w cień!...

Waldeck mówił nieledwie z zapałem, a szybko bardzo, czuł bowiem, że mu Elektor przerwać chce.

Fryderyk Wilhelm obu rękami wsparty na poręczy krzesła, coraz bardziej się dźwigał, pochylał się ku ministrowi, pożerając go nienawistnym wzrokiem. Ale się jeszcze miarkował.

— No, kończ — syknął przez zęby — kończ a rychło!

— Nie wiele dodać mam — odparł Waldeck — wiem, że teraz Sobieski spisał swoje *consilium bellicum*, w którem doradza, iżby wszystkie chrześcijańskie mocarstwa i wszystkie chrześcijańskie ludy zawarły wielką przeciw półksiężycowi ligę...

— Cha, cha! — zaśmiał się Elektor — na papierze liga przeciw największej potędze... cha! cha!...

— Ta liga będzie... być musi! — rzekł Waldeck. - - Przystąpi do niej i Cesarz i Papież rzymski i Król arcychrześcijański i Wenetowie... i Wołosza i Multany... Wówczas zaś i Prusy...

Elektor, który w ciągu tej mowy ministra coraz się dźwigał z krzesła, wydźwignął się przy ostatnich słowach i na chwiejnych, opuchłych nogach stanął. Jedną ręką o stół się wsparł, a drugą laską wygrażał. Na policzki wybiegły mu ceglaste rumieńce, wzrok iskry ciskał, chrypliwy chrzęst wychodził z piersi przez wpół otwarte zsiniałe wargi:

— Ty... ty... Waldeck! — wyjąkał po chwili — ty do Prus nie mieszaj się! to już ja wiem, co Prusom czynić... A ty idź... idź precz!... tfu!

I za odchodzącym zwolna ministrem obelżywymi wyrazami ciskał.

Odtąd hrabia Waldeck w niełasce był, lecz słowa jego pozostały w Elektora pamięci, psując mu radość z odniesionych tryumfów. Cieszył się jeszcze czasem, gdy go dochodziły wieści o niesnaskach w Rzeczypospolitej, o ciągłych knowaniach malkontentów, o groźnej postawie potęgi ottomańskiej, a chwiejnych obietnicach pomocy zagranicznych mocarstw.

— Nie będzie ligi, nie będzie!... — mruczał uradowany.

I jeszcze się cieszył, gdy mu znać dano, że Husein-basza stanął obozem pod Kamieńcem, że w Chocimiu gospodarowała już turecka załoga, że Halil-basza z niemałą siłą pod Jazłowcem jest.

— Teraz — mówił do Derfflingera — sam sułtan połączy się z hanem i Doroszeńkiem i będzie koniec...

Stary wódz ruchem głowy potwierdzał, lecz nie mówił nic, chmurny.

Spochmurniał też i kurfirst, gdy nadeszła wieść, jako hospodarowie wołoski i multański, Petryczajko i Ghika zgłosili się z gotowością złożenia hołdu Rzeczypospolitej.

— To źle! — myślał — jedna szczęśliwa wikto-

rya, a oni przystaną do Rzeczypospolitej... Ten Waldeck, to jest wściekły pies!...

I z coraz większym niepokojem miał wzrok zwrócony na Chocim, kędy szły już Sobieskiego hufce.

Dnia 20 października stanęły one pod wsią Łuką nad Dniestrem i wnet poczęto budować most dla przeprowadzenia armat na drugą stronę i konnicy, co z niemałym przychodziło trudem, albowiem deszcze lały srogie, od których woda przybrała i brody pogłębiły się. W początkowej przeprawie dużo ludzi, wozów i koni potonęło i hetman z wielkiem nieukontentowaniem swojem i żołnierzy musiał przemarsze wstrzymać. Wszystkim było śpieszno na tamten brzeg Dniestru, kędy widniały stogi siana i żywności było poddostatkiem, a po tej stronie kraj był ogołocony i wielka panowała drogość. Piechota przeto osłabła i siła padło chudych podjezdków na szlaku. Niebawem nadbiegli panowie hetmanowie litewscy, pozostawiwszy wojsko swe za Buczaczem. Nadbiegli w bardzo złych humorach, użalając się na wyniszczenie wojska. Pierwszy, hetman wielki Pac, deklarował, że dalej nie pójdzie i na Podolu da swej armii wypoczynek ze dwa albo trzy miesiące. Za jego przykładem poszedł hetman polny litewski Michał Kazimierz Radziwiłł, obaj zaś poczęli skargi wywodzić, jako wojsko koronne idąc naprzód, wszyst-

kie furaże spożywa, Litwinom pozostawiając pustynię...

— Idźcie naprzód! — wołał Sobieski — idźcie i rozkazujcie, ja się pod waszą władzę poddam ochotnie, byleśmy razem szli ku odparciu wroga!

Już teraz zgoła przetworzony był hetman i gorzał rycerskim zapałem. Jak liście jesienne, odpadły od niego wszelakie myśli ambitne i plany, pragnął jeno pomścić sromotę buczackiego traktatu, zdjąć hańbę haraczu z Rzeczypospolitej. Wymowne jego, jakby natchnione słowa, oraz do poświęceń gotowość, działały też i na zatwardziałych Litwinów, którzy coraz bardziej w swym oporze miękli, gdy oto dnia jednego rozbiegła się po obozie wieść, że poseł sułtański, Hussein-aga, jadący do Króla, w kilkadziesiąt koni przybywa.

Sobieski postanowił dać mu wspaniałą publiczną audyencyą i wysłał konwój na spotkanie. W obozie zaś, przed namiotem hetmańskim, stanęło co przedniejsze rycerstwo w szyku, a na czele hetmanowie, czterech kasztelanów i cała starszyzna wojskowa.

Nad wieczorem deszcz przestał straszyć i wyjaśniło się niebo, gdy ozwały się trąby i kotły i z wielkim szumem a hukiem wpadło w pośrodek rycerstwa polskiego kilkanaście koni tureckich, torując drogę sułtańskiemu posłowi.

Teraz na czoło orszaku wysunął się wielki

hetman koronny. Siedział na dzielnym rumaku, w rzędzie bogatym; sam jednak, bez zbroi, odziany był skromnie; miał na sobie żupan czarny i takiż płaszcz krótki futrem podbity, na głowie nizki kołpak sobolowy; w prawicy zaś dzierżył buławę. Za nim stanęli giermkowie, niosąc na kopiach znamiona jego władzy: skrzydła orle, buńczuk i tarczę herbową.

Równocześnie ukazał się Hussein-aga w orszaku najprzedniejszych. Jechał zwolna na koniu białym jak mleko, przybranym wspaniale, w rząd złocisty. Po nad jego głową powiewała chorągiew szkarłatna, bardzo szeroka, szeleszcząc i błyskając od czasu do czasu złotym półksiężycem i złotym po nad nim wokół napisem tureckim.

Hussein-aga głowę wzniósł wysoko, oczy utkwił w niebo i jechał tak, jakby nikogo nie widział. Z pod wysokiego turbanu, który połyskiwał złotem i dyamentami, widniała twarz chuda, surowa, okolona siwymi włosami i bardzo długą, białą brodą, którą wiatr targał i pasmami rozwiewał.

Tuż za nim jechał rycerz, cały w zbroję zakuty, ze spuszczoną przyłbicą, i dźwigał szkatułę wielką, ze srebra ulaną.

Stanął wreszcie ten pyszny stary dziad naprzeciw Sobieskiego. Oblicze hetmana wyrażało w tym momencie tłumiony gniew i wielką boleść. Mimowolnie Sobieski szarpnął konia, który cofnął się i na zadnich nogach przysiadł, wspiął się w górę,

a potem, hamowany silną ręką, poskoczył krok jeden i stanął jak wryty.

Hetman uchylił nieco buławy i rzekł:

— Witam dostojnego posła najjaśniejszego i najpotężniejszego Cesarza...

Zagrzmiały kotły, a Hussein podniósł się w strzemionach i rękę prawą na piersi położył.

Gdy zaś uciszyło się, odparł:

— Jadę do najjaśniejszego Króla polskiego, któremu oby Najwyższy zdrowia dobrego użyczył. Wielki wezyr — niech mu będzie cześć — rozkazał mi, abym ci się opowiedział, hetmanie, gdybym cię napotkał, co też czynię...

To mówiąc, opuścił nieco głowę i z pod brwi siwych, nastrzępionych, utkwił iskrzące się nienawiścią a chmurne spojrzenie w postać hetmana.

Ten zaś odrzekł:

— Mam od najjaśniejszego Króla i pana mego pełnomocnictwo, iżbym od ciebie ekspedycyę dla niego odebrał.

Tu dał znak, a z szeregów wystąpił jeden ze starszyzny, za nim zaś pacholik strojny, niosący na tacy wielkie, pieczęcią podkanclerską zamknięte pismo.

Ale Hussein-aga nie spojrzał nawet na nie. Po jego wyschłem obliczu przemknął uśmiech szyderczy.

— Dla ciebie, hetmanie — przemówił — nie mam nic!...

A wskazując powolnym ruchem na ową szkatułę srebrną, którą rycerz w zbroję zakuty wiózł, dodał hardo:

— Od najjaśniejszego i najpotężniejszego pana mego wiozę prezent... lecz jeno dla polskiego Króla i jemu do rąk własnych oddać go mam wraz z listem, w którym jest wielkie i sławne imię pana mego... Sam jeno Król wasz otworzyć je może!

A na te pełne pychy słowa, przebiegł dreszcz przez szeregi polskiego rycerstwa... dreszcz zgrozy i oburzenia. Zrozumieli wszyscy. Obłożonej haraczem Rzeczypospolitej Król, miał otrzymać kaftan poddaństwa!...

Sobieski cofnął się i zbladł. W momencie tym spotkało się jego spojrzenie z chmurnym wzrokiem agi, starło się z nim, wyzywające, dumne i siało iskry...

— Powiedz — spytał — co wieziesz?...

Na to zaś aga podniósł oczy w górę i odparł zwolna a stanowczo:

— Nie mogę...

Hetman dał znak. Zabrzmiały znowu kotły i bębny i zerwała się wielka obozowa wrzawa, a w niej ginęły słowa gniewu i przekleństwa, wymykające się z ust upokorzonego polskiego rycerstwa.

Hussein-aga ruszył się z miejsca i tym samym

ordynkiem odjechał zwolna do przygotowanego dla siebie namiotu.

— Pomścimy tę zniewagę! — wołał Sobieski.

A teraz wszyscy bez oporu wołali za nim:

— Pomścimy!...

I stało się, że nagle zjednoczyli się najzapamiętalsi do niedawna wrogowie. Nie było już ani malkontentów, ani tych, co królewskie tworzyli stronnictwo, ani tych, co Kondeusza lub Lotaryńczyka królem mieć chcieli, byli jeno obrońcy zagrożonej i pohańbionej Rzeczypospolitej, idący zgodnie pod jednym wodzem, zagrzani rycerskim Sobieskiego duchem.

Po ciężkiej przeprawie przez Dniestr, przez bagna i błota, i przez okropne bukowińskie puszcze leśne, wśród srogiego deszczu, wysunęła się armia polska na trakt jasski, i dnia 9 listopada stanęła kawalerya przed okopami tureckimi, na pół strzelania z działa.

Poza okopami, bardzo silnymi i obszernymi, w których w r. 1621 bronili się zwycięsko Polacy przeciw trzykroć silniejszym wojskom Osmana II, siedział teraz zuchwały bejlerbej sylistryjski Hussein basza, pewny zwycięstwa, ze swą trzydziestotysięczną armią, nie licząc pięciu tysięcy Wołoszy. Na każde zawołanie mógł mu przybyć z pomocą z dziesięciu tysiącami żołnierza, Halil basza z Kamieńca, a od pól cecorskich ciągnął

już ku niemu ze znacznem wojskiem Kaplan, basza Aleppu.

Ale Hussein nie przypuszczał nawet, aby mógł potrzebować posiłków. Z dumą objeżdżał swój olbrzymi obóz, osłonięty okopami, głębokiemi fosami i urwistym jarem, stanowiącym brzeg Dniestru. Most zwodzony nad przepaścistym wąwozem łączył obóz z zamkiem, osadzonym załogą. Z wieży południowej tego zamku dano pierwszy znak strzałem armatnim, gdy jazda polska ukazała się pod okopami. A potem ryknęło odrazu dwadzieścia cztery armat z okopowych bateryi.

Sobieski działał teraz z ogromnym pośpiechem. Trzeba było co rychlej uszykować wojska i stoczyć walną bitwę, zanimby mógł od Cecory nadciągnąć basza Aleppu. Umieściwszy tedy chorągwie jazdy opodal w Dąbrowie, zajął dawne okopy Osmana II i tam wprowadził działa, tabory i piesze pułki, które zwolna nadciągały.

Dnia 10 listopada wszystko już było w bojowym szyku. Cały obóz turecki w półkole opasała armia polska. Na prawem skrzydle od wyżyny dniestrowej stanął pułk jezdny Bidzińskiego, koronnego strażnika, dalej Jabłonowskiego wojewody jazda, a za nim wielki Sobieskiego pułk, jezdne i piesze chorągwie, otoczone dragonami. W pośrodku półkola stanął hetman polny Dymitr Wiśniowiecki ze swymi husarzami i pancernymi, i królewskiemi chorągwiami, a lewe skrzydło armii

koronnej zamykali Potoccy, Jędrzej kijowski i Szczęsny sieradzki, wojewodowie. W stronie zachodniopółnocnej, ku południowi zwrócona, stanęła Litwa; prawem jej skrzydłem dowodził hetman wielki Michał Pac, lewem hetman polny litewski Radziwiłł.

Nieprzyjaciel jednak pola dać nie chciał i nie wychodził z okopów, jeno ciągle na harce wywabiał. Z wałów krzyczeli Turcy ku naszym:

— Haracz! haracz!

I kompanie strojnych spahów wyjeżdżały rysią, ścierały się z harcownikami i wnet się cofały, usiłując ich wciągnąć dalej ku fosom, kędy ukryci czyhali jańczarowie.

W takich ochotniczych walkach ginęło nie mało. Padł Andrzej Modrzewski i Tomasz Zaleski, padł jenerał Dannemark i dzielny Motowidło pułkownik kozacki, który zawcześnie nad ordynans, walką zagrzany, już się był na wał turecki wdarł, lecz przemagającą obskoczony siłą, śmierć poniósł.

Dnia tego do późnej nocy ciągnęła się w namiocie Sobieskiego walna narada wojenna. Już było teraz rzeczą widoczną, jako nieprzyjaciel pola dać nie myślał, takimi harcami chcąc znużyć polskie siły i w oczekiwaniu, że gdy Kaplan basza z pod Cecory nadciągnie, wówczas armia polska we dwa ognie wzięta, do szczętu przepadnie.

Tego obawiając się niektórzy, radzili cofnąć

się od oblężenia, ale Sobieski zdusił odrazu te głosy.

— Tu raczej wszyscy polegniem! — wołał — lecz nie odstąpimy... dla nas odwrotu już niema! Czekać nie możem, to prawda, lecz jutro, skoro świt pójdziemy do szturmu...

A na to hetman Pac ramionami dźwignął, powstał i rzekł:

— To szaleństwo! okopy tureckie nie do zdobycia, a siły dwakroć większe... Moich żołnierzy na stracenie nie dam i jutro każę trąbić do odwrotu...

Sobieski porwał się z miejsca i patrzył na Paca roziskrzonym wzrokiem. Starły się ich spojrzenia, dawna nienawiść ożyła.

Ale hetman koronny zmiarkował się wnet.

— Nie — rzekł spokojnie — nie uczynisz tego, mości hetmanie litewski! Nie uczynisz... aby potomność nie mogła powiedzieć: miałabym wolną ojczyznę, gdyby Pac nie nakazał odwrotu! Nie uczynisz, bo lepsza stokroć śmierć pod tymi wałami, rycerska, niźli sromotny zgon wśród bukowińskich lasów i trzęsawisk...

— Lepsza! lepsza! — wołano.

A tu już hetman polny Radziwiłł i Sapiehowie deklarowali, że z Sobieskim pójdą do szturmu.

— Prowadź nas — mówili — na śmierć lub zwycięstwo!

Hetmana oczy zabłysły radością i nie patrząc

już na Paca, który zakrzyczany siadł ciężko, niechętnie mrucząc, zwrócił się ku innym:

— Bóg da zwycięstwo! — zawołał z ogniem — jutrzejszy patron Marcin, święty turoneński, który także rycerzem był, okryje nas swą opieką, jak płaszczem, i walczyć będzie z nami!

— Chyba uczyni cud! — wtrącił Pac.

— Uczyni! — rzekł z mocą Sobieski. — Azali już w tem nie widzicie cudu, że multański i wołoski hospodarowie, Ghika i Petryczajko opuścili obóz turecki z całą swą siłą i do nas przystąpili? Zaliście nie widzieli, jak u moich stóp złożyli wszystkie chorągwie swoje z łbem żubra i półksiężycem ottomańskim? Zali czyniliby to, gdyby po naszej stronie nie przeczuwali zwycięstwa?

Podniósł oba ramiona do góry i zawołał głosem wielkim:

— Za wiarę świętą, za krzyż Chrystusowy, za ojczyznę miłą, jutro na okopy, do szturmu!

— Do szturmu! — powtórzono i na tem skończyła się narada.

Sobieski pozostał sam, wzburzony. Wiedział on dobrze, że niebezpieczeństwo szturmu było srogie, że klęska poniesiona pod okopami tymi, byłaby śmiertelnym dla Rzeczypospolitej ciosem, zarówno jak zwycięstwo stałoby się jej podźwignieniem. A im bardziej tego tryumfu pragnął, tem silniej w sobie był wzburzony i chwilami niepewny.

I jeszcze tej nocy, przywoławszy spowiednika swego, O. Przeborowskiego, Jezuitę, szukał w jego pobożnych słowach a szczerem wyznaniu win swoich, pociechy...

— Grzeszyłem, Ojcze — mówił — grzeszyłem pychą i nienawiścią i gniewem... Za krzywdy mi czynione, chciałem brać pomstę... Ale oto w tym momencie, wszystkie moje żale, wszystkie krzywdy, jakich doznałem, składam w Chrystusowe rany!... Jeżeli mi Pan Najwyższy zwycięstwo da i pozwoli oswobodzić ojczyznę miłą, to ślubuję, że odtąd pracować jeno będę ze wszystkich sił, iżby tam, gdzie była waśń i bunt, zapanowała zgoda... Wyrzekam się odtąd knowań wszelakich, żałuję, z głębi duszy żałuję, iżem stawał do walki przeciw Królowi... chociaż powody...

— Nie żywisz do niego żalu w sercu swem? — spytał żywo ksiądz.

Sobieski moment milczał, a potem:

— Nie! — rzekł stanowczo. — Zapominam o wszystkiem... przebaczam tak, jakbym pragnął, iżby mi Bóg przebaczył... Życzę, owszem, iżby w szczęśliwej Rzeczypospolitej panował szczęśliwie i żył król Michał...

A gdy to wyrzekł hetman, dał się słyszeć huk szalonego wichru i szum nawałnicy śnieżnej, tak gwałtownej, że namiot zakołysał się cały. Silny podmuch z gwizdem i szelestem wpadł do wnę-

trza i nagle świecznik, stojący na stole, zachwiał się i zgasł...

Trwało to jedno mgnienie oka. Sobieski przerażony, zbladły, spoglądał na Przeborowskiego, który wstał z krzesła, oniemiały.

— Co to było?... — spytał po chwili hetman. — Tak mi się zdało, jakby siła jakaś nieziemska przeleciała tu...

Ksiądz oczy wzniósł w górę, ręce na piersiach złożył i rzekł z cicha:

— Król we Lwowie niemocen... Kto wie?... Módlmy się!... [1])

I ukląkł, a za nim klął hetman i zaczęli półgłosem odmawiać modlitwy.

Na dworze padał gęsty, wilgotny śnieg; zimno było przenikliwe, ale przez całą noc ruch w obozie nie ustawał. Sobieski bowiem przekonawszy się, że artylerya, zbyt daleko ustawiona, nie razi dość silnie nieprzyjaciela, polecił był przenieść baterye bliżej. Kopano tedy pod nie ziemię i ciągniono ciężkie działa przez zaspy, błota i parowy na nowe pozycye z wysiłkiem ludzi i koni.

Jankowski, który już oddawna z całą swą drużyną w obozie był, a dotychczas daremnie w ochotniczych harcach ze spahami śmierci szukał, rzekł do Klatta:

---

[1]) O tej porze król Michał już nie żył. Umarł tego samego dnia, 10 listopada, rano.

— Byleby w tej ciężkiej robocie nie ustano... Świtaniem będzie pewnie szturm...

— Dałby Bóg co rychlej — odparł Klatt — bo już rozłażą się szemrania... Kostnieją ludzie w tem zimnie...

— Patrz! — zawołał Samuel — hetman gońców wysyła...

Rzeczywiście, Sobieski stał już przed namiotem i wydawał rozkazy. Na wszystkie strony rozjeżdżali gońce, niosąc do pułków i pocztów wszystkich ordynanse hetmańskie.

Noc jeszcze była, gdy skończono ustawiać działa i wnet na dany przez Kątskiego znak, rozpoczęła się kanonada. Jakby się otchłanie podziemne rozwarły, taki stał się huk i taki przerażający blask rozświetlił nocne ciemności.

A w obozie tureckim zakotłowało się jak w mrowisku. Dziki wrzask pohańców: Ałłach! Ałłach! mieszał się z hukiem dział... Powietrze stało się naraz duszne, pełne skier i dymu.

Na moment, gdy owe dymy wiatr rozwiał, ukazywał się szary, chmurny świt... Poczynał się dzień św. Marcina.

Sobieski dał hasło i działa grzmieć przestały. Szykowały się już do boju chorągwie i jezdne i piesze przed hetmańskim namiotem. Hetman stanął pośrodku i szablę wydobył. Podniósł głowę; oblicze jego zdawało się płonąć, tyle w oczach było blasku, tyle siły w wyrazie...

I głosem donośnym krzyknął:

— Teraz czas uderzyć!

Stała się nagle wśród szeregów uroczysta cisza; każdy dech zaparł w piersiach... jeno szczękała broń i szeleściały proporce.

A Sobieski wołał:

— Żołnierze! W tym obozie Rzeczpospolita cała!... W waszych ręku zguba jej lub tryumf!... Za wiarę świętą, ku podźwignieniu świątnic zbezczeszczonych, z nadzieją w Bogu, naprzód — ku zwycięstwu!...

Umilkł, a przez szeregi przebiegł szmer... Rozległy się wołania:

— Naprzód! naprzód!...

Lecz znowu cisza. Ukazał się ksiądz Przeborowski w białej komży, z krzyżem i relikwiami w ręku. Wszystkie pochyliły się głowy; znowu szczęknęły bronie i zaszeleściły proporce; on zaś wzniósł obie dłonie wysoko do góry i błogosławił znakiem Zbawienia chrześcijańskie zastępy, którym urągać się zdawały widniejące już w brzaskach dziennych, zatknięte wysoko poza okopami na złocistych namiotach zwycięskich wrogów, dumne półksiężyce.

Sobieski wzniósł szablę do góry.

— Szyję mi utniecie! — krzyknął — jeżeli ich teraz za kwaterę[1]) nie wezmę!.. Naprzód w imię Boże i Przenajświętszej Panny!...

[1]) Za kwadrans.

Uniesiony zapałem biegł sam pieszo, z szablą wydobytą, na czele swoich dragonów, ku fosom.

Ale podbiegli ku niemu oficerowie starsi i żołnierze, na klęczkach go błagając, iżby się nie narażał.

— W tobie nadzieja cała! — wołano.

Wśród tych, którzy klęczeli, rozpłomienione oko hetmana dostrzegło chudą, ponurą Jankowskiego twarz. On ku niemu oba ramiona wyciągał w błaganiu.

Na usta Sobieskiego wybiegł przelotny uśmiech; przypomniał mu się ten moment, gdy ten zuchwały rycerz do walki go zagrzewał, gdy mówił to głośno, co hetmanowi szeptało sumienie...

A teraz on wołał z innymi:

— Twoje życie naszem życiem! śmierć twoja naszym pogromem!...

Sobieski dosiadł tedy konia i stanął na strzał pistoletu od wałów.

Ale już zapał jego wszystkich ogarnął. Pomimo gęstych strzałów tureckich, regimenty Koryckiego i Żebrowskiego z prawego skrzydła, a z lewego pułki Dönhoffa, Tetwina i innych, skoczyły w ogień odważnie i prując się przez tłum jańczarów, darły się na wały. Z obu stron padały trupy, zapełniając fosy, a tu biegły coraz inne i coraz liczniejsze kompanie; młódź litewska ukazała się także na stokach... Słychać jeno wystrzałów huk, szczęk broni, głuchy łoskot spadających ciał, czasem

jęk, a nadewszystko tysiąca piersi zdyszanych rzężenie...

Prawie w mgnieniu oka, za kwaterę, jak rzekł wódz, a może za mniej, sztandary polskie powiały z okopów...

Sobieski na strzemionach się dźwignął. Głosem donośnym wydawał krótkie rozkazy, nie bacząc na strzały, które padały wokół.

Tymczasem p. Rzeczycki ze swą chorągwią i p. Marcin Cieński także ze swoją, zdobyli bateryę turecką i obrócili jej działa na Turków, którzy poczęli łamać się w popłochu.

Przez bramę południową wpadła teraz silna jazda Husseinowa; wypruła się przez szeregi przerzedzonej już nieco piechoty polskiej i z wielkim wrzaskiem pędziła wprost na Kątskiego baterye. Ale zoczywszy to strażnik koronny Bidziński i chorąży Skoraszewski, wnet zwrócili się ku pędzącym i atak wstrzymali, a gdy nadto nadbiegł wojewoda Jabłonowski z husarzami swymi, Turcy złamali szyk i z większym jeszcze wrzaskiem poczęli zmykać do obozu. Rzucili się za nimi husarze i na ich karkach tam wpadli. Przez liczne już w okopach wyłomy waliło się wojsko polskie kupą do Husseinowego obozu, kędy popłoch stawał się coraz większy. Przed wspaniałym namiotem swoim, w otoczeniu najprzedniejszych stał blady, przerażony berlerbej sylistryjski. Przygotowano mu już konia do ucieczki. Kary rumak w rzędzie złoci-

stym stał obok, wstrzymywany silną dłonią kilku pachołków. Pianę toczył, głową rzucał, parskał i drżący, niespokojny, rwał się. Dosiadł go wreszcie Hussein, ale jeszcze czekał moment, spozierając dokoła.

Zamieszanie w tym momencie było tak wielkie, że cały obóz wyglądał jak rozdeptane mrowisko. Tu walczono zwartą kupą i widać było jeno poruszające się gwałtownie szeregi skłębionych ciał; tam, przy zdobytych namiotach, z okrzykami tryumfu wybierano łupy; ówdzie dziki strach ogarniał uciekających, którzy wśród krzyku i jęku oszalałych niewiast, pędzili wprost ku skalistym brzegom Dniestru. A bliżej Husseina toczyła się pojedynkowa walka. Hetman polny Radziwiłł, zapędziwszy się tu, spotkał się oko w oko z olbrzymim a bardzo pysznym salonickim baszą, któremu śpieszno było umykać, więc rzucił się na hetmana z wściekłością, iż mu w drodze zawadził. Starli się, aż zbroje szczęknęły; basza klął i nacierał tak ostro, że koń Radziwiłła, ranny, wspiął się i wstecz podał. Ale go silną ręką zwrócił w bok hetman i gwałtownym a szybkim jak piorun zamachem, ciął hardego baszę w kark... Strumień krwi trysnął, głowa salonickiego baszy poczęła chwiać się i na skórze zwisła, prawie odrąbana; koń wolno puszczony, rżąc, z rozwianą grzywą pomknął, niosąc uwięzłego w strzemionach i kołyszącego się

na siodle, broczącego posoką trupa. Przeleciał obok Husseina w stronę Kamieńca.

— Ałłach! Ałłach! — krzyknął bejlerbej i puścił się pędem w tę samą stronę na most. Naprzód leciał ów spłoszony rumak z krwawym swym jeźdźcem, a za nim struchlały gnał Hussein, pociągając za sobą całą czeredę, oszalałą, bez tchu.

Dniestr szumiał gwałtownie i burzył się, unosząc trupy, a na nich kłębiące się, walczące z prądem całe gromady żywych, którzy w rozpędzie, nie mogąc się zmieścić na moście, walili się z urwistych brzegów w toń...

W tym jednak momencie najgorsze niebezpieczeństwo zagroziło Sobieskiemu. Basza bośniacki Soliman, od cecorskiej bramy walecznie przez Dymitra Wiśniowieckiego i Andrzeja Potockiego odparty, zwrócił się pędem nazad ku obozowi i w kilka tysięcy komunika wpadł na nieliczny orszak hetmański z tyłu. Wpadł z takim impetem, że był już o pół strzelania z pistoletu od hetmana, który nieustraszony, z szablą podniesioną rzucił się ku niemu. Polecieli w tę stronę ku pomocy husarze i pan Ludwik Niezabitowski ze swem towarzystwem pancernem, lecz hetmana piersiami swemi już zasłonił Jankowski, który cały czarny od dymu, krwią zbryzgany, nadbiegł tu pierwszy, gotów za hetmana głowę dać... Za moment Sulejman drgał w kurczach na ziemi, przebity Jankowskiego lancą.

Jeszcze chwila zaciętej, rozpaczliwej walki, aż trupy bośniackie całą zapełniły fosę. I stała się nagle cisza, jak po wielkiej burzy, potem zaś rozległ się okrzyk radośny, tryumfu pełen i szedł olbrzymiem, rozgłośnem echem po zdobytym obozie, głusząc tętent uciekających niedobitków.

O godzinie wtórej z południa, we wspaniałym namiocie Husseina, wzniesiono ołtarz i poświęcono, a ksiądz Przeborowski wśród pobojowiska tego, z którego podnosiły się opary krwi pohańców, składał Bogu w obecności całego rycerstwa, a przy złocistych Husseinowych świecach, bezkrwawą Najwyższą Ofiarę. A po Mszy świętej, słuchanej w wielkiem skupieniu, rozbrzmiały tony dziękczynnego hymnu:

Te Deum laudamus!

— Owo zgoła *mirabilia* Pan Bóg z nami uczynił! — mówił Sobieski ku tłoczącemu się rycerstwu, które zwycięskiemu wodzowi swemu powinszowania składało.

A w tej chwili przyniesiono mu wielką chorągiew berlerbeja. Była ona taka, jaką jeno wielcy wezyrowie mieć mogą: zielona, tercynelowa; miała wszerz sążni dwa a trzy wzdłuż; na niej zaś widniała kolumna pięknie haftowana złotem, z napisem u góry, który odczytał przywołany tłómacz: «Daje moc najwyższy u Boga prorok Mahomet ścinać giaurów i zabijać».

Szmer zgrozy rozszedł się wśród zgromadzonych, gdy tłómacz wygłosił te słowa. A Sobieski pochwycił chorągiew w rękę i wznosząc ją do góry, zawołał:

— Nad pomyślenie ludzkie uczynił Bóg nad nami cud, że potężniejszy od nas nieprzyjaciel, który urągać nam chciał, oto pogromion jest. Za to niech będzie Najwyższemu cześć i chwała!...

— Cześć i chwała! — wołano.

— Przeto chorągiew tę szumną — mówił dalej hetman — z napisem zuchwałym, złożyć ślubuję u stóp Chrystusowego Namiestnika w Rzymie, iżby tam po wiek wieków była świadectwem tej łaski Bożej i męstwa naszego rycerstwa...

Znowu zabrzmiały wołania:

— I twojej sławy hetmanie!

On zaś ogarniając szeregi rozmiłowanym i promieniejącym wzrokiem, odparł donośnie a stanowczo:

— Sława nie zdobyta jeszcze! Stąd pójdziem na Cecorę, rozgromim baszę Aleppu, a potem na Jassy, a potem na Kamieniec, gdy zaś odbierzemy tę naszą fortecę, kraju całego zaszczyt, naówczas syci sławy powrócim!...

Strzymał się, jakby czekał powszechnego okrzyku zgody... Ale go nie było... Gdzieniegdzie ozwały się wołania:

— Wiedź nas! pójdziemy!

Lecz wśród szeregów groźne ozwały się szmery.

— A z czem? a jak pójdziemy? W zimę, na głód, na stracenie, bez furażu, bez koni?

Sobieski stał jeszcze. Oblicze jego, tak promienne przed chwilą, chmurzyło się. Wiódł oczyma dokoła, jakby liczył tych, którzy z nim iść chcieli...

Zwolna oddał stojącemu obok rycerzowi zieloną chorągiew i ruszał się już z miejsca, gdy mu zaszedł drogę hetman Pac.

Był bardzo posępny. Małe jego, głęboko osadzone oczy, iskrzyły się zawiścią. Czuł on w tym momencie, że wykonanie planu Sobieskiego, postawiłoby go u szczytu, uczyniłoby w narodzie większym od króla. A tego przecież dopuścić było nie można. Rzekł tedy głosem, który drżał:

— Przekonaliście mnie wczoraj i dobrze się stało, bo oto wojsko litewskie przeważyło dziś szalę zwycięstwa. Ale cudowna wiktorya ta niech nie upaja was... Iść dalej, aby szukać Turków, którzy pierzchnęli, byłaby rzecz szalona... Deklaruję przeto, że ja z wojskiem mojem do dom wracam.

Po zbladłej twarzy koronnego hetmana przeleciał błysk gniewu. Ale wnet miarkując się:

— Czyńcie, jak wam sumienie każe — odparł i odwrócił się szybko.

Rozchodziły się szeregi, rozbiegali żołnierze wśród namiotów, chwytając bogate łupy. Zdala dochodziły już krzyki i swary; wydzierano sobie

złote i srebrne naczynia, objuczano wielbłądy i muły.

Sobieski raz jeszcze potoczył smutnym wzrokiem dokoła i do księdza Przeborowskiego, który przy nim stał, ozwał się przygnębiony:

– Pójdzie wojsko litewskie, a za niem dymowe wyprawy, odejdzie starszyzna... Z małą garstką zostanę sam — pokonany zwycięzca! Tak nas zwojowała ta dzisiejsza niespodziewana wiktorya!...

A zaś ksiądz Przeborowski podniósł krzyż, który niósł w ręku, i którym z rana błogosławił rycerstwo, i rzekł:

— *In hoc signo vinces!*

* * *

Wieść o zwycięstwie chocimskiem, a równocześnie o śmierci króla Michała, poraziła Fryderyka Wilhelma, jak grom. Przez dni kilka nie chciał widzieć nikogo, a wreszcie kazał przywołać hrabiego Waldecka, chociaż ten od ostatniej dyskusyi w zupełnej był niełasce.

Elektor siedział, jak zwykle w fotelu, z nogami wyciągniętemi przed siebie i obwiniętemi grubą flanelą. Twarz miał opuchniętą i bardzo bladą, a oczy krwią zaszłe. Patrzył przed siebie sztywnie i na ukłon ministra zgoła nie odpowiedział, bębnił jeno palcami po stole.

Po chwili rzekł ochrypłym głosem:

— No i cóż, Waldeck, pragnąłeś tego, wyzywałeś rycerskiego ducha i — obudził się! A teraz co?...

Uderzył pięścią w stół.

— A teraz co?... — powtórzył.

— Walka jeszcze nieskończona — wtrącił uspokajająco minister. — Kamieniec nie odebrany.., a waśnie elekcyjne...

— Furda! — krzyknął Elektor — ten wściekły pies... ten Sobieski, on gotów na wszystko poradzić... On radę ma — w szabli!...

— O tron spór będzie zacięty — przerwał znów Waldeck — wiadomo już o pięciu kandydatach...

— Zapisz szóstego — wtrącił Elektor — zapisz syna mego, Henryka...

Minister spojrzał zdziwiony.

— Czyżby Wasza Elektorska Mość życzył sobie?...

Szyderski śmiech Elektora przerwał:

— Cha! cha!... ja życzę sobie, iżby się oni jak najdłużej za łby wodzili!... Im więcej kandydatów, tem lepiej, tembardziej zacięta walka o tron... Obok Neuburga, szesnastoletniego młodzianka, obok Lotaryńczyka, obok Jerzego duńskiego, lalki malowanej i sabaudzkiego Tomasza i modeńskiego księcia... niech będzie i mój Henryk... A jeśli je-

szcze kogo masz, Waldeck, to wyznaj... bo ja już nie wiemł... cha! cha!...

Lecz nagle przestał się śmiać. Ból wykrzywił mu usta; chwytał się to za nogi, to za piersi i nagle krzyknął:

— Wszystko to nadarmo!... Królem będzie on... Sobieski!...

Zawarł oczy i opadł w głąb fotelu, jęcząc...

Waldeck zbliżył się, przerażony.

Kurfirst za rękę go schwycił, oczy szeroko otworzył i dysząc a krztusząc się, wstawał.

Miłościwy panie — ozwał się Waldeck — może doktora przywołać?...

Kurfirst nie odrzekł nic. Wstał i na niemocnych nogach chwiał się...

— Sobieski... król! — wyjąkał. — Tegom się lękał. Na teraz cała praca na nic! na nic!... Chocimskie zwycięstwo, to jest dla nich więcej, niż myślałby kto... to pogrom wrogów... to zjednoczenie wewnątrz, bo sława przyciąga i jednoczy i spaja!... To na wiek cały przedłużone istnienie!...

Urwał i patrzył chmurnie przed siebie:

— Dobrześ to rzekł, Waldeck... — ciągnął po chwili — a w złą godzinę rzekłeś: obudził się duch!...

Chciał krok postąpić, lecz zatoczył się i całym ciężarem o stół się oparł.

— Ja już chyba nie doczekam, nie! — myślał głośno — ale mój syn... Fryderyk III pierwszy

pruski król!... Przygotowałem mu tron... silny tron, pewniejszy, niż tamten!...

Na moment zabłysły mu oczy i wpatrzyły się przed siebie, jakby goniły mary przyszłości...

— Pierwszy król, pierwszy król... szeptały usta.

Zwolna uspokajał się i znów usiadł w fotelu.

— Trzeba powinszować Sobieskiemu zwycięstwa — rzekł — trzeba! On będzie król... więc trzeba. Wygotuj pismo Waldeck.

I nagle zaśmiał się szyderczo:

— Cha! cha! cha!... On myśli, ten hetman, że to on siedzieć będzie na tronie... on może zamarzy o tem, iżby dynastyę utworzyć dla większego spokoju i potęgi! cha! cha!

Grzmotnął w stół pięścią i krzyknął:

— Nieprawda!... Na tronie siądzie nie on, nie Sobieski, lecz sława... A sława bezpotomną jest, lub poczwary rodzi... A sława jest jako dym... Zbudzę wichry i zdmuchnę ją...

Zwrócił się do Waldecka:

— Idź mój ty proroku, idź i wygotuj ozdobne pismo... Powinszuj chocimskiemu zwycięzcy!...

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Str.

Od wydawcy 1

Część I.

I. Na stracenie 7
II. Pogoń 74
III. Pod Willenbergiem 107
IV. Po zamachu 146
V. Pfefferstube 198

Część II.

I. Dziwne poselstwo 265
II. Z odmętu 355
III. Na marne 413
IV. Palec Boży 470
V. Pogrom 525
VI. In hoc signo 569

Date Due

bdf CAT. NO. 23 233 PRINTED IN U.S.A.

LIBRARY
ST. HYACINTH COLLEGE AND SEMINARY
GRANBY, MASSACHUSETTS

K 16423
92 - v.3

AUTHOR
Krzechowiecki

TITLE
O tron

K 16423
92
v. 3